

CALLAS
CHANEL
SIMPSON
PERÓN
HUTTON
HEPBURN
KENNEDY

KOBIETY NIEPOKORNE

CRISTINA MORATÓ

Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Maria Callas. Umrzeć z miłości Coco Chanel. Triumf woli Wallis Simpson. Królowa bez korony Eva Perón. Między władzą a chwałą Barbara Hutton. Milionerka o smutnym spojrzeniu Audrey Hepburn. Wierna sobie Jacqueline Kennedy. Kobieta zraniona Podziękowania Bibliografia

CRISTINA MORATÓ

KOBIETY NIEPOKORNE

CALLAS

CHANEL

SIMPSON

PERÓN

HUTTON

HEPBURN

KENNEDY

Z hiszpańskiego przełożyła
Marta Szafrńska-Brandt


Świat Książki
wydawnictwo

Tytuł oryginału
DIVAS REBELDES

Wydawca
Magdalena Hildebrand

Redaktor prowadzący
Beata Kołodziejska

Fotoedytor
Martyna Turska

Redakcja
Urszula Okrzeja

Korekta
Ewa Grabowska
Marzenna Kłos

Źródła zdjęć: CORBIS/FotoChannels

© Cristina Morató, 2010
© Penguin Random House Grupo Editorial, S.A., 2010
Copyright © for the Polish translation by Marta Szafrńska-Brandt, 2015

Świat Książki
Warszawa 2015

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Skład i łamanie
Akces, Warszawa

Dystrybucja

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o., Sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-7943-998-0

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

*Dla Eduarda Sáncheza Junco, dyskretnego strażnika sekretów wielkich dam.
Nikt nie znał tak dobrze jak ty prawdziwego znaczenia słowa glamour.
I dla Belén Junco, która jest duszą tej książki*

Maria Callas

*Diwa, poza tym, że śpiewa
i występuje na scenie,
musi być boginią w życiu codziennym.*



Umrzeć z miłości

*Jestem bardzo nieśmiała. Boję się okazywać uczucia.
Ludzie uważają mnie za dumną, obojętną diwę.
A wtedy jeszcze bardziej zamykam się w sobie.*

Maria Callas

„Zastanawiam się, czy poczuję się kiedyś szczęśliwa, czy też będę przez resztę życia walczyć o przetrwanie, choć żyje mi się wspaniale, nie mogę narzekać. Wolalabym spodziewać się najgorszego i otrzymywać najlepsze. Naprawdę przez dziewięć lat myślałam, że będę to miała, a przekonałam się... Jak człowiek może być tak fałszywy? Ach, nie, dość już przeżyłam huśtawek nastroju. Do diabła z tym wszystkim. Ale noc? Co się dzieje, kiedy zamykasz drzwi sypialni i jesteś sama jak palec?”. Te słowa wypowiedziała wielka Maria Callas, pierwszy i ostatni raz otwierając serce przed zaprzyjaźnionym z nią dziennikarzem, krytykiem muzycznym Johnem Ardoinem. Był rok 1968 i słynna sopranistka obserwowała, bezsilna, zmierzch swojego wyśnionego romansu z jedynym mężczyzną, którego naprawdę kochała, Aristotelisem Onasisem. Zaledwie kilka dni wcześniej spacerowała za rękę z greckim armatorem po prywatnej wyspie Skorpios, teraz zaś, smutna i zawiedziona, patrzyła, jak jej ukochany przygotowuje się do ślubu z Jackie Kennedy, wdową po amerykańskim prezydencie.

Życie Marii Callas, największej diwy operowej XX wieku, było równie tragiczne i pełne napiętności jak życie heroin, w które się wcielała, występując na deskach najlepszych teatrów operowych świata. Nikt nie mógł w sposób równie subtelny i dramatyczny, tak przekonująco jak ona – która wiedziała dobrze, co to zazdrość, odrzucenie, szalona miłość, poczucie winy i opuszczenie – wcielić się w postać Normy, Lucji, Violetty. Maria Callas fascynowała świat, gdyż poprzez swoje wielkie bohaterki ukazywała własne życie, naznaczone cierpieniem i rozczarowaniem.

Publiczność, która w czasie dekady 1949–1959 czciła ją niczym boginię, patrzyła ze smutkiem, jak jej życie zamienia się w spektakl dla mediów. Dla prasy bulwarowej historia tej z początku mało atrakcyjnej, otyłej śpiewaczki, w magiczny sposób przemienionej w posągową, olśniewającą diwę, która usidliła jednego z najpotężniejszych ludzi na świecie, stała się łakomym kąskiem. Gdy romans Callas z greckim multimilionerem wyszedł na jaw i jako temat pojawił się na

okładkach czasopism, wielbicieli zapomnieli o jej wspaniałej karierze artystycznej i zaczęli ją bezlitośnie osądzać. Ścigana przez paparazzich, zdradzona przez niegodziwego męża i agenta Battistę Meneghiniego, schroniła się w ramionach Onasisa, w chwili gdy jej kariera była w zasadzie zakończona. „Nie chcę śpiewać, chcę żyć”, powtarzała. W wieku trzydziestu sześciu lat, nareszcie wyzwolona z więzów i zobowiązań, odeszła ze scen, które ją wyniosły ku chwale, by żyć jak królowa, na wygnaniu mniej beztroskim, niż się spodziewała.

Burzliwy związek z Onasisem, zrywanie kontraktów, obrażanie się, schodzenie ze sceny w czasie przedstawienia, zatargi z impresariami i dyrektorami teatrów, choroby i przedwczesna śmierć – związana z nadużywaniem leków nasennych – wszystko to złożyło się na jej legendę. Ci, którzy podziwiali i wielbili Marię Callas, nie darowali jej tego, że na koniec roztrwoniła talent i zmarnowała głos. Dramatyczny finał życia upodobił ją – osamotnioną, uwięzioną we wspomnieniach – do bohaterki greckich tragedii i zamienił w mit. „Niektórzy ludzie przychodzą na świat po to, by być szczęśliwymi, inni, żeby być nieszczęśliwymi. Po prostu nie miałam szczęścia w miłości. Nieraz zadaję sobie pytanie «dlaczego?»» – wyznała na krótko przed śmiercią, mieszkając samotnie w swoim paryskim apartamencie, otoczona jedynie służbą.

Skradzione dzieciństwo

Drugiego grudnia 1923 roku, kiedy w szpitalu przy Piątej Alei na Manhattanie, w Nowym Jorku, przyszła na świat Maria, jej matka, Evangelia, przeżyła ogromne rozczarowanie. Była przekonana, że urodzi chłopca – tamtego roku zmarł, w wieku trzech lat, jej jedyny synek. I kiedy pielęgniarka pokazała jej pogodną dziewczynkę, ważącą niemal pięć kilo, ciemnowłosą i pucułowatą, Evangelia odepchnęła ją. Przez cztery dni nie chciała do niej podchodzić i nawet wybrać dla niej imienia. Relacja diwy z matką pozostanie do końca jej dni równie chłodna i napięta jak w pierwszych miesiącach życia.

Evangelia Dimitriadis jeszcze przed urodzeniem córki była kobietą smutną i zgorzkniałą. Należała do bogatej burżuazji greckiej i szczyciła się powinowactwem ze znanymi politykami, wysokimi rangą oficerami, muzykami i poetami. Jej ojciec, generał Petrus Dimitriadis, był byłym wojskowym, którego z racji wielkiego talentu muzycznego nazywano „śpiewającym komendantem”. Rozmówany w operze, uwielbienie dla muzyki przekazał jedenaściorgu dzieciom, a zwłaszcza najmłodszej Evangelii, swojej ulubienicy. Niemniej Litza – jak ją nazywał – choć marzyła o karierze aktorki czy śpiewaczki, nie miała ani głosu, ani talentu dramatycznego. W wieku siedemnastu lat musiała zrezygnować z młodzieńczych marzeń i zacząć szukać męża. Jej wybrankiem został piętnaście

lat starszy obiecujący, przystojny farmaceuta Georges Kalogeropoulos. Choć wszyscy wydawali się zachwyceni wyborem dziewczyny, Petrus, znający dobrze córkę, radził jej nie wychodzić za mąż za człowieka tak różniącego się od niej. Ale Litza już podjęła decyzję i nie zamierzała zmieniać planów. Generał zmarł dwa tygodnie przed ślubem; cicha uroczystość ślubna odbyła się w jednej z cerkwi w Atenach.

Młodzi małżonkowie zamieszkali w Meligali, rodzinnym mieście Georgesa. W tej małej miejscowości na Peloponezie otworzył on aptekę, przynoszącą dochody i zapewniającą odpowiednią pozycję społeczną. Evangelia wkrótce uświadomiła sobie, że życie małżeńskie nie da jej tego, czego oczekiwała. Przywykła do życia w stolicy, w otoczeniu ludzi subtelnych i wykształconych, czuła się w zatęchłej atmosferze prowincji pozbawiona wrażeń i bodźców. Po kilku miesiącach żałowała, że poślubiła aptekarza, którego nie interesowały ani sztuka, ani muzyka klasyczna, a tym bardziej nie pociągało życie w luksusie i bywanie w świecie. W rzeczywistości ze względu na brak konkurencji, Georges Kalogeropoulos awansował do grona najbogatszych ludzi w miasteczku i mógł sobie pozwolić na kupno jednego z najlepszych domów w Meligali. Jednakże, zgodnie z przewidywaniami ojca, rok po ślubie można było mówić o rozpadzie małżeństwa.

W roku 1917 przyszła na świat pierwsza córka pary, Cynthia – nazywana przez wszystkich Jackie – a trzy lata później urodził się chłopiec, jasnowłosy i niebieskooki jak matka, któremu nadano imię Vasily. Evangelia, wobec pustki, jakiej doświadczała w małżeństwie – i zmęczona znoszeniem miłosnych afer z udziałem męża – przelała całą swoją troskę na chłopca, który już jako trzylatek okazywał uzdolnienia muzyczne, grając dziecięce piosenki na fortepianie. Tragiczna śmierć dziecka na skutek zapalenia opon mózgowych, latem 1922 roku, spowodowała poważne oddalenie małżonków. Evangelia pogrzyżyła się w głębokiej depresji, stała się wybuchowa i niezrównowazona.

W tym bolesnym okresie życia Georges zakomunikował jej, że sprzedał aptekę i że wyjeżdżają do Stanów Zjednoczonych, gdzie będzie im się dobrze powodziło. Evangelia, w piątym miesiącu ciąży, nie uwierzyła w tę nagłą wiadomość. Nie mogła pogodzić się z myślą, że mąż chce rzucić wszystko, żeby zamieszkać w odległym kraju, którego języka nie znali – żadne z nich nie mówiło po angielsku – z dala od rodzin i przyjaciół. Jej łzy i wymówki nie wpłynęły na postanowienie męża, gotowego rozpocząć nowe, dostatnie życie w owej ziemi obiecanej.

Na początku sierpnia 1923 roku rodzina Kalogeropoulos przybyła do portu w Nowym Jorku, gdzie czekał na nich doktor Leonidas Lantzounis, uniwersytecki kolega Georgesa. Leonidas, chirurg ortopeda, który wyemigrował do Nowego Jorku rok wcześniej, miał pomóc nowo przybyłym zainstalować się w mieście.

Lantzounis, ojciec chrzestny Marii, miał się stać człowiekiem, który przez całe życie otaczał śpiewaczkę największą miłością i we wszystkim ją wspierał. Leo – jak Maria pieszczotliwie go nazywała – bliski, zaufany przyjaciel, był mediatorem w niekończących się konfliktach między diwą a jej matką. Maria, już wówczas gwiazda bel canto, przyznawała, że ojciec chrzestny traktował ją z serdecznością i okazywał jej wsparcie, jakiego nigdy nie doczekała się ze strony rodziny. W jednym z licznych napisanych do niego listów otwierała przed nim serce i wyznawała ze smutkiem: „(...) kocham cię i podziwiam, Noné [ojcze chrzestny, po grecku], i jesteś dla mnie jak ktoś związany ze mną więzami krwi. Dziwne, jak niewiele znaczy pokrewieństwo łączące nas z rodziną. Moja rodzina była dla mnie tylko źródłem nieszczęścia”.

Osiadła w Nowym Jorku kolonia grecka przyjęła nowych członków z otwartymi ramionami i wkrótce nowe życie nie wydawało się już Evangelii tak straszne, jak się obawiała. Rodzina zamieszkała w dzielnicy Queens, gdzie osiedlała się większość imigrantów greckich. Cztery miesiące po przyjeździe, chłodnej nocy 2 grudnia, w szpitalu przy Piątej Alei, Evangelia urodziła córkę. Jako że oczekiwała synka, musiała naprędce wymyślić jakieś imię i nazwała córeczkę Maria. Potem, w wieku trzech lat dziewczynka została ochrzczona jako Cecilia Sophia Anna Maria Kalogeropoulos. Wkrótce po narodzinach drugiej córki i po otrzymaniu obywatelstwa amerykańskiego, ojciec zmienił nazwisko na Callas. Mogąc już wówczas wykonywać swój zawód, kupił aptekę na rogu Trzydziestej Ósmej Ulicy i Ósmej Alei na Manhattanie. Rodzina zamieszkała w skromnym mieszkaniu nad apteką, by z czasem przenieść się do wygodniejszego.

Evangelia przelała wszystkie swoje frustracje na córki, którym niejako narzuciła miłość do muzyki. Kiedy Maria skończyła pięć lat, matka odkryła, że ta pulchna, krótkowzroczna dziewczynka ma cudowny głos. Kupiła wówczas pianole i zaczęła uczyć córki piosenek greckich i amerykańskich. Później nabyła gramofon, z którego Maria słuchała swoich pierwszych oper Belliniego i Verdiego. Już jako kobieta dojrzała, gwiazda, wyznała: „Matka uznała, że nadaję się na śpiewaczkę, chociaż miałam dopiero cztery lata i nienawidziłam śpiewu. To pewnie dlatego zawsze czułam do belcanto miłość połączoną z nienawiścią”.

Maria wzrastała w domu bez miłości, w atmosferze niesnasek między rodzicami. „Nie miałam dzieciństwa – powie później. – Matka nie rozumiała mnie, ojca prawie nigdy nie było i nie mógł mi pomóc”. Była dziewczynką zamkniętą i pełną kompleksów wobec pięknej siostry, nie miała właściwie przyjaciół i często przesiadywała w domu sama. Evangelia otaczała większą uwagą sześć lat starszą Jackie – atrakcyjną, szczupłą blondynkę, w której pokładała wielkie nadzieje, związane z awansem społecznym po dobrym wydaniu córki za mąż. Wobec Marii była chłodna i wymagająca, narzucając jej żelazną dyscyplinę, przyjmując postawę bardziej właściwą dla nauczycielki. Siostry, wówczas połączone serdecznymi

relacjami, dodawały sobie wzajemnie otuchy, próbując znosić gwałtowne zmiany humoru skłonnej do depresji matki.

Kiedy w 1929 roku społeczeństwo amerykańskie stanęło w obliczu skutków poważnego kryzysu ekonomicznego, ojciec Marii sprzedał aptekę i powrócił do dawnego zajęcia akwizytora farmaceutycznego. Napięcia między małżonkami zaczęły narastać. Georges, spędzający wiele czasu z dala od domu w związku z nowym zajęciem, nawiązał romans z Alexandrą Papajohn, młodą dziewczyną, Greczynką z pochodzenia, córką przyjaciół rodziny. Evangelia, świadoma niewierności męża, poczuła się doprowadzona do ostateczności. Zmuszeni do przeprowadzki, państwo Callas zamieszkali w niewielkim mieszkaniu bez windy, o dwa kroki od murzyńskiej dzielnicy Harlem, jednej z najuboższych w mieście. Jedyłą nadzieją Evangelii był powrót z córkami do Grecji – po ukończeniu przez Marię szkoły – i tam zapewnienie im solidnego wykształcenia muzycznego.

W wieku dziesięciu lat Maria rozpoczęła systematyczną naukę muzyki. Uniemożliwiło jej to cieszenie się dzieciństwem na sposób innych dzieci w tym wieku. Evangelia nie przejmowała się nastawieniem córki, dla której muzyka nie była wówczas niczym więcej niż rozrywką. Nie zastanawiała się również nad tym, że dziewczynka panicznie bała się występować i robić z siebie widowisko na scenie. Maria, dręczona kompleksem nadwagi, z przykrością przeglądała się w lustrze, tymczasem matka kazała jej się pokazywać publicznie. Ta nieśmiałość nie opuszczała jej przez całe życie. Przemieniwszy się w gwiazdę, miała wymyślić postać wielkiej diwy Callas, żeby ukryć się pod nią jak pod maską.

Matka Marii, kobieta o niepohamowanej ambicji, postanowiła wykorzystać swoje „cudowne dziecko” i przez kolejne miesiące prowadziła córkę na niezliczone przesłuchania, próbując wykreować dziewczynkę na gwiazdę. Dla małej był to bardzo trudny okres – czas wypełniony wyczerpującymi lekcjami i próbami. Evangelia towarzyszyła córce na lekcjach fortepianu, zmuszając ją do wysilania głosu w utworach muzyki klasycznej zbyt trudnych na jej wiek. Maria Callas nieraz publicznie wyrażała żal za utraconym dzieciństwem: „Miałam faktycznie wyjątkowy głos, a matka skierowała mnie na ścieżkę kariery muzycznej. Uważano mnie za cudowne dziecko. Oceniając to z późniejszej perspektywy, zdaję sobie sprawę, że nie mam powodów do narzekania. Niemniej powinno istnieć prawo zabraniające obciążania małych dzieci tak wielką odpowiedzialnością. Cudowne dzieci zawsze pozbawione są prawdziwego dzieciństwa. Nie pamiętam żadnej zabawki, nawet lalki czy ulubionej gry, tylko arie, które musiałam ćwiczyć do upadłego, żeby wystąpić na uroczystości z okazji zakończenia roku szkolnego”.

Maria rozpoczęła edukację muzyczną bez specjalnego entuzjazmu – chciała być wówczas dentystką – jednak z czasem zaczęła okazywać wielkie zainteresowanie muzyką. Uświadomiła sobie, że choć nie jest obdarzona urodą, potrafi dzięki wspaniałemu głosowi zyskać sympatię i podziw ludzi. Jej życie

uległo wielkiemu przeobrażeniu. Zrozumiała, że nie ma co naśladować siostry; powinna raczej starać się osiągnąć sukces w dziedzinie artystycznej. Przestała zajmować się swoim wyglądem, skupiając się na tym, w czym siostra absolutnie nie mogła jej dorównać: na śpiewie.

Gdy w styczniu 1937 roku pani Callas oświadczyła mężowi, że zamierza wrócić do Grecji razem z córkami, ten próbował bezskutecznie zatrzymać Marię. Celem Evangelii było wylansowanie niezwykle uzdolnionej córki w ojczyźnie. Co się tyczy pokrycia kosztów lekcji, mogła liczyć na hojność krewnych. Obiecała mężowi, że wróci, kiedy się skończy lato, a najdalej na Boże Narodzenie. Georges zobowiązał się posyłać jej miesięcznie sto dwadzieścia pięć dolarów na utrzymanie – połowę swego skromnego uposażenia. Dziewczynki były przekonane, że będzie to tylko chwilowa rozłąka, jednak Maria, podobna fizycznie do ojca i bardzo z nim związana, miała go zobaczyć dopiero po ośmiu latach.

Powrót do domu nie okazał się sprawą tak prostą, jak wyobrażała sobie Evangelia. Po przybyciu do Aten zatrzymały się u babci ze strony matki, zajmującej teraz skromne mieszkanie składające się z zaledwie trzech niewielkich pokoi. Po czternastu latach nieobecności Evangelia mogła stwierdzić, że rodzina Dimitriadis już nie żyje w takim zbytku jak kiedyś i nie zachowała dawnej pozycji. Wkrótce po przybyciu i zaliczeniu intensywnej tury wizyt w domach krewnych i przyjaciół pani Callas zrozumiała jasno, że nikt jej nie pomoże sfinansować karier muzycznych córek. Przez osiem lat matka i córki żyły jak uwięzione w kraju pogrążonym w cierpieniach i niedostatku z powodu drugiej wojny światowej, a później greckiej wojny domowej.

Kłopoty finansowe pogłębiły się, kiedy dwa miesiące po ich przybyciu do Grecji Georges zachorował na zapalenie płuc i stracił pracę. Nie mógł już posyłać pieniędzy ze Stanów i poprosił Evangelię o powrót do Nowego Jorku. Jednakże matka Marii nie miała najmniejszego zamiaru opuszczać kraju. Wiązały koniec z końcem dzięki skromnej pensji Jackie, pracującej jako sekretarka, oraz pomocy rodziny. Mogły przeprowadzić się do większego mieszkania, umeblowanego nielicznymi należącymi do nich sprzętami. Maria, zajmująca nieogrzewany pokój, do wieczornej nauki wkładała rękawiczki i gruby płaszcz.

Postrzegając Grecję jako kraj biedny i zacofany, absolutnie niepodobny do idyllicznego kraju znanego jej z opisów matki. Czuli się obco we własnej rodzinie – kuzynki nazywały ją jankeską. Tęskniła za ojcem. Evangelia obarczała męża odpowiedzialnością za wszystkie znoszone przez nie niedostatki i nie pokazywała Marii listów, w których ojciec namawiał je do powrotu do domu. Dziewczyna, nie zdążywszy zaadaptować się do nowego życia, przekonana, że ojciec już jej nie kocha, musiała poddać się szaleńczemu rytmowi przesłuchań, recitali, występów w najrozmaitszych miejscach. Spełniała z rezygnacją żądania matki i zносиła upokorzenia, denerwując się coraz bardziej tym, że bez przerwy proszona jest o to,

by „coś zaśpiewała”.

Na początku września 1937 roku Evangelia zorientowała się, że jej trzynastoletnia córka nie może jeszcze, z racji wieku, podjąć studiów w najlepszej w kraju uczelni – Konserwatorium Ateńskim. Załatwiła jednak córce przesłuchanie w Konserwatorium Narodowym, uważanym za drugie pod względem poziomu nauczania. Ukryła wiek dziewczyny, podając ją za szesnastolatkę – co, zważywszy na tuszę i wzrost Marii, nie budziło niczyich wątpliwości. Przesłuchanie w obecności Marii Trivelli, jednej z najlepszych nauczycielek śpiewu w stolicy, nie mogło wypaść lepiej. Dziewczyna uzyskała miejsce w klasie profesor Trivelli, zachwyconej możliwościami głosowymi i dojrzałością interpretacyjną nowej uczennicy. Dla Marii rozpoczęła się epoka wyjątkowej pracy i wielu osobistych wyrzeczeń.

Dni upływały jej na lekcjach śpiewu, zajęciach ze sztuki dramatycznej, z historii opery, lekcjach fortepianu, dykcji – po francusku i włosku. Nie miała koleżanek w swoim wieku, bo właściwie nie miała wolnego czasu; poza tym kiepsko mówiła po grecku. Edukacja muzyczna stała się dla niej sprawą priorytetową i równocześnie obsesją. Pracowała do wyczerpania sił – dwanaście czy czternaście godzin z rzędu – a jedyną przyjemność stanowiło dla niej wówczas jedzenie, co odbijało się negatywnie na jej zdrowiu i sylwetce. Była ciągle dziewczyną pozbawioną wdzięku i niezgrabną, w grubych okularach, z widoczną nadwagą. Matka, zamiast troszczyć się o dietę córki, serwowała jej ogromne porcje jedzenia jako nagrodę za podejmowany trud. W wieku czternastu lat – i w czasach, kiedy niewiele wiedziano o tej chorobie – śpiewaczka chorowała na bulimię, zaburzenie odżywiania wywołane nadmierną troską o wagę i wygląd zewnętrzny.

Latem 1939 roku siostra Marii, Jackie, zaręczyła się z bogatym dziedzicem fortuny armatorów, Miltosem Embiricosem. Zrezygnowała z nieźle zapowiadającej się kariery muzycznej, aby dobrze wyjść za mąż. Evangelia wydawała się zadowolona, ponieważ udało jej się „zapewnić przyszłość” jednej z córek, a przy okazji awansować towarzysko. Sprawy nie ułożyły się jednak tak prosto i Jackie zamiast żoną miała stać się wieczną kochanką armatora. Zamożna rodzina Embiricos przeciwstawiała się małżeństwu syna z dziewczyną skromnego pochodzenia i wątpliwej kondyty. Maria nie zareagowała na zaręczyny siostry z radością; mimo zazdrości i nieporozumień czuła się z nią bardzo związana. Dopiero jakiś czas potem miała poznać prawdziwe powody, dla których nie doszło do ślubu Jackie Callas z narzeczonym.

Pod koniec roku Maria uzyskała upragnione miejsce w Konserwatorium Ateńskim, po przesłuchaniu u osoby, która ostatecznie pchnęła ją na ścieżkę kariery i bardziej niż ktokolwiek inny wpłynęła na jej transformację – Elviry Hidalgo. Ta słynna sopranistka hiszpańska, która występowała w największych teatrach operowych świata, takich jak mediolańska La Scala czy londyńska Covent

Garden, została uwięziona w Grecji wraz z wybuchem hiszpańskiej wojny domowej. Należąca do wyższej klasy Elvira była nie tylko uznaną nauczycielką konserwatorium, lecz także kobietą wykształconą i posiadającą własny styl, osobą znaną w świecie artystycznym.

Pierwsze spotkanie Elviry z nową uczennicą nie mogło być bardziej zniechęcające dla obu stron. Hidalgo ujrzała zaniedbaną nastolatkę o brzydkiej cerze, w okularach o grubych szklach, która w wieku piętnastu lat ważyła dziewięćdziesiąt kilo i z nerwów bez przerwy obgryzała paznokcie. Aspiracje dziewczyny wydały jej się śmieszne, kiedy jednak ją usłyszała, zrozumiała natychmiast, że będzie ona znakomitą wykonawczynią. „Jej technika wokalna pozostawała daleka od doskonałości, lecz głos obdarzony był naturalnym zmysłem dramatycznym, muzykalnością i oryginalnością, które mnie poruszyły. Poczułam pod powiekami łzy, więc odwróciłam się, żeby dziewczyna ich nie zauważyła. Wiedziałam od razu, że będę jej nauczycielką, a kiedy popatrzyłam w jej wspaniałe oczy, pomyślałam, że mimo całej reszty jest bardzo piękna”, wspominała później Elvira Hidalgo owo pierwsze przesłuchanie.

Od tej chwili Hidalgo stała się nauczycielką, przyjaciółką, mentorką Marii, podobnie jak jej pierwsza mistrzyni, Trivella. Po śmierci Callas w jej paryskim mieszkaniu znaleziono na poczesnym miejscu zdjęcie podziwianej nauczycielki. Śpiewaczka powiedziała kiedyś: „Całe przygotowanie, formację artystyczną, sceniczną i muzyczną zawdzięczam tej znakomitej hiszpańskiej artystce”. Elvira troszczyła się nie tylko o głos Marii, lecz także o jej wygląd, grożąc, że przestanie udzielać jej lekcji, jeśli ta nie schudnie i nie zadba o siebie. „Przyszła primadonna powinna być elegancka, zarówno jeśli chodzi o głos, jak i o wizerunek”, przypominała.

Nikt nie potrafił prawdziwie docenić głosu Marii, póki w jej życie nie weszła Elvira Hidalgo. Trivella uważała ją za mezzosopran, Hidalgo natomiast pomagała jej wydobyć najwyższe tony sopranów. Prowadzona za rękę przez tę, która była jej pierwszym Pigmalionem, dziewczyna wkroczyła z entuzjazmem w nowy etap życia, okres intensywnej formacji artystycznej. Pracowały codziennie od dziesiątej rano do ósmej wieczór. Maria żyła wyłącznie dla muzyki i wkrótce wysiłki Elviry zaczęły przynosić owoce. Z każdym miesiącem dziewczyna zaczynała się coraz lepiej czuć we własnej skórze, a dręczące ją poczucie samotności ustąpiło. Nauczyła się ubierać tak, by ukryć tuszę, chodzić z gracją, poruszać się w naturalny sposób na scenie, kontrolować mimikę.

Dwudziestego ósmego października 1940 roku Grecja przystąpiła do wojny, której do tej pory za wszelką cenę starała się uniknąć. Wojska Mussoliniego zajęły Albanię i kiedy zbliżały się do granicy greckiej, kraj się zmobilizował i zmusił oddziały Duce do wycofania się. Grecja pogrążyła się w nędzy wojny, a tymczasem Maria Callas przygotowywała się, by na scenie Opery Ateńskiej

zadebiutować w niewielkiej roli w operetce *Boccaccio* Franza von Suppé. Zdobyła powszechny aplauz publiczności i po raz pierwszy poczuła się zawodową śpiewaczką, nie zaś zwykłą amatorką. Przedstawienie obejrzała z dumą cała jej rodzina, oklaskując ją z pierwszego rzędu. Sukces tego niezapomnianego wieczoru pozwolił dziewczynie dojrzeć i nabrać większej pewności siebie. Wytrwała praca u boku Elviry przyniosła w końcu owoce.

Pierwsze miesiące wojny nie oznaczały większych zmian w życiu Evangelii i jej córek, lecz najgorsze było jeszcze przed nimi. Dwudziestego siódmego kwietnia 1941 roku, po ucieczce króla Jerzego wraz z rodziną do Egiptu, Grecja przeszła w ręce Niemców. Kilka tygodni później flaga ze swastyką zaczęła powiewać na szczycie Akropolu, a Grecy poznali koszmar przeżywany już przez miliony ludzi w Europie. Pojawiły się problemy z zaopatrzeniem, administracja pozostawała w rękach najeźdźców, wprowadzono godzinę policyjną. Rządy nazistów nie zdołały jednak przeszkodzić w pracy Marii, która każdego ranka szła do domu Elviry Hidalgo, by pozostać tam przez cały dzień. Wracała wieczorem, po wyczerpujących ćwiczeniach, czasem ignorując godzinę policyjną i ryzykując zatrzymanie przez patrol niemiecki.

Mimo okupacji niemieckiej sytuacja Marii i jej matki nie była do końca zła, ponieważ Miltos Embiricos, bogaty narzeczony drugiej córki, dostarczał im ciepłą odzież i żywność. Jackie w swych opublikowanych w 1989 roku wspomnieniach wyznała, że powód, dla którego w czasie wojny nie brakowało im jedzenia ani pieniędzy, pozostawał sekretem matki. Otóż Evangelia, dowiedziawszy się, że Jackie zaręczyła się z bogatym dziedzicem fortuny armatorów, umówiła się z nim na spotkanie i zaproponowała układ: jeśli on zobowiąże się pomagać im materialnie, ona nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby jej córka Jackie została jego kochanką. Układ ten pogrzebał nadzieje na ewentualne małżeństwo Jackie. Kiedy rok później Maria, przekonana, że to ojciec im pomaga, poznała prawdę, znenawidziła matkę jeszcze bardziej.

Maria nigdy nie zapomniała zimy 1941 roku, kiedy miasto nawiedziła fala mrozów, powodując wiele strat w ludziach i zmuszając mieszkańców do chodzenia w góry i kupowania żywności na czarnym rynku. „Okupacja w Atenach była najboleśniejszym okresem mego życia – opowiadała później. – Pamiętam bardzo dobrze zimę 1941 roku, najsurowszą, jaką kiedykolwiek przeżyłam, kiedy to po raz pierwszy od dwudziestu lat padał śnieg. Przez całe następne lato żywiłam się pomidorami i kapustą, po które chodziłam długie kilometry, prosząc chłopów o warzywa”. Nie zapomniała cierpień znoszonych podczas okupacji niemieckiej. Lata głodu, ubóstwa i ciągłego strachu pozostawiły w niej ślad na zawsze.

W tych dramatycznych dniach dowiedziała się, że Elvira załatwiła jej posadę w Operze Ateńskiej. Miała zaledwie siedemnaście lat, i fakt, że weszła do opery głównym wejściem dzięki wpływom nauczycielki, wzbudził zazdrość kolegów

i koleżanek. Do tej pory zdążyła już nabrać trochę pewności siebie i wyzbyć się lęku przed ludźmi, teraz jednak znowu zrobiła się nieufna i zamknięta. Latem 1942 roku, kiedy Niemcy zezwolili na powrót życia kulturalnego w Atenach, wystąpiła w roli, która oznaczała początek jej kariery. W Operze Ateńskiej miała zostać wystawiona *Tosca*, a ponieważ zachorowała główna wykonawczyni, zaproponowano Marii zastępstwo. Maria, kilkunastoletnia dziewczyna, wystąpiła na scenie i odniosła wielki triumf, śpiewając po grecku u boku najślynniejszego w kraju tenora, Antonia Dhellentasa. Miesiąc później wykonała tę samą partię po włosku. W rozdartej wojną Grecji ta niemal nieznana dziewczyna kolejny raz zdołała podbić serca publiczności.

Po pierwszym występie w *Tosce*, w zastępstwie innej artystki, zaczęła być uważana za jedną z najlepszych śpiewaczek operowych w kraju. Mijało osiem lat, odkąd opuściła Stany Zjednoczone. Jedyna z rodziny miała obywatelstwo amerykańskie i choć w Grecji była już znana, pragnęła wrócić do Stanów, do ojca. Niemcy opuścili Ateny i po okresie euforii kraj pogrążył się w okrutnej wojnie domowej. Sytuacja była jeszcze trudniejsza niż w czasie wojny światowej i Maria, której kontrakt w Operze Ateńskiej wygasł, miała niewielką szansę rozwijania swojej dobrze zapowiadającej się kariery. Kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, nieoczekiwanie otrzymała od Georgesa Callasa list. Był to 5 grudnia 1944 roku. W kopercie znajdowało się sto dolarów – prezent od ojca na urodziny. Maria była przekonana, że po sukcesach w Grecji otworzy się dla niej wiele drzwi w Nowym Jorku, w tym drzwi mitycznej Metropolitan Opera House.

Narodziła się gwiazda

Czternastego września 1945 roku młoda sopranistka wsiadła na parowiec Stockholm płynący do Stanów Zjednoczonych. Podróżowała ze stoma dolarami w kieszeni, z niewielkim bagażem, nie znając dokładnego adresu ojca. Evangelia, wściekła w obliczu „zdrady” córki, odmówiła jej jakiegokolwiek informacji na temat miejsca zamieszkania rodziny za Atlantykiem. Stąd wzruszenie, jakie ogarnęło Marię, kiedy, dopłynąwszy do portu w Nowym Jorku, rozpoznała w tłumie Georgesa. Ojciec dowiedział się o jej przybyciu przypadkowo, czytając periodyk wydawany przez emigrację grecką, na którego stronach zamieszczano listy pasażerów statków z Grecji. Maria miała już gdzie się zatrzymać: w niewielkim mieszkaniu w Washington Heights, w tej samej dzielnicy, w której mieszkali przed laty.

Ogromnie uradowana spotkaniem, zorientowała się wkrótce, że ojciec mieszka ze swoją dawną kochanką Alexandrą Papajohn. Wiedziała, że Evangelia porzuciła go przed ośmiu laty, niemniej trudno jej było podzielać jego uczucia

względem tej kobiety. Alexandra, samotna czterdziestolatka, delikatna i uczciwa – z którą Georges ożeni się w 1964 roku po otrzymaniu rozwodu z żoną – uznała, że dopóki w domu jest Maria, ona przeniesie się do rodziców, żeby nie zakłócać relacji ojca i córki.

Pierwsze miesiące w Nowym Jorku były dla Marii niczym krótkie wakacje po latach ciężkiej pracy i wyrzeczeń w Grecji. Spacerowała ulicami bogatego, ruchliwego miasta, podjadając hamburgery i hot dogi i przybierając stale na wadze. Wkrótce musiała sprawić sobie nową garderobę; poza tym potrzebowała pieniędzy na fortepian, lekcje śpiewu, impresaria. Marzyły jej się niezależność i niewielkie mieszkanie w bardziej eleganckiej dzielnicy. Jako że ojciec nie mógł jej pomagać w pokrywaniu osobistych wydatków, zwróciła się do ojca chrzestnego, doktora Lantzounisa, który pożyczył jej pieniądze i pozwolił ćwiczyć w swoim eleganckim domu w East Side na Manhattanie.

Upragniony sukces w Stanach Zjednoczonych bynajmniej nie miał przyjść łatwo ani szybko. Maria tygodniami odwiedzała bez rezultatu najlepszych agentów i impresariów. Kiedy pokazywała recenzje i dobre opinie na temat swoich występów w Grecji, stale pojawiał się jeden i ten sam problem nie do rozwiązania: żaden z agentów nie znał greckiego, było więc tak, jakby cała jej chlubna przeszłość nie istniała. Na szczęście, pół roku po przybyciu miała okazję zostać przesłuchana przez dyrektora szacownej Metropolitan Opera. Po tym jak odśpiewała *Casta Diva*, Edward Johnson zaproponował tej dwudziestodwuletniej, nieznannej sobie dziewczynie główne role w operach *Madame Butterfly* i *Fidelio*. Ku jego zaskoczeniu Maria Callas zdecydowanie odmówiła. Pragnęła zatriumfować w tej świątyni śpiewu, ale bała się kompromitacji. Nie chciała ryzykować wykonywania partii w *Fidelio* po angielsku ani wcielić się w filigranową Japonkę, będąc tęgą kobietą, ważącą wówczas dziewięćdziesiąt kilo.

Przyjaciołom, którzy na wieść o jej odmowie występów w Metropolitan Opera podnieśli lament, dumna śpiewaczka odparła: „Głupcy, pewnego dnia Met przyjdzie błagać mnie na kolanach, żebym zaśpiewała”. Poczucie wartości wzmocniło się u Marii po pierwszych sukcesach w Grecji, tak że kiedy dyrektor opery w San Francisco, wysłuchawszy jej, zaproponował, by wyjechała doksztalcić się we Włoszech, po czym on podpisze z nią kontrakt, odpowiedziała: „Dziękuję, ale kiedy zrobię karierę we Włoszech, nie będę już pana do niczego potrzebować”. Była przekonana, że podjęła słuszną decyzję – i czas przyzna jej rację – niemniej w tym momencie zamknęła przed sobą drzwi dwóch najważniejszych scen operowych w Ameryce.

Na krótko przed Bożym Narodzeniem 1946 roku do Nowego Jorku przybyła Evangelia, a czekali na nią Maria i mąż Georges. W próżnej nadziei pogodzenia ze sobą rodziców śpiewaczka kupiła matce bilet, żeby ta mogła do nich dołączyć. Jednakże spotkanie małżonków nie wyglądało tak, jak Maria sobie wyobrażała.

Evangelia na wieść o tym, że mąż żyje w związku z dawną kochanką Alexandrą, wpadła we wściekłość. Od tej chwili życie rodzinne stało się prawdziwym piekłem. Maria, która w swojej naiwności usiłowała uratować małżeństwo rodziców, znalazła się znów pod kontrolą zaborczej matki, pośród nieustających kłótni.

Na szczęście, w tym czasie poznała sławnego tenora włoskiego Giovanniego Zenatello, dyrektora artystycznego festiwalu w Weronie, który szukał w Nowym Jorku sopranu do nowego wystawienia *Giocondy*. Dzięki pośrednictwu przyjaciela, śpiewaka Nicoli Rossi-Lemeni, została przesłuchana przez Zenatella w jego apartamencie. Doświadczony tenor był urzeczony głosem Callas. Nie czekając, aż ta skończy partię, postanowił podpisać z nią kontrakt, przekonany, że jest ona śpiewaczką, której szukał. Przed Marią otworzyła się szansa zadebiutowania we Włoszech w wielkiej roli i oddalenia się od rodziców, których wzajemne relacje stawały się coraz bardziej napięte.

Kariera Marii we Włoszech rozpoczęła się pod dobrą gwiazdą. Śpiewaczka przybyła tam 27 czerwca, z nadzieją, że odniesie sukces na prestiżowym festiwalu w Weronie. W wieku zaledwie dwudziestu trzech lat miała wystąpić w amfiteatrze przed publicznością zgromadzoną w liczbie dwudziestu pięciu tysięcy, śpiewając pod batutą Tulia Serafina, dawnego dyrygenta Metropolitan Opera, uważanego za „wielkiego mistrza dyrygowania operą”. Pożegnawszy się z rodzicami, wyruszyła do Włoch, kraju, w którym chciała widzieć ją występującą Elvira Hidalgo, jej nauczycielka i mentorka. Po przyjeździe niezwłocznie rozpoczęła próby z maestrem Serafinem, który natychmiast rozpoznał w dziewczynie niebywały talent i zaoferował jej wszelką możliwą pomoc.

Pewnego wieczoru Maria, zaproszona na kolację, poznała mężczyznę, który miał się stać jej mężem i agentem artystycznym, Giovanniego Battistę Meneghiniego. Wielu nie mogło zrozumieć, co śpiewaczka widziała w mężczyźnie tego typu: łysym, otyłym, niemłodym, którego wszyscy brali za jej ojca. Ów zamożny przemysłowiec włoski, zajmujący się branżą budowlaną, kawaler, trzydzieści lat starszy od Marii, należał do starej burżuazji Werony. Będąc wielkim miłośnikiem śpiewu operowego, znany był w mieście jako mentor i opiekun początkujących śpiewaczek i jeden z mecenasów festiwalu Arena di Verona. Od pierwszej chwili zwrócił uwagę Marii: „Wydał mi się człowiekiem uczciwym i szczerym, natychmiast poczułam do niego sympatię”, mówiła potem.

Następnego dnia Battista zaprosił Marię na wycieczkę do pobliskiej Wenecji. Można sądzić, że oboje przypadli sobie nawzajem do gustu, choć w tamtym czasie Maria, ze względu na nadwagę, nie była zbyt atrakcyjna fizycznie. W budzącej wiele kontrowersji autobiografii zatytułowanej *Maria Callas mia moglie* [Moja żona Maria Callas] Meneghini w tych słowach wspominał ich pierwsze spotkanie: „Było mi jej żal. Miała zdeformowane stopy i kostki tak spuchnięte, że wyglądały jak łydki. Poruszała się niezgrabnie i ociężale”. Ją pociągały nienaganne maniery

i dobre wychowanie gospodarza. Od samego początku czuła się przy Battiscie – być może z racji jego wieku – spokojna i bezpieczna. Pierwszy raz w życiu jakiś mężczyzna odnosił się do niej z taką atencją i podziwem. Od owej romantycznej wycieczki do Wenecji Włoch stał się jej nieodłącznym towarzyszem. W ciągu lata 1947 roku więź między obojgiem zacieśniała się i to, co rozpoczęło się jako bliska przyjaźń, stało się ukrywanym romanssem.

Wyczekiwany przez Marię debiut włoski nie przyniósł spodziewanego sukcesu. Kilka dni przed premierą *Giocondy*, na próbie generalnej, śpiewaczka miała wypadek. Jako że była krótkowidzem, a w czasie przedstawienia nie mogła nosić okularów, nauczyła się na pamięć wszystkich ruchów na scenie. Pod koniec drugiego aktu potknęła się i skręciła kostkę. Obecna na próbie publiczność nie zwróciła uwagi na fatalny upadek sopranistki, która wykorzystała incydent, by kreowanej postaci nadać jeszcze większy dramatyzm. W dniu premiery Maria zachowywała się spokojnie i grała, jakby nic złego się jej nie przytrafiło. Kostkę miała zabandażowaną i odczuwała przejmujący ból. Mimo pozytywnych recenzji występ nie przyniósł jej upragnionego międzynarodowego uznania.

W wieku dwudziestu czterech lat zakochała się w człowieku, którego wybrała „jako ojca i towarzysza”. W listach do matki i do siostry Jackie opisywała swego nowego partnera, podkreślając, z jakim szacunkiem jest przez niego traktowana. Osiemnastego sierpnia dała w Weronie ostatni występ, lecz zaczęła zastanawiać się, czy wracać do Nowego Jorku. Nie podpisała żadnego kontraktu i miała zaledwie dwieście czterdzieści dolarów w kieszeni – honorarium za cztery spektakle festiwalowe. Myśl o tym, że ma znowu znaleźć się między rodzicami, nie wydawała jej się pociągająca. Wówczas właśnie Battista zaproponował, że będzie jej opiekunem i sfinansuje wszystkie wydatki ponoszone przez nią we Włoszech. Choć najbliżsi radzili Marii, by nie powierzała kariery artystycznej człowiekowi, który nie jest impresariem z branży, ona sama cieszyła się na myśl, że ukochany zajmie się jej sprawami zawodowymi.

W połowie października 1947 roku para opuściła Weronę, by osiąść w Mediolanie. Przemysłowiec, nazywany przez Marię pieszczotliwie Titta, czuł presję starej matki, która przeciwstawiała się jego związkowi z „kobietą z teatru”, zbyt dla niego młodą, i wyrzucała mu, że wiążąc się z artystką, zaniedbuje interes rodzinny – podstawę utrzymania dla niej i rodzeństwa. Meneghini zajął się jednak karierą Marii od pierwszego dnia, kiedy usłyszał ją śpiewającą, poświęcając swój czas i pieniądze, by zapewnić jej najlepszych profesorów i ważne przesłuchania. Dzięki pomocy maestra Serafina młoda sopranistka podpisała kontrakt na wykonywanie głównej roli w wielkim dramacie muzycznym *Tristan i Izolda* Ryszarda Wagnera w sławnej La Fenice w Wenecji. Po dość dramatycznym występie w Weronie Callas miała odnieść pierwszy wielki sukces we Włoszech, wykonując partię Izoldy, jedną z najtrudniejszych w belcanto.

W następnym roku niezrównany głos i rejestr pozwoliły jej w różnych miastach Włoch śpiewać w największych operach, stawiających wykonawcom wyjątkowe wymagania. Nie tylko potrafiła opanować rolę w błyskawicznym tempie, ale znana była z tego, że podejmowała wszystkie gatunki i brała na warsztat partie z racji trudności od dawna niewykonywane. W listopadzie wystąpiła we Florencji w *Normie* Belliniego, roli, która miała ją określić na zawsze. Nikt tak jak ona nie potrafił ukazać tej niezwykle bogatej postaci i zaśpiewać tej roli – stawiającej wykonawcy tak wysokie wymagania głosowe – z równym dramatyзмом i godnością. Partie Normy – wykonywana osiemdziesiąt razy – będzie się dla Marii wiązała z najmiłszymi wspomnieniami w całej karierze.

W tej epoce wielkich stresów Maria przechodziła od euforii do smutku – i stale tyła. Czuła się nieszczęśliwa, gdyż Battista nie zaproponował jej małżeństwa, a jeśli chodzi o sprawy zawodowe, bolało ją, że wciąż nie została zaproszona przez La Scalę czy Covent Garden. Recenzje były jednak coraz bardziej pochlebne i jej sława rosła. Dopiero w lipcu 1948 roku Maria zorientowała się, że rodzina Meneghini jest wobec niej absolutnie źle nastawiona. Krewni Battisty zarzucali jej, że całkowicie nim zawładnęła, że z jej powodu zaniedbuje on rodzinny interes, i bez wahania oskarżali ją o to, że przyjechała do Werony, by złowić bogatego mężczyznę ustosunkowanego w sferach artystycznych. Z drugiej strony, Evangelia, nieznająca jeszcze Battisty, również patrzyła niechętnie na ewentualne małżeństwo córki z mężczyzną, który „wyglądał na jej ojca”.

Pod koniec marca 1949 roku Maria wróciła do Werony, by spędzić kilka dni z Battistą przed podróżą do Buenos Aires, gdzie miała rozpocząć zorganizowane przez niego tournée. W owym roku wielkich planów miała, ku swojemu żalowi, po raz pierwszy rozstać się z narzeczoną. Wtedy to właśnie Battista Meneghini nieoczekiwanie zaproponował jej małżeństwo, na co od razu wyraziła zgodę. Dwudziestego pierwszego kwietnia 1949 roku została jego żoną, choć ślub nie był tak romantyczny, jak sobie wyobrażała. Nie była katoliczką – czuła się bardzo związana z greckim Kościołem prawosławnym – a kapłan udzielił im ślubu w starej zakrystii służącej za magazyn. Miejscem uroczystości był mały kościółek w Weronie; uczestniczyło w niej jedynie dwoje świadków. Mąż Marii pisał we wspomnieniach, że ślub odbył się w pośpiechu, „wśród połamanych krzeseł, rzeźb pozbawionych głów, zakurzonych całunów pogrzebowych, baldachimów i starych chorągwi”. Miodowy miesiąc musiał zostać odłożony do czasu powrotu śpiewaczki z argentyńskiego tournée. Meneghini miał jej oczekiwać w Weronie, zajęty tymczasem szukaniem i urządzaniem mieszkania.

Dwudziestego maja Maria Callas wystąpiła po raz pierwszy w Teatro Colón w Buenos Aires, na scenie, na której w ciągu dziejów gościli najwięksi artyści operowi. Publiczność argentyńska z ogromnym aplauzem przyjęła jej niezrównany występ w *Turandot*, krytyka zaś uznała ją niemal za boginię. Mimo wielkich

sukcesów odnoszonych w Argentynie Maria czuła się jednak samotna i tęskniła za mężem. Wreszcie 9 lipca wróciła do niego do Werony i mogła zobaczyć swoje pierwsze stałe lokum, jasne, eleganckie mieszkanie na poddaszu w centrum miasta. Nie miała jednak zbyt wiele czasu, by nacieszyć się nowym gniazdkiem, gdyż po powrocie z Argentyny zaczęły się pojawiać jeden za drugim nowe kontrakty i jej domem stały się kolejne hotelowe pokoje. Była teraz jedną z najbardziej obiecujących śpiewaczek operowych świata i w 1950 roku *Normą* otworzyła sezon w Wenecji.

Po wyczerpującym tournée w Meksyku, gdzie przyjmowano ją jak gwiazdę, wróciła do Włoch. Podczas tournée zaprosiła matkę do spędzenia z nią kilku dni w stolicy kraju. Evangelia przybyła z Nowego Jorku, gdzie wciąż mieszkała, i została powitana z taką pompą, jakby sama była gwiazdą. Maria, zdobywająca powoli szczyty popularności, chciała pokazać matce, że bez jej pomocy zdołała odnieść sukces i samodzielnie ułożyć sobie życie. Znalazłszy się na powrót w Weronie, postanowiła odpocząć trzy miesiące u boku męża, który nie mógł jej towarzyszyć w Meksyku z powodu licznych zajęć związanych z interesami. W tych dniach relaksu i skromnego życia towarzyskiego pracowała nad główną rolą w operze komicznej *Turek w Italii* Rossiniego, zaproponowanej jej na prośbę reżysera Luchina Viscontiego.

Maria Callas była „zwierzęciem scenicznym”, lecz Visconti nauczył ją osiągać legendarną doskonałość teatralną poprzez zanurzenie się bez reszty w duszy przedstawianej postaci. Wielki reżyser włoski od dawna marzył o wystawieniu na scenie opery. Pierwszy raz widział Marię śpiewającą w Operze Rzymskiej w 1949 roku w *Parsifalu*. Wywarła na nim takie wrażenie, że oglądał odtąd wszystkie jej występy. Od tej chwili myślał tylko o współpracy z nią. Z kolei Maria podziwiała artystyczną wrażliwość reżysera, urodziwego i wykształconego arystokraty, którego odwiedzała w jego letnim pałacyku. Ona i Visconti spotkali się cztery lata później w La Scali, przy okazji dwóch przedstawień, które miały przejść do historii: *Westalki* i *Traviaty*. Luchino, który uważał Marię za „wyjątkową i nadzwyczajną aktorkę dramatyczną”, zabezpieczył ją na scenie jak nikt dotąd. Niewiele osób wiedziało wówczas, że śpiewaczka, z powodu krótkowzroczności, bez grubych okularów porusza się po scenie w zasadzie jak niewidoma. Uczyła się zawsze na pamięć, gdzie stawiać kroki, i w jej ruchach widać było niezdecydowanie. Visconti zdołał zapewnić jej takie poczucie bezpieczeństwa, że nikt nie zauważał podczas występów owego defektu, cechującego jej grę przez całe życie.

Pod koniec roku 1950 Maria czuła się wyczerpana i musiała odwołać kilka przedstawień w Neapolu i Rzymie. Małżonkowie Meneghini przeprowadzili się i mieszkali teraz w Mediolanie, w eleganckim mieszkaniu przy via Buonarroti, ze względu na bardzo bogaty wystrój zwanym pałacykiem królowej La Scali. Maria

znajdowała się w miłym momencie życia, kiedy zaczyna się odcinać kupony od sukcesu, jednak ością w gardle stała jej relacja z matką. Evangelia postanowiła wrócić do Grecji, do córki Jackie, pozostawiając za sobą małżeństwo, które od dawna wydawało się fikcją. Obrażona na męża, ale również na Marię, napisała do córki szereg przykrych listów, pełnych wyrzutów i oskarżeń, które bardzo ją dotknęły.

W 1951 roku z całkowicie odnowionymi siłami Maria, po podpisaniu bajkowego kontraktu, urzeczywistniła swoje marzenie o występach w La Scali, i to w pierwszoplanowej roli. Dyrektor wielkiego teatru, jej zapiekły wróg Ghiringhelli, nie miał innego wyjścia, jak ukorzyć się przed nią i potraktować ją jako tę, którą była: największą i najwybitniejszą śpiewaczkę operową świata. Za tą propozycją poszła inna, z Covent Garden w Londynie, gdzie na skutek niedbałości męża omal nie straciła szansy wystąpienia w *Normie*. Przyjęcie w obu teatrach nie mogło być lepsze. Publiczność została całkowicie zawojowana, krytycy zaś podkreślali wspaniałe warunki głosowe i talent dramatyczny artystki. W wieku dwudziestu ośmiu lat Maria Callas osiągnęła swój cel: występowała w wielkich produkcjach, pod kierunkiem najlepszych dyrygentów muzycznych i reżyserów na świecie, wśród nich Leonarda Bernsteina, Herberta von Karajana, Viscontiego i Zeffirellego. Przybyła do Włoch w 1947 roku, z niewielką sumą pieniędzy, jako prawie zupełnie nieznaną artystką. Cztery lata później dostawała niemal trzydzieści tysięcy dolarów – w przeliczeniu na obecną wartość – za występ i uważana była za największą śpiewaczkę świata.

Znajdowała się u szczytu kariery zawodowej, lecz nie zdawała sobie sprawy, że małżonek i agent kontroluje całkowicie jej drogę zawodową, tak jak kiedyś czyniła to matka. Nie konsultując się z nią, Meneghini odrzucał wedle własnego uznania wspaniałe propozycje i żądał za występy niezwykle wysokich honorariów. Pazerność Meneghiniego – który ogólnie nie cieszył się sympatią – przyniosła Marii szkody w jej dalszym życiu zawodowym. Jednak musiało jeszcze minąć kilka lat, nim zakochana i ufna uświadomiła sobie, co tkwiło w tym nieodłącznie jej towarzyszącym, „dobrze ułożonym i opiekuńczym” człowieku.

W roku 1953 tęga sopranistka przeszła przeobrażenie, które stało się częścią jej legendy. Wielka diwa, na którą teraz patrzył cały świat, jako gwiazda opery zaczęła troszczyć się o swój wygląd i postanowiła schudnąć. Trapiące ją migreny, nudności, stany wyczerpania spowodowane były nadwagą. W ciągu kolejnych miesięcy, tracąc kilogramy, odnosiła kolejne sukcesy w mediolańskiej La Scali oraz w Covent Garden, gdzie wystąpiła w *Normie*, *Trubadurze* i *Aidzie*, ożywiając zainteresowanie operą wśród publiczności angielskiej. Niektórzy biografowie twierdzą, że Maria poddała się drakońskiej diecie, żeby przypominać Audrey Hepburn. Podobno Visconti, którego rad Maria chętnie słuchała, odwiedził ją kiedyś w domu. Gwiazda obejrzała właśnie *Rzymskie wakacje* i znalazła w uroczej,

obdarzonej własnym stylem bohaterce wzór do naśladowania.

– Luchino, czy gdybym miała ciało Audrey Hepburn, byłabym piękna? – spytała.

– Byłabyś zbyt szczupła.

– Ale... czy byłabym atrakcyjna?

– Byłabyś Traviatą bardziej autentyczną; nie zapominaj, że zmarła wycieńczona – odpowiedział reżyser.

Maria wzięła sobie do serca słowa Viscontiego i w ciągu zaledwie dwóch lat schudła trzydzieści pięć kilo. Na zdjęciach zrobionych podczas sesji fotograficznej przeprowadzonej w 1959 roku w Nowym Jorku dla wydawnictwa płytowego widzimy ją w wyszukanych pozach, naśladujących styl podziwianej Audrey Hepburn z filmu *Śniadanie u Tiffany'ego*. W tym czasie jadła niemal wyłącznie sałatki i na pół surowe mięso, prowadząc intensywną działalność artystyczną. Ścisła dieta i wyteżony rytm pracy wywoływały u niej rozdrażnienie i stan ogólnego niezadowolenia. W niespełna rok straciła około dwudziestu ośmiu kilogramów i na scenie poruszała się lekko, bez dawnej ociężałości. Niektórzy biografowie, w tym Meneghini, twierdzą, że prawdziwym powodem przeobrażenia diwy był żyjący w jelitach pasożyt – soliter – którym śpiewaczka mogła się zarazić poprzez pokarm. Ona sama nigdy publicznie nie przyznała się do przebycia tej choroby, a nagłą zmianę wyglądu przypisywała cudownej diecie oraz narzuconej sobie żelaznej dyscyplinie.

W październiku 1954 roku Maria, mająca za sobą wiosnę i lato niemal całkowicie wypełnione nagraniami swoich najslynniejszych oper, wystąpiła po raz pierwszy w Stanach Zjednoczonych. Gdy przybyła, by pojawić się na scenie Chicago Lyric, dziennikarze wyrażali zdumienie na widok zmienionej nie do poznania gwiazdy. „Nowa” Callas była kobietą promienną, szczupłą, noszącą z szykiem eleganckie suknie szyte u Diora, Givenchy'ego czy Balmaina. Stała się piękną o egzotycznych rysach, obdarzoną wielką siłą przyciągania i wyraźną osobowością. Chętnie przefarbowywała włosy i zmieniała fryzury. Nie wstydziła się już pokazywania nóg i spuchniętych kostek – na które nie pomogła żadna dieta. Nosila szpilki, czyniące ją jeszcze wyższą, i pojawiała się na przyjęciach w olśniewających wieczorowych kreacjach, obwieszona biżuterią ze szmaragdami i brylantami. Na zachowanych z tamtych lat fotografiach przypomina wyglądem gwiazdę filmową. To, że na scenie i poza nią przywodziła na myśl gwiazdę, zawdzięczała madame Biki, wnuczce Pucciniego, jednej z największych projektantek mody w Mediolanie. To właśnie ona, a także jej współpracownik Alain Reynaud zajęli się wizerunkiem śpiewaczki, przeobrażając ją w obdarzoną własnym stylem i atrakcyjną gwiazdę, która miała uwieść cały świat.

Wielu uważało ją już za prawdziwą diwę, co pochlebiało jej szczególnie, uważała bowiem, że diwa, „poza tym, że śpiewa i występuje, musi być boginią

w życiu codziennym”. Dzięki nowemu wyglądowi mogła nadać większą wiarygodność przedstawianym przez siebie bohaterkom, a w drugim akcie opery *Alcesta*, w La Scali, trzech mężczyzn podnosiło ją wysoko – rzecz nie do pomyślenia, gdy ważyła sto kilogramów. Jej głębokie, czarne bizantyjskie oczy, wyraźnie zarysowane brwi, wydatne wargi i orli nos uwidaczniały się teraz mocno na emanującej zdecydowaniem, nieco kanciastej twarzy. Podczas występów w Chicago zaśpiewała *Normę* i odniosła oszałamiający sukces. Dziennikarze nękali ją bez ustanku, a artystka znajdowała czas, by udzielać wywiadów i pozować do zdjęć w najlepszych czasopismach amerykańskich, demonstrując z dumą nową figurę. Była najpopularniejszą i najlepiej opłacaną śpiewaczką operową tych czasów.

Jesienią 1956 roku przybyła do Nowego Jorku, pragnąc zatriumfować w Metropolitan Opera. Teatr otwierał sezon występem „największego sopranu dramatycznego na świecie”. Jedenaście lat po tym, jak artystka odmówiła podpisania kontraktu z tą mityczną sceną, jej dyrektor Rudolf Bing – który przez kilka lat nie mógł się zdecydować, zniechęcony warunkami finansowymi stawianymi przez męża Marii – dogadał się z Meneghinim. Oczekiwany nowojorski debiut Marii odbył się 29 października 1959 roku i od początku towarzyszyła mu aura polemik. Dwa dni przed spektaklem *Normy* „Time” opublikował reportaż, który sprawił diwie wielką przykrość. W zamieszczonym tam wywiadzie Evangelia ukazywała siebie jako ofiarę wielkiej gwiazdy, Marię zaś jako kobietę zżeraną ambicją i pozbawioną skrupułów, która nie przejawia chęci pomagania rodzinie. Kłamstwa i pomówienia kierowane pod adresem córki zagroziły debiutowi. Maria zdołała jednak pozyskać przychylność zarówno publiczności, jak i krytyki. Po pierwszym przedstawieniu wychodziła na scenę szesnaście razy.

Osiągając szczyty kariery, musiała ciągle znosić napaści konfliktowej matki – której nigdy nie przestała wysyłać miesięcznej renty – a jednocześnie jej związek z Meneghinim również budził wiele zastrzeżeń. Do braku namiętności, związanej także z różnicą wieku – on miał lat sześćdziesiąt, ona zaś zaledwie trzydzieści – dodać trzeba niechęć i pogardę, jaką żywił względem niego świat artystyczny. W rzeczywistości Maria bardzo się zmieniła, i to nie tylko fizycznie. O ile wcześniej okazywała nieśmiałość w relacjach międzyludzkich, o tyle teraz, wraz z nowym wyglądem, nabrała wielkiej pewności siebie. Będąc u szczytu sławy, marzyła o tym, by znaleźć się wśród ludzi z międzynarodowej śmietanki towarzyskiej, a jej mąż nie bardzo mógł ją w tym awansie wspierać. Meneghini, który u boku wspaniałej małżonki prezentował się jako człowiek pospolity i nieciekawy – nazywany był „prowincjonalnym prostakiem” – przebywając wśród wyższych sfer, nudził się i nie interesowało go życie towarzyskie.

Do świata elit wprowadziła Marię sławna kronikarka towarzyska Elsa

Maxwell, z początku bezlitośnie ją krytykująca. Siedemdziesięcioczeroletnia Elsa była znaną – i budzącą postrach – dziennikarką, która na swojej stronie poświęconej plotkom z wyższych sfer jednym wynosiła pod niebiosa, na innych zaś nie zostawiała suchej nitki. W tamtym czasie była dobrą przyjaciółką i admiratorką Renaty Tebaldi, odwiecznej rywalki Marii Callas, dlatego w swoich tekstach zawzięcie krytykowała wszystkie występy greckiej sopranistki. Podczas dziewięciu tygodni spędzonych w Nowym Jorku Maria brała udział w licznych przyjęciach na swoją cześć, błyszcząc na nich niezrównanym światłem. Starła się zachować kamienną twarz, ignorując zatrute strzały posyłane jej przez dziennikarkę, do momentu kiedy się poznały na przyjęciu w hotelu Waldorf-Astoria. Po kilku wymienionych zdaniach Elsa musiała uznać, że gwiazda – La Divina, jak nazywała Marię prasa – obdarzona jest niezwykłym urokiem, i wkrótce stała się jej przyjaciółką i mentorką.

W owym roku 1957 Maria Callas była nie tylko najśłynniejszą śpiewaczką operową świata, lecz także nieodłącznym członkiem *high society*. Latem Elsa Maxwell postanowiła zorganizować na jej cześć bal maskowy w hotelu Danieli w Wenecji. By wziąć udział w imprezie przyjaciółki, Maria odwołała przedstawienie w Edynburgu, wywołując wielki skandal. Podczas balu, na którym każdy ze stu pięćdziesięciu zaproszonych gości miał nosić na głowie jakąś charakterystyczną maskę, Maria poznała multimilionera Aristotelisa Onasisa. Zjawiała się na balu ubrana w dopasowany czarny trykot, przepasana białą szarfą, w fałdzystej spódnicy w grochy, z tego samego materiału. Na rękach miała długie czarne rękawiczki, a na szyi wspaniały naszyjnik ze szmaragdów w kształcie łez. Magnat przybył na bal ze swoją piękną żoną Tiną Livanos, przystrojoną w pióropusz z białych piór ponadpółmetrowej długości.

Podczas tego wieczoru w hotelu Danieli, 3 września 1957 roku, Elsa Maxwell – znana również jako swatka z wyższych sfer – przedstawiła sobie „dwoje najśłynniejszych na świecie Greków”, przekonana, że wiele ich łączy. Maria, w rozkwicie swoich trzydziestu trzech lat, i Onasis, dwadzieścia lat starszy, rozmawiali z ożywieniem po grecku i, według relacji świadków, od pierwszej chwili przypadli sobie do gustu. Nad ranem armator zaprosił małżonków Meneghini na śniadanie na swój bajkowy jacht Christina, zacumowany u ujścia Canal Grande. Ari – jak go nazywali przyjaciele – oddał Marii do dyspozycji na resztę jej pobytu w Wenecji swoją łódź motorową i dwóch członków załogi. Multimilioner i diwa mieli się spotkać rok później i życie obojga miało przyjąć wówczas nieoczekiwany obrót.

Romans stulecia

Aristotelis Onasis, kiedy poznała go Maria Callas, uznawany był za jednego z najbogatszych i najpotężniejszych ludzi na świecie. Niewysoki, o ciemnej karnacji i niezbyt atrakcyjny fizycznie – wyglądem przypominający filmowego gangstera – lubił wygodne życie i piękne kobiety, które przyciągała jego ogromna fortuna. Prawie zawsze ubrany na czarno, szpakowaty, w ciemnych okularach w grubej oprawie, z cygarem w zębach, odznaczał się wielkim magnetyzmem, zdobywając kobiety, dla których stanowił typ „szpetnego uwodziciela”. Mógł się szczycić tym, że poślubił dwie najpiękniejsze i najślawniejsze kobiety swej epoki: Tinę Livanos oraz wdowę Jackie Kennedy. Maria Callas była jedyną miłością Onasisa, ale nie została jego żoną. Admiratorzy wielkiej diwy zawsze wyrzucali mu, że złamał jej serce, przyspieszając kres jej niezwykłej kariery.

Onasis był człowiekiem stworzonym do walki, do zwycięstw, kimś, dla kogo nie istnieje słowo klęska. Urodził się w tureckiej Smyrnie, w rodzinie bogatego kupca greckiego, który zbił wielki majątek na handlu tytoniem i skórą. W roku 1923, mając zaledwie siedemnaście lat i sto dolarów w kieszeni, wyemigrował do Buenos Aires, by tam się dorobić. Po trudnych początkach, kiedy to pracował jako telefonista, stał się milionerem dzięki rodzinnemu interesowi związanemu z importem tureckiego tytoniu. W wieku dwudziestu pięciu lat zarobił swój pierwszy milion dolarów, za który nabył sześć statków towarowych. W roku 1932 był już ważnym armatorem i zamożnym biznesmenem prowadzącym interesy na skalę międzynarodową – zawsze na granicy legalności. W późniejszych latach założył własne towarzystwo lotnicze, Olympic Airways – pierwszą linię lotniczą pod banderą grecką, i stał się głównym akcjonariuszem Société de Bains de Mer, spółki kontrolującej niemal całe Monte Carlo.

W 1946 roku Onasis wziął w Nowym Jorku ślub z Athiną – „Tiną” – Livanos, młodszą córką wielkiego patriarchy greckich armatorów Stavrosa Livanosa. Tina była piękną, radosną nastolatką o blond włosach, która zakochała się bez pamięci w czterdziestodwuletnim wówczas, uwodzicielskim Onasisie. Mimo że była niepełnoletnia, Stavros musiał się zgodzić na to małżeństwo. Jego druga córka, Eugenia Livanos, wyszła rok później za Niarchosa, armatora multimilionera, odwiecznego rywala Onasisa. Dla Aristotelisa małżeństwo nie miało nic wspólnego z miłością; było kwestią interesów i dawało szansę awansu społecznego. Związek z Tiną pozwolił mu dołączyć do elitarnego grona wielkich greckich armatorów.

Kiedy skrzyżowały się drogi Marii Callas i Aristotelisa Onasisa, armator – mający opinię nieustępliwego kupca i złą sławę uwodziciela – był już po jedenastu latach małżeństwa z Tiną i ich związek wszedł w fazę schyłkową. Po pierwszych szczęśliwych latach, kiedy bywali razem na przyjęciach, podróżowali po świecie prywatnym samolotem i zatrzymywali się w należących do nich luksusowych posiadłościach, Onasis zaczął zdradzać żonę, która, odkrywszy to, odpłacała mu

pięknym za nadobne. Latem 1956 roku Tina nawiązała romans z przystojnym Wenezuelczykiem Reinaldem Herrera – obecnie mężem projektantki Caroliny Herrery – pochodzącym z rodziny latynoskich posiadaczy ziemskich. Choć na początku wydawało się, że związek Tiny Livanos z dwudziestodwuletnim Herrera nie mógł być niczym więcej niż przelotnym romanssem, w rzeczywistości oboje byli bardzo zakochani. Aristotelis Onasis nie chciał dać żonie rozwodu, tak więc romansowała ona z Herrera po kryjomu.

W takiej sytuacji osobistej znajdował się Onasis, kiedy brał z Tiną udział w balu weneckim organizowanym przez Elbę Maxwell. W późniejszym okresie, jako urodzony gawędziarz, miał nieraz opowiadać Marii podczas ich wspólnych rejsów niektóre rozdziały swego powieściowego życiorysu. Diwa, która podobnie jak on odniosła w życiu sukces, bardzo dobrze go rozumiała. Oboje mieli trudne, samotne dzieciństwo, poznali niedostatek i grozę wojny. Obojgu udało się pokonać przeciwności i zejść wysoko, choć wiele ich to kosztowało. W wieku pięciu lat Aristotelis stracił matkę i dorastał pod opieką babki. Od wczesnego dzieciństwa musiał troszczyć się o członków swojej licznej rodziny, złożonej z babki Getsemani oraz sióstr, w tym dwóch z drugiego małżeństwa ojca, który podczas inwazji tureckiej przebywał w obozie koncentracyjnym. Aristotelis, tak jak Maria, był rozbitkiem, który uratował się dzięki wielkiej determinacji i woli przeżycia.

Onasis i Callas nie widzieli się przeszło rok. W tym czasie w karierze wielkiej diwy zaznaczyły się pewne niepowodzenia. W styczniu 1958 roku musiała występować w *Normie*, mimo że nie była w najlepszej formie głosowej. Nie mogła wyjść na scenę w drugim akcie i wycofała się, by wrócić do hotelu, pośród buczenia publiczności. Było to dla niej ciężkie doświadczenie – pierwszy raz w życiu nie dokończyła spektaklu i publiczność ją odrzuciła. Po tym przykrym epizodzie wystąpiła w Chicago oraz w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, gdzie kolejny raz wywołała ogromny aplauz dwiema popisowymi operami, *Tosca* i *Traviatą*.

Po powrocie do Włoch znów znalazła się w przykrych sytuacji. Publiczność mediolańska, do tej pory okazująca jej uwielbienie, po skandalu w Rzymie wydawała się nastawiona nieprzychylnie. Kiedy w kwietniu Maria śpiewała w *Annie Boleyn* w La Scali, mimo że wykonała swoją partię znakomicie, znów stanęła w obliczu niechęci publiczności. Ona, dotychczas „królowa” La Scali, zaczęła być atakowana i obrażana, na scenie i poza nią, przez tych, którzy dotychczas ją wielbili. Małżonkowie Meneghini postanowili, że dopóki nastroje się nie uspokoją, będą mieszkać nie w Mediolanie, lecz w nabytej właśnie willi w Sirmione, nad jeziorem Garda. W nowym domu Maria przygotowywała się z niepokojem do kolejnego przedstawienia w La Scali, w maju. Mimo sukcesu, jakim był dla niej występ w *Piracie* Belliniego, i mimo że była oklaskiwana przez ponad pół godziny, postanowiła, że będzie to jej ostatni spektakl na wielkiej

mediolańskiej scenie. „Kiedy wrogowie przestaną mnie wygwizdywać – oświadczyła kiedyś – będzie to znaczyło, że poniosłam klęskę”. Teraz wiedziała, że koniec jest niedaleki.

Dziewiętnastego grudnia 1958 roku, kilka dni po trzydziestych piątym urodzinach, wystąpiła w Paryżu w koncercie operowym na rzecz Legii Honorowej. Było to wielkie wydarzenie towarzyskie w stolicy Francji i bilety osiągnęły najwyższe ceny w historii teatru. Na spektaklu zjawił się cały Paryż; wśród widzów znajdował się książę Windsoru, książę Ali Khan, byli także państwo Onasis. Gaża Marii wynosiła pięć milionów franków, co stanowiło najwyższe honorarium w dziejach opery. Uroczysty występ, jak relacjonowali goście, należał do najwspanialszych, jakie widziała stolica Francji po wojnie. Niektórzy biografowie Callas zapewniają, że właśnie sukces tego wieczoru zmotywował Onasisa, by ją zdobyć.

Armator zaczął emablować primadonnę tego samego wieczoru, kiedy Paryż schylił czoło w podziwie dla jej niezaprzecznego talentu. Posłał adorowanej przez siebie rodaczce trzy ogromne bukiety róż, jeden rano, drugi w porze obiadowej, trzeci na krótko przed spektaklem. Począwszy od tej chwili, magnat obdarowywał ją takimi bukietami przed każdym jej występem. Na jednej z karteczek życzył jej powodzenia po grecku, co śpiewaczka uznała za niesłychanie romantyczne. Nie widziała go od czasu weneckiego balu Elsy Maxwell, teraz zaś spotkali się z okazji koncertu, podczas którego sopranistka uwiodła multimilionera talentem aktorskim i wspaniałym głosem.

W czasie uroczystej kolacji po przedstawieniu jedną z pierwszych osób, jakie podeszły do stolika Marii, żeby jej pogratulować, był Onasis. Callas, ubrana na czerwono, w swoim ulubionym kolorze, w przepysznych brylantach od firmy Van Cleef & Arpels, musiała już wyczuwać, że armator pragnie zdobyć jej serce. Tymczasem jednak 21 kwietnia 1959 roku, Maria i Meneghini obchodzili u Maxima dziesiątą rocznicę ślubu. W tym momencie ich małżeństwo stanowiło zwykły konwencjonalny układ, niemniej wobec świata oboje okazywali sobie serdeczność.

Kilka miesięcy po triumfalnym koncercie paryskim Maria znów spotkała Onasisa w Wenecji, gdzie wzięła udział w kolejnym bajecznym balu zorganizowanym na jej cześć. Ona występowała pod rękę z mężem, Onasis zjawił się w towarzystwie Tiny, uważanej wówczas za jedną z najpiękniejszych kobiet socjety. Korzystając z okazji, multimilioner zaprosił Marię i jej męża na rejs jachtem Christina, który latem pływał wzdłuż wybrzeża greckiego i tureckiego. Maria odmówiła z żalem, jako że w czerwcu miała śpiewać w Covent Garden. Ari obiecał jej wówczas, że przyjedzie do Londynu, by jej posłuchać. Jeśli do tej pory Tina Onasis sądziła, że jej mąż – który chętnie uwodził sławne kobiety – usiłuje dorzucić do długiej listy swoich zdobyczy wielką diwę operową, to tego dnia

uświadomiła sobie, że Maria jest dla niego kimś ważnym. Wszyscy wiedzieli, że Onasis nienawidzi opery – „dla mnie brzmi to tak, jakby banda włoskich kucharzy wykrzykiwała do siebie przepisy na risotto” – tym razem jednak gotów był odkrywać uroki belcanto.

Występ Marii w Covent Garden stał się w Anglii wydarzeniem roku. Bilety zostały wyprzedane w ciągu trzech godzin od otwarcia kas. Spektakl był transmitowany przez telewizję dziewięciu krajów. Wśród sławnych widzów znajdowała się lady Churchill, księżna Kentu z córką, księżniczką Aleksandrą, lord Mountbatten, fotograf Cecil Beaton, a także aktorzy: Gary Cooper, Vivien Leigh i tancerka Margot Fonteyn. Onasis siedział na widowni obok żony i oglądał zafascynowany operę *Medea* w interpretacji Callas. Po spektaklu wydał w hotelu Dorchester wielkie przyjęcie na cześć śpiewaczki. Gdy w grę wchodziło zaimponowanie sławnej rodaczce, nie liczyły się dlań wydatki. W prezencie posłał jej do garderoby wspaniałe futro z szynszyli, kazał całą salę balową hotelu udekorować czerwonymi różami i zadbać o szampana dla wszystkich.

W pewnej chwili podczas owego niezapomnianego wieczoru w hotelu Dorchester podszedł do Marii i spytał, jakiej muzyki chciałyby posłuchać.

„Tanga”, odpowiedziała w euforii. Wówczas armator wetknął dyrygentowi węgierskiej orkiestry do ręki banknot pięćdziesięciofuntowy i poprosił, żeby przez całą noc nie grali niczego innego. O trzeciej nad ranem Maria pożegnała się z gośćmi, tłumacząc się zmęczeniem. Zdjęcie Marii Callas wychodzącej z hotelu w nowym futrze i obejmowanej z jednej strony przez męża, z drugiej przez Onasisa, miało obiecać cały świat. Stało się jasne, że armator gotów jest zdobyć ją za każdą możliwą cenę.

Zanim w życiu Marii pojawił się Onasis, wiele kłopotów przysparzał jej Meneghini. Chodziło między innymi o sposób, w jaki mąż prowadził jej interesy. Przypadkiem odkryła, że przelał niemal cały jej kapitał na rachunek bankowy w Weronie, do którego nie miała dostępu. Battista przyznał się, że umieścił pieniądze na koncie na swoje nazwisko, przekazując część rodzinie. Choć zapewniał, że honoraria Marii przeznaczył także na wydatki związane z reklamą, jak również zwrot dawnych pożyczek, śpiewaczka była oburzona. Znowu poczuła się wykorzystana, jak wtedy, kiedy była dziewczynką. Mogła oto stwierdzić, że nikt nie cenił jej dla niej samej, że wszystkich interesowały jedynie jej głos i możliwość zarobienia na niej. „Tylko moje psy są wobec mnie lojalne!” – wykrzyknęła kiedyś. Od tamtej chwili zarządziła, że jej honoraria nie będą wpływały na wspólne konto małżeńskie.

Ponieważ czuła się oszukana przez męża i chciała zastanowić się nad swoją przyszłością, przyjęła zaproszenie Aristotelisa na wspólny rejs po Morzu Śródziemnym. Myślała poważnie o wycofaniu się ze sceny, nie miała już bowiem takiego głosu jak dawniej i czuła się wyczerpana, zarówno fizycznie, jak

i psychicznie. Meneghini, widząc, że zagrożone jest źródło ich dochodów, odradzał żonie tę decyzję.

Jakiś czas przed przewidzianym początkiem rejsu Maria zamówiła u projektantki Biki garderobę odpowiednią na rejs Christiną. Chciała prezentować się dobrze wśród sławnych towarzyszy podróży, wśród nich Winstona Churchilla i jego żony, lady Clementyny. Na tydzień przed wypłynięciem wydała w Mediolanie miliony lirów na kostiumy kąpielowe, kostiumy plażowe, bieliznę. Gdy 22 lipca primadonna i jej nieodłączny małżonek przybyli wraz z ogromnymi bagażami do Monte Carlo, by wsiąść na luksusowy jacht, nikt nie przypuszczał, że ten rejs odmieni ich życie na zawsze.

Jacht Onasisa, na którym Maria miała spędzić najbliższe trzy tygodnie – nazwany Christina na cześć córki armatora – musiał olśnić każdego, kto dostał łaski zaproszenia. Był ogromny – liczył sto metrów długości i ważył sześćset ton – i komfortowo wyposażony, z przepychem, który zrobił wrażenie na samym królu egipskim Faruku, opisującym go jako „szczyt bogactwa”. Miał dziewięć luksusowych kajut – każda z osobną łazienką z połączanymi kranami – salon z cennymi antykami i obrazami. Wyposażony był w kino, bar ze stolkami obitymi skórą z wieloryba – jak się przechwalał Onasis – pokój fryzjerski i kryte jacuzzi na środkowym pokładzie. W obszernej sali gier można było podziwiać kominek z lapis-lazuli, dużą bibliotekę i wspinały fortepian. Właściciel jachtu nie skąpił pieniędzy i w środku kazał zbudować basen z podgrzewaną wodą, którego posadzka stanowiła kopię mozaiki z pałacu w Knossos na Krecie i który za jednym naciśnięciem guzika mógł się zmienić w parkiet taneczny.

Maria i jej mąż zainstalowali się w apartamencie honorowym, z którego niegdyś korzystała Greta Garbo, a który w późniejszych czasach miał być zajmowany przez Jackie Kennedy. Fantastyczny apartament złożony z czterech pomieszczeń, usytuowany na pokładzie z mostkiem, z należąca do niego łazienką w marmurze sieneńskim, Onasis zaproponował swojemu najbardziej szacownemu gościowi, dziewięćdziesięcioletniemu wówczas Winstonowi Churchillowi. Na jachcie pracowało czterdziestu dwóch członków załogi, w tym dwóch szefów kuchni – Grek i Francuz – stewardzi, pokojówki, masażyści, krawcowe oraz personel medyczny. Ari z radością zajął kajutę niedaleko Marii, której od jej przybycia nie przestawał adorować. Jachtem podróżowała, prócz żony Tiny, także dwójka jego dzieci – jedenastoletni Alexander i ośmioletnia Christina – a także Diana Sandys – córka Churchilla – oraz małżonkowie Montague Browne, przyjaciele Onasisa. Wkrótce po podniesieniu kotwicy wszyscy mieli oglądać pełną namiętności idyllę między diwą i armatorem. Trasa obejmowała najpiękniejsze miejsca na Morzu Śródziemnym; jacht zatrzymywał się na Capri, na wyspach greckich, w Smyrnie i Stambule.

Podczas gdy Meneghini, któremu podróż jachtem wyraźnie nie służyła, przez

pierwsze dni cierpiał na morską chorobę i niemal nie opuszczał kajuty, Maria wprost promieniała. Jak widać na zdjęciach zrobionych w czasie tego historycznego rejsu, nieoczekiwane wakacje przywróciły jej radość życia. Licząca trzydzieści sześć lat diwa pozwalała się emablować Aristowi – jak go nazywała – i choć z początku oboje usiłowali zachować dyskrecję i nie manifestować swoich uczuć, dla wszystkich widoczne było ich wzajemne zauroczenie. „Jakby pożerał ich oboje ogień”, napisał Meneghini we wspomnieniach. Podczas tych niezapomnianych trzech tygodni romantycznych kolacji na pokładzie, wizyt sławnych osobistości – w tym księcia Juana Carlosa i jego ojca hrabiego Barcelony – kąpiele w morzu, wycieczek do portowych wiosek i zakupów w portach, do których zawiąła Christina, Maria czuła się nareszcie kobietą wolną.

Romans operowej diwy z Onasisem zaczął się od długich nocy spędzanych na rozmowach na pokładzie jachtu. Żadne z nich nie mogło spać i kiedy pozostali uczestnicy rejsu szli na spoczynek, oni gawędzili do świtu, przez długie godziny pełne wspomnień i zwierzeń pod gwiazdami. W czasie jednej z takich rozmów Maria otworzyła przed Aristotelisem serce i opowiedziała mu o swoich kłopotach finansowych, za które winę ponosił jej mąż, a także o problemach z utrzymaniem formy głosowej i realizacją zwykłego, tak stresującego programu operowego. Onasis ojcowskim tonem poprosił Marię, by pozwoliła mu zająć się swoimi sprawami finansowymi, i przedstawił jej projekt stworzenia prywatnego towarzystwa operowego w Monte Carlo, gdzie mogłaby występować, kiedy zechce, wybierając role według własnego upodobania.

Ze wzruszeniem słuchał wspomnień Marii z dzieciństwa i przejęty dowiadywał się, jaką nędzę musiała cierpieć w czasie wojny w okupowanych Atenach. Mieli ze sobą wiele wspólnego: poza tym, że zyskali sławę i wpływy, wierzyli w przeznaczenie – byli bardzo przesądni – i czuli się do głębi Grekami. Przez jakiś czas Ariemu i Marii wystarczało, że trzymali się za ręce, kiedy ich nikt nie widział, i wymieniali znaczące spojrzenia. Jednak po dotarciu do Sztambułu, wyznaczającego kres podróży, dali się porwać namiętności i zostali kochankami. Plotkowano, że kochali się w szalupie ratunkowej jachtu. Artemis, siostra Aristotelisa, która nigdy nie przepadała za Marią, mówiła później: „Ona go nie uszczęśliwi. Są zbyt do siebie podobni. Każde z nich jest kimś. Jak mieliby żyć razem, nie zabijając się?”. Gdy 13 sierpnia Christina dopłynęła do Monte Carlo, Maria była zdecydowana po jedenastu latach małżeństwa wystąpić o rozwód.

Związek najślawniejszej w tym czasie pary Greków nie uszedł uwagi chmary fotografów śledzących rejs. Dla świata – przede wszystkim dla prasy kobiecej – zawiązał się „romans stulecia” i od tej pory para miała być bez przerwy nękana przez paparazzich. Kilka dni po zakończeniu rejsu Onasis i Callas odwiedzili Meneghiniego w jego domu w Sirmione. Armator nie owijał niczego w bawełnę i – jak relacjonuje mąż śpiewaczki w swoich wspomnieniach – ofiarowując mu za

Marię sporą sumę pieniędzy, dodał z arogancją: „Jestem nikczemnikiem, mordercą, złodziejem, bezbożnikiem, najbardziej odrażającą istotą na ziemi (...), ale jestem milionerem i despota, więc nie zrezygnuję z Marii”. Aristotelis, nauczony przez ojca, że nie warto traktować kobiet zbyt poważnie, zainteresowawszy się diwą, nie miał zamiaru rozwodzić się z żoną i tracić dwójki dzieci.

Ósmego września owego burzliwego 1958 roku Maria Callas ogłosiła oficjalnie zerwanie małżeństwa z Battistą Meneghinim. Oświadczyła jedynie, że nie będzie niczego więcej komentować i że sprawa jest w rękach adwokatów. W odróżnieniu od niej Battista udzielał wywiadów na prawo i lewo, ujawniając sprawy osobiste i przedstawiając siebie jako ofiarę. Odrzucony i upokorzony, oskarżał Marię o niewdzięczność, mówiąc: „Stworzyłem Marię Callas, ona zaś odplaciła mi ciosem w plecy. Kiedy ją poznałem, była kobietą grubą, źle ubraną, wygnańcem, Cyganką. Nie miała grosza przy duszy ani najmniejszych szans na zrobienie kariery”.

Obojętna na powstały wokół niej zamęt, Maria, nagrawszy operę w La Scali, spotkała się z Arim na jachcie Christina. Wydawała się szczęśliwa i beztroska, wpatrzona w swojego nowego ukochanego. W tym momencie życia była gotowa poświęcić wszystko dla namiętności, jaka połączyła ją i armatora. „Tak długo tkwiłam jakby zamknięta w klatce, że kiedy poznałam Ariego i jego przyjaciół, tak pełnych życia, zmieniłam się zupełnie. Żyjąc tyle lat u boku człowieka znacznie starszego ode mnie, stałam się ponura”, mówiła dziennikarzom. Z dumą pokazywała ofiarowaną przez Ariego bransoletkę z wygrawerowanym napisem TMWL, „To Maria With Love”. Wkrótce miała się zorientować, że Tina dostała identyczną, z odpowiednimi inicjałami; parę lat później taką samą bransoletką miała zostać obdarowana Jackie Kennedy.

Ku zaskoczeniu i niezadowoleniu Onasisa, który zawsze liczył na możliwość pogodzenia się z żoną, 25 listopada Tina podczas konferencji prasowej zażądała rozwodu, powołując się na niewierność męża. Po trzynastu latach małżeństwa pani Onasis – która ani razu nie wspomniała o swojej aktualnej rywalce, Marii Callas – pragnęła rozpocząć nowe życie i prosiła prasę o uszanowanie jej samej oraz dzieci. Wiadomość była dla armatora ciężkim ciosem. W żadnym wypadku go nie ucieszyła. Wiedział, że rozwód będzie kosztował fortunę, a poza tym skonfrontuje go bezpośrednio z kimś tak potężnym i wpływowym jak teść Stavros Livanos. Maria nie wiedziała wówczas, że Aristo, będąc z nią, za jej plecami usiłuje wszelkimi sposobami odzyskać serce żony.

Zakochawszy się w Onasisie, Maria zaczęła żyć pełną piersią. W ciągu następnych dziesięciu lat to on miał być dla niej jedynym źródłem szczęścia – on, który nie tylko cenił jej głos, lecz widział w niej kobietę; w każdym razie tak jej się wydawało. Dziennikarzom pokazywała zadowoloną twarz, ponieważ uzyskała legalną separację z mężem. Armator, o wiele mniej romantyczny, za to bardziej

praktyczny, przeżywał sytuację zupełnie inaczej. Unikał publicznego okazywania uczuć względem Marii i usiłował kryć się przed tropiącymi go wszędzie paparazzimi. Przez pełen napięcia grudzień śpiewaczka była często sama, nie wiedząc, gdzie się podziewa jej kochanek, który nigdy nie tłumaczył się ze swoich poczynań. Nieoczekiwanie przyjeżdżał i spędzał z nią kilka cudownych dni, by potem zniknąć na nowo. Maria, pierwszy raz zażywająca rozkoszy życia, godziła się na te jego kaprysy. I tak musiała znosić upokorzenia, na przykład odrzucenie przez ważne osoby, krytycznie odnoszące się do jej namiętnego związku z armatorem, jak księżę Rainier i jego małżonka Grace Kelly, którzy nie chcieli jej zaprosić do swego pałacu, albo sam Churchill, zaprzyjaźniony z Tiną Livanos.

Przez pierwsze miesiące 1960 roku Maria nie pracowała; odpoczywała na jachcie Christina, prawie nie zaglądając do swego domu w Mediolanie, gdzie mieszkała sama z wierną pokojówką Bruną oraz pudelkiem toy, prezentem od Viscontiego. Onasis musiał, chcąc nie chcąc, zaakceptować rozwód, którego zażądała żona, i zaczął więcej czasu poświęcać stęsknionej kochance. Maria miała przed sobą rok pełen niepewności, niosący kolejne klęski i upokorzenia. Bez agenta, który pokierowałby jej karierą artystyczną, musiała sama decydować o swojej przyszłości zawodowej. Nie miała w perspektywie żadnego ważnego kontraktu, dla wielu ludzi bowiem, odkąd poznała Onasisa, jakby zniknęła ze świata. Pod nieobecność Marii jej rywalka, Renata Tebaldi, po pięciu latach nieobecności powróciła w wielkim stylu do La Scali, odzyskując tron, z którego straciła ją Callas. Prasa zaczynała spekulować, że Divina straciła głos i że nadchodzi kres jej kariery.

Kobieta zdradzona

„Wydawało mi się, że jestem zakochana, teraz wiem jednak, że to, co czułam do Battisty, to nie była miłość, lecz wdzięczność. Nie wiedziałam, czym jest miłość, póki nie poznałam Onasisa”, zwierzała się Maria bliskiej przyjaciółce. Śpiewaczka spotkała wreszcie „mężczyznę życia”, jednak dyskusje wokół nowego związku oraz napięcia rodzinne – matka wciąż ją atakowała, a Meneghini nie chciał przyjąć do wiadomości, że odeszła na zawsze – sprawiały jej wielką przykrość. Znowu straciła pewność siebie, szwankowało jej zdrowie – cierpiała na chroniczne zapalenie zatok, wywołujące straszliwy ból głowy przy śpiewaniu. Po ostatnim spektaklu w Dallas, kiedy to po raz pierwszy doświadczyła kryzysu głosowego na scenie, postanowiła wstrzymać występy do roku 1960. Miała wystarczające powody, by pragnąć spokoju i odpoczynku na jachcie Onasisa bądź w swoim domu w Mediolanie. Na początku sierpnia 1959 roku okazało się, że jest w ciąży. Nieoczekiwana wiadomość napełniła ją wielką radością, choć Aristo nie wydawał

się równie uszczęśliwiony – oboje wciąż pozostawali w związkach małżeńskich.

Mimo że zawsze mówiło się, że Maria Callas usunęła ciążę za namową Onasisa, rzeczywistość wyglądała inaczej. Informacja o zabiegu pochodziła od samej śpiewaczki, która po ślubie armatora z Jackie Kennedy zwierzyła się bliskim przyjaciołom, że ten zmusił ją do usunięcia ciąży wbrew jej woli. Ci, którzy znali artystkę bliżej, nie wierzyli w taki scenariusz, wątpiąc, czy Maria, z racji silnych przekonań religijnych i w związku z wielkim pragnieniem macierzyństwa, zgodziłaby się pozbyć tak upragnionego dziecka. Z czasem miało wyjść na jaw, że cała historia z usunięciem ciąży była wyssana z palca i być może została wymyślona przez kobietę, która poczuła się dotknięta w swojej dumie, zdradzona przez kochanego człowieka.

W oparciu na dokumentach biografii zatytułowanej *Greek fire* [Grecki ogień] Nicholas Cage cytuje niepublikowane wcześniej dowody, wskazujące, że w Mediolanie sopranistka urodziła dziecko. Było to 30 marca 1960 roku. Dwie godziny później noworodek zmarł z przyczyn naturalnych. Autor miał dostęp do osobistych papierów Marii i znalazł wśród nich fotografię dziecka, a także dokumenty z Mediolanu będące świadectwem jego krótkiego życia. Podobnie wierna służąca Marii, Bruna Lupoli, która trwała u jej boku od momentu rozpoczęcia pracy w 1954 roku do dnia jej śmierci, zanegowała plotkę o aborcji, twierdząc, że dziecko się urodziło: „Madame nie przeszła żadnej aborcji w 1966 ani w 1967, ani w żadnym innym czasie. Była brzemienna tylko raz, dziecko urodziło się w ósmym miesiącu i żyło jeden dzień. Miała bliznę w dole brzucha, ponieważ wykonano cesarskie cięcie”.

W wywiadzie dla pisma „France-Soir” z lutego 1960 roku śpiewaczka mówiła, że dla niej jako kobiety trzydziestosześcioletniej priorytetem jest założenie rodziny. Onasis, który początkowo nie chciał mieć więcej dzieci, zaczął szukać domu w Szwajcarii, by Maria mogła mieszkać z dzieckiem z dala od paparazzich i ciekawskich. Między sobą nazywali ten projekt „planem szwajcarskim”. Podczas gdy Maria starała się jak najmniej pokazywać publicznie, Onasis 8 marca wypłynął w kolejny daleki rejs z Winstonem Churchillem i jego żoną, tym razem na Barbados i Wyspy Dziewicze. Nie mógł to być łatwy czas dla Marii, która jak zwykle czuła się samotna i zanedbywana przez kochanka. Poza tym – i ku większemu utrapieniu Marii – jej matka, mieszkająca w nędznym hoteliku w Nowym Jorku, opublikowała właśnie wspomnienia, w których kolejny raz wyciągała na światło dzienne wszystkie brudy rodzinne i bezlitośnie atakowała córkę.

Onasis co dzień dzwonił do Marii z jachtu, lecz 30 marca nie zastał jej w domu na via Buonarroti. Rano śpiewaczka w towarzystwie Bruny przyjechała incognito do kliniki mediolańskiej, gdzie, będąc w ósmym miesiącu ciąży, przeszła cesarskie cięcie. Jak komentuje Nicholas Cage, chciała przyspieszyć poród, tak by

armator po powrocie z rejsu mógł zobaczyć ją w lepszej formie, z ich dzieckiem na rękach. Sprawy się jednak skomplikowały: dziecko urodziło się z bardzo niską wagą i miało problemy z oddychaniem. W trybie pilnym miało zostać przewiezione do innego, lepiej wyposażonego ośrodka, jednak zmarło po drodze, w karetce. Towarzysząca Marii pielęgniarka, świadoma tego, że noworodek umrze, ochrzciła je imieniem, które śpiewaczka zdążyła jej podać. Jeśli byłby to chłopiec, miał nosić imię Omero Lengrini.

Gdy Onasis wreszcie znalazł Marię, ta opowiedziała mu zrozpaczona, że chłopczyk żył zaledwie parę godzin i że nawet go nie zobaczyła. Kilka dni później Ari – po kolacji z Tiną w Paryżu, kiedy to usiłował wynegocjować korzystniejsze dla siebie warunki rozwodu – dotarł do Marii, która przebywała w Mediolanie, i okazał jej wiele zrozumienia i czułości. Wspomnienie nieoczekiwanej śmierci „maleńkiego Omera”, jak nazywała synka, miało dręczyć Marię do końca jej dni. Noworodek został pochowany na cmentarzu w Mediolanie, w miejscu znanym tylko jej i Onasisowi. Po śmierci chlebodawczyni Bruna mówiła, że Maria odwiedzała grób synka, ilekroć była w Mediolanie, a czasami przyjeżdżała specjalnie z Paryża, żeby się przy nim pomodlić. Służąca nigdy nie wyjawiała dokładnego miejsca, w którym znajdował się grób, „przez pamięć Madame”.

Onasis, widząc, że po stracie dziecka Maria jest w złej formie, starał się ją wesprzeć w pracy twórczej, zachęcając do występów na ojczystej ziemi. Mimo że śpiewaczka obawiała się porażki artystycznej w obecności ukochanego, który chciał, by błyszczała w ojczyźnie, wystąpiła dwa razy w *Normie* w starożytnym teatrze greckim w Epidauros. Publiczność przyjęła ją jak boginię, ona zaś, mimo choroby – w czasie drugiego przedstawienia miała wysoką gorączkę – na scenie dała z siebie wszystko. Opuszczając Grecję, czuła, że odzyskała wiarę w siebie i jest gotowa kontynuować karierę. Po kilkudniowym odpoczynku na jachcie Christina zdecydowała się wreszcie na powrót do La Scali i 7 grudnia 1960 roku pojawiła się w operze *Poliuto* Donizettiego, przed publicznością, wśród której byli najdostojniejsi członkowie europejskiej socjety. Mimo że odniosła kolejny triumf, wielbiciele zaczęli jej wyrzucać, że w ciągu całego roku wystąpiła jedynie w dwóch operach i że zaniedbuje głos.

W rzeczywistości Maria coraz częściej szukała schronienia na jachcie Christina, pływającym pałacu, w którym czuła się jak w domu. Na pokładzie prawie nigdy nie ćwiczyła, mimo że Onasis z myślą o niej urządził wielki salon muzyczny z fortepianem. Po latach wyrzeczeń i ciężkiej pracy pragnęła jedynie korzystać jak najpełniej z *dolce vita* w towarzystwie mężczyzny, w którym była ślepo zakochana. Jak wyznała pewnemu dziennikarzowi, „chciała żyć i czuć się kobietą” – co dotychczas nie było jej dane. Latem 1963 roku armator nabył bezludną wyspę Skorpios w Grecji, którą przekształcił w swój prywatny ziemski raj. Idylliczna wyspa była schronieniem, o jakim zawsze marzył, niedostępnym dla

oczu ciekawskich i paparazzich. Po pięciu latach kosztownych prac remontowych kochankowie mogli zażywać tam bliskości na plażach o białym piasku.

Po raz pierwszy Maria z ulgą pozostawiała za sobą Marię Callas, postać, która na tym etapie życia stanowiła dla niej nieznośny ciężar. Chciała zapomnieć o uciążliwych próbach, wyczerpujących ćwiczeniach głosowych i tremie, która nawiedzała ją zawsze, nim podniosła się kurtyna. Jednak nie mogła siebie okłamywać: jej życie z Onasisem nie było usłane różami. Jako żona Meneghiniego była traktowana z pogardą przez rodzinę męża; teraz wielką wrogość okazywały jej dzieci armatora, dwunastoletni Alexander i dziewięcioletnia Christina. Od początku nie chciały jej zaakceptować, gdyż uważały ją za winną rozpadu małżeństwa rodziców. Jeśli Maria płynęła jachtem, wołały jeść z załogą, niż siedzieć przy jednym stole z „brzydula”, jak ją nazywały. Mimo że w 1961 roku Tina wyszła w Paryżu za mąż za angielskiego arystokratę Sonny’ego Blandforda, kuzyna Winstona Churchilla, jej dzieci ciągle wierzyły w możliwość pojednania między rodzicami.

W sierpniu 1961 roku Maria wróciła do teatru greckiego w Epidauros, by wystąpić w *Medei*, lecz ku jej rozczarowaniu Onasis nie przyjechał, by obejrzeć ją na scenie. Choć usprawiedliwiał się interesami, które kazały mu zostać na statku, prawda była taka, że zmęczył się asystowaniem w występach i rolą towarzysza wielkiej diwy. Z drugiej strony, Marii coraz trudniej było sprostać oczekiwaniom wymagającej publiczności oraz krytyków, nie tylko bowiem czuła się niepewna, ale też miała kłopoty ze zdrowiem. Z powodu bólu głowy na tle chronicznego zapalenia zatok, na scenie wydawało jej się czasem, że nie da rady śpiewać dalej. Do problemów zdrowotnych dołączały przykrości wyrządzone przez męża, Meneghiniego, który usiłował anulować porozumienie w sprawie separacji i podać Marię do sądu. Meneghini nigdy nie zniknął z jej życia. W liście do ojca chrzestnego, Leo Lantzounisa, Maria pisała: „Mąż ciągle mnie prześladowuje. Nie wystarczyło mu, że zgarnął przeszło połowę moich pieniędzy, ponieważ, odkąd się pobraliśmy, wszystko przelewał na swoje konto. Wywołał cały ten skandal i wykorzystuje go tylko po to, żeby mnie ciągać po sądach; chce przejąć wszystko”.

Maria zebrała w sobie dość sił, by wybrać się w maju 1962 roku do Nowego Jorku, gdzie miała wystąpić w Madison Square Garden z okazji czterdziestych piątych urodzin prezydenta Johna F. Kennedy’ego. Ubrana we wspaniałą czerwoną suknię z muślinu, z drogocenną brylantową kolia na szyi, zaśpiewała fragment z *Carmen*. Gwiazdą wieczoru była jednak Marilyn Monroe. Temperamentna blondynka wykonała zmysłowe *Happy Birthday Mr. President* ubrana w niemal przezroczystą sukienkę z cekinami. Maria nie miała wówczas okazji poznać osobiście kobiety, którą miała najbardziej znienawidzić za to, że odbije jej ukochanego Arista – czyli Jackie Kennedy. Małżonka prezydenta odrzuciła zaproszenie na uroczystość, dowiedziawszy się, że ma w niej wziąć udział Marilyn

Monroe, której związek z prezydentem stał się tajemnicą poliszynela.

Nowy rok rozpoczął się dla Marii pod złą gwiazdą. Zmartwień przydawały jej konflikty z matką. Wydział spraw socjalnych Nowego Jorku zażądał od śpiewaczki, by zajęła się Evangelią, która poprosiła o pomoc w związku z trudną sytuacją materialną. Maria, oburzona tym, co uznała za nowy szantaż matki, zobowiązała się posyłać jej miesięcznie pewną sumę pieniędzy, prosząc, by w zamian za to matka milczała i nie udzielała wywiadów. Obawiała się, że sprawa może wyjść na jaw i postawić w złym świetle Onasisa, który zostałby tym samym wplątany w mętłą i nieprzyjemną sprawę rodzinną.

Na początku roku 1963 w życiu Marii nie było już niczego poza namiętym i burzliwym związkiem z Onasisem. Armator był jej „jedyną racją istnienia”; czuła, że staje się coraz bardziej od niego zależna. Jeśli obcięła długie włosy czy przestała nosić okulary, sprawiając sobie soczewki, to dlatego, że prosił o to Aristo. Jeśli jedli razem obiad i jemu nie podobała się jej sukienka czy kapelusz, natychmiast wstawiała, żeby się przebrać czy zmienić kapelusz na inny. Jego pragnienia były rozkazami dla niej jako kobiety słabej i niepewnej, która straciła resztki dumy. W miarę jak oddalała się od sceny – przyjmowała jedynie role, które nie obciążały zanadto głosu – chroniła się coraz bardziej pod skrzydłami kochanka. Nie była już dla niego tą jaśniejącą gwiazdą, którą poznał u szczytu jej kariery, i jego zainteresowanie dla niej osłabło.

W tamtym czasie nową rywalką Marii miała stać się piękna i pogodna dwudziestodwuletnia Lee Radziwiłł, żona polskiego księcia, siostra Jacqueline Kennedy, pierwszej damy Ameryki. Małżeństwo Radziwiłłów znalazło się w grupie przyjaciół Onasisa i Callas zaproszonych w czerwcu 1963 roku na rejs zorganizowany dla Winstona Churchilla. W czasie gdy śpiewaczka odbywała tournée koncertowe po Europie, Onasis adorował dyskretnie panią Radziwiłł, przeżywając akurat jeden z kryzysów małżeńskich. Po skończonym rejsie wokół wysp greckich zaczęły krążyć plotki o romansie między Onasisem i Lee. Maria, która wiedziała o sławnych konkietach armatora – on sam przyznał się jej do miłosnych przygód z Evą Perón, Veronicą Lake, Glorią Swanson i Paulette Godard – zbytnio się tymi plotkami nie przejęła. Kiedy jednak wróciła na jacht, znalazła puste etui firmy Cartier z miłosnym liścikiem adresowanym do Lee. Próbowana niczego po sobie nie pokazywać i nie zdradzić się przed Aristotelisem, niemniej gdy znalazła się w swoim paryskim apartamencie, zupełnie się załamała. Służąca Bruna widziała, jak pani mocno przeżyła fakt, że w życiu jej ukochanego mężczyzny pojawiła się inna kobieta.

Na początku sierpnia 1963 roku Jacqueline Kennedy straciła nowo narodzone dziecko i wpadła w głęboką depresję. Jej siostra Lee, zaniepokojona, poprosiła swego przyjaciela Onasisa, by zaprosił Jacqueline na rejs, pomagając jej pozbierać się po tak ciężkim przeżyciu. Grecki armator był zachwycony pomysłem

goszczenia na swoim jachcie prezydenta – który w zasadzie również został zaproszony – oraz pierwszej damy Ameryki, zwrócił się jednak z prośbą do Marii, by nie brała udziału w rejsie. Aristowi wydawało się niegodne przyjmowanie tak sławnych gości w towarzystwie „konkubiny”. Było to jedno z wielu upokorzeń – okrutnych – jakie Maria miała znieść w ciągu najbliższych miesięcy, choć najgorsze jeszcze nie nadeszło.

Czwartego października 1963 roku jacht Christina wypłynął z Pireusu w kierunku Stambułu i wyspy Lesbos. Wśród pasażerów znajdowała się Lee Radziwiłł z mężem, Jackie Kennedy – sama, jako że prezydent nie chciał szkodzić swojej kampanii wyborczej, pokazując się z człowiekiem, którego uważał za „pirata” – oraz Franklin D. Roosevelt junior, wysłany przez prezydenta dla podniesienia rangi rejsu. Kiedy Maria Callas zobaczyła w gazetach paryskich zdjęcie Onasisa prowadzącego za rękę Jackie przez rodziną Smyrnę, nie odczuła przykrości. Była wciąż przekonana, że prawdziwe niebezpieczeństwo stanowi Lee Radziwiłł, i była o nią bardzo zazdrosna. Onasis wykorzystał rejs, by olśnić żonę najbardziej charyzmatycznego w dziejach prezydenta Stanów Zjednoczonych. Na koniec ofiarował swojemu honorowemu gościowi wspaniałą kolię z rubinów i brylantów, wartą pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Lee zorientowała się od razu, że zainteresowanie Onasisa jej osobą nie mogło się równać temu, jakie okazywał jej siostrze, i starała się zachować twarz w tej nieco niezręcznej sytuacji.

Oglądając 22 listopada tego roku wstrząsające zdjęcia z zabójstwa Johna F. Kennedy’ego w Dallas, Maria nie wyobrażała sobie, jakie ta tragedia będzie mieć konsekwencje dla jej życia osobistego. Jackie stała się „wdową Ameryki”, kobietą podziwianą za dzielność i elegancję. Onasis został zaproszony na uroczystości pogrzebowe i zatrzymał się w prywatnej części Białego Domu, obok najbliższych krewnych rodziny Kennedy. Gdy tydzień później Maria i Aristo świętowali czterdzieste urodziny śpiewaczki w restauracji Maxima w Paryżu, wyglądali, jakby między nimi nic się nie zmieniło. Niemniej armator zachowywał o wiele większy dystans względem Marii, która, wciąż jeszcze urażona z powodu wykluczenia z rejsu, usiłowała wszelkimi sposobami ratować związek. Od roku 1966 Onasis – podobnie jak było to z żoną, kiedy poznał Marię – podtrzymywał romans z Marią, lecz po kryjomu spotykał się z Jackie.

Maria, przepełniona obawami i niepewnością w obliczu chłodu kochanka, z jeszcze większym niż dotychczas zaangażowaniem rzuciła się w wir pracy scenicznej. Pod koniec 1963 roku, po dwóch latach bezczynności, wystąpiła w Covent Garden w *Tosce* wyreżyserowanej przez przyjaciela, Zeffirellego. Dla wielu była to największa kreacja Callas w całej jej karierze. Sukces dodał jej pewności siebie i zachęcił ją do zrealizowania w Londynie serii nagrań. W maju następnego roku zaśpiewała w *Normie* w Operze Paryskiej, znów w reżyserii Zeffirellego. W czasie owego niezapomnianego wieczoru, na który przybyli –

oprócz Onasisa – wielcy członkowie arystokracji i twórcy europejscy, zdarzyło się coś, czego od dawna się obawiano: Marii załamał się głos, kiedy sięgała wysokiego C. Zareagowała tak, jak tylko ona mogła – kazała dyrygentowi zacząć jeszcze raz. Podejmując największe ryzyko, wydobyla doskonałą nutę, niemniej, kiedy opadła kurtyna, część publiczności długo ją oklaskiwała, część natomiast bezlitośnie wygwizdała. Po raz pierwszy w życiu Maria zaczęła się poważnie zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek będzie zdolna wykonać całą operę.

Latem 1964 roku widywano ją, jak spaceruje po wyspie Skorpios w towarzystwie Onasisa i odprężona opala się na pokładzie Christiny. Armator wydawał się nią bardziej zajęty i cieszyli się sobą, wypływając daleko w morze i rozmawiając do świtu jak za dawnych czasów. „Nic nie jest dla mnie ważniejsze niż to, co czuję do tego mężczyzny”, zwierzała się Maria przyjaciółce. Po letnich, idyllicznych z pozoru miesiącach, para udała się do Nowego Jorku. Przy tej okazji Onasis został zaproszony na kolację – tylko dla panów – wydaną przez Jackie Kennedy w jej nowojorskim apartamencie przy Piątej Alei. Dla armatora wielkim wyzwaniem było zdobycie serca najbardziej atrakcyjnej wdowy świata. Z drugiej strony ci, którzy dobrze znali Jackie, twierdzą, że już zdążyła zwrócić uwagę na magnata i gotowa była poddać się jego uwodzicielskiemu urokowi.

W ciągu roku 1965 Maria była bardzo zapracowana, próbując nadać nowy impet swojej karierze. Zgodziła się na osiem przedstawień *Toski* w Operze Paryskiej w lutym, dwa w Metropolitan Opera w marcu, pięć spektakli *Normy* znowu w Paryżu, w maju, i jedną *Toscę* w Covent Garden w lipcu. Niekończące się próby bardzo ją absorbowwały, tak że nie zaprzętała sobie głowy Jackie Kennedy, w której jeszcze nie widziała rywalki. *Tosca* Marii w Metropolitan Opera, gdzie nie występowała od siedmiu lat, była wydarzeniem niepowtarzalnym w jej karierze, z ponadgodzinnymi owacjami po zakończeniu spektaklu i gorącym entuzjazmem publiczności. Wśród ważnych osobistości, które po uroczystym przyjęciu na cześć śpiewaczki podeszły do niej, by jej pogratulować, znalazła się Jackie Kennedy. „Madame, był to jeden z najpiękniejszych wieczorów operowych w moim życiu”, powiedziała Jackie. Obie kobiety uściśniły sobie ręce z serdecznością. Wtedy to pierwszy – i jedyny – raz spotkały się twarzą w twarz.

Mimo kłopotów zdrowotnych i problemów z głosem Maria usilnie starała się zrealizować wszystkie podjęte na ten rok zobowiązania. Jednak przy wszystkich pochwałach i dobrych recenzjach czuła się osamotniona, oddalona od Onasisa, któremu wiodło się teraz gorzej w interesach. W tym czasie armator, nieprzyzwyczajony do porażek, stracił główny udział w Société de Bains de Mer w Monte Carlo, spółce kontrolowanej przez księcia Rainiera. Marii, nieświadomej zamiarów kochanka – który wciąż zabiegał o Jackie Kennedy – roilo się, że będzie spędzać z nim więcej czasu, gdy porzuci na zawsze operę. W rzeczywistości kres jej namiętnego, komentowanego szeroko przez media romansu był już bardzo

bliski. Gdy 14 maja 1965 roku wystąpiła w *Normie*, w Operze Paryskiej, wzruszona publiczność mogła być świadkiem zmierzchu diwy. Chora i wyczerpana, od pewnego czasu zażywająca zbyt wiele środków uspokajających i witamin, Maria zemdląca na scenie, kiedy opadła kurtyna po pierwszym akcie jej ostatniego przedstawienia. Nie była zdolna dokończyć drugiego aktu *Normy* ani zrealizować kontraktu z Covent Garden; dała tam tylko jeden, uroczysty spektakl *Toski*, na który przybyła królowa angielska. Był to ostatni raz, kiedy wykonała całą operę, i miało minąć osiem lat, nim ponownie zaśpiewała przed publicznością.

Lato 1965 było dla Marii najgorsze ze wszystkich, jakie przeżyła u boku kochanka. Armator był nieobecny duchem, apodyktyczny, zachowywał się wobec niej w zupełnie inny sposób niż dotąd. Przyjaciele, którzy ich odwiedzali w czasie wakacji na jachcie – wśród nich reżyser włoski Franco Zeffirelli – widzieli, w jak upokarzający sposób Onasis traktuje Marię. Świadom tego, że Maria sięgnęła dna, z przykrością znosił obok siebie towarzystwo kobiety pokonanej i nie wahał się wypowiadać publicznie komentarzy typu: „Kim ty jesteś? Nikim! Masz w gardle świstawkę, która już nie działa”. Coraz częstsze i gwałtowniejsze były kłótnie między obojgiem; dochodziło nawet do rękoczynów.

Mimo że związek z Onasisem osiągał stan krytyczny, śpiewaczka zabiegała jak nigdy dotąd o sfinalizowanie rozwodu z Meneghinim. W kwietniu 1966 roku zdecydowała się zrezygnować z obywatelstwa amerykańskiego, ponieważ w ten sposób – zachowując jedynie greckie – ograniczała ważność swego małżeństwa do Włoch. W wieku czterdziestu trzech lat, po procesie ciągnącym się przez dziesięć lat, osiągnęła upragnioną wolność. Mimo że związek z Aristotelisem stawał się coraz bardziej chłodny, pragnęła nadal wyjść za armatora za męża i przestać być jego wieczną kochanką. Onasis, myślący praktycznie i powodowany ambicjami, miał jednak inne plany na przyszłość i Maria się w nich nie mieściła.

Gwiazda, chociaż od początku chętnie przyjmowała sprawiane jej przez Arista prezenty – nieporównywalne z tymi, jakie miała później otrzymywać żona Kennedy’ego – nie zgadzała się nigdy, by kochanek ją utrzymywał czy pokrywał jej osobiste wydatki. Kiedy w końcu w roku 1966 Onasis kupił jej elegancki apartament przy alei George’a Mandela w Paryżu, była przekonana, że zamieszkają w nim razem. Nareszcie doczekała się w Paryżu własnego mieszkania, domu, w którym miała spędzić resztę swoich dni i który urządziła według własnego gustu. Nie zabrakło w nim pamiątek, obrazów, staroci, mebli w stylu Ludwika XV i wielkiego fortepianu w salonie. Onasis nigdy tam z nią nie zamieszkał. Kiedy przyjeżdżał do Paryża, zatrzymywał się w swoim mieszkaniu przy Alei Focha. Ci, którzy mieli okazję odwiedzić nowy apartament Marii Callas, zgadzali się co do jednego: przypominał on raczej grób legendy niż prawdziwe mieszkanie.

Maria zajęła się urządzeniem apartamentu, gdy jej kariera przestała się rozwijać, a Onasis coraz częściej bywał w Stanach. W latach 1966 i 1967 bardzo

często przekraczał Atlantyk, by zobaczyć się z Jackie Kennedy. Wyprawiał się tam potajemnie. Wykorzystywał podróże służbowe, by odwiedzać wdowę na jej nowojorskim poddaszu, wchodząc drzwiami dla służby. Marię, nieświadomą jego planów, niepokoiły te długie eskapady do Nowego Jorku, wciąż jednak miała nadzieje na małżeństwo z Arim. Wreszcie, kiedy w maju 1968 roku dowiedziała się, że Jackie Kennedy została przez Onasisa zaproszona na rejs jachtem Christina w rejonie Karaibów, mogła uznać, że związek jej i Onasisa właśnie się zakończył. Zaledwie dwa miesiące wcześniej fotografowano oboje na pokładzie Christiny, w pobliżu Nassau, podczas corocznego rejsu w rejonie Karaibów. Opaleni, w okularach słonecznych, zrelaksowani – ona w kostiumie kąpielowym, on z nagim torsem, z rącznikiem wokół bioder – ciągle wydawali się szczęśliwą parą.

W połowie maja, podczas gdy Aristo i Jackie na pokładzie Christiny płynęli w stronę Wyspy Świętego Tomasza, Maria zamknęła się w swoim paryskim mieszkaniu, przygnębiona, rozgoryczona, na granicy rozstroju nerwowego. Jak twierdzi jej pokojówka Bruna, wówczas właśnie zaczęła zażywać środki nasenne. W liście do swojej nauczycielki Elviry Hidalgo, z którą utrzymywała przyjacielską więź, pisała w czerwcu: „Zważywszy na okoliczności, jestem nawet w niezłej formie. Ale czuję się tak, jakbym otrzymała straszliwe uderzenie i jeszcze się po nim nie pozbierała. (...) Ostatnimi miesiącami próbuję po prostu utrzymać się przy życiu. Nie żądam od siebie za wiele, bo nie jestem zbyt silna pod względem duchowym i psychologicznym. Po latach starań i podejmowanych dla niego wysiłków czuję się tak zagubiona, że nie wiem nawet, dokąd pójść”.

Tragedia grecka

Mimo że Onasis mógł być pod urokiem Jackie Kennedy, jego zainteresowanie nią pierwszą damą niewiele miało wspólnego z miłością. Poprzez nią armator szukał kontaktów z tym, kto wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miał zostać kiedyś prezydentem – z jej szwagrem Robertem Kennedym. Jednak 5 czerwca 1968 roku kandydat demokratów na prezydenta został zamordowany w Los Angeles. Jackie, która od chwili brutalnego zabójstwa męża czuła się zagrożona i lękała się o życie dzieci, po śmierci Boba, przyjaciela i najbardziej zaufanego człowieka w okresie jej wdowieństwa, miała nadzieję znaleźć pociechę i opiekę w ramionach armatora. Pragnęła opuścić Stany Zjednoczone i rozpocząć nowe życie z dala od kraju, w którym była osobą publiczną. Chociaż Onasis – zdaniem bliskich przyjaciół – z początku nie zamierzał się z nią żenić i pochlebiali mu jedynie, że „został wybrany przez najślawniejszą w tym czasie kobietę”, to po zabójstwie Roberta Kennedy’ego sprawy nabrały tempa.

Onasis pływał Christiną z panią Kennedy – w weekendy starając się zbliżyć

do rodziny Jackie – tymczasem Maria wciąż czekała na cud, na jego powrót. Gdy poprosił ją, by spędziła z nim lato na Skorpios, nie mogła odmówić. Wierzyła, że jeszcze zdoła uratować związek, i pod koniec czerwca przybyła na spotkanie z nim na jachcie. Tamto lato 1968 roku, ostatnie spędzone razem z Onasisem, miało być najkrótszym i najbardziej gorzkim latem w jej życiu. Wkrótce po tym, jak zainstalowała się na jachcie, Aristo nieoczekiwanie poprosił ją, by wróciła do Paryża, gdyż spodziewa się gości i Maria nie może zostać na statku. Śpiewaczka spakowała walizki – zapominając zabrać z sejfu bezcenne ofiarowane jej przez armatora klejnoty – po czym ostatni raz opuściła statek, który przez dziewięć lat był jej domem. Wiedziała, że Onasis wyrzuca ją ze swego życia z powodu tej, która była już jego oficjalną kochanką – wdowy po prezydencie Kennedym. Tydzień później została przyjęta do szpitala amerykańskiego w Paryżu z powodu przedawkowania środków nasennych.

Na początku sierpnia, w czasie gdy Ted Kennedy – który po śmierci Roberta został patriarchą klanu – negocjował na pokładzie Christiny, w obecności Jackie, kontrakt małżeński pary, Maria udała się w podróż do Stanów Zjednoczonych. Jej stary przyjaciel Larry Kelly, współzałożyciel opery w Dallas, człowiek bardzo wpływowy w sferach artystycznych w USA, zaproponował jej wspólną podróż do Nowego Jorku i spędzenie razem lata. Chciał jej naprawdę pomóc, nie tylko przynieść pociechę w bólu po zdradzie Onasisa – pragnął nadać nowy impet jej przygasłej karierze artystycznej. Maria jednak była pogrążona w rozpacz i żyła jedynie nadzieją, że kochanek w ostatnim momencie zmieni zdanie i wróci do niej.

Podczas pobytu w Nowym Jorku została poproszona o zainaugurowanie nowego sezonu w Metropolitan Opera. Zebrała w sobie resztkę sił, by 16 października pojawić się publicznie na przedstawieniu, w którym występowała jej rywalka Renata Tebaldi. Jak przystało na dobrą aktorkę, tego wieczoru ukazała się ludziom olśniewająco ubrana, we wspaniałych szmaragdach w komplecie z suknią z zielonego aksamitu. Ów komplet klejnotów, złożony z kolczyków – wielkich szmaragdów w kształcie łez otoczonych brylantami – pierścionka oraz bransoletki, wywołał prawdziwą sensację. Rok później Onasis udał się do tego samego jubilera, który zaopatrywał w biżuterię wielką diwę, i kupił dla pani Kennedy takie same kolczyki w kształcie łez, z brylantów i szmaragdów. Podobne gesty dotykały do żywego Marię, coraz bardziej rozstrojoną i bez chęci do życia.

Kiedy w końcu śpiewaczka zmobilizowała się, by wrócić do Paryża po szaleńczych wояżach amerykańskich, przybiła ją nieoczekiwana wiadomość: 20 października 1968 roku w kaplicy na wyspie Skorpios Jacqueline Kennedy i Aristotelis Onasis wzięli ślub prawosławny. Była to uroczystość kameralna, w której uczestniczyło zaledwie około dwudziestu osób, podczas gdy chmara dziennikarzy usiłowała sfotografować z wybrzeża „ślub roku”. Alexander, syn Onasisa, miał później skomentować ironicznie: „To związek doskonały. Ojciec

uwielbia nazwiska, Jackie pieniądze”. W czasie gdy trwała uczta weselna, Maria pojawiła się, promienna, na uroczystej kolacji wydawanej przez Maxima z okazji siedemdziesięciopięciolecia sławnej restauracji. Znow dała znakomity spektakl: wobec dziennikarzy była uśmiechnięta i swobodna, jakby nic się nie wydarzyło. Na pytanie o ślub Onasisa odpowiedziała życzeniami dla nowo poślubionych i komentarzem: „Pani Kennedy słusznie uczyniła, dając swoim dzieciom dziadka”.

Nigdy nie przebaczyła Onasisowi, że po siedmiu latach związku musiała się dowiedzieć o jego ślubie z gazet. Choć wiedziała, że Aristotelis nie kocha swojej eleganckiej żony – „Nie kocham jej, ale jej potrzebuję”, wyznał kiedyś – bardzo cierpiała z powodu zdrady i porzucenia. W wywiadzie radiowym przeprowadzonym przez krytyka muzycznego Johna Ardoina wypowiedziała się szczerze jak nigdy. Po raz pierwszy i zarazem ostatni mówiła do mikrofonu Maria – nie śpiewaczka Maria Callas – kobieta przepelniona smutkiem i goryczą, która żali się z powodu otrzymanych od życia ciosów: „Jestem dumna. Nie lubię publicznie okazywać uczuć. (...) Nigdy o nic nie proszę, bojąc się, że może mnie spotkać rozczarowanie. (...) Prawdę mówiąc, czuję tremę przed powrotem do domu. To jak początek przedstawienia. (...) Nie sądzę, by wystarczyło mi zdrowia na tyle napięć. (...) Tak chętnie wróciłabym do tego, kim byłam w 1958 roku, do dobrych czasów...”.

A jednak, mimo poczucia samotności i dramatu braku dzieci, mimo niemożliwości stworzenia wspólnego domu z tym, którego kochała, chciała zmagać się z losem. Onasis jej tego nie ułatwiał. Wkrótce po ślubie z Jackie zjawił się w alei Georges’a Mandela, krzycząc i gwizdząc pod oknem Marii, żeby mu otworzyła. Ta najpierw nie chciała go wpuścić. Wkrótce jednak oboje nawiązali dawne relacje, choć nie pokazywali się razem publicznie. Maria, wciąż zakochana i z natury wspaniałomyślna, po siedmiu latach ukrywania się ze swoją miłością i znoszenia upokorzeń, zgodziła się, by w oczach świata być dalej „tą drugą”. Tym razem jednak postawiła warunki: póki Aristo jest mężem Jackie, nie będą utrzymywali stosunków intymnych.

„Jedna część Marii umarła w dniu, w którym Onasis poślubił Jackie, druga pozostała, przesycona smutkiem na zawsze”, napisze potem w jej biografii Anne Edwards. Maria pragnęła wymazać Onasisa ze swego życia, a najlepszym na to sposobem był powrót do pracy. Chociaż trema nie pozwalała jej zaśpiewać opery, zgodziła się zagrać w filmie, w nadziei, że obudzi to w niej chęć do życia. Miała to być nowa wersja mitu Medei, reżyserowana przez wielkiego admiratora śpiewaczki Piera Paola Pasoliniego. W czasie kręcenia filmu Onasis dzwonił bez przerwy, lecz Maria nie odbierała telefonu. Film, dziwny i niepokojący, mimo wspaniałej gry Marii okazał się totalną kląpą. Śpiewaczka, złakniona sukcesu, który miał jej pozwolić się odrodzić, uczestniczyła bezsilna w premierze swojego pierwszego filmu.

Zamykały się przed nią kolejne drzwi, Onasis zaś po dziesięciu miesiącach zaczął żałować, że ożenił się z Jackie. Szybko zorientował się, że nic go nie łączy z tą, jak to ujmował, „rozkapryszoną, w pretensjach i interesowną” kobietą, która spędzała większość czasu w Nowym Jorku, gdzie chodziły do szkół jej dzieci. Mimo że w ciągu pierwszego roku małżeństwa widywano ich, jak razem tańczą, robią zakupy na Capri, jedzą kolację przy świecach albo pływają w pobliżu jachtu Christina, z czasem zaczęli prowadzić życie osobno. Prawdopodobnie Onasisa nużyła surowa elegancja żony i jej nader wyszukane maniery. Jackie, niegdyś pierwsza dama Ameryki, nie porzuciła swego zamiłowania do zakupów i do urządzania gustownych wnętrz, a Onasisa denerwowała rozrzutność, z jaką Jackie korzystała z jego pieniędzy. Brakowało mu bezinteresownej miłości Marii, która zawsze kochała go za to, kim był, a nie za jego wielki majątek.

W lutym 1970 roku wyszło na jaw, że Jackie Kennedy-Onasis – Jackie zachowała oba nazwiska – miała kochanka. Z Roswellem Kirkpatrickiem żyła, wychodząc za mąż za Onasisa. Listy pisane przez świeżo poślubioną małżonkę do kochanka trafiły w ręce kolekcjonera i poznał je cały świat. Dla Onasisa była to wielka plama na jego męskiej dumie i honorze. Mimo przeprosin uznał małżeństwo z Jackie za skończone. Wobec ludzi udawali, że nic się nie stało, ale armator nigdy jej nie przebaczył. W maju stało się sprawą jawną, że utrzymuje kontakty z Marią; któregoś wieczoru poszli razem na kolację do Maxima. Zdjęcie ich obojga przy stoliku w ulubionej restauracji śpiewaczki obiegło cały świat. Jackie, która przebywała właśnie w Nowym Jorku, ujrzawszy zdjęcie, poleciała natychmiast do Paryża i zażądała od Onasisa, żeby zaprowadził ją do tej samej restauracji i zjadł z nią kolację przy tym samym stoliku. Chciała w ten sposób uciszyć plotki na temat ewentualnego kryzysu w ich małżeństwie i dać do zrozumienia wszystkim, że Maria jest tylko starą przyjaciółką armatora. Maria, wciąż zakochana i żyjąca nadzieją na rychły koniec tego małżeństwa, widząc w prasie francuskiej zdjęcie Arista i Jackie w „ich restauracji”, poczuła się boleśnie urażona. Zaczęła się obawiać, że armator nigdy nie rozstanie się ze swoją sławną żoną, a ona sama dalej będzie oszukiwana.

Kilka dni po całym zamieszaniu związanym z Maximem Radio Luxembourg nadało szokującą wiadomość: „Maria Callas usiłowała popełnić samobójstwo, zażywając zbyt silną dawkę środków nasennych. Została przewieziona na oddział ratunkowy szpitala amerykańskiego w Neuilly”. Wiadomość poruszyła cały świat; Maria wydała jednak oświadczenie, w którym informowała, że trafiła do szpitala w związku z rutynowymi badaniami. Prawdą jest, że – jak w innych tego typu przypadkach – nie miała zamiaru odbierać sobie życia. Próbowwała jedynie uspokoić nerwy lekarami i czasem źle obliczała dawki. Źle sypiała i według słów pokojówki bała się ciemności, toteż zażywała środki nasenne.

W sierpniu 1970 roku, po miesiącach ustawicznych przykrości i napięć,

postanowiła spędzić kilka dni wakacji na prywatnej wyspie armatora Perry'ego Embiricosa. Odzyskała siły, spacerując po plaży, kąpiąc się w morzu i odwiedzając rodzinną wioskę ojca, Meligalę. Piętnastego sierpnia, podczas gdy odpoczywała pod parasolem na leżaku, helikopter Onasisa wylądował na wyspie Embiricosa. Aristo wysiadł z maszyny i podszedł do Marii, by złożyć na jej ustach namiętny pocałunek. Armator, który nie zapomniał, że jest to dzień imienin Marii, ofiarował jej w prezencie zabytkowe kolczyki. Spacerowali razem po plaży, trzymając się za ręce. O zmierzchu Onasis, któremu Jackie zabroniła widywać się z Marią, wrócił do Aten. Świadectwo tej romantycznej sceny, uwiecznionej przez fotografa z łodzi rybackiej, obejrzał potem cały świat. Jak zwykle, Jackie przyleciała do Grecji pierwszym samolotem, aby ukreślić łeb plotkom.

Po ukazaniu się tych wiele mówiących zdjęć Maria wróciła do swego mieszkania w Paryżu, gdzie czekali na nią dziennikarze. „Jest moim najlepszym przyjacielem – skomentowała wymijająco. – Był, jest i będzie. (...) Kiedy dwie osoby były ze sobą, jak my, wiele je łączy. Wie, że przy mnie zawsze znajdzie pogodę, wspólnych przyjaciół, uczciwość. Całe zamieszanie bierze się stąd, że nie znam jego żony”. W ciągu najbliższych miesięcy Onasisa miało spotkać wiele przykrości, nie tylko w sprawach zawodowych, ale też w życiu osobistym. Maria była wówczas zawsze przy nim, wysłuchując go i okazując mu serdeczność. W obliczu nadciągających dramatów jego najbliżsi, w tym syn i córka, zaczęli mówić o „przekleństwie Jackie”, obciążając wdowę po prezydencie winą za wszystkie nieszczęścia, jakie spotkały rodzinę.

Maria, która całą zimę spędziła w domu praktycznie sama, jedynie w towarzystwie Djeddy i Pixie – dwóch pekińczyków, ofiarowanych jej niegdyś przez Arista – w 1971 roku zgodziła się wcielić w rolę nauczycielki i poprowadzić kursy mistrzowskie w Juilliard School w Nowym Jorku. Lekcje sprawiały jej radość i stanowiły wielką pociechę w momencie, w którym uświadamiała sobie jasno jak nigdy pogorszenie własnej formy. Stwierdzono u niej początki jaskry, która nieleczona mogła ją uczynić niewidomą. Od tej chwili i przez resztę życia musiała co dwie godziny wkraplać sobie do oczu lekarstwo. Udzielając lekcji, pracowała jednocześnie z korepetytorem z Metropolitan Opera, żeby podszkolić własny głos. Raz po raz ludzie pytali ją, czy ostatecznie wycofała się ze sceny, czy też wróci do śpiewania. Raz po raz odpowiadała: „Kiedyś jeszcze zaśpiewam operę”.

Tamtego roku, 1971, kiedy wydawało się, że Maria powstaje z popiołów i myśli z radością o nowych projektach muzycznych, w życiu Onasisa zaczynał się nieunikniony zmierzch. W lecie dowiedział się, że jego córka Christina w wieku dwudziestu lat wyszła w Las Vegas za mąż za człowieka kierującego firmą z branży nieruchomości, rozwiedzionego, z czwórką dzieci, dwa razy starszego od niej. Kilka miesięcy później, 22 października, jego była żona Tina, po rozwodzie

z Sonnym Blandfordem wzięła potajemnie ślub ze Stavrosem Niarchosem, największym wrogiem Onasisa, człowiekiem podejrzewanym o zabójstwo swojej pierwszej żony Eugenii Livanos, siostry Tiny. Dla Onasisa związek matki jego dzieci z Niarchosem był nie do zniesienia. Jego syn Alexander, dowiedziawszy się o tym, obraził się na nią. Christina, bardziej niezrównoważona, przyjęła smutną wiadomość na swój zwykły sposób: zażywając sporą dawkę leków. Po raz pierwszy w życiu potężny armator czuł, że wszystko wymyka się mu spod kontroli: dzieci, małżeństwo, interesy, pierwsza żona.

Podczas pobytu w Nowym Jorku Maria spotkała się z Giuseppe Di Stefano, sławnym włoskim tenorem, egocentrycznym gwiazdorem, z którym występowała przed piętnastu laty. Di Stefano, który znajdował się w podobnej sytuacji jak Maria – cieszył się wielką sławą, ale nie miał już takiego głosu jak dawniej – zaproponował jej spektakularny powrót na scenę: oto dwoje legendarnych śpiewaków wystąpi znów razem. Maria była nie do końca przekonana i straszliwie obawiała się porażki. Jednak Di Stefano, mężczyzna wciąż jeszcze przystojny i uwodzicielski, nie tylko zachęcił ją do wystąpienia przed publicznością, lecz zaczął z nią dyskretnie romansować. Opuszczona przez Onasisa, pragnęła czuć się kochana jako kobieta, a przy okazji pokazać Aristowi, że ciągle jest w formie.

Nim rozpoczęło się tournée koncertowe Marii po świecie, w towarzystwie Di Stefano, Maria i Onasis poczuli się połączeni w bólu. Czwartego grudnia 1972 roku Maria straciła ojca, a jej cierpienie pogłębiał fakt, że od dawna się z nim nie kontaktowała. Dowiedziawszy się kiedyś od ojca chrzestnego, że ojciec w końcu ożenił się z Alexandrą Papajohn, zerwała z nim wszelkie stosunki i teraz żałowała straconych lat. Z kolei Onasis otrzymał 22 stycznia druzgocącą wiadomość: awionetka jego syna Alexandra rozbiła się wkrótce po starcie na lotnisku w Atenach. Pomimo swej milionowej fortuny armator nie mógł wrócić życia dwudziestopięcioletniemu synowi.

Kilka dni po pogrzebie Alexandra na Skorpios kompletnie załamany Onasis zadzwonił do drzwi mieszkania Marii. Pokojówka Bruna tak wspominała rozdierającą scenę: „Maria czekała na niego w salonie, Aristotelis objął ją i płacząc, wyszeptał: «Mój syn odszedł. Nic mi już nie pozostało». Pani, głosem ściśniętym ze wzruszenia, zawołała: «Gdyby nasz syn nie umarł!»”. Maria wciąż kochała Onasisa i widok przyjaciela załamanego i pokonanego wstrząsnął nią. W ciągu 1973 roku, tak tragicznie rozpoczętego, Maria była jedyną pociechą dla armatora. Interesy szły mu coraz gorzej w związku ze światowym kryzysem naftowym. Spędzając długie godziny przy grobie syna na Skorpios, jeszcze bardziej oddalił się od Jackie, przestał spotykać się z przyjaciółmi i organizować luksusowe rejsy na swoim jachcie.

Przy takim obrocie spraw, mimo że Onasis błagał ją, by tego nie robiła, Maria zgodziła się odbyć z Di Stefano trwające siedem miesięcy męczące tournée

po ośmiu krajach. Aristo, który potrzebował jej teraz bardziej niż kiedykolwiek, zapewniał, że bardzo żałuje i że rozwiedzie się z Jackie, żeby ożenić się z nią. Tym razem pewnie faktycznie miał taki zamiar, lecz propozycja przychodziła zbyt późno. Maria pragnęła jedynie zapomnieć. „Mówi mi o rozwodzie, tak jak wcześniej mówił o małżeństwie – komentowała deklaracje Onasisa w rozmowie z przyjaciółką. – Nie jestem tak naiwna, żeby mu uwierzyć, póki nie będę miała w ręku papieru”.

Po ośmiu latach nieobecności Marii na scenie zapowiedź jej występu w Hamburgu, 25 października, wywołała wielkie oczekiwania, niemniej tournée okazało się największą klęską artystyczną w całej karierze śpiewaczki. Maria Callas była wciąż tą samą wielką aktorką dramatyczną, ale głos odmawiał jej posłuszeństwa, zdrowie również. Związek z Di Stefano układał się burzliwie jak kiedyś, stale ujawniały się między nimi napięcia, a odwoływanie koncertów w ostatniej chwili wywoływało furję publiczności. Żeby przetrwać towarzyszący temu stres, Maria nadużywała coraz bardziej lekarstw i jej udręka rosła. Jedenastego listopada 1974 roku w Sapporo w Japonii Maria Callas, schorowana i udręczona kłopotami z bardzo bolesną przepukliną, po raz ostatni zaśpiewała na scenie.

W czasie pobytu w Japonii dowiedziała się z prasy, że w swoim domu w Paryżu zmarła Tina Livanos. Podobnie jak Onasis, nie podźwignęła się z bólu po tragicznej śmierci Alexandra i uzależnienie od lekarstw i alkoholu przyspieszyło jej zgon. Armator po kolejnym dramacie rodzinnym wrócił załamany do Nowego Jorku, gdzie poddał się leczeniu szpitalnemu w związku z poważną miastenią, chorobą powodującą degenerację mięśni twarzy – jego powieki musiały być przytrzymywane przyklepcem, żeby nie opadały. Maria nie wiedziała wówczas, że adwokaci Onasisa przygotowują pozew rozwodowy, gdy tymczasem on sam próbuje pozbierać się po bankructwie towarzystwa lotniczego Olympic Airways. Po sześciu i pół roku małżeństwa armator, chory i wyczerpany, pragnął jedynie rozwieść się z kobietą, którą winił za wszystkie swoje nieszczęścia. Widząc, że kres się zbliża, zredagował nowy testament, zapisując Jackie jedynie to, co potwierdzał kontrakt małżeński, i próbując zachować imperium związane z budową statków dla córki Christiny.

Na początku lutego 1975 roku Aristotelis Onasis z powodu kamicy dróg żółciowych został znów przyjęty do szpitala amerykańskiego w Paryżu. Miał ze sobą czerwony kaszmirowy koc marki Hermès, podarowany przez Marię na jego siedemdziesiąte pierwsze urodziny. Dzień wcześniej zadzwonił do niej wieczorem potajemnie, żeby powiadomić ją o planowanej operacji. Maria, dowiedziawszy się, że po operacji jego stan się pogorszył, postarała się go odwiedzić. „Zobaczyłam Ariego w szpitalu, na łożu śmierci; wydawał się spokojny i pogodzony z losem. Był bardzo chory i wiedział, że kres jest bliski, choć próbował to zignorować. Nie

mówiliśmy o dawnych czasach ani właściwie o niczym, tylko porozumiewaliśmy się w milczeniu. Gdy odchodziłam, podźwignął się i powiedział mi: «Kochałem cię; nie zawsze tak jak trzeba, ale najlepiej, jak umiałem. Staralem się»”.

Nie wiadomo, czy to wzruszające pożegnanie było prawdą, czy produktem wyobraźni kobiety, która widzi, jak życie kochanego ciągle człowieka z wolna gaśnie. Na początku marca Maria wynajęła dom w Palm Beach na Florydzie, by uciec przed piekłem przeżywanym w Paryżu. Po kilku dniach, 15 marca 1975 roku, miała się dowiedzieć o śmierci Arista. „Nagle zostałam wdową”, wyznała przyjaciółce, głęboko poruszona. Nie mogła wziąć udziału w pogrzebie kochanka na wyspie Skorpios, gdzie Onasis spoczął obok ukochanego syna Alexandra. „Oficjalnie Jackie została wdową, jednak my, którzy długo znaliśmy Aristotelisa, współczuliśmy Marii. Ona kochała go najbardziej, i to przy niej chyba najbardziej cieszył się życiem”, podsumował kapitan jachtu Christina.

W maju śpiewaczka wróciła do Paryża i zamknęła się w swoim apartamencie w alei George’a Mandela. W ciągu kolejnych miesięcy przeżywała mocno śmierć niektórych spośród dobrych przyjaciół – Viscontiego, Pasoliniego. Rzadko opuszczała swoje lokum, gdzie czuła się chroniona przed światem, który bez ukochanego nie miał już dla niej żadnego uroku. Dni mijały jej na oglądaniu westernów, graniu w karty ze służbą. Otoczona pamiątkami z przeszłości, nadużywała coraz bardziej środków nasennych. Była cieniem siebie samej i wystarczało jej patrzeć na świat przez wielkie okna salonu – w takim momencie uchwycił ją pewien fotograf na słynnym zdjęciu.

Ona, zawsze tak zadbana, która nie wychodziła z domu bez makijażu, roztyła się i zrobiła na powrót niezgrabna i pozbawiona wdzięku, jak w młodości. Wielka Callas u schyłku życia stała się znowu samotną, zakompleksioną dziewczyną, Marią Kalogeropoulos, która czuje się kochana jedynie za swój głos. Straciła teraz ów boski dar, straciła jedynego mężczyznę, którego kochała do desperacji. I tak oto rankiem 16 września 1977 roku diwa uznała, że nadszedł finał przedstawienia. Według relacji pokojówki Bruny śpiewaczka, po śniadaniu zjedzonym w łóżku, osunęła się na podłogę jak jej tragiczne bohaterki operowe. Miała pięćdziesiąt trzy lata, ale straciła ochotę do życia. Opadła kurtyna na życie naznaczone namiętnością równie silną, jak wyczerpującą, która wyniosła ją na Olimp sztuki operowej, ale złamała jej serce.

Coco Chanel



Triumf woli

*Samotność ukształtowała mój charakter –
który stał się zły; utwardziła moje serce – które stało się dumne;
zahartowała moje ciało – które stało się wytrzymałe.*

Coco Chanel

Z obawy, by dziennikarze nie grzebali w jej przeszłości, wymyśliła sobie idylliczne dzieciństwo – którego naprawdę nigdy nie miała. Być córką samotnej matki i obwoźnego sprzedawcy, który zostawił rodzinę, to nie jest najlepsza wizytówka dla kobiety będącej niekwestionowaną królową francuskiej haute couture. Coco Chanel sprytnie oszukała wszystkich, którzy próbowali szperać we wczesnych latach jej życia. Lubiła zwodzić, zmieniając wedle własnego kaprysu daty, miejsca i sytuacje. Nie napisała wspomnień – wywołałyby skandal – chociaż zostawiła dla potomności niekończącą się listę lapidarnych powiedzeń i myśli zdradzających bystrość i wizjonerski sposób widzenia.

To dość niezwykle, że twórczyni najwyższego *glamour* była w rzeczywistości dziewczyną skromnego pochodzenia wychowywaną w sierocińcu przez zakonnice, które nauczyły ją szyć. A jednak Coco nie stałaby się tym, kim była, gdyby miała inne dzieciństwo. Ponieważ to właśnie buntowniczość – szczególne pragnienie rewanzu – ukształtowała prawdziwą osobowość stylistki. Mademoiselle miała wielką ochotę odciąć się od swojej ubogiej przeszłości, od wyniosłych dam z wyższych sfer, które w jej dzieciństwie patrzyły na nią z góry. Ubrała je wszystkie na czarno, obsypała fałszywymi klejnotami, odebrała wartość sobolom, chowając ich futro w podpince płaszczy nieprzemakalnych, spopularyzowała dzianiny. „Pozwoliłam sobie nadać wygląd nędzarek arystokratkom i multimilionerkom”, mówiła ze zwykłą ironią.

Coco była człowiekiem walki, samotnym długodystansowcem, kobietą, która potrafiła niczym kameleon przystosować się do sytuacji, w jakiej przyszło jej żyć, dumną z tego, że wszystkiego nauczyła się sama. Stała się jednym z pierwszych przedsiębiorców w kraju; w szczytowym momencie kariery zatrudniała trzy tysiące osób i prowadziła sklepy w Paryżu, Deauville, Biarritz. Zrewolucjonizowała modę i swoimi śmiałymi pomysłami wyemancypowała kobiety. Skończyła z gorsetami i fiszbinami, z taliami osy i ciężkimi kapeluszami; wymyśliła ubrania sportowe, najczęściej w historii noszony kostium, sztuczną biżuterię i pierwsze perfumy

firmowane przez projektanta, legendarne Chanel No. 5.

Projektowała tak, jak żyła, bez krępujących więzów czy z góry ustalonych reguł. Nie była najlepszą modystką swoich czasów, ale była najbardziej wpływową projektantką XX wieku. Jadała z Winstonem Churchillem i księciem Walii, wielkim przepychem obsypywał ją książę Westminsteru, była przyjaciółką Picassa, Cocteau i Strawińskiego. Jednakże ta wielka dama haute couture, kobieta twarda, zaradna, o ciętym języku, według jednych obdarzona zniewalającym wdziękiem, według innych baba z piekła rodem, nie znalazła w życiu prawdziwego szczęścia. Na krótko przed śmiercią, w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat, była wciąż samotną sierotką, którą kiedyś zostawił ojciec. „Byłam bardzo nieszczęśliwa w życiu, które z zewnątrz wydaje się olśniewające”, zwierzyła się przyjacielowi, Paulowi Morandowi.

Zawsze do przodu

Jeanne Devolle miała dziewiętnaście lat, kiedy urodziła małą Gabrielle Bonheur Chanel – bardziej znaną jako Coco Chanel – w przytułku w Saumur w Kraju Loary. Ojciec dziecka, Albert Chanel, był obwoźnym handlarzem, pochodzącym z miasteczka Pontails, gdzie jego przodkowie prowadzili oberżę, sięgającą tradycją XVIII wieku i pozostającą w rękach rodziny od pokoleń. Przystojny chłopak, powszechnie uważany za fanfaroną i oszusta, wędrował po jarmarkach i odpustach południa Francji, sprzedając swoje produkty. Dziewczynka była drugą córką tej pary, wówczas żyjącej bez ślubu. Albert nigdy nie brał odpowiedzialności za swoje dzieci – mieli ich w sumie pięcioro – i po każdym nowym rozwiązaniu zostawiał żonę. Jeanne przeżyła krótkie życie, rodząc dzieci jedno po drugim, znosząc niewierność męża i błakając się ze swoją gromadką po rynkach i jarmarkach.

W życiu matki Gabrielle, ubogiej wieśniaczki, dominowały bieda i upokorzenia. Była młodą dziewczyną, kiedy poznała „panicza” Chanela, bawiącego akurat w jej rodzinnej wiosce Courpière. Sprzedawca, chłopak wesoły i przystojny, uwiódł ją z łatwością i zostawił w ciąży, znikając bez śladu. Był rok 1882, Jeanne znalazła się sama i bez jakiegokolwiek pomocy, z dzieckiem w drodze. Nie chciała się zgodzić na los samotnej matki, więc będąc w dziewiątym miesiącu, przebyła przeszło dwieście kilometrów, by odnaleźć kochankę w oberży w miejscowości Aubenas. Kilka dni później urodziła swoją pierworodną, Julie. Albert dał dziewczynie wyraźnie do zrozumienia, że nie ma pieniędzy na utrzymanie jej ani dziecka, zgodził się jednak uznać dziewczynkę za swoją, choć nie chciał się żenić.

Jeanne z niemowlęciem zatrzymała się z Albertem w Saumur. Wynajęli tam

nędzną mansardę. Trzy miesiące po urodzeniu Julie Jeanne znów była w ciąży. Kochanek tymczasem rzadko pokazywał się w domu – pił w oberżach albo wędrował ze swoim towarem. Dziewiętnastego sierpnia 1883 roku, kiedy rodziła Gabrielle, jej towarzysza też z nią nie było. Dziecko ważyło bardzo mało i matka obawiała się, że nie przeżyje. Nie mając dla córki imienia, wybrała przypadkowe. Coco opowiadała: „Zakonnica, która się mną zajmowała, nazywała się Gabrielle Bonheur. Jako że matka nie miała zbyt wiele wyobraźni, ochrzciła mnie jej imieniem i nazwiskiem. Nazywałam się Gabrielle Bonheur Chanel. Nie wiedziałam o tym. Długi czas nie miałam o tym pojęcia”. Matka zapisała dziewczynkę pod nazwiskiem Chanel, choć nie miała z Albertem ślubu. Projektantka do końca życia strzegła sekretu swoich narodzin.

Gdy Gabrielle skończyła rok, jej rodzice się pobrali. Ślub nie zmienił chłodnych, obojętnych relacji między nimi. Jeanne, kobieta uległa i łagodnego usposobienia, dość już miała życia pełnego poświęceń i lekceważenia ze strony męża. Wkrótce znów zaszła w ciążę, Albert zaś dalej wędrował po jarmarkach i zalecał się do młodych wieśniaczek. Na koniec osiedlili się w Issoire, niedaleko linii kolejowej, w miejscowości, w której co dzień odbywał się wielki targ. Rodzina Chanel często zmieniała miejsce zamieszkania, ponieważ jednak brakowało pieniędzy, zawsze były to nędzne pokoje, wilgotne i ciemne. Po Julie i Gabrielle przyszli na świat Alphonse, Antoinette – ulubiona siostra Coco – i wreszcie Lucien. W roku 1887 Jeanne, na skutek licznych ciąż i trudnych warunków życia wśród ustawicznych przeprowadzek, miała już mocno nadszarpnięte zdrowie. Pracowała po wiele godzin dziennie na straganach, zawsze pod gołym niebem, była bardzo wychudzona i wynędzniała. Postanowiła wrócić z pięciorgiem dzieci do swojej rodzinnej wsi Courpière, gdzie wszyscy zamieszkali u krewnych.

Mała Coco w tej właśnie wiosce spędziła najlepsze lata swego smutnego dzieciństwa. Matka nie miała dla niej zbyt wiele czasu, toteż dziewczynka czuła się bardzo samotna. Mając zaledwie pięć lat, chodziła na stary cmentarz przy kościele bawić się szmacianymi lalkami wśród zarośniętych trawą, opuszczonych grobów. Tak opowiadała Paulowi Morandowi o tym epizodzie swego życia: „Byłam królową tego tajemniczego ogrodu. Bardzo pociągali mnie jego podziemni mieszkańcy. Umarli nie są umarłymi, myślałam, dopóki o nich pamiętamy. Najbardziej lubiłam dwa anonimowe groby. Ta granitowa i bazaltowa płyta to był mój pokój zabaw. (...) Swoje smutki i radości powierzałam owym dwóm milczącym towarzyszom; ich wiecznego snu nie mogła zmącić mała dziewczynka”. Mimo że rodzice próbowali ją odciągnąć od tego miejsca, to ilekroć jej się udawało, uciekała z domu, chroniąc się na małym cmentarzyku. Już jako dojrzała kobieta Coco Chanel mówiła dziennikarzowi „France-Soir”, że rzeczywiście w dzieciństwie rozmawiała ze zmarłymi, może dlatego, że brakowało jej serdeczności rodziców. Przyznawała też, że pierwszymi istotami, przed którymi

otwierała serce, byli zmarli pochowani pod zimnymi płytami nagrobnymi.

W 1889 roku dziewczynkę spotkało nieszczęście – jej matka zmarła na gruźlicę. Pewnego ranka znaleziono ją martwą w jej lodowatym pokoju w Brive-la-Gaillarde. Miała trzydzieści dwa lata. Albert był jak zwykle w podróży. Dowiedziawszy się o śmierci żony, wrócił do dzieci, by powierzyć je opiece dziadków, mieszkających wówczas w Vichy. Gabrielle nigdy nie zapomniała przedwczesnej śmierci matki i odejścia ojca. „Chciałam się zabić. Pragnęłam jedynie być kochana. Każdego dnia zastanawiałam się, jak odebrać sobie życie, choć w głębi duszy właściwie już byłam martwa. Tylko duma mnie uratowała”. Duma, która po latach miała zaowocować szczególną zemstą: tak ubrać damy z towarzystwa, by przeobrazić czarny mundurek z sierocińca w symbol elegancji i dobrego smaku.

Coco Chanel, gdy już była kimś w świecie mody, bardzo chętnie fantazjowała na temat swego dzieciństwa, wymyślając rodzinę z prowincji, istniejącą tylko w jej wyobraźni. Opowiadała dziennikarzom, że po dramatycznej śmierci matki zajęły się nią ciotki. Nie przechodziły jej przez usta słowa „sierociniec” czy „porzucenie”. W rzeczywistości rzekome ciotki, „posiadające piękny dom i liczną służbę” w Owernii, były to po prostu zakonnice z klasztoru sierocińca w Aubazine, niedaleko Brive-la-Gaillarde. Coco tak długo powtarzała historyjkę o wielkodusznych ciotkach, że wreszcie sama uwierzyła w ich istnienie: „Byłam niesprawiedliwa w stosunku do znienawidzonych ciotek. Wszystko im zawdzięczam. Dziewczynka, która jest krnąbrna, staje się potem osobą silną i uzbrojoną w pancerz. Nic tak nie niszczy dzieci jak całowanie, pieszczoty, nauczyciele i witaminy; dzieci robią się osowiałe i wyrastają na cherlawych dorosłych”.

Po śmierci Jeanne wnukami musiała zająć się babcia ze strony ojca, Virginie Fournier. Kobieta ta, pochodząca z dobrej rodziny z rejonu Nîmes, wyszła za obwoźnego kupca i prowadziła z nim cygańskie i awanturnicze życie. Słynąca z urody pani Fournier – podobno Coco była jej żywym portretem – miała gromadę dzieci i nie mogła zajmować się piątką rodzeństwa Chanel. Jako że kiedyś pracowała jako pracznica w klasztorze Moulins i była w dobrych stosunkach z matką przełożoną, bez większych trudności zdołała umieścić swoje trzy wnuczki w sierocińcu w Aubazine, prowadzonym przez siostry ze Zgromadzenia Najświętszego Serca Maryi. Tam miało upłynąć najbliższe sześć lat życia Coco, najsmutniejsze i najcięższe ze wszystkich. Bracia Alphonse i mały Lucien zostali oddani do gospodarstwa rolnego, gdzie pracowali dla właścicieli w zamian za dach nad głową i miskę strawy. „Nie było dzieciństwa mniej radosnego niż moje”, skarżyła się Coco.

W Gabrielle słowo „sierota” wywoływało bunt; dziewczynka nie przyjmowała do wiadomości, że ojciec ją porzucił. Swym towarzyszkom mówiła,

że ojciec zostawił ją na jakiś czas, gdyż wyjechał do Ameryki, żeby się tam dorobić, i niedługo po nią wróci. W rzeczywistości już nigdy go nie zobaczyła. Przy tym wszystkim nie żywiła do niego urazy. Zawdzięczała mu nazwisko, które z czasem miało stać się synonimem pewnego stylu ubierania się i oznaką gustu. Być może zawsze dlatego wyrażała się o ojcu życzliwie, opowiadała nawet dziennikarzom, że to on nadał jej imię Coco, co nie było prawdą. „Kiedy byłam dziewczynką, nazywał mnie *petite Coco*. Gdy podrosłam, zniknął przymiotnik i został sam rzeczownik Coco. W końcu Coco brzmi efektowniej niż Gabrielle, prawda?”

Sierociniec Aubazine, położony na szczycie wzniesienia, między starym opactwem a ruinami średniowiecznego klasztoru, sprawiał przygnębiające wrażenie. Główny budynek otaczały wysokie mury, a środkowe podwórze było ogrodzone. To miało być więzienie dzieciństwa Coco, miejsce, w którym z upokorzeniem znosiła traktowanie siebie jako sieroty. W tamtym czasie w sierocińcu przebywały dwie grupy dziewczynek. Jedną stanowiły te, które miały bliskich krewnych płacących częściowo za ich utrzymanie, drugą – dziewczynki, które nic nie płaciły, ponieważ nie miały rodziny czy kogoś bliskiego, kto mógłby pokrywać wydatki. Dziewczynki porzucone, jak siostry Chanel, mieszkały w najgorszych warunkach: spożywały posiłki przy osobnych stołach, nie dojadły, w ich sypialni nie było ogrzewania i wykonywały najcięższe prace.

Z czasów spędzonych w sierocińcu pozostały we wspomnieniach Gabrielle dwa kolory: biały i czarny. Mury budynku i ściany w środku były pobielane, kontrastując z pomalowanymi na czarno drzwiami do pokojów. Dziewczynki chodziły ubrane w jednakowe mundurki: czarna spódnica i śnieżnobiała bluzka. Nauka w Aubazine ograniczała się do szycia, między innymi ubranek dla niemowląt. Proste i eleganckie projekty Coco nosiły piętno tamtej surowej estetyki z jej dzieciństwa. „Ileż wyrażała tęsknotę za prostą surowością, podstawową schludnością, twarzą wyszorowaną szarym mydłem, albo czuła narastającą nostalgię za bielą, prostotą, czystością, białą bielizną poukładaną w przepastnych szafach, bielonymi ścianami (...), należało zrozumieć, że używała tajemnego szyfru i że wszystkie wymawiane przez nią słowa i każde osobno sprowadzały się do tego jednego: «Aubazine»”, napisała jej biografka Edmonde Charles-Roux.

Gabrielle była dziewczynką dumną, ładną, o żywej inteligencji, i wiedziała, że jest inna niż wszystkie. Z natury niepokorna, uważała się za ofiarę straszliwej niesprawiedliwości, której dopuścili się ojciec i babcia, umieszczając ją w tym smutnym miejscu. Sierociniec Aubazine, ze swoimi surowymi regułami i dyscypliną, nie był miejscem odpowiednim dla dziewczynki trudnej i butnej. Coco nie chciała klękać na mszy, schylać głowy, wypełniać poleceń. „Byłam utrapieniem, łobuzem, podsłuchiwałam pod drzwiami. Dziś, tak jak wtedy, buta jest obecna we wszystkim, co robię: w mojej mimice, w szorstkości głosu, ogniu

spojrzenia, w mojej twarzy nerwowej i zachmurzonej, w całej mojej osobowości”, przyznawała otwarcie.

Jej jedyną ucieczką stanowiła lektura powieści w odcinkach, ukazujących się w prowincjonalnych gazetach, chowanych przez nią na strychu. Opowiadały one historie dziewcząt śmiałych i eleganckich, które stawały się heroinami. Te romantyczne, sentymentalne powieści, czytane przez klasy niższe, opisywały ze wszystkimi szczegółami ubiór bohaterek oraz bogaty wystrój wnętrz, w których rozgrywały się wydarzenia. Gabrielle w tych zakazanych lekturach dzieciństwa odnajdywała wzór pozwalający jej wykreować obraz samej siebie jako kobiety odważnej i zwycięskiej. „Przede wszystkim nie chciałam uchodzić za małą prowincjuszkę. Kłamałam, by traktowano mnie serio. Utożsamiałam się z bohaterkami swoich powieści. Pierre Decourcelle pisał mnóstwo drukowanych w odcinkach powieści, z których bardzo wiele zaczerpnęłam. Żeby nie wyglądać na tę, którą byłam, zmieniałam się w jedną ze swoich bohaterek”.

Siostry Chanel spędzały wakacje z dziadkami w Moulins, nad rzeką Allier, gdzie dziadkowie mieli stragan na targu. Gabrielle zawsze najbardziej cieszyła się na spotkanie z Adrienne, najmłodszą córką babci Virginie, zaledwie dwa lata starszą od niej. Obie wyglądały na siostry i były nierozłączne – ładne, eleganckie, o podobnych upodobaniach. Nieraz odwiedzały ciotkę Louise, siostrę ojca, mieszkającą przy stacji kolejowej Varennes-sur-Allier, niedaleko Moulins. To Louise nauczyła młodą Coco szyć z wyobraźnią, będąc dla niej prawdziwą inspiracją. W kuchni u ciotki wszystkie trzy spędzały długie godziny, szyjąc eleganckie obrusy i komplety pościelowe. Gabrielle nauczyła się odświeżać stare koszule – wykorzystując na kołnierzyki ścińki – i ozdabiać kapelusze kupowane przez ciotkę w Vichy.

Po ukończeniu osiemnastu lat opuściła sierociniec w Aubazine, w którym zostawały jedynie dziewczęta pragnące wstąpić do nowicjatu. Babci Virginie udało się dzięki pomocy zakonnic umieścić wnuczkę w ośrodku zakonnym w Moulins. W internacie Notre Dame, surowej szkole dla dziewcząt, w której przygotowywało się je do roli dobrej gospodyni i wzorowej małżonki, Gabrielle spędziła kolejne dwa lata. Zakonnice nie pozwalały podopiecznym na samotne spacery; dziewczęta były stale pod kontrolą. Dwudziestoletnia Gabrielle została powierzona opiece pewnej zacnej rodziny posiadającej znaną szwalnię w Moulins, dawnej Casa Grampayre. Dziewczęta rekomendowane przez zakład Notre Dame, takie jak ona i Adrienne, obsługiwały klientów jako sprzedawczynie, a także szyły w warsztacie. Coco, bardzo zręczna w szyciu – choć nigdy się za taką nie uważała – zajmowała się poprawkami krawieckimi w sklepie.

Po półtorarocznym pobycie w Casa Grampayre Gabrielle i Adrienne przeniosły się do wynajętego pokoju w najuboższej dzielnicy Moulins. Gdy rozeszła się wieść, że siostry Chanel – wszyscy uważali je za siostry ze względu na

wielkie podobieństwo fizyczne, a one nie zaprzeczały – zamieszkały samodzielnie przy ulicy Pont Guinguet, wiele szacownych klientek Casa Grampayre przychodziło wprost do nich, by obstałowywać suknie. W krótkim czasie Coco stała się cenioną i popularną krawcową. W niedzielę rano, żeby zarobić dodatkowo, naprawiała w warsztacie krawieckim eleganckie mundury oficerów pułku kawalerii.

Na pierwszych zachowanych zdjęciach Gabrielle widać dziewczynę o oryginalnej urodzie, głęboko osadzonych piwnych oczach, gęstych brwiach i lekko zadartym nosie. Długie bujne włosy są zebrane w kok nad karkiem. Gabrielle była szczupła, niewysoka, ale zgrabna. Odznaczała się elegancją, może nawet wyniosłością, i silnym charakterem. Już wówczas ona i Adrienne projektowały sobie sukienki i dwuczęściowe garsonki, wygodne, o prostym kroju. Ich bluzki z zaszewkami i oryginalnymi stójkami, ozdobione kwiatami słomkowe kapelusze zwracały uwagę w tym czasie, na przełomie wieków, kiedy kobiety ubierały się niezbyt twarzowo i zgoła nie po kobiecemu.

W roku 1900 w Moulins znajdował się ważny garnizon wojskowy oraz liczne sale taneczne, w których stacjonujący żołnierze spędzali wolne chwile. Spośród wszystkich odkomenderowanych tam pułków największy podziw budził 10. Pułk Lekkiej Kawalerii, złożony w większości z młodych mężczyzn z rodzin arystokratycznych. Żołnierze, w szkarłatnych spodniach i noszonych na bakier spiczastych czapkach, odwiedzali kawiarnie, w których występowały piękne dziewczęta. Gabrielle, śmiała i zalotna, szybko stała się ulubienicą przystojnych oficerów, którzy odwiedzali jej warsztat w związku z przeróbkami czy poprawkami krawieckimi. Po latach zamknięcia pozwalała się adorować i chętnie przyjmowała zaproszenia przystojnych poruczników, zabierających ją, zawsze w towarzystwie nieodłącznej Adrienne, do La Rotonde – popularnej w Moulins kawiarni, w której także odbywały się występy.

Któregoś dnia Gabrielle, zachęcona być może przez przyjaciół z 10. pułku, zdecydowała się wyjść na scenę w La Rotonde i zza pleców zaproszonych artystów wypełniać przerwy, śpiewając popularne piosenki. Nie miała dobrego głosu, a jej repertuar był dość skromny, niemniej musiała wkładać w występy wiele zaangażowania, otrzymywała bowiem hojne datki. Największe bodaj owacje wywoływała słynna kabaretowa piosenka zatytułowana *Qui qu'a vu à Coco?*, a także druga, którą Gabrielle śpiewała ze szczególnym wdziękiem: *Ko ko ri ko*. Jako że obie miały w refrenie słowo „coco”, publiczność i przyjaciele zaczęli ją w końcu nazywać *petite Coco*, małą Coco.

Pośród wszystkich młodych ludzi z 10. pułku, którzy zalecali się do Gabrielle, jeden podobał jej się szczególnie – był to Étienne Balsan. Ten oficer kawalerii, świeżo przybyły z Algieru, gdzie odbywał część służby wojskowej, w momencie poznania Coco miał dwadzieścia cztery lata. Wydaje się, że było to

wzajemne zainteresowanie. Pogodny, czarujący Étienne, doskonały jeździec, pochodził z bogatej rodziny mieszczańskiej, działającej w branży tekstylnej. Ukończywszy służbę w Pułku Kawalerii w Moulins, zajął się hodowlą koni i otworzył ośrodek szkoleniowy w Croix-Saint-Ouen, blisko Compiègne. Niedaleko stamtąd, godzinę drogi pociągiem z Paryża, wznosił się rodzinny zamek Royallieu, stara kamienna twierdza o murach porośniętych bluszczem.

Poznawszy Étienne'a, Coco zorientowała się natychmiast, że dzięki temu człowiekowi, swobodnemu i otwartemu, może wspiąć się po szczeblach drabiny społecznej. Uznała, że młody człowiek może ją wprowadzić w zamknięte kręgi wyższych sfer, choćby nawet miała zostać jego kochanką. Za wszelką cenę pragnęła opuścić Moulins; nie chciała żyć tak, jak żyła jej biedna matka. Choć wiedziała, że Balsan ma już oficjalną kochankę – znaną piękność o nazwisku Émilienne d'Alençon – to kiedy zaprosił ją, by przyjechała popatrzeć, jak ujeżdża swoje konie wyścigowe, chętnie przyjęła propozycję. Wiosną 1903 roku zamieszkała w Croix-Saint-Ouen, gdzie Étienne miał stajnie i gdzie nigdy nie zaglądała jego kochanka. Później oficer wprowadził ją do zamku Royallieu i przedstawił uwodzicielskiej Émilienne, która nie czuła się chyba zagrożona ani zazdrosna z powodu chudej dziewczyny ubranej jak pensjonarka.

Mimo skromnego pochodzenia Gabrielle była kobietą ambitną, przedsiębiorczą i nietuzinkową. W odróżnieniu od swojej ciotki Adrienne, której stabilizację dawało tylko małżeństwo, marzyła jej się niezależność, tę zaś można było zdobyć dzięki pieniądзом: „Myśląc tak nad sobą, spostrzegam, że potrzeba niezależności ukształtowała się we mnie, kiedy byłam jeszcze dziewczynką. Często słyszałam, jak rozmawiano o pieniądzach; przede wszystkim mówiły służące ciotek: «Jak będziemy mieć pieniądze, odejdziemy»”. Panicz Balsan, który zadurzył się w Gabrielle, oferował jej szansę bycia w życiu kimś, a ona nie miała zamiaru takiej szansy przepuścić. Oto znalazła protektora...

W rezydencji Royallieu, dwupiętrowym domu otoczonym rozległym ogrodem ze stuletnimi drzewami, życie płynęło szczęśliwie i beztrudnie: zabawy do świtu, polowania i wycieczki konne po lesie Compiègne. Przyjaciele Balsana byli w większości rozmiłowanymi w sportach arystokratami, właścicielami ziemskimi, grali w polo i uwielbiali konną jazdę. Młodzi, bogaci bon vivanci sprowadzali swoje przyjaciółki – nigdy żony – żeby dobrze się bawić w tej wspaniałej wiejskiej posiadłości. Na zachowanych z Royallieu zdjęciach Gabrielle wygląda na dziewczynkę otoczoną dorosłymi. Nigdy się nie uśmiecha, może dlatego, że nie czuje się jak u siebie wśród kobiet lekkich obyczajów i nieznanego sobie zbytku. „Nudziłam się bardzo – wspominała. – Ciągle płakałam (...). Jedyne miłe chwile były przejażdżki konne do lasu. Nauczyłam się jeździć konno, bo do tamtej pory nie miałam najmniejszego pojęcia o hippice”.

Przez pierwsze miesiące w Royallieu prawie nie wychodziła z domu. Całe

dnie przesypiała i czytała w swoim pokoju. Była inna niż pozostałe kobiety odwiedzające posiadłość – kokoty i rozwiązłe aktorki – i wszyscy goście z rozbawieniem słuchali jej opinii i komentarzy. Dla nich była prostą wieś-niaczką o ciętym języku, która mówi zawsze, co myśli, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. „Bawiło ich to. Spotkali człowieka, który mówi odważnie, co myśli. Ci bogaci mężczyźni nie mieli najmniejszego pojęcia, kim jest dziewczątko, które weszło w ich życie”. Kiedy jeden z zaproszonych mężczyzn przyjeżdżał w towarzystwie żony, Coco musiała jeść w kuchni, żeby swoją obecnością nie obrażać damy.

Jako że pasją Étienne’a były konie i młody człowiek całe dni spędzał na hipodromie, Gabrielle koniecznie chciała wziąć parę lekcji jazdy konnej. Pod koniec nauki jeździła jak amazonka. Nosila obcisłe spodnie, wysokie buty, koszulę z krawatem i melonik, spod którego widać było – rzecz niezwykła w tamtej epoce – jej długie włosy związane w koński ogon. Gdy zjawiała się na wyścigach, nie mogła nie zwracać na siebie uwagi. Wszyscy wiedzieli, że jest jedną z „utrzymanek” Balsana, zatem, by na taką nie wyglądać, ubierała się w sposób stonowany i oryginalny zarazem. „Nosila głęboko wciśnięty na oczy słomkowy kapelusik – wspominała – prowincjonalny kostiumik szyty na miarę, i przez lornetkę obserwowałam uważnie ćwiczenia. Byłam przekonana, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Ale nie znałam życia na prowincji. W rzeczywistości ta dziwnie wyglądająca, źle ubrana dziewczyna intrygowała wszystkich dookoła”.

Już wówczas Coco dawała dowody śmiałej wyobraźni. Chodziła zawsze na płaskich obcasach, w wygodnych męskich ubraniach – płaszczach, sportowych marynarkach z krawatami Balsana. Nie zdając sobie z tego sprawy, wcielała w życie nowy sposób pojmowania mody: uwolnić ciało kobiety, ubierając ją w męskie stroje. Już wówczas nie wahała się krytykować panującej mody: „Wszystkie te kobiety były źle ubrane, wtłoczone w pasy à la madame Parabère, podkreślające figurę, z talią ściśniętą tak, że wyglądały, jakby się miały przepołowić, obwieszane biżuterią. Modę dyktowały aktorki i kokoty, a biedne damy z wielkiego świata je naśladowały, z ptakami we włosach, doczepionymi kosmykami, w sukniach, które ciągnęły się po ziemi, zbierając błoto”.

Jednakże tym, co najbardziej zwracało uwagę w stroju Coco, był mały słomkowy kapelusik zrobiony przez nią samą. W roku 1910, kiedy damy nosiły ciężkie kapelusze z piórami i olbrzymimi kwiatami, przypominające torty, jej lekkie, proste kapelusiki wywoływały sensację wśród przyjaciółek Étienne’a. „Wszystkie te damy chciały wiedzieć, kto mnie ubiera, a przede wszystkim, kto mi robi kapelusze. Więc dobrze. Po prostu kupowałam formę w sklepie Galeries Lafayette i obciągałam czymkolwiek”, opowiadała. W krótkim czasie kurtyzany i aktorki bywające w Royallieu stały się jej pierwszymi klientkami i zaczęły nosić kapelusze, które zwracały uwagę prostotą i oryginalnym projektem.

W sierpniu 1908 roku Gabrielle skończyła dwadzieścia pięć lat i miała dosyć pozycji utrzymanki Balsana. Przebywając z nim, nauczyła się zachowywać swobodnie w towarzystwie, jeść elegancko – nawet ostrygi, których nie cierpiała – jeździć luksusowymi samochodami i rozmawiać z wysoko postawionymi osobami, które patrzyły na nią z góry. Wszystko to musiała przyswoić sobie sama, nikt jej niczego nie pokazywał, i w milczeniu znosiła upokorzenie bycia zawsze poniżej tych ludzi – światowych, swobodnych – z którymi teraz przestawała. Étienne nie był w niej zakochany, ani ona w nim, ale pomógł jej odkryć nowy świat. Oboje pozostali przyjaciółmi i do końca życia Coco nosiła na szyi podarowaną przez niego obrączkę z topazem. Znała już reguły gry i była gotowa wyruszyć w drogę. Choć tak młoda, wiedziała dobrze, czego chce: „Być czyjąś utrzymanką to absolutnie bez przyszłości”.

W czasach kiedy kobiety jej kondycji oczekiwały od mężczyzn tylko biżuterii i sukni, Coco zwróciła się do swojego opiekuna z prośbą, by sfinansował jej sklep z kapeluszami w Paryżu. Balsanowi, którego interesowały wyłącznie konie i rozrywki, taki pomysł wydał się chwilowym kaprysem. Widząc upór przyjaciółki, postanowił jednak spełnić jej prośbę i odstąpił Gabrielle swoją kawalerkę przy bulwarze Malesherbes. W tych dniach miał jechać w interesach do Argentyny, przedtem jednak poprosił Gabrielle, aby towarzyszyła mu na polowaniu organizowanym przez jego przyjaciół w Pau. Zatrzymali się we wspaniałym trzynastowiecznym zamku, w sielskim krajobrazie Pirenejów, i tam dane było Coco poznać wielką miłość życia.

„Był młody, pociągający, wyrafinowany. Bardzo przystojny chłopak, ciemnowłosy, uroczy. Więcej niż przystojny – cudowny. Podziwiałam jego spokój, jego zielone oczy. Jeździł na narowistych koniach, i to świetnie. Zakochałam się w nim...”. Anglik ten, wysoki brunet, opalony, o włosach nasmarowanych brylantyną, w typie Rudolfa Valentino, wtargnął w życie Gabrielle w najbardziej fortunnym momencie. Nazywał się Arthur Capel – dla przyjaciół Boy – i znakomicie grał w polo, a poza tym był niepoprawnym uwodzicielem. Odziedziczył wielkie kopalnie węgla w Newcastle, lecz w odróżnieniu od Balsana był człowiekiem ambitnym i pracowitym, jak Gabrielle. Od pierwszej chwili zainteresował się atrakcyjną dziewczyną towarzyszącą jego przyjacielowi Balsanowi. Kiedy Gabrielle zwierzyła mu się ze swoich planów otwarcia sklepu z kapeluszami w Paryżu, uznał to za znakomity pomysł i zaoferował jej pomoc.

Po skończonym polowaniu Gabrielle dowiedziała się, że Boy Capel wraca do Paryża, więc nie namyślając się ani chwili, spakowała walizkę i udała się na dworzec, aby się z nim spotkać. Według Coco – a stylistka opowiadała rozmaite wersje poznania jedyne go mężczyzny, którego w życiu kochała – on czekał na nią z otwartymi ramionami. Oboje wsiedli do pociągu. Étienne’owi zostawiła przed odjazdem list: „Odchodzę z Boyem Capelem. Wybacz mi, ale go kocham”. Byli

razem zaledwie od tygodnia, lecz wierzyli, że są dla siebie stworzeni. W Paryżu Boy mieszkał sam w eleganckim apartamencie przy alei Gabriel, i zaprosił Gabrielle do siebie. Spontanizm, szczerść, witalność tej prawie nieznannej mu dziewczyny naprawdę go urzekła. Już jako dojrzała kobieta Coco z nostalgią wspominała tamte początki: „Balsan i Capel litowali się nade mną; uważali mnie za biednego porzuconego wróbelka. W rzeczywistości byłam dziką bestią. Powoli uczyłam się życia, to znaczy uczyłam się radzić sobie w życiu. Byłam bardzo inteligentna, o wiele bardziej inteligentna niż teraz. Nie przypominałam nikogo, ani fizycznie, ani sposobem bycia. Lubiłam samotność. Z natury uwielbiałam to co piękne, a nienawidziłam tego co ładne. Zawsze mówiłam prawdę. Jak na swój wiek miałam bardzo wyrobione opinie”.

W 1910 roku Gabrielle zaczęła sprzedawać kapelusze w mieszkaniu, które udostępnił jej Étienne, a tymczasem Boy pilnował jej interesów w Londynie i Paryżu. Odniosła natychmiastowy sukces. Słomkowe kapelusze, kupowane na tuziny w Galeries Lafayette, ozdabiała według swego gustu i sprzedawała eleganckim przyjaciółkom Étienne’a – aktorkom i modelkom przemienionym w gwiazdy teatralne – bywającym w Royallieu. W roku 1912 aktorka Gabrielle Dorziat nosiła w sztuce *Bel Ami* Maupassanta stroje zaprojektowane przez Jacquesa Douceta, wielkiego dyktatora mody z ulicy de la Paix, i kapelusze firmy Chanel. Czasopismo „Les Modes”, najbardziej wpływowe pismo kobiece w Paryżu, uznało Coco za nowe objawienie wśród modystek, publikując zdjęcia Dorziat w oryginalnych, zaprojektowanych przez dziewczynę kapeluszach. Gabrielle nie miała formacji wielkich projektantów triumfujących w Paryżu, takich jak Worth, Doucet i Poi-ret, ale nie brakowało jej intuicji. Wiedziała, że mimo braku doświadczenia może wypełnić w świecie mody pewną lukę.

W pewnym momencie warsztat przy bulwarze Malesherbes stał się zbyt mały, by Gabrielle mogła w nim realizować wszystkie otrzymywane zamówienia. Zachęcona przez Boya, który wspierał ją materialnie, otworzyła swój pierwszy sklep na półpiętrze domu numer 21 przy ulicy Cambon, w samym sercu eleganckiej dzielnicy Paryża, niedaleko Ritza. Był rok 1910 i lokal, który Coco nazwała „Chanel Modes”, stał się – jest jeszcze dziś – jednym z jej emblematycznych sklepów. Powoli czasopisma zaczynały wspominać o jej oryginalnych kapeluszach, „chłodnych, prostych i eleganckich”, i klientki często przychodziły do sklepu z ciekawości; chciały ją poznać.

Miała już sklep, nie wiedziała jednak, jak prowadzić interesy ani jak traktować wymagające klientki, bywalczyńnię najelegantszych magazynów mód Wortha i Douceta. Potrzebowała kompetentnych ekspedientek i dobrych krawcowych. Po krótkim czasie udało jej się zatrudnić trzy najlepsze pracownice słynnego butiku Maison Lewis. Zaledwie trzy lata po otwarciu sklep przy Cambon zaczął przynosić dochody i Coco zwróciła Boyowi pożyczone od niego pieniądze.

Nareszcie stała się niezależna. „Sekretem mojego sukcesu jest praca. Nic nie zastąpi pracy – ani tytuły, ani równowaga ducha, ani łut szczęścia”.

Gabrielle znalazła w Boyu idealnego towarzysza, mężczyznę, który ją wspierał i w nią wierzył. Zawsze powtarzała, że poznanie go było dla niej wielkim szczęściem, ponieważ on nie gasił w niej ducha ani nie chciał jej zmieniać. Coco przez całe swoje burzliwe życie nie oszukiwała dziennikarzy tylko co do jednego: co do znaczenia, jakie miał dla jej losów Boy Capel. „Wiedziałam, że mogę na niego liczyć w każdej sytuacji; był prawdziwym kompanem, bratem, ojcem, całą moją rodziną. Jedynym mężczyzną, którego naprawdę kochałam w ciągu całego mojego życia”.

Triumf i ból

Po opuszczeniu Royallieu i założeniu własnej firmy Coco całkowicie zmieniła styl życia. Za nią pozostały kawiarenki Moulins, hipodromy i próżnowanie na wsi wśród ekscentrycznych przyjaciół Balsana. Paryż był dla niej prawdziwą inspiracją. Pod rękę z nowym kochankiem wchodziła w świat paryskiej socjety, poznawała osobistości życia artystycznego i literackiego, które miały wywrzeć wpływ na jej kreacje. W 1910 roku stolica Francji stanowiła centrum sztuki, elegancji i smaku życia. Była miejscem spotkań artystów i intelektualistów, miastem kosmopolitycznym, w którym rodziły się rozmaite nurty awangardy nowego wieku. Boy i Coco bywali w świecie, chodzili do Opery Paryskiej, w której wielkie triumfy święciły dzieła Richarda Wagnera, Ravela, Strawińskiego. Jadali kolacje u Maxima albo w Café de Paris, oglądali przedstawienia Baletów Rosyjskich Diagilewa, z ich elektryzującymi układami i nowoczesną, szokującą scenografią autorstwa Picassa.

Okres ten, do wybuchu wojny, należał do najszcześniejszych dla Coco. Dopiero wiadomość o nagłej śmierci jej najstarszej siostry Julie – której jedynym synem, André Palasse'em, miała się potem zająć – rzuciła cień na radość z powodu odniesionego sukcesu. Po stracie Julie Coco odczuła potrzebę wsparcia najmłodszej siostry. Dwudziestopięcioletnia Antoinette Chanel nie miała talentu Coco, ale była równie pracowita i śmiała. Wiosną 1913 roku ciotka Coco, Adrienne, i jej narzeczony, baron Nexon, również przenieśli się do Paryża. Znów zeszyły się razem trzy „siostry Chanel”, jak je nazywano, choć nie były to już młodziutki, naiwne dziewczęta z prowincji, jak w Moulins. Gdy Gabrielle otworzyła nowe sklepy, Antoinette została w Paryżu, prowadząc sklep przy ulicy Cambon, ciotka Adrienne natomiast udała się z Coco do Deauville.

Latem 1913 roku francuskie miasteczko Deauville, nad kanałem La Manche, było modnym kąpieliskiem, odwiedzanym przez arystokratów, milionerów na

wakacjach i damy z towarzystwa. Przy ulicy Gontaut-Biron, najelegantszej w mieście, Coco, korzystając z pomocy Boya Capela, przekonanego, że interes się rozkręci, otworzyła butik. Przy tej okazji pierwszy raz użyła swego nazwiska jako marki. Na markizie, czarnymi literami na białym tle napisane było: „Gabrielle Chanel”. Owe miesiące letnie miały kluczowe znaczenie dla jej kariery, ponieważ od projektowania kapeluszy przeszła do ubrań. Podczas wakacji w Deauville zdała sobie sprawę, że kobiety spacerują po plaży, nad brzegiem morza, w sukniach z gorsetami i w ciężkich kapeluszach ozdobionych owocami i kwiatami. Dla siebie i swoich przyjaciółek wymyśliła stroje sportowe i kąpielowe. Sama Coco, ze swoją smukłą, elegancką sylwetką, była najlepszą modelką: „Pewnego dnia włożyłam męski sweter, tak po prostu, bo było mi zimno. Było to w Deauville. Przewiązałam go w pasie chustką. Nikt nie zwrócił uwagi na to, jak byłam ubrana, ale z pewnością było mi w tym do twarzy; wyglądałam ładnie”. Tak narodził się jej styl sportowy.

Wymyślając modę sportową, Coco uwolniła ciało kobiety. Był to dopiero początek jej prywatnej rewolucji i koniec belle époque. Coco przeczuwała, że nadchodzi czas, kiedy zapanuje moda na stroje praktyczne i wygodne: „W roku 1914 nie było ubrań sportowych. Udział kobiet w imprezach sportowych był taki jak dam średniowiecznych w turniejach. Ściśnięte do samego dołu, bez jakiegokolwiek swobody w biodrach, nogach, nigdzie. (...) Jako że za dużo jadły, były grube, a jako że były grube, a nie chciały takie być, ścisnęły się ubraniami. Gorset podnosił tłuszcz do piersi, ukrywał go pod suknią. Wymyślając sweter, uwolniłam ciało, porzuciłam pasek (do którego wróciłam dopiero w 1930 roku), wykreowałam nową sylwetkę. Żeby się do niej dopasować, wszystkie moje klientki się odchudzały. «Szczupła jak Coco». Przychodziły do mojej firmy kupić szczupłość”.

W roku 1914 wybuchła wojna i Boy Capel poradził Coco, żeby schroniła się w Deauville. „Zatrzymało się tam wiele eleganckich kobiet – mówiła Coco. – Po jakimś czasie trzeba było nie tylko strzyc je i czesać, ale w związku z brakiem krawcowych, także ubierać. Miałam ze sobą tylko modystki. Przeobraziłam je w krawcowe. Brakowało materiałów. Robiłam im sukienki z szerokich swetrów, sportową odzież z dzianiny, taką, jaką nosiłam sama. Pod koniec owego pierwszego lata wojny miałam odłożone dwieście tysięcy franków w złocie...”. Dawna utrzymanka Balsana stała się jedną z pierwszych bizneswoman stulecia, a wkrótce jedną z najbogatszych kobiet w kraju.

Wraz z wybuchem wojny, w upalnym sierpniu 1914 roku Paryż prawie opustoszał. Dochodziło do zamachów, na ulicach panował strach. Rząd okopał się w Bordeaux, a życie towarzyskie przeniosło się do modnych miejscowości letniskowych, takich jak Deauville czy Biarritz. Boy Capel, zmobilizowany, telegrafował do Coco z Paryża, radząc jej, żeby nie zamykała sklepu. Był to jeden

z bardziej trafionych pomysłów. Klientki – w większości eleganckie panie z wyższych sfer paryskich, których mężowie walczyli na froncie i uciekali przed oblężeniem niemieckim – stały w kolejce przed jej sklepem, jedynym otwartym w mieście. Wszystkie pragnęły nabyć jej ostatnie modele, stroje praktyczne i lekkie, inspirowane uniformami lokajów, marynarzy i stajennych. Wymyślane przez Coco swetry z dzianiny sięgające poniżej bioder, proste lniane spódnice, marynarskie bluzy z rozpiętym kołnierzem i proste kapelusze bez ozdób cieszyły się wielkim powodzeniem. Jej sukienki nadawały się idealnie na zbliżające się nowe czasy, w których kobiety miały pomagać jako wolontariuszki w szpitalach albo pracować w fabrykach amunicji. Wojna, wbrew wszelkim przewidywaniom, przyniosła projektantce zysk.

W wieku trzydziestu lat Coco zdołała zajść dalej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażała. Na fotografii zrobionej na plaży w Deauville pozuje dumnie w jednym ze swoich strojów sportowych z dzianiny. Boy Capel wciąż dodawał jej ducha i wspierał ją we wszystkich inicjatywach, czuła jednak, że nie potrwa to długo. Mężczyzna o jego ambicjach politycznych i z jego majątkiem – Boy dorobił się na zaopatrywaniu aliantów w węgiel ze swoich kopalń i był ulubionym doradcą przyszłego premiera Clemenceau – nigdy nie ożeniłby się z kobietą taką jak ona. Martwiły ją jego częste nieobecności i docierające do niej plotki o jego nowych romansach. Nie okazywała jednak rozgoryczenia i koncentrowała się na pracy.

Gdy pod koniec 1914 roku sytuacja na froncie się ustabilizowała, Chanel zostawiła ekspedientkę w sklepie w Deauville i wróciła do Paryża ze swoją ciotką Adrienne i z Antoinette. Paryż wojenny był miastem zmęczonym i smutnym, które próbowało wrócić do normalności. Latem 1915 roku Boy dostał urlop i zaproponował Coco spędzenie kilku dni w Biarritz. Ta ekskluzywna miejscowość letniskowa na wybrzeżu atlantyckim była ostatnią redutą we Francji, w której można było zapomnieć o horrorze wojny. Ludzie odwiedzali kasyno, tańczyli do świtu w luksusowych hotelach albo grali w golfa. Starali się zabawić w mieście żyjącym rozrywką i przyjemnościami. W tych dniach odpoczynku obojgu, Boyowi i Coco, przyszedł do głowy pewien pomysł: otworzyć, jak w Deauville, butik w Biarritz. Znow kochanek pożyczył jej pieniądze i Coco wynajęła wspaniałą willę przy ulicy Gardères, dokładnie naprzeciwko kasyna. Tak narodził się jej pierwszy Dom Haute Couture.

Otworzywszy butik w Biarritz, Coco przeobraziła się w prawdziwą projektantkę. Namówiła swoją siostrę Antoi-nette, by jej pomogła, i ta przyjechała z Paryża z najlepszymi krawcowymi z warsztatu przy ulicy Cambon, aby stworzyć nową ekipę. Coco pierwsza zaczęła szyć sukienki z trykotu – używanego dotychczas wyłącznie w męskiej bieliźnie – i rezultat nie dał na siebie długo czekać. Dla projektantki, podróżującej bez przerwy z Paryża do Deauville i Biarritz, był to okres wytężonej pracy. Większa część produkcji wychodzącej

z warsztatów w Biarritz trafiała do Hiszpanii, gdzie wojna nie dotarła. Sukienki z tkaniny Rodiera, wygodne i eleganckie, miały wielkie wzięcie w kręgach hiszpańskiej rodziny królewskiej. W tamtym okresie w jej sklepach sprzedawane były sukienki po siedem tysięcy franków, a wśród klientek znajdowały się arystokratki i kobiety z różnych europejskich rodów królewskich.

W roku 1916, zaledwie kilka lat po otwarciu pierwszego sklepu przy ulicy Cambon, firma Chanel Modes zatrudniała trzysta pięćdziesiąt osób w trzech sklepach, w Paryżu, Deauville i Biarritz. Coco zarobiła w czasie wojny fortunę i wszyscy zaczęli o niej mówić. „Za pomocą czarnego swetra i dziesięciu sznurów pereł zrewolucjonizowała modę”, powie o niej Christian Dior. Stała się sławna i prestiżowy magazyn amerykański „Harper’s Bazaar” pierwszy opublikował zdjęcie jednej z jej kreacji: sukienki koszulowej. Wraz z końcem wojny pojawił się nowy model kobiety, i Coco, wiedzona swoją szczególną intuicją, potrafiła uchwycić potrzeby tej nowej generacji młodych kobiet, które pragnęły zapomnieć o niedostatku i zerwać z przeszłością – kobiet dynamicznych i przedsiębiorczych, prowadzących samochody, tańczących, uprawiających sport. „Pracowałam dla nowego społeczeństwa. Do tamtej pory ubieraliśmy kobiety beczynne, próżniacze, kobiety, którym pokojówki musiały wkładać pończochy. Teraz moimi klientkami były kobiety aktywne, które chciały czuć się w sukienkach swobodnie, chciały, żeby dało się podwinąć rękawy”.

Kiedy Coco była u szczytu kariery, po ośmiu latach związku Boy Capel wyznał, że zaręczył się z inną kobietą i wkrótce weźmie z nią ślub. Wybranką była młoda arystokratka, wdowa wojenna; nazywała się Diana Lister Wyndham i była córką barona Ribblesdale. Miała dwadzieścia pięć lat, była piękna, dystygowana i pochodziła z szanowanej rodziny angielskiej należącej do bogatej burżuazji. Ambicje polityczne Boya wymagały, by zawarł małżeństwo, nie zaś żył w wolnym związku. Coco, choć rozumiała, że Boy wybrał arystokratkę, a nie kobietę o niejasnej przeszłości, jaką była ona, czuła się zdradzona. Był to dla niej ciężki cios, niemniej przyjęła wiadomość ze zwykłym sobie opanowaniem. W głębi duszy wiedziała, że Boy wciąż jest w niej zakochany i że niedługo do niej wróci.

Mimo bólu, jaki sprawiło jej to zerwanie, nigdy nie mówiła o Boyu źle. Miłość i przyjaźń z człowiekiem, którego najbardziej kochała, były ponad wszystko. Wyprowadziła się po cichu z zajmowanego przez oboje apartamentu i zamieszkała w eleganckim mieszkaniu z widokiem na Sekwanę. W październiku 1918 roku kapitan Arthur Capel ożenił się ze swoją narzeczoną, Coco zaś jeszcze bardziej zaangażowała się w pracę. Wojna się skończyła. Paryż był miastem dotkniętym traumą, którego mieszkańcy musieli uporać się ze wspomnieniem wielu zabitych. Rany nie miały się tak szybko zabliznić, niemniej powoli ze wszystkich zakątków świata zaczęli ścigać do stolicy artyści, intelektualiści, uchodźcy ze Stanów Zjednoczonych i Rosji, kuszeni aurą wolności. W owych

„szalonych latach dwudziestych” Coco stała się absolutnym punktem odniesienia dla nowoczesnej kobiety.

Latem projektantka wynajęła dom na wzgórzu za miastem, w Saint Cloud. Było to miejsce zaciszne, z pięknym ogrodem, z którego roztaczał się wspaniały widok na Paryż. Chciała zapomnieć o Boyu, ten jednak znów pojawił się w jej życiu. Z dala od niej czuł się nieszczęśliwy i chociaż teraz miał władzę i żył w luksusie, uważał się za niewolnika konwenansów społecznych. Prowadził całkowicie odmienne życie niż kiedyś z Coco. W roku 1919 Boy i mademoiselle Chanel byli wciąż kochankami. Podczas pobytów w Paryżu Boy nocował zwykle w jej domu w Saint Cloud. Któregoś razu powiadomił ją, że jego żona spodziewa się dziecka, on zaś szuka mieszkania na zimę na Riwierze, żeby być bliżej niej.

W wigilię Bożego Narodzenia 1919 roku „The New York Times” opublikował wiadomość, która głęboko wstrząsnęła projektantką: „Dyplomata zginął w wypadku. Nicea, 24 grudnia. Arthur Capel, w czasie wojny sekretarz polityczny Komitetu Wojennego Aliantów, zginął przedwczoraj w wypadku samochodowym, w drodze z Paryża do Monte Carlo. Na skutek przebicia opony pojazd wpadł do rowu. Pan Capel był bliskim przyjacielem premiera Lloyd George’a”. Wracał od niej, jadąc w kierunku Cannes, kiedy jego samochód przeokołkował trzy razy i stanął w płomieniach. Coco jeszcze tej samej nocy została powiadomiona o tragicznym zdarzeniu.

Następnego dnia, w najsmutniejsze w jej życiu Boże Narodzenie, pojechała do Monte Carlo, gdzie zatrzymała się w domu siostry Boya. Nie zdążyła na pogrzeb, nie zdążyła nawet zobaczyć go ostatni raz, za to odwiedziła miejsce wypadku. Usiadła w milczeniu na słupku przy szosie, obok rozbitego samochodu, i wybuchnęła płaczem. Śmierć Boya pogrążyła ją w głębokim smutku; była o krok od kompletnego załamania: „Kiedy straciłam Boya Capela, straciłam wszystko. Pozostawił we mnie pustkę, której nie zdołał wypełnić upływ czasu. Miałam wrażenie, że on wciąż czuwa nade mną zza grobu”. Coco była prawdziwą wdową po Boyu Capelu. Jego żona, Diana Lister, wydała na świat córeczkę o imieniu June; później stała się hrabiną Westmoreland, wyszedłszy kolejny raz za mąż. Czowała wielki podziw dla Coco i była wierną klientką jej butików.

Po śmierci Boya Coco opuściła ich gniazdko miłości w Saint Cloud i kupiła willę – nazwaną Bel Respiro – w luksusowej dzielnicy Garches. Gdy była zajęta urządzaniem domu i przeprowadzką, otrzymała kolejną smutną wiadomość: jej siostra Antoinette, która wyszła za mąż za kanadyjskiego lotnika, zmarła w Buenos Aires na gripę hiszpankę. Z trzech sióstr Chanel pozostała przy życiu tylko ona. „W tej rodzinie nikt nie dożywał czterdziestki – mówiła. – Nie wiem, jak zdołałam uniknąć tak fatalnego losu”.

W tym trudnym momencie Coco poznała w domu aktorki Cécile Sorel jedyną kobietę, jaka miała na nią wielki wpływ, Misię Sert. „Nie lubię obracać się

wśród kobiet. Poza Misią żadna mnie nie bawi. Są bezmyślne. Ja jestem powierzchowna, ale absolutnie nie bezmyślna. Z wiekiem robię się coraz bardziej powierzchowna. Kobieta doskonała złości kobiety i nudzi mężczyzn”, tłumaczyła w rozmowie z Paulem Morandem. Piękna i urzekająca Misia, polsko-belgijskiego pochodzenia, nazywana królową Paryża, miała stać się najlepszą przyjaciółką i powiernicą Coco. To ona wprowadziła ją w artystyczny świat międzywojennego Paryża. Była mecenasem artystów, znakomitą pianistką, modelką Renoira i muzą awangardzistów. Jej trzecim mężem był malarz kataloński Josep Maria Sert, autor wspaniałych murali w hotelu Waldorf-Astoria i Rockefeller Center w Nowym Jorku. Za pośrednictwem Misi Coco poznała Picassa, Jeana Cocteau, Braque’a, Erica Satie, Diagilewa – duszę Baletów Rosyjskich – a także kompozytora Igora Strawińskiego. Jej podziw dla Misi nie miał granic: „Wystarczy jej posłuchać, by się poczuć inteligentną”.

Misia, chcąc podnieść przyjaciółkę na duchu po śmierci Boya, zapraszała ją na przyjęcia i spektakle. Firma Coco rozwijała się, a sama projektantka, budząc wielkie zaniepokojenie swoją osobą, wciąż odnosiła triumfy w świecie paryskim. Wcale się o to nie starając, stała się osobą, o której mówili wszyscy. Miała wówczas krótkie włosy i ubierała się w stylu *garçonne*, który upowszechnił się w latach dwudziestych. Na zdjęciach prezentuje się odmłodzona i opalona – od 1923 roku kobiety zaczęły się opalać – we własnych oryginalnych kreacjach, takich jak sukienka z dzianiny z ozdobami z futra, model sprzedawany w jej butikach, na którym zarobiła fortunę. W tym czasie, jeśli jakaś kobieta chciała być w Paryżu *chic*, musiała być ubrana przez Chanel. Projektantka zamieszkała w hotelu Ritz, choć zachowała dom na przedmieściach, w Garches, do którego zapraszała artystów i intelektualistów.

Misia wzięła ślub z Sertem w sierpniu 1920 roku i oboje zaprosili Coco, by pojechała razem z nimi na ich miodowy miesiąc do Włoch, kraju, którego ta nie знаła. „Sertowie wybawili mnie z załamania. Ale może lepiej by było, gdyby mnie zostawili. Bez przerwy płakałam. Zaciągnęli mnie do Włoch wbrew mojej woli”. Misia wydała w Wenecji przyjęcie, na którym przedstawiła przyjaciółkę europejskiej arystokracji. Podczas tamtego wieczoru mademoiselle Chanel poznała Siergieja Diagilewa, mecenas i impresaria Baletów Rosyjskich, który, jak wielu jego rodaków, musiał uciekać z Rosji i rozpoczął nowe życie w Europie. Projektantka czuła wielki podziw dla genialnego dyrektora artystycznego: „Diagilew był naprawdę wspaniałym przyjacielem. Lubiłam w nim ten jego pęd życia, jego pasję, jego nędzę; tak był daleki od swojej bujnej legendy, czasem całe dni nic nie jadł, noce spędzał na próbach, godzinami przesiadywał w fotelu na widowni, wypruwał sobie żyły, żeby dać udany spektakl”. Coco nie wahała się wesprzeć przyjaciela, finansując przedstawienie baletowe *Święto wiosny*, którym w 1921 roku został zainaugurowany sezon zimowy w teatrze Champs Élysées

w Paryżu. W późnych latach życia mówiła Morandowi: „Nie uratowałam baletów Diagilewa przed upadkiem, jak opowiadano. Siergiej przedstawił mi ten balet jako coś skandalizującego i jako wielkie wydarzenie historyczne. (...) Nie żałuję trzystu tysięcy franków, które na to poświęciłam”.

W latach dwudziestych Coco stykała się z najwybitniejszymi i najbardziej wpływowymi postaciami kręgów artystycznych Paryża tamtej epoki. Współpracowała z Diagilewem i Jeanem Cocteau przy spektaklu *Le Train Bleu*, projektując kostiumy dla aktorów, ubranych w sportowe ubrania w miejscowości letniskowej nad morzem. Kiedy poznała kompozytora rosyjskiego Igora Strawińskiego – autora baletu *Święto wiosny* – czuła się jeszcze obolała; jeszcze nie poradziła sobie z odejściem Boya. „W środowisku, w którym się obracałam – mówiła – pociągał mnie tylko Picasso, ale nie był wolny. Strawiński był żonaty, ale zalecał się do mnie”. Strawiński nie czuł się szczęśliwy w małżeństwie i chociaż był sławnym kompozytorem, ledwo utrzymywał się ze swojej pracy. Coco, dowiedziawszy się o jego trudnej sytuacji, użyczyła mu swojej willi w Garches. W latach 1920–1922 Strawiński, jego żona i córki mieszkali w willi projektantki. W tym okresie kompozytor miał z Coco potajemny romans. Ona finansowała mu niektóre koncerty, w zamian za to ciesząc się towarzystwem człowieka, którego komponowanie dla Baletów Rosyjskich wyniosło na szczyty sławy muzycznej. Strawiński nie mógł jednak długo ukrywać tego, że jest zakochany w pięknej aktorce Verze de Bosset, która miała zostać jego drugą żoną. Coco uznała to za powód do zerwania, oboje pozostali jednak przyjaciółmi.

Wiosną 1922 roku Coco poznała w Biarritz wielkiego księcia Dymitra Pawłowicza, kuzyna cara Mikołaja II. Udział w zabójstwie Rasputina w 1917 roku przydawał mu aury tajemniczości i romantyczności. Był młodym, nieżonatym mężczyzną, wysokim i przystojnym, o melancholijnych zielonych oczach, osiem lat młodszym od niej. Pociągały ją jego wytworność, arystokratyczny styl bycia, nieśmiałość. Ponieważ właśnie kupiła małego niebieskiego rolls-royce’a, zaprosiła księcia na tydzień do Monte Carlo. Tak zaczął się romans, który miał potrwać zaledwie rok, ale wpłynął na styl projektowania Coco. Coco nie tylko dawała Dymitrowi pieniądze, ale udostępniła mu swoją willę w Garches – jemu i jego nieodłącznemu lokajowi Piotrowi. Książę z wdzięczności za gościnę i za całą okazaną pomoc ofiarował jej cenne perły Romanowów, które zdołał zabrać ze sobą z Rosji, uciekając przed rewolucją. Coco potraktowała je jako wzór i wylansowała modę na długie sznury pereł, sztucznych albo prawdziwych. Aby być z kochankiem sam na sam i z dala od Paryża, gdzie wszyscy ją znali, kupiła piękną posiadłość w rejonie Las Landas, nad morzem. Tam mogli kąpać się, spacerować po plaży, opalać się, jeść kolacje przy świecach nad samym brzegiem. Pierwszy raz zrobiła sobie dwumiesięczne wakacje i prawie z nikim się nie spotykała, choć cały czas kontrolowała wszystko, co działo się w jej sklepach.

Związek z Dymitrem oraz innymi członkami arystokracji rosyjskiej osiadłymi w Paryżu oddziaływał silnie na styl projektów Coco. W kolekcjach Chanel z lat 1922, 1923 i 1924 widać wyraźny wpływ słowiański. Zrujnowani i pozbawieni ojczyzny arystokraci – książęta, hrabiowie – którzy przybyli do Paryża, uciekając przed bolszewikami w 1917 roku, musieli pracować. W domu mody Chanel sprzedawczyniami i modelkami były w większości piękne i wytworne damy ze szlachty rosyjskiej. Kiedy wielki książę Dymitr uczestniczył w pokazach Coco, modelki rosyjskie zatrzymywały się, by ucałować dłoń „Jego Wysokości”. Książę Kutuzow, były gubernator Krymu, który bez grosza przyjechał do Paryża wraz z żoną i dwiema córkami, został portierem w jednym z domów mody, by następnie awansować na administratora firmy. „Rosjanie mnie fascynowali – mówiła Coco. – W każdym mieszkańcu Owernii kryje się człowiek Wschodu; Rosjanie objawili mi Wschód”.

Gdy mademoiselle Chanel skończyła czterdzieści lat, przeprowadziła się do willi przy ulicy Faubourg St. Honoré numer 29, zostawiając dom w Garches. Nowe mieszkanie mieściło się na parterze pięknego pałacyku, rezydencji księcia Pillet-Will – który później wynajął jej cały budynek – i oddalone było o dwa kroki od alei Gabriel i miejsca, w którym cieszyła się miłością Boya. Poprosiła Misię i Sertę, by pomogli jej urządzić olbrzymie salony i jasne pokoje wychodzące na wielki ogród. Miała mieszkać tam dziesięć lat i przyjmować *tout Paris*. Był to jeden z najwspanialszych domów w mieście. Coco wydawała w nim przyjęcia, na których spotykali się artyści, pisarze, arystokraci rosyjscy, osoby z wyższych sfer. O jednym z takich przyjęć, na Boże Narodzenie 1922 roku, krążyły potem legendy. Komentowano nie tylko jakość kawioru i serwowanego w obfitości szampana, ale także udział najwybitniejszych przedstawicieli francuskiej inteligencji.

W 1934 roku Coco wynajęła w hotelu Ritz elegancki apartament – dwa pokoje i obszerny salon z przepięknym widokiem na plac Vendôme. Wstawiła tam własne barokowe i orientalne meble i swoje ulubione dzieła sztuki, nadając apartamentowi styl podobny do stylu mieszkania przy ulicy Cambon. Stanowił on dla niej miejsce ucieczki, w którym chroniła się przed spojrzeciami świata. „Ritz jest dla mnie jak dom. To pierwszy hotel, w którym naprawdę mieszkałam. Kiedy wydawałam przyjęcie w mieszkaniu przy ulicy Fau-bourg, przenosiłam się potem na trzy dni do Ritza. Nie znoszę dnia nazajutrz po przyjęciu. Służba jest w złym humorze. To nie oni wydawali przyjęcie i są zmęczeni. W domu panuje bałagan. Trzeba wszystko posprzątać. Tak więc zawsze wolałam się wynieść”.

O ile dom przy ulicy Faubourg był dla niej witryną osiągniętego sukcesu społecznego, jej mieszkanie prywatne – na trzecim piętrze domu przy ulicy Cambon 31 – stało otworem wyłącznie dla najbliższych przyjaciół oraz darzonych sympatią klientek. Było jej sekretnym schronieniem, jej pracownią, jej światem. Urządzony elegancko i z przepychem apartament, położony bezpośrednio nad

butikiem Chanel, przypominał bardziej pełne skarbów muzeum. Zwracały w nim uwagę ściany przesłonięte chińskimi parawanami koromandelskimi, półki z bezcennymi woluminami, meble w stylu Ludwika XVI, ogromne lustro w złożonych ramach nad marmurowymi kominkami, dzieła sztuki starożytnego Wschodu i kryształowe żyrandole. Wśród ulubionych przedmiotów znajdowały się dwie rzeźby przedstawiające Maurów weneckich – jej „jedyni towarzysze” – oraz liczne figury lwów z marmuru, różnej wielkości, zbierane dla uczczenia jej znaku zodiaku. Najważniejszym meblem w głównym salonie była skórzana sofa – tron i łoże polowe Coco. Tam przyjmowała wizyty, pracowała i odpoczywała. Zawsze jednak nocowała w Ritzu.

Nowa przeprowadzka zbiegła się w czasie z przyjacielskim rozstaniem się z Dymitrem, który, jak sobie uświadomiła, był mężczyzną przystojnym, ale płytkim. Później, kiedy dziennikarze pytali ją o poznanych przedstawicieli rosyjskiej arystokracji, w tym Romanowów, odpowiadała szczerze: „Ci wielcy książęta byli wszyscy tacy sami. Imponująca prezencja, ale za tą fasadą nie kryło się nic. Zielone oczy, pięknie uformowane ręce i ramiona, ale bezwolni i chwiejni. Pili, żeby otrząsnąć się z lęku. (...) Za tym nie było niczego, tylko wódka i pustka”. Dymitr, który szukał bogatej kobiety mogącej dać mu utrzymanie, ożenił się w końcu z Audrey Emery, piękną dziedziczką wielkiej fortuny z Ameryki.

Dla uczczenia swych czterdziestych urodzin stylistka wylansowała i wypuściła na rynek perfumy, Chanel No. 5, które miały stać się marką klasyczną i uczynić ją milionerką. Korzystając z pomocy Ernesta Beaux, właściciela laboratorium w Grasse na Lazurowym Wybrzeżu, Chanel zaprojektowała perfumy, które przyniosły jej międzynarodową sławę. To jej kochanek, książę Dymitr, przedstawił ją owemu dawnemu wytwórcy perfum z dworu carów rosyjskich, który spędził młodość w Sankt Petersburgu. Coco miała nadzwyczaj subtelny wdech i sama wskazała mu ciekawą, wymyśloną przez siebie kombinację. Tak narodziła się L’Eau Chanel, perfumy niepodobne do żadnych, gdyż łączące naturalne esencje kwiatowe – między innymi jaśmin i majową różę – z aromatami syntetycznymi. Coco zaprojektowała też flakonik w stylu art déco, prosty graniastosłup, stanowiący – wraz z niejasną, oryginalną nazwą – lekcję nowoczesności dla świata. W roku 1954, kiedy pewien dziennikarz spytał Marilyn Monroe, co wkłada na siebie, idąc do łóżka, a ta odpowiedziała: „Tylko kilka kropel No. 5”, perfumy mademoiselle Chanel przeszły do jej legendy.

Miłość niemożliwa

Po tragicznej śmierci Boya Capela Coco nie zainteresowała się poważniej żadnym mężczyzną. Była zbyt zajęta kierowaniem firmą, która w tym okresie

zatrudniała około trzech tysięcy osób i zajmowała trzy posesje, numer 27, 29 i 31, przy ulicy Cambon. Jednak wszystko zmieniło się w Boże Narodzenie 1923 roku. Coco spędzała święta w Monte Carlo, gdy została zaproszona przez księcia Westminsteru na kolację na jego jachcie Flying Cloud. Przybyła w towarzystwie rosyjskiego kochanka Dymitra, który pragnął osobiście poznać angielskiego arystokratę. Podczas kolacji pod gwiazdami, przy muzyce skrzypiec, Bendor – jak przyjaciele nazywali księcia – prowadził ożywioną konwersację z Mademoiselle. O brzasku wysiedli, by pójść potańczyć i zagrać w kasynie. Żegnając się, książę, wyraźnie zauroczony wielką stylistką, wspomniał, że chętnie spotkałby się z nią ponownie.

Wróciwszy do Paryża, Coco zastała swój dom przy ulicy Faubourg St. Honoré cały w kwiatach. W ciągu kolejnych dni dostawała wciąż bukiety orchidei i kosze owoców, które książę zbierał własnymi rękami w szklarni swojego zamku w Eaton Hall. Mimo że była zajęta przygotowywaniem kolejnych kolekcji, musiała wreszcie ulec czarowi Bendora. Po jakimś czasie wyznała przed dziennikarzami: „Moje prawdziwe życie rozpoczęło się wraz z księciem Westminsteru. Wreszcie znalazłam ramię, na które mogłam skłonić głowę, drzewo, na którym mogłam się wesprzeć”. Bendor, wysoki, mocno zbudowany, niewyobrażalnie bogaty i cieszący się sławą zdobywcy serc, był człowiekiem, którego pragnęło upolować wiele dam z wyższych sfer. Równie ekscentryczny jak prostolinijny, z wielkim upodobaniem strzelał i polował, grał w polo i pływał na swoich jachtach. W jego towarzystwie Coco stawiała się przelęknioną, posłuszną dziewczynką, gotową iść za nim wszędzie bez namysłu.

Książę Westminsteru – jego prawdziwe nazwisko brzmiało Hugh Richard Arthur Grosnevor – był kuzynem króla Edwarda VII i jednym z najbogatszych i najpotężniejszych ludzi w Anglii. Posiadał rozległe dobra ziemskie i setki nieruchomości w Londynie – prócz niezliczonych domów na całym świecie – a także dwa zamki w Anglii i we Francji. Należały do niego dwa jachty, ogromny Cutty Sark, z załogą liczącą sto osiemdziesiąt osób, oraz Flying Cloud, z czterdziestoma marynarzami. Był wcześniej żonaty dwukrotnie, a z pierwszego małżeństwa, z Constance Cornwallis-West, miał dwie córki i syna, który zmarł na zapalenie wyrostka robaczkowego w wieku czternastu lat. Jego ówczesna żona, Violet Mary Nelson – z którą miał się rozwieść trzy lata później – nie dała mu potomstwa, przez co książę prowadził za jej plecami życie swobodne i rozwiązał.

Spośród wszystkich posiadłości księcia Coco najbardziej lubiła zamek w Eaton Hall, w pobliżu Chester. W tej wiejskiej neogotyckiej rezydencji, położonej na terenie zajmującym cztery tysiące hektarów, projektantka spędzała mnóstwo czasu, prowadząc zdrowy styl życia i przebywając stale na świeżym powietrzu: „Dużo jeździłam konno. Zimą trzy razy w tygodniu jeździliśmy na polowania, na dziki i lisy. Ja wolałam dziki; polowanie na lisy mniej mnie

interesowało. Był to bardzo zdrowy tryb życia. Graliśmy w tenisa. Nigdy nie lubiłam robić niczego połowicznie. Nauczyłam się też łowić łososie”.

W rodzinnej rezydencji ksiąząt Westminsteru członkowie brytyjskiej rodziny królewskiej zjawiali się zwykle bez zapowiedzi. Utrzymując związek z Bendorem, Coco miała okazję stykać się z przedstawicielami arystokracji i z najbardziej wpływowymi osobistościami Wielkiej Brytanii, wśród nich z księciem Walii, częstym gościem w Eaton Hall, oraz Winstonem Churchillem, który poznawszy Coco, pisał w liście do żony: „Zjawiła się sławna Coco i oczarowała mnie – bardzo inteligentna i miła kobieta, obdarzona silniejszym charakterem niż wszystkie, z jakimi zadawał się Bendor. Cały dzień spędziła na polowaniu, po kolacji wyjechała do Paryża, a dziś pochłonięta jest przeglądaniem nowych modeli. W ciągu trzech tygodni zaprezentowała w sumie dwieście modeli. Niektóre poprawiała po dziesięć razy. Robi to bezpośrednio własnymi rękami, tam parę szpilek, tu cięcie, zmarszczenie...”.

Projektantka żyła otoczona przepychem, chociaż podziwiała skromność i prostotę księcia. Zdaniem Coco nawet on sam nie znał wszystkich swoich posiadłości, które obejmowały prywatny wagon dołączony do Orient Expressu na Victoria Station w Londynie. „Westminster ma domy wszędzie – opowiadała. – Podczas każdej podróży odkrywałam kolejny. Nawet on sam nie zna ich wszystkich. Czy to w Irlandii, czy w Dalmacji, czy w Karpatach, w każdym z tych miejsc jest jakaś posiadłość należąca do księcia Westminsteru, w pełni urządzona, z przygotowaną kolacją i pościelonym łóżkiem, wyczyszczonym srebrem, samochodami (wciąż widzę jeszcze siedemnaście zabytkowych rolls-royce’ów w garażu w Eaton Hall!) gotowymi do jazdy, łodziami w porcie, służącymi w liberii, lokajami, a na stoliku przy wejściu, wszędzie, czasopisma i gazety z całego świata”.

Coco Chanel cieszyła się coraz większym uznaniem jako projektantka i właścicielka firmy. Od momentu otwarcia sklepu w Deauville podziwiała elegancki, spokojny styl ubierania się arystokracji angielskiej. Étienne Balsan pozwolił jej dosiadać w lasach Royallieu najlepszych w kraju koni czystej krwi, Dymitr nauczył ją cenić szlachetne perły i rozumieć słowiańską duszę; przy Bendorze nasiąkla stylem i zwyczajami ziemi angielskiej. Jak zawsze jej osobiste relacje znajdowały odbicie w kreacjach artystycznych. W latach 1926–1931 moda Chanel miała charakter angielski. Ze Szkocji zapożyczyła szkockie wzory, tweedowe tkaniny, z których sztyto eleganckie i praktyczne garnitury, z Eaton Hall kamizelki z przodem w paski, w jakich chodziła służba w zamku. Z wycieczek po ciepłym Morzu Śródziemnym na statkach należących do księcia przejęła berety opuszczone na brwi, noszone przez marynarzy na Cutty Sark i Flying Cloud.

Czasopisma już komentowały romans stylistki z księciem, a niektóre ośmielały się nawet przebąkiwać, że Coco Chanel mogłaby stać się trzecią księżną

Westminsteru. Chociaż coraz częściej widywano ich razem i mówiono o rychłym ślubie, Bendor nie wypowiadał się na ten temat. Komentatorzy życia towarzyskiego mówili bez skrępowania o cennych klejnotach – perłach, szmaragdach, rubinowych i brylantowych naszyjnikach – ofiarowywanych przez księcia kochance. Coco, pytana o wspaniałe podarunki, odpowiadała z ironią, że ponieważ nie mogła nosić na ulicy swoich prawdziwych pereł tak, żeby wszyscy na nią nie zwracali uwagi, wprowadziła modę na perły sztuczne, między które nanizywała olśniewające rubiny i szmaragdy. „Lubię sztuczne klejnoty, bo uważam je za prowokacyjne i sądzę, że to wstyd, żeby kobieta paradowała obwieszona milionami tylko dlatego, że jest bogata. Bizuteria nie ma czynić kobiety bogatą, tylko ma ją zdobić, a to całkiem inna sprawa”.

Wspaniałe podarki, jakie ofiarowywał jej Bendor, nie mogły jednak uciszyć plotek, coraz głośniejszych, na temat jego niewierności. Podobnie jak w przypadku Boya Capela, Coco wiedziała o jego miłosnych przygodach. W tamtym okresie, gdy związek z Bendorem znajdował się w fazie kryzysowej, nawiązała cichy romans z poetą Pierre’em Reverdym. Ten samotnik, niskiego pochodzenia jak ona sama, który nie zabiegał ani o sławę, ani o pieniądze, miał się stać dla niej wsparciem i wzorem.

W roku 1927 znów ożyły plotki, jakoby książę Westminsteru miał się zenić ze sławną Coco Chanel. Jak jednak odrzekł ktoś z bliskiego jej kręgu: „Jest wiele księżnych Westminsteru, ale tylko jedna Coco Chanel”. Choć projektantka publicznie twierdziła zawsze, że odmawiała małżeństwa z nim, ponieważ nie chciała zostawiać firmy, powody były inne. W 1925 roku Bendor uzyskał rozwód z drugą żoną i teraz jego troską było doczekanie się potomstwa; chciał mieć syna. Coco, mająca wówczas czterdzieści dwa lata, poddała się badaniom, by wiedzieć, czy może zająć w ciążę. Zaczęła nawet wykonywać ćwiczenia gimnastyczne, poprawiające rokowania w tym względzie. Zdaniem biografy Marcela Haedricha próbowała dać księciu syna. Nie udało się; nie została matką, nad czym na starość głęboko bolała.

Tamtego roku nabyła piękną posiadłość – zwaną La Pausa – położoną na zboczach góry Roquebrune, w sercu Riwieri Francuskiej. Z domu roztaczał się wspaniały widok na morze, a w niewielkim ogrodzie rosły stuletnie drzewa oliwne i aromatyczna lawenda. Coco uznała, że będzie to spokojne, zaciszne miejsce, idealne, by spędzać tam sezon letni z Bendorem, z dala od spojrzeń ludzkich. Była to jej pierwsza letnia rezydencja i włożyła w jej budowę sześć milionów franków, nadając jej królewski wygląd i komfortowy charakter. W tej śródziemnomorskiej willi, z patiem, bielonymi ścianami i dachem z czerwonych dachówek, zaznała prawdziwego wytchnienia. Oboje przyjmowali tam wizyty przyjaciół i sławnych ludzi, którzy tak jak oni spędzali lato na Riwierze. Byli wśród nich Salvador Dalí – oraz jego żona Gala, która wróżyła Coco z kart – małżeństwo Churchillów,

Hemingway, małżonkowie Vanderbilt i Rothschildowie. Mademoiselle, która kupiła posiadłość, aby spędzać więcej czasu z księciem Westminsteru, nie wiedziała, że La Pausa stanie się scenerią ich definitywnego zerwania.

Na początku roku 1928 stan ducha Coco oscylował między nadzieją a zwątpieniem. Mimo że Bendor ofiarowywał jej cenne klejnoty, ukryte w bukietach kwiatów, wiedziała, jaki będzie finał tej historii. Wiosną 1930 roku księżę ogłosił oficjalnie swoje zaręczyny z dwudziestoosmioletnią damą, Loelią Mary Ponsonby, córką 1. barona Sysonby. Kilka dni później udał się do Paryża, by przedstawić narzeczoną Coco i dowiedzieć się, czy ta ją aprobuje. Projektantka nigdy nie określiła prawdziwych powodów zerwania; może były dla niej zbyt bolesne. „Przeżyłam dziesięć lat z Bendorem – mówiła. – (...) Trzeba być zręcznym, żeby mnie utrzymać przez dziesięć lat. Przez ten czas łączyły nas bliskie, serdeczne relacje. Wciąż jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Kochałam go, a przynajmniej tak mi się wydawało, co na jedno i to samo wychodzi”. Jej etap angielski dobiegł kresu, lecz odcinała kupony od znajomości nawiązanych dzięki księciu: otworzyła butik w dzielnicy Mayfair w Londynie i mogła liczyć na znakomitą klientelę, między innymi na księżnę Yorku, żonę przyszłego króla Jerzego VI, a także inne eleganckie damy z wyższych sfer.

Mimo że spędzała wiele czasu w Anglii, nigdy nie przestała pracować i zaskakiwać publiczności nowymi pomysłami. W roku 1925, w związku z Międzynarodową Wystawą Sztuki Dekoracyjnej i Wzornictwa w Paryżu, potrafiła wyczuć nadchodzące trendy i jej kolekcja z tego roku wykazywała wyraźną inspirację orientalną. Modelki były spowite w długie szale, oczy miały pomalowane kajalem. Projektantka nie zrezygnowała jednak z modelowania kobiecego ciała sukniami z dzianiny. Wtedy właśnie wprowadziła na rynek swój sławny kostium Chanel, bez kołnierzyka, z długimi, wąskimi rękawami i prostą spódnicą sięgającą tuż za kolano. Miał to być wzór kostiumu najczęściej naśladowany w historii, przypominający styl ubierania się wyższych klas angielskich. Pomyślany tak, by pozwalał poruszać się „swobodnie, z zachowaniem minimum elegancji”, stał się strojem klasycznym, chętnie noszonym przez kobiety na stanowiskach.

Wierna swojej zasadzie: „zawsze ujmować, nigdy nie dodawać”, w 1926 roku Coco postanowiła iść na całość. Pewnego dnia, uczestnicząc w balu w Operze Paryskiej i patrząc z łoży na wszystkie damy ubrane na czerwono, zielono i błękitno – ulubione kolory kreatora mody Poireta – postanowiła narzucić im czern. „W tamtej epoce kolory były straszne. Objąwszy wzrokiem salę, powiedziałam ze śmiechem do Flamanta: «Nie do wiary. Co za fatalne kolory; odbierają kobietom urodę. Uważam, że trzeba je wszystkie ubrać na czarno»”. I tak zrobiła. Wykreowała czarną sukienkę z krepdeszynu, z długimi, bardzo obcisłymi rękawami. Bez kołnierzyka, guzików, wiązań, marszczeń i falban. Była to skrajna

prostota, absolutna czystość kroju. Narodziła się *petite robe noire* – „mała czarna” – która wkrótce miała stać się jej znakiem rozpoznawczym i filo-zofią życia. „Przez cztery, pięć lat pracowałam wyłącznie z kolorem czarnym. Moje sukienki szły jak świeże bułeczki. Miały tylko jeden szczegół: biały kołnierzyk i mankieciki. Wszystkie kobiety je nosiły: aktorki, kobiety światowe, służące...”.

Krach na giełdzie Wall Street we wtorek 29 października 1929 roku wpłynął na losy Coco Chanel. Kryzys finansowy odbił się we Francji szczególnie na handlu towarami luksusowymi i haute couture, a Chanel była najdroższą marką w Paryżu. Projektantka musiała dostosować się do nadchodzących trudnych czasów, obniżając o połowę ceny kreacji i zwalniając część pracowników. I tak jednak nie mogła przyciągnąć klientek, które teraz ubierały się w sposób niewyszukany – wyglądać na osobę bogatą stało się znakiem złego gustu. Skończyły się luksusowe tkaniny, futra i klejnoty. Rozpoczął się okres największego kryzysu haute couture. Wówczas to mademoiselle Chanel rozpoczęła nową i emocjonującą przygodę. W roku 1931 spakowała walizki i wyruszyła do Stanów Zjednoczonych, by pracować w mekce kina.

Poprzez przyjaciół skontaktowała się z Samuelem Goldwynem, wielkim magnatem przemysłu kinematograficznego. Ten bystry, egocentryczny przedsiębiorca, właściciel wytwórni Metro Goldwyn Mayer i producent wielkich musicali hollywoodzkich, oczekiwał od Coco, że doda blasku jego filmom. W czasie Wielkiego Kryzysu, kiedy w kraju było trzynaście milionów bezrobotnych, Goldwyn chciał, by publiczność mogła zapomnieć o trudnościach i uciec od swoich problemów dzięki kręconym u niego wspaniałym musicalom. A konkretnie prosił Coco o projekty kostiumów do jego filmów. Pragnął, by kobiety przychodziły do kina zobaczyć na wielkim ekranie coś, co stanowi „ostatni krzyk mody”.

Coco – mimo że Goldwyn sprawił na niej wrażenie pozbawionego wdzięku prostaka i przypominał jej kramarzy z odwiedzanych w dzieciństwie jarmarków – nie mogła odrzucić jego oferty. Miała ubierać wielkie gwiazdy Hollywoodu – wśród nich Glorię Swanson czy Normę Talmadge – nie tylko na ekranie, lecz także poza nim, za honorarium wynoszące milion dolarów rocznie. Nie musiała zostawiać swoich sklepów w Paryżu, ponieważ kontrakt zobowiązywał ją jedynie do dwukrotnego w ciągu roku odwiedzenia Kalifornii, dla dopilnowania kreacji aktorek. Mimo początkowych oporów, Coco w towarzystwie nieodłącznej Misi pod koniec 1931 roku przyплыnęła do Nowego Jorku na pokładzie parowca Europa. Przed drzwiami jej apartamentu w hotelu Pierre czekał na nią tłum dziennikarzy i fotografów, licząc na możliwość wywiadu. Kilka dni później przyjechała pociągiem do Los Angeles, gdzie przywitał ją osobiście Samuel Goldwyn.

Znów pochłonięta pracą, usiłowała zapomnieć o swoim smutku. Po zerwaniu z księciem Westminsteru spędziła lato w La Pausie, gdzie wszystko jej go

przypominało. Podróż do Stanów była klasyczną ucieczką, a jednocześnie stanowiła wyzwanie: Coco miała zostać pierwszą stylistką zatrudnioną przy projektowaniu kostiumów do wielkich produkcji hollywoodzkich. Państwo Goldwyn wydali na jej cześć wielkie przyjęcie, w którym wzięły udział, wśród innych gwiazd, Greta Garbo, Marlena Dietrich, Claudette Colbert, a jeśli chodzi o reżyserów – George Cukor i Erich von Stroheim. Ze wszystkich poznanych aktorek najbardziej zainteresowała ją chuda, piegowata dziewczyna, którą odkrył właśnie Cukor: Katharine Hepburn. Aktorka miała wówczas dwadzieścia dwa lata i jej sposób ubierania się, niekonwencjonalne, chłopięce stroje, pogarda dla niemal całego świata zjednały jej natychmiast sympatię Coco. W roku 1969 Hepburn miała zagrać projektantkę w inspirowanym jej życiem musicalu *Coco*.

W następnych miesiącach Mademoiselle musiała toczyć walki z kapryśnymi aktorkami, zawsze pragnącymi narzucić swoją wolę, a poza tym projektować takie stroje, które nie wyjdą szybko z mody, jako że od premiery w Stanach do pokazania filmu w Europie mijały przynajmniej dwa lata. Coco ubierała Glorię Swanson – która liczyła wówczas trzydzieści dwa lata i jej gwiazda już bladła – we wspaniałym musicalu *Tonight or Never*. Miała to być jej pierwsza praca dla filmu. Współpraca projektantki z legendarną aktorką nie układała się najlepiej. Latem 1931 roku Swanson przyleciała do Paryża, by dokonać wstępnych przymiarek kostiumów. Coco rozgniewała się, widząc, że aktorka przytyła. W rzeczywistości gwiazda była w ciąży i Coco musiała zaprojektować elastyczne pasy, by ukryć jej stan na czas kręcenia filmu.

Projekty Chanel były dość chłodno przyjmowane przez przemysł filmowy. Jej minimalistyczny styl okazywał się zbyt subtelny jak na rozbuchany gust hollywoodzki. Prasa filmowa komentowała: „Chanel, sławna kreatorka mody z Paryża, sprawia, że kobieta wygląda jak kobieta, ale Hollywood chciałby, żeby kobieta wyglądała jak dwie kobiety”. Na tym etapie życia Coco nie była skłonna podporządkować się kaprysom aktorek, które nie pozwalały sobie ubierać. Pobyt w Stanach, bardzo pozytywnie oceniony przez prasę, pozwolił Coco poznać wydawców najbardziej prestiżowych magazynów mody na świecie, „Vogue” oraz „Harper’s Bazaar”, który uznał ją za „najlepszą projektantkę wszech czasów”. Mekka filmowa nie zrobiła na Coco wrażenia, choć stylistka ostro krytykowała bezlitosny system pracy w studiu filmowym, który jej zdaniem czynił aktorki „służącymi producentów”.

Miała już pięćdziesiąt lat, lecz jak zawsze wyglądała na mniej. Kiedy skończył się jej kontrakt, marzyła tylko o tym, by wrócić do swego paryskiego sklepu. Hollywood oferował dobre warunki pracy, ale wydał się Coco miejscem płytkim i nudnym. Milion dolarów, zarobiony w ciągu roku pracy dla Goldwyna, pozwolił jej – inaczej niż wielu kreatorom, zmuszonym do zamknięcia firm po tym, jak kryzys 1929 roku wstrząsnął Ameryką, i po stracie amerykańskiej klien-teli –

utrzymać się na powierzchni i dalej prowadzić interes dający zatrudnienie dwóm tysiącom osób. Lata trzydzieste stały się dla niej latami wielkiego splendoru. Kolekcje Chanel były przyjmowane entuzjastycznie. Pojawiła się jednak nowa rywalka – włoska projektantka Elsa Schiaparelli. Obie damy haute couture miały zdecydowanie przeciwne gusty. Jeśli Chanel była klasyczna, to Schiaparelli – dwanaście lat młodsza, pochodząca z arystokratycznej rodziny rzymskiej – barokowa. Ubierały jednak ten sam typ klientki: silną i zdecydowaną kobietę połowy lat trzydziestych.

Coco, znana już wszędzie, nie mogła zapomnieć księcia Westminsteru. Po powrocie ze Stanów Zjednoczonych pojechała do Anglii, prosić dawnego kochanka, by użyczył jej swojej londyńskiej rezydencji na zorganizowanie związanej z modą gali dobroczynnej. Bendor zrobił się bardzo zaborczy i zazdrosny o swoją młodą i piękną żonę Loelię; Coco odniosła wrażenie, że jest nieszczęśliwy. Dużo pił i – jak relacjonowała w rozmowie z przyjacielem Paulem Morandem – żałował, że ją utracił, bo nie mógł bez niej żyć. Coco, inaczej niż postąpiła z Boyem Capelem, nie zamierzała kontynuować romansu. „Z pewnością nie jest to kwestia przypadku, że jestem sama. Urodziłam się pod znakiem lwa. Astrologowie wiedzą, co to oznacza. Mężczyźni musi być ciężko żyć ze mną, chyba że jest bardzo silny. A jeśli byłby silniejszy ode mnie, wówczas ja nie mogłabym żyć z nim...”

W latach dojrzałych Coco wciąż była kobietą niezwykle atrakcyjną, obdarzoną silną osobowością. Stała się ważną postacią w świecie paryskim. Kręcili się wokół niej artyści, muzycy, poeci, urzeczeni jej bystrością i dobrym smakiem. Wówczas to poznała Pabla Iribarnegaraya – który podpisywał się jako Paul Iribe – genialnego wszechstronnego artystę i projektanta, Baska z pochodzenia, z którym nawiązała namiętny romans. Iribe projektował wnętrza, był utalentowanym scenografem i stylistą, poza tym rysował znakomite karykatury i komiksy. W 1908 roku założył własne pismo, „Le Témoin”, z którym współpracowali jako ilustratorzy Juan Gris i Jean Cocteau. „Paul Iribe był najbardziej trudnym do rozgryzienia człowiekiem, jakiego w życiu poznałam”, powie Coco o tym mężczyźnie, który stał się dla niej ważny i w którym się w końcu zakochała.

Artysta, w wieku projektantki, cieszył się sławą zdobywcy serc. Nie miał łatwego charakteru. Był typem uwodziciela, jak prawie wszyscy mężczyźni w życiu Coco. Był po raz drugi żonaty, z bogatą dziedziczką z Nowego Jorku Maybelle Hogan, co nie powstrzymało go przed romansowaniem z innymi kobietami. Mieszkał wówczas w Ameryce i pracował dla Hollywoodu jako dyrektor artystyczny Paramount Pictures. Przygotowywał scenografię dla wielkiego Cecila B. DeMille’a w kultowych filmach, takich jak *The Ten Commandments* czy *The King of Kings*. W 1926 roku Paul, który nie był współpracownikiem skłonny do kompromisów, pokłócił się z DeMille’em

i wrócił z żoną do Francji. Korzystając z pieniędzy Maybelle, otworzył sklep na tej samej ulicy, przy której mieściła się prywatna rezydencja Coco, czyli Faubourg St. Honoré. Zajmował się tam projektowaniem mebli oraz klejnotów dla bogatych, ekscentrycznych klientów.

Przebywając na „wygnaniu” w Szwajcarii zimą 1946 roku, Coco opowiadała Morandowi: „Mój związek z Iribem był pełen namiętności. Jak ja nienawidzę namiętności. Co za straszna choroba. Człowiek ogarnięty namiętnością to siłacz, ktoś, kto nie czuje głodu ani zimna, żyje na zasadzie cudu”. Iribe nie był tak przystojny i rycerski jak Boy Capel, ale był wytworny i otaczała go aura intelektualisty. Coco dała się uwieść tej burzy męskości, która wtargnęła w jej życie w najmniej spodziewanym momencie. Choć Iribe nie zamierzał się rozwodzić z żoną, wkrótce zaczęły krążyć plotki o tym, że Coco chętnie by go poślubiła. W sierpniu 1933 roku żona Iribego dowiedziała się o związkach łączących Paula ze sławną projektantką i postanowiła wyjechać. Zostawiła mieszkanie, które dotąd dzielili, i wyjechała do Ameryki razem z dziećmi.

Aby być bliżej Coco, Paul przeprowadził się pod numer 16 na placu Vendôme. Coco, kierująca firmą od dwudziestu lat – to właśnie przed dwudziestu laty otworzyła pierwszy sklep w Deauville – w coraz większym stopniu opierała się na nowym towarzyszcu życia, którego nawet upoważniła do działania w jej imieniu w sprawach finansowych. Prowadzili bujne życie towarzyskie i często widywano ich razem w teatrze albo na kolacji w jednej z modnych paryskich restauracji. Na prośbę Paula Coco sfinansowała powtórne, po dwudziestu trzech latach przerwy, pojawienie się czasopisma „Le Témoin”. Paul był nadal znakomitym rysownikiem, a na przykładzie Coco widział, jak kształtuje się sytuacja we Francji.

Lato 1933 roku spędzili oboje w posiadłości La Pausa. Przyjaciele widzieli Coco uszczęśliwioną i bardzo zakochaną w Iribem. Krążyły pogłoski, że niedługo zawiadomią o planowanym ślubie. Colette, bliska przyjaciółka Coco, nie lubiła Iribego. Wydawał jej się fałszywy i wyrachowany. W tym czasie stylistka opuściła swój pałacyk przy ulicy Faubourg St. Honoré i przeprowadziła się do dwupokojowego apartamentu w hotelu Ritz – dwa kroki od sklepu przy ulicy Cambon – który miał być jej domem do dnia śmierci.

Coco przeniosła część swych rzeczy do willi La Pausa, gdzie w ogrodzie zbudowała kort tenisowy. Odnowiła też meble w głównym budynku posiadłości. W roku 1935 postanowiła spędzić tam całe lato, chociaż śledziła na bieżąco wszystko, co się działo w Paryżu. Wiedziała na przykład, że jej rywalka, Schiaparelli, przygotowuje kolekcję ubrań w stylu wojskowym. Mimo że na całej Riwierze pełno było kobiet noszących sławne pizamy plażowe Chanel, zaczęła się liczyć z nową rywalką. Wśród gości odwiedzających w tym okresie La Pausę znajdował się młody wówczas i obiecujący reżyser Luchino Visconti, przystojny arystokrata, bardzo zainteresowany Coco.

Tymczasem Iribe, przebywający wciąż w Paryżu, uzyskał właśnie separację z żoną. Wkrótce miał dojechać do Coco, by spędzić z nią lato. Zapowiadały się cudowne miesiące, ze spokojnymi rejsami po Morzu Śródziemnym jachtem któregoś z przyjaciół, kolacjami przy świecach na tarasie La Pausy i całą przyszłością przed nimi. Wszystko załamało się 21 września rano, nazajutrz po przybyciu Iribego do willi. Coco zaproponowała partię tenisa. Po kilku minutach od rozpoczęcia gry Paul runął na kort. Dostał zawału i zmarł w klinice w Menton, nie odzyskawszy przytomności. Miał pięćdziesiąt dwa lata. Mademoiselle Chanel znów została sama.

Sukces i samotność

Po nagłej śmierci Iribego Coco wróciła do Paryża. Zabawiła tam do października. Pierwszy raz w życiu zostawiła firmę w rękach swoich pracowników, którym co dzień wydawała polecenia przez telefon. Wyglądało na to, że sezon 1936 roku będzie miał dla niej kluczowe znaczenie. Musiała stawić czoło nowym rywalom. Sytuacja polityczna w kraju budziła wielki niepokój. W maju 1936 roku Front Ludowy wygrał we Francji wybory i robotnicy żądali od nowego rządu socjalistycznego spełnienia wyborczych obietnic i poprawy sytuacji na rynku pracy. Miesiąc później w całym kraju wybuchła seria strajków, powodując załamanie produkcji tekstylnej i zmniejszenie obrotów w sklepach Chanel. Coco nie mogła dać wiary, że jej pracownice podejmują formę biernego oporu, uważała bowiem, że nie mają ku temu powodów. O ile jednak projektantka okazywała hojność w stosunku do swoich przyjaciół, o tyle jej pracownice otrzymywały bardzo niskie uposażenia. W końcu, i po zwolnieniu trzystu osób, doszła do porozumienia z personelem. Inaczej zagrożona byłaby prezentacja jej kolekcji jesienno-zimowej.

Jednakże trudne czasy miały dopiero nadejść. Latem 1937 roku Coco zaszyła się w La Pausie, przeżywając tam przelotną idyllę z dziesięć lat od niej starszym bogatym Amerykaninem. Kiedy wróciła do Paryża, Francja pozostawała bez rządu i chociaż wyższe sfery prowadziły dalej ten sam styl życia, zagrożenie ze strony Hitlera stawało się coraz bardziej realne. Trzeciego września 1939 roku, przebywając w swoim apartamencie w hotelu Ritz, dowiedziała się o wypowiedzeniu wojny Niemcom przez Wielką Brytanię i Francję. Kilka tygodni później, zmęczona i zniechęcona, zamknęła firmę, zostawiając personel bez pracy. Jedyne sklep z perfumami i akcesoriami przy ulicy Cambon 31 był otwarty przez całą okupację.

„Nie były to czasy na zajmowanie się modą. Miałam wrażenie, że kończy się jakaś epoka i że nie będzie się już nigdy szyć sukienek. Ale się myliłam”,

wyznawiała. Rząd Francji widziałby najchętniej sklepy Chanel otwarte ze względów prestiżowych i patriotycznych, projektantka nie miała jednak ochoty zajmować się haute couture, gdy trwała wojna. Mimo że podczas pierwszej wojny światowej zarobiła fortunę, nie zamykając sklepu w Deauville, przeczuwała, że tym razem będzie inaczej. Kto mógł, chronił się jak ona w apartamentach Ritza, w których mieszkali już politycy, artyści, arystokraci, a także rywalka Coco, Elsa Schiaparelli z córką. Latem 1940 roku sytuacja w Paryżu stała się bardzo napięta. Z powodu bombardowań miasto niemal zupełnie opustoszało, a 14 czerwca wkroczyli Niemcy. Coco w towarzystwie szofera wyruszyła w kierunku granicy hiszpańskiej, zatrzymując się na pewien czas w okolicy Pau. Stamtąd wybrała się do miasteczka Lembeye, gdzie znajdował się dom kupiony przez nią dla siostrzeńca, André Pallase'a – który został zmobilizowany – i jego rodziny.

Pod koniec sierpnia, nie czując się dobrze w skórze uciekinierki, wróciła do Paryża. Podczas okupacji w słynnym hotelu Ritz mieszkali oficerowie z dowództwa niemieckiego w Paryżu. Mademoiselle Chanel bez trudu uzyskała mały pokój wychodzący na tyły budynku. Kiedy po kilku dniach udała się na ulicę Cambon 31, zobaczyła długą kolejkę żołnierzy i oficerów niemieckich stojących przed jej sklepem z perfumami. Każdy chciał nabyć jedyny będący w sprzedaży artykuł: perfumy No. 5, najcenniejszy upominek czasów wojny na kwitnącym czarnym rynku.

To właśnie w tym niespokojnym czasie Coco poznała barona Hansa Günthera von Dincklagego, trzynastoletniego młodszego oficera niemieckiego, wysokiego eleganckiego blondyna, władającego biegle francuskim. Baron mieszkał w Paryżu od 1928 roku jako dyplomata, zajmując się działem prasy w ambasadzie niemieckiej. Dawało mu to przepustkę do wyższych kręgów społecznych stolicy Francji. W 1935 roku wyjechał do Berlina i wziął tam rozwód z żoną, po czym rok później znów wrócił do Paryża. Kiedy poznał Coco, powiedział jej: „Proszę do mnie mówić Spatz. Tak nazywają mnie przyjaciele; po niemiecku znaczy to wróbel”. Projektantka była mu wdzięczna, gdy pomógł jej odnaleźć i sprowadzić do kraju siostrzeńca, André Palasse'a, którego uważała za zmarłego, jako że nie figurował na listach uwolnionych jeńców wojennych. Coco miała skończone pięćdziesiąt osiem lat, i choć wiedziała, że Spatz jest od niej wiele młodszy, zostali kochankami. W czasie surowej zimy z roku 1940 na 1941 w Paryżu ludzie z rzadka opuszczali domy; zaopatrzenie stawało się problemem. Coco nadal spotykała się z przyjaciółmi, wieczory spędzając często w domu państwa Sert przy ulicy Rivoli. Ostrzegana o niebezpieczeństwie, jakie niesło dla niej utrzymywanie kontaktów ze Spatzem, protestowała: „Nie jest Niemcem; jego matka jest Angielką!”.

Z pewnością towarzystwo Spatza umożliwiło Coco prowadzenie spokojnego, wygodnego życia w okupowanym Paryżu. Niemniej we wrześniu 1944 roku, gdy mieszkańcy świętowali wyzwolenie, a generał de Gaulle triumfalnie

wkraczał na Champs Élysées, stylistka została zatrzymana w hotelu Ritz. Postawiono jej zarzut kolaboracji i przez trzy godziny ją przesłuchiowano. Mademoiselle Chanel spotkał lepszy los niż niektóre z jej rodaczek oskarżonych o współpracę z Niemcami. Kobiety, które w czasie okupacji utrzymywały stosunki z żołnierzami czy oficerami niemieckimi, podlegały publicznej karze: golono im głowy i zmuszano je do przejścia nago ulicami miasta. Coco nie musiała znosić takiego upokorzenia i po przesłuchaniu została zwolniona. Wszystko wskazuje na to, że książę Westminsteru, ukochany Bendor, interweniował w jej sprawie u samego Winstona Churchilla.

Niedługo po tym zatrzymaniu Coco dowiedziała się, że Spatz żyje i przebywa w Hamburgu. Najpierw internowano go w obozie jenieckim, potem zwolniono. Jako oficer niemiecki nie mógł przyjechać do Francji, toteż Coco postanowiła dobrowolnie opuścić Francję i wyjechać do Szwajcarii, by się z nim połączyć. Spotkali się w Lozannie, gdzie zatrzymali się w luksusowym hotelu Beau Rivage nad Jeziorem Genewskim. Później przebywali przez dłuższy czas w Saint-Moritz w Alpach Szwajcarskich. Coco zabrała chorego na gruźlicę siostrzeńca André Palasse'a wraz z córeczką, w nadziei, że tamtejszy klimat będzie mu służył. Byli to jedyni krewni, z jakimi utrzymywała kontakt, odkąd ciotka Adrienne żyła niemal odcięta od świata w należącym do jej męża zamku Nexon.

Dla Coco takie beczynne życie w otoczeniu rozmaitych uchodźców, w tym zdetronizowanych monarchów, było zbyt monotonne i nudne. To właśnie podczas tamtej długiej zimy 1946 roku pisarz Paul Morand spotkał się z nią w hotelu w Saint-Moritz. Spędzili ze sobą wiele godzin, ona rozdrażniona, pogrążona we wspomnieniach, niepewna, czy kiedykolwiek wróci na ulicę Cambon, on gotów notować wszystkie jej najgłębsze zwierzenia, którymi dzieliła się, paląc nieodłączne gauloisesy. Morand zebrał te rozmowy w książce *L'allure de Chanel*. Napisał tam między innymi: „Wydała mi się apatyczna, pierwszy raz w życiu bez chęci do pracy, bliska rozstroju nerwowego. W jej lśniących oczach pojawiła się nuta melancholii pod krzywizną brwi, zarysowaną ołówkiem w ciemne, szlachetne łuki: wulkany z Owernii, które Paryż mylnie brał za wygasłe”.

W owych dniach Coco mogła przeczytać w prasie, że książę Westminsteru w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat rozwiódł się z żoną Loelią – która nie dała mu upragnionego syna – i ożenił z Anne Sullivan, córką generała brygady. Z prasy i od spotykanych w Szwajcarii przyjaciół dowiadywała się o wszystkich wydarzeniach paryskich, zwłaszcza nowinkach ze świata mody. Po latach trudności wojennych można było mówić o renesansie haute couture. Nowy projektant, Christian Dior, swoją kolekcją z 1947 roku z impetem wszedł w świat mody, wywołując prawdziwą rewolucję: długie, zwiewne spódnice, pod które trzeba było wkładać kilka halek, żeby dobrze leżały, krótkie żakiety, sukienki z talią osy i podniesionym stanem wymagającym znowu noszenia gorsetu. Było to przeciwne swobodzie

ruchów zawsze tak ważnej dla Coco. W rozmowie z Diorem stylistka wyraziła się kiedyś w następujący sposób: „Wspaniałe jest to, co pan robi, ale odziewa pan kobiety tak, jakby to były fotele”.

Okolo roku 1950 Coco i Spatz się rozstali. Coco wiele podróżowała, spędzając dużo czasu we Francji, w willi La Pausa i w prywatnej rezydencji przy ulicy Cambon w Paryżu. W tamtym czasie wielu pisarzy i dziennikarzy odwiedzało ją, chcąc zebrać materiały do jej biografii. Na próżno. Coco miała świetną pamięć, ale uważała wspomnianie za stratę czasu. Lubiła zwodzić i wprowadzać w błąd wszystkich, którzy pragnęli zbadać prywatne obszary jej życia. „Moja legenda jest tak bogata – mówiła – tak prosta i jednocześnie zawiślana, że sama się w niej gubię”. Powrót do przeszłości bywał bolesny, jako że przyjaciół, którzy niegdyś ją wspierali, już z nią nie było. Ważni dla niej mężczyźni nie żyli, wśród nich wielki książę Dymitr, Étienne Balsan i Bendor – książę Westminsteru, który zmarł nagle w 1953 roku, pozostawiając wdowę swoją czwartą żonę i nie doczekawszy się męskiego potomka. Zmarła także Colette, Misia, Vera Bates, jej najlepsze przyjaciółki.

W roku 1954, po kilku miesiącach spędzonych w Nowym Jorku, postanowiła wrócić do Paryża. Wiadomość, że po piętnastu latach braku większej aktywności wraca, by otworzyć nowy sklep haute couture, zaskoczyła wszystkich. Pomijając sławne perfumy, firma Chanel należała już do historii. Nikt prawie nie pamiętał, że przed wojną stylistka znajdowała się u szczytu sławy, a w lokalach przy samej tylko ulicy Cambon zatrudniano około czterech tysięcy osób i sprzedawano na cały świat dwadzieścia osiem tysięcy modeli rocznie.

Mademoiselle Chanel była kobietą bogatą i nie musiała wracać do sklepu przy ulicy Cambon. Nienawidziła jednak nudy i pracowała przez całe życie. Ci, którzy ją znali bliżej, nie dziwili się, że chciała odzyskać pozycję w świecie haute couture. Pragnęła znów zrewolucjonizować świat mody, uwalniając kobiety z narzuconych przez Diora strojnych sukien. O ile kiedyś domy mody pozostawały w rękach kobiet, jak Jeanne Lanvin, Madeleine Vionnet, Nina Ricci czy Elsa Schiaparelli, o tyle teraz projektantami byli mężczyźni. Bardziej doświadczeni, jak Jean Patou i Cristóbal Balenciaga, ustępowali miejsca młodszym, takim jak Christian Dior, Hubert de Givenchy, Pierre Cardin czy Pierre Balmain, mężczyznom, którzy – zdaniem Coco – nie rozumieli ciała kobiety, a tym bardziej jej praktycznych potrzeb.

Siedemdziesięcioletnia Coco mówiła Morandowi, że twarda powierzchnia lustra odbija twardość jej charakteru. W podeszłym wieku stała się kostyczną damą o zbyt silnym makijażu i ochryłym głosie; paliła jednego papierosa za drugim, opowiadając: „Wyraźnie zarysowane brwi nadają mi wygląd groźny, nozdrza rozdęte jak u kłaczy, włosy czarniejsze niż węgiel, usta jak szczelina, przez którą uwalnia się dusza popędliwa i szczerza, a nad tym wszystkim króluje ogromna

kokarda uczennicy nad udreconą twarzą kobiety – byłam taka już w szkole! Ciemna, cygańska cera, przy której odbija się biel zębów oraz pereł; ciało wyschłe jak pęd winorośli bez owoców, ręce zniszczone, niczym ręce boksera”. Tak widziała siebie kobieta, która zamierzała odzyskać tron królowej mody francuskiej.

Wróciła do Paryża i zamieszkała znowu w hotelu Ritz. Tym razem wynajęła niewielkie poddasze z oknem wychodzącym na ulicę Cambon. W porównaniu z poprzednim luksusowym apartamentem nowe mieszkanie przypominało raczej celę mniszki. Sprzedała piękną posiadłość La Pausa i jedynym celem było teraz dla niej otwarcie na nowo sklepu przy placu Vendôme. W ciągu lat jej nieobecności wiele się zmieniło, materiały, przedtem naturalne, jak wełna, jedwab, bawełna, zostały zastąpione przez nowoczesne tkaniny syntetyczne, łatwe w praniu i szybko schnące. Żeby iść z duchem czasu, odnowiła lokal przy ulicy Cambon 31, przystosowując sklep do nowych potrzeb. Przemeblowała butik na parterze – którego nigdy nie zamknęła i gdzie sprzedawane były wyłącznie perfumy – zatrudniając niektóre z dawnych współpracownic. Na modelki wyszukała dziewczęta piękne i pochodzące z dobrych rodzin. Zapytana przez jakiegoś dziennikarza, po co wróciła, odpowiedziała: „Bo się nudziłam, i wolę klęskę od pustki i marazmu”.

Choć mieszkała w Ritzu, w pierwszych miesiącach po przybyciu do Paryża wyremontowała swój prywatny apartament na trzecim piętrze domu przy ulicy Cambon i tam jadła, a także przyjmowała przyjaciół i wybrane klientki. Znow pojawiły się w jej otoczeniu ulubione przedmioty: koromandelskie chińskie parawany, rogi obfitości, afrykańskie rzeźby, dwie postaci służących z brązu i cenne bibeloty. Rzuciła się w wir pracy. Mając do dyspozycji jedynie nieodłączne nożyczki i szpilki, zmagła się po kolei z każdym z nowych modeli. Czasem, jako że przywiązywała wielką wagę do prawidłowego wykroju pachy, kazała przymierzać sukienkę po dwadzieścia razy, nim ją zaakceptowała. Cierpliwe modelki musiały stać na nogach po siedem godzin, podczas gdy Mademoiselle, niestrudzona i dokładna, szpilkami zaznaczała upragnioną formę.

Prasa nie wróżyła Coco sukcesu. Przewidywano, że jej powrót będzie katastrofą, i z początku był. Wielu uważało, że jej propozycje są niemodne i – tak proste i klasyczne – nie znajdą aprobaty w świecie, w którym dominują jaskrawe kolory, a dziewczęta noszą minispódniczki i pokazują pępek. Rzeczywiście, pierwsza kolekcja, pokazana 5 lutego 1954 roku w domu mody przy ulicy Cambon, spotkała się z chłodnym przyjęciem i otrzymała druzgocące recenzje. Coco jednak się nie poddała. Przyjęła porażkę ze zwykłym sobie opanowaniem, lecz poczuła się zmęczona i rozczarowana. Nazajutrz zabrała się do pracy nad kolejną kolekcją. „Weszłam znowu w rolę dyktatora mody: sukces i samotność”, wyznała.

Powoli, dzięki talentowi i intuicji, wprowadziła na nowo styl Chanel i zarówno we Francji, jak i w Ameryce – gdzie z wielkim aplauzem powitano jej

powrót – zaczęły się ukazywać bardzo pochlebne recenzje jej nowych pokazów. Twee-dowy kostium z lamówkami, beżowe pantofle bez pięt, z czarnym czubkiem, i pikowana torebka na złotym łańcuchu stały się uniformem dobrze ubranych i eleganckich kobiet na całym świecie. W 1957 roku otrzymała w Dallas Neiman Marcus Award – Oscara w dziedzinie mody – jako „największa projektantka XX wieku”, a w 1958 czasopismo „Elle” uznało ją za „kobietę, której kobiety najbardziej słuchają”. W wieku siedemdziesięciu pięciu lat była wciąż ciekawa świata i otwarta na nowości. Do jej klientek należały: Marlena Dietrich – jej osobista przyjaciółka – Greta Garbo, księżna Monako Grace Kelly, księżna Windsoru, Lauren Bacall i Jacqueline Kennedy – o której mówiła, że jest „najgorzej na świecie ubraną pierwszą damą”.

Nie darowała sobie żadnego wywiadu, żeby nie skrytykować jakiejś aktorki, projektanta, generała de Gaulle’a i minispódniczki, którą uważała za „niegustowną i nieprzyzwoitą” – a tych dwóch cech „nienawidziła”. Jej coraz bardziej cięty język i coraz większa wojowniczość bardzo się podobały przeprowadzającym z nią wywiady dziennikarzom. Pewien młody człowiek o nazwisku Jacques Chazot, dawny tancerz baletowy, później prezenter telewizyjny, przeprowadził z nią serię rozmów na temat sławnych kobiet. Nadawany w sierpniu 1969 roku program umożliwił szerokiej publiczności poznanie legendarnej postaci, która dla niektórych była już martwa. Występująca przed kamerami projektantka uwiodła wszystkich swadą, ciętą ironią, urzekła wspomnieniami – prawdziwymi lub nie – ze swego zgoła powieściowego życia. Bawiła ją rola enfant terrible i po emisji programu otrzymała lawinę listów od widzów.

W sierpniu 1963 roku skończyła osiemdziesiąt lat i z tej okazji czasopismo „Vogue” zamieściło na okładce jej zdjęcie, w słomkowym kapeluszu, z nieodłącznymi nożyczkami na szyi. Już za życia stawała się postacią mityczną. Dwudziestego siódmego grudnia 1969 roku w jednym z teatrów na Broadwayu w Nowym Jorku odbyła się premiera musicalu *Coco*, w którym w rolę Chanel wcieliła się Katharine Hepburn. Coco miała zamiar wystąpić na premierze w eleganckiej sukni z cekinami, lecz tydzień przed podróżą przeszła wylew, po którym pozostał jej paraliż prawego ramienia. Była tym straszliwie zirytowana, jako że potrzebowała obu rąk, by móc pracować. Dzięki wielkiej sile woli po trzech miesiącach leczenia i rehabilitacji wróciła do pracy, z prawą ręką owiniętą czarnym materiałem.

Aby złagodzić smutek samotności, pracowała jak szalona. Nienawidziła niedziel, ponieważ w te dni nie mogła pójść na ulicę Cambon, żeby zająć się przymiarkami lub przygotowaniem do nowej kolekcji. Aby lepiej zasypiać i uśmierzać niepokój, zażywała środki uspokajające. Rzadko spotykała się z przyjaciółmi – jacy jeszcze jej pozostali – spędzając wiele czasu w Ritzu. Stała się najdłużej mieszkającą i najbardziej wymagającą klientką legendarnego hotelu.

Przyjacieli i powiernik ostatnich dni Marcel Haedrich pisał: „W Ritzu przy wejściu do sali jadalnej zarezerwowany był stolik dla mademoiselle Chanel. Widziała stamtąd, kto przychodzi. I sama była oglądana. Nie było jej to niemiłe. Jej obecność podnosiła splendor hotelu. Jako Coco Chanel godziła się, że będzie pomnikiem, któremu najbardziej ciekawi przyglądają się z bliska”.

Od czasu do czasu prosiła szofera, by zabrał ją na przejażdżkę jej cadillakiem po Champs Élysées albo zawiózł na hipodrom Saint Cloud – mogła tam wdychać zapach stajni i trawy, przenoszący ją w czasy Royallieu. Nieraz jednak w niedzielę po obiedzie kazała się wieźć na cmentarz Père Lachaise. Podobnie jak w czasach, kiedy była samotną osieroconą dziewczynką, lubiła spacerować wśród grobów i rozmawiać ze zmarłymi. Na tym cmentarzu, podobnie jak na cmentarzu w Courpière, nie leżał nikt z jej rodziny ani ważnych dla niej osób, które już nie żyły, jak Balsan, Misia, Boy Capel, Bendor, Iribe, Reverdy...

„Samotność mnie przeraża, a żyję w absolutnej samotności. Zapłaciłabym, żeby tylko nie być sama. Byłabym zdolna przyprowadzić policjanta z rogu ulicy, żeby samotnie nie jeść kolacji. Ale od świata oczekuję wyłącznie niewdzięczności”. Odniosła triumf, pozostając sobą, lecz zapłaciła wysoką cenę za swoją niezależność. François Mironnet, zatrudniony przez nią nowy służący, wypełniał jej wieczory, przemieniając się w powiernika, stróża, przyjaciela. W ciągu dnia zajmował się domem, przygotowywał jej smaczne tortille, takie, jakie lubiła. Kiedy wieczorem zostawali sami, Coco prosiła go, żeby zdejmował marynarkę i białe rękawiczki i siadał koło niej, by porozmawiać, pooglądać telewizję albo pograć w karty.

Mając osiemdziesiąt siedem lat i zachowując absolutną jasność umysłu, wyznała: „Tylko jedna rzecz jeszcze mnie zaciekawia: śmierć”. Zaczęła myśleć o swoim odejściu i wydała instrukcje lokajowi i rzeczniczce prasowej, Lilou Grumbach: „Kiedy umrę, zawieźcie mnie do Szwajcarii. Posadźcie między sobą, na tylnym siedzeniu. Jeśli ktoś was będzie pytać na granicy, powiedzcie: to mademoiselle Chanel, kompletnie zidiociała. Nie zwracajcie na nią uwagi”. Chciała być pochowana w miejscu, które wykupiła na cmentarzu w Lozannie. Prosiła, żeby po śmierci zostawić ją w spokoju; nie chciała, żeby ktokolwiek ją oglądał i żeby jej odejście wywołało szum w mediach. Mimo zaawansowanego wieku cieszyła się nie najgorszym zdrowiem. Dokuczał jej tylko reumatyzm i artretyzm. No i miewała różne nastroje. Pierwszy dzień roku 1971 spędziła sama w hotelu Ritz, niezadowolona, że przed najbliższym poniedziałkiem nie może wrócić do sklepu i dokończyć przygotowywania kolekcji wiosennej, która miała być pokazana 5 lutego.

W zimny niedzielny wieczór 10 stycznia chciała się położyć wcześniej niż zwykle, czuła się bowiem bardzo zmęczona. Lokaj miał wolny dzień, więc osobista pokojówka Céline pomogła jej się rozebrać. Coco, kiedy już się miała położyć,

poczuła, że brak jej tchu, i zawołała o pomoc. Jej ostatnie wypowiedziane wśród łez słowa brzmiały: „Więc tak się umiera”. Pokojówka zamknęła jej oczy. Następnego dnia cały świat dowiedział się o śmierci Coco Chanel; dzienniki zamieściły tę wiadomość na pierwszej stronie. Do ostatniej chwili życia mademoiselle Chanel demonstrowała niezależność i dumę: „Irytuje mnie, jeśli muszę się upokarzać, zginać, pochylać, ukrywać, co myślę, podporządkowywać, jeśli nie mogę robić tego, na co mam ochotę. Dziś tak jak kiedyś duma przebija w moim głosie, w ogniu mojego spojrzenia, w mojej wyrazistej i zmęczonej twarzy, w całej postaci. Jestem jedynym wulkanem Owernii, który jeszcze nie wygasł”.

Po uroczystościach w kościele Świętej Magdaleny Coco Chanel, zgodnie ze swoją wolą, została pochowana w Lozannie. Spoczywa w marmurowym grobowcu ozdobionym pięcioma głowami lwów – taka była jej szczęśliwa liczba i jej znak zodiaku. Dwudziestego piątego stycznia odbył się pokaz kolekcji wiosenno-letniej, który zmienił się w pośmiertny hołd składany wielkiej kreatorce mody. Pokaz otworzyła Madame Claude Pompidou, pierwsza dama Francji. Modelki miały we włosach czarną wstążeczkę na znak żałoby. Długi aplauz na koniec wzruszyłby Mademoiselle, która tym razem nie mogła, jak miała w zwyczaju, uczestniczyć w imprezie, stojąc wysoko na schodach z lustrami, z nieodłącznym papierosem w ustach. „Inaczej niż mówił Sert, będę złą zmarłą, bo pochowana będę się burzyć i kombinować, jak by tu wrócić na Ziemię, żeby zacząć od początku”. Nie spełniła tego ostatniego zamiaru, lecz jej wolny, nieujarzmiony duch inspiruje wciąż jej następcę, kreatora Karla Lagerfelda, dzięki któremu styl Chanel przeżył swoją genialną twórczynię.

Wallis Simpson



Królowa bez korony

Nie macie pojęcia, jak trudne i wyczerpujące jest okazywanie przez całe życie wielkiej miłości.

Wallis Simpson

Wallis Simpson stała się legendą, kiedy jej kochanek, król Edward VIII, postanowił zrezygnować dla niej z tronu wielkiego imperium. Prasa amerykańska, a także sam Winston Churchill określali romans jako „idyllę stulecia”, chociaż czas miał nieco zweryfikować opinię na jej temat. Romantyczna historia przystojnego, czarującego monarchy, który zrzekł się tronu Anglii dla prostej, rozwiedzionej Amerykanki, wydawała się bajką. Przez lata ich podobizny pojawiały się na okładkach czasopism; ludzie śledzili ich losy podczas niekończącego się luksusowego wygnania, pragnąc, by wreszcie brytyjska rodzina królewska przebaczyła im i pozwoliła wrócić do pałacu. Nie było to możliwe, przynajmniej nie za ich życia, jednak dzięki uporowi księcia Edwarda spoczywają obok siebie na cmentarzu królewskim Frogmore. Wielki to zaszczyt dla jednej z najbardziej znienawidzonych kobiet w XX wieku – a w każdym razie nielubianych przez Brytyjczyków – którzy obarczali ją winą za wszystkie poniesione przez monarchię klęski.

Nikczemna, podstępna, obca, fałszywa, przewrotna, wyrachowana, podejrzliwa, rozwiązła, ekstrawagancka – kazała sobie prasować banknoty, bo lubiła, jak szeleszczą – lubująca się w zbytku i płocha. To tylko niektóre z epitetów, jakimi określano ową damę z Ameryki, dwukrotną rozwódkę, która – o, paradoksie – w ogóle nie miała zamiaru wychodzić za mąż za Edwarda. Podobno, słysząc w Cannes, gdzie akurat przebywała, przemówienie króla, w którym ogłaszał on swoją abdykację, wybuchnęła łzami wściekłości i tłukąc coś po drodze, wykrzyknęła: „Jak mogłeś mi to zrobić?!”. Wallis, która wiedziała, co to niedostatek – należała do ubogiej gałęzi bogatej rodziny – czuła się szczęśliwa jako kochanka człowieka, który ją uwielbiał i obsypywał klejnotami. Wystarczało jej tylko to: brać udział w eleganckich przyjęciach, pływać luksusowymi statkami wycieczkowymi, tańczyć do świtu w nocnych klubach, pokazywać się we wspaniałych brylantach i rubinach i urządzać bez jakichkolwiek ograniczeń finansowych dwory i pałace, w których oboje mieszkali.

Dla księcia Walii jednak od chwili poznania pani Simpson ślub z nią stał się

chorobliwą obsesją. Nikt tak jak ona nie ośmielał się mówić mu, co myśli, karcić go publicznie jak smarkacza i wydawać mu polecenia, które spełniał z tajnym zadowoleniem. Edward, o aparycji fimowego księcia, wytworny blondyn o niebieskich oczach, stracił głowę dla kobiety krzyk-liwej, apodyktycznej, chudej do granic anoreksji i będącej absolutnym zaprzeczeniem kobiecości – kobiety okrzykniętej wrogiem publicznym monarchii, kobiety, której życiorys badano aż do znudzenia, przekonując króla, że nie jest dla niego odpowiednią towarzyszką. Wyrzucano jej niejasną przeszłość czy rzekomo niemoralne życie prowadzone w Chinach, kiedy jeszcze była ze swoim pierwszym mężem, bardzo źle ją traktującym lotnikiem i alkoholikiem. W ciągu trzydziestu pięciu lat małżeństwa książę Windsoru nigdy nie żałował, że stracił wszystko dla miłości. Na krótko przed śmiercią zwierzył się przyjacielowi: „Księżna dała mi wszystko, czego nie mogłem dostać od rodziny: pociechę, miłość, dobroć”.

Niejasna przeszłość

Kobieta, która zachwiała monarchią brytyjską, urodziła się 18 czerwca 1895 roku w cichej górskiej wiosce Blue Ridge Summit w stanie Pensylwania, niedaleko Baltimore. Tam, w skromnym górskim domu znanym pod nazwą Square Cottage, przyszła na świat Bessie Wallis Warfield, córka Teackle'a Wallisa Warfielda i Alice Montague. Dziewczynka pochodziła z dwóch znanych patrycjuszowskich rodzin Baltimore; zarówno wśród przodków Warfieldów, jak i Montague'ów byli sławni politycy, wojskowi, sędziowie. Ojciec Wallis, najmłodszy z czwórki rodzeństwa, był od urodzenia wątły i chorowity. W wieku osiemnastu lat zachorował na gruźlicę, rodzina jednak, zamiast wysłać go do sanatorium, kazała mu terminować w banku.

Kiedy na początku 1890 roku ładna Alice poznała Tea-ckle'a, był on nieśmiały, sympatycznym dwudziestopięcioletnim człowiekiem, któremu lekarz rodzinny radził się nie żenić ze względu na wspomnianą chorobę. Teackle nie przejął się jednak ostrzeżeniem lekarza i zakochał się w Alice, uroczej, żywiołowej dwudziestoczterolatce. W czasach kiedy gruźlikom nie zezwalało na kontakty z kobietami, Alice wykazywała się nie lada odwagą, spotykając się z nim. Nie bała się zarazić i niewiele sobie robiła z tego, co mówili ludzie. Po niedługim czasie okazało się – ku zgorszeniu obu rodzin – że jest w ciąży.

W pierwszych miesiącach 1895 roku para opuściła Baltimore i zamieszkała w Blue Ridge Summit, w klimacie zdrowym dla gruźlików. Tam właśnie, całkowicie incognito i bez jakiegokolwiek wsparcia rodziny, miała przyjść na świat Bessie Wallis, śliczne, zdrowe, ważące trzy kilogramy niemowlę. W tamtej epoce dziecko narodzone poza małżeństwem było prawdziwą obrazą moralności.

Należący do Kościoła episkopalnego Warfieldowie, jedna z najstarszych rodzin w kraju – wśród ich przodków znajdowali się założyciele stanu Maryland – nie mogli zaakceptować podobnej zniewagi. Przed rozwiązaniem postanowiono, że Alice nie będzie mogła urodzić w Baltimore, i w odpowiedniej chwili wysłano dyskretnie lekarza, żeby odebrał poród. Nie zgodzono się również, aby narodziny dziewczynki zostały odnotowane w redagowanej wówczas oficjalnej historii rodziny. Małej Bessie Wallis nie ochrzczono i w oczach swego Kościoła została ona skazana na „wieczne potępienie”. Przyszła księżna Windsoru narodziła się w aurze całkowitej anonimowości, uważana za owoc grzechu.

Alice i Teackle pobrali się siedemnaście miesięcy po narodzinach córki, podczas dość bezbarwnej i pozbawionej czaru uroczystości. Panna młoda wystąpiła w skromnej popołudniowej sukience, z bukietem fiołków w ręce. Nowożeńcy nie mieli prawa do przyjęcia ani romantycznego miodowego miesiąca. Krótko po ślubie wrócili do Baltimore, ponieważ stan zdrowia Teackle’a uległ pogorszeniu. Dla Alice były to miesiące pełne udreki. Bała się, że mąż, cierpiący ataki kaszlu, zarazi ją albo córeczkę. Żyli bardzo skromnie w ubogim prywatnym hoteliku niedaleko Park Avenue. Warfieldowie, widząc, że synowi pozostało niewiele życia, postanowili udzielić obojgu schronienia w swoim domu przy East Preston Street 34. Zaledwie pół roku później Teackle zmarł, a Wallis nawet nie mogła się do niego przytulić i z nim pożegnać. Miał dwadzieścia sześć lat. Żonę i córeczkę zostawił w trudnej sytuacji materialnej.

Babcia Anna Amory Warfield, która zawsze była przeciwna małżeństwu młodszego syna i nie ukrywała wzgardy dla synowej, podjęła się jednak opieki nad nią i wnuczką. I tak oto małeńka pięciomiesięczna Wallis oraz jej matka zamieszkały w dwupiętrowym domu rodziny Warfield przy ulicy Preston w Baltimore. Surowa babcia – od wielu lat wdowa – była głową rodu i trzymała silną ręką całą rodzinę. Jako wymagająca gospodyni pilnowała wszystkich sześciu służących, które codziennie stawiały się przed nią, żeby otrzymać nowe polecenia. Ubrana w pełną żałobę, bardzo pobożna, kazała wnuczce wstawać o piątej i uczestniczyć w modlitwie domowników.

W domu mieszkał także jedyny nieżonaty syn Warfieldów Solomon, zwany wujem Solem, człowiek wpływowy i mający wysoką pozycję społeczną. Stał on na czele kompanii kolei i był dyrektorem kilku ważnych firm, a ponadto doradcą i przyjacielem prezydenta Stanów Zjednoczonych Grove’a Clevelanda. Solomon nieustannie dawał Alice do zrozumienia, że mieszka ona z jego rodziną z łaski, a jednocześnie nie ukrywał swojego zainteresowania młodą matką. Mimo wielu przykrości, jakich nie szczędziło jej życie, Alice była dziewczyną nastawioną optymistycznie i pogodną – co kontrastowało z ponurą, wiktoriańską atmosferą domu babki. Jak miała zauważyć kiedyś księżna Windsoru: „Warfieldowie byli skrajnie konserwatywni, surowi i pobożni, Monta-gue’owie natomiast

nieodpowiedzialni i beztroscy”.

Wobec coraz większej natarczywości Solomona Alice postanowiła przeprowadzić się z córką do hotelu. Wuj, mimo że źle przyjął obojętność, jaką okazywała względem niego wdowa po bracie, wyznaczył jej stałą pensję i zobowiązał się płacić za naukę Wallis. Nie mogąc związać końca z końcem, Alice podjęła pracę krawcowej w organizacji charytatywnej. Rok później los się do niej uśmiechnął. Jej siostra Bessie również owdowiała i przyjęła ją wraz z dzieckiem do swego dużego ceglanego domu przy West Chase Street. Alice po raz pierwszy w życiu miała normalny dom i posłała córkę do szkoły, gdzie mała mogła bawić się z rówieśnikami. Wallis skończyła siedem lat. Była dziewczynką obdarzoną silnym charakterem, upartą i ambitną, która zawsze chciała być we wszystkim pierwsza.

W roku 1908 Alice przeniosła się z córką do dość obszernego mieszkania, w którym młoda wdowa zaczęła wynajmować pokoje studentom – co stanowiło źródło utrzymania mało chwalebne w oczach mieszkańców Baltimore. Nie dorobiła się na tym specjalnie, gdyż jako dobra kucharka lubiła zaskakiwać swoich klientów znakomitymi potrawami typowymi dla Marylandu, kupując najlepsze produkty na rynku. Nauczyła Wallis przygotowywać wyśmienite potrawy, które potem, w okresie pobytu księżnej Windsoru w Londynie, miały jej przysporzyć zasłużonej sławy. Wallis zawsze wspominała miesiące, kiedy mogła mieszkać sama z matką – kobietą pogodną i tryskającą energią – jako najszcześniejsze w życiu. „Uwielbiałam rozmawiać z matką. Nigdy nie odpowiadała mi z poczuciem wyższości. Rozmawialiśmy tak, jakbyśmy były siostrami”.

Dwudziestego czerwca 1908 roku Alice wzięła ślub z Johnem Freemanem Rasinem. Człowiek ten, niewyróżniający się ani aparycją, ani pracowitością, okazywał dziewczynce wiele serdeczności. Wallis, która już miała opinię krnąbrnej i upartej, próbowała jak mogła, nawet robiąc awantury, zbojkotować ślub matki. W tym czasie uczęszczała do ekskluzywnej szkoły dla panien, Arundell School, blisko domu dziadków ze strony matki. Kiedy koleżanki dokuczały jej, że matka prowadzi pensjonat, broniała się jak lwica, używając tak mocnego języka, że wprawiało to w zdumienie nauczycieli. Nie pozwalała się ugłaskać, a jej twardy charakter kształtował się częściowo pod wpływem surowego wiktoriańskiego wychowania babki Warfield.

W wieku szesnastu lat zwracała uwagę oryginalną urodą. Trzymała się prosto, miała ostre rysy, wystający podbródek, szerokie czoło i wspaniałe błękitne oczy łagodzące szorstki wyraz twarzy. Było w jej wyglądzie coś intrygującego i tajemniczego. Bardzo szczupła, z krótko obciętymi włosami, kanciastymi ramionami i małym biustem, wyglądała jak chłopak. Chłopcom wydawała się interesująca, zabawna i przede wszystkim bardzo pewna siebie. Już jako nastolatka wiedziała, że jest inna niż przeciętne dziewczęta, i wyróżniała się oryginalnym, śmiałym stylem ubierania się. Nie miała pieniędzy, lecz nosiła szyte przez matkę

jaskrawe ekstrawaganckie sukienki podkreślające jej szczupłą figurę. Była najbardziej szykowna wśród koleżanek i pierwsza zaczęła chodzić z chłopakiem. Jej najlepszą przynętą przez całe życie były – jak sama przyznawała – witalność, silny charakter i umiejętność schlebiana męskiej próżności.

W roku 1911 Wallis zamieszkała w internacie przy Oldfields School, najdroższej w Maryland. Dziewczęta z wyższych sfer studiowały w szkole ustępy z Biblii, uczyły się szycia, gotowania i rysunków. Wiele z nich było platonicznie zakochanych w księciu Walii, którego zdjęcie wieszały w pokojach; przystojny, jasnowłosy następca tronu liczył sobie wówczas szesnaście lat. Około 1912 roku Wallis nie mogła już wytrzymać elitarniej atmosfery Oldfields i spędziła lato u ciotki Bessie. Jej matka mieszkała w tym czasie z mężem w Atlantic City, lecz szczęście małżeńskie nie trwało długo. W kwietniu 1913 roku ojczym Wallis zmarł z powodu alkoholizmu. Alice Warfield Rasin, dwukrotna wdowa, wróciła do Baltimore, gdzie jej córka właśnie szykowała się do wejścia w świat. Debiut towarzyski był wydarzeniem roku. Impreza odbywała się w operze i dziewczyna brylowała na wielkim balu, występując we wspaniałej sukni z białej satyny, uszytej według modelu angielskiego projektanta Wortha. Skończyła osiemnaście lat i oczekiwano teraz od niej, że znajdzie szybko dobrego męża, w miarę możliwości bogatego i wpływowego.

W listopadzie 1915 roku los Wallis przybrał niespodziewany obrót. Jedna z jej kuzynek, Corinne, szczęśliwa żona kapitana korwety Henry'ego Mustina i matka trojga dzieci, zaprosiła ją do siebie na słoneczną Florydę. Jej mąż został wysłany do nowej bazy powietrzno-morskiej w Pensacola, gdzie szkolono pilotów. Miasto to, położone na północnym zachodzie Florydy, pełne pięknych budynków w hiszpańskim stylu kolonialnym, otoczone było dziewiczymi plażami o białym piasku. Chociaż babcia Warfield zmarła i zgodnie z tradycją cała rodzina powinna była zachowywać żalobę, Wallis nie zastanawiała się wiele i przyjęła zaproszenie. Były to dla niej wakacje marzeń. Pierwszy raz wolna od krępujących więzów rodzinnych czuła się swobodna i miała ochotę korzystać z życia w tym rajskim miejscu. Wprawdzie pomagała kuzynce w zajęciach domowych i w kuchni, ale znajdowała również czas, by się opalać, kąpać w ciepłym morzu, chodzić do kina i brać udział w balach, na których bywali przystojni oficerowie z bazy wojskowej.

„Poznałam właśnie najprzystojniejszego lotnika świata”, napisała w liście do matki o spotkaniu z człowiekiem, który miał stać się jej mężem – hrabią Winfieldem Spencerem. Poznali się w domu Corinne podczas obiadu, na który został zaproszony młody oficer z kolegami z bazy. Od pierwszej chwili zauroczył ją postawny, miły pilot o ciemnych włosach i wyzywającym spojrzeniu, osiem lat starszy od niej. Winfield Spencer – nazywany przez wszystkich Winem – urodził się w Kansas w roku 1888 i był najstarszy z sześciorga rodzeństwa. Pochodził, podobnie jak Wallis, z rodziny amerykańskiej, której przodkowie przybyli na

wybrzeże kontynentu w XVII wieku. Spencer, mający opinię lekkoducha i kobieciarza, był w rodzinie czarną owcą, ale tego nie wiedziała zakochana w nim dziewczyna.

Oczarowanie było wzajemne, a namiętność na tyle intensywna, że podjęto decyzję o jak najszybszym ślubie. Mimo że Warfieldowie nie patrzyli na konkurenta przychylnym okiem, Wallis się nie poddała. Przekonała wuja Solomona, by pomógł jej finansowo, i zamówiła suknię w luksusowym sklepie w Baltimore. Do ślubu ubrana była w suknię z białego aksamitu, z gorsetem wyszywanym perłami i z bufiastymi rękawami, na głowie miała wianek z kwiatów pomarańczy i tiulowy welon. Uroczystość odbyła się 8 listopada 1916 roku w świątyni należącej do Kościoła Chrystusa w Baltimore, udekorowanej z tej okazji białymi liliami, różami i chryzantemami. Był to elegancki, romantyczny ślub, o jakim Wallis marzyła i jakiego nie mogła mieć jej matka.

Po krótkim miesiącu miodowym nowożeńcy wrócili do Pensacola, gdzie Wallis odkryła szybko, że jej nieustraszony lotnik jest alkoholikiem. Lęk przed tym, że mąż może pilotować samolot po pijanemu i nie wrócić do domu, był tylko początkiem jej długiej kalwarii. Win bowiem nie tylko pił, ale był strasznym gwałtownikiem i wyładowywał na Wallis całą swoją złość i frustrację. Szóstego kwietnia 1917 roku Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny i wbrew oczekiwaniom Wina – a także dlatego, że przełożeni wiedzieli o jego problemach z alkoholem – Ministerstwo Marynarki wysłało go do San Diego, by zorganizował szkołę dla pilotów na zachodnim wybrzeżu. Jednakże ani zmiana zajęcia, ani łagodny klimat kalifornijski nie potrafiły uśmierzyć jego napadów furii i zazdrości. Gdy miał wyjść z domu, przywiązywał Wallis do łóżka, a kiedyś nawet zamknął ją na cały dzień w łazience. Niewierny był za to on sam. Pozamałżeńskie przygody Wina nie były tajemnicą dla nikogo.

Siódmego kwietnia 1920 roku przybył do San Diego książę Walii, najlepsza partia w Europie. Statek Renown, którym wraz z kuzynem, Louisem Mountbattenem, płynął do Australii, zatrzymał się na krótki postój w mieście. Spencerowie nie zostali zaproszeni na wydane przez władze miasta przyjęcia dla brytyjskiego następcy tronu. Mogli natomiast wziąć udział w balu zorganizowanym przez burmistrza w hotelu Coronado. Wallis tylko z daleka widziała księcia, jak ubrany w biały mundur marynarki królewskiej wita się z zaproszonymi gośćmi. Pierwszy raz zatem spotkali się na publicznej uroczystości, ale minie jeszcze dziesięć lat, nim ich drogi skrzyżują się ponownie. Po pewnym czasie Spencerowie przenieśli się z Kalifornii do Waszyngtonu, gdzie mieszkały matka Wallis i ukochana ciotka Bessie. Poczuvszy się bezpiecznie na łonie rodziny, Wallis, dla której życie z mężem stawało się nie do zniesienia, zaczęła poważnie myśleć o rozwodzie. Zarówno jednak Warfieldowie, jak i Montague'owie absolutnie nie zamierzali dać jej na to przyzwolenia. Jedynym wyjściem była separacja. Wallis

zdołałaby w ten sposób odmienić nędzne życie, jakie wiodła u boku męża. Jesienią 1921 roku Wallis i Win zerwali ze sobą, w każdym razie na jakiś czas. Winfield, który miał wstrzymane pozwolenie na loty w związku z nałogiem, został mianowany dowódcą załogi starej pohiszpańskiej kanonierki i wysłany do bazy na Morzu Chińskim. Wallis zamieszkała u matki. Zamykała za sobą cztery lata udręki i poniewierki, które trwałym piętnem nazaczyły jej charakter.

W autobiografii zatytułowanej *The Heart Has Its Reasons* [Serce ma swoje racje] Wallis podaje niewiele informacji na temat siedmiu lat, jakie upłynęły między jej separacją ze Spencerem a nowym małżeństwem, zawartym w 1928 roku. Zachowuje również dyskrecję, jeśli chodzi o nazwiska mężczyzn – w większości młodych dyplomatów i przystojnych oficerów – z którymi miała romanse. Wiadomo tylko, że pozbywszy się męża, zaczęła w pełni korzystać z uroków stanu wolnego. Mieszkała teraz w Waszyngtonie, razem z pewną malarką, żoną oficera marynarki. Miała niewiele pieniędzy – dysponowała jedynie skromną pensją wyznaczoną jej przez Wina – ale była nareszcie wolna od upokorzeń i pogroźek. Miała dwadzieścia pięć lat, była kobietą elegancką, zalotną i pewną siebie; wiedziała też, jak uwodzić mężczyzn. Wkrótce nawiązała romans z ambasadorem Włoch w Stanach Zjednoczonych, przystojnym księciem, który zaraził ją swoim podziwem dla Benita Mussoliniego. Później przeżyła krótką, namiętą przygodę z pierwszym sekretarzem ambasady argentyńskiej w Waszyngtonie, Felipe Espilem. Zakochała się w tym eleganckim, szarmanckim mężczyźnie, który z wyglądu przypominał amanta filmowego – a przy tym świetnie tańczył tango.

Związek z przystojnym *latin lover* zakończył się gwałtownie pod koniec roku 1923, kiedy ten zakochał się w innej kobiecie. Dowiedziawszy się o tym, Wallis, w poczuciu urażonej dumy, zrobiła kochankowi straszną scenę. Podczas eleganckiego przyjęcia rzuciła się na niego w furii i na oczach wszystkich podrapała mu twarz. Szanse poślubienia przez nią ważnego dyplomaty zmalowały w tym momencie do zera. Po zerwaniu z Felipe wyjechała z Waszyngtonu i przebywała pięć miesięcy w Paryżu, pragnąc zapomnieć o miłosnej porażce. W tym czasie zastanawiała się nad swoją przyszłością, która nie rysowała się bynajmniej w różowych barwach. Win Spencer, wciąż jeszcze będący jej mężem, zaczął wysyłać do niej listy, w których prosił, by zapomniała o przeszłości, i namawiał ją do przyjazdu do niego do Chin. Wallis, znów osamotniona i bez pieniędzy na rozwód, postanowiła spróbować jeszcze raz uratować małżeństwo.

Powodów, dla których Wallis w 1924 roku wyruszyła w podróż do Chin, może być kilka. Zdaniem jej biografa Charlesa Highama przyszła księżna Windsoru przed podróżą do Hongkongu została należycie przeszkolona przez służby wywiadowcze Ministerstwa Marynarki w kwestii przewożenia tajnych dokumentów. Wykorzystywanie wysyłanych do Azji żon oficerów marynarki

i lotnictwa jako kurierów było zwykłą praktyką. Poufne informacje przekazywane flocie amerykańskiej w Chinach – na ogół telegraficznie lub zaszyfrowane – mogły zostać bowiem z łatwością przechwycone. Jeśli przyjmiemy taką wersję, oznacza ona, że w tym momencie rozpoczęła się rzekoma legendarna kariera szpiega o imieniu Wallis Simpson.

Wallis odplynęła z nadbrzeża w Brooklynie 17 lipca na statku Chaumont, należącym do floty amerykańskiej, który transportował wojsko na Filipiny. W drodze zatrzymała się na tydzień na rajskich Hawajach. Ogromne wrażenie zrobiły na niej bujny krajobraz i uroda tubylców. W Manili wsiadła na inny statek, The Empress of Canada, który miał ją zawieźć do Hongkongu, gdzie czekał mąż. Kiedy wysiadła w ruchliwym porcie, poczuła się przytłoczona falą nieznanymi wrażeniami. Duchota, upał i przenikliwie ostre zapachy. Znalazszy się na stałym lądzie, w hotelu odzyskała siły po wyczerpującej podróży, po czym przeniosła się wraz z mężem do mieszkania oficerskiego w dzielnicy Kowloon. W tygodniu przybycia Wallis do Hongkongu w sąsiednich Chinach wybuchła krwawa wojna domowa. Na ulicach wyczuwało się napięcie, cudzoziemcy nie odważali się opuszczać swoich dzielnic.

W roku 1933, kiedy Wallis została kochanką księcia Edwarda, po Londynie krążyły plotki, że rozwiedziona Amerykanka jest mistrzynią „wschodnich technik seksualnych”, wyuczonych w Chinach w okresie, gdy zamieszkiwała tam z pierwszym mężem. Skandal wybuchł, kiedy premier Wielkiej Brytanii Stanley Baldwin upowszechnił raport na temat działalności Wallis w czasie jej pobytu w Azji. W świetle tych dokumentów, zdobytych przez tajne służby brytyjskie i przekazanych królowi Jerzemu V oraz królowej Marii (w momencie, gdy należało dołożyć wszelkich starań, by Wallis nie stała się angielską królową), wyglądało na to, że Win Spencer wprowadził żonę do tak zwanych domów śpiewu, jak nazywano luksusowe burdele w angielskiej kolonii. Raport znany pod nazwą „świadczenia chińskiego” całkowicie odsądzał Wallis od czci i wiary. Nie tylko oskarżał ją o odwiedzanie burdeli i domów gry, lecz także o udział w handlu narkotykami.

„Pojednanie przyniosło klęskę”, napisze Wallis w swoich wspomnieniach na temat tego, co nastąpiło w Hongkongu. W rzeczywistości i zgodnie z tym, co twierdzą jej biografowie, Win porzucił Wallis, przenosząc się do młodej, atrakcyjnej malarki, cieszącej się wielką popularnością w kolonii angielskiej. Zostawszy sama, 21 listopada Wallis popłynęła statkiem do Szanghaju, gdzie zatrzymała się na kilka dni w eleganckim hotelu Astor House. Mimo że miasto było pogrążone w chaosie wojny, Wallis miała okazję nacieszyć się światowym życiem, jakie wiedli tam ludzie z Zachodu. Brała udział w eleganckich przyjęciach wydawanych przez pracowników administracji kolonialnej w ich luksusowych rezydencjach, w barwnych wyścigach konnych i odwiedzała modne nocne lokale.

Na początku grudnia przybyła do Pekinu i zamieszkała w Grand Hotelu, prawdziwej oazie w środku miasta pogrążonego w chaosie zamieszek i walk. Pozostawała tam do czerwca 1925 roku, kiedy to skończyła dwadzieścia dziewięć lat. Wówczas pożegnała się, dość nieoczekiwanie, z przyjaciółką Katharine Rogers oraz jej mężem Hermannem, którzy zajmowali się nią podczas jej pobytu w stolicy Chin, i wróciła do Stanów.

Ósmego września, po męczącej podróży dotarła do portu w Seattle i natychmiast trafiła do szpitala. W swoich wspomnieniach księżna Windsoru wspomina, że wróciła z Chin z „mroczną chorobą wewnętrzną”, która stała się powodem koniecznej operacji i długiej rekonwalescencji. Był to jeden z rzadkich przypadków podczas jej długiego życia, kiedy nie dopisało jej zdrowie. W 1951 roku operowano jej guz jajników, lecz poza tym do późnej starości zachowała siłę i witalność. Wallis nie pisze o tym, co konkretnie skłoniło ją do powrotu, wszystko wskazuje jednak na to, że kłopoty ze zdrowiem wiązały się z komplikacjami po przebytej w Chinach aborcji. Kiedy w czerwcu wyjechała z Pekinu, by wrócić do domu, zatrzymała się jeszcze w Szanghaju, gdzie chciała się pożegnać z przyjaciółmi. Tam to dała się uwieść włoskiemu księciu o nazwisku Galeazzo Ciano, z którym przeżyła krótki romans. Ów gorący admirator Mussoliniego – który kiedyś miał się stać zięciem dyktatora i ministrem spraw zagranicznych – był wówczas młodym studentem, zafascynowanym tysiącletnią historią Chin. Według pisarza Charlesa Highama, autora znakomitej biografii księżnej Windsoru, zaszła ona w ciążę z Cianem i postanowiła przed powrotem do Stanów dokonać aborcji. Powikłania po zabiegu pozostawiły poważne konsekwencje, między innymi bezpłodność.

Po czterech miesiącach rekonwalescencji spędzonych u matki w Waszyngtonie Wallis przeniosła się do Warrenton, spokojnego miasteczka w stanie Wirginia, gdzie dowiedziała się, że stosunkowo łatwo i bez większych kosztów może uzyskać rozwód. Mieszkając w jedynym przyzwoitym hotelu w mieście, Warren Green, często grywała w golfa w wiejskim klubie, tańczyła i grała w pokera, będącego jedną z jej wielkich pasji. „Nie miała dość pieniędzy, żeby być naprawdę dobrze ubrana. Była raczej zadbana niż elegancka. (...) Ale przede wszystkim zawsze tryskała życiem. Brylowała na wszystkich przyjęciach! Mogła tańczyć do upadłego i rywalizować w piciu; miała wyjątkowo mocną głowę. (...) Była urodzonym gawędziarzem, sypała anegdotami jak z rękawa, zadawała śmiało zagadki...”, wspomina przyjaciel, który poznał ją w tamtych czasach.

W tym czasie Wallis zaczęła się spotykać z koleżankami z młodości, mieszkającymi w Waszyngtonie, zaledwie osiemdziesiąt kilometrów od Warrenton, między innymi z Mary Kirk, jedną z druzhen na jej ślubie ze Spencerem. Mary wyszła za Jacques'a Raffraya i mieszkała przy Washington Square w Nowym Jorku. W 1926 roku państwo Raffray zaprosili Wallis do siebie na święta Bożego

Narodzenia. I właśnie wieczorem 25 grudnia, dosłownie kilka dni po uzyskaniu rozwodu z pierwszym mężem, przyjaciółka przedstawiła jej Ernesta Simpsona, eleganckiego, wytwornego biznesmena. Ernest, urodzony w Nowym Jorku z ojca Anglika i matki Amerykanki, tam też spędził dzieciństwo i młodość. W wieku dwudziestu dziewięciu lat był typem autentycznego gentlemana. Wysoki, postawny, dobrze wychowany i szarmancki, o miłym usposobieniu, dzielił z Wallis gusty i zainteresowania. Od początku poczuli wzajemną skłonność i zaczęli się spotykać. W tym czasie Simpson był w trakcie załatwiania rozwodu z Doroteą Parsons Dechert, z którą miał córkę Audrey.

W 1928 roku przedsiębiorstwo, którym kierował ojciec Ernesta – założyciel Simpson, Spence & Young – zajmujące się handlem statkami, zaczęło podupadać, tak że syn postanowił przenieść się do Londynu i pokierować rodzinnym interesem. Przed wyjazdem nieoczekiwanie oświadczył się Wallis. Ta, mająca przy swoich trzydziestu jeden latach złe doświadczenia związane z małżeństwem, odpowiedziała „nie”. Ich drogi się rozdzieliły: ona pojechała na wakacje do Cannes, do przyjaciół, państwa Rogerów, a Ernest do Anglii. Po kilku tygodniach rozłąki Wallis przemyślała jednak propozycję i napisała do niego, oświadczając, że się zgadza. Pod koniec czerwca wzięła z Ernestem ślub, podpisując dokument w ponurym urzędzie stanu cywilnego w Chelsea. Ze strony Wallis nie przybył nikt, ani z rodziny, ani spośród bliskich przyjaciół. Mieszkająca w Waszyngtonie matka, Alice, nie akceptowała tego małżeństwa i odmówiła udziału w uroczystości. Ernest, nie mogąc zaproponować narzeczonej olśniewającego ślubu w gronie rodzinnym, wynagrodził jej to wspaniałym miesiącem miodowym, który upłynął między Francją a Hiszpanią. Małżonkowie podróżowali po Europie imponującym żółtym samochodem marki Lagonda, prowadzonym przez szofera w uniformie, i zatrzymywali się w najlepszych hotelach.

Po podróży państwo Simpson zamieszkali w Londynie, w mieszkaniu Ernesta niedaleko Hyde Parku, by z czasem znaleźć odpowiadające ich gustom mieszkanie przy ulicy George Street 5 w Bryanston Court. Był to elegancki apartament z dużą jadalnią, jasnymi pokojami i kilkoma izbami dla pięcioosobowej służby. Po raz pierwszy w życiu Wallis mogła się cieszyć życiem w dostatku i pozwalać sobie na nieosiągalne dotąd luksusy. Jako że Ernest spędzał cały dzień w biurze, a ona miała mnóstwo czasu, zajęła się urządzaniem mieszkania i kupowaniem antyków w Chelsea i Kensington, bez zwracania uwagi na cenę. Dom obfitował w miłe dla oka szczegóły i cenne przedmioty: były tam świeże kwiaty w wazonach, parawany z laki, elegancki fortepian, liczne rzeźby i cacka z kości słoniowej, jadeitu i porcelany przywiezione przez Wallis z Chin.

Kobiecie przyzwyczajonej do swobody życia w Ameryce nie było łatwo dostosować się do surowej etykiety obowiązującej w wyższych klasach angielskich. Z biegiem czasu lady Simpson miała się jednak przeobrazić w jedną

z wielkich dam londyńskich, która w swoim domu w Bryanston Court organizowała eleganckie, miłe spotkania, sławne wkrótce w całym mieście. Bywali tam zagraniczni dyplomaci, politycy, biznesmeni – w większości klienci Ernesta z Norwegii i Stanów – aktorzy i damy z towarzystwa. Wallis własnoręcznie przygotowywała i podawała koktajle – choć sama piła niewiele, i to wyłącznie szkocką whisky – i rozpieszczała gości wybornymi, egzotycznymi kolacjami przy świecach, w niepowtarzalnej scenerii. Przyjęcia u lady Simpson stały się sławne ze względu na znakomitą kuchnię – będącą połączeniem typowych potraw z Marylandu z przepisami zebranymi w Kantonie i Pekinie – oraz obfitość napitków, ale także bezpośredni sposób bycia gospodyni.

Wallis wydawała się szczęśliwa u boku mężczyzny, z którym związała się bardziej z rozsądku niż z miłości, a który jednak spełniał wszystkie jej zachcianki. Powoli zintegrowała się ze społecznością amerykańską w Londynie, spotykającą się przynajmniej dwa razy w tygodniu. Do ważnych osobistości należała tam Consuelo Morgan Thaw, której mąż Benjamin Thaw, pierwszy sekretarz ambasady amerykańskiej w Londynie, przyjaźnił się z Wallis od czasów jej pobytu w San Diego. Consuelo była siostrą Thelmy Furness, ówczesnej kochanki księcia Walii. Thelma, kobieta piękna, z klasą, była żoną człowieka dwa razy od niej starszego: wdowca, wicehrabiego Marmaduke'a Furnessa, który pędził beztroski żywot na Riwierze, popijając koniak i flirtując z młodocianymi pięknościami. Latem 1929 roku Thelma, licząca wówczas zaledwie dwadzieścia trzy lata, nawiązała romans z dziedzicem korony brytyjskiej. Od pierwszej chwili Wallis i lady Furness – wyzwolone Amerykanki po rozwodzie – dogadały się i zaprzyjaźniły.

Nieoczekiwana idylla

Zimą 1930 roku Simpsonowie zostali zaproszeni do domu państwa Furness w Melton Mowbray w hrabstwie Leicester, by wziąć udział w polowaniu na lisa. Wśród zaproszonych gości znalazł się również książę Walii, który właśnie wrócił z Ameryki Południowej, oraz jego młodszy brat Jerzy. Jak pisze Edward we wspomnieniach – opublikowanych w 1951 roku pod tytułem *A King's Story. The Memoirs of the Duke of Windsor* [Historia króla. Wspomnienia księcia Windsoru] – lady Simpson już przy pierwszym spotkaniu wywarła na nim bardzo miłe wrażenie. Pamiętał, że dzień był wilgotny, bardzo mglisty i że Wallis była mocno przeziębiona. Właśnie wtedy Edward, może po to, by przełamać lody, zadał jej pytanie, które przeszło już do legendy domu Windsoru: „Czy pani, jako Amerykanka nawykła do wygod, nie marznie w naszych angielskich zamkach, w których nie ma centralnego ogrzewania?”. Wallis odpowiedziała mu drwiącym tonem: „Przykro mi, ale mnie pan rozczarował, sir. Wszystkim Amerykankom,

które przybywają do pańskiego kraju, zadaje się zawsze to samo pytanie. Po księciu Walii spodziewałam się czegoś oryginalnego”. Po tej rypocie, która wprawiła w osłupienie wszystkich obecnych, Edward nie wiedział, co odpowiedzieć. Owego dnia – według relacji księcia – „zadzierzgnięta została przyjaźń oparta na głębokim porozumieniu”.

Od tego momentu Wallis i Edward w ciągu najbliższych miesięcy spotykali się w towarzystwie wspólnych przyjaciół na imprezach towarzyskich w Londynie bądź podczas weekendów na wsi. Nie był to chyba *coup de foudre*, gdyż ani Wallis, ani książę niewiele zapamiętali z owego pierwszego spotkania w pałacyku myśliwskim Furnessów, poza tym, że ona miała gorączkę i źle się czuła. Wallis, choć nie zachowała w pamięci szczegółów rozmowy, pozostawała jednak pod wrażeniem jego wyglądu i manier: „Pamiętam, jak mi się wydał podobny do swoich portretów – włosy lekko zwichrzone wiatrem, wydatny nos i to nieobecne, nostalgiczne, niemal smutne spojrzenie, kiedy był odprężony.(...) Była to jedna z najbardziej interesujących osobowości, z jakimi się zetknęłam”. W rzeczywistości Wallis poznała księcia dziesięć lat wcześniej, kiedy była żoną Wina Spencera, z okazji przyjęcia wydanego na cześć Edwarda w Coronado w San Diego. Teraz, kiedy była szanowaną lady Simpson, nie miała najmniejszej ochoty grzebać w swojej przeszłości i nie wracała do tamtej sytuacji.

Druga okazja, kiedy książę mógł uważniej przyjrzeć się Wallis, nadarzyła się w czerwcu 1931 roku w pałacu Buckingham. Wallis została przedstawiona na dworze królowi Jerzemu i królowej Marii. Książę, stojący za tronami, na których siedzieli rodzice, od razu zwrócił na nią uwagę: „Kiedy składała ukłon najpierw przed moim ojcem, potem przed matką, zauważyłem, z jaką naturalną godnością się porusza”. Po prezentacji Thelma zaprosiła paru przyjaciół, wśród nich Simpsonów, na kieliszek szampana do siebie do domu. Książę zjawił się tam nieoczekiwanie i pogratulował Wallis eleganckiej sukni, w której wystąpiła na dworze, oraz stroiku na głowę ze strusich piór – w komplecie z pożyczonym przez Thelmę wachlarzem. Gdy o trzeciej nad ranem Wallis wraz z mężem opuszczali rezydencję Furnessów, książę Walii zaproponował, że ich podwiezie samochodem. Był to dla nich wielki zaszczyt. Pod domem w Bryanston Court zaprosili go, by wszedł jeszcze się z nimi czegoś napić. Książę podziękował, ale zaznaczył: „Bardzo chętnie zobaczyłbym kiedyś państwa dom. Podobno jest cudowny. Dobranoc!”.

Kilka miesięcy później pierwszy raz jadł kolację w domu państwa Simpsonów i zachował miłe wspomnienie tego wieczoru: „Wszystko w ich domu było w najlepszym guście; jedzenie, według mnie, nie ma sobie równego w Londynie. Wallis, wychowana w Baltimore, gdzie dobry obiad uważany jest za jedną z najważniejszych rzeczy, odznaczała się znajomością kuchni godną fachowca. A poza tym miała osobowość, która przyciągała przyjaciół – ludzi

pogodnych, o żywym umyśle, wykształconych”. W tym okresie Edward z trudnością już ukrywał podziw wobec pani Simpson i ilekroć był w Londynie i czas mu pozwalał, wpadał do Bryanston Court na herbatę albo jeden z wybornych koktajli przygotowywanych przez gospodynię.

Uważał Wallis za kobietę fascynującą, obytą w świecie i doskonale zorientowaną w polityce i sprawach społecznych. Od Ernesta Wallis przejęła zainteresowanie sztuką, poezją i teatrem. Jak wspominał jednak sam Edward, gospodyni ujęła go przede wszystkim spontanicznością, do jakiej nie był przyzwyczajony. „Prowadziła rozmowę w sposób żywy i lekki. Najbardziej jednak podziwiałem jej spontaniczność. Jeśli nie zgadzała się z jakimś radykalnym stanowiskiem, przedstawiała swoją opinię z przekonaniem i zaangażowaniem. Urzekło mnie to. Człowiek o mojej pozycji rzadko spotykał się z takim nastawieniem u innych osób”.

Kiedy Wallis Simpson poznała księcia Walii, miał on trzydzieści osiem lat i był najlepszą partią w Europie. Urodzony 23 czerwca 1894 roku w White Lodge w Londynie, był pierworodnym księstwa Yorku – późniejszego króla Jerzego V i królowej Marii. Na chrzcie otrzymał imiona Edward Albert Christian George Andrew Patrick David. Chociaż jego oficjalnym imieniem było Edward, przyjaciele i najbliżsi – także Wallis – używali zawsze imienia David. Jak napisał we wspomnieniach, w dzieciństwie zajmowały się nim niania i bony; nie miał możliwości bawić się z rówieśnikami, uwięziony, podobnie jak piątka jego rodzeństwa, w wielkich zimnych zamkach, w których rezydowała rodzina królewska: Balmoral, Sandringham, Windsor albo pałacu Buckingham. „Nie zachowałem miłych wspomnień z dzieciństwa, jakie mają niemal wszyscy”, powiedział kiedyś. Relacja z ojcem, królem Jerzym V, była zawsze chłodna i skomplikowana. Był za to pieszczoszkiem matki, królowej Marii. Matka nauczyła go haftu krzyżkowego, którym zajmował się z upodobaniem przez całe życie.

Kiedy w 1910 roku wstąpił na tron ojciec Edwarda, on sam, wrażliwy szesnastoletni młodzieniec, przejął tytuły księcia Kornwalii – będący źródłem obfitych dochodów osobistych: około stu tysięcy funtów rocznie – oraz księcia Rothesay. W lipcu 1911 roku został mu nadany, jako dziedzicowi korony, tytuł księcia Walii. Uroczystość odbyła się w zamku Caernarfon w Walii. Księżę czuł się śmiesznie w swoim stroju, na który składały się „obcisłe białe spodnie, białe jedwabne pończochy, czarne pantofle ze złotymi klamrami oraz aksamitny purpurowy płaszcz obszyty futrem gronostaja”. Edward służył jako kadet w armii i na myśl o tym, że koledzy zobaczą go tak przebranego, ogarniała go zgroza. Przyszły król nigdy nie gustował w etykietce ani ścisłym protokole dworskim, uważając go za przestarzały. Nie odpowiadało mu również wiele zwyczajów, zbyt starych i surowych, obowiązujących w łonie brytyjskiej rodziny królewskiej.

W roku 1914 wybuchła pierwsza wojna światowa i księżę, który ukończył

właśnie drugi rok studiów w Oksfordzie, służył w wojsku brytyjskim, choć trzymano go z dala od frontu. Był pierwszym członkiem brytyjskiej rodziny królewskiej, który pilotował samolot; zyskał sympatię poddanych, wizytując żołnierzy na polu walki. Po wojnie skarbiec państwa świecił pustkami, a handel, od którego zależała gospodarka, był sparaliżowany. Wówczas premier Lloyd George wymyślił, że młody książę ze swoim urokiem i charyzmą będzie w świecie najlepszym ambasadorem produktów swego kraju. I tak przez przeszło dziesięć lat dziedzic tronu odwiedzał najdalsze zakątki świata, dbając, jak nie czynił tego przed nim żaden członek rodziny królewskiej, o ożywienie handlu. W latach dwudziestych zyskał popularność podobną do popularności gwiazdy Hollywoodu. Czy to w Indiach, czy w Argentynie, czy w Związku Południowej Afryki, czy w Japonii, był fetowany przez rozentuzjzmowane wielbicielki, które za wszelką cenę pragnęły uścisnąć mu dłoń albo zabrać „na pamiątkę” guzik od jego marynarki bądź chusteczkę z butonierki. Stał się jedną z osób najczęściej fotografowanych i nagabywanych przez dziennikarzy. Większość dziewcząt tamtej epoki była w nim zakochana.

Edward budził namiętność wszędzie, gdziekolwiek się pojawił. Był przystojny, miał nienaganne maniery i mógł służyć za wzór elegancji. Ubierał się w sposób swobodny i niekonwencjonalny, tworząc własny styl, szeroko naśladowany. Zakochany w kapeluszach – noszonych nieco na bakier – wymyślił nowy sposób wiązania krawatów, zwany windsorskim. Jego pomysłem było prasowanie spodni w kant, wylansował również tak zwane półbuty korespondenta (białe z czarnym czubkiem). Spopularyzował także tkaninę z kraciastym wzorem na tle pepitki, z której kazał sobie szyć absolutnie doskonale garnitury i która przeszła do historii jako „kratka księcia Walii”. Był człowiekiem prostolinijnym, obdarzonym poczuciem humoru, nowoczesnym. Irytowały go coraz sztywniejsze dworskie zwyczaje, toteż starał się jak najwięcej przebywać w swej posiadłości w York House, w pałacu St. James.

Bywał jednak także człowiekiem niedojrzałym i kapryśnym. Wielu żałowało bardzo, że następca tronu odznacza się „charakterem słabym i nieco infantylnym”. Jego „swobodne” życie kawalera stało się powodem niejednej konfrontacji z surowym ojcem, niepewnym, czy jego pierworodny będzie kiedyś zdolny podjąć zaszczyt i odpowiedzialność dźwigania korony. „Kiedy umrę, ten chłopak utrzyma się najwyżej rok”, powiedział Jerzy V przed śmiercią. Czas miał pokazać, że przewidywania monarchy były słuszne. Przed poznaniem Wallis książę – o którym mówiono, że jest biseksualny – wydawał się zainteresowany jedynie mężatkami, szczupłymi, o wyglądzie androgynicznym. Najdłuższy i najpoważniejszy związek łączył go z piękną i wytworną Fredą Dudley Ward.

Gdy się poznali w 1918 roku, książę miał dwadzieścia lat, ona zaś była zamężna z członkiem parlamentu i wiceszambelanem domu królewskiego. Obie te

funkcje bardzo absorbowwały małżonka, który późno wracał do domu. Freda, kobieta atrakcyjna, która chciała się bawić, zaczęła się spotykać z księciem. Przez szesnaście lat Edward był w niej szaleńczo zakochany, jakkolwiek w tym czasie pozwalał sobie również na tak zwane skoki w bok. Łącząca ich serdeczność i zażyłość wygasła, kiedy następca tronu nawiązał romans z inną mężatką z wyższych sfer, Amerykanką Thelmą Furness. Do momentu spotkania Wallis Freda była najważniejszą kobietą w życiu księcia i nawet jej dwie córki zaakceptowały księcia jako „wujka”, nazywając go „księżątkiem”. Lord Mountbatten, kuzyn księcia i towarzysz podróży po świecie, tymi słowami opisywał uczucie księcia względem pani Dudley: „W jego miłości do niej było coś nabożnego, niemal świętego. Była jedyną kobietą, którą tak kochał. Zasługiwała na to. Łagodna i dobra, miała na księcia zbawienny wpływ. Żadna z pozostałych tak nie oddziaływała. Wpływ Wallis był fatalny”.

Dwudziestego stycznia 1932 roku książę Walii zaprosił państwa Simpsonów oraz grupę przyjaciół na weekend do swojej rezydencji Fort Belvedere. Pałac, położony na krańcach rozległego parku otaczającego zamek w Windsorze, był ulubionym schronieniem księcia. W rezydencji tej, znajdującej się zaledwie czterdzieści kilometrów od Londynu, Edward zwykł spędzać weekendy, oddalony od obowiązków dworskich. Kiedy skończył trzydzieści pięć lat, uzyskał tę posiadłość od ojca, Jerzego V, i urządziwszy ją według własnego upodobania, mógł nareszcie zażywać tak upragnionego spokoju i wolności. Tam odkrył w sobie zamiłowanie do ogrodnictwa – sam przycinał, sadził drzewa i ulubione krzewy. Od gości oczekiwano między innymi, że będą pomagać gospodarzowi plewić chwasty, kosić trawnik i rozsadzać rośliny.

Kiedy Simpsonowie zjawili się w Belvedere, sam książę powitał ich w drzwiach i oprowadził po domu. Ku ich zaskoczeniu pokazał im nie tylko wszystkie pokoje, lecz także szafy, w których trzymał swoje eleganckie ubrania i niezliczone pary obuwia. Kolację spożyto w przytulnej jadalni ze złotymi zasłonami w oknach, z wielkim kominkiem, udekorowanej scenami o tematyce hippicznej. Edward okazywał gościom wielką uprzejmość i serdeczność, do tego stopnia, że w pewnej chwili zagrał dla nich na dudach, ubrany w ludowy strój góralski: czapkę, znakomicie skrojoną marynarkę, krótką spódniczkę i buty ze srebrną sprzączką. Po kolacji książę pierwszy raz poprosił Wallis do tańca. Po latach księżna Windsoru wspominała: „Tańczył dobrze, był gibki i miał poczucie rytmu”. Związek księcia i lady Simpson rodził się powoli i w sposób dyskretny. Thelma Furness pozostawała wciąż jego faworytą, jakkolwiek tamtego lata widywano go w towarzystwie innych kobiet, między innymi sławnej kobiety-lotnika, Amerykanki Amelii Earhart.

W grudniu 1933 roku znajomość Wallis i księcia przyjęła nieoczekiwany obrót. Podczas podróży do Kenii Thelma zerwała z mężem i pod koniec roku

postanowiła wyjechać do Stanów, by wesprzeć siostrę bliźniaczkę, Głorię Vanderbilt, która procesowała się o opiekę nad dziesięcioletnią córką. Kilka dni przed wyjazdem z Anglii Thelma umówiła się z Wallis, żeby się z nią pożegnać. W opublikowanych w 1958 roku wspomnieniach tak pisała o owym spotkaniu, które miało odmienić życie ich obu na zawsze: „Trzy czy cztery dni przed wyjazdem jadłam z Wallis obiad w Ritzu. Opowiedziałam jej o swoich planach. (...) «Och, Thelmo – wykrzyknęła Wallis – ten człowiek będzie się czuł bardzo osamotniony!». «Dobrze, kochana – odparłam. – Ty się nim zajmij pod moją nieobecność. Staraj się przypilnować, żeby nie zrobił jakiegoś głupstwa»”.

Po odjeździe Thelmy Simpsonowie zjedli z księciem i kilkorgiem przyjaciół kolację w hotelu Dorchester, podczas której książe, jak sam twierdził, zakochał się w pani Simpson. Tamtego wieczoru siedząca po jego lewej stronie Wallis nie tylko zasypała go pytaniami związanymi z jego „zajęciami jako księcia”, lecz traktowała go bez jakiegokolwiek służalczości i replikowała śmiało, jeśli się z czymś nie zgadzała. Książe Windsoru napisał: „W tamtej chwili dokonałem niezwykle ważnego odkrycia: że związek z kobietą może być również relacją intelektualną. Taki był początek mojego zakochania. W moim życiu zarysowało się coś, czego w nim brakowało. Nabrałem przekonania, że przy niej stałbym się bardziej twórczy, użyteczny”. Na koniec wieczoru książe oświadczył z powagą: „Wallis, jest pani jedyną kobietą, która zainteresowała się moimi zajęciami”.

Wydawało się, że książe Walii odnalazł w Wallis idealną towarzyszkę, i od tej pory starał się przebywać z nią jak najwięcej. Bez zapowiedzi zjawiał się w jej domu w Bryanston Court na koktajl albo zostawał, żeby zjeść z obojgiem kolację. Czasem telefonował do Wallis, zapraszając ją na tańce w klubie Embassy, jednym z ulubionych lokali księcia, albo na kolację w jakiejś romantycznej restauracji w mieście. Simpson, oszukiwany mąż, patrzył spokojnie, jak książe flirtuje z jego żoną. Kiedy trzy miesiące później wróciła z podróży Thelma, chłód księcia wobec niej był więcej niż ewidentny. Mając Thelmę stale na oku, Edward wiedział, że podczas swego pobytu w Nowym Jorku przeżyła ona romans z młodym, urodziwym księciem Ali Khanem – który w 1949 roku miał się ożenić z aktorką Ritą Hayworth. Być może, dowiedziawszy się o niewierności lady Furness, postanowił sformalizować swój związek z Wallis, pod której urokiem pozostawał. Gdyby Thelma Furness nie uległa Ali Khanowi, być może nigdy nie straciłaby łask księcia i przyszły Edward VIII nie poczułby się zmuszony do abdykacji.

Związek Wallis z następcą tronu stawał się już do tego stopnia jawny, że Amerykanka nie wahała się karcić go publicznie. Podczas kolacji w Fort Belvedere Edward sięgnął palcami po listek sałaty, na co siedząca obok niego Wallis uderzyła go po rękę. „Na przyszły raz proszę użyć noża i widelca!”, powiedziała tonem nauczycielki, która strofuje dziecko. Przestraszeni współbiesiadnicy – wśród nich Thelma Furness i pokorny Simpson – zdali sobie tego dnia sprawę z autentycznej

natury tego związku. Thelma zrozumiała, że przyjaciółka „zbyt troskliwie opiekowała się księciem pod jej nieobecność”. Po kolacji lady Furness wycofała się wcześniej do swego pokoju i nazajutrz opuściła rezydencję, nie żegnając się i zabierając wszystkie swoje rzeczy. Było jasne, że jej miejsce w sercu króla zajmowała teraz Wallis.

W kwietniu 1934 roku „romans stulecia” – jak określiła związek prasa amerykańska – rozkwitł i wkrótce miał zachwiać podstawami monarchii brytyjskiej.

Dla wszystkich, którzy widzieli ich razem, było jasne, że Wallis została oficjalną kochanką księcia i że nie chodzi po prostu o kolejny z podbojów. Rodzina królewska patrzyła ze zgrozą, jak Wallis organizuje na nowo życie Edwarda, który jakby stracił głowę dla tej wolnomyślicielskiej Amerykanki, mężatki z zaliczonym jednym rozwodem. Teraz już się nie kryli i księżę Walii zaczął się pokazywać publicznie z nową kochanką. Nie tylko bywali razem w teatrze czy w operze, ale Wallis towarzyszyła Edwardowi na przyjęciach w ambasadach i podczas uroczystości państwowych. Księżę pragnął, by wyższe sfery londyńskie poznały „fascynującą” kobietę, którą teraz obdarzał swymi względami. Wpływ Wallis na życie księcia, który w sposób oczywisty coraz bardziej się od niej uzależniał, poważnie niepokoił otoczenie dziedzica korony.

Owa amerykańska „intruzka” przeobraziła się z dnia na dzień we właścicielkę dwóch głównych rezydencji księcia, Fort Belvedere oraz rezydencji York House w pałacu St. James. Sama ustalała menu, przemeblowywała według własnego widzimisię wnętrza i wydawała polecenia służbie, nie mając względu na hierarchię ani staż personelu pracującego u monarchy. Kiedy o wczesnych godzinach rannych wracali z tańców w klubie Embassy albo w Kit Kat, Wallis szorstko budziła służących, żeby dogadzali jej zachciankom. Najwierniejsi i najstarsi służący króla nienawidzili tej kobiety, która, jak twierdzili, „swymi sztuczkami rzuciła urok na dziedzica korony”. Ubliżało im, że muszą usługiwać pani Simpson, dla nich prostej rozwódce, Amerykance.

Latem 1934 roku Edward zaprosił Wallis na wspólne wakacje w Hiszpanii i we Francji. W sierpniu wynajął posiadłość niedaleko Biarritz i poprosił państwa Simpsonów, aby go odwiedzili. Po raz pierwszy Ernest odmówił przyjazdu i zamiast niego pojechała ciotka Bessie Merryman, chętnie towarzysząca ulubionej siostrzenicy. Para spędzała słoneczne dni na francuskim wybrzeżu Kraju Basków, kąpiąc się w morzu, grając w golfa, brydża, a wieczorami odwiedzając kasyno. Po upływie niezapomnianego miesiąca przedłużyli beztroskie wakacje, wypływając w dwutygodniowy rejs po Morzu Śródziemnym na należącym do przyjaciela księcia jachcie Rosaura. Zatrzymali się między innymi na romantyczne trzy dni w hotelu Formentor, na północy Majorki. Przybywszy do Cannes, udali się do luksusowego hotelu, a o pierwszej w nocy księżę rozkazał, by otwarto dlań sklep

Cartiera, gdzie kupił ukochanej bransoletkę z brylantów i szmaragdów. Miał to być jeden z pierwszych cennych klejnotów, jakie księżę Windsoru ofiarował Wallis w ciągu trzydziestu pięciu lat wspólnego życia.

Wiele napisano na temat związku księcia z Wallis i wpływu, jaki ta kobieta nań wywierała. Jakkolwiek było, nie ulega wątpliwości, że ta mało subtelna, apodyktyczna i krzykliwa kobieta pociągała księcia. W Londynie krążyły plotki, że Amerykanka nauczyła się wyrafinowanych technik miłosnych podczas pobytu w Szanghaju, gdzie mieszkała z pierwszym mężem. Zdaniem niektórych biografów jedną z głównych podniet w tym dziwnym związku był dominujący charakter lady Simpson. Edward jakby znajdował utajoną przyjemność w tym, że musi prosić Wallis na przykład o ogień albo o chleb w czasie obiadu. Freda Dudley, była kochanka księcia, rozumiała tę relację bardzo dobrze: „Miłość go zaczarowywała. Sam zmieniał siebie w niewolnika każdej kobiety, która go kochała, i całkowicie się od niej uzależniał. Taką miał naturę; był typem masochisty. Lubił, by go upokarzano, poniżano. Ta przebojowa Amerykanka o kwadratowej szczęce nie miała żadnych zahamowań. Skoro tylko odkryła jego słabość, nie wahała się jej wykorzystywać”. Więzy, które łączyły księcia z Wallis, wykraczały jednak poza relację fizyczną.

Księżę Jerzy, młodszy brat Edwarda, który nosił już tytuł księcia Kentu, 29 listopada 1934 roku ożenił się z księżniczką grecką Mariną. Dwa dni przed ślubem wydano na cześć narzeczonych uroczysty bal w pałacu Buckingham. Para królewska poleciła, by skreślono Wallis Simpson z listy zaproszonych gości. Tak rozpoczęła się wojna między brytyjską rodziną królewską – z królową Marią oraz księżną Yorku, żoną przyszłego króla Jerzego VI na czele – a Wallis, mająca trwać do śmierci księcia Windsoru. Niechęć rodziców księcia dotykała ją bardzo i nie pozwalała jej otworzyć się przed nimi. Królowi nie przeszkadzałoby, gdyby syn miał nową kochankę, oburzało go jednak, że pokazuje się z nią publicznie i zabiera ją w oficjalne podróże.

Jesienią 1935 roku król Jerzy V zachorował i pierwszy raz obawiano się o jego życie. W ciągu ostatnich dwóch lat życia monarcha trapił się bardzo kwestią następstwa po sobie. Myśl o tym, że miałby pozostawić tron pierworodnemu, wciąż jeszcze przy czterdziestu dwóch latach kawalerowi, zakochanemu w kobiecie o złej reputacji, była dlań nie do zniesienia. Jerzy V pragnął całym sercem, by tron przeszedł na jego drugiego syna, księcia Alberta, a potem na wnuczkę Elżbietę, którą autentycznie uwielbiał. Zmarł w nocy 19 stycznia, nie wiedząc, że jego pragnienia kiedyś się spełnią i że pewnego nie tak odległego dnia jego ukochana wnuczka zasiądzie na tronie, stając się panującą obecnie królową Elżbietą II. Leżąc na łożu śmierci, król Jerzy V zwrócił się z prośbą do swojej wiernej żony, by nie zgodziła się zaakceptować „grzesznej kochanki” syna. Królowa Maria miała pozostać wierna temu zobowiązaniu do końca swych dni.

Skandal w pałacu

Po śmierci ojca księżę Walii wstąpił na tron jako Edward VIII, „król Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej i dominiów zamorskich, cesarz Indii”. Był najpotężniejszym człowiekiem na świecie, a poddani, nieświadomi jego słabości, darzyli go wielkim szacunkiem. Niemniej owego dnia, 22 stycznia 1936 roku, monarcha nie mógł ukryć niepokoju. „Zawsze moją troską było załatwić wszystko i móc ożenić się z Wallis przed koronacją [zaplanowaną na maj 1937 roku]. Najgorsze, że nie wiedziałem, jak tego dokonać. Z powodu niepewności przeżywałem rok 1936 jak przeciągającą się agonię”, wyznawał.

W momencie śmierci króla Wallis przebywała w swym domu w Londynie i po latach wspominała wszystko, co wtedy nastąpiło. Księżę zadzwonił do niej i powiedział: „Wszystko, skończone, najdroższa! Tata zmarł przed chwilą. Bertie [księżę Albert] i ja lecimy jutro rano do Londynu, żeby wziąć udział w posiedzeniu rady królewskiej. Muszę się z tobą zobaczyć. Uwolnię się, jak tylko będę mógł”. Wallis – wciąż jeszcze lady Simpson – na wieść o zgonie monarchy odczuła niepokój. Obawiała się, że jej związek z Davidem, jak nazywała księcia, zmieni się. Że straci go, jak straciła pierwszego męża, Spencera. „Byłam pewna – wspominała później – że czeka mnie wielka udręka. Podobał mi się świat, w który wprowadził mnie David – lubiłam odwiedzać wspaniałe domy, poznawać ważne osobistości, przyjmować hołdy... Coś jednak mi mówiło: «To się szybko skończy. Jeszcze poznasz przytłaczające cierpienie»”.

Jeśli miała wątpliwości co do uczuć Edwarda względem niej, dzień później musiały się one rozwiązać. Król zaprosił ją na oficjalne ogłoszenie jego nominacji z jednego z balkonów pałacu St. James. Ku jej zaskoczeniu – i zgorszeniu obecnych – proklamowany właśnie Edward VIII podszedł do niej i powiedział: „Nigdy nic nie zdoła odmienić moich uczuć względem ciebie”. Edward reprezentował teraz monarchię brytyjską, wiedział jednak, że nie będzie królem obdarzonym pełnią władzy, póki – 12 maja 1937 roku – nie zostanie koronowany. Zapraszając Wallis na tę uroczystość, okazywał chęć narzucenia swojej woli w polityce, co miało mu przysporzyć wielu wrogów.

Premier Stanley Baldwin nie czuł specjalnej sympatii do młodego króla – wyrażającego uznanie dla faszystów i dla nazistowskich Niemiec. W opinii dworu podziw Edwarda dla osiągnięć Hitlera, który w 1933 roku doszedł do władzy, ukształtował się pod wpływem Wallis – swego czasu kochanki ważnych postaci na scenie faszystowskich Włoch, między innymi księcia Galeazza Ciano, zięcia Mussoliniego. Kiedy na polecenie Baldwina zbadano działania lady Simpson

podczas jej pobytu w Chinach, wyszły na jaw jej ówczesne znajomości z wysoko postawionymi urzędnikami nazistowskimi, wśród nich z Joachimem von Ribbentropem, przyszłym ministrem spraw zagranicznych Niemiec. Jak podają raporty FBI z tego okresu, Ribbentrop był kochankiem Wallis, podczas gdy pełnił obowiązki ambasadora Niemiec w Londynie, i ich bliskie związki nigdy nie uległy rozluźnieniu. Rozstając się z Wallis, von Ribbentrop – który w 1946 roku będzie pierwszym nazistą straconym na mocy wyroku w procesach norymberskich – posłał jej siedemnaście róż, czyli tyle, ile razy rzekomo spędzili ze sobą noc.

Król Edward VIII, spokrewniony z cesarzem Wilhelmem II, nigdy nie ukrywał podziwu dla narodu niemieckiego. W jego żyłach płynęła krew niemiecka; germańskie były korzenie angielskiej rodziny królewskiej. To jego ojciec Jerzy V w lipcu 1917 roku, w czasie pierwszej wojny światowej, postanowił zmienić oficjalną nazwę domu królewskiego Sachsen-Coburg-Gotha na Windsor, aby zatrzeć ślad germańskiego pochodzenia dynastii. Edward swoją sympatią wobec Niemiec nazistowskich reprezentował odczucia wielu Anglików tej epoki i klasy społecznej, którzy widzieli w Hitlerze przede wszystkim bastion obronny przeciw komunizmowi.

W lipcu 1936 roku Ernest Simpson – którego Wallis doprowadziła do ruiny kaprysami i życiem ponad stan prowadzonym w Bryanston Court – opuścił dom w Londynie, informując żonę, że kiedy tylko będzie chciała, może wystąpić o rozwód. Ernest miał kochankę. Była nią Mary Rafflay, wspólna przyjaciółka jego i Wallis, która ich sobie przedstawiła u siebie w Nowym Jorku w Boże Narodzenie 1926 roku. Wallis natychmiast zakomunikowała radosną wiadomość Edwardowi, który osobiście zajął się szukaniem dobrego adwokata, by jak najszybciej załatwić ciągnące się zwykle w nieskończoność formalności. Rozwód został zatwierdzony w październiku 1936 roku i wiadomość ukazała się w rubrykach towarzyskich niektórych gazet. Tego dnia Edward ofiarował ukochanej wspaniałą pierścienkę zaręczynową, niemal dwudziestokaratowy czworokątny szmaragd z datą zaręczyn i napisem: „Teraz jesteśmy dwoje 27/X/36”. Bajeczny kamień był połową legendarnego szmaragdu Wielkiego Mogoła, uważanego przez znawców za największy i najpiękniejszy na świecie. Cartier nabył go w Bagdadzie w Iraku, a monarcha odkupił od niego za ogromną sumę.

W Wielkiej Brytanii związek Wallis z królem był utrzymywany w tajemnicy i wiedzieli o nim tylko niektórzy członkowie rodziny bliscy królowi. Jednakże w sierpniu 1936 roku Wallis wypłynęła wraz z królem i kilkoma zaproszonymi osobami w rejs po Morzu Śródziemnym. Trasa wiodła wzdłuż wybrzeży Jugosławii, Grecji i Turcji. Zdjęcia Edwarda VIII i lady Simpson w strojach plażowych, kąpiących się w morzu i wiosłujących na łódce, ukazały się w prasie amerykańskiej i europejskiej obok obszernych artykułów spekulujących na temat ich związku. Skandal był tym większy, że podczas podróży monarcha i jego

towarzyszka zostali przyjęci przez króla Grecji Jerzego II, bułgarskiego cara Borysa III oraz księcia Pawła, regenta Jugosławii. Mimo że nie były to wielkie i ważne monarchie europejskie, fakt, że Wallis została przedstawiona jako towarzyszka króla, stanowił obrazę dla korony brytyjskiej. Jeśli król pozwalał sobie na takie postępowanie, to dlatego, że miał nadzieję na uzyskanie przez Wallis rozwodu przed dniem swej koronacji, 12 maja 1937 roku. Tymczasem mieszkańcy Wielkiej Brytanii nie wiedzieli o tak szeroko komentowanym romansie monarchy z lady Simpson, nieznaną bliżej damą.

W czasie krótkiego pobytu na Majorce para przekroczyła, jak to ujęła sama Wallis, „ową trudną do wyznaczenia granicę oddzielającą przyjaźń od miłości”. Księżę Windsoru wyznał później, że to właśnie w idyllicznej scenerii wyspy Balearów postanowił, że się z nią ożeni, choć jej tego nie powiedział. Teraz jednak, po tym jak został królem, wiedział, że dla niej dzielenie z nim tronu Anglii nie będzie tak łatwe. „Nikt nie wierzy, że David nigdy nie prosił mnie, abym za niego wyszła. Po prostu przyjmował za oczywiste, że to zrobię. Często wydawało mi się, że w jego opinii kobieta może być jedynie źródłem rozrywki, nie zaś kimś branym na serio. Ernest, mój mąż, powtarzał mi, że jestem tylko pianą spijanego przez Davida szampana”, mówiła Wallis. Lady Simpson nigdy nie zamierzała wychodzić za księcia. Wystarczało jej, że z nim jest i może prowadzić u jego boku wystawne życie. Jednak Edward – bez pamięci zakochany w Wallis – gdy został królem, stał się bardziej apodyktyczny i arbitralny. Wydawało mu się, że ma prawo do wszystkiego i może zdobyć wszystko, na co ma ochotę.

Oddanie Edwarda dla Wallis zaczęło odbijać się na jego obowiązkach względem tronu. Zwykle mu bałaganiarstwo i niepunktualność wzrosły; najważniejsze stało się jej zadowolenie – choćby mieli z tego powodu czekać wszyscy dookoła. Wallis, która wiedziała, co to ubóstwo, żyła u boku kochanka prawdziwym życiem księżniczki z bajki: luksusowe rejsy, bale do świtu, kolacje przy świecach i imponujące prezenty. Na początku października przeniosła się do pięknego, obszernego domu w stylu georgiańskim, wynajętego dla niej przez króla – tylko na osiem miesięcy, do czasu koronacji – w Cumberland Terrace pod numerem 16, w eleganckim Regents Park. Była to komfortowa rezydencja, bardziej okazała niż Bryanston Court, i chociaż została wynajęta razem z meblami, Wallis zatrudniła jedną z modnych firm wnętrzarskich w Londynie, żeby urządziła niektóre pomieszczenia na nowo.

Król, bardzo popularny wśród ludu i uważany za władcę nowoczesnego i zdolnego, wrażliwego na niesprawiedliwość społeczną, po objęciu tronu pokazał gorszą stronę swojej osobowości: nie był już tak hojny i wielkoduszny. Jednym z pierwszych prezentów ofiarowanych Wallis była wierna kopia królewskiego samochodu – wyprodukowanego w Kanadzie buicka – z jego królewskimi insygniami na masce, takimi samymi jak na pierwowzorze. Największą niechęć

poddanych wywołały jednak decyzje związane ze zmianą stylu życia w pałacu i propozycją Wallis, aby zwolnić najstarszych i najbardziej schorowanych ludzi spośród służby, a wszystkim pozostałym o dziesięć procent zmniejszyć pensje. Choć majątek króla był nie do oszacowania, on sam zwrócił się do administracji księstwa Kornwalii z żądaniem, by nie darować ani centyma z podatków. Wallis szastała pieniędzmi, kupując meble, antyki do swoich nowych domów i zamawiając ubrania u najlepszych krawców. Gdy odwiedziła pałac Buckingham, zwróciła uwagę królowi, że główny budynek jest, jej zdaniem, zbyt stary i powinien zostać całkowicie zmodernizowany i urządzony na nowo. Na szczęście – zdaniem wielu – lady Simpson nie zamieszkała w pałacu Buckingham, który w tym wypadku zostałby z pewnością poddany znacznej, i kosztownej, modernizacji.

W obliczu tak rozwijającej się sytuacji premier postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Dwudziestego października odbył z królem spotkanie, podczas którego po raz pierwszy rozmawiał z nim otwarcie o jego romansie z lady Simpson. Poprosił monarchę o utrzymywanie tego związku w większej dyskrecji, podobnie jak to było w przypadku poprzednich kochanek. Baldwin niepokoiła bardzo relacja Wallis z Ribbentropem, zaufanym człowiekiem Hitlera, obawiano się bowiem, że mogła ona przekazywać tajemnice państwowe Niemcom i Włochom. Wobec tego faktu i widocznej niemożliwości utrzymania przez Edwarda w tajemnicy poufnych informacji rząd brytyjski zaczął ukrywać przed monarchą postanowienia Rady Ministrów, aby nie dostały się do wiadomości wroga.

Sytuacja stała się nie do wytrzymania, aż wreszcie 16 listopada król zakomunikował Baldwinowi, że pragnie ożenić się z lady Simpson i że jeśli nie wolno mu będzie tego zrobić i być dalej królem, gotów jest abdykować. Następnie poinformował o tym matkę, królową Marię, która bezskutecznie usiłowała zaapelować do jego poczucia obowiązku. Podczas kolejnej rozmowy z premierem monarcha zaproponował inne rozwiązanie: że zawrze małżeństwo morganatyczne. Na mocy takiego związku mógłby ożenić się z Wallis, choć ona nie mogłaby być królową – jedynie towarzyszką życia. Nie należałaby do rodziny królewskiej, a jej dzieci nie znajdowałyby się w kolejce do tronu. Pozwoliłoby to królowi zażywać upragnionego towarzystwa, a równocześnie zachować tron. Baldwin zignorował jednak tę propozycję, która w końcu nie została zaaprobowana przez żaden z rządów (ani angielski, ani rząd dominiów). Brytyjczycy może i by zgodzili się na taką propozycję, jednak sprawy potoczyły się szybko.

W końcu 3 grudnia prasa brytyjska zaczęła komentować miłosny związek króla i skandal stał się tematem omawianym we wszystkich mediach. Dziennikarze zebrali się wokół domu Wallis w Cumberland Terrace. Król zdecydowany był abdykować, jeśli by nie zdołał uzyskać tego, o co zabiegał. Jakiś czas potem Wallis,

która błagała go, by tego nie czynił, pisała: „Wątpiłam mocno, czy ktokolwiek zdołałby go skłonić do zmiany zdania, nawet ja. Jeślibym pozostała, a moje prośby niczego by nie przyniosły, oskarżano by mnie, że przekonałam go potajemnie, by zrezygnował z tronu”. W tej sytuacji, mając część prasy zwróconą przeciwko sobie, Wallis poczuła się zmuszona szukać schronienia we Francji. Na pociechę zabrała ze sobą ulubione przedmioty, między innymi cenną kolekcję klejnotów z rubinami, brylantami i szmaragdami. Raptem lady Simpson z ekscentrycznej rozwódki bywającej na salonach angielskich wyższych sfer – której nikt nie poświęcił ani stroniczki w gazecie – stała się w 1936 roku postacią powszechnie znaną i budzącą największe zainteresowanie mediów. Raport na temat Wallis będący w posiadaniu rządu brytyjskiego obejmował nie tylko jej współpracę z Niemcami, lecz także sprawy z jej życia osobistego ukrywane przed królem. W oczekiwaniu na rozwiązanie kryzysu dynastycznego lady Simpson pozostawała pod obserwacją i dzięki temu wyszło na jaw, że podczas gdy król rozważał poważnie możliwość abdykacji, ona utrzymywała równolegle związek z innym mężczyzną. Był to trzydziestosześcioletni Guy Marcus Trundle, były pilot brytyjskich sił powietrznych, handlujący samochodami – według tajnych służb brytyjskich „mężczyzna szarmancki, przystojny, dobry tancerz, przekonany, że każda kobieta mu ulegnie”. W archiwach związanych z abdykacją Edwarda VIII, ujawnionych w 2003 roku, mówi się, że Wallis obawiała się utraty uczuć przyszłego króla przede wszystkim ze względów ekonomicznych i że bardzo się starała nie ujawniać istnienia tamtego kochanka.

Edward, nieświadom tego, że Wallis spotyka się potajemnie z innym mężczyzną, spróbował zagrać ostatnią kartą. Udał się do rezydencji Baldwina na Downing Street i oświadczył premierowi, że skoro możliwość zawarcia przez króla morganatycznego małżeństwa została odrzucona zarówno przez rząd, jak i przez Kościół anglikański, on pragnie poddać swoją sytuację pod decyzję ludu brytyjskiego. Baldwin odparł spokojnie, że odwoływanie się do woli ludu ponad postanowieniem rządu jest sprzeczne z konstytucją. Przed królem zamykały się ostatnie drzwi. Jedenastego grudnia Edward zjadł obiad w towarzystwie Winstona Churchilla, który aż do ostatniego momentu był po jego stronie, i wyznał, że nie ma już innego wyjścia jak ustąpić. Tego samego wieczoru Edward VIII, po zaledwie trzystu dwudziestu sześciu dniach od wstąpienia na tron, w historycznym przemówieniu przedstawił za pośrednictwem BBC powody swojej abdykacji – która bynajmniej nie została dobrze przyjęta przez większość Brytyjczyków: „Tu zamek Windsor. Przemówi Jego Królewska Wysokość książę Edward”. Potem głos zabrał monarcha, próbując w emocjonalnym wystąpieniu wyjaśnić swoją nieodwołalną decyzję: „Musicie mi wierzyć, kiedy mówię, że niemożliwe jest dla mnie dźwiganie ciężaru obowiązków króla bez pomocy i wsparcia kobiety, którą kocham. (...) Pragnę też, abyście wiedzieli, że podjąłem tę decyzję całkowicie

samodzielnie”. Wallis wysłuchiwała pożegnalnych słów króla w Villa Lou Viei, w Cannes, wspaniałej rezydencji należącej do małżeństwa Rogersów. Po przemówieniu w przypiływie furii roztrzaskała o ściany kilka wazonów. Była potwornie zirytowana, ponieważ, choć gest króla pokazywał jak bardzo była kochana, wolałaby być dalej jego kochanką i żyć z nim razem w dostatku w Anglii. Mimo że król zdejmował z niej wszelką odpowiedzialność za swoją decyzję, miała stać się obiektem wszystkich ataków, „największym wrogiem monarchii, amerykańską czarownicą, która wydobyła to, co najgorsze, z Edwarda Davida” – jak to ujęła jedna z gazet. Decyzja władcy skazywała ją znów na odrzucenie społeczne, którego przez całe życie starała się unikać. Na nic się zdało to, że dla powstrzymania kryzysu zaproponowała wycofanie pozwu rozwodowego i że napisała do Jego Wysokości list, w którym błagała go, by nie abdykował, gdyż ona usunie się z jego życia: „Chciałabym rozwiązać problem, wycofując się z układu, który stał się nie do zniesienia i który czyni nas oboje nieszczęśliwymi”.

W swych pamiętnikach lady Simpson wiele stron poświęciła wspomnieniu tamtych dni, które odmieniły kurs historii Anglii. Była przekonana, że nic ani nikt – nawet ona sama – nie mogło skłonić króla do zmiany zdania, przyznawała jednak, że nie powinna była wyjeżdżać z Anglii: „Prawdopodobnie moim największym błędem było opuszczenie Anglii. Wyjeżdżając, byłam jednak pewna, że naród angielski nigdy nie pozwoli, aby wyjechał on; byłam pewna, że go przekonają i zatrzymają (...). Zrozumiałam wówczas, z przerażającą jasnością, że nie znałam dobrze Anglii i w ogóle nie znałam Anglików”. W nawiązaniu do tamtych dni pisała: „Nigdy nie marzyło mi się, żeby zostać królową. Pragnę to podkreślić z całą mocą. Taka myśl w ogóle się we mnie nie narodziła. Byłoby to niepoważne: król obrońca wiary i królowa rozwódka. Można było na rozmaite sposoby potraktować problem bycia królową. Jednym z nich było małżeństwo morganatyczne. Ale wydawało się, że nie ma z tym żadnego pośpiechu. Król był całkowicie spokojny. Wówczas jednak przyszedł cios. Dla mnie punktem zwrotnym było ujrzenie mego zdjęcia na okładkach wszystkich gazet. Poczulałam się głęboko dotknięta i skrzywdzona. Powiedziałam królowi, że wyjadę z Anglii najdalej, jak mogę, na co on odparł, że pójdzie za mną, dokądkolwiek się udam...”.

Zgodnie z pragnieniem wyrażonym przez Jerzego V na łożu śmierci jego drugi syn, wówczas książę Yorku, został proklamowany królem jako Jerzy VI. Po raz drugi w pałacu St. James najwyższy herold obwieścił, że książę Albert Frederick Arthur George Windsor jest „jedynym i legalnym władcą”. Nowy monarcha, zmuszony do zastąpienia brata, był żonaty z arystokratką szkocką Elżbietą Bowes-Lyon, z którą miał dwie córki: księżniczkę Elżbietę – obecnie panującą – oraz księżniczkę Małgorzatę. Uroczystość koronacji Jerzego VI odbyła się, jak planowano, 12 maja 1937 roku w opactwie westminsterskim. Miesiąc później Edward ożenił się we Francji z Wallis, rozpoczynając trwające dłużej, niż

się spodziewał, wygnanie. Przed wyjazdem otrzymał od nowego władcy tytuł „Jego Królewskiej Wysokości księcia Edwarda, księcia Windsoru”. W dniu ślubu zorientował się, że ten pompatyczny tytuł nie oznaczał prawa używania tytułu Jej Królewskiej Wysokości dla Wallis.

Gdy 12 grudnia 1936 roku książę Windsoru wsiadał do pociągu z Boulogne do Wiednia, myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej spotkać się z Wallis. Prawo wymagało jednak, by para pozostawała w separacji do momentu ostatecznego uzyskania przez jedną ze stron rozvodu. Na te miesiące Edward zamieszkał w zamku Rothschildów, gdzie mógł nabrać sił, uporządkować sprawy majątkowe i zastanowić się nad swoją niepewną przyszłością dzieloną z Wallis. Co dzień dzwonił do narzeczonej – która jeszcze nie pozbierała się po szoku doznany na wieść o abdykacji Edwarda – nieraz rozmawiając z nią dwie godziny. Nagabywana wciąż przez dziennikarzy, którzy dzień i noc otaczali jej rezydencję w Cannes, tak wspominała Wallis długi okres między abdykacją a rozводом: „W rzeczywistości byłam uwięziona w Cannes. (...) Bałam się pokazywać publicznie, zawsze pełna obaw, że ktoś, najprawdopodobniej Anglik, będzie mnie obrażał na ulicy”.

Dwudziestego siódmego kwietnia 1937 roku Wallis Simpson uzyskała formalny rozwód i nareszcie mogła być z Edwardem. Kiedy wyjechała po niego na stację w Verneuil, powitała księcia, który „bardzo zeszczupłał i wyglądał na zmęczonego (...). Wiele wycierpiał i był absolutnie udręczony postępowaniem swojej rodziny”. Po tak długiej rozłące pierwsze godziny spędzone razem nie były łatwe. „Najpierw przypomniał mi – wspominała Wallis – że rozstał się ze swoją rodziną, dawnym stanowiskiem, nawet większością przyjaciół, dlatego nasze życie jako małżonków musimy planować, jakbyśmy byli kompletnie sami”. Edward bolał nad tym, w jaki sposób jego wybrankę przyjął lud brytyjski, i czuł, że ciągnie ją za sobą w przepaść. Z kolei Wallis, wciąż rozżalona z powodu nieoczekiwanej abdykacji Edwarda, mówiła: „Nic mnie nie pokona, ani imperium brytyjskie, ani prasa amerykańska. Ty i ja będziemy żyć naszym wspólnym życiem, dobrym życiem”.

Edward pragnął wziąć ślub jak najszybciej, postanowili jednak odłożyć ten akt do początków kwietnia, by w ten sposób nie zakłócić uroczystości koronacji brata, księcia Alberta. Miejscem przewidzianym na zaślubiny był zamek Candé niedaleko Tours, w dolinie Loary. Wybór wpisywał się na listę błędów, które rzucały na nich cień pod względem politycznym. Właściciel zamku, Charles Bedaux, oddał do dyspozycji Wallis rozległą posiadłość, aby ona i książę mogli przeżyć tę uroczystość w miejscu godnym i w atmosferze prywatności. Bedaux był znanym francuskim inżynierem przemysłowym i multimilionerem, który miał stać się wybitnym szpiegiem nazistowskim i osobistym przyjacielem Hitlera. Miejsce ślubu nie zostało zatem wybrane fortunnie, zważywszy na ciężące na obojgu podejrzenia o sympatię do nazistów.

Trzeciego czerwca odbył się w Candé skromny ślub księcia Windsoru i Wallis Simpson, w obecności zaledwie szesnastu zaproszonych osób. Na zewnątrz niewielka świta fotografów uwieczniła ten dla wielu „ślub stulecia”. Dziennikarze nie wiedzieli, że tego samego dnia Edward otrzymał od brata, króla Jerzego VI, list z informacją, że chociaż sam książę będzie mógł używać tytułu Jego Królewskiej Wysokości, odpowiedni tytuł nie przysługuje Wallis i jej potomkom. Był to smutny prezent ślubny, szczególnie dla księcia, który miał nadzieję, że chociaż jego rodzeństwo weźmie udział w uroczystości zaślubin. „Dlaczego muszą mi robić coś takiego właśnie dzisiaj?”, mówił przygnębiony jednemu z gości. Nie zgodził się na to nowe upokorzenie i rozkazał, aby po uroczystości wszyscy jego przyjaciele oraz przyjaciele Wallis, jak również pracująca dla nich służba, zwracając się do Wallis, tytułowali ją Królewską Wysokością, damy zaś kłaniały się przed nią.

Mimo rozgoryczenia księcia i nieustannego napięcia Wallis para zachowała pogodę podczas poprzedzającej ślub sesji zdjęciowej. Wallis była ubrana w długą gładką suknię z krepy w tonacji błękitnej, zaprojektowaną przez stylistę amerykańskiego Mainbochera, tak by harmonizowała z jasnozielonym wystrojem głównego salonu zamku, w którym odbywała się uroczystość. Na głowie miała oryginalny kapelusz ozdobiony piórami i tiulem. Jej rękawiczki zostały specjalnie tak zaprojektowane, by nie zasłaniały zaręczynowego pierścionka. Ślubny strój Wallis natychmiast zyskał naśladowców na całym świecie i już tydzień później ten sam model sukni sprzedawany był po rozsądnej cenie we wszystkich wielkich magazynach Nowego Jorku, w wielu wariantach tkanin i kolorów. Książę podarował małżonce pasującą do sukni szeroką bransoletkę z czterdziestoma pięcioma szafirami i brylantami, firmy Van Cleef & Arpels.

Cecil Beaton, oficjalny fotograf dworu, który uczestniczył w uroczystości, tak komentował wydarzenie: „Ona kocha go, choć wydaje mi się, że nie jest w nim zakochana”. Inna z zaproszonych osób, dawna przyjaciółka Wallis, mówiła dziennikarzowi: „Jej zachowanie względem niego jest zaledwie poprawne. Sprawia wrażenie kobiety, której nie wzrusza miłość młodszego od niej mężczyzny”. Kto wie, może Cecil Beaton nie mylił się w swoich spostrzeżeniach. Wallis, jak wyznawała w liście do ukochanej ciotki Bessie, źle znosiła to, że Edward jest tak od niej zależny, że przychodzi bez zapowiedzi, dzwoni o najrozmaitszych porach albo że pisze do niej infantylne i nieco patetyczne listy miłosne. Ona, kobieta niezależna i wyzwolona, nie mogła znieść zaborczej miłości mężczyzny, który ją przytłaczał nieustannymi przejawami czułości. Jednak tego słonecznego dnia w zamku Candé księżna Windsoru postanowiła spróbować uszczęśliwić swego małżonka, mężczyznę delikatnego, skłonnego do melancholii i pokonanego, który stracił wszystko, łącznie z miłością rodziny.

Skazani na wygnanie

O wpół do czwartej po południu nowożeńcy wyruszyli bui-ckiem, prowadzonym przez szofera, w kierunku Wenecji, gdzie rozpoczęli swój miodowy miesiąc. Od tej chwili para książęca podróżowała zawsze z niewielką świtą, złożoną ze służącego księcia i pokojówki księżnej, adiutanta zajmującego się sprawami protokolarnymi oraz inspektora, który załatwiał dla wszystkich sprawy związane z cłem i przekraczaniem granic. Poza tym towarzyszyli im nowa sekretarka księżnej oraz szef służby odpowiedzialny za ogromny bagaż – dwieście sześćdziesiąt sześć walizek. Na stacji Laroche-Migennes nowożeńcy wsiedli do Orient Expressu, jadącego w stronę austriackiego Tyrolu, by wynająć tam na dwa miesiące imponujący zamek. W drodze do Austrii pociąg zatrzymał się na kilka godzin w Wenecji. Nasza para popływała gondolą po Canal Grande, pokarmiła gołębie na placu Świętego Marka i zwiedziła bazylikę na oczach pozdrawiających ich miło gapiów.

Prawdziwy miodowy miesiąc rozpoczął się na zamku Wasserleonburg, w otoczonej murami XIII-wiecznej fortecy położonej na szczycie wysokiego wzniesienia, w pobliżu wioski Villach. W zamku było czterdzieści pokoi, a poza tym korty tenisowe, ogrzewany basen, stajnie i niedaleko pole golfowe. Niewielki zastęp służby w uniformach powitał ich w szyku bojowym na brukowanym kamieniami dziedzińcu. Po miesiącach odseparowania pragnęli teraz bardziej niż kiedykolwiek odnowić życie towarzyskie i spotykać się ze starymi przyjaciółmi. Pierwszy raz mogli przechadzać się po okolicznych wzgórzach i nad jeziorami bez depreczających im po piętach natrętnych fotoreporterów. A jednak, jak wyznawała księżna w pamiętnikach, miodowy miesiąc był okresem trudnym dla obojga, po części z powodu spięć na tle drażliwego tematu abdykacji. Wallis wyrzucała księciu, że ustąpił z tronu. Uważała, że gdyby zgodził się być koronowany tylko on, gdyby zachował więcej cierpliwości, jak radzili mu przyjaciele – wśród nich Winston Churchill – sprawę dałoby się jakoś rozwiązać: „Nie byłabym kobietą znienawidzoną, obrażaną, jaką stałam się z powodu abdykacji, i wciąż istniałaby szansa, że on, nawet po ślubie, byłby królem”.

Relacje między obojgiem przymusowych emigrantów nie układały się gładko. Wallis nie tylko żałowała utraconych przywilejów, lecz tęskniła za ożywionym życiem towarzyskim, jakie prowadziła w Anglii. Teraz miała przy boku człowieka pozbawionego jakichkolwiek zajęć, rozgoryczonego tym, że odwróciła się od niego rodzina. W rzeczywistości Jerzy VI i jego żona obawiali się, że Wallis i Edward – któremu cofnięto wypłacaną premię, co jeszcze bardziej pogorszyło relacje z bratem – stworzą równoległy dwór królewski. Oboje byli postaciami sławnymi i popularnymi w krajach takich jak Włochy czy Stany

Zjednoczone. Księcia Windsoru, gdziekolwiek się udał, otaczała chmara dziennikarzy i wszystkie jego oświadczenia i komentarze znajdowały szeroki odzew i były cytowane przez prasę.

Wreszcie para książęca postanowiła zamknąć tamtą kartę i spróbować zapomnieć o tym, co się stało. Wallis pisała w swoich pamiętnikach: „Postanowiliśmy żyć własnym życiem, jakby jego rodzina nie istniała. Uznałam, że moim zadaniem jest dać mu to, czego zawsze pragnął: własny dom – nie pałac – miejsce, w którym, tak jak w Fort Belvedere, prowadziłby życie zgodne ze swym usposobieniem”. Ich pierwszym prawdziwym domem był zamek La Croë na Cap d’Antibes, polecany przez ich przyjaciół Rogersów jako idealne miejsce na ślub. Książę i księżna Windsoru, odwiedzwszy zamek po raz pierwszy, zakochali się w nim ze względu na jego niezwykle położenie. Na terenie wspaniałej, zajmującej pięć hektarów posiadłości znajdowała się dwupiętrowa willa o dwunastu jasnych pokojach ze wspaniałym widokiem na morze, otoczona rozległymi ogrodami. Było to schronienie, jakiego szukali. Wynajęli posiadłość na dziesięć lat. Książę odzyskał radość życia i kazał sobie przysłać z Anglii niektóre ulubione meble i sprzęty, by pomogły mu odtworzyć atmosferę Fort Belvedere. W La Croë, posiadłości, którą Wallis urządziła na nowo, wydając na to majątek, książę i księżna zbudowali sobie swój prywatny wszechświat. Służba miała obowiązek tytułować ją „madame”, a mówiąc o niej między sobą albo wobec nieznanomych, nazywać ją Jej Królewską Wysokością. Ukłon nie był obowiązkowy, od wszystkich osób ze służby wymagano jednak, by rozmawiając z nią, przyjmowały postawę stojącą.

„Pojawiło się pytanie, czy powinniśmy się zachowywać jak uchodźcy, ludzie, którzy zawsze skądś uciekają, czy też raczej tworzyć własny spektakl. David urodził się, aby być królem; był królem. Żeniąc się, utracił wszystkie swoje pałace, także przeszkoloną służbę załatwiającą wszelkie sprawy. Zachował jednak umysłowość, cechy, zainteresowania króla. I moim obowiązkiem – tak to rozumiałam – było przywoływać wokół niego to, co najbardziej przypominało życie króla i co mogłam odtworzyć, nie mając królestwa”, pisała Wallis w pamiętnikach. W czasie długiego wygnania księżna starała się otoczyć męża wszelkimi możliwymi wygodami i przepychem, odtwarzając w ich kolejnych rezydencjach atmosferę angielskiego dworu. Wynajmowała wspaniałe domy i pałace, które urządziła bez zwracania uwagi na koszty, i organizowała przyjęcia z niesłychanym przepychem i rozrzutnością.

W roku 1937 książę i księżna Windsoru złożyli nierozważną oficjalną wizytę w nazistowskich Niemczech, by obejrzeć „tanie mieszkania socjalne”. To Charles Bedaux, właściciel zamku Candé, w którym odbyła się uroczystość zaślubin, rozbudził w księciu chęć poznania czegoś, co od dawna go interesowało: „niemieckiego dobrobytu pod rządami narodowego socjalizmu”. Książę –

czekający z utęsknieniem, aż otrzyma z pałacu jakieś zajęcie, które wyrwie go ze stanu bezczynności – cieszył się na tę podróż, podczas której jego żona miała być po raz pierwszy przyjęta oficjalnie w obcym kraju. W ciągu dziesięciu dni Windsorowie odwiedzili dziewięć niemieckich miast i poznali najwyższych przywódców Trzeciej Rzeszy. Punktem kulminacyjnym ich podróży było spotkanie z Adolfem Hitlerem, który przyjął ich 22 października w swojej imponującej górskiej rezydencji w Berchtesgaden. Wizyta została wykorzystana przez Hitlera w celach propagandowych i nie przyniosła księciu niczego dobrego, gdy wybuchła druga wojna światowa. Zdjęcie Wallis i Edwarda pozdrawiających z uśmiechem dyktatora obiegło cały świat.

Owej smutnej, monotonnej zimy jedynie wiadomość, że Wallis Simpson figuruje na liście dziesięciu najlepiej ubranych kobiet świata – który to tytuł otrzymywała przez cztery kolejne lata – ucieszyła ją jako stałą klientkę najlepszych domów mody. W odróżnieniu od księcia, Wallis nie stworzyła własnego stylu, lecz potrafiła nosić z wdziękiem i elegancją stroje swoich ulubionych projektantów, takich jak Dior, Balmain, Rochas, Givenchy i Mainbocher. „Nie jestem ładna, nie ma we mnie niczego nadzwyczajnego i gdy patrzę na siebie, myślę, że jedyne, co mogę zrobić, to starać się być ubrana lepiej niż inne kobiety”, mówiła Wallis w wieku trzydziestu sześciu lat. Bez wątpienia jej się to udało za cenę wydawania na garderobę ni mniej, ni więcej, tylko stu tysięcy dolarów rocznie. Księżna miała w szafie przeszło dwieście par butów i pięćdziesiąt sukni wieczorowych – nie licząc futer, będących jedną z jej słabości. Przy prostych, klasycznych ubiorach, szczupłej figurze i ładnej cerze szczególnie pięknie prezentowały się noszone przez nią drogie klejnoty.

Także czasopisma „Vogue” i „Harper’s Bazaar” czyniły tematem obszernych reportaży wyrafinowany styl życia pary książęcej, a zwłaszcza bogaty wystrój zamieszkiwanych przez nich rezydencji. W pierwszych latach małżeństwa księżna, która już pokazała swoje talenty gospodyni jako mieszkanka londyńskiej rezydencji Bryanston Court, stała się wzorem „elegancji i dobrego smaku”. Na początku lata 1938 roku, podczas gdy Europa szykowała się do wojny, Wallis kończyła wielką przebudowę rezydencji La Croë. Teraz, kiedy miała już luksusową i komfortowo urządzonej rezydencję letnią, zajęła się szukaniem domu w Paryżu, by móc w nim spędzać miesiące zimowe. Wreszcie wynajęła willę w stylu Ludwika XVI przy eleganckim bulwarze Suchet, idealnie nadającą się do przyjmowania wizyt. Żyła pochłonięta urządzaniem swoich domów oraz dobieraniem sobie służby domowej – pokojówek, lokajów, majordomów, kucharzy, których osobiście zatrudniała. Wierna swojej dewizie: „Nigdy nie jest się dość bogatym ani dość szczupłym” – jak powiedziała pewnemu dziennikarzowi, ujmując w tym zdaniu swoją filozofię życiową – księżna Windsoru dalej trwoniła fortunę, kupując antyki i urządzając swoje wille marzeń.

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej książę i księżna Windsoru odpoczywali w rezydencji La Croë, z dala od upałów Paryża. Ich życie, jak życie milionów Europejczyków, miało się radykalnie zmienić. Wobec biegu wydarzeń rząd angielski uznał, że jest to właściwy moment, aby książę wrócił służyć swemu krajowi. Po dwóch latach nieobecności Wallis i Edward – w towarzystwie nieodłącznych terierów – przepłynęli kanał La Manche i przy Nadbrzeżu Królewskim zostali powitani przez Winstona Churchilla. Cała rodzina królewska zignorowała ich przybycie. Nie wolno im też było zamieszkać w pałacu Buckingham czy jakiegokolwiek innej rezydencji królewskiej. Dla wielu stali się *personae non gratae* i dawni przyjaciele, na ogół wybitne postacie z socjety angielskiej, odwrócili się od nich.

Podczas wojny księciu nadano stopień generała dywizji i powierzono funkcję łącznika z brytyjskimi wojskami ekspedycyjnymi we Francji, nigdy jednak nie pozwolono mu na bezpośredni kontakt z wojskami brytyjskimi. Wallis wstąpiła do francuskiego korpusu sanitarnego, podczas gdy jej mąż odbywał podróże inspekcyjne. Dziesiątego maja 1940 roku, kiedy czołgi Hitlera wkroczyły do Francji, książę i księżna porzucili swoje funkcje, chroniąc się w Biarritz. Ten egoistyczny i tchórzliwy gest jeszcze bardziej zaszkodził ich już i tak niedobremu wizerunkowi. Trzy miesiące później wreszcie znaleziono dla księcia odpowiednie zajęcie, pozwalające utrzymać go z dala od Anglii do czasu zakończenia konfliktu. Winston Churchill, ówczesny premier, zaproponował mu stanowisko gubernatora generalnego Bahamów, archipelagu należącego do Imperium Brytyjskiego, złożonego z siedmiuset wysp – spośród których tylko trzydzieści było zamieszkałych, w większości przez czarnoskórych tubylców.

Przybywając 7 sierpnia 1940 roku do Nassau, stolicy archipelagu, książę był świadom, że nie otrzymał stanowiska eksponowanego – było to raczej wygnanie – niemniej postanowił oddać się z zapałem swoim oficjalnym obowiązkom. Zjawienie się pary książęcej stanowiło wielkie wydarzenie w niewielkiej kolonii. Z prawdziwą serdecznością przyjęto tam człowieka, który był królem Anglii. Windsorowie mieli przed sobą cztery lata wygnania na tych odległych wyspach, z dala od przyjaciół i wytwornego życia. Wallis, przyzwyczajona do łagodnych temperatur Riwiery Francuskiej, nie wytrzymała upału i wilgotnego klimatu wysp. Gorsze było jednak odkrycie, że ich nowa rezydencja, dom rządowy, to w rzeczywistości walący się budynek pozbawiony wygód – „tak pełen termitów i moli, że niemożliwością było w nim zamieszkać”, jak określił to książę. Z pomocą nowojorskiego architekta i nie zważając na koszty, Wallis w krótkim czasie przeobraziła stary dom gubernatora w okazałą rezydencję godną nowych mieszkańców.

Urządzając dom w Nassau, po raz pierwszy zajęła się działalnością charytatywną – jak godzi się żonie gubernatora. Zawsze nienagannie ubrana,

wizytowała szkoły, szpitale, otworzyła klinikę położniczą – wzniesioną z jej własnych środków – interesowała się edukacją bahamskich kobiet. Szybko jednak życie na Bahamach zaczęło się wydawać parze książęcej niesłychanie monotonne. Wallis często prosiła męża, by zawiózł ją do Miami i tam, na plażach, w otoczeniu osób z wyższych sfer, znów czuła się w swoim żywiole. Windsorowie, światowi i wytworni, nie cierpieli panującej na wyspie atmosfery kolonii, „prowincjonalnej i fałszywej”. Duchota, upał i poczucie izolacji podkopały zdrowie Wallis. Podczas jednej z podróży do Stanów musiała zostać operowana z powodu wrzodu żołądka. Odbyła rekonwalescencję w szpitalu Roosevelta w Nowym Jorku, w dziesięciopokojowym apartamencie, pod opieką sześciu pielęgniarek, które nie odstępowały jej ani na chwilę.

Piętnastego marca 1945 roku – kilka miesięcy przed wygaśnięciem mandatu – książę Windsoru złożył dymisję z funkcji gubernatora Bahamów. Mimo że zwracał się do Londynu z prośbą o powierzenie mu oficjalnego stanowiska – na przykład ambasadora brytyjskiego w Waszyngtonie – urząd gubernatora miał być ostatnim, jaki zaproponował mu rząd jego kraju. Po sześciu latach nieobecności Windsorowie wraz z całym ekwipunkiem, w otoczeniu zaufanej służby, wyruszyli statkiem do Europy. Od tego momentu ich życie miało być tyleż komfortowe i pełne przepychu, co puste. Stali się wizerunkiem high life’u, a miejsca, w których mieszkali, czy to na Riwierze Francuskiej, czy na Lazurowym Wybrzeżu, robiły się modne. Kronikarka życia towarzyskiego Elsa Maxwell pisała: „Tam, dokąd udadzą się książę i księżna, podąży cały świat, świat elegancki, ma się rozumieć, świat «pięknych ludzi»”.

W tym okresie para książęca poznała Jimmy’ego Donahue, krewnego multimilionera Franka W. Woolwortha i kuzyna ekscentrycznej Barbary Hutton. Człowiek ów słynął z ciętego języka i skłonności do ekshibicjonizmu. Wysoki, przystojny blondyn, jawny homoseksualista, lekkoduch i bon vivant, potrafił zabawiać damy niewybrednymi komentarzami. Jimmy miał trzydzieści cztery lata, kiedy stał się „niepożądanym bliskim przyjacielem Windsorów”, by towarzyszyć im wszędzie przez osiem lat. Swoim szczególnym urokiem zniewolił zarówno Wallis – którą publicznie kokietował – jak i Edwarda. Księżna, zmęczona zabawianiem męża i organizowaniem mu zajęć, znalazła w Jimmym idealnego kompana. Mogła z nim wychodzić na kolacje i tańczyć w modnych nocnych lokalach. Obojętni na komentarze – i poddani działaniu szampana – bawili się do późnej nocy w rezydencji księcia. W roku 1954 skandaliczny związek Wallis z playboyem – który ze szczętem popsuł jej reputację – został zerwany z powodu arogancji i spoufalania się młodego milionera, a tego książę nie zamierzał dłużej tolerować.

W latach pięćdziesiątych Windsorowie należeli do międzynarodowej elity. Byli niesłychanie bogaci, żyli w luksusie, nie wydawali się jednak szczęśliwi.

Monotonię i beczynność dzielili ze sobą w Paryżu, na francuskiej prowincji, w Londynie i Nowym Jorku. Wallis zaczęła się zmieniać: stała się złośliwa, kapryśna i uparta. Z upływem lat znienawidziła takie życie bez przyszłości, na wygnaniu, u boku człowieka, który nie miał już dla niej tajemnic. „Nie macie pojęcia, jak trudne i wyczerpujące jest okazywanie przez całe życie wielkiej miłości”, wyznała kiedyś. Mąż starał się łagodzić jej częste depresje, ofiarowując jej wspaniałe, wyszukane klejnoty. Z tych czasów pochodzi przepiękny naszyjnik z brylantów, ametystów i turkusów, zamówiony przez księcia u Cartiera, a także pierwsza z legendarnych broszek w kształcie pantery – dzieło projektantki Cartiera Jeanne Toissant – które księżna zaczęła kolekcjonować.

W ciągu kolejnych lat Windsorowie mieszkali na przemian w apartamencie w hotelu Waldorf w Nowym Jorku i w hotelu Ritz w Paryżu. Ale można ich było także spotkać w bogatych miejscowościach letniskowych, jak Palm Beach, Newport lub w La Croë na Riwierze Francuskiej – w willi, którą jeszcze zachowali. Prowadzili wystawny tryb życia; stali się arbitrami dobrego smaku i wyznawcami płytkiego konsumpcjonizmu. Ich czas wypełniały przyjęcia, partie golfa, gra w karty, kąpiele w morzu, eleganckie kolacje, wieczory w nocnych klubach. W miarę przybliżania się starości każde z nich zamykało się jednak we własnym świecie. Książę nie hamował już swoich dziwactw i stawał się coraz większym sknerą. Kiedy grał w golfa, nie dawał napiwków towarzyszącym mu *caddies*. Długie godziny poświęcał na uprawę ogrodu przy kupionym przez siebie starym młynie niedaleko Neuilly. Wallis tymczasem obsesyjnie zajmowała się pielęgnacją swojej urody; była częstym gościem salonów piękności. W wieku blisko siedemdziesięciu lat poddała się dwóm operacjom plastycznym twarzy i szyi, po których długo nie mogła dojść do siebie. Jej twarz, kanciasta i nadmiernie napięta, nabrała niepokojącego wyglądu.

Szóstego lutego 1952 roku książę otrzymał smutną wiadomość: zmarł jego brat, król Jerzy VI. Panował przez piętnaście lat, po czym na tronie zastąpiła go córka Elżbieta, obecna władczyni. Książę dowiedział się o tym w Nowym Jorku. Niezwłocznie wsiadł na statek Queen Mary, by wziąć udział w uroczystościach pogrzebowych. Nie przybył na koronację Elżbiety 2 czerwca 1953 roku, choć darzył bratanicę wielką serdecznością. Wiedział, że rodzina królewska – zwłaszcza królowa matka, wdowa po Jerzym VI, która zawsze pogardzała szwagierką, nie zgodziłaby się na obecność Wallis, a zatem wierny życiowym postanowieniom, odmówił udziału. Gdy 24 marca 1953 roku zmarła królowa Maria, Edward, głęboko poruszony, uczestniczył w pogrzebie matki, potem zaś wrócił do żony.

W roku 1952 Windsorowie znaleźli dom, w którym się ostatecznie zainstalowali. Był to niewielki pałacyk położony w Bois de Boulogne, niedaleko Neuilly, z otaczającym go ogrodem. Mieszkał w nim kiedyś generał de Gaulle. I znów Wallis przemeblowała i urządziła po swojemu wnętrza, zapewniając mu

elegancki, wyrafinowany wystrój w guście księcia. W latach sześćdziesiątych Windsorowie żyli w sposób coraz bardziej ekscentryczny i pełen przepychu – usługiwało im trzydzieści osób, znosząc wymagania i kaprysy swej pani. Wallis kazała co dzień prasować lnianą pościel w całym domu, nawet tylko po sjeście. Służba i osobiste pokojówki – którym nigdy nie płaciła za wszystkie przepracowane godziny – nie mogli udać się na spoczynek, póki goście późną nocą nie opuścili rezydencji. W samej tylko kuchni pracowało siedem osób: kucharz z Francji, kuchcik, pomywacz i pomocnice. Gości przybywających na prywatne kolacje i oryginalnie zaplanowane przyjęcia witało w drzwiach siedmiu lokajów w liberiach. Ekstrawaganckie pomysły pary książęcej były szeroko komentowane. Wallis – by sięgnąć po pierwszy z brzegu przykład – kazała co dzień drukować zredagowane po francusku i opracowane przez jej kucharza menu swoich trzech mopsów.

Książę Windsoru, coraz mniej zainteresowany życiem towarzyskim i błahymi zajęciami żony, od dawna tęsknił za wiejskim domem, w którym mógłby oddawać się ogrodnictwu i spędzać weekendy. Nabyli wówczas niewielki młyn z XVII wieku, niecałe dwadzieścia pięć kilometrów od Neuilly, we wsi Gifsur-Ivette. Książę zatrudnił architektów, aby na francuskiej prowincji odtworzyli wiejski dom w stylu angielskim, w którym mógłby wspominać szczęśliwe lata w Fort Belvedere. Prace nad przebudową Le Moulin de la Tuilerie trwały trzy i pół roku i pochłonęły ogromne sumy. Był to dla księcia dobry czas – mógł zająć się nadzorowaniem i zakładaniem na nowo ogrodu, zamienionego w oazę kwiatów i aromatycznych ziół.

Powoli książę zaczął podupadać na zdrowiu i wreszcie w 1964 roku, w wieku siedemdziesięciu lat, doznał odklejenia siatkówki i musiał być operowany. W sali szpitalnej London Clinic odwiedziła go królowa Elżbieta II. Wallis i ona nie widziały się od roku 1936, kiedy Elżbieta była dziewczynką. Przy okazji wizyty książę zwrócił się do królowej z prośbą o pozwolenie na pochówek na cmentarzu rodziny królewskiej we Frogmore. Poprosił również, by Wallis mogła być pochowana przy nim i by w obu przypadkach nabożeństwo pogrzebowe zostało odprawione w kaplicy Świętego Jerzego. Królowa, być może poruszona ostatnią prośbą stryja, obiecała dopilnować realizacji obu tych pragnień.

W 1971 roku lekarze zdiagnozowali u Edwarda nieoperacyjny guz złośliwy w gardle. Dwudziestego ósmego maja książę Windsoru, ukończywszy właśnie siedemdziesiąt osiem lat, zmarł w łóżku we własnej rezydencji. Wallis starała się nie okazywać publicznie swoich uczuć, lecz obejmując martwe ciało męża, była jakby nieobecna. Zgodnie z obietnicą królowej, ciało księcia wystawiono w kaplicy Świętego Jerzego, do której tysiące Brytyjczyków przyszło pożegnać swego „króla bez korony”. Wallis przyleciała do Londynu samolotem oddanym jej do dyspozycji przez królową i zatrzymała się w pałacu Buckingham, w którym ostatni raz była

w roku 1935. W grubej żałobie, ubrana w prostą suknię z czarnego jedwabiu od Givenchy'ego, dzięki środkom uspokajającym trzymała się dzielnie. W ostatniej chwili, bojąc się załamania nerwowego, postanowiła obejrzeć uroczystość w telewizji.

Wallis Simpson przeżyła męża o czternaście lat – praktycznie zamknięta w swojej rezydencji w Bois de Boulogne i oddalona od nielicznych przyjaciół, jacy jej pozostali. Dzięki majątkowi odziedziczonemu po księciu – było to osiem milionów dolarów, nie licząc cennej kolekcji klejnotów – nie musiała się martwić o przyszłość. Nie było już koło niej człowieka, który do końca swych dni żądał dla niej prawa używania tytułu Jej Królewskiej Wysokości. Zamknęła się we wspomnieniach. Po śmierci księcia pozostawiła nienaruszony jego pokój, pełen jej fotografii; zostawiła nawet wiszące w szafie piękne garnitury. „Był dla mnie wszystkim”, wyznała bliskiej przyjaciółce. Pewnie było to prawdą: księżna Windsoru w końcu pokochała mężczyznę, który wielbił ją pokornie aż do dnia swojej śmierci.

Do tamtej pory cieszyła się znakomitym zdrowiem, jednak pod koniec 1972 roku kilkakrotnie upadła i złamała sobie biodro i kilka żeber. Zmusiło ją to do okresowego leżenia i ograniczenia aktywności. Znosiła ten stan źle, nie znajdując sobie żadnej rozrywki. Mimo że przyjaciele radzili jej, by zajęła się działalnością dobroczynną albo odwiedzała samotnych chorych i w ten sposób poprawiła swój nie najlepszy wizerunek, nigdy nie miała na to ochoty. Prawie nie wychodziła z domu, rzadko bywała w teatrze lub kinie. Obawiała się napaści albo porwania we własnej rezydencji. Po abdykacji króla przez cała lata codziennie dostawała obraźliwe listy, otrzymywała informacje o podłożeniu bomby, anonimowe telefony. Po śmierci księcia zamieniła swój dom w Neuilly w twierdzę: we wszystkich oknach kazała zainstalować systemy alarmowe, a grubą kratę w drzwiach trzymać zawsze zamkniętą na kłódkę. Wynajęła dawnego spadochroniarza francuskiego, weterana wojny indochińskiej, aby patrolował ogrody z wielkim psem obronnym. W tych nielicznych przypadkach, kiedy wychodziła wieczorem z domu, towarzyszyli jej agenci ochrony.

Amerykanka, dla której król zrezygnował z tronu i całego imperium, traciła stopniowo władze fizyczne i umysłowe. Zmarła postarzała i wyniszczona 24 kwietnia 1986 roku w domu w Paryżu, mając za jedyne towarzystwo swoje mopsy. W wieku dziewięćdziesięciu lat ważyła zaledwie trzydzieści dziewięć kilogramów. Jej ciało zostało przewiezione do Anglii, gdzie królowa Elżbieta II poleciła odprawić skromne prywatne nabożeństwo. Nie wzięła w nim udziału królowa matka, nigdy bowiem nie ukrywała, że nie akceptuje Wallis. Prosta Amerykanka, rozwódka, która zmieniła bieg historii, została pochowana obok swego męża w panteonie rodziny królewskiej na cmentarzu Frogmore. Po swej ostatniej podróży księżna Windsoru – w swoim czasie najbardziej znienawidzona kobieta

w Anglii – spoczęła obok królowej Marii, tej, która do końca życia wzbraniała jej wstępu do pałacu.

Eva Perón



Między władzą a chwałą

*Wierzę w Boga i uwielbiam Go,
i wierzę w Peróna i uwielbiam go.
Bóg dał mi życie pewnego dnia.
Perón daje mi je codziennie.*

Eva Perón

„Była przy boku Peróna kobieta, która zanosila prezydentowi nadzieje ludu, przekształcane potem przez niego w rzeczywistość. (...) O kobiecie tej wiemy jedynie, że lud nazywał ją zdrobniale: Evita”. Kiedy Eva Perón pisała te pompatyczne słowa w swojej autobiografii zatytułowanej *La razón de mi vida* [Racja mojego życia], miała przed sobą już niewiele miesięcy życia. Jej pragnieniem było jedynie to, by imię „Evita” zapisało się na trwałe w historii Argentyny. Nie wyobrażała sobie nawet w dziewczęcych rojeniach, że zdrobnienie, jakim nazywał ją lud, przeobrazi ją w uniwersalny mit. Spośród wszystkich odgrywanych przez nią ról to właśnie ta, rola Evity, „chorążego ludu”, „pani nadziei”, miała jej zapewnić nieśmiertelność. Żywiołowa niechęć do „oligarchii” – wyższych klas Argentyny – i osobista krucjata w imię sprawiedliwości społecznej pociągnęły za nią lud, który po śmierci chciał wynieść ją na ołtarze.

Losy najbardziej wpływowej, najwybitniejszej Argentynki XX wieku przypominają w rzeczywistości historię Kopciuszka osiągnającego szczyty władzy. Uboga, niemal niepiśmienna dziewczynka, urodzona na nędznym rancho, przeciętna aktoreczka próbująca odnieść sukces na wielkim ekranie, uczuciowa lektorka w sentymentalnych serialach radiowych, stała się wreszcie wszechpotężną pierwszą damą u boku swego męża, generała Peróna. Wątki tej bajki trudno jest ułożyć po kolei z powodu wszystkich kłamstw i wymyślonych historii dotyczących życia bohaterki. Ci, którzy jej nie znoszą, widzą w niej kobietę pozbawioną skrupułów, demagoga, nieustępliwą fanatyczkę, budzącą lęk w przeciwnikach. Ci, którzy wielbią Evę Perón, przedstawiają ją jako uosobienie wszelkich cnót: podkreślają nadzwyczajną pracowitość prezydentowej, miłość do ubogich, bogatą duchowość, chwałą za przeprowadzenie śmiałych reform społecznych. Czczona niczym bóstwo przez popleczników z klasy pracującej, traktowana ze wzgardą przez argentyńskie klasy wyższe, a także wojsko – uważające ją za intruza – osiągnęła niezwykle popularność w epoce i w kraju, w których kobiety nie

zajmowały się polityką.

Evita kreowała samą siebie od momentu, kiedy przybyła do Buenos Aires, by zatriumfować w wielkim mieście jako aktorka. Wszystko, co nastąpiło potem, było tyleż niezwykle, co nieoczekiwane. Ona, która na własnej skórze doświadczyła poniżenia z powodu bycia nieślubnym dzieckiem, poznała głód i wyzysk, będzie kiedyś rozdawać banknoty i uśmiechy wykluczonym tej ziemi, siedząc na swoim tronie. Nieograniczona władza, jaką zdobyła w okresie prezydentury Peróna, upoiła ją i dodała jej sił, by mogła rozpocząć tytaniczne dzieło poprawy sytuacji społecznej w całym kraju poprzez działalność własnej fundacji dobroczynnej. Filozofia tego współczesnego wcielenia Robin Hooda była prosta: dawać ubogim, zabierać bogatym. Tymczasem sama nigdy nie ukrywała swego upodobania do futer z nerek, drogich sukien i brylantów. Po jej przedwczesnej śmierci – w wieku trzydziestu trzech lat – i straszliwej agonii lud wyszedł na ulice, oplakiwać swoją, jak uważało wielu, „przewodniczkę i matkę duchową”.

Nieślubna córka

Oficjalnie Eva Duarte Perón urodziła się o piątej rano 7 maja 1919 roku w domu na terenie należącej do jej ojca hacjendy La Unión, dwadzieścia kilometrów od miejscowości Los Toldos, w prowincji Junín. Jako osoba dorosła, by móc wyjść za Juana Dominga Peróna, sfałszowała swoją metrykę urodzenia, odejmując sobie przy okazji kilka lat. Przy jej narodzinach pomagała indiańska akuszerka, która już odbierała w domu poprzednie porody matki dziewczynki. Eva María Ibarguren – znana jako Evita – była córką Juany Ibarguren, prostej kobiety pracującej w hacjendzie, oraz Juana Duarte Echegoyena, właściciela ziemskiego i wpływowego polityka z partii konserwatywnej, mieszkającego w Chivilcoy, mieście położonym w pobliżu Los Toldos. Oboje rodzice byli potomkami francuskich Basków i Evita odziedziczyła po nich silny charakter oraz przedsiębiorczość. Duarte, jak było przyjęte wśród mężczyzn z klasy wyższej mieszkających na wsi, żył w dwóch rodzinach: jednej legalnej w Chivilcoy, z żoną Estelą Grisolią, z którą miał trzy córki, i drugiej w Los Toldos, ze swoją kochanką Juaną.

Juana w wieku piętnastu lat zaczęła pracować w hacjendzie La Unión jako kucharka, przygotowując posiłki dla robotników rolnych. Robotna i ładna dziewczyna szybko została kochanką właściciela, Juana Duarte, bardziej znanego jako El Vasco. Z tego związku, trwającego dwanaście lat, urodziło się pięcioro dzieci, jeden chłopiec i cztery dziewczynki. Eva była najmłodsza. Chociaż wszyscy w wiosce wiedzieli, kto jest ojcem piątki, Duarte nie uznał żadnego z dzieci.

Zobowiązał się jednak łożyć na ich utrzymanie i odwiedzał je często na położonym obok hacjendy ranczu, gdzie pozwalał im mieszkać. Juana, kobieta uparta i dumna, nigdy nie zachowywała się tak, jakby była kochanką właściciela. Przeciwnie, przyjęła nazwisko Duarte i mieszkając w wiosce Los Toldos, chodziła z dziećmi dumna, ładnie ubrana i wyperfumowana.

Juan Duarte zawsze odnosił się do kochanki z szacunkiem i dbał o to, by jego dzieciom niczego nie brakowało. Wszystko jednak zmieniło się w pierwszych miesiącach 1920 roku. Eva nie miała jeszcze roku, kiedy właściciel hacjendy postanowił wrócić do legalnej rodziny w Chivilcoy, zostawiając Juanę w trudnym położeniu materialnym. Był to ciężki czas dla tej dzielnej kobiety, która dzięki niezłomnej sile woli zdołała wychować swoją liczną gromadkę dzieci. Wraz z nimi przeniosła się do nowego mieszkania za miastem, na ulicę Francia (dziś jest to ulica Evy Perón), obejmującego dwa pokoje i położonego niedaleko torów kolejowych. Z tyłu znajdował się zatęchły ganek, służący za kuchnię, oraz niewielkie podwórko. Aby móc utrzymać rodzinę, Juana Duarte zajęła się szyciem i naprawianiem odzieży na swojej maszynie marki Singer. Znający jej przeszłość mieszkańcy, teraz, kiedy nie mogła liczyć na opiekę Juana Duarte, dokuczali jej niemiłosiernie. Sąsiedzi nie pozwalali swoim dzieciom bawić się z jej dziećmi, uważając je za bękarty.

Najbardziej traumatycznym doświadczeniem dzieciństwa Evy była tragiczna śmierć ojca. Mimo że cała piątka rosła pozbawiona jego serdeczności – Eva właściwie nie miała z nim kontaktu – wszystkie dzieci odczuwały wielki szacunek dla postaci Juana Duarte. Gdy w styczniu 1926 roku Juana Duarte dowiedziała się, że jej kochanek zginął w wypadku samochodowym, postanowiła wziąć udział w pogrzebie. Chciała, żeby dzieci pożegnały ojca, choć zdawała sobie sprawę, że jej obecność nie będzie miła dla legalnej rodziny. Ubrała wszystkie dzieci na czarno i udała się z nimi do domu zmarłego w Chivilcoy. Córki zmarłego nie pozwoliły Juanie uczestniczyć w czuwaniu, lecz dzieciom, płaczącym żałośnie pod drzwiami, kazano otworzyć, żeby mogły się kilka minut pomodlić przy trumnie. Pozwolono im również iść w orszaku pogrzebowym, tyle że wśród tłumu, a nie za trumną. Wszystkie te upokorzenia zapisały się trwale w pamięci liczącej wówczas zaledwie sześć lat Evy.

Nigdy nie pogodziła się ze swoją kondycją nieślubnego dziecka. Uznawała to za niesprawiedliwość i zwalczała tego typu dyskryminację, kiedy doszła do władzy. Będąc już żoną Juana Dominga Peróna, doprowadziła do uchwalenia ustaw znoszących dyskryminację dzieci urodzonych poza małżeństwem. W swoich wspomnieniach nie mówiła nic na temat warunków, w jakich upłynęło jej dzieciństwo, ani ubóstwa, jakie cierpiała jej rodzina. Od matki przejęła hart i przekonanie, że nie wolno się poddawać i zawsze trzeba iść do przodu. Od wczesnej młodości czuła konieczność walki z niesprawiedliwością społeczną.

„Z każdego okresu zachowałam wspomnienie jakiejś niesprawiedliwości, która mnie oburzała i głęboko bulwersowała”, napisze w pamiętnikach.

W momencie śmierci ojca Eva Perón była chudą, małowówną dziewczynką o ciemnych, bujnych włosach, kontrastujących z przezroczystą cerą. Już wówczas wolała występować i deklamować przed publicznością niż chodzić do szkoły, do której zapisała ją matka. W ciągu dwóch lat, jakie upłynęły od śmierci Juana Duarte, Juanie i dzieciom żyło się bardzo ciężko. Nigdy nie brakowało im jedzenia, ale Eva i siostry musiały pomagać matce, pracując w kuchni u okolicznych rodzin. To wówczas Eva uświadomiła sobie po raz pierwszy, jak straszne nierówności społeczne istnieją w Argentynie. Wspominając dzieciństwo, pisała: „Pamiętam, że przez wiele dni chodziłam smutna, gdy dotarło do mnie, że na świecie są biedni i są bogaci. I, co dziwniejsze, świadomość, że istnieją biedni, była dla mnie równie przykra jak myśl o istnieniu bogatych (...). Tak zaczął się mój bunt”.

Gdy Eva skończyła jedenaście lat, matka postanowiła przenieść się do Junín, małego prowincjonalnego miasteczka, położonego trzydzieści kilometrów od Los Toldos. Najstarsza córka Elisa znalazła tam pracę na poczcie i matka spodziewała się, że pozostałym dzieciom również się pod tym względem powiedzie. Podobno rodzina załadowała cały swój dobytek na ciężarówkę i wyjechała nocą, ponieważ matka winna była miastu pieniądze. Juana nie pomyliła się: niedługo po zainstalowaniu się w Junín, starsze dzieci już zarabiały na życie. Na początku 1931 roku Juan, jedyny chłopak, wygadany i sympatyczny, dostał pracę jako akwizytor „produktów kosmetycznych Guereño” i otrzymywał niezłe uposażenie. Rodzinie powodziło się na tyle dobrze, że matka mogła rzucić szycie i zająć się czymś, co przynosiło większy zysk. Wdowa Duarte – pod tym nazwiskiem była znana – otworzyła skromny pensjonat, w którym w południe serwowano na patio smaczne posiłki. Interes wobec braku konkurencji funkcjonował lepiej, niż się spodziewali, tak że wspólne dochody pozwoliły im przeprowadzić się w 1934 roku do większego mieszkania i żyć we względnym dostatku.

Evie spokojne i schludne Junín, ze swoimi brukowanymi ulicami, jasno oświetlonymi sklepami, piętrowymi budynkami i salą kinową, wydawało się rajem w porównaniu z piekłem Los Toldos. Kończąc szkołę podstawową – była zawsze przeciętną uczennicą, która opuszczała wiele zajęć – wiedziała dobrze, że nie chce powtórzyć losu swojej matki. Marzyła o tym, żeby zostać aktorką, i po kryjomu wycinała zdjęcia gwiazd Hollywoodu lat trzydziestych, ukazujące się w czasopismach takich jak „Sintonía” czy „Radiolandia”. Była dziewczyną przeciętnie ładną, chudą, o smutnym spojrzeniu, z ciemnymi, ostrzyżonymi na pazia włosami i wyrazem niezadowolenia na twarzy. Nic wówczas nie wskazywało, że brzydkie kaczątko całej klasy przemieni się w atrakcyjną modelkę o długich falujących blond włosach, pozującą dla najlepszych czasopism mody. Nie miała specjalnego talentu dramatycznego, chociaż – jak relacjonowała jedna

z jej nauczycielek – wkładała wiele pasji w deklamację i potrafiła doprowadzić słuchaczy do płaczu, recytując wiersze Rubéna Darío czy Bécquera.

Mimo młodego wieku Eva była pewna, że nie chce zostać typową kurą domową, jak jej siostry, które znalazły mężów wśród kawalerów pojawiających się w prowadzonym przez matkę pensjonacie. Dla matki byłoby wówczas najwygodniej, gdyby najmłodsza córka została w domu i pomagała w prowadzeniu położonego przy ulicy San Martín pensjonatu. Jej ambitna córka miała jednak inne plany na przyszłość. W skrytości marzyła o tym, by być jak aktorka kanadyjska Norma Shearer, która urodziła się w ubogiej rodzinie, a odniosła sukces w wielkiej mekce kina: „Pogodziłam się z rolą ofiary. Więcej: pogodziłam się z banalną, monotonną egzystencją, która wydawała mi się równie jałowa, jak nieunikniona. Nie miałam żadnej nadziei, że uda mi się stamtąd wyrwać. (...) A jednak w głębi duszy nie czułam się całkowicie pogodzona z losem. I wreszcie nadszedł mój «wielki dzień»”.

Zanim spełniło się gorące marzenie Evy o przeniesieniu się do wielkiego miasta, wydarzyło się coś, co odcisnęło trwałe piętno w jej psychice. Jak twierdzi historyczka argentyńska Lucía Gálvez, w 1934 roku Evita i jej przyjaciółka stały się ofiarami napaści seksualnej ze strony dwóch chłopaków, którzy zaprosili je na wspólny weekend do La Platy. Po wyjeździe z Junín samochód, którym wszyscy podróżowali, skręcił z drogi i młodzi ludzie usiłowali je zgwałcić. Prawdopodobnie nie zdołali tego uczynić, ponieważ z zemsty zostawili je całkiem nagie za miastem. Jakiś kierowca ciężarówki zobaczył je błakające się przy szosie i zawiózł z powrotem do Junín. Eva nigdy nie wspominała o tym bolesnym epizodzie swojego życia – podobnie jak o innych upokorzeniach, które musiała znosić w młodości, kiedy usiłowała zrobić karierę w Buenos Aires.

Los Evy odmienił się, gdy na początku stycznia 1935 roku popularny śpiewak wykonujący tanga, czterdziestoletni Agustín Magaldi – znany jako „Gardel interioru”, zatrzymał się w pensjonacie Juany Duarte. Legenda mówi, że młoda kandydatka na aktorkę, poznawszy Magaldiego, poprosiła go, by zabrał ją ze sobą do Buenos Aires. Większość biografów pisze, że Eva zdołała przekonać matkę, po czym spakowała manatki i odjechała ze śpiewakiem po jego drugim przedstawieniu. Czy odbyło się to w ten sposób, czy, jak zapewniają jej siostry, odjechała razem z matką, dość że opuściła Junín w pierwszych miesiącach tamtego roku z zamiarem podbicia stolicy. Nie miała pieniędzy, zaliczyła raczej skromną edukację – ledwo umiała poprawnie pisać – talent zaś miała dopiero pokazać. Drugiego stycznia 1935 roku przybyła na stację Retiro w Buenos Aires. Miała piętnaście lat, a jej jedynym bagażem była kartonowa walizka. W kieszeni miała sto pesos. Nie była zupełnie sama; jej brat Juan – czy jak go nazywała: Juancito – sprowadził się do miasta rok wcześniej, by odbyć służbę wojskową.

Dla dziewczyny z prowincji, jaką była Eva, Buenos Aires lat trzydziestych

musiało się wydawać mirażem. Miasto położone nad brzegami rzeki La Plata było stolicą artystyczną i mekką kulturalną dla całego kontynentu. W wielkiej metropolii, która „nigdy nie zasypiała”, działało dwadzieścia pięć teatrów, prawie dziesięć stacji radiowych, trzy wytwórnie filmowe. Dla swoich mieszkańców, tak zwanych *porteños*, stolica była Paryżem Ameryki Łacińskiej – eleganckie budynki, luksusowe sklepy, szerokie aleje, wypielęgnowane parki i urocze kawiarnie ogródkowe. Po przybyciu Eva wynajęła pokój w hoteliku „tylko dla panienek” przy ulicy Corrientes, przy której miała swoją siedzibę większość teatrów, kabaretów i nocnych klubów. Wkrótce w świetle neonowym pokazała się twarda rzeczywistość: Evie brakowało doświadczenia artystycznego, była źle ubrana i miała szorstki akcent dziewczyny pochodzącej ze wsi. Co dzień chodziła od baru do baru i od cukierni do cukierni, w których dyrektorzy trup teatralnych i producenci przesłuchiwali kandydatki. Nie pomagał jej również wygląd zewnętrzny. Nie miała wdzięku, mierzyła sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, była bardzo chuda i pozbawiona tak zwanych kobiecych kształtów (do biustonosza wkładała stare pończochy albo papier gazetowy). Przez kilka najbliższych miesięcy musiała wiązać koniec z końcem, mieszkając byle jak w tanich hotelikach i żywiąc się kanapkami. Brat Juan, z którym czuła się bardzo związana, młody *bon vivant* noszący się jak amant filmowy, próbował ją przekonać, żeby wróciła do Junín. Eva okazywała jednak niezwykle upór i powtarzała wciąż, że kiedyś będzie najważniejszą aktorką Argentyny. Czekać, aż ten dzień nadejdzie, musiała zadowalać się marnymi rolami i znosić kolejne upokorzenia, które ją hartowały. Dwudziestego ósmego marca 1935 roku dostała rolę służącej w komedii *La señora de los Pérez*. Chociaż mówiła tylko cztery słowa: „Proszę, podano do stołu”, był to jej debiut zawodowy, po którym proponowano jej niewielkie rólki w sztukach utrzymujących się zaledwie tydzień na afiszu. Latem 1936 roku wyjechała w pierwsze tournée po prowincjach ze sztuką zatytułowaną *El beso mortal*. Płacono bardzo nędźnie. Aktorka drugoplanowa zarabiała od sześćdziesięciu do stu pesos; prosta sukienka kosztowała pięćdziesiąt pesos. Codziennie dawano dwa przedstawienia, w niedzielę trzy.

Nikt nie wie do końca, z czego utrzymywała się Eva przez pierwsze lata zamieszkiwania w Buenos Aires. W czasach kiedy przyzwoite dziewczęta nie pracowały w teatrze, a dyrektorzy wykorzystywali młode naiwne kandydatki na aktorki, nietrudno wyobrazić sobie, że tak młoda, niedoświadczona dziewczyna musiała niejedno odczuć na własnej skórze. Pewnego razu odwiedziła znanego hiszpańskiego producenta teatralnego Pabla Suero, który dał jej rolę w sztuce *La hora de las niñas* Lillian Hellman. Dowiedziawszy się, że producent przygotowuje nowy spektakl, udała się do teatru Astral, by poprosić o pracę. Suero, człowiek szorstki i popędliwy, zirytowany jej przyjściem, wyszedł na korytarz, gdzie na

niego czekała, i przy wszystkich zaczął jej wymyślać. Kiedy Eva powiedziała, że chce tylko spytać, czy nie byłoby dla niej jakiejś roli, odpowiedział jej niegrzecznie: „Zostaw mnie w spokoju. To, że się z tobą przespałem, nic jeszcze nie znaczy”.

Evita nigdy nie wspominała tego trudnego okresu swego życia, a kiedy była już żoną prezydenta Peróna, zabraniała dziennikarzom pytać o swoją przeszłość artystyczną. Przeciwnicy Evy próbowali rzucić cień na jej wizerunek, twierdząc, że był czas, kiedy utrzymywała się z prostytucji. Nie ma na to dowodów, wiadomo jednak, że na początku roku 1937 osiemnastoletnia Eva zdążyła się już bardzo dobrze nauczyć manipulować mężczyznami, by osiągnąć korzyść. Od tego momentu dbała o kontakty z wieloma wpływowymi osobami – redaktorami naczelnymi czasopism, autorami serialowych słuchowisk radiowych, dyrektorami teatrów i wojskowymi – które otworzyły przed nią drzwi do zamkniętego świata artystycznego.

Najbardziej znany był jej romans z redaktorem naczelnym pisma „Sintonía”, Emiliem Karstulovicem, w którym zadurzyła się jak uczennica. W roku 1937 pismo to, które tak często czytała i z którego nieraz wycinała w Junín zdjęcia, organizowało konkurs na nowe twarze. Evita zjawiała się w redakcji ładnie ubrana i umalowana, i poznawszy Emilia – dziennikarza trzydzieści lat starszego od niej, atrakcyjnego blondyna o niebieskich oczach – poczuła, że się zakochała. Związek trwał krótko, Evita nie opuszczała go bowiem na krok – nawet kiedy wyjeżdżał z przyjaciółkami nad deltę rzeki Tigre – i o każdej porze, bez zapowiedzi, wpadała do niego do biura. Karstulovic pozbył się jej, załatwiając dla niej małą rolę w pierwszym filmie – *Segundos afuera* – w którym wystąpiła pod nazwiskiem artystycznym: Eva Duarte.

Osiemnastoletnia Evita zachowała dobre wspomnienia o redaktorze – zdaniem niektórych biografów był on, obok Peróna, jedną z jej wielkich miłości – choć namiętność ta nie była odwzajemniona. Wkrótce po owym rozczarowaniu miłosnym spotkała kogoś, kto zapewnił jej opiekę, nie prosząc w zamian o nic: Pierinę Dealessi. W roku 1938 ta znana argentyńska aktorka filmowa i teatralna, mająca własną trupę teatralną, stała się dla niej bliska jak siostra. „Pewnego razu mój przedstawiciel powiedział mi, że jakaś dziewczyna szuka pracy. Kazałam ją przyprowadzić. Eva była jak cień. Zatrudniłszy ją za nędzną pensję. Co dzień dawaliśmy przedstawienie, a w niedzielę cztery, jedno po drugim. (...) Evita piła *mate*, ale była bardzo wątpa; częstowałam ją mlekiem. Chuda, że nie było na co spojrzeć. Z niedożywienia, nędzy i zaniedbania zawsze miała wilgotne, zimne ręce. Aż żal brał. (...) Bardzo mało jadła. Myślę, że w życiu nie najadła się do syta”, wspominała Dealessi w rozmowie z dziennikarzem.

Prawdziwa popularność zaczęła się dla Evy w 1941 roku, kiedy podpisała pięcioletnią umowę na wyłączne nagrywanie wszystkich audycji radiowych

nadawanych pod patronatem firmy Guereño, właścicieli sławnego „radikalnego mydła”. W ciągu kolejnych miesięcy nagrywała dla stacji Radio Argentina oraz Radio El Mundo budzące zachwyty gospodyń domowych melodramaty pod takimi tytułami, jak: *El amor nació cuando te conocí* [Miłość narodziła się, gdy cię poznałam] czy *Promesas de amor* [Obietnice miłości]. Pod koniec 1943 roku Radio Belgrano zatrudniło ją jako lektorkę serialowego słuchowiska zatytułowanego *Bohaterki historii*, o sławnych kobietach z przeszłości. Codziennie przez dwie godziny Eva Duarte – ze zbytnią emfazą i fatalną dykcją – obdarzała życiem cesarżową Józefinę, Marię Antoninę czy królową Izabelę I. Słuchowisko, którego autorem był historyk Francisco Muñoz Azpiri – w późniejszych czasach miał on redagować jej pierwsze przemówienia – cieszyło się wielką popularnością w całym kraju. Nareszcie Eva dobrze zarabiała i mogła wynająć wygodne mieszkanie przy ulicy Posadas 1567, naprzeciwko biur Radia Belgrano, w eleganckiej dzielnicy La Recoleta.

Okolo roku 1943 skromna wiejska dziewczyna z Los Toldos przemieniła się w jedną z najlepiej opłacanych wówczas aktorek radiowych. Mimo że wciąż wydawała się nieśmiałą, prostą dziewczyną – i wszyscy byli zgodni co do tego, że jest kiepską aktorką – miała dobrych i wpływowych przyjaciół w wyższych sferach. Czwartego czerwca wojskowy zamach stanu w Argentynie wyniósł do władzy grupę generałów. Eva była wówczas przyjaciółką pułkownika Aníbala Imberta, nowego ministra komunikacji. Kiedy dowiedział się o tym właściciel Radia Belgrano, bez wahania podniósł honorarium swojej sławnej lektorce. Inne aktorki, oburzone, czekały tylko, aż Imbert zmęczy się nią i staną się świadkami spektakularnego upadku radiowej koleżanki. Tymczasem popularna i ambitna lektorka była o krok od poznania człowieka, który wyniósł ją na najwyższe szczyty, nadając jej władzę, o jakiej nie marzyła.

Eva poznała Peróna – będącego jednym z mózgow puczu – podczas imprezy charytatywnej na rzecz ofiar trzęsienia ziemi w San Juan, odbywającej się na stadionie Luna Park w Buenos Aires. Owego wieczoru, 22 stycznia 1944 roku uczestniczyła w imprezie w towarzystwie Rity Moliny, swojej przyjaciółki piosenkarki. Miała na sobie elegancką czarną sukienkę, długie rękawiczki i rzucający się w oczy biały kapelusz z piórami. Nie do końca wiadomo, w jaki sposób udało jej się dostać do boksu prezydenckiego, w którym siedział Perón, i zająć wolne miejsce obok niego. Świadoma władzy, jaką miał ów prosty, potężnej postury oficer, nie traciła czasu. Po skończonej uroczystości Perón zaprosił ją na kolację, odwołując umówione spotkania z organizatorami. „Rozmawialiśmy bez końca, o wszystkim. (...) Było tak, jakbyśmy się znali od zawsze. Powiedział, że podobają mu się kobiety zdecydowane. Tego nie zapomnę nigdy”, wspominała później Evita. Kolacja trwała do poniedziałku rano, kiedy to Eva służbowym samochodem została odwieziona do swojego mieszkania przy ulicy Posadas.

Spędzili razem weekend w drewnianym domku w delcie Tigre.

W autobiografii zatytułowanej *La razón de mi vida* (odnosiła to określenie do Peróna we wszystkich swoich wystąpieniach) Eva tak opisuje pierwsze spotkanie z pułkownikiem: „Usiadłam obok niego. Może to zwróciło jego uwagę, tak że kiedy mógł mnie usłyszeć, spróbowałam wyrazić jak najlepiej, co chciałam mu przekazać: «Jeśli, tak jak pan mówi, sprawa ludu jest pana sprawą, będę trwała u pana boku do śmierci, nie szczczędając ofiar»”. Nawet jeśli nie użyła tych wzniosłych słów – odpowiednich bardziej dla tanich powieści, w których tak gustowała – pewne jest, że tego dnia jej życie odmieniło się na zawsze. W roku 1944 Juan Perón piastował dwie ważne funkcje – stał na czele sekretariatu wojny oraz sekretariatu pracy i spraw socjalnych – i był kluczową postacią w rządzie wojskowych. Eva zaprezentowała cały swój wdzięk i nie pozwoliła się swej zdobyczy wymknąć.

Dla wielu dam w Argentynie Perón był pierwszą partią w kraju. Wdowiec, bez dzieci, nienagannie ubrany i zadbany, o uśmiechu amanta filmowego, głębokim głosem, z włosami wypomadowanymi i zaczesanymi do tyłu. Był bardzo męski, dobrze zbudowany, postawny – miał metr osiemdziesiąt wzrostu. Mimo że od śmierci żony nie żył w stałym związku z żadną kobietą, nie ukrywał słabości do młodych kobiet o dziewczęcym wyglądzie. W czasie gdy poznała go Eva, żył z dziewczyną o nazwisku Maria Cecilia Yurbel – zwaną *La Piraña*, Piranią – również początkującą aktoreczką, którą pułkownik przedstawiał jako swoją córkę, ale która w rzeczywistości była jego kochanką. Po śmierci Evity w 1952 roku, mieszkała z nim w rezydencji Olivos trzynastoletnia dziewczynka Nelly Rivas.

Eva twierdziła, że pułkownik ujął ją swoimi radiowymi przemówieniami w obronie najuboższych i w obronie sprawiedliwości społecznej. „Jestem jedynie prostym żołnierzem, który dostąpił zaszczytu obrony argentyńskich mas pracujących”, powtarzał. A Evita, utożsamiająca się z owymi bronionymi przez pułkownika masami ubogich i bezbronnych, rychło stała się jego najwierniejszym poplecznikiem. Perón z kolei, nie tak egzaltowany, pisał w pamiętnikach, że ta nieznajoma dziewczyna zniewoliła go dobrocią i absolutną uczciwością – cechą nie tak znów częstą w jego otoczeniu. Biografowie są zgodni co do tego, że był to związek oparty na wzajemnych korzyściach, podbudowany niepohamowanymi ambicjami obojga. Niemniej Eva zdołała sprawić – być może z racji swojego niemal religijnego oddania – że Perón zakochał się w niej tak, jak mu się wcześniej nigdy nie zdarzyło.

Aktorka i pułkownik

W książce napisanej w 1956 roku, w czasie wygnania w Madrycie, Juan

Domingo Perón tak wspominał okoliczności poznania i zakochania się w swojej towarzyszce: „Eva weszła w moje życie niczym przeznaczenie. (...) Wśród osób, które w tych dniach przewijały się przez mój gabinet, pojawiła się kobieta krucha z wyglądu, ale o mocnym głosie, z długimi jasnymi włosami spadającymi na plecy i z płonącymi oczyma. Powiedziała, że nazywa się Eva Duarte, że pracuje w radiu i że chciałaby pomóc ludziom w San Juan. Spojrzałem na nią i pozostałem pod wrażeniem tych słów. Siła jej głosu i spojrzenie całkowicie mną owładnęły. Miała jasną cerę, ale gdy mówiła, twarz jej płonęła. Dłonie miała rozpalone z przejęcia, palce zaciśnięte; cała była spięta”. Evita z kolei uwielbiała go w sposób obłądny. Było to ubóstwienie mężczyzny, który ją wybrał, by mogła przejść do historii. „Wierzę w Boga i uwielbiam Go, i wierzę w Peróna i uwielbiam go. Bóg dał mi życie pewnego dnia. Perón daje mi je codziennie”, powiedziała kiedyś. Mimo różnicy wieku – Perón miał czterdzieści osiem lat, dwa razy więcej niż ona – wiele ich łączyło. Oboje byli prostego pochodzenia i czuli zapiekłą niechęć do klas posiadających.

Perón urodził się w 1895 roku na małej farmie w miejscowości Lobos, na południe od prowincji Buenos Aires. Jego matka Juana była „Chinką” – *chinita*, jak nazywano chłopki pochodzenia indiańskiego. Ojciec Mario Tomás Perón, z włoskiej rodziny, był sędzią pokoju w Lobos, póki pewnego dnia nie przeniósł się do niegościnniej Patagonii, by tam prowadzić rancho. Kiedy mały Juan miał pięć lat, rodzina przeprowadziła się najpierw do Santa Cruz, potem zaś na północ prowincji Chubut, gdzie Mario nabył własne gospodarstwo. Perón hartował swój charakter podczas dzieciństwa i częściowo młodości spędzonych na tych zimnych i wietrznych pustkowiach. W wieku szesnastu lat wyjechał do Buenos Aires, aby uczyć się w szkole wojskowej. Taki był początek jego zawrotnej kariery wojskowej – naznaczonej próbami zamachu stanu i mroczną konspiracją – która trzy razy zaprowadziła go na stanowisko prezydenta państwa.

W roku 1929 ożenił się z młodą nauczycielką Aurelią Tizón, która osiem lat później zmarła na raka macicy. Evita, świadoma uroku, jaki wywierał na kobietach owdowiały pułkownik, nie chciała, by „jej mężczyzna” wpadł w sidła którejs z kręcących się wokół niego aktorek. Po romantycznym weekendzie w delcie Tigre, widząc, że Perón nie zaprasza jej do domu, pod koniec stycznia postanowiła ująć sprawy w swoje ręce. Nie zawiadamiając go, zjawiła się w mieszkaniu, które dzielił z rzekomą „córką”. Kazała dziewczynie pakować manatki i wracać do rodziców do Mendoza. Kiedy następnego dnia Perón wrócił do domu, zobaczył, że Evita wyrzuciła Piranię z domu. Wkrótce namówiła go, by przeprowadził się do sąsiedniego apartamentu przy ulicy Posadas. W pierwszych dniach lutego pułkownik przeprowadził się do nowego mieszkania. Oboje mieszkali osobno, lecz każdego wieczoru Eva przechodziła korytarzem, by spędzić noc z ukochanym. Nigdy już nie mieli się rozstać, aż do jej przedwczesnej śmierci.

Juan Domingo Perón, mianowany właśnie ministrem wojny, nie ukrywał romansu z Evitą, która nieraz pełniła w jego apartamencie honory pani domu. Tym, którzy dawali mu do zrozumienia, że nie uchodzi, by pokazywał się z „aktorką drugiej kategorii i o złej reputacji”, odpowiadał z humorem: „Macie mi za złe, że się zadaję z aktorką? A co, chcielibyście, żebym się zadawał z aktorem?”. Na początku Eva nie narzucała się, pozostawała na drugim planie, pojawiając się na jego zebraniach tylko po to, by podać kawę albo sprzątnąć popielniczki pełne niedopałków. Jej spontaniczność – zwracała się do wszystkich per „chłopcy” – i jej bezpośredni sposób bycia bawiły Peróna, przywykłego do sztywnych formułek.

Eva, obojętna na wywołane jej osobą zamieszanie, dalej pracowała w radiu, tyle że teraz odnosiła korzyści z faktu bycia oficjalną kochanką pułkownika. Wpływy Peróna przyniosły nieoczekiwany zwrot w jej karierze artystycznej. W Radiu Belgrano zaproponowano jej „najważniejszy – jak sama twierdziła – kontrakt możliwy dla aktorki w stacji radiowej”. Jeśli chodzi o kino, zagrała w dwóch przyjętych dość obojętnie filmach. W 1944 roku otrzymała propozycję zagrania pierwszoplanowej roli w filmie *La cabalgata del circo* w reżyserii Maria Sofficiego, gdzie miała włosy ufarbowane na blond. Przyjeżdżała na plan limuzyną Ministerstwa Wojny, prowadzoną przez szofera w uniformie, i miewała zatargi z koleżanką, piękną aktorką i śpiewaczką Libertad Lamarque. Ta sławna aktorka argentyńska, znajdująca się wówczas u szczytu kariery, nie tolerowała kaprysów „protegowanej Peróna”. Jak twierdziła, Eva spóźniała się do studia San Miguel, rozmawiała przez telefon, gdy miała ochotę, i w dowolnej chwili przerywała zdjęcia, reżyser zaś nie śmiał nawet otworzyć ust.

Kolejnym filmem był *La pródiga*, w którym miała grać Mecha Ortiz, lecz rolę tę dostała Evita, znów dzięki interwencji swego protektora. Jej gaże wzrosły niepomniernie i płacono jej już nie w pesos, tylko w dolarach. Na ten film podpisała kontrakt w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów – pod względem wysokości gaży ustępując jedynie swojej rywalce, Libertad Lamarque – co było znaczną sumą jak na tamte czasy. Był to jej ostatni film; nigdy zresztą nie wszedł na ekrany. Kiedy została żoną Peróna, zakazała rozpowszechniania obrazu. Uważała, że nie godzi się, by pokazywano, jak małżonka prezydenta całuje innych mężczyzn na wielkim ekranie, a poza tym z winy reżysera wyglądała tam „grubo i niekorzystnie”.

Odkąd w 1935 roku przybyła do Buenos Aires, wystąpiła w dwudziestu czterech sztukach teatralnych, pięciu filmach i blisko trzydziestu serialach radiowych. Swojemu spowiednikowi, ojcu Hernánowi Benítezowi wyznała, że jej gra była „zła w filmie, średnia w teatrze i do wytrzymania w radiu”. Teraz Evita, gwiazda tasiemcowych seriali radiowych, miała wystąpić w najlepszej roli swego życia obok pułkownika Juana Dominga Peróna.

Wiedziała, że nie budzi sympatii w najbliższych współpracownikach Peróna

– dla których jest „intruzem” – i że pogardzają nią damy z towarzystwa. Zazdrozczono jej młodości, urody, determinacji i tego, że zdobyła serce najpotężniejszego człowieka w kraju. Obawiano się jej wpływu, coraz większego, na pułkownika, ingerowania w sprawy rządów i jej ambicji. Evita, być może świadoma tego, że znajduje się w oku cyklonu, bardzo starała się jednak uczyć i zachowywać odpowiednio do roli odgrywanej przy prezydencie. Jej fryzjer Julio Alcaraz, pracujący dla niej przez całe życie, uczył ją dobrych manier przy stole – Perón zwykł bowiem zjawiać się w domu nieoczekiwanie z ważnymi osobami, które zostawały na obiad lub kolację – i prawidłowego wysławiania się. Ilekroć ktoś ją poprawiał, notowała słowo w zeszyciku, żeby więcej się już nie pomylić. Jasne się stało, że nowy romans Peróna nie tylko nie został dobrze przyjęty przez otoczenie, lecz że może sprowadzić na niektórych poważne kłopoty.

W czerwcu Eva uznała, że powinna poprawić swój wizerunek. Ciemnowłosa młódka o krótkich kręconych włosach i mocno umalowanych ustach, nosząca białe wdzięczne bluzeczki z falbankami, na krótko przed wprowadzeniem do prezydenckiej rezydencji w 1946 roku stała się blondynką ubraną w stylu gwiazd filmowych. Podobały jej się wydekoltowane bluzki i suknie, błyszczące tkaniny, duża biżuteria i wymyślne fryzury. Po konsultacji z Perónem zadzwoniła do Paca Jamandreu, stylisty gwiazd argentyńskich, i umówiła się z nim u siebie w domu. W swych pamiętnikach Jamandreu tak wspominał ów pamiętny dzień: „Otworzyła mi sama Evita. (...) «Co za czar!», pomyślałem. Jej apartament przywodził na myśl domy burżuazji w moim miasteczku. (...) Po chwili wszystko zaczęło mi się podobać. Nawet jej satynowe spodnie, nijak niepasujące do sandałów na korku”. Od samego początku – także jako aktorka z wyboru – Evita wiedziała jasno, że powinna zachować dwa wizerunki: być z jednej strony olśniewającą gwiazdą radiową, której podobizna w kostiumie kąpielowym ukazywała się wciąż na okładkach czasopism, z drugiej zaś towarzyszką życia robiącego karierę wojskowego, Juana Dominga Peróna.

„Od tej pory nie patrz na mnie jak na jedną ze swoich klientek – oświadczyła Eva. – Teraz będą we mnie dwie osoby: z jednej strony aktorka, w złotych tkaninach, piórach i cekinach. Z drugiej figura ze sfery polityki, jaką chce we mnie widzieć Perón. Zacznijmy od tego: pierwszego maja mam razem z nim wziąć udział w wielkim zgromadzeniu, z wieloma przemówieniami; to będzie pierwsze pojawienie się pary Duarte–Perón. Co mi proponujesz na tę okazję?”. Na pierwsze wystąpienie publiczne stylistą wybrał dwurzędowy kostium haute couture w stylu księcia Walii, z aksamitnym kołnierzykiem. Choć Eva była szczupła i miała zgrabną figurę, Paco radził jej ćwiczyć brzuch dla lepszej sylwetki. Po kilku dniach Perón zatrudnił niemieckiego trenera, by ćwiczył z nią w domu. Dziewczyna niegdyś bez wyrazu i pospolita zaczynała doświadczać niezwykłego przeobrażenia, jeśli chodzi o wizerunek publiczny.

Dla Peróna nie mogło być rzeczą łatwą życie z kobietą taką jak Eva, wybuchową, zdolną publicznie zażądać od niego ślubu. Eva nie wahała się okazywać wzdryki towarzyszącej Peróna, których nie uważała za godnych zaufania albo którzy nie demonstrowali dostatecznego oddania względem niego. Przy tym wszystkim była idealną towarzyszką dla pułkownika. Pomogła mu się wy dostać z apatii i uczyniła go chorążym sprawy najuboższych. Pułkownik szybko poznał się na talencie politycznym nowej towarzyski i wciągnął ją w swoją osobistą kampanię. „Szła za mną jak cień – napisze we wspomnieniach – słuchała mnie z uwagą, przyswajała moje myśli, przetwarzała je w swoim bystrym umyśle, po czym dokładnie realizowała moje wytyczne”. Zostawszy kochanką najpotężniejszego człowieka w rządzie Argentyny – i czując się przez niego chroniona – Eva z przelęknionej prowincjuszki zmieniła się w kobietę o silnym charakterze, jasno sprecyzowanych poglądach, tryskającą energią.

„Ujrzałem w Evie kobietę wyjątkową, autentyczną pasjonatkę, ożywianą wolą i wiarą, które można było przyrównać do wiary pierwszych chrześcijan. Wiedziałem, że Eva powinna robić coś więcej niż jedynie pomagać ofiarom trzęsienia ziemi w San Juan; powinna pracować z najuboższymi w Argentynie (...) – pisał Perón. – Postanowiłem zatem, że zostanie u mnie w ministerstwie, porzucając zajęcia teatralne”. W rzeczywistości przez pierwsze półtora roku ich znajomości Eva będzie jedynie jego kochanką, a jej współpraca ograniczy się do wspierania go na antenie radiowej. W maju 1944 roku zostanie wybrana na przewodniczącą związku zawodowego artystów radiofonii i doda do swoich programów kolejny – codzienną audycję zatytułowaną *Ku lepszemu przyszłości*. Będzie w niej propagować zdobycze socjalne i pracownicze uzyskane przez sekretariat pracy. Jako gorąca rzeczniczka sprawiedliwości społecznej będzie na falach radiowych z zaangażowaniem bronić Peróna. Jeszcze przed oficjalnym rozpisaniem nowych wyborów Eva bez wahania prowadziła kampanię radiową dla poparcia ukochanego, nazywając go „zbawcą narodu”.

Pod koniec roku pracowała w trzech programach codziennych i sama albo w towarzystwie Peróna brała udział w różnych galach, uroczystościach nadania nagród, zebraniach związkowych. Zawsze dość wątła, we wrześniu poczuła się jeszcze bardziej osłabiona, tak że lekarz nakazał jej odpoczynek. Pojawiała się wówczas na okładkach czasopism filmowych i radiowych, złotowłosa, pozując w kostiumie kąpielowym lub w stroju marynarza. Dziennikarzom opowiadała, obok innych bajek, że mówi po francusku, interesuje się żeglarstwem i chętnie czyta „klasyków, a także pisarzy współczesnych”. Na początku 1945 roku Perón pozostawał wciąż główną postacią w rządzie wojskowych, lecz jego popularność słabła. Trwały wewnętrzne walki o władzę i ujawniała się coraz większa wrogość względem niego, w wojsku i poza nim. Winę za to ponosiła częściowo kobieta, z którą teraz dzielił życie i która wysuwała się coraz bardziej na pierwszy plan. Dla

Evity, obojętnej wobec skandalu, jaki budził jej romans z pułkownikiem, był to wspinały rok: zdobyła serce Peróna i stała się właścicielką domu przy ulicy Teodoro García. Niektórzy biografowie twierdzą, że rezydencja ta, położona w eleganckiej dzielnicy Belgrano, była podarkiem argentyńskiego multimilionera pochodzenia niemieckiego Ludwiga Freudego, człowieka, który sfinansował kampanię prezydencką pułkownika.

Pierwszy tydzień października 1945 roku miał kluczowe znaczenie dla Peróna i stanowił próbę lojalności jego towarzyszk. W tych dniach wojskowi, którzy razem z nim obalili cywilny rząd, postawili mu zarzut nadmiernych ambicji i nieuprawnionego wysuwania się na pierwszy plan, populizmu, a przede wszystkim wprowadzania kochanki w sprawy rządu. Ósmego października dokonano zamachu stanu pod przewodnictwem generała Ávalosa; jedno z żądań dotyczyło natychmiastowej rezygnacji Peróna. Pewien młody oficer, który poparł zamach stanu, stwierdził później: „Uznaliśmy, że jest naszym obowiązkiem nie dopuścić, by naród dostał się w ręce tej kobiety – jak się w końcu stało”. Perón, który tego dnia kończył pięćdziesiąt lat, zgłosił dymisję z trzech stanowisk w rządzie i poprosił prezydenta Farrella, by wszczął postępowanie w sprawie jego odejścia z wojska.

W dniu obalenia Peróna Eva otrzymała wiadomość, że jej kontrakt w Radiu Belgrano został rozwiązany. „Twojego narzeczonego odprawiono, więc ty też odchodzisz”, oświadczył jej opryskliwie dyrektor rozgłośni. Wobec takiego obrotu spraw i bojąc się o swoje życie, oboje opuścili mieszkanie przy ulicy Posadas i do czasu uspokojenia się nastrojów postanowili się ukryć. W nocy 11 października przyjaciel pułkownika – syn przedsiębiorcy Ludwiga Freudego – zawiózł ich do domu letniskowego rodziny na wyspie w delcie Tigre, około trzydziestu kilometrów od Buenos Aires. Evita i Perón popłynęli łodzią do posiadłości, na której terenie znajdował się piękny drewniany dom kryty dachówkami, otoczony trawnikiem i stuletnimi drzewami. Tam postanowili poczekać na rozwój wydarzeń, jedynie w towarzystwie służącego o imieniu Otto, mówiącego słabo po hiszpańsku.

Trzy dni później Perón został zatrzymany, kiedy spacerował po nadbrzeżu pod rękę z Evą. Ze swojej celi w forcie Martín García, pośrodku rzeki La Plata, napisał do Evity list: „Najmilszy skarbie, dopiero kiedy musimy się rozstać z tymi, których kochamy, uświadamiamy sobie, jak bardzo są nam drodzy. Odkąd Cię tam zostawiłem, w bólu większym, niż można sobie wyobrazić, nie mogę ukoić zrozpaczonego serca. Teraz wiem, jak Cię kocham, i wiem, że nie mogę bez Ciebie żyć. Ta ogromna samotność jest wypełniona Twoją obecnością. Napisałem dziś do Farrella [prezydenta], prosząc o jak najszybsze uwolnienie, i jak tylko stąd wyjdę, weźmiemy ślub i zamieszkamy gdzieś w spokoju...”.

Mówi się, że po zatrzymaniu Peróna Eva zwróciła się o wsparcie do związkowców i postawiła w stan gotowości bojowej *descamisados* – jak opozycja

nazywała wzgardliwie zwolenników obalonego pułkownika – by umożliwić mu powrót. Rzeczywistość była mniej romantyczna. Eva nie знаła wówczas przywódców związkowych i nie miała żadnego wsparcia ze strony kół bliskich Perónowi. Jako kochanka polityka, który popadł w niełaskę, nie mogła już liczyć na żadną ochronę, czuła się osamotniona i przelękniona. Po zatrzymaniu Peróna załamana schroniła się w domu przyjaciółki, Pieriny Dealessi. „Przyszła do mnie, żeby mi o wszystkim opowiedzieć. Drżała. Nie wiedziała, czy został zamordowany, czy uwięziony. Powiedziała, że jej też grożono. Co dzień wieczorem przychodziła do mnie spać. W ciągu dnia znikła”. Eva, mimo że mogła uciekać, gdyż jej życie było również w niebezpieczeństwie, postanowiła zostać przy ukochanym.

Wspominając kilka lat później ponure dni uwięzienia Peróna, Eva pisała: „Wciąż jeszcze czuję udrękę tych ośmiu dni. Jeszcze większą przez to, że nie mogłam ich spędzić razem z nim, dzieląc jego niepokój. (...) Chodziłam po ulicach, szukając przyjaciół, którzy mogliby coś dla niego uczynić. (...) Nigdy, naprawdę, nie czułam się tak mała, tak bezsilna”. Evita nie odegrała tak kluczowej roli w mobilizacji robotników okupujących Plaza de Mayo, jak ukazywali to peroniści, próbowała jednak, owszem, bezskutecznie uzyskać u zaprzyjaźnionego adwokata Peróna dokument umożliwiający zwolnienie kochanka. Najprawdopodobniej przez ten tydzień jedynie czekała – zgodnie z radą Peróna wyrażoną w jednym z listów. Szybko reagowała za to inna nieznana szerzej blondynka, Isabel Ernst, sekretarka i kochanka podpułkownika Dominga Mercante, zaufanego Peróna, która utrzymywała znakomite stosunki z przywódcami związkowymi.

Piętnastego października zaczęły się mobilizować związki zawodowe. Tysiące strajkujących robotników spoza miasta rozpoczęło pokojową okupację położonego centralnie placu, Plaza de Mayo, żądając uwolnienia Peróna. Owa tłumna manifestacja, spontaniczna i odbywająca się bez incydentów, zmieniła bieg historii Argentyny. Trzy dni później przeciwnicy pułkownika, obawiając się wystąpienia ludowego skierowanego przeciw wojsku, uwolnili Peróna. Perón, wyglądający na zmęczonego i chorego, pojawił się późnym wieczorem na balkonie Casa Rosada obok prezydenta Farrella, tego, który wydał rozkaz jego aresztowania. Przemówiwszy do tłumu, który witał go jak bohatera, obiecał stanąć do mających się odbyć w lutym 1946 roku wyborów. Owego historycznego wieczoru 17 października Juan Domingo Perón zademonstrował, jaką ma władzę nad ludem. Teraz myślał jedynie o obietnicy złożonej Evicie: ożenić się z nią jak najszybciej.

Cztery dni po pojawieniu się na balkonie Casa Rosada ożenił się ze swoją kochanką w Junín. „Myśleliśmy jednym umysłem, czuliśmy jednym sercem – wspominał pułkownik. – Naturalną zatem rzeczą było to, że w tej wspólności idei i uczuć zrodziła się miłość, która doprowadziła nas do małżeństwa. Pobraliśmy się

jesienią 1945 roku w kościele Świętego Franciszka w La Plata”. Przygotowania do zawarcia związku łączyły się z pewnymi trudnościami. Eva była nieślubnym dzieckiem – o czym Perón nie wiedział – i musiała sprawić, by jej oryginalna metryka urodzenia została zniszczona, a zastąpiła ją nowa, fałszywa. Zdołała zmienić swoje prawdziwe nazwisko – Eva Ibarguren – na María Eva Duarte, a datę urodzenia przesunąć o trzy lata, na 1922 rok. Tym sposobem Evita, licząca w rzeczywistości dwadzieścia sześć lat, jednym pociągnięciem pióra wymazywała swoją „mroczną przeszłość” i mogła wziąć ślub z pułkownikiem Perónem.

Według wersji oficjalnej zawarli małżeństwo cywilne w Junín 22 października 1945 roku. Po „skromnej i uroczystej” ceremonii małżonkowie w towarzystwie świadków – przyjaciela Peróna, Dominga Mercante, oraz brata Evy, Juana Duarte – udali się na wesele do pensjonatu Juany Ibarguren. Uroczystość religijna odbyła się 10 grudnia w parafii Świętego Franciszka w mieście La Plata, w prowincji Buenos Aires. W skromnym ślubie w gronie rodzinnym uczestniczyła matka Evity oraz rodzeństwo Blanca i Juan, jak również grono przyjaciół Peróna. Obrzędy religijne sprawował jezuita ojciec Hernán Benítez, dawny znajomy pułkownika i przyszły spowiednik Evy. Zachowało się z tego dnia tylko jedno zdjęcie: Perón w wojskowym mundurze mimo dymisji z wojska, świeżo poślubiona María Eva Duarte de Perón w strojnej wzorzystej sukni i wielkim kapeluszu ozdobionym kwiatami.

Nie było czasu na romantyczny miodowy miesiąc. Małżonkowie udali się na wypoczynek do posiadłości przyjaciela w San Nicolás, dwieście kilometrów od Buenos Aires, a potem do domu Peróna w San Vicente. Eva ze szczególnym wzruszeniem wspominała tamte dni spokojnej bliskości we dwoje, jakiej prędko nie mieli zaznać znowu: „Byliśmy sami, nie przychodzili żadni goście. Wstawaliśmy wcześniej, jedliśmy śniadanie i wychodziliśmy pospacerować po ogrodzie. W ogóle się nie malowałam. Obmywałam twarz i chodziłam z rozpuszczonymi włosami, w jego koszuli i spodniach. Czułam się tak najlepiej, a jemu też się podobał mój strój. Czasem szłam do kuchni przygotować sałatkę do naszego ulubionego befsztyka. I parzyłam *mate*, popołudniami, kiedy gawędziliśmy czy raczej on mówił. Ponieważ on myślał na głos, ja zaś słuchałam i uczyłam się”.

Metryka nie była jedynym świadectwem przeszłości, jakie Eva kazała zniszczyć. Kiedy jej związek z Perónem stał się sprawą publiczną, kazała zatrzeć wszelkie ślady swojej kariery aktorskiej. Zażądała od czasopism wszystkich zdjęć reklamowych. Poprosiła fotografów o zwrot negatywów zdjęć siebie jako blondynki, początkującej aktorki, która usiłuje zrobić karierę w stolicy. Jej ostatni film, *La pródiga*, został wyświetlony na prywatnym pokazie dla niej i dla Peróna. Po projekcji otrzymała taśmę na pamiątkę. Evita porzuciła ambicje artystyczne, by całym sercem poświęcić się sprawie Peróna. Towarzyszyła mężowi

w wyczerpującej podróży w najuboższe i zapomniane rejony interioru w związku z jego kampanią wyborczą. Zachowała jedynie stanowisko w Radiu Belgrano, gdzie przyjął ją wylewnie dyrektor Jaime Yankelevich, ten sam, który ją odprawił kilka miesięcy wcześniej. Dyrektor przyznał jej dwa razy wyższe uposażenie i wypłacił odszkodowanie za dni, w których nie pracowała. Eva wykorzystywała rozgłośnie, by promować kandydaturę męża na stanowisko prezydenta, a wkrótce potem kupiła stację.

Po ślubie małżonkowie przenieśli się do mieszkania Evity przy ulicy Teodoro García. „Pracowaliśmy dzień i noc, często nie widując się tygodniami. W sensie uczuciowym każde spotkanie było nowością, niespodzianką. Czwartego czerwca 1946 roku zostałem wybrany na prezydenta. Tylko pierwsze sześć miesięcy przeżyliśmy spokojnie, w domu będącym naprawdę naszym domem. Mieszkaliśmy przy Teodoro García, w mieszkaniu Evity. Małym, zacisznym, idealnie stworzonym do tego, by w nim spędzić miodowy miesiąc, który musieliśmy odłożyć na później”, pisał pułkownik we wspomnieniach. Małżonka kandydata na prezydenta przyjmowała gości w szlafroku, a czasem w koszuli nocnej i brała aktywny udział w jego zajęciach, wypowiadając swoje zdanie mimo pogardliwych spojrzeń współpracowników męża.

Dwudziestego szóstego grudnia 1945 roku pułkownik wsiadł do pociągu nazwanego przezeń El Descamisado, by objeżdżać kraj w ramach kampanii wyborczej. Skierował się na północ, w najbiedniejsze, najbardziej zacofane rejony, a w miejscowości Santiago del Estero dołączyła do niego Evita. Jeszcze wydawała się przy nim onieśmielona i milcząca, lecz rozdawała pocałunki i uściski ludziom podchodzącym, by poznać nowego „wodza ubogich”. Po raz pierwszy w historii Argentyny żona kandydata towarzyszyła mężowi w czasie publicznych wystąpień w ramach kampanii wyborczej. Stała się sławna nie tylko z tego powodu, lecz także ze względu na popularność, jaką się cieszyła w prowincjach interioru jako aktorka radiowa.

Aura wielkości

Czwartego czerwca 1946 roku generał pułkownik Juan Domingo Perón został prezydentem na okres sześciu lat. Zaledwie dwudziestosześcioletnia Evita stała się tym samym pierwszą damą kraju. Chcąc godnie pełnić swoją funkcję, czym prędzej wybrała suknię odpowiednią na uroczystość objęcia stanowiska przez małżonka. Czwartego czerwca w okazałym Białym Salonie w Casa Rosada señora María Eva Duarte de Perón miała na sobie śmiałą suknię z szarego jedwabiu, z odkrytym ramieniem, co przypawiło o rumieniec jej sąsiada przy stole, kardynała Copello. Od pierwszej chwili klasy wyższe zarzucały jej, że ubiera się

w sposób wulgarny, odpowiedni raczej dla gwiazdy filmowej, a nie z elegancją, jakiej można oczekiwać od małżonki prezydenta. Prości ludzie nie byli jednak tego samego zdania. Podobał im się żywiłowy styl Evity, jej krzykliwa biżuteria i wspaniałe suknie podkreślające szczupłą figurę. Chodziła zwykle na wysokich obcasach, nosiła ogromne kapelusze i gustowała w wyszukanych, ciężkich fryzurach, naśladowanych przez jej wielbicielki. Młode dziewczęta farbowały sobie włosy na blond i prosiły fryzjerów o „kok à la Evita”. Jej zdjęcie można było zobaczyć w każdym zakątku kraju. Od najędzniejszej chaty po balkon Casa Rosada. Zdobyła tak wielką popularność, że dziewczynki przychodzące na świat w północnych prowincjach kraju nosiły najczęściej imiona Eva bądź Maria Eva.

Evita przełamała wiele schematów w kraju, w którym zaangażowanie kobiety w politykę uważano za przejaw złego gustu i skazę na „kobiecości”. Od początku wiedziała, że jej rola nie ograniczy się tylko do bycia małżonką prezydenta i że będzie pracować aktywnie razem z nim. „Mogłam być żoną prezydenta jak inne. Proste i miłe to zadanie: organizować przyjęcia, przyjmować delegacje, podporządkowywać się protokołowi. (...) Ci, którzy mnie znają od czasów szkolnych, wiedzą, że nigdy nie mogłabym odgrywać tak niepoważnej roli. Poza tym mój mąż był nie tylko najwyższym dygnitarzem Argentyny, ale przywódcą narodu. Ja pełniłam podwójną funkcję, tak jak on. Byłam z jednej strony Evą Perón, żoną prezydenta, wydającą wspaniałe przyjęcia i prowadzącą wieczorne gale, z drugiej – Evitą, której lud powierzył wszystkie swoje nadzieje...”. Od pierwszych wystąpień w roli pierwszej damy zachęcała lud, aby nazywał ją Evitą, w kraju, w którym zdrobnień używają tylko najbliżsi przyjaciele.

Wiele się zmieniło w życiu Evy Perón w roku 1946. Ona, mieszkająca niegdyś w ceglanej chacie krytej dachówkami, zajmowała teraz najbardziej luksusową rezydencję w kraju, pałac Unzué. Ta okazała dziewiętnastowieczna rezydencja, położona w eleganckiej dzielnicy Palermo, liczyła dwieście osiemdziesiąt trzy pomieszczenia. Zwracały uwagę marmurowe schody i poręcze z kutego żelaza. Otoczona wypielęgowanym parkiem, stanowiła oazę ciszy i harmonii pośrodku hałaśliwego i chaotycznego miasta. Eva i Juan Perón spędzali tam więcej czasu niż w wiejskiej rezydencji prezydenckiej Olivos, za miastem. Głównym powodem było to, że oboje pracowali niestrudzenie. W odróżnieniu od innych prezydentów Perón wstawał wcześniej i pierwszy przychodził do gabinetu. Evita bardzo chętnie przebywała natomiast w posiadłości w San Vicente. W tym wiejskim domu w stylu kolonialnym, z dachem z czerwonych dachówek i fasadą z kamienia, czuła się szczęśliwa, jeżdżąc konno, spacerując z psami i przygotowując smaczne *empanadas* dla odwiedzających ich przyjaciół.

Dzień Señory – jak nazywała ją służba – zaczynał się o szóstej rano. Pół godziny po przebudzeniu jadła z mężem śniadanie, po czym załatwiała pilne sprawy, podczas gdy fryzjer Julio zaplatał jej włosy w kok, Sara zaś,

manikiurzystka, dobierała lakier do paznokci: intensywną czerwień Heleny Rubinstein czy perłową biel – zależnie od kalendarza spotkań na dany dzień. Później Evita udawała się do biura, eskortowana przez policjantów na motorach. Po czterech miesiącach od objęcia władzy przez Peróna z jego inicjatywy podjęła pracę w nowo utworzonym Ministerstwie Pracy. W niewielkim gabinecie przygotowanym dla niej na trzecim piętrze gmachu ministerstwa trzy razy w tygodniu przyjmowała wszystkich zwracających się do niej o pomoc. Sekretarka Isabel Ernst, stojąc za nią, notowała w zeszycie i doradzała jej w kwestiach przedstawianych przez przywódców związkowych. Około południa kierowca zawoził ją do Casa Rosada, skąd zabierała Peróna, by zjeść z nim lekki obiad w oficjalnej rezydencji. Gdy generał oddalał się na poobiednią drzemkę, Eva wracała do swoich zajęć. Widzieli się znowu dopiero o ósmej czy dziewiątej wieczorem, jedząc razem kolację.

Evita kładła się spać zawsze późno, nigdy nie przed trzecią nad ranem, jak w czasach kiedy pracowała jako aktorka. Na sercu leżał jej jeden temat, stale podejmowany w rozmowach z Perónem: zatwierdzenie projektu ustawy gwarantującej prawa kobiet. Już w swoim pierwszym oficjalnym wystąpieniu odniosła się do tego tematu w słowach: „Żona prezydenta Argentyny, która do was przemawia, nie jest nikim więcej jak tylko jeszcze jedną Argentyńką, waszą towarzyszką Evitą, która walczy w imieniu milionów kobiet niesłusznie odsuniętych od tego, co stanowi największą wartość: od prawa wyboru, prawa czuwania – z kręgu świętego ogniska domowego – nad cudownym rozwojem własnego kraju”. Była gotowa walczyć o emancypację kobiety, choćby w tym celu miała wejść na korytarze Kongresu, by przekonywać ustawodawców.

Popołudniami pierwsza dama wizytowała fabryki, szkoły i szpitale. W każdym miejscu, w którym zapowiedziano jej przybycie, ludzie zbierali się tłumnie, pragnąc do niej podejść i jej dotknąć. Odwiedzając dzielnice nędzy, przyjeżdżała swoim czarnym packardem, we wspaniałych barwnych sukniach od Diora albo Jacques’a Fatha, obsypana klejnotami. Zawsze starannie umalowana, z jaskrawoczerwonymi ustami i perfekcyjnymi paznokciami – spowiednik zabronił jej używania różu do policzków – budziła podziw kobiet, wpatrzonych w nią, jakby była objawieniem. Najuboższym piękna i olśniewająca Evita przypominała figurki Matki Bożej, przed którymi zapalali świeczki, modląc się z czcią. Po jej śmierci ci sami ludzie budowali w swoich chatkach ołtarzyki z jej zdjęciem, oddając się jej w opiekę niczym świętej, świętej Ewicie.

Kiedy krytykowano ją, że na spotkania z robotnikami czy ubogimi ubiera się zbyt strojnie, odpowiadała: „Ludzie chcą mnie widzieć piękną. Ubodzy nie chcą, by chroniła ich osoba stara i zaniedbana. Jestem dla nich kimś z marzeń i nie chcę ich zawieść”. Ludzie ze wzruszeniem – o czym nie można zapominać – słuchali populistycznych przemów pierwszej damy: „Ogarnę całą ojczyznę i oddam się jej

cała, gdyż są jeszcze w tym kraju ludzie ubodzy i nieszczęśliwi, pozbawieni nadziei i chorzy. Moja dusza to wie. Odczuło to moje ciało. Oddaję wszystkie swoje siły, by moje ciało wyciągnęło się jak most, dla szczęścia i wspólnego dobra”. Nigdy wcześniej żaden polityk – a tym bardziej kobieta – nie przemawiał do nich w ten sposób.

Z początku ludzie przychodzili do gabinetu Evity, żeby prosić ją o indywidualną pomoc lub wsparcie ekonomiczne: nowe mieszkanie, artykuły pierwszej potrzeby, miejsce w szpitalu, przyzwoitą szkołę... Dla niej – i podobnie było z Perónem stojącym na czele sekretariatu pracy – najważniejsza stała się jednak z czasem sprawa robotnicza. Evita nigdy nie pełniła żadnej oficjalnej funkcji, jednak swoje prawdziwe powołanie odnalazła w pracy z ubogimi i najbardziej pokrzywdzonymi przez los. Jako „kobieta stojąca za tronem”, jak zaczęły ją wkrótce nazywać media, rozwinęła gorączkową działalność – pracowała przeciętnie piętnaście godzin dziennie – przyjmując każdego potrzebującego. Zaczynała budować fundamenty swojej popularności, zawsze służąc Perónowi. Ambasador Hiszpanii w Argentynie, José María de Areilza, w ten sposób charakteryzował styl pracy pierwszej damy: „Były tam grupki robotników, przywódcy związkowi, chłopki z dziećmi, zagraniczni dziennikarze, rodzina gauchów w ponchach, uciekinierzy zza żelaznej kurtyny, intelektualiści z krajów bałtyckich, kapłani i zakonnice, spocone kobiety w średnim wieku, młodzi urzędnicy, piłkarze, aktorzy i cyrkowcy, a pośród tego pozornego chaosu Evita, czujna na każdą potrzebę, od zwykłej prośby o podwyżkę do pozwania całego zakładu przemysłowego, a po drodze mieszkanie dla jakiejś rodziny, meble, pozwolenie na kręcenie filmu...”.

Eva Perón niewiele wiedziała o polityce, była niemal analfabatką, ale walkę klas miała we krwi i czuła ją całą sobą. Szybko stała się rzecznikiem najuboższych i rozpoczęła autentyczną krucjatę w imię sprawiedliwości społecznej. Odpowiadała na wszystkie otrzymywane codziennie listy i osobiście przyjmowała ludzi, którzy czekali w długich kolejkach, żeby opowiedzieć jej o swoich problemach, nieraz na ucho. Zawsze miała pod ręką banknoty o nominale pięćdziesięciu pesos, której to sumy wielu odwiedzających ją potrzebowało, by móc wrócić do domu na peryferiach. Gdy kończyły jej się drobne banknoty, ofiarowywała którąś ze swoich brylantowych broszek albo robiła zbiórkę wśród ministrów i sekretarzy przebywających w budynku ministerstwa. W 1947 roku rozpoczęła akcję nazwaną przez nią samą „krucjatą pomocy społecznej Evy Duarte de Perón”. Celem działań było bezpośrednio wsparcie najbardziej potrzebujących. Rok później spełniła swoje wielkie marzenie, zakładając własną fundację charytatywną. Angażowała w nią całą swoją energię, nawet gdy na jej twarzy zaczynały już być widoczne oznaki choroby, która miała ją zabić.

W czerwcu 1946 roku tygodnik „Newsweek” w obszernym reportażu na

temat pierwszej damy Argentyny nazwał ją „panią prezydent”, twierdząc, że staje się ona „najważniejszą kobietą za kulisami w polityce Ameryki Łacińskiej”. Czasopismo niewiele się myliło, ponieważ w pierwszym roku prezydentury męża Evita miała już znaczną władzę. Mimo swoich zaledwie dwudziestu sześciu lat i słabej orientacji w świecie polityki była właścicielką czterech stacji radiowych i dwóch najpopularniejszych w Buenos Aires gazet – „Democracia” oraz „El Mundo”. Odznaczała się nadzwyczajnym sprytem i zręcznością w posługiwaniu się mediami. Wiedziała dobrze, jak wykorzystywać radio i gazety w sposób nieznany do tej pory w jakimkolwiek kraju Ameryki Łacińskiej. Lata pracy przy nadawanych na falach radiowych tasiemcowych serialach pozwoliły jej zdobyć ostrogi i nauczyły ją wygłaszać zaangażowane przemówienia polityczne w nieznanym dotąd tonie.

Nie było dnia, żeby dziennik „Democracia” nie opublikował przynajmniej pięciu zdjęć „pani prezydent”, jak ją określano w nagłówkach. Wszystkie oficjalne zdjęcia Evity robił osobisty fotograf, który nie odstępował jej na krok od wczesnego ranka do chwili, kiedy wyczerpana wracała wieczorem do domu. Nikt tak jak ona nie potrafił wydobyć maksymalnej atrakcyjności z każdego wydarzenia, nawet aktu państwowego poddanego wymogom biurokracji, bezdusznego i nieciekawego. Mimo że jej krytycy wciąż oskarżali ją o manipulację i pozbawioną skrupułów demagogię, dbała o najmniejszy szczegół swego wizerunku w każdym wystąpieniu publicznym. Wobec ludu pracującego ukazywała siebie jako kobietę młodą i o promiennej urodzie, ubraną według ostatniej mody paryskiej, otuloną w futra i obwieszoną brylantami, obiecując ludziom: „Wy też będziecie kiedyś nosić takie ubrania”.

W pierwszych miesiącach sprawowania urzędu przez Peróna wydawała się jeszcze onieśmielona i trzymała się z tyłu, ale w miarę jak rosła jej popularność wśród robotników, nabierała coraz większej pewności siebie. Z balkonu Casa Rosada – z tym samym dramatyzmem, jaki nadawała prezentowanym przez siebie w radiu sławnym postaciom kobiecym – przemawiała do tłumów, które poddawały się jej urokowi, gotowe umrzeć za nią, gdyby zaszła taka potrzeba: „Mówię do was w imieniu ubogich, pozbawionych dachu nad głową, rzucając wyzwanie dawnym przeklętym dniom”. Przeszła niezwykle przeobrażenie – teraz jej głos stał się silny i donośny, a filozofia polityczna prosta: miłość wobec ubogich, nienawiść wobec bogatych. Już w pierwszym roku pełnienia przez nią funkcji pierwszej damy miliony Argentyńczyków uwierzyły jej słowom, uwierzyły szczerze, że ona da im to, czego wcześniej nie mieli: szacunek, godność i miejsce do życia.

W miarę jak rosła władza Evity, jej przeciwnicy uważali bardzo, by nie wydawać publicznych sądów na jej temat. W czasach kiedy ludzie szli do więzienia za krytykę Peróna i nawet telefony były na podsłuchu, zwykły żart na temat pierwszej damy mógł kogoś wiele kosztować. Kiedyś kadeci ze szkoły marynarki

zostali relegowani, ponieważ zakaszleli w momencie pojawienia się Evity w wiadomościach. Wielu uwielbiało ją i wielu się jej obawiało. Miała sławę kobiety skorej do gniewu i pamiętliwej, i nie wybaczała tym, którzy ośmielali się ją krytykować, a już zwłaszcza tym, którzy nie okazywali tej samej co ona czci dla prezydenta. Jej wrogowie oskarżali ją o korupcję w związku z obsadzaniem członków własnej rodziny na kluczowych stanowiskach rządowych. Największym zaskoczeniem było mianowanie jej brata, Juana Duarte, osobistym sekretarzem prezydenta. Ów młody człowiek, kawaler o opinii bawidamka, który przez poprzednie dziesięć lat zajmował się sprzedawaniem mydeł, pełnił teraz ważną funkcję. Każdy, kto chciał się spotkać z generałem Perónem, musiał się z nim skontaktować, za cichym przyzwoleniem Evity.

Evita, tak miła i cierpliwa dla osób proszących ją o pomoc, okazywała się nieustępliwa i despotyczna względem tych, którzy nie dzielili jej poglądów albo których uważała za wrogów. Bardzo źle reagowała na niechęć argentyńskich klas wyższych – „oligarchów”, jak mówiła – które nigdy nie okazywały jej szacunku, nawet jako pierwszej damie. W czasie pierwszego roku czekała z niecierpliwością na propozycję przewodniczenia Towarzystwu Dobroczynności, elitarniej organizacji pozostającej w rękach dam z wyższych sfer i działającej pod patronatem Kościoła katolickiego. Mijały miesiące, a propozycja nie nadchodziła. Gdy Evita chciała się dowiedzieć, dlaczego odmawiano jej funkcji pełnionej zwyk-le przez pierwszą damę, usłyszała, że „niestety, jest bardzo młoda, a zasady funkcjonowania towarzystwa wymagają, by na jego czele stała kobieta bardziej dojrzała i zaawansowana wiekiem”. Evita zareagowała dyplomatycznie, stwierdzając, że jeśli ona sama nie może objąć tej funkcji, odpowiednią osobą będzie jej matka, doña Juana. Sama myśl o tym, że prosta niepiśmienna chłopka, matka pięciorga nieślubnych dzieci mogłaby stanąć na czele towarzystwa, musiała wywołać dreszcz u zarozumiałych dam z wyższych sfer. Eva, nieznosząca sprzeciwu, doczekała sposobnej chwili, by odplacić im pięknym za nadobne. Dwa lata później rząd peronistowski obciął roczne dotacje dla osiemdziesięcioletnich dam z Towarzystwa Dobroczynności, a Evita powołała do życia własną Organizację Dobrobytu Społecznego. Kolejny raz postawiła na swoim.

Stając się nową mieszkanką pałacu Unzué, otoczyła się swoją ekipą. Zaliczał się do niej Atilio – jej osobisty sekretarz, Julio – fryzjer, Irma – wierna gospodyni oraz Sara – manikiurzystka. Jednakże potrzebowała także kogoś zaufanego, kto pomógłby jej się oszlifować i poprawić wizerunek publiczny. Jako oficjalna kochanka Peróna nie bardzo przejmowała się swoim wyglądem i prezentowała siebie taką, jaka była: młoda gwiazda radia, chętnie pokazująca się publicznie. Nosila wtedy długie, rozpuszczone włosy, ufarbowane na platynowy blond, w stylu gwiazd Hollywoodu lat trzydziestych. Uwielbiała błyskotki, krzykliwą biżuterię, kapelusze ozdobione kwiatami albo piórami, a czasem wyszukane fryzury à la

madame Pompadour. Teraz pragnęła zmienić styl i nabrać większej elegancji, nie miała jednak ochoty rezygnować z przepychu. Obojętna na krytykę wrogów, którzy uważali jej sposób ubierania się za „ostentacyjny i epatujący niemoralnym zbytkiem” w obliczu nędzy ludu argentyńskiego, przy dobieraniu sobie garderoby nie zwracała uwagi na koszty.

W takich oto okolicznościach w życie Evity wkroczyła Lilian de Guardo, żona bliskiego współpracownika Peróna, która miała stać się jej najlepszą przyjaciółką. W swoich pamiętnikach, zatytułowanych *Y ahora hablo yo* [Teraz ja opowiem], Lilian wspominała dzień, w którym przybyła do posiadłości San Vicente zaproszona wraz mężem na obiad. „Kiedy pierwszy raz ujrzałam Evitę we własnej osobie, wyglądała zupełnie jak nie ona: bez makijażu, z jasną twarzą – miała wspaniałą cerę w odcieniu kości słoniowej – była ubrana w piżamę generała, z podwiniętymi nogawkami i rękawami, włosy zaplotła w dwa warkocze. Zupełnie naturalna. Przepiękna”.

Eva od pierwszej chwili uznała Lilian za kobietę o nienagannych manierach, wykształconą i dystygowaną. Jako matka czworga dzieci Lilian prowadziła tradycyjne życie mężatki z wyższych klas. Kilka dni później dowiedziała się zaskoczona, że Evita kazała jej się pilnie stawić w swoim gabinecie. Prezydentowa nie ujęła tego wprost, ale dała Lilian do zrozumienia, że pragnie ją mieć przy sobie jako osobistego doradcę i damę do towarzystwa. Liczy, że Lilian będzie zawsze blisko, aby jej doradzać w każdej chwili w najrozmaitszych sprawach, takich jak reguły protokołu albo dobór odpowiedniego stroju na różne okazje czy najlepiej się prezentującej biżuterii. Lilian nie mogła odmówić, choć wiedziała, że Evita będzie ją absorbować przez cały czas. „Począwszy od tamtego dnia, Evita budziła mnie co dzień o szóstej, a o siódmej wysyłała po mnie samochód”. Obok spowiednika, ojca Hernána Beníteza, Lilian była osobą, która znała Evitę najlepiej i przez trzy lata pozostawała blisko niej.

Evita, w odróżnieniu od Jackie Kennedy, nie stworzyła własnego stylu, gdyż w zapale rywalizacji z klasami wyższymi kupowała po prostu wszystko, co najlepsze i najdroższe. Dwa tygodnie po objęciu przez męża stanowiska odwiedziła w towarzystwie nieodłącznej Lilian najlepsze domy mody i jubilerów Buenos Aires. Miała słabość do futrzanych płaszczy i etoli, do drogocennych klejnotów, kapeluszy – obstalowywanych na miarę, podobnie jak buty – i drogich perfum, które mieszała ze sobą, osiągając wreszcie upragniony odcień zapachowy. W połowie lat czterdziestych haute couture w Buenos Aires kojarzono z takimi nazwiskami, jak Henriette, Paula Naletoff, Emma de Saint Felix, a także stylistą Luis D’Agostino, który szył Evicie klasyczne kostiumy. Mimo że Lilian otworzyła przed nią świat eleganckiej mody, Evita nie była jeszcze znana w tych szacownych kręgach i spotkała ją niejedna przykreść. „Pewnego dnia zjawiła się w domu mody Pauli Naletoff, gdzie właścicielka, w chustce na głowie, z miotełką do odkurzania

w ręku, nie chciała jej obsłużyć. Na odchodnym jedna z kobiet towarzyszących Evicie powiedziała: «Czy wie pani, kogo pani odprawiła? Żonę prezydenta elekta». Niezwłocznie zwrócono się do Evity z przeprosinami. Nie została również rozpoznana, kiedy pierwszy raz przyszła do domu mody Henriette, pomyliła piętra i trafiła do pracowni”. Wkrótce największe domy mody ubierające pierwszą damę wyznaczały do jej obsługiwaną stałą ekspedientkę. Evicie szczególnie podobały się suknie wieczorowe z głębokimi dekolantami. Czuła się w nich podziwiana i mogła doskonale odgrywać rolę wielkiej damy, ona, która w teatrze bywała tylko służącą.

Dzięki Lilian Eva zaczęła się ubierać bardziej elegancko i spełniała swoje kosztowne kaprysy. Zamawiała stroje wyłącznie u najlepszych projektantów epoki, jak Christian Dior i Balenciaga. Biżuterię dostarczała jej firma Van Cleef & Arpels; płacił za nią magnat Alberto Doderó, którego żona była jedną z dam do towarzystwa Evy. Podczas wizyty w Paryżu, w ramach słynnej i kontrowersyjnej podróży po Europie, podała swoje wymiary firmom Dior, Rochas i Jacques Fath, aby mogły wykonać manekin, który od tej pory służył do szycia dla niej ubrań na miarę. Od tego momentu wspaniałe suknie, w których Evita występowała na przyjęciach w pałacu Unzué albo na galach w Teatro Colón – po czym jej zdjęcie ukazywało się nazajutrz w niemal wszystkich gazetach w kraju – przybywały bezpośrednio z Paryża w ładowniach statków albo w specjalnych pomieszczeniach zaprojektowanych w tyle samolotów Aerolíneas Argentinas, gdzie przewożono je w pozycji pionowej, żeby się nie pogniotyły.

Kiedyś samolot wiozący wspaniałą suknię wieczorową Jacques’a Fatha, jedwabną, ozdobioną strusimi piórami, którą pierwsza dama miała włożyć na uroczystą galę w Teatro Colón, spóźnił się. Owego pamiętnego 25 maja 1948 roku Evita, niczym się nie przejmując, zjawiała się w teatrze z dwugodzinnym opóźnieniem, a publiczność i artyści czekali na nią. Pierwsza dama wydawała na garderobę majątek. Prawdopodobnie jedną z najdroższych kreacji – ocenianą na ponad pół miliona dolarów – była suknia zamówiona u Diora, z dołem ozdobionym dziesiątkami jednokaratowych brylantów. Nie na darmo sam projektant stwierdził kiedyś: „Jedyną królową, jaką ubierałem, była Eva Perón”. W chwili śmierci Eva miała w szafach ponad sto futer, czterysta sukien i osiemset par butów – nie licząc bajkowej kolekcji klejnotów.

Santa Evita

W 1947 roku Juan Domingo Perón został zaproszony przez generała Francisca Franco do odwiedzenia Hiszpanii. Prezydent wymówił się za pośrednictwem ówczesnego ambasadora Hiszpanii, José Maríi Areilza, tłumacząc, że nie może opuścić kraju, ale że zamiast niego pojedzie żona. W pierwszej chwili

Evita poczuła się uszczęśliwiona perspektywą wizyty, która ostatecznie miała się przeobrazić w podróż europejską z przystankami w Madrycie, Rzymie, Paryżu i Szwajcarii. Dla dziewczyny z nizin, która w swoich czasach aktorskich nie mogła sobie pozwolić na wyprawę dalszą niż na plażę w Punta del Este, była to propozycja zgoła bajeczna. Po euforii przyszły obawy. Nigdy dotąd nie rozstała się z mężem i nigdy nie leciała samolotem. Mimo lęków przygotowała się do podróży sumiennie. Początkowo miały to być dwa tygodnie, na koniec podróż przeciągnęła się do ponad dwóch miesięcy. Evita zamierzała zanieść „orędzie pokoju” do Europy podnoszącej się z wojennej traumy i zniszczeń. Chciała poznać osobiście funkcjonujące tam systemy pomocy społecznej, aby po powrocie zainicjować wielką reformę w Argentynie.

Podróżowała z wielką pompą, otoczona maksymalnym komfortem. Poleciała samolotem DC-4 linii lotniczych Iberia, w którym urządzono dla niej salon i sypialnię. Towarzyszyła jej świta złożona z jedenastu osób, wśród których były jej pokojówki, osobisty fryzjer Julio Alcaraz (odpowiedzialny również za klejnoty przechowywane przez Evitę w kufrze), krawcowa, lekarz i kilka sekretarek. Leciła z nią także nieodłączna Lilian de Guardo, brat Juancito, dziennikarz z gazety „Democracia” (należącej do Evy) oraz Muñoz Azpiri, tłumacz i redaktor jej przemówień. Argentyński multimilioner Alberto Doderó zaofiarował się sfinansować podróż, toteż Evita również jego zaprosiła do kompanii. Spowiednik Evity ojciec Hernán Benítez udał się bezpośrednio do Rzymu, by przygotować wizytę u papieża Piusa XII w Watykanie.

W wieczór przed odlotem Evita napisała do męża list – jeden z niewielu, jakie się zachowały. Pisała w nim między innymi: „Kocham Cię tak, że to, co względem Ciebie czuję, to swego rodzaju ubóstwienie. Zapewniam Cię, że wiele w życiu przeszłam, starając się być kimś, i wiele wycierpiałam. Wtedy jednak zjawiliś się Ty i dałeś mi takie szczęście, że wydawało mi się to snem. A ponieważ nie miałam nic więcej do ofiarowania nad swoje serce i duszę, oddałam Ci je bez reszty. I w ciągu tych trzech lat szczęścia, co dzień większego, nigdy nie przestałam Cię wielbić, nawet na godzinę...”. Gdy 6 czerwca Evita była żegnana na lotnisku ze wszystkimi honorami przez rząd w pełnym składzie, nikt nie wyobrażał sobie, jak bardzo ta podróż odmieni pierwszą damę. Już nigdy nie miała być taka sama.

Samolot, którym podróżowała, był eskortowany na lotnisko w Madrycie przez czterdzieści jeden hiszpańskich samolotów bojowych. Na czerwonym dywanie oczekiwali jej generał Franco, jego żona Carmen Polo i cały gabinet. Zbliżała się dziewiąta wieczorem i w okolicach lotniska Barajas zebrały się tłumy mieszkańców, by ujrzeć, choćby przez chwilę, kobietę, której sława już przekształciła ją w legendę. Evita w towarzystwie Franco wjechała triumfalnie do Madrytu ulicą Alcalá, wzdłuż której setki gapiów skandowało jej imię. Orszak

minął Bramę Alcalá, oświetloną podobnie jak cała trasa, mimo panujących wówczas w stolicy ograniczeń zużycia energii elektrycznej. Pierwszą noc Evita spędziła w pałacu El Pardo. Jako że nie chciała spać sama, bojąc się, że ktoś wejdzie do pokoju, poprosiła Lilian, by spała razem z nią.

Nazajutrz w sali tronowej pałacu królewskiego otrzymała Wielki Krzyż Izabeli Katolickiej. Po uroczystości generalissimus i jego żona wyszli wraz z nią na balkon, by pozdrowić tłumy zgromadzone na Plaza de Oriente. Evita powiedziała wówczas szeptem do generała: „Ilekróć będzie pan chciał przyciągnąć tłumy, wystarczy, że mnie pan wezwie”. Mimo potwornego upału prezydentowa miała na ramionach wspaniały płaszcz z gronostajów, którego ani na chwilę nie zdjęła. Przyjechała do Europy z wielkim bagażem, w którym wiozła sześćdziesiąt cztery różne stroje, futra i futrzane etole, kolekcję kapeluszy, butów i swoje najwartościowsze klejnoty. Mimo że termometry wskazywały ponad czterdzieści stopni w cieniu, Evita nie miała zamiaru rezygnować z najokazalszych strojów. Komentujący podróż korespondent „The New York Times” w jednym ze sprawozdań pisał: „Garderoba pani Perón pozostaje niewyczerpanym źródłem konwersacji. Podczas swoich licznych wystąpień nie pokazała się dwa razy w tym samym stroju, a często przebierała się nawet dwa i trzy razy w ciągu jednego dnia. (...) Ubiera się inteligentnie, chociaż przejawia skłonność do kreacji nieco przeladowanych, a kobiety hiszpańskie obserwują z dużym zainteresowaniem jej nieustanne zmiany garderoby”.

Dwa tygodnie i cztery dni spędzone w Hiszpanii – z krótkimi wizytami w La Coruña, Saragossie, Sewilli, Grenadzie i Barcelonie – wypełnione były obficie. Evita zwiedziła muzeum Prado, obejrzała korridę i klasztor El Escorial, na którego widok wykrzyknęła: „Co za strata, tyle pokoi! Tutaj można by urządzić dobry sierociniec”. Mimo że bardzo jej odpowiadał sposób, w jaki ją fetowano, nie zapomniała, czego oczekują od niej biedni. Pewnego razu, zmęczona oglądaniem tyłu zabytków, poprosiła Carmen Polo, żeby jej pokazała szpitale publiczne i dzielnice robotnicze stolicy. Wobec nalegań gościa żona Franco nie miała wyboru, musiała uczynić zadość tej prośbie. Evita rozdzieliła uśmiechy i banknoty stupezetowe wśród robotników i biedoty zamieszkującej przedmieścia Madrytu, niosąc im przesłanie od drogich „ubogich z Argentyny”. Kiedy jeden z dziennikarzy spytał ją, czy bardzo ją poruszyły obejrzone w Hiszpanii wielkie dzieła sztuki, odpowiedziała z przekonaniem: „Nie. Zachwyciły mnie, ale mnie nie poruszyły. Jedyne, co mnie porusza, to lud”.

Dwudziestego szóstego czerwca Evita opuszczała Hiszpanię, przejechawszy pół kraju, i udawała się do Włoch. Przybyła zmęczona podróżą i ścisłym protokołem. Nocami prawie nie spała, godzinami rozmawiając przez telefon z Pe-rónem i opisując mu szczegółowo, z niemal dziewczęcym zachwytem, wszystkie otrzymane prezenty i obejrzone cuda. Punktem kulminacyjnym etapu

włoskiego było spotkanie z papieżem Piusem XII, który przyjął ją z całym ceremoniałem przewidzianym dla żon szefów państw. Ubrana w czarny jedwabny kostium z długim rękawem, zasłaniający ją szczelnie od stóp do głów, miała na sobie jedną jedyną ozdobę: błękitną posrebrzaną gwiazdę Izabeli Katolickiej, ofiarowaną jej przez Franco. Za działalność na rzecz ubogich w Argentynie miała nadzieję uzyskać od Ojca Świętego tytuł markizy pontyfikalnej – co stanowiłoby autentyczny policzek dla tak nią pogardzających dam z Towarzystwa Dobroczynności. Niestety, Jego Świątobliwość złożył jedynie na jej ręce wyrazy wdzięczności za pobożne dzieła i na zakończenie audiencji ofiarował różaniec – który pięć lat później Perón włożył w jej ręce po jej śmierci.

Jednym z najbardziej wyczekiwanych etapów podróży był dla Evity Paryż – stolica elegancji i dobrego smaku. Na Paryż zarezerwowała sobie najpiękniejsze stroje, by wystąpić w nich na kolacjach i przyjęciach organizowanych na jej cześć. Upał był nie do zniesienia, gdy wylądowała na lotnisku Orly, ubrana w nieskazitelnie biały kostium, w odpowiednich pantoflach w komplecie z torebką, w słomkowym kapeluszu o szerokim rondzie. W klapę miała wpiętą wielką rubinową szpilkę, a na serdecznym palcu lewej dłoni jak zwykle ślubny pierścień – olbrzymi brylant soliter (uważany za najwspanialszy na świecie po brylancie należącym do żony Agi Khana) oraz pierścioneł z szafirami, szmaragdami i rubinami. Musiała przeciskać się wśród chmary fotografów i dziennikarzy czekających na nią na placu Vendôme, w drzwiach hotelu Ritz, w którym się miała zatrzymać.

W ciągu kolejnych dni odbywała przejażdżki po mieście w samochodzie należącym niegdyś do generała de Gaulle'a, z którego korzystał także mąż stanu Winston Churchill podczas wizyt w tym mieście. Po przybyciu zjadła obiad z prezydentem Francji Auriolem w zamku Rambouillet, uroczystą kolację z ministrem spraw zagranicznych i zwiedziła Wersal. Dopilnowała, by jej wizyta zbiegła się w czasie z podpisaniem ważnego traktatu między Argentyną a Francją, w której to ceremonii uczestniczyła uśmiechnięta w Ministerstwie Spraw Zagranicznych przy Quai d'Orsay. Do długiej listy odznaczeń, jakie otrzymała w swym krótkim życiu, mogła dołączyć Legię Honorową, przyznaną jej przez francuskiego ministra spraw zagranicznych.

Innym ważnym wydarzeniem było przyjęcie w Círculo de América Latina, gdzie powitał ją cały korpus dyplomatyczny z Ameryki Łacińskiej akredytowany w stolicy Francji. Na tę okazję włożyła jedną z kreacji budzących najwięcej kontrowersji. Była ubrana w obcisłą, długą do ziemi pończacaną suknię bez ramiączek, przylegającą do ciała niczym skóra syreny, a z fryzury w stylu madame Pompadour opadał aż do trenu sukni welon przetykany złotą nitką. Wysokie obcasy jej sandałów – także pończacanych – były ozdobione drogimi kamieniami, budzącymi sensację wśród zgromadzonych. Jako dodatki prezentowała wspaniałe

klejnoty: kolie z kamieni szlachetnych w komplecie z długimi wiszącymi kolczykami oraz trzy złote bransoletki.

Przed wyjazdem z Paryża Eva, jako entuzjastka francuskiej haute couture, pragnęła udać się do miasta na zakupy. Żona ambasadora uznała to za nie najlepszy pomysł i poradziła jej, by wzięła raczej udział w prywatnym pokazie w hotelu, podczas którego najlepsi projektanci mogliby jej pokazać swoje kolekcje. Odradził jej to ojciec Benítez jako „niedopuszczalną płochość”. W rezultacie kazała odwołać prywatny pokaz w hotelu ku niezadowoleniu wielu osób. Nie udała się sama na zakupy do sklepów przy placu Vendôme i alei Montaigne – gdzie ma siedzibę dom mody Diora – ale przed wyjazdem z Paryża pozostawiła swoje wymiary największym stylistom, którzy mieli realizować jej zamówienia poprzez ambasadę argentyńską albo wysyłając kreacje bezpośrednio samolotem do Buenos Aires.

Podczas pobytu we Francji nieoczekiwane zdarzenie odebrało jej wizycie nieco splendoru. Potężna rodzina pochodzenia argentyńskiego, mieszkająca w Paryżu, wykorzystywała obecność Evity, by się na niej zemścić. Zaoferowała czasopis-mu „France Dimanche” stare zdjęcie Ewy Duarte reklamującej pewną markę mydła. Młoda modelka, owinięta ręcznikiem, pokazywała gołą nogę. Zdjęcie – prawdziwie skandalizujące jak na tamte czasy – zostało rozpowszechnione w całym kraju, wywołując burzliwe reakcje. Evita, zdenerwowana z powodu podobnej obrazy – nie do pomyślenia w jej kraju, gdzie cenzura wstrzymałaby publikację – postanowiła odpocząć przed dalszymi oficjalnymi punktami programu.

Na tym etapie podróży w kraju, w którym temperatura nie spadała poniżej trzydziestu pięciu stopni, czuła się wyczerpana i chora. Mimo że każdego wieczoru rozmawiała długo z Perónem i codziennie posyłała mu paczkę ze zdjęciami, jakie jej zrobił osobisty fotograf, jak również wycinkami z prasy, tęskniła za mężem. Dość miała „dialogu z fotografią” – we wszystkich pokojach, w których się zatrzymywała, umieszczone były portrety generała – i tego, że nie może brać udziału w oficjalnych rozmowach, nie znając ani angielskiego, ani francuskiego. Często czuła się samotna i nie na swoim miejscu. Wówczas właśnie przyjaciel, Alberto Doderó, zatroskany o jej zdrowie zaprosił ją na kilkudniowy odpoczynek na eleganckim Lazurowym Wybrzeżu.

Evita zatrzymała się w luksusowym Hotel de Paris, w Monte Carlo, ze wspaniałym widokiem na morze. W czasie krótkiego pobytu poznała Aristotelisa Onasisa i jego żonę Tinę, którzy spędzali wakacje na swoim jachcie Christina. Wydaje się, że na armatorze musiała zrobić duże wrażenie pierwsza dama Argentyny, tak że poprosił przyjaciela Doderó, by zorganizował mu spotkanie z nią sam na sam. Jak twierdzą niektórzy biografowie, Evita, namawiana przez Doderó, zgodziła się wreszcie na spotkanie z Onasisem w rezydencji argentyńskiego milionera na Riwierze Włoskiej, w Santa Margherita Ligure. Armator przybył na

spotkanie z bukietem orchidei w ręce, a odszedł stamtąd uboższy o dziesięć tysięcy dolarów. Przed rozstaniem Onasis, który miał obywatelstwo argentyńskie, podpisał Evicie hojny czek na jej dzieła dobroczynne. Po latach grecki milioner, chętnie opowiadający o swoich podbojach i wymyślający romanse, relacjonował, że po wspólnej nocy Evita przyrządziła mu tortillę – „najdroższą, jaką w życiu jadł”.

W tamtych dniach brana była pod uwagę możliwość zatrzymania się pierwszej damy Argentyny w Londynie, a nawet audiencji u Jej Wysokości królowej brytyjskiej. Jednak Evicie nie dane było poznać władczyni osobiście i zatrzymać się w pałacu Buckingham. Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie uznało rangi jej wizyty za państwową; poza tym rodzina królewska przebywała na wakacjach w Szkocji. W obliczu tego – jej zdaniem – afrontu postanowiła nie lecieć do Londynu, tłumacząc się stanem zdrowia. Musiała się zadowolić wycieczką do Szwajcarii, gdzie również nie została najlepiej przyjęta. W Bernie obrzucono ją pomidorami, a w Lucernie kamień rozbił szybę samochodu, którym jechała obok prezydenta kraju. Skróciła wizytę w Szwajcarii, a następnie poleciała do Dakaru w Senegal, by tam wsiąść na argentyński statek towarowy płynący do Rio de Janeiro, gdzie – kompletnie wyczerpana – wzięła udział w międzyamerykańskiej konferencji na temat pokoju i bezpieczeństwa na kontynencie.

Dwudziestego trzeciego sierpnia 1947 roku wróciła do kraju w glorii bohaterki. Tysiące jej zwolenników, przybyłych z najodleglejszych stron, czekało na nią z utęsknieniem na nabrzeżu portu w Buenos Aires. Ze łzami w oczach pierwsza dama, ubrana w eleganckie furo z norek z szerokimi rękawami, całowała małżonka, generała Peróna. „Z głębokim wzruszeniem wracam do kraju, w którym zostawiłam trzy wielkie miłości: moją ziemię, moich ubogich i mojego najdroższego generała Peróna”, mówiła, stanąwszy na ziemi ojczystej. Nigdy żadna kobieta w Ameryce nie była witana tak tłumnie i entuzjastycznie. Dzwony w stolicy biły nieustannie, a powietrzna flota zrzucała z samolotów gałązki oliwne z przywiązanymi wstążeczkami w kolorze flag wszystkich państw.

Przez dwa i pół miesiąca jej europejskiej podróży media – kontrolowane przez reżim – relacjonowały szeroko „niezwyk-le udaną i niezapomnianą” podróż pierwszej damy, przemilczając krytykę, z jaką się stykała, i przykrości. Za granicą Eva Perón była teraz postacią bardzo znaną, pojawiła się nawet na okładce czasopisma „Time” z 14 lipca 1947 roku. Nie mogła nie odczuwać dumy. We wszystkich krajach została przyjęta z honorami należnymi głowie państwa, ścisła dłonie najważniejszych dygnitarzy, ucałowała pierścień papieża Piusa XII, otrzymała najwyższe odznaczenia. Wobec entuzjastycznego przyjęcia zgotowanego przez naród wydawała się bardziej radosna i pewna siebie niż kiedykolwiek. Teraz myślała tylko o tym, żeby zrealizować tytaniczne dzieło zaprzatające ją do dnia śmierci: założyć fundację, która nosiłaby jej imię i skupiała całą pomoc socjalną

w kraju.

Po powrocie z Europy, jakby świadoma tego, że pozostało jej niewiele życia, bardzo się zmieniła. Oddała się w sposób obsesyjny zajęciom w sekretariacie pracy i spraw socjalnych, poświęcając coraz więcej godzin na działalność społeczną. W skierowanych do tłumu przemówieniach była pełna ognia, a jej oddanie Perónowi graniczyło z fanatyzmem. „Poświęciłam całe moje istnienie Perónowi i jego ideałom – przyznawała czasem. – Bez fanatycznego zaangażowania człowiek nie dokona niczego”. Podczas wystąpień publicznych ubrana była skromniej i w sposób bardziej stonowany. Wciąż jeszcze pojawiała się w dzielnicach biedoty otulona w futra i obsypana klejnotami, ale było ich już mniej. Najuboższym powtarzała z mocą, że pewnego dnia wszystkie jej klejnoty staną się ich własnością. Do przeszłości należały wymyślne i udziwnione fryzury à la madame Pompadour, zamienione teraz na prosty kok upięty nad karkiem. W Argentynie, gdzie nie jest przyjęte, by kobieta używała jedynie nazwiska męża, ona, jako María Eva Duarte de Perón, kazała się nazywać Evą Perón. Powoli stawała się jedną z najpotężniejszych kobiet w Argentynie i na całym świecie.

Dwudziestego piątego sierpnia, odzyskawszy siły po podróży, powróciła do sekretariatu pracy i spraw socjalnych. Siedząc znów w swoim gabinecie, przyjmowała co dzień ponad dziesięć tysięcy listów z prośbami o pomoc. Powróciła do frenetycznego rytmu spotkań, wizyt w osiedlach robotniczych, fabrykach, szpitalach i szkołach państwowych. Obok niej sztab sekretarek z zeszytami w ręku notował prośby ludzi. Eva, elegancko ubrana, w szytym na miarę kostiumie – swoim uniformie urzędniczki – siedząc za biurkiem zawalonym papierami i teczkami, słuchała, rozmawiała przez telefon, notowała albo rozdawała wyjmowane z teczki banknoty. Wobec osób zwracających się do niej o pomoc przyjmowała postawę nie biurokraty, lecz „kobiety z ludu”, bliskiej potrzebującym. Perón był wzruszony, kiedy opowiadano mu, że jego żona całuje trędowatych, gruźlików czy syfilityków, czego świadkiem był nieraz jej spowiednik ojciec Benítez. Nie wahała się też ścisnąć przychodzących do niej ludzi ubranych w łachmany i zawszonych. Czasem późną nocą mówiła, siedząc bosy: „Wybaczenie, kochani, nóg nie czuję... Muszę zdjąć buty. Jestem przeszło dwadzieścia godzin na nogach”.

Dziewiętnastego czerwca 1948 roku pierwsza dama za-inaugurowała oficjalnie działalność Fundacji Ewy Perón, z kapitałem dziesięciu tysięcy pesos. Do tego momentu działalność charytatywna poprzez Towarzystwo Dobroczyńności pozostawała w gestii rodzin arystokratycznych oraz kleru. Teraz czasy się zmieniły, inne były potrzeby, a miłosierdzie – słowo to wydawało się Ewie upokarzające – nosiło nazwę sprawiedliwości społecznej. Celem fundacji była przede wszystkim pomoc kobietom, dzieciom i osobom w podeszłym wieku. Z czasem miało być w niej zatrudnionych jedenaście tysięcy osób, a rezultaty

działalności niedługo po jej powstaniu, jeśli chodzi o szybkość i skuteczność pomocy, zaskoczyły nawet początkowych krytyków. Dzięki fundacji Evita zdołała zbudować tysiąc szkół w najuboższych regionach kraju – i trzy ośrodki uniwersyteckie dla ludzi pozbawionych dochodów – ponad tysiąc sierocińców, sześćdziesiąt szpitali, wiele domów opieki dla osób starszych i około trzystu pięćdziesięciu tysięcy nowych mieszkań. Przyznawała stypendia, zakładała domy dla młodocianych matek i dla dziewcząt, które, jak ona sama, przyjeżdżały z głębi kraju do wielkiego miasta i nie miały się gdzie zatrzymać. Podstawą finansowania fundacji były subwencje – nie zawsze dobrowolne – przedsiębiorstw oraz datki ludzi pracujących, którzy chętnie ofiarowywali dniówkę ze swojej pensji na cele socjalne.

Eva nie tylko zajmowała się pomocą potrzebującym. Angażowała się również na rzecz uchwalenia ustawy zatwierdzającej prawo głosu dla kobiet. Wkrótce po powrocie z podróży po Europie można ją było często spotkać na korytarzach budynku Kongresu, gdzie rozmawiała z deputowanymi, starając się wywrzeć na nich nacisk, aby uchwalili projekt ustawy. W kraju o tradycji machismo, gdzie kobiety nie miały praw politycznych i gdzie nie uchodziło, żeby kobieta zajmowała się czymś innym poza sprawami domowymi, była to inicjatywa historyczna. Evita nigdy nie miała zapomnieć owego dnia, 23 września 1947 roku, kiedy nareszcie została jednogłośnie uchwalona ustawa wprowadzająca „równość praw politycznych mężczyzn i kobiet oraz powszechne prawo wyborcze w Argentynie”. Dwa lata później, w 1949 roku, Evita założyła Kobięcą Partię Peronistowską – została też wybrana na jej przewodniczącą – i wszędzie, jak kraj długi i szeroki, powstały oddziały partii. Po objęciu prezydentury Perón przeznaczył dla młodej żony niewielki gabinet, aby mogła wykonywać określone zadania dla sekretariatu pracy i zaopatrzenia. Niespełna pięć lat później Eva Perón wirtualnie kierowała krajem, a pięć milionów ludzi pracujących, jej „drogich najuboższych”, było gotowych oddać za nią życie.

„Straciłem żonę w każdym sensie – skarżył się Perón w swoich wspomnieniach. – Widywaliśmy się tylko od czasu do czasu, i to przez chwilę, jakbyśmy mieszkali w dwóch różnych miastach. Evita często pracowała przez całą noc i wracała nad ranem. Ja zwykle opuszczam rezydencję o szóstej rano, udając się do Casa Rosada, i spotykałem ją w drzwiach, wyczerpaną, ale zadowoloną z pracy”. Około roku 1950 Evita żyła tylko swoim wielkim dziełem pomocy społecznej, poświęcając się mu ciałem i duszą. Wydawała się teraz innym człowiekiem. Nosila niemal wyłącznie garnitury o męskim kroju – ona, niegdyś tak kobieca – w ciemnych kolorach, czesała się skromnie, w kok zebrany nad karkiem. Prawie się nie malowała, jej twarz – z powodu rozwijającej się choroby – stała się bardziej kanciasta, dłonie szczuplejsze, sylwetka wychudzona.

Wcześniej jadalili razem śniadanie, a w południe Evita wymykała się z biura,

by zjeść z mężem obiad w rezydencji, teraz koledzy musieli niemal zmuszać ją, by wyszła na parę minut i coś przekąsiła. Wracając do rezydencji nad ranem, zrzuciła buty, żeby nie hałasować i nie obudzić męża. Nie widywali się przez cały dzień, ponieważ przestała także jadać z nim kolacje. Zaczęli się porozumiewać poprzez karteczki, do których Perón dołączał zawsze bukietek kwiatów. Tylko czwartki wyglądały inaczej. Tego dnia w rezydencji wyświetlano film i Eva odkładała pracę, żeby obejrzeć go z mężem. Właśnie w 1949 roku zaczęła się źle czuć, pojawiły się pierwsze krwotoki i zawroty głowy. Była jednak tak pochłonięta pracą, że nie zajęła się tą sprawą i żyła dalej w tym samym zawrotnym tempie.

Sygnalem alarmowym stał się moment, kiedy na początku roku 1950 zemdląca podczas otwarcia nowej siedziby związku zawodowego taksówkarzy. Jej osobisty lekarz i zarazem minister edukacji Oscar Ivanissevich uznał, że musi ją operować z powodu ostrego zapalenia wyrostka, lecz badania lekarskie przeprowadzone przed zabiegiem wykazały nowotwór macicy w stadium początkowym. Lekarz poinformował Peróna, że żona powinna poddać się zabiegowi usunięcia macicy, jednak Eva zdecydowanie odmówiła zgody na interwencję chirurgiczną. Nie znając prawdziwej natury swojej choroby, była przekonana, że ktoś chce ją odsunąć od polityki i że wszystko jest spiskiem jej wrogów. Perón, którego pierwsza żona zmarła na raka macicy, był prawdziwie wstrząśnięty tą wiadomością.

Tydzień po operacji wyrostka Evita poczuła się lepiej i wróciła do pracy, by mimo wysokich temperatur letnich, do marca przyjmować w swoim gabinecie. Wówczas nastąpiło to, czego tak się obawiał Perón: wróciły krwotoki, ataki gorączki i straszliwe bóle brzucha. Evita bardzo schudła, była bledsza niż zwykle, miała spuchnięte kostki i podkrążone oczy. Doktor Ivanissevich błagał pacjentkę, by pozwoliła się operować, lecz Eva zdecydowanie odmawiała zgody. Tego samego dnia, świadom, że bez kolejnej operacji choroba, na którą cierpi małżonka prezydenta, skończy się zejściem, Ivanissevich zrezygnował ze stanowiska.

Dwudziestego drugiego sierpnia ponadmilionowa rzesza ludzi pracy, zwołanych przez CGT – Confederación General del Trabajo – wielką peronistyczną centralę związkową – domagała się głośno w szerokiej alei 9 de Julio powołania Evity na stanowisko wiceprezydenta kraju. Juan Domingo Perón nie spodziewał się tak gorących wyrazów serdeczności ludu względem jego żony, która akurat tego dnia zmuszona była pozostać w łóżku z powodu silnych bólów. Wreszcie, ponieważ tłum groził, że jeśli nie pojawi się Evita, zostanie ogłoszony strajk generalny, ta, czyniąc wielki wysiłek, wyszła na podium. Wzruszona, jak jeszcze nigdy jej nie widziano, stojąc pod olbrzymimi portretami jej i Peróna, powiedziała jedynie cichym głosem, że robi to, czego żąda od niej lud. Cztery dni później ogłosiła publicznie przez radio swoją „nieodwołalną i ostateczną” rezygnację. Była to dla niej trudna chwila. Będąc u szczytu władzy, zmuszona była

zrezygnować z kariery politycznej. W rzeczywistości zaprotestował Perón, wiedział bowiem, że wojsko nie życzy sobie Evity na tym stanowisku.

Podczas gdy prasa informowała, że choroba Evy Perón to „anemia średniego stopnia, leczona transfuzjami krwi i całkowitym odpoczynkiem”, nowy lekarz rozpoczął naświetlania, próbując zmniejszyć guz. Mimo zmęczenia i mimo że chodzenie sprawiało jej trudność, 17 października Eva postarała się być obok Peróna na balkonie Casa Rosada. Mąż odznaczył ją Wielkim Medalem Peronistowskim i pierwszy raz głównym tematem swego przemówienia – które brzmiało jak pożegnanie – uczynił pochwałę absolutnego oddania i samozaparcia swojej towarzyszkii życia. Evita była bez makijażu, ubrana w ciemny aksamitny kostium. Dzięki morfinie mogła utrzymać się na nogach i zdołała jeszcze raz podziękować Perónowi: „Nigdy mu się nie odpłacę, choćbym nawet oddała mu życie, chcąc podziękować za to, jaki zawsze był i jest dla mnie dobry. Nic z tego, co mam, czym jestem, co myślę, nie jest moje; wszystko należy do Peróna”. Po tych słowach, szlochając, połączyła się uściskiem z mężem. Zdjęcie, które obiegło cały świat, ukazywało kobietę wyniesioną przez lud, lecz pokonaną przez wojsko – zawsze jej przeciwnie – i przez okrutną chorobę.

Przez dwa lata Evita wymykała się lekarzom, jednak dziesięć ostatnich miesięcy było dla niej prawdziwym piekłem. Szóstego listopada operował ją znany onkolog amerykański doktor George T. Pack, który miał nadzieję, że usuwając macię, powstrzyma postępy choroby. Było już jednak za późno i choć poddawano pacjentkę kolejnym seriom naświetlań, wywołujących bolesne oparzenia skóry, pojawiły się przerzuty. Sześć dni po operacji Eva głosowała ze szpitalnego łóżka, wrzucając głos do urny. Zdjęcie z tego momentu pokazuje kobietę wyniszczoną i wychudzoną, przeszytą bólem. Na ulicy setki kobiet klęczały, modląc się za nią. Gdy ze szpitala wynoszono urnę, niektórzy z obecnych wyciągali ręce, by jej dotknąć i ucałować ją jak relikwię. Generał Perón ponownie wygrał wybory – częściowo dzięki głosom kobiet, o które tak walczyła Evita. Tym razem jednak jego towarzyszka nie mogła dzielić z nim zwycięstwa.

„Pierwszego maja 1952 roku ostatni raz przemawiała z balkonu Casa Rosada – wspominał Perón. – Kosztowało ją to wiele wysiłku, tak że po skończonej przemowie zemdlą, osuwając się na moje ręce”. Tego dnia Evita ledwie mogła utrzymać się na nogach i podczas gdy zwracała się do tłumów, Perón podtrzymywał ją w talii, żeby nie upadła. W ciągu następnych tygodni jej stan się pogorszył. Z zajmowanego przez nią pokoju w rezydencji Olivos, gdzie na zmianę opiekowały się nią pielęgniarki, usunięto lustro i zablokowano wagę, na której co rano się ważyła. Po dziesięciu miesiącach od początku choroby została z niej skóra i kości. Spowiednik Evity, ojciec Benítez, który towarzyszył jej aż do końca, wspominał: „Nikt nie powiedział jej nigdy, jaka jest przyczyna jej cierpienia, czuła jednak, że stan nie jest dobry, że się pogarsza. Znosiła dotkliwie bóle, nie miała

apetytu, dręczyły ją koszmary, ogarniała rozpacz”. Leżała w łóżku, w piżamie, ze swoim pudelkiem Canelą w nogach. Co dzień przynoszono do rezydencji bukiety kwiatów, obrazki świętych, amulety i kamienie o uzdrowicielskiej mocy, które przysyłali jej prości ludzie w nadziei na cud.

Mimo że ledwie mogła utrzymać się na nogach, chciała być obecna na uroczystości objęcia urzędu przez męża. Czwartego lipca 1952 roku musiała zażyć dużą dawkę środków przeciwbólowych, żeby wytrzymać długi, pełen emocji dzień, którego za nic w świecie nie chciała stracić. Przejechała z generałem Perónem w otwartym samochodzie zimnymi ulicami Buenos Aires, ze wzruszeniem zegnając się z ludźmi, którzy wiwatowali po drodze na jej cześć. Szerokie futro z norek maskowało specjalny stelaż, na którym miała się opierać w samochodzie i stać podczas całej drogi do Casa Rosada. Nikt nie zdawał sobie sprawy, że pierwsza dama, niemal umierająca, po raz ostatni odgrywała swoją najważniejszą rolę.

Dwudziestego piątego lipca Eva, czując, że koniec się zbliża, wezwała męża: „Chciała zostać ze mną sama. Pamiętam, że jej głos był ledwie szeptem i że powiedziała: «Nie opuszczaj ludzi biednych; tylko oni potrafią być wierni»”, napisał Perón, wspominając ten smutny dzień. Nazajutrz w nocy Evita zmarła w rezydencji Olivos, w łóżku rehabilitacyjnym, w którym spędziła ostatnie miesiące straszliwej agonii. Skończyła właśnie trzydzieści trzy lata i ważyła trzydzieści pięć kilo. Radio podało wiadomość w tych uroczystych słowach: „Señora Eva Perón, duchowy przywódca narodu, przeszła do nieśmiertelności”. W rezydencji rozpoczęły się długie i drobiazgowo rytuały. Najpierw doktor Pedro Ara, znany patolog hiszpański, przygotował ciało, by mogło zostać następnego dnia wystawione w zaimprovizowanej kaplicy pogrzebowej w Ministerstwie Pracy. O świcie wiarna krawcowa Evy, Assunta, zajęła się przerobieniem na całun pośmiertny jednej z jej najwspanialszych sukien – której nie zdążyła włożyć – białej kreacji od Christiana Diora, zamówionej przez pierwszą damę na galę 9 lipca. Potem Sara, manikiurzystka, zgodnie z poleceniem pani zmyła jej czerwony lakier z paznokci, zastępując go przezroczystym. Julio, fryzjer, jak co dzień uczesał ją, ostatni raz układając jej włosy. Na ulicach zaczęła się żałoba ludowa niewidziana nigdy wcześniej w Argentynie.

Po śmierci Evy jej ciało zostało wystawione w wielkiej sali w Ministerstwie Pracy, gdzie tysiące ludzi mogło się z nią pożegnać. Kwiaty pokrywały przyległe chodniki i ulice, tworząc gęsty kobierzec. Dziewiątego sierpnia trumna została przeniesiona do budynku Kongresu Narodowego, gdzie oddano jej honory wojskowe. W ciągu niespełna dwóch tygodni ponad dwa miliony ludzi przybyłych z najodleglejszych zakątków kraju przeszło w deszczu przed jej trumną ze szklanym wiekiem ozdobionym inkrustacjami ze srebra. Uroczystości pogrzebowe miały rangę pogrzebu szefa państwa. Ból i histeria z powodu jej odejścia

zapanowały wśród najwierniejszych zwolenników Evity, którzy po jej przedwczesnej śmierci chcieli ją wynieść na ołtarze i kanonizować. Szczątki doczesne Evity miały dopiero po przeszło dwudziestu latach wrócić do kraju.

Przez trzy lata zabalsamowane zwłoki pierwszej damy czekały w gmachu centrali związkowej CGT w Buenos Aires, aż zostanie zbudowane mauzoleum – wielkości piramidy Cheopsa – które chciał wznieść Perón dla upamiętnienia żony. Jednakże w 1955 roku generał został obalony w wyniku wojskowego zamachu stanu i nowe władze zabrały zachowane od rozkładu ciało Evity, tak że zniknęło na czternaście lat. W tym czasie kult Evity umacniał się i jego najwierniejsi akolici żądali powrotu ciała do domu. W swojej makabrycznej pielgrzymce zwłoki przeleżały pochowane na cmentarzu w Mediolanie pod fałszywym nazwiskiem. W 1972 roku zostały odkopane i zwrócone Perónowi – żonatemu wówczas z Marią Estelą Martínez, bardziej znaną jako Isabelita – który przebywał na wygnaniu w Madrycie, mieszkając w willi w Puerta de Hierro. Cztery lata później, za rządów wojskowych generała Videli, rodzina Duarte odzyskała nareszcie ciało Evity. Doña Juana, matka, już nie żyła i nie mogła wziąć udziału w pogrzebie wybitnej córki. Dzisiaj ciało Evity spoczywa w pancernej komorze dla uniknięcia profanacji – odcięto jeden palec zmarłej – w panteonie rodziny Duarte na elitarnym cmentarzu La Recoleta. Eva, o, ironio losu, dzieli swoją nieśmiertelność z „oligarchami” i politykami, którymi tak gardziła. Co dzień pojawiają się świeże kwiaty pod tablicą upamiętniającą kobietę, która jeszcze dziś nikogo nie pozostawia obojętnym.

Barbara Hutton



Milionerka o smutnym spojrzeniu

*Nikt mnie nigdy nie pokocha.
Dla moich pieniędzy, tak, ale nie dla mnie samej.
Jestem skazana na samotność.*

Barbara Hutton

Kiedy Barbara Hutton skończyła czternaście lat, jej majątek oceniano na dwadzieścia sześć milionów dolarów. Była najbogatszą dziewczynką na świecie, ale też najsmutniejszą i najbardziej samotną. Sława multimilionerki odstręczała przyjaciółki i budziła ich niechęć. W miarę jak dorastała, uświadamiała sobie, że pieniądze, które odziedziczyła po dziadku, właścicielu domów towarowych Woolworth, były przekleństwem. Nigdy nie czuła się naprawdę szczęśliwa i kochana. Jeśli ktoś szukał jej towarzystwa, czynił to ze względu na jej bogactwo i niespotykaną hojność. Barbara wiedziała o tym i wypełniała swoją samotność długą listą mężów, bajecznych klejnotów, rezydencji marzeń i podróży dookoła świata. Także sporymi dawkami alkoholu i lekarstw mających pomóc jej unieść ogromny ciężar nazwiska.

Niezwykłe dzieje tej kobiety, uznawanej za jedną z najbogatszych i najbardziej ekscentrycznych milionerek XX wieku, są historią dziewczynki urodzonej w złotej klatce i naznaczonej piętnem tragicznego losu. Odkąd w wieku czterech lat znalazła martwe ciało matki w hotelowym apartamencie, stała się postacią owianą legendą. Narodziła się „biedna bogata dziewczynka” – jak proroczo głosił tytuł piosenki Noëla Cowarda inspirowanej jej życiem. Dziennikarze tropili ją po całym świecie, relacjonując jej ekscesy i komentując głośne małżeństwa, kończące się kosztownymi rozwodami.

Barbara, mająca słabość do mężczyzn z tytułem szlacheckim i dobrą prezencją, wychodziła za mąż siedem razy: za dwóch książąt rosyjskich, duńskiego hrabiego, znanego w kraju i zagranicą playboya – sławnego Porfiria Rubirose, za barona, mistrza tenisowego i za gwiazdora filmowego. Cary Grant był jej trzecim mężem, tym, który traktował ją najlepiej, nie zważając na stan jej konta. Po zerwaniu aktor wyrażał ubolewanie, że dziennikarze dręczą kobietę wrażliwą, delikatną i wielkoduszną, która nie mogła wybrać sobie losu.

Prasa, zawsze nieprzychylna Barbarze, pokazywała światu jedynie jej zbytkowne i rozwiązłe życie. Pisała o kobiecie, która rozdaje brylanty swoim służącym, która kazała poszerzyć ulice medyny w Tangerze, żeby mogły tam

przejeżdżać jej rolls-royce'y, i która przyjmowała gości w swoim pałacu Sidi Hosni, siedząc na pozłacanym tronie wyściełanym czerwonym aksamitem. Skłonna do anoreksji milionerka była jednak w rzeczywistości kobietą wrażliwą i bezbroną, o wielkim sercu. Przez całe życie współpracowała, zawsze anonimowo, z fundacjami charytatywnymi i organizacjami humanitarnymi. Jej dzieła dobroczynności nie interesowały goniącej za sensacją prasy, która przesładowała ją bezlitośnie aż do chwili, kiedy leżała na łożu śmierci – zaledwie cień siebie samej – a jej majątek stopniał do trzech tysięcy dolarów.

Znana jako „dziewczyna od miliona dolarów” – tyle bowiem otrzymywali jej mężowie po rozwodzie – w swoim czasie kobieta budząca największą zazdrość w Stanach Zjednoczonych, umarła schorowana, samotna i zrujnowana. Goniąc beznadziejnie za szczęściem, po stracie jedyne go syna w katastrofie lotniczej zaczęła się staczać. Piła, otumaniała się środkami nasennymi, szastała pieniędzmi, a na koniec płaciła za męskie towarzystwo. „Jestem jak te mosty w Wenecji, które wyglądają, jakby nie sięgały drugiego brzegu”, żaliła się na starość. Na koniec pozostała jedynie cieniem wychudzonej kobiety o twarzy jak pergamin, w okularach przeciwsłonecznych, które przesłaniały jej smutne niebieskie oczy. Nie zdołała spełnić swojego ostatniego pragnienia: być pochowana w Tangerze.

Bogata dziewczynka

Najwcześniejsze wspomnienia Barbary wiążą się z wielkim domem w Glen Cove na Long Island, który w 1916 roku kazał zbudować jej dziadek Frank Winfield Woolworth. Mała, straciwszy matkę, była wychowywana przez dziadków, Franka i Jennie, zamieszkujących pałacową zgoła rezydencję, zwaną Winfield Hall. Założyciel znanej sieci domów towarowych Woolworth był potomkiem pochodzących z Anglii farmerów, którzy na początku XIX wieku przybyli na wybrzeże Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu lepszego życia. Ich dzieje to historia walk i wyrzeczeń, podobna do historii tysięcy imigrantów.

W wieku osiemnastu lat Frank porzucił pracę na należącej do rodziny farmie mlecznej w Rodman i zatrudnił się w domach towarowych Augsbury & More w niewielkiej sąsiedniej miejscowości. Ledwo rozpoczął pracę, rozchorował się i przez kilka miesięcy musiał leżeć w łóżku. Rodzice, nie mogąc się nim zajmować, wynajęli młodą pielęgniarkę, Jennie Creighton, która potem została jego żoną. Frank, mający żyłkę do interesów, wyzdrowiawszy, wrócił do poprzedniej pracy, by zająć się wystrojem sklepowych witryn.

Wkrótce dziadek Barbary uniezależnił się i w czerwcu 1879 roku otworzył sklep Woolwortha w Lancaster w Pensylwanii, bardzo dobrze prosperujący. Interes rozwijał się błyskawicznie: w ciągu pięciu lat Frank otworzył dwadzieścia pięć

nowych sklepów w pięciu stanach Ameryki. W roku 1905 dochody roczne przekraczały dziesięć milionów dolarów. Dwanaście lat później skromny farmer otworzył w Nowym Jorku, na rogu Piątej Alei i Czterdziestej Ulicy, swój tysięczny sklep pod nazwą Woolworth's 5 and 10 Cent Store (bardziej znany jako Five and Dime).

Sukces w handlu i osobisty majątek nie otwierały jednak przed ambitnym młodym człowiekiem drzwi do wyższych kręgów społecznych Nowego Jorku, w których wciąż był uważany za prostego kupca. Aby awansować w hierarchii społecznej, bogaty magnat – ojciec trzech córek, Heleny, Edny (przyszłej matki Barbary) i Jessie – kazał zbudować sobie przy Piątej Alei pod numerem 900, w tak zwanym zaułku milionerów, trzypiętrowy dom o trzydziestu siedmiu pokojach. Zakupił też przy skrzyżowaniu Piątej Alei z Osiemdziesiątą Ulicą cztery budynki, które polecił zburzyć, by na tym miejscu wznieść trzy nowe domy, które ofiarował każdej ze swoich córek w prezencie ślubnym.

Nie czując satysfakcji z powodu wszystkich tych nabytków, w 1913 roku zainicjował budowę sześćdziesięciopiętrowego drapacza chmur pomiędzy Park Place a Broadwayem. Inwestycja kosztowała go trzynaście i pół miliona dolarów, a tak zwany Woolworth Building był przez długie lata najwyższym budynkiem na świecie. Sam Woolworth stał się teraz znanym i niesłychanie bogatym przedsiębiorcą, którego jedynym marzeniem było, aby córki dobrze wyszły za mąż i zapewniły mu wreszcie godne miejsce w wyższych sferach. Jednakże tylko Helena znalazła „dobrą partię”, wychodząc za mąż za pochodzącego z wpływowej, zamożnej rodziny Charlesa McCanna, zastępcę prokuratora generalnego stanu Nowy Jork.

Edna, nie tak ambitna jak Helena i nie tak ekscentryczna jak Jessie – temperamentna blondynka uwielbiająca klejnoty i futra – wyszła w 1907 roku za bystrego agenta giełdowego, dwudziestoczteroletniego Franklyna Lawsa Huttona. Młody człowiek pracował w dobrze prosperującej spółce brata – Hutton & Company – której był prezesem i jednym z głównych akcjonariuszy. Nowo poślubieni spędzili miesiąc miodowy w Paryżu, a po powrocie zamieszkali w jednym z eleganckich domów zbudowanych dla córek przy Osiemdziesiątej Ulicy. Barbara, jedyna córka tej pary, przyszła na świat 14 listopada 1912 roku. Dziewczynka odziedziczyła jasną cerę, błękitne oczy i blond włosy po matce, najładniejszej i najbardziej szykownej spośród trzech sióstr Woolworth. Prasa nie odnotowała faktu jej narodzin, co Barbara miała skomentować kiedyś: „Ten jeden jedyny raz w moim życiu prasa postanowiła milczeć na mój temat”.

W 1915 roku Huttonowie przenieśli się do apartamentu na piątym piętrze hotelu Plaza. Spółka Hutton & Company otworzyła właśnie niedaleko biuro i Franklyn mógł pracować nawet w hotelowym barze. Zmiana miejsca zamieszkania dała mu swobodę, jakiej nie zaznał od czasów studenckich.

W rzeczywistości rodzice Barbary nie mogli się bardziej różnić między sobą. On – pogodny, czarujący, tryskający energią, niestroniący od kobiet i trunków. Ona – nieśmiała i delikatna, absolutnie niezainteresowana światowym życiem męża.

Latem 1916 roku Franklyn zaczął się spotykać z pewną dwudziestopięcioletnią aktorką szwedzką, córką dyplomaty. Patriarcha Woolworth, dowiedziawszy się o sprawie, namawiał córkę, by wystąpiła o rozwód, ta jednak nie chciała się zdecydować na ten krok. W marcu 1917 roku, podczas gdy ojciec Barbary przebywał w podróży służbowej w Kalifornii, reporterzy zrobili mu zdjęcie, jak tańczy z kochanką w jakimś lokalu. Gdy zdjęcie ukazało się w gazecie nowojorskiej, Edna podjęła ostateczną decyzję. Sama, w swoim pokoju w hotelu Plaza, włożyła najlepszą wieczorową suknię i popełniła samobójstwo, zażywając całe opakowanie tabletek strychniny. Miała trzydzieści trzy lata. Córka znalazła jej martwe ciało. Nie mówiło się o samobójstwie; nie przeprowadzono również sekcji zwłok. Oficjalną wersją śmierci był udar na skutek duszności.

Po tragicznej śmierci matki dziewczynka zamieszkała we wspaniałym domu Winfield Hall na wybrzeżu Long Island. Z rezydencji z fasadą w stylu włoskiego renesansu roztaczał się wspaniały widok na zatokę. Wokół rozciągał się ogromny ogród. Wewnątrz na uwagę zasługiwały okazałe schody z różowego marmuru – których zbudowanie kosztowało dwa miliony dolarów – oraz dwie wielkie sale, jedna taneczna, druga recepcyjna, luksusowo urządzone, z lustrami, kryształowymi żyrandolami i starymi meblami w stylu francuskim. W rezydencji Woolworthów wszystko było czystym zbytkiem. Pięcioletniej dziewczynce nie było łatwo żyć w tak wielkim domu – liczącym pięćdziesiąt sześć pokoi – pośród rzeszy służących, mając za towarzystwo jedynie dwoje starszuchów. Babcia Jennie, cierpiąca na przedwczesną starczą demencję, rzadko opuszczała pokój. Frank Woolworth z kolei, mający wówczas sześćdziesiąt cztery lata, nie był już tym samym rzutkim przedsiębiorcą co dawniej. Śmierć córki Edny uczyniła go zdziwaczalnym starszuchem, pogrążonym w głębokiej żałobie.

Tak wspominała Barbara męczące obiady w domu dziadków z czasów wczesnego dzieciństwa: „Obiady podawane były z odpowiednią oprawą i punktualnie. Piękna srebrna zastawa, nieskazitelnie białe obrusy, świeże kwiaty, stałym zwyczajem ścinane codziennie w ogrodzie. W imponującej jadalni w stylu angielskim zbierało się sześć osób: dziadek ze swoją pielęgniarką, babcia ze swoim lekarzem i ja z guwernantką. Podczas posiłku nie wypowiedano ani słowa. Wooly [dziadek] jadł papkę z jarzyn albo dojrzałe banany. Jennie miała na ustach wieczny uśmiech. W jej oczach nie było najmniejszego błysku oznaczającego, że rozpoznaje kogokolwiek z nas. To było przygnębiające”.

Barbara mieszkała trzy lata w Winfield Hall, do śmierci dziadków, którzy zostali pochowani w marmurowym mauzoleum na cmentarzu Woodlawn Memorial Cemetery w Nowym Jorku – jednej z ostatnich budowli, jakie kazał wznieść

założyciel Five and Dime. W momencie śmierci Franka Woolwortha każda z jego trzech córek otrzymała w spadku sumę dwudziestu sześciu milionów dolarów (w przypadku Edny jedyną osobą dziedziczącą była jej córka Barbara). Majątek jas-nowłosej dziewczynki, niezbyt urodziwej z powodu lekkiej nadwagi, często wzmiankowanej w kronikach towarzyskich, szacowano około roku 1924 na dwadzieścia osiem milionów dolarów.

Wraz ze śmiercią dziadka zaczynał się dla Barbary trudny okres samotności i braku równowagi emocjonalnej. Mieszkała w różnych domach, wychowywana przez osoby, które otaczały ją zbytkiem i spełniały jej kaprysy. Rzadko widywała ojca, człowieka o niełatwym charakterze, nerwowego i skłonnego do alkoholu, który okazywał niewielkie zainteresowanie córką. Ukończywszy siedem lat, dziewczynka zamieszkała w Los Angeles u starszej siostry ojca, Grace Hutton Word. Ciotka Grace, licząca sobie czterdzieści jeden lat, była żoną znanego biznesmena i jej życie upływało między przyjęciami a spotkaniami towarzyskimi; nad siostrzenicą czuwała guwernantka. Barbara znowu czuła się opuszczona i samotna w obcym otoczeniu.

Mimo młodego wieku była już tak bogata, że trudno jej było nawiązać przyjaźnie. Dzieci z sąsiedztwa i ich rodziny były ciekawe jej bogactwa, jednak nikt nie ośmielił się do niej zbliżyć. Jak zwierzyła się kiedyś pewnemu dziennikarzowi, przez całe życie jej najlepszymi przyjaciółmi byli ludzie ze służby. Barbara zawsze utrzymywała bliskie, rodzinne więzi ze swymi pokojówkami i guwernantkami, obsypując je drogimi prezentami. Tak było z jej ulubioną wierną służącą panną Tickie Tocquet – zwaną Ticki – która w końcu przemieniła się dla niej w jedyne go stałego członka rodziny.

W tym czasie Barbara uczęszczała do żeńskiej szkoły miss Shinn, gdzie większość uczennic okazywała jej niechęć. „Dziewczynki mówiły mi, że mnie nie chcą, bo mam za dużo pieniędzy. A ja nawet nie bardzo wiedziałam, co znaczy słowo «pieniądze». Kiedyś, gdy odwiedziła mnie ciotka Jessie, zapytałam ją, czy nie mogłybyśmy oddać wszystkich naszych pieniędzy. Próbowała mi wytłumaczyć, że nie jest to możliwe. Nie zrozumiałam jej; wzięłam nożyczki i zaczęłam ciąć swoje sukienki”. Gdy Barbara skończyła jedenaście lat, w jej życiu zaszła kolejna zmiana. Ciotka Grace wyszła ponownie za mąż i wyprowadziła się z mężem do New Jersey. Decyzją ojca dziewczynka została wówczas wysłana do sławnej szkoły dla dziewcząt, z internatem, w Santa Barbara. Spędziła tam dwa semestry, smutna, rozdzielona z nielicznymi przyjaciółmi, z jakimi zapoznała się w Los Angeles, znów samotna wśród obcych. W roku 1968 dyrektorka internatu opowiadała Deanowi Jenningsowi, biografowi Barbary Hutton: „Była przemiłą dziewczynką, ale wydawało się, że nie ma najmniejszych szans, aby być kiedyś szczęśliwa. Miała mnóstwo pieniędzy, ale nikogo, kto by nią pokierował albo jej wysłuchał. Była samotna, bardzo nieśmiała; bez przerwy pisała wiersze, których

nikomu nie pokazywała. Nikt jej nie odwiedzał, nawet w Boże Narodzenie”.

W 1926 roku Barbara wróciła do Nowego Jorku, by zamieszkać ze swoją ekscentryczną ciotką Jessie. Miała czternaście lat i była ładna, lecz czuła się zakompleksiona z powodu nadwagi. Przyjazd do wielkiego miasta powitała z ulgą, mając nadzieję, że stanie się w nim śmielsza. W odróżnieniu od Los Angeles, gdzie, jak to ujęła, były tylko „pomarańcze, pomelo, lenistwo i hipokryzja z każdej strony”, Nowy Jork oferował wiele możliwości. Niedługo po przybyciu przeniosła się do ojca, który właśnie powtórnie się ożenił. Jej nowym domem stał się piękny trzypiętrowy penthouse przy Piątej Alei pod numerem 1107, obok Dziewięćdziesiątej Ulicy. Oprócz kilkudziesięciu pokoi były tam kryty basen, sala gimnastyczna i solarium, sala taneczna oraz dwie prywatne windy.

Jej macocha, Irene Curley, była rozwódką z Detroit, która wcześniej prowadziła salon piękności. Z początku Barbara uważała ją za nieco prymitywną, jednak niezwykajne poczucie humoru Irene i wylewność w końcu ją przekonały. Już dawno nikt się nią nie zajmował. Irene robiła to, okazując Barbarze serdeczność. Życie rodzinne trwało jednak krótko. Ojciec Barbary uznał, że pora, by córka się usamodzielniała i zamieszkała osobno. W tym celu odblokował czterysta tysięcy dolarów z majątku Barbary i kupił jej mieszkanie. Miał to być pierwszy z należących do niej niezliczonych apartamentów. Wspaniały apartament, do którego się przeniosła wraz z nieodłączną służącą Tickie, znajdował się pod numerem 1020 przy Piątej Alei i obejmował dwadzieścia siedem pokoi.

Panna Hutton była osobą inteligentną, wrażliwą, odznaczała się dobrym gustem, a poza tym miała własny luksusowy apartament z meblami w stylu Ludwika XIV i orientalnymi bibelotami. Niezależność nie dała jej jednak szczęścia. Wciąż, ku swojemu żalowi, nie miała przyjaciół. W przemyśleniach tej młodej dziewczyny uzewnętrznia się dojmujące poczucie osamotnienia i bezbronności, które nigdy jej nie opuściło. „Tak bym chciała mieć prawdziwego przyjaciela – pisała w pamiętniku – kogoś, kto by mnie naprawdę rozumiał, z kim bym mogła dzielić się najskrytszymi myślami i najgłębiej chowanymi lękami”. Rozpoczęcie przez nią w 1928 roku nauki w elitarniej szkole miss Porter w Connecticut – która, jak głosiła reklama, „przygotowywała kobiety do aktywnego uczestnictwa w życiu społecznym” – nie zaradziło jej problemom z integracją. Szkoła ta – do której dwadzieścia lat później uczęszczać będzie także Jacqueline Kennedy – o wielkiej sławie i surowych normach zachowania, nie była najodpowiedniejszym miejscem dla marzycielskiej i twórczej dziewczyny. Barbara próbowała nawiązać przyjaźnie z koleżankami, lecz kolejny raz została odrzucona. Bogata dziedziczka wielkiej fortuny różniła się bardzo od owych panienek z dobrych rodzin, których jedyną aspiracją było znaleźć „dobrą partię”. Lubiła poezję i sztukę chińską, marzyła o podróżach i poznawaniu innych kultur. W tym czasie nie musiała się troszczyć o pieniądze, a w najbliższej przyszłości nie

planowała małżeństwa.

Latem 1929 roku Barbara oświadczyła ojcu, że nie chce jechać na wakacje do Europy i woli zostać w Nowym Jorku. Pan Hutton, pragnąc przekonać córkę, zaprowadził ją do sklepu Cartiera, by wybrała sobie klejnot, jaki jej się najbardziej spodoba, a za to towarzyszyła mu w podróży do Europy. Dziewczynie przypadł do gustu pierścionek z najdroższym rubinem, wobec czego ojciec zapłacił bez szemrania pięćdziesiąt tysięcy dolarów – tyle wart był prezent. Już wówczas Barbara wykazywała się wielkim smakiem w doborze biżuterii. Z czasem miała się stać wybitną znawczynią i kolekcjonerką klejnotów. Niektóre z oryginalnych wzorów, jakie zamówiła u Cartiera bądź Tiffany'ego, należą do historii sztuki jubilerskiej XX wieku.

Po podróży po Europie Barbara postanowiła spędzić kilka tygodni w Biarritz, u przyjaciół rodziny. Tam poznała Elbę Maxwell, dziennikarkę amerykańską specjalizującą się w plotkach towarzyskich i znaną z organizowania najbardziej wytwornych i niezwykłych przyjęć. W swoich pamiętnikach Elsa tak wspomina pierwsze spotkanie z Barbarą: „Kiedy przyszedłam do domu państwa Fiske, na tarasie znajdowała się jedynie młoda dziewczyna w bardzo obcisłej sukience. Było za gorąco, by zaczynać rozmowę z tą piętnasto- czy szesnastolatką. Przywitałam się z nią tylko i poszłam do swoich gości. Wówczas ona z wielką pewnością siebie podeszła do mnie, żeby się przedstawić i powiedzieć, że właśnie przyjechała na kilka dni do tego domu. Dopiero kiedy wspomniała o swojej ciotce Jessie Donahue, zorientowałam się, kim jest. Urzekły mnie jej oczy, wielkie, piękne, które, co ciekawe, straciły wyraz, kiedy zaczęła mówić, starając się sprawić wrażenie dorosłej i mądrej”.

Po jakimś czasie Elsa Maxwell zaprosiła Barbarę na koktajl w willi sławnego projektanta mody Jeana Patou. Tam dziewczyna miała poznać swoją pierwszą wielką miłość. Był to książę Alexis Mdivani, którego rodzina, pochodząca z Gruzji, przybyła do Francji po upadku cara Mikołaja II, uciekając przed rewolucją bolszewicką. Alexis, zielonooki blondyn, niezwykle przystojny, świetny gracz w polo, budził wielkie namiętności wśród dam z wyższych sfer. Mimo arystokratycznego sposobu bycia, w żyłach czarującego Mdivaniego nie płynęła ani jedna kropla błękitnej krwi. Jego rodzina przyjęła tytuł książęcy po przybyciu do Paryża, po pierwszej wojnie światowej, co otworzyło przed nimi wiele drzwi. Alexis poznał pannę Hutton, gdyż była przyjaciółką Louise Astor Van Alen, jego narzeczonej. Barbara nie potrafiła ukryć oczarowania księciem, z którym gawędziła miło przez całe popołudnie. Po wyjściu Alexisa z przyjęcia wiedziała, że zakochała się w narzeczoną przyjaciółki.

Gdy ukończyła osiemnaście lat, została oficjalnie przedstawiona w towarzystwie. Ojciec postanowił wyprawić wielki bal, podczas którego miała w wielkim stylu wejść w świat amerykańskiej socjety. Prezentacja panny Hutton

zakrojona była na miarę najslawniejszych balów debiutantów, takich jak bale dla bogatych dziedziczek fortun Louise Van Alen i Doris Duke. Doris, przyjaciółka Barbary z dzieciństwa, urodzona w 1912 roku w Nowym Jorku, była córką założyciela American Tobacco Company. W wieku piętnastu lat, po śmierci ojca, odziedziczyła majątek szacowany na siedemdziesiąt milionów dolarów, prócz udziałów i akcji w różnych spółkach. Odziedziczyła po ojcu także zmysł do interesów i w odróżnieniu od Barbary stała się twardym zarządcą kontrolującym osobiście przedsiębiorstwo. Barbara z kolei nigdy nie zajmowała się swoim majątkiem, wyznaczając do administrowania nim nie zawsze godnych zaufania doradców. Prasa brukowa ochrzciła obie młode kobiety mianem „złotych bliźniaczek” i „biednych bogatych dziewcząt”.

W swojej zawierającej wiele informacji biografii Barbary Hutton David Heymann opisuje ze szczegółami całą trzyetapową uroczystość wyprawioną na jej cześć. Najpierw zorganizowany został popołudniowy poczęstunek dla pięciuset osób w luksusowym trzypiętrowym apartamencie należącym do wujostwa Barbary, położonym przy Piątej Alei. Potem odbyła się wystawna kolacja z tańcami w kasynie Central Parku, również dla pięciuset gości. Kulminację uroczystości stanowił wielki bal w salonach hotelu Ritz-Carlton. W zabawie wzięło udział tysiąc osób, w tym niektóre spośród największych znakomitości kraju. W ocenie dziennikarzy było to wydarzenie sezonu w Nowym Jorku.

Owa noc w Ritzu, 21 grudnia 1930 roku, ze względu na wystawność i przepych balu nieprędko miała zostać zapomniana. Wynajęto cztery orkiestry, dwustu kelnerów podawało siedem dań, do których zaserwowano dwa tysiące butelek szampana. Czterdzieści osiem godzin trwało dekorowanie sali, którą z racji bliskości świąt Bożego Narodzenia obsypano sztucznym śniegiem, a na przesłoniętym błękitną gazą suficie zainstalowano tysiące maleńkich żarówek, osiągając efekt rozgwieżdżonego nieba. Salę taneczną i schody przystrojono zielonymi roślinami, poinsecjami oraz dwudziestoma tysiącami białych fiołków.

W dniu przyjęcia goście przybywający do hotelu Ritz witani byli przez aktora i piosenkarza Maurice'a Chevaliera, przebranego na tę okazję za Świętego Mikołaja. Gromada duszków wręczała przybywającym po puzderku, w którym znajdował się drogi kamień jako upominek. Do kolacji przygrywała rosyjska orkiestra smyczkowa, a po deserze wystąpiła Argentinita, sławna tancerka flamenco osiadła w Paryżu. Bal trwał do wczesnych godzin porannych i był niezwykle udany. Koszty sięgały sześćdziesięciu tysięcy dolarów.

Jeśli ojciec Barbary starał się wprowadzić swoją córkę na wydaniu w kręgi dobrego towarzystwa amerykańskiego, osiągnął efekt przeciwny do zamierzonego. Olbrzymia fortuna dziewczyny odstraszała ewentualnych kandydatów, którzy nie czuli się na siłach, by próbować dorównać kandydatce poziomem życia. Za to pozbawieni skrupułów łowcy posagów już znali bogatą dziedziczkę, widząc w niej

łatwy łup. Rozrzutność, z jaką zorganizowano prezentację dziewczyny w świecie, wywarła bardzo złe wrażenie na mieszkańcach Ameryki, którzy odczuwali skutki pierwszego roku Wielkiego Kryzysu. Fakt, że wnuczka założyciela sieci domów towarowych Woolwortha (mających złą sławę z racji niskich pensji płaconych pracownikom) trwoniła fortunę na bale i przyjęcia jak to w Ritzu, nie znalazł uznania w oczach opinii publicznej i był ostro krytykowany.

Tymczasem Barbara pozbywała się swojej nieśmiałości i prowadziła bujne życie towarzyskie u boku kuzyna, Jimmy'ego Donahue, jedyne go bliskiego przyjaciela i powiernika. Ów młody playboy, bogaty, przystojny i tryskający humorem, jawny homoseksualista, słynął z niedyskrecji w sprawach osobistych oraz z męskich konkiet. W 1945 roku zyskał sympatię księcia i księżnej Windsoru i przez osiem lat towarzyszył im w ich dostatnim życiu na wygnaniu, płacąc z własnej kieszeni za luksusowe zachcianki pary. Być może pod wpływem kuzyna, widząc jego wystawny styl życia, Barbara rozpoczęła podobną egzystencję pełną ekscentrycznych pomysłów. Po skończeniu nauki zażądała od ojca własnego wagonu w prywatnym pociągu. Dopięła swego i zapewniono jej luksusowy wagon z trzema łazienkami, wielkim pokojem i obszernym salonem, w którym mogło ucztować wielu biesiadników.

W maju 1931 roku Barbara została przedstawiona na dworze brytyjskim królowej Marii i królowi Jerzemu V. Nazajutrz wzięła udział w przyjęciu na cześć księcia Walii w ogrodach pałacu Buckingham. Podczas przyjęcia poznała księcia Edwarda, a nawet zatańczyła z nim fokstrota. Mimo że prasa angielska spekulowała wówczas na temat ewentualnego romansu następcy tronu i milionerki, księżę był wpatrzony tylko w jedną kobietę, w której był całkowicie zakochany: amerykańską rozwódkę Wallis Simpson.

Nieudane małżeństwa

Barbara Hutton nie mogła zapomnieć księcia Mdivaniego, który ożenił się z jej przyjaciółką Louise Van Alen. Gdy we wrześniu wróciła do Paryża i zatrzymała się w Ritzu, wiedziała, że w mieście są małżonkowie Mdivani. Dni mijały im na wydawaniu pieniędzy na kaprysy, przejażdżkach swoim rolls-royce'em, zakupach w wielkich magazynach mód i wystawnych przyjęciach. Barbara i Alexis widywali się nieraz na przyjęciach organizowanych przez księcia dla przyjaciół. Nie uszło niczyjej uwagi – także samej Louise – że są sobą bardzo zainteresowani. Ojciec Barbary próbował ze wszech sił odciągnąć córkę od tego znanego bon vivanta, ale na próżno. Pod koniec 1932 roku Alexis rozwiódł się z żoną i był gotów do ślubu z drugą naiwną bogaczką.

W czasie gdy wszyscy powtarzali plotki o romansie multimilionerki

z gruzińskim księciem, Barbara postanowiła usunąć się na jakiś czas i znaleźć z dala od skandalu. Naciskana przez ojca, który nie pozwalał jej się spotykać z Alexisem, zmęczona wszystkimi problemami, wybrała się z grupą przyjaciół w podróż dookoła świata. Alexis, nieskory rezygnować z łupu, pojechał za nią na Jawę, a stamtąd do Bangkoku. Jak można sobie wyobrazić, kochliwa panna Hutton nie mogła mu odmówić i z radością przyjęła oświadczenia.

Dwudziestego pierwszego kwietnia 1933 roku oficjalnie ogłoszono zaręczyny Barbary Hutton z księciem Mdivanim. Po powrocie do Paryża Barbara rozpoczęła przygotowania do ślubu, który miał się stać wielkim wydarzeniem towarzyskim. W swoim apartamencie w Ritzu przyjmowała największych projektantów, aby wybrać ślubną suknię. W końcu zdecydowała się na kreację Jeana Patou, który zaprojektował dla niej elegancką i romantyczną suknię z jedwabiu w kolorze kości słoniowej, z bufiastymi rękawami. Na głowę miała włożyć oryginalny diadem w stylu Bali – zamówiony u Cartiera – szylkretowy, ozdobiony małymi brylancikami, przytrzymujący długi koronkowy welon.

Podczas uroczystości cywilnej Barbara była ubrana w perłowszarą jedwabną suknię projektu Chanel i do tego krótką pelerynkę, a na głowie miała oryginalny kapelusz z szarej organdy. Wśród wybranych na tę okazję klejnotów wyróżniały się brylantowa kolia, złota bransoletka oraz zaręczynowy pierścionek z wyjątkową czarną perłą – prezent od Alexisa. Prasa komentowała wszystkie szczegóły ślubu, wiele miejsca pozostawiając na krytykę ze strony tych, którzy wyrzucali jej ślub z cudzoziemcem, a ponadto marnowanie pieniędzy ubogich – klientów domów towarowych Woolworth. Tylko w roku 1933 Barbara wydała czterdzieści dwa miliony dolarów; na liście wydatków figurował między innymi zakup trzech rolls-royce'ów.

Uroczystość religijna odbyła się 22 czerwca w rosyjskiej katedrze Świętego Aleksandra Newskiego w Paryżu, ze spodziewanym splendorem i blaskiem. Wnętrze świątyni udekorowano na biało i żółto, chryzantemami i liliami; tysiące białych świec, umieszczonych w ogromnych kandelabrach, oświetlało ołtarz. Trzydziestoosobowy chór odśpiewał hymn ślubny podczas nabożeństwa odprawianego w obrządku prawosławnym.

Nowożeńcy musieli wynająć drugi apartament, by pomieścić wszystkie cenne podarki ślubne, wśród nich wahadło od Cartiera, inkrustowane brylantami, i ozdobiony rubinami neseser, a prócz tego porcelanę z Limoges, kryształowe wazony z Baccarat i przybory toaletowe ze złota. Franklyn Hutton umiał się znaleźć i ofiarował córce wspaniałą naszyjnik z pięćdziesięciu trzech pereł Cartiera, należący niegdyś do królowej Marii Antoniny. Zięcia obdarował dziewiętnastometrowym statkiem, który czekał zakotwiczony w Wenecji, miejscu rozpoczęcia miodowego miesiąca.

Barbara miała dwadzieścia lat i jak przyznawała później, nie wychodziła za

mąż z miłości, lecz po to, by uciec od dominującego ojca. Szybko przekonała się, że dla Alexisa istnieją tylko pieniądze i polo – jego wielka namiętność. „Gdybym wiedziała, że polo jest tak ważne dla mojego męża, lepiej bym zrobiła, gdybym przyszła na świat jako klacz”, komentowała ze zwykłym sobie sarkazmem. Za namową męża, niezadowolona ze swojego wyglądu, rozpoczęła dietę odchudzającą, by bardziej mu się podobać. Mimo że ładna i o zgrabnych nogach, przy swoim wzroście była jednak nieco zbyt tęga. Miała metr sześćdziesiąt osiem, a ważyła około siedemdziesięciu czterech kilogramów. Stosując drakońską dietę – polegającą na picciu trzech filiżanek kawy dziennie – zdołała zrzucić w ciągu zaledwie kilku tygodni około dwudziestu kilogramów. Zdjęcia z tamtego okresu dają świadectwo tej przemiany. W krótkim czasie zyskała wspaniałą figurę, a uwodzicielskim wyglądem – krótko obcięte jasne falujące włosy, brwi umalowane zgodnie z modą – przypominała gwiazdę filmową. Elsa Maxwell, która spotkała ją w Paryżu, mówiła: „Barbara stała się niewiarygodną piękną, egzotyczną i fascynującą. Za to jej mąż jest równie nieprzystosowany, chciwy i nieobliczalny, jaki był z Louise Van Alen”.

Mając dwadzieścia jeden lat, Barbara była jedną z najbogatszych kobiet świata. W listopadzie 1933 roku przejęła dyspozycję nad spadkiem po matce, wynoszącym czterdzieści dwa miliony dolarów. Zawsze hojna wobec rodziny, ofiarowała ojcu pięć milionów w podziękowaniu za umiejętne obracanie przezeń pieniędzmi: Franklyn początkowy spadek córki w wysokości dwudziestu sześciu milionów powiększył do trzydziestu dziewięciu, a na dodatek zlikwidował wszystkie operacje na krótko przed krachem na giełdzie w 1929 roku. Mężowi Alexisowi podarowała kolejny milion. W artykule w „The New York Times” można było przeczytać: „Musi być bardzo zadowolona z męża, ponieważ, jak widać, nie zależy jej absolutnie, by zajął się interesami”.

Barbara i Alexis kontynuowali swój niekończący się miodowy miesiąc, a na początku 1934 roku wyruszyli w podróż na Daleki Wschód. Tokio, Szanghaj, Pekin – to były niektóre z przystanków w ciągu kolejnych tygodni. Zatrzymywali się tam w bajkowych pałacach i luksusowych hotelach. Barbara zanurzyła się w życiu kulturalnym Chin, kraju, który ją fascynował. W czasie swojego pobytu zatrudniła księżniczkę Der Ling, żonę byłego ambasadora amerykańskiego w Chinach i była damą do towarzystwa ostatniej panującej cesarzowej, jako nauczycielkę chińskiego. Alexis nie mógł jednak wytrzymać w Pekinie, nie było tam bowiem nocnego życia, kasyn ani przyjęć, na których mógłby pić do rana. Podczas gdy on denerwował się, tęskniąc do bardziej kosmopolitycznej atmosfery Szanghaju, jego żona kupowała wspaniałą chińską porcelanę z XVII i XVIII wieku. Po dwóch miesiącach spędzonych w Pekinie udali się do Bombaju, gdzie Alexis jakby odżył. Spotkali się tam z maharadzą Kapurthali, wówczas żonatym z hiszpańską tancerką Anitą Delgado, i zostali zaproszeni do zwiedzenia okazałych

pałaców w regionie Radżastanu.

W drodze powrotnej do Stanów małżonkowie Mdivani zrobili sobie dłuższy postój w Londynie, by odpocząć po wyczerpującej peregrynacji po Azji. Dla Barbary było to doświadczenie fascynujące i wzbogacające, dla Alexisa stanowiło tygodnie nudy. Ich wzajemne oddalenie stawało się widoczne. Zatrzymując się w Claridge w Londynie, poprosili o dwa osobne pokoje. Barbara chciała mieć więcej miejsca i być sama. Namiętność, którą mogła czuć na początku, kiedy poznała Alexisa, wyparowała podczas tej podróży. Dziewczyna była zmęczona swoim gruzińskim księciem, z którym właściwie nie dzieliła żadnych zainteresowań ani upodobań. „Nudzę się z Alexisem. Z całej fascynacji nim, z całej przyjemności, jaką mi sprawiał jego szczególny sposób zalecania się do mnie, nie pozostało nic. Nie odczuwam względem niego żadnej serdeczności. I nawet jeśli kobiety szaleją na jego punkcie, nie zmienia to w niczym moich aktualnych uczuć”.

Alexis w poczuciu urażonej dumy i wobec niechęci żony zaczął pić i odwiedzać londyńskie nocne lokale. W połowie czerwca Barbara opuściła Londyn bez męża; Alexis został w Anglii na sezon polo.

W tych trudnych chwilach Barbara, smutna i zawiedziona, znajdowała ukojenie w poezji, jedynej możliwej formie wyrazu. Wiersze oddają jej stan ducha i choć nie mają wielkiej wartości literackiej, trafiają do serca. Czternastego listopada 1934 roku skończyła dwadzieścia dwa lata i mimo że jej małżeństwo przeżywało kryzys, Alexis zorganizował dla niej godną uroczystość w salach hotelu Ritz w Paryżu. Osobiście dopilnował wszystkiego: zamówił orkiestrę mającą przygrywać do tańca, ułożył menu kolacji – na sto pięćdziesiąt osób – dobrał najlepsze wina. Francuski dekorator wewnątrz przeobraził salę balową w autentyczny suk, odtwarzając uliczkę Maroka. Na przyjęcie przybyli – wśród wielu sławnych osób – Coco Chanel, Jean Patou, książę Westminsteru, książę Ali Khan. Był też gość, który szczególnie przykuł uwagę Barbary: hrabia Court Haugwitz-Reventlow. Ten przystojny, wysportowany arystokrata duński pochodzenia pruskiego miał trzydzieści dziewięć lat, władał doskonale pięcioma językami. Alexis poznał go w Londynie i potem jeszcze spotkał kilka razy. Jubilatka nie tylko posadziła go na honorowym miejscu przy stole, obok siebie, ale też tańczyła z nim całą noc. Dziękowała mężowi za ten niezapomniany wieczór – za który zapłaciła czterdzieści tysięcy dolarów z własnej kieszeni – ale jej małżeństwo było skończone.

Na początku 1935 roku ojciec Barbary wynajął prywatnego detektywa londyńskiego, by poznać przeszłość nowego konkurenta córki. Odetchnął spokojniej, dowiedziawszy się, że hrabia Court Haugwitz-Reventlow nie jest żadnym łowcą posagów jak Mdivani i że jego życie nie nosi piętna skandali. Pochodził z rodziny właścicieli ziemskich mieszkającej w Danii i posiadającej tam rozliczne ziemie i farmy mleczne. Ich rozległe włości na duńskiej wyspie Lolland

obejmowały osiem tysięcy hektarów ziemi wraz z ogromnym zamkiem Hardenberg.

Pod koniec marca 1935 roku Barbara z mężem zamieszkała w hotelu Claridge, a jej kochanek, duński hrabia, w innym apartamencie hotelu Berkeley. Sytuacja stawała się upokarzająca dla księcia Alexisa, który był świadom, że tamci spotykają się codziennie. W końcu po dwóch latach wspólnego życia Barbara poprosiła o rozwód. Książę nie wiedział, jak zareagować, choć od miesięcy spodziewał się takiej decyzji żony. Jak większość byłych mężów hojnej Barbary, otrzymał od niej oprócz sporej sumy pieniędzy cenne podarunki: pałac w Wenecji, klejnoty, konie do polo tudzież jeden z jej sławnych rolls-royce'ów.

Po ogłoszeniu rozwodu Barbara poleciała do Nowego Jorku, chcąc zalegalizować nowy związek. Tam rzucili się na nią dziennikarze. Wsiadła do czekającej na nią limuzyny, która zawiozła ją do domu przyjaciół. Następnego dnia prywatnym samolotem w towarzystwie adwokata udała się do Reno, stolicy szybkich rozwodów. Tymczasem jej narzeczony Court Reventlow przebywał w Kopenhadze, gdzie miał zwrócić się z prośbą do króla Chrystiana X o pozwolenie na zawarcie małżeństwa. Zgodnie z prawem tego kraju wszyscy właściciele ziemscy powinni przed wstąpieniem w związek małżeński uzyskać aprobatę królewską.

Dwadzieścia cztery godziny po otrzymaniu rozwodu Barbara Hutton wzięła ślub z hrabią Reventlowem. Uroczystość odbyła się w kościele prezbiteriańskim w Reno i trwała zaledwie dziesięć minut. Uczestniczyło w niej niewielkie grono osób. Wywołała wiele polemik. Tempo, w jakim pani Hutton rozwiodła się i ponownie wyszła za mąż, nie wpłynęło na poprawę jej i tak już naznaczonego licznymi skazami wizerunku publicznego. Nagłówek artykułu zamieszczonego w gazecie w San Francisco mówił sam za siebie: „Książę umarł. Niech żyje hrabia!”. Tytuł ten wyprzedzał wydarzenia niczym zła wróżba: pierwszego sierpnia książę Alexis w wieku dwudziestu sześciu lat zginął w wypadku samochodowym.

Po kilku dniach spędzonych w San Francisco, gdzie wciąż otaczał ich rój dziennikarzy, Barbara i Court przyjechali do Nowego Jorku. Tu jednak czekała ich przykra sytuacja: od stacji kolejowej do apartamentów Barbary przy Piątej Alei numer 1020 szła za nimi grupa pracowników Five and Dime, domagając się bardziej sprawiedliwych płac. Nowy mąż Barbary musiał zaakceptować fakt, że jako jej towarzysz nie będzie już miał życia prywatnego. O ile on nienawidził publicznego zainteresowania swoją osobą, o tyle Barbarze – która od czasu samobójstwa matki jako celebrytka stale pojawiała się na łamach prasy brukowej – ten stan rzeczy odpowiadał.

Smutek w jej oczach i utrata wagi wskazywały jednak nieomylnie na kryzys. Court wkrótce zorientował się, jakie są przyczyny anoreksji, na którą według wszelkich znaków cierpiała jego żona. Mająca skłonność do tycia Barbara żyła

owładnięta obsesyjnie ideą utrzymania odpowiedniej wagi. Nie konsultując się z żadnym dietetykiem, stosowała surowe diety, które wpływały na funkcjonowanie jej organizmu i wywoływały nieustanne wahania nastroju. Court czuł się zaniepokojony tym, jak mało jadła jego żona: zaledwie jedno danie jarzynowe co trzy dni i codziennie morze kawy. Niemniej wszystkie próby interwencji były przez Barbarę ucinane stwierdzeniem, że to jej sprawa.

Niedługo po ślubie pojechała z hrabią do zamku Hardenberg w Danii, żeby zostać przedstawiona jego rodzinie. W momencie przybycia dowiedziała się o śmierci Alexisa i pogrzyżyło ją to w głębokim żalu. Poweselała, dopiero kiedy po eleganckiej kolacji wydanej na jej cześć szwagier Heinrich podarował jej wspaniałą bransoletę ze szmaragdami należącą niegdyś do jego prababki. Wzruszona upominkiem powiedziała: „Pierwszy raz dostaję prezent, za który nie musiałam sama zapłacić”.

Na początku września Barbara i Court przybyli na pewien czas do Paryża, zatrzymując się jak zwykle w hotelu Ritz. Każdy główny dziennik wyznaczył jednego dziennikarza i jednego fotografa, by śledzili każdy krok Barbary Hutton. Ludzie obserwowali z zainteresowaniem wszystko, co się działo wokół bogatej Amerykanki, jakby jej życie było powieścią w odcinkach. W tych dniach poczuła się bardzo szczęśliwa, ponieważ była w ciąży. Pierwsze kroki skierowała do domu mody Chanel. W prywatnym apartamencie przy ulicy Cambon osobiście przyjęła ją Coco. Projektantka wzięła wymiary, by uszyć dla niej garderobę przyszłej matki.

Za radą przyjaciółki Barbara postanowiła na czas rozwiązania udać się do Londynu. Wynajęła piękny, jasny dom obok Hyde Parku i tam, w pokoju wyposażonym w najnowocześniejszą aparaturę medyczną, wydała na świat przez cesarskie cięcie pięknego niebieskookiego chłopczyka, któremu nadano imię Lance. Szczęście matki trwało jednak krótko. Po porodzie Barbara dostała wysokiej gorączki, tak że lekarze obawiali się o jej życie. W końcu podjęto decyzję usunięcia jej jednego jajnika. Zaczęła powoli wracać do zdrowia. Po dziesięciu dniach czuła się już dobrze, a po trzech i pół miesiąca Lance został ochrzczony.

Małżonkowie postanowili zamieszkać w Anglii, z obawy, że w Stanach syn multimilionerki Hutton mógłby zostać porwany. Nabyli posiadłość otoczoną sześcioma hektarami jesionów, lip i orzechowców obok Regent's Park. Był to największy ogród prywatny w Londynie, nie licząc ogrodów należących do pałacu Buckingham. Na ruinach dziewiętnastowiecznego domu, zwanego St. Dunstan's, Barbara postanowiła zbudować okazałą rezydencję w stylu pałacowym. Miała to być jej siedziba w ciągu najbliższych lat. Na przebudowę i urządzenie pokoi antykami wydała siedem milionów dolarów. Dom nazwała Winfield House, na cześć dziadka. Przewidziano w nim salon muzyczny i salę balową, bibliotekę, salę bilardową, gimnastyczną, jeden basen kryty, ogrzewany, i drugi w ogrodzie oraz dziesięć nowoczesnych łazienek. W jej łazience krany były ze szczerego złota.

Poza tym korty tenisowe, stajnie i trzy szklarnie. Dziś mieści się tam ambasada Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii.

Opinia publiczna nie dawała wiary, słysząc, jaki styl życia prowadzi multimilionerka w swojej londyńskiej rezydencji. W tym czasie Barbara wydała fortunę na bezcenną kolekcję biżuterii. Jako hrabina Haugwitz-Reventlow dokonała jednego ze swych najsłynniejszych zakupów u Cartiera: nabyła szmaragdy Romanowów, należące niegdyś do wielkiej księżnej Władimirownej. W roku 1936 zapłaciła za te bajeczne klejnoty około miliona dolarów. I zleciła Cartierowi, by zaprojektował dla niej pierścione, kolczyki i naszyjnik z największym szmaragdem umieszczonym pośrodku. W 1947 roku, kiedy była z księciem Trubieckim, znów zamówiła u Cartiera, z tychże szmaragdów, oryginalny diadem w stylu orientalnym, który mogła też nosić jako naszyjnik. Szmaragdowy diadem należał do najsłynniejszych klejnotów Barbary, obok czterdziestokaratowego brylantu Pasza, który był kiedyś włas-nością wicekróla Egiptu Isma'ila Paszy. Barbara kupiła go u Bułgariego, a ponieważ nie podobał się jej ośmiościenny szlif kamienia, poprosiła, by go oprawić w pierścień. Nabyła także sporo cennych klejnotów z jadeitu – jednego ze swoich ulubionych kamieni – a wśród nich wspaniały naszyjnik z dwudziestu siedmiu koralii, z zapięciem z rubinami i brylantami, wystawiony na licytację w Genewie w 1988 roku.

Podczas gdy ona wydawała miliony, kupując klejnoty, w Stanach Zjednoczonych pracownicy domów towarowych Woolwortha rozpoczęli strajk, żądając godnego wynagrodzenia. Ponieważ dyrekcja odmówiła podwyżki w wysokości dwudziestu dolarów tygodniowo, ludzie postanowili wyjść na ulicę. Barbara, przebywająca wówczas z mężem w Egipcie i nieświadoma napięcia panującego u Woolwortha, korzystała z życia, bawiąc w hotelu Mena House, naprzeciwko piramid w Gazie. Prasa straciła cierpliwość. Po powrocie miał być przeprowadzony z milionerką wywiad dla gazety amerykańskiej. Próbując poprawić swój nie najlepszy wizerunek, Barbara zapewniła: „Ktoś kiedyś powiedział, że bogaci są inni. I może to prawda. Jeśli chodzi o mnie, jestem przedstawicielką pierwszego pokolenia kobiet w mojej rodzinie, które nie muszą zmywać naczyń ani cerować sobie ubrań. Mam jednak przecucie, że gdybym kiedyś była zmuszona to robić, szłoby mi bardzo dobrze. Poza tym uwielbiam swoich przyjaciół, ale moja pozycja społeczna jest mi obojętna”.

Latem 1937 roku w stosunkach między Barbarą a Courtem zaczęło się pojawiać napięcie. Często się kłócili, raz nawet hrabia w gniewie uderzył żonę. Źle odnosił się do służby, zwalniając niektóre osoby bez pozwolenia Barbary. Przez kilka miesięcy starali się zachować twarz przy ludziach – widywano ich razem w Wenecji, na przyjęciach i balach. Jednak prośba Courta, by zrzekła się obywatelstwa amerykańskiego, zachowując duńskie, zaskoczyła Barbarę. Wreszcie zdołał ją przekonać, że będzie to korzystne ze względów podatkowych. Hrabia miał

w tym oczywiście własny interes, a Barbara w swojej naiwności zgodziła się na ten projekt.

Wiadomość o zrzeczeniu się przez Barbarę Hutton obywatelstwa amerykańskiego wywołała w Stanach bardzo złe reakcje. Była córką magnata, który wzbogacił się na pracy i wysiłku zatrudnionych przez siebie ludzi. Oskarżano ją o zdradę, w sklepach Woolwortha wybuchały protesty, a na transparentach widniały zdania: „Barbara rezygnuje z obywatelstwa, ale nie z zysków”.

Court, człowiek apodyktyczny – wykorzystując fakt, że Barbara nie miała zbytnej głowy do interesów – dopiął swego, ale ich małżeństwo legło w gruzach. W styczniu 1938 roku Barbara, w poczuciu, że jest manipulowana, zmuszana przez męża do zrzeczenia się obywatelstwa niezależnie od swojej woli, zaczęła żyć własnym życiem, nie oglądając się na niego. Dwudziestego ósmego lipca podpisali w Londynie umowę rozwodową. Court Reventlow otrzymał dwa miliony dolarów. Teść – nieświadom tego, jak źle mąż traktował Barbarę pod względem fizycznym i moralnym – ofiarował mu samochód Hispano-Suiza, w uznaniu dla jego zachowania w związanych z rozwodem kwestiach prawnych. Po rozwodzie młodszy brat Courta napisał do Barbary list, żądając zwrotu bransolety ofiarowanej jej przez rodzinę w prezencie ślubnym. „Smaragdy są własnością rodziny – zwracał się do niej dość obcesowo – a ponieważ już do niej nie należysz, powinnaś je zwrócić”.

W połowie 1938 roku do Barbary zatelefonował ówczesny ambasador Stanów Zjednoczonych w Londynie Joseph Kennedy, uświadamiając jej, że sytuacja w Europie jest bardzo napięta i w każdej chwili może wybuchnąć wojna. Wobec tych alarmujących wieści Barbara zamknęła podwoje rezydencji Winfield House i kazała zapakować wszystkie swoje rzeczy. W Nowym Jorku pracownicy sklepów Woolwortha, znów strajkujący, tym razem nie tylko przywitani ją obelgami, ale obrzucili jajkami i pomidorami.

Po krótkim pobycie w Nowym Jorku pojechała samochodem do Kalifornii, żeby przedstawić swojego syna mieszkającym na zachodnim wybrzeżu przyjaciółom. Za jej pospiesznym wyjazdem krył się jednak jeszcze inny powód: chciała się spotkać z będącym od kilku miesięcy jej kochankiem sławnym aktorem Carym Grantem. Pierwsze publiczne pojawienie się pary nie przeszło niezauważone. Prasa odnotowała, że wytworna milionerka amerykańska i angielski aktor w romantycznym nastroju zjedli kolację w znanej restauracji w Los Angeles. Choć w Hollywoodzie nie wróżono związkowi trwałości – na pozór bowiem niewiele łączyło tę parę – pewne jest, że po raz pierwszy Barbara spotkała mężczyznę, który był bardziej sławny od niej i którego nie interesowały jej pieniądze.

Barbara i Cary poznali się w 1938 roku na statku Normandie, na którym Barbara płynęła z synem do Anglii. Aktor zrobił na niej bardzo miłe wrażenie; był

„uroczy, bezpośredni, obdarzony subtelnym poczuciem humoru”. Dopłynawszy, wymienili się numerami telefonów, z postanowieniem, że się umówią. Po tym pierwszym spotkaniu widzieli się jeszcze kilka razy w Nowym Jorku, Paryżu i na przyjęciu w Londynie. Widywali się coraz częściej, sam na sam, a rozdzieleni rozmawiali godzinami przez telefon. Opublikowana niedawno biografia Cary’ego Granta pióra Marca Eliota ujawnia pewne mniej romantyczne szczegóły ich relacji. W książce jest mowa o zażyłości łączącej aktora z dyrektorem FBI Edgarem J. Hooverem. Zdaniem autora Grant ożenił się z milionerką – o znanych sympatiach pronazistowskich – nie tylko z miłości, lecz po to, by przekazywać informacje o jej działaniach służbie bezpieczeństwa. Hoover uważał, że Barbara w zamian za bezpieczeństwo swojego drugiego męża przekazuje za jego pośrednictwem znaczne sumy pieniędzy nazistom.

Barbara zakochała się w jednym z najlepiej opłacanych aktorów Hollywoodu – co było dla niej nowością, jako że poprzedni mężowie nie pracowali i nie mieli wielkich dochodów. I Grant, i Barbara mieli za sobą trudne i samotne dzieciństwo, naznaczone nieobecnością matki i nieporozumieniami między rodzicami. Archibald Leach – bardziej znany jako Cary Grant – urodził się w Bristolu w Anglii 18 stycznia 1904 roku, w ubogiej rodzinie. Miał dziewięć lat, kiedy ojciec, niewierny mąż, doprowadził do zamknięcia żony w ośrodku psychiatrycznym, by móc bez przeszkód żyć z kochanką. Grant, póki dwadzieścia lat później nie dowiedział się prawdy, nienawidził matki za to, że go opuściła. Relacja ta zaciążyła na jego wszystkich związkach z kobietami. Mając trzynaście lat, uciekł z domu od ojca alkoholika, który nie okazywał mu żadnej serdeczności. W 1920 roku wyruszył z trupą aktorów do Ameryki, by występować w różnych teatrach kraju. Miał siedemnaście lat, blisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, urok, uwodzicielski uśmiech i wrodzoną elegancję. Szybko zawojował publiczność amerykańską.

Zamiast wracać do Europy, Cary i jego towarzysze postanowili zostać w Stanach i spróbować szczęścia w Holly-woodzie. On sam przybył tam w roku 1931, a dziesięć lat później był już modnym aktorem amantem, wielką gwiazdą. Mieszkał w Santa Monica, we wspaniałej rezydencji nad morzem. Barbara wynajęła dawny dom Bustera Keatona, by być bliżej swojej nowej sympatii. Była to trzydziestopokojowa willa w stylu włoskim, z basenem na wzór rzymskich term. Wśród oryginalnych szczegółów można wymienić pełną pstrągów rzekę oświetlaną po zmroku.

Ósmego lipca 1942 roku Cary Grant stał się trzecim mężem Barbary Hutton. Uroczystość – inaczej niż w dwóch poprzednich przypadkach – odbyła się nad jeziorem Arrowhead, na południu Kalifornii, bez udziału dziennikarzy, w ścisłym gronie rodzinnym. Grant podpisał dokument, że w razie rozwodu zrezygnuje z rekompensaty w wysokości miliona dolarów. Prawdopodobnie to Hoover,

pragnąc uchronić aktora przed ewentualnymi komplikacjami, pilnował, aby jego finanse nie były powiązane z finansami milionerki. Niewątpliwie lata przeżyte z Carym należały do najszcześniejszych dla Barbary. Żaden z poprzednich mężów nie traktował jej z taką delikatnością i czułością. Ci, którzy ich znali, wiedzieli jednak, że różnice między nimi są zbyt duże, a ich styl życia całkiem odmienny.

Grant niechętnie pokazywał się publicznie i uczestniczył w imprezach towarzyskich. Lubił przebywać w domu, w gronie przyjaciół, zapraszać ich na sobotnie kolacje: „Wybieraliśmy sobotę, ponieważ był to dzień wolny dla służby Barbary; wówczas goście sami przygotowywali sobie posiłek i zmywali”. Tyle że Barbara źle się czuła w gronie przyjaciół męża – między innymi Davida Nivena czy Jamesa Stewarta. Przywykła do towarzystwa arystokratów i milionerów, a nie aktorów, i nie bardzo umiała się wśród nich odnaleźć.

Cary pełnił przy niej funkcję swego rodzaju anioła stróża, ona zaś wiązała z małżeństwem wielkie nadzieje. Cary cenił jej wrażliwość i uważał ją za uzdolnioną w dziedzinie poezji, a także świetną tancerkę. Od początku starał się chronić jej życie prywatne i dlatego poprosił, aby zrezygnowała ze swojego rzecznika prasowego. Po pewnym czasie zaczęli się starać o dziecko, ale bez rezultatu. Nie pomogły próby ze sztucznym zapłodnieniem i rozliczne konsultacje lekarskie.

Stopniowo zaczęły się pojawiać rozdziewiki między nimi. Cary'ego drażniło nadmierne zainteresowanie prasy skandalizującym życiem Barbary i obawiał się negatywnego wpływu zachowania żony na swoją karierę aktorską. Poza tym jako człowiek mający opinię skąpego źle znosił niekontrolowaną hojność Barbary, która potrafiła rozdawać pokojówkom raz włożoną przez siebie biżuterię czy wytworne suknie. Po ślubie wynajęli luksusową posiadłość w Pacific Palisades, kilka minut od centrum Los Angeles, gdzie służba domowa liczyła dwadzieścia dziewięć osób. Dla aktora była to niepojęta rozrzutność.

W 1943 roku małżeństwo Barbary zaczęło przeżywać kryzys. Grant uciekał w pracę, kręcąc pięć filmów. Barbarze, przyzwyczajonej, że jej mężowie nie pracują i spędzają czas z nią, przykro było, że aktor co dzień rano wychodzi do studia. Znów czuła się opuszczona i samotna jak w czasach dzieciństwa. Zaczęła nadużywać alkoholu i środków uspokajających, żeby móc zasnąć. Gdy mąż pracował, nudziła się. Kiedy wracał wieczorem zmęczony, zastawał dom pełen obcych ludzi, pijących i rozmawiających głośno. Barbara zapraszała gości, żeby się rozerwać i wypełnić swoją samotność. „Kiedy Cary przebywał w studiu, Barbara nie miała co robić. Zaczęła napomykać, że jej małżeństwo nie potrwa długo. To prawda, że potrzebowała kogoś, kto byłby stale obok niej. Bardzo to przykre, bo Cary naprawdę ją kochał. Miał na nią bardzo dobry wpływ. Barbara nabrała większego spokoju i lepiej znosiła bycie bogatą. Z nim przeżyła najlepsze chwile. Był dla niej bardzo czuły i delikatny. W normalnym świecie ludzie w związkach

mają swoje lepsze i gorsze momenty. (...) Wychodzą do pracy. Ale Barbara zawsze odrzucała taki świat. Woląca ten, który sobie stworzyła, zaludniony jednoróżcami i uskrzydłonymi końmi”, opowiadał producent filmowy Frederick Brisson, często odwiedzający dom Grantów.

Na początku sierpnia 1944 roku małżeństwo weszło w fazę ostateczną. Pewnej nocy, podczas gdy Barbara spała, aktor spakował walizki i opuścił dom. Zamieszkał w apartamencie w Beverly Hills, wynajętym potajemnie tydzień wcześniej. Następnego dnia Barbara, rozgniewana, obwieściła dziennikarzom, że porzuciła Cary’ego Granta i że to ona ponosi winę za rozpad małżeństwa. Po siedmiu tygodniach małżonkowie próbowali się pojednać, jednak nic to nie dało. I tak w lutym 1945 roku zakończyła się historia miłosna najbardziej znanej pary w Hollywoodzie. W pierwszych oświadczeniach po rozstaniu Grant mówił: „Naprawdę nie wiem, dlaczego to małżeństwo się rozpadło. Wszystko mogło być dobrze między nami, ale z pewnością nie było. Wciąż żywię głębokie uczucie dla Barbary. Jesteśmy dalej dobrymi przyjaciółmi i życzę jej wszystkiego dobrego. Chciałbym ją widzieć szczęśliwą. I będę bardzo rad, jeśli kiedyś ujrzę ją pod rękę z innym mężczyzną”.

Trzydziestotrzyletnia Barbara znowu została sama. Aby zapomnieć o Grancie, zaproponowała małżeństwo Olegowi Cassiniemu, wówczas projektantowi kostiumów w Hollywoodzie. Cassini, urodzony w rodzinie arystokratów rosyjskich, był w tym czasie mężem sławnej i pięknej aktorki Gene Tierney, z którą miał dwoje dzieci. Dziesięć lat później miał się stać stylistą odpowiedzialnym za garderobę kobiety, która przejęła po Barbarze Hutton tytuł najelegantszej kobiety świata – Jackie Kennedy. W swych pamiętnikach Cassini wyrażał się o Barbarze bez sympatii: „Mężczyźni pobudzali ją do życia. Zakochiwała się w kilku mężczyznach naraz, lecz trudno jej było zdobyć prawdziwą miłość – coś, co przypominałoby bardziej platoniczną przyjaźń niż cielesną namiętność. Dzielila mężczyzn na dwie grupy: tych, których kochała, i tych, z którymi sypiała. Jej małżeństwa były wyprane z seksu, a seks był wyprany z miłości. Owa niezdolność połączenia dwóch aspektów miłości w jednym mężczyźnie tłumaczy, dlaczego tak często zmieniała mężów. Zawsze miała nadzieję, że spotka mężczyznę swoich marzeń – pięknego rycerza w błyszczącej zbroi. Jednak dziwnym trafem nigdy się taki nie pojawił”.

Po tym jak rozstała się z Carym Grantem, a Cassini odmówił zaangażowania się w jej czwarty związek, Barbara przez jakiś czas korzystała ze swobody. Z Grantem utrzymywała dobre stosunki, nawet jej syn Lance spędzał z aktorem wakacje. Teraz znów została sama, ale po raz pierwszy nie było jej spieszo szukać nowego towarzysza. „Pierwszy raz w życiu mam wrażenie, że jestem wolną kobietą – mówiła. – Odkąd się urodziłam, zawsze stał za mną ktoś, kto mówił mi, co mam robić, a czego nie. Najpierw ojciec. Potem moi mężowie. I jeśli zawsze

spełniałam ich oczekiwania, to dlatego że nie znoszę sporów. W momencie kiedy ktoś zaczyna na mnie krzyżeć, ustępuję, byle tylko mieć spokój. Teraz mogę robić, co chcę...”.

Mimo to, i wbrew deklaracjom, nawiązała potajemny romans z aktorem Errolem Flynnem. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Errol Leslie Thomson Flynn. Flynn był już znany z ról w filmach przygodowych i miał opinię kobieciarza i lekkoducha. Barbara z początku opierała się, jednak jego sława kochanka zrobiła swoje. Pewnego dnia zostawiła w domu Errola w Hollywoodzie następującą wiadomość: „Jeśli chce się pan przespać ze mną, proszę do mnie zadzwonić. Podpisano: Barbara Grant”. Namiętny romans trwał pół roku. Errol, ikona złotych czasów Hollywoodu, zmarł w wieku pięćdziesięciu lat na skutek nadużywania opium, papierosów i alkoholu.

Dni wina i róż

Kiedy zakończyła się druga wojna światowa, Barbara ofiarowała swój bajkowy dom londyński rządowi Stanów Zjednoczonych. Posiadłość, bardzo zniszczona na skutek bombardowań, miała się stać z czasem rezydencją ambasadora amerykańskiego w Londynie. W tamtym okresie Barbara dowiedziała się, że w Tangerze w Maroku jest na sprzedaż pałac, i pojechała go obejrzeć w towarzystwie przyjaciela, hrabiego Alaina d'Eudeville'a. Pod koniec lat czterdziestych „białe miasto” stało się strefą międzynarodową wolną od podatków. Jego uprzywilejowany status przyciągał wysiedleńców z Europy i Ameryki – także tych, którzy uciekając przed gestapo, za wszelką cenę usiłowali zdobyć wizę – intelektualistów, awanturników, osoby z wyższych sfer. Barbarze egzotyka Tangeru i panująca tam swoboda obyczajowa wydawały się niezwykle atrakcyjne.

Pałac był olbrzymią budowlą o wysokich murach i białych blankach, położoną w samym sercu medyny. Nazywał się Sidi Hosni, na cześć świętego człowieka o tym imieniu, mieszkającego tu w XIX wieku. Składało się na niego siedem domów połączonych ze sobą krętymi korytarzami i tarasami na różnych poziomach. Całość przypominała miniaturową kazzbę. W roku 1933 pałac służył jako rezydencja ambasadorowi Stanów Zjednoczonych w Tangerze. Kiedy ten w 1946 roku wracał do kraju, wystawił posiadłość na sprzedaż. Generał Franco, zainteresowany budynkiem w tym strategicznym mieście, zaproponował właścicielowi niebagatelną sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Barbara Hutton, obejrzawszy pałac, zaoferowała sumę dwa razy wyższą i dobiła targu.

W ciągu najbliższych miesięcy zaczęła wydawać olbrzymie sumy na tapiserie, dywany, meble i stare bibeloty, urządzać pałac według swego gustu. Sprowadzała jedwabie z Tajlandii, złote zegary z firmy Van Cleef & Arpels.

Ponadto stworzyła prywatną galerię malarstwa. Na ścianach pałacu pojawiły się obrazy Braque'a, Maneta, Kandinsky'ego, Salvadora Dalí, El Greca i Paula Klee. Barbara była pierwszą bogatą cudzoziemką, która zamieszkała w medynie, nie zaś w którymś bogatym domu w ekskluzywnej dzielnicy na Starej Górze. Tam na ogół mieszkali cudzoziemcy, w większości ekscentryczni milionerzy podobni do niej. Władze kazały poszerzyć wąskie uliczki starego miasta, aby bogaczka od Woolwortha mogła przejeżdżać swoim sprowadzonym z Anglii rolls-royce'em.

Barbara, mimo że żyła w Sidi Hosni jak królowa, otoczona służbą w liberiach, nie była niewrażliwa na otaczającą ją nędzę. W sposób dyskretny, tak by informacja o tym nie przeciekła do prasy, anonimowo przekazywała czeki rozmaitym działającym w mieście organizacjom charytatywnym. Założyła również fundację, której celem była pomoc żywnościowa i odzieżowa dla wszystkich mieszkańców gór Rif, którzy przybywali do medyny, uciekając przed głodem. W latach sześćdziesiątych podpisała umowę ze szkołą amerykańską w Tangerze, fundując roczne stypendia dla dwanaściorga ubogich dzieci. Całą tę anonimową hojność przyćmiewały zbyt liczne przyjęcia urządzone przez nią w pałacu.

Przyciągały one wielu arystokratów i celebrytów z ówczesnych wyższych sfer. Greta Garbo, Aristotelis Onasis i Maria Callas, pisarze Paul Bowles i Truman Capote, fotograf Cecil Beaton, wśród wielu innych, bawili się w tej scenerii z tysiąca i jednej nocy. David Herbert, drugi syn hrabiego Pembroke, mieszkający w Tangerze od roku 1947, arbiter życia towarzyskiego w tamtejszym środowisku, pomagał Barbarze układać listę zaproszonych. „Sidi Hosni, Kazba, Tanger. Mrs. Barbara Woolworth Hutton uprzejmie zaprasza na bal na tarasie swojego domu (jeśli dopisze pogoda), 29 sierpnia o godz. 22.30. Czarny krawat. R.S.V.P. W razie wiatru gospodyni uprzejmie prosi o zgodę na przybycie w innym terminie”. Tak wyglądało zaproszenie na bal w Sidi Hosni, które otrzymał Paul Bowles. Zabawy u milionerki uchodziły za do tego stopnia atrakcyjne, że istniał autentyczny czarny rynek, na którym po zawrotnej cenie sprzedawane były zaproszenia.

Chcąc olśnić gości, Barbara nie szczędziła pieniędzy. Bale maskowe odbywały się nocą, zwykle na wspaniałym pałacowym tarasie, w imponujących dekoracjach. Barbara potrafiła w niepowtarzalny sposób zaaranżować przytulne i magiczne wnętrza Sidi Hosni. Zdarzało się, że na balach, na których gromadziło się ponad dwieście osób, występowało kilka orkiestr, tancerki wykonujące taniec brzucha, akrobaci albo tańczący fandango Cyganie sprowadzani wprost z Grenady. Pod gołym niebem rozbijano ogromne marokańskie namioty, w których goście mogli odpoczywać na miękkich poduszkach haftowanych prawdziwymi perłami i szafirami, popijając szampana lub paląc fajkę wodną. Kiedyś kazała sprowadzić z Sahary trzydziestu jeźdźców z namiotami i wielbłądami, tylko po to, żeby pełnili wartość honorową przy gościach.

W krótkim czasie ekscentryczna Amerykanka stała się w Tangerze postacią

znaną, a zarazem atrakcją turystyczną. Przewodnicy oprowadzający wycieczki po mieście zatrzymywali się przed jej domem ze słowami: „Oto jest Sidi Hosni, pałac Jej Wysokości Najjaśniejszej Pani Barbary Hutton, królowej medyny”. Bywało, że Barbara przyjmowała gości, siedząc na złotym tronie, w słynnym diademie z brylantów i szmaragdów, który należał niegdyś do Katarzyny Wielkiej. Niezależnie od przepychu uczt uwielbiała jednak proste życie w Tangerze, gdzie mogła się spokojnie przechadzać ulicami albo usiąść w małej kafejce, żeby napić się mięty, i nikt jej nie zaczepiał. Wieczorami lubiła chodzić sama na plażę i kąpać się w morzu przy świetle księżyca.

Jej czwartym mężem miał być prawdziwy książę rosyjski Igor Trubieckoj. Ów trzydziestopięcioletni arystokrata – równy jej wiekiem – atletycznie zbudowany, o przepięknych zielonych oczach, zmysłowych ustach, był wcześniej zawodowym cyklistą. Kiedy Barbara go poznała, zajmował się innymi, bardziej lukratywnymi interesami, między innymi handlował dewizami. Przed sprowadzeniem się do Tangeru Barbara widziała go tylko raz, ale zwróciła na niego uwagę – na niego oraz jego szlachecki tytuł. Ojciec Igora, książę Mikołaj Trubieckoj, pochodzenia litewskiego, i matka, hrabina Katarzyna Musin-Puszkina, uciekli z Rosji na krótko przed upadkiem ostatniego cara Mikołaja II. Najpierw osiedlili się w Stanach Zjednoczonych, potem przenieśli się do Nicei, na Lazurowe Wybrzeże, gdzie wychował się Igor.

Po powrocie do Paryża Barbara starała się dowiedzieć o nim czegoś więcej i poprosiła wspólnego znajomego o numer telefonu Igora. Następnego dnia, jako osoba, która zawsze pierwsza wychodziła z inicjatywą, zaprosiła księcia na kolację do swojego apartamentu w Ritzu. Po wystawnej kolacji poprosiła go bez ogródek, żeby przeszedł do jej sypialni. Sam książę poczuł się zaskoczony. „Zadzwoiła do mnie – wspominał – zjedliśmy kolację, po czym, mój Boże!, wszystko stało się tak szybko i nieoczekiwanie...”. Po tej szczególnej kolacji Igor był pod wrażeniem nie tylko majątku Amerykanki tudzież hojnych prezentów, jakie od niej otrzymał, on, prawie niezajomy, lecz także jej niezwykłej osobowości: „Była nie tylko kobietą nadzwyczaj inteligentną, wrażliwą, hojną, obdarzoną wielkim poczuciem humoru i temperamentem, lecz miała wyjątkową osobowość. Ktoś o takich cechach nie pozostanie niezauważony (...) i nie ma to nic wspólnego z urodą. Maria Callas i Marilyn Monroe były takimi kobietami. Jackie Kennedy i Greta Garbo również. I nawet jeśli Barbara nie wykorzystywała tego daru świadomie, odznaczała się wielkim magnetyzmem”.

Wiosną 1948 roku Barbara Hutton wzięła ślub ze swoim księciem w Chur, malowniczym szwajcarskim miasteczku, po czym wyjechała spędzić z mężem miodowy miesiąc w Zurychu i Bernie. Udało im się zmylić dziennikarzy, niemniej kiedy wrócili do Paryża, zastali ich w drzwiach hotelu. W czasie konferencji prasowej młoda małżonka mówiła rozradowana: „Nigdy nie byłam tak szczęśliwa.

Mam przecucie, że nasz miodowy miesiąc będzie trwał czterdzieści kolejnych lat”. W rzeczywistości Barbara mówiła nie o tym, co sama czuła, lecz co spodziewali się usłyszeć od niej inni. Jak w poprzednich przypadkach, po początkowej namiętności szybko przyszło rozczarowanie i nastąpił nowy głośny rozwód.

Przybywszy do hotelu ze świeżo poślubionym małżonkiem, Barbara zażądała dwóch osobnych apartamentów, ku zaskoczeniu Igora, który dzielił z nią łóżę od dnia poznania. Książę patrzył też z przykrością – jak patrzyli poprzedni małżonkowie – na problemy Barbary z jedzeniem. Wciąż obsesyjnie starała się schudnąć – ważyła wówczas pięćdziesiąt osiem kilo, lecz jej ideałem było pięćdziesiąt. W Ritzu w czasie obfitej kolacji na cześć małżonka nie wzięła nic do ust. Żywiła się głównie kawą, połykając wielkie ilości środków uspokajających i innych lekarstw. Cierpiała na bezsenność i nocami, zamknięta w swoim pokoju, pisała romantyczne wiersze. Jej brak równowagi psychicznej stawał się coraz bardziej widoczny. W kilka sekund przechodziła od euforii do depresji, budząc autentyczny niepokój męża. „Rano brała amfetaminę, wieczorem środki uspokajające. Wszystko to zaburzało jej sen, odbierało apetyt, zmniejszało libido”. Książę Igor, młody i pełen witalności, nie miał ochoty przez resztę swoich dni pielęgnować chorej małżonki.

Latem 1949 roku Barbara poważnie zapadła na zdrowiu z powodu zapalenia nerek, które zmusiło ją do pobytu w kilku klinikach szwajcarskich. Pod koniec roku przeszła rekonwalescencję w Gstaad, czując się coraz silniejsza. Spróbowała nawet pojeździć na nartach. Pewnego razu przewróciła się jednak, poczuła źle i znów musiała zostać przewieziona do szpitala. Tym razem diagnoza była bardzo niepokojąca: Barbara cierpiała na niedrożność jelit oraz guz prawego jajnika. Musiała dwukrotnie poddać się operacji i usunięto jej jajnik. Mimo że operacja się udała i Barbara niezwykle szybko wróciła do formy, był to dla niej bolesny cios, zabieg uczynił ją bowiem bezpłodną.

Po powrocie do Paryża, kilka miesięcy później, dalej prowadziła tryb życia, do jakiego przywykła. Bawiła się nocami, piła, nadużywała lekarstw. Zainteresowanie mężem już w niej wygasło. Pod nieobecność Barbary Igor kupił i wyremontował stary dom we francuskiej miejscowości Gif-sur-Yvette, zamierzając w nim osiaść na stałe. Barbara nigdy tego domu nie odwiedziła ani nie wyraziła ochoty zamieszkania w nim.

Jedyną radością był dla niej syn Lance – wówczas już czternastoletni. Barbara i jej były mąż hrabia Reventlow uzgodnili, że chłopiec będzie mieszkać po pół roku z każdym z rodziców. Barbarze było coraz trudniej znieść nieobecność syna, toteż poprosiła hrabiego, by zgodził się zmienić umowę, on jednak wyraził zdecydowany sprzeciw. W czasie wakacji spędzanych razem w Wenecji usiłowała namówić męża, by zostawił jej chłopca na tydzień dłużej. Reventlow,

zdegenerowany niedotrzymywaniem przez żonę umowy, wniósł sprawę do sądu, który przyznał mu rację. Lance musiał wrócić do ojca, mieszkającego teraz z nową żoną i drugim dzieckiem w wielkim domu w Newport. Barbara bardzo nad tym ubolewała, jako że dla cierpiącego na astmę syna wilgotny, chłodny klimat Newport nie był najodpowiedniejszy.

Przybywszy do Nowego Jorku, Barbara zwróciła się po poradę do psychiatry, który stwierdził u niej anoreksję na tle nerwowym. Milionerka na wiele dni zamknęła się w swoim apartamencie w hotelu Pierre, nie chcąc widzieć nikogo, nawet Igora. Na początku 1950 roku myślała już o kolejnym rozwodzie, przedtem chciała jednak nawiązać nową relację. Zaczęła się spotykać z innym arystokratą, trzydziestoletnim szarmanckim i wykształconym księciem francuskim Henrim de La Tour d'Auvergne. Na wieść o tym Igor spakował manatki i wyprowadził się z dzielonego wciąż z Barbarą domu. Wynajął jednego z najlepszych adwokatów nowojorskich, chcąc uzyskać jak najwięcej korzyści z rozwodu, przyznano mu jednak tylko dziewięćset tysięcy dolarów – z czego dwadzieścia procent miał zapłacić adwokatowi. Książę odrzucił tę sumę, na koniec jednak doszli z Barbarą do porozumienia: miał dostać dom we Francji, nowy samochód oraz otrzymywać tysiąc dolarów miesięcznie tytułem dożywotniej renty.

Na początku 1951 roku Barbara, aby być bliżej syna, zamieszkała w hotelu w Tucson, niewielkiej miejscowości na południu Arizony, w pobliżu szkoły syna. W weekendy odwiedzał ją kochanek, Henri de La Tour d'Auvergne, jednak po jego odjeździe czuła się zawsze bardzo samotna. Życie na jałowej pustyni, z dala od przyjaciół, w „smutnej scenerii kaktusów i wygłodniałych królików”, nie było najlepszym pomysłem dla kobiety światowej jak ona. Pod koniec roku opuściła Arizone, wróciła do Paryża i zainstalowała się znów w swoim apartamencie w hotelu Ritz.

W tym okresie Barbara była nieustannie w podróży. Wciąż przenosiła się z miejsca na miejsce. W ciągu niespełna roku zdążyła pomieszkać w Tucson, Acapulco i Cuernavace w Meksyku, oraz w San Francisco, gdzie powróciła do Hillsborough, dzielnicy, w której spędziła część dzieciństwa. Wytrzymała tam zaledwie dwa miesiące, by przenieść się do Honolulu wraz z całą swoją switą złożoną z syna Lance'a, nieodłącznej Ticki oraz dwóch osób ze służby. Miesiąc później znów była w Los Angeles. Jej przyjaciółka z dzieciństwa, Cobina Wright, znana kronikarka życia towarzyskiego, zorganizowała przyjęcie dla uczczenia jej powrotu do Hollywoodu, lecz Barbara, znajdująca się akurat w kryzysie psychicznym, nie wzięła w nim udziału.

Jej stan ducha był coraz bardziej chwiejny. Zażywała lekarstwa bez niczyjej kontroli i pewnej nocy, nie mogąc zasnąć, przedawkowała środki nasenne. Przeprowadzone w szpitalu w porę płukanie żołądka uratowało jej życie. Skłonności autodestrukcyjne Barbary były ewidentne, niemniej ona sama

wszystkiego się wypierała, tłumacząc, że „chciała jedynie zasnąć”. Najbliżsi przyjaciele doradzali jej terapię u psychoanalityka, ona jednak wybrała wizytę u świeżo przybyłego z Indii mistrza medytacji. Poleciła go Barbarze przyjaciółka z dzieciństwa, również bogata dziedziczka fortuny, Doris Duke. Prawdopodobnie jogin udzielił jej pięćdziesięciu lekcji pokazowych – po tysiąc dolarów – po czym wrócił do Indii z pełnymi kieszeniami, nie poprawiwszy stanu pacjentki.

Do problemów duchowych i uzależnienia od leków dołączyła troska o Lance'a. Syn zachowywał się jak rozpuszczony jedynak i choć osiągał dobre wyniki w nauce, prowadził życie lekkoducha. Barbara starała się być dla niego dobrą matką, jednak jej ciągle nieobecności nie ułatwiały im wzajemnego zrozumienia. Lance był przystojnym szatynem, harmonijnie zbudowanym jak jego ojciec, hrabia Reventlow, o twarzy dziecka i delikatnych rysach odziedziczonych po matce. Dużo pił, rozbijał się drogimi samochodami sportowymi – stanowiącymi jedną z jego wielkich pasji – i bawił się po nocach. Jego stosunki z matką były wówczas chłodne i napięte. Nie miał zrozumienia dla jej dziwactw ani rozrzutności. „Lance czuł się odpowiedzialny za matkę – wspominała jedna z jej przyjaciółek – ale nigdy nie była mu ona zbyt bliska. Wydawał mnóstwo pieniędzy na samochody, prawda, nie miał jednak tej obsesji wydawania non stop, jaką miała matka. A poza tym nie rozumiał, dlaczego matka musi się stale przenosić z miejsca na miejsce i może z taką łatwością zmieniać mężów i kochanków”.

Złamane serce

W maju 1953 Barbara wyjechała z Lance'em do Deauville, gdzie odbywały się jedne z najważniejszych na świecie zawodów polo. Ta mała miejscowość francuska nad kanałem La Manche była luksusowym kąpieliskiem, chętnie odwiedzanym przez gwiazdy filmowe, arystokrację i próżniących milionerów. Tam właśnie miała poznać sławnego Porfiria Rubirosę, kapitana jednej z drużyn polo uczestniczących w zawodach. Ten opalony playboy z Dominikany, spacerujący pod rękę z aktorką Zsa Zsą Gabor, miał opinię wielkiego podrywacza. Zanim dotarł na szczyty towarzyskie, był bokserem, kierowcą Formuły 1, pilotem, poszukiwaczem skarbów, a także ambasadorem w kilku krajach, zawsze pod protektoratem prezydenta Dominikany Rafaela Trujillo. Najbardziej zasłynął jednak z miłosnych podbojów. Na długiej liście jego zdobyczy figurowały między innymi: Veronica Lake, Dolores del Río, Joan Crawford, Jayne Mansfield, Susan Hayward, Tina Onasis i Evita Perón.

Rubirosa pochodził z dominikańskiej klasy średniej. Jego ojciec, otrzymawszy stanowisko radcy ambasady w Paryżu w 1920 roku, zabrał ze sobą syna. Po ukończeniu szkoły w stolicy Francji, Rubi, jak go nazywano, wrócił do

kraju i wstąpił do wojska. W wieku dwudziestu lat był już kapitanem. Prezydent Rafael Leónidas Trujillo poznał go w czasie zawodów polo w 1932 roku i powołał do swojej gwardii.

Legenda Rubirosy rozpoczęła się w dniu, w którym dyktator wysłał go na lotnisko po swoją córkę Flor de Oro, wracającą ze szkoły we Francji. Siedemnastoletnia dziewczyna zakochała się w kapitanie na zabój i zaczęła się z nim spotykać. Po trwającym dwa lata narzeczeństwie para wzięła ślub, za przyzwoleniem Trujillo, który dzień ślubu ustanowił świętem państwowym. Kilka dni później nowożeńcy udali się do Berlina, gdzie Porfirio otrzymał stanowisko ambasadora. „Jest świetnym dyplomatą – miał o nim powiedzieć Trujillo – ponieważ kobiety go uwielbiają, a on potrafi je zwodzić”.

Związek z młodą, niedoświadczoną córką prezydenta zakończył się w momencie, w którym ta uświadomiła sobie, że Porfirio jest wielkim ladaco, który flirtuje jawnie z innymi kobietami. Po pięciu latach małżeństwa, w okresie zamieszkiwania w Paryżu, nastąpiło zerwanie. Trujillo nie darował kapitanowi, że tak się obszedł z jego ukochaną córką. Po rozwodzie Porfirio pozostał jakiś czas w Paryżu, gdzie aby się utrzymać, handlował biżuterią i prowadził inne podejrzane interesy. W końcu prezydent przebaczył byłemu zięciowi i zaoferował mu stanowisko attaché handlowego w ambasadzie we Francji.

Porfirio ożenił się po raz drugi, z młodą i bogatą aktorką francuską, dwudziestotrzyletnią Danielle Darrieux. Gdy namiętność wygasła, rozstali się po przyjacielsku. W 1947 roku Rubi ożenił się znowu, tym razem z Doris Duke, sławną dziedziczką American Tobacco Company. Ślub odbył się w ambasadzie Dominikany w Paryżu, a Trujillo, urzeczony nową żoną byłego zięcia, zaoferował mu stanowisko ambasadora w Buenos Aires. W ciągu trzynastu miesięcy trwania małżeństwa Rubi otrzymał od wdzięcznej małżonki wspaniałe podarunki: stajnię koni do gry w polo, kilka samochodów wyścigowych, awionetkę i dom w Paryżu. Następny łup nie był trudny do zdobycia: wątpła, chorowita multimilionerka, bardziej niż kiedykolwiek spragniona czułości mężczyzny.

Mimo że Cary Grant i najlepsi przyjaciele próbowali odwieść Barbarę od poślubienia playboya w typie Porfiria, ona nie ustąpiła. Ślub odbył się w ambasadzie Dominikany w Nowym Jorku, językiem uroczystości był hiszpański, a wzięli w niej udział jedynie syn Barbary Lance, jej macocha Irene oraz kilka bliskich przyjaciółek. Zachowane zdjęcia pokazują kobietę nieobecną duchem, wychudzoną, o zmęczonej twarzy. Istotnie, gdy oboje dotarli do hotelu, gdzie przygotowano dla nich wystawne przyjęcie, Barbara wytrzymała na nogach zaledwie pół godziny, po czym wyczerpana wycofała się do swego apartamentu. Małżeństwo z Rubim zaczęło się od złej wróżby: następnego dnia Barbara pośliznęła się w wannie i złamała nogę w kostce. Wobec takiej przeciwności losu miodowy miesiąc musiał zostać odłożony o tydzień. Barbara i jej piąty mąż

wyjechali potem do Palm Beach, gdzie milionerka wynajęła na trzy miesiące luksusową rezydencję należącą do maharadży Barody.

Mimo że od początku Rubi nie krył niechęci do żony i wybrał sobie pokój położony w przeciwległym skrzydle domu, Barbara okazywała nowemu towarzyszowi wiele tolerancji. Prezentem ślubnym był samolot B-52, a na czterdzieste piąte urodziny wystawiła mu czek, aby mógł nabyć plantację w Dominikanie, co uznawał za dobrą inwestycję. Mimo tych wszystkich prezentów Rubi nie okazywał żonie żadnej serdeczności. Od chwili przybycia do Palm Beach co wieczór wychodził się zabawić i odwiedzał najlepsze nocne kluby w poszukiwaniu damskiego towarzystwa. Żył za pieniądze Barbary, którymi szastał bez zastanowienia, przepuszczając je w klubach polo albo w najelegantszych sklepach z konfekcją.

Wkrótce wrócił w ramiona ukochanej Zsa Zsy Gabor, odwiedzając ją w Phoenix w Arizonie, gdzie kręciła komedię z Deanem Martinem i Jerrym Lewisem. Prasa skomentowała to spotkanie, ale Barbara udawała, że o niczym nie wie. Kilka dni później zaprosiła grupę przyjaciół do znanej restauracji. Sławny śpiewak Chango Rodríguez dla uprzyjemnienia wieczoru wybrał piosenkę zatytułowaną *Just a Gigolo*. Porfirio nie tylko wziął za dobrą monetę żart Changa, swego przyjaciela, lecz rozbawiony poprosił go o powtórzenie numeru. Siedząca przy nim Barbara nie odezwała się słowem, lecz przy deserze na oczach wszystkich gości wymierzyła mu siarczysty policzek, po czym opuściła restaurację.

Tym samym położyła kres swemu piątemu małżeństwu, które trwało pięćdziesiąt trzy dni. Porfirio w ciągu zaledwie półtora miesiąca zdołał, wliczając w to prezenty i czeki od hojnej małżonki, zgromadzić trzy i pół miliona dolarów. Po rozwodzie udał się na spotkanie ze swoją ukochaną Zsa Zsą Gabor, czekającą nań w Paryżu. Przez pół roku para wydawała pieniądze Barbary, pokazując się bez żadnego skrępowania w najlepszych nocnych lokalach stolicy. W roku 1956 aktorka i Rubi rozstali się definitywnie. Ona wróciła do Hollywoodu, gdzie czekała ją olśniewająca kariera.

Lato 1954 roku Barbara spędziła w swym pałacu w Tangerze, po czym wyjechała do Los Angeles, by spotkać się z synem. Lance rzucił studia i zajmował się wyłącznie wyścigami samochodowymi. W tamtym okresie pozostawał pod opieką Dudleya Malkera, dawnego zarządcy domu Cary'ego Granta. Wobec ciągłej nieobecności matki służba domowa stanowiła dla Lance'a jedyną stałą rodzinę – podobnie jak dla Barbary w jej dzieciństwie.

Wiosną Barbara opuściła dom w Los Angeles i syna, wyruszając w podróż. Spędziła kilka tygodni w Paryżu, potem w Madrycie, w połowie lipca wróciła do Tangeru. Osamotniona w swoim pałacu, wysłała list do starego przyjaciela – i byłego kochanka – barona Gottfrieda von Cramma, prosząc go, by przyjechał i dotrzymał jej towarzystwa. Po kilku dniach zjawił się w jej domu ów sławny

tenisista, w którym Barbara od dawna była zakochana. Aby mu zrobić przyjemność, wynajęła trzy tancerki wykonujące taniec brzucha, a po spektaklu na znak wdzięczności obrzuciła je na scenie drogimi kamieniami.

Po lecie spędzonym w Tangerze w połowie października 1955 roku wróciła do Paryża i oznajmiła przyjacielom, że wychodzi za Gottfrieda i jest przekonana, że to ostatni raz. Znali się osiemnaście lat, Barbara dobrze się czuła w jego towarzystwie i chciała – po raz szósty – wyjść za mąż. Wzięli ślub 25 listopada w Wersalu, w gronie najbliższych. Jednak kolejny raz szczęście odwróciło się od milionerki. Pierwsze miesiące spędzili w Cuernavace w Meksyku, i tam Barbara zdała sobie sprawę, że jej małżeństwo nigdy nie będzie mogło zostać skonsumowane. Przystojny, postawny baron mimo chęci zadowolenia żony nie mógł ukryć swojego zainteresowania mężczyznami. Dla Barbary był to ciężki cios. Wiosną 1956 roku zaczęli osobne życie, choć nie spieszyli się z rozwodem.

Przez kolejny rok, 1957, Barbara dalej topiła smutki w kieliszku i nadużywała środków nasennych. Lekarze zalecali jej kurację odwykową, mąż, znający ją dobrze, wiedział jednak, że się na to nie zgodzi. Wtedy przyjaciele, poważnie zaniepokojeni jej stanem, namówili ją do przygotowania wyboru wierszy do publikacji. Barbara, zadowolona z tego pomysłu, zebrała czterdzieści dwa wiersze o miłości i podróżach w tomiku pod tytułem *Podróżniczka*, dedykowanym synowi.

Latem zostawiła męża w Paryżu i wyjechała do Wenecji, gdzie wciąż miała dobrych przyjaciół. W Wenecji bywało wielu zamożnych Amerykanów i wiele sławnych postaci. W bogatych pałacach nad kanałami odbywały się huczne przyjęcia. Barbara zamieszkała w rezydencji przyjaciółki, hrabiny Volpi, i cały sierpień bawiła się na balach i przyjęciach. Tam poznała Jimmy'ego Douglasa, syna wysokiej rangi oficera amerykańskiego, spędzającego w Wenecji wakacje. Młody człowiek miał dwadzieścia siedem lat, lecz pomimo różnicy wieku oboje natychmiast znaleźli wspólny język. Jimmy miał się stać jej nieodłącznym towarzyszem przez najbliższe trzy lata. Oboje uwielbiali podróże i razem zwiedzili wiele krajów.

Z nowym towarzyszem życia Barbara podróżowała kilka miesięcy po Dalekim Wschodzie. „Wciąż ją gdzieś gnało. Przemierzyliśmy razem tysiące kilometrów. Barbara była być może jedną z ostatnich wielkich podróżniczek w historii”, mówił o niej Jimmy. Między lutym a czerwcem 1958 roku towarzyszył ekstrawaganckiej milionerce w Manili, Hongkongu, Bangkoku. Stamtąd udali się do Indii, gdzie zostali przyjęci przez wiele ważnych osobistości, między innymi maharani Dżajpuru. Po miesiącu w Kaszmirze wrócili do Europy, z przerwą w Stambule. Z początkiem czerwca dotarli do Wiednia, gdzie obejrzeli liczne spektakle, po czym we wrześniu znaleźli się na powrót w Wenecji. Po całej eskapadzie Barbara, która skończyła czterdzieści sześć lat, wydawała się

w lepszym nastroju. Podróż dobrze jej zrobiła. Teraz, zakochana w Jimmym, chciała poprawić swój wygląd, żeby mu się podobać.

W październiku poddała się liftingowi i korekcie piersi w klinice chirurgii plastycznej. Zadowolona w listopadzie wróciła do Tangeru w towarzystwie Jimmy'ego. Tyle że podobnie jak dla ostatniego męża, barona Gottfrieda von Cramma, również dla nowego towarzysza jako kobieta przestała być pociągająca. Barbara przyznawała ironicznie, że miała „rzadką skłonność przyciągania nieco dziwnych mężczyzn”. Cała ta sytuacja napelniała ją wielkim lękiem i niepokojem, jako że była bardzo zakochana w Jimmym.

Mimo że ich relacja nie wyglądała tak, jak Barbara sobie wyobrażała, pod koniec stycznia 1959 roku Jimmy znów wyjechał z nią do Cuernavaki, do Meksyku. Tam Barbara dodała nowy dom do długiej listy będących w jej posiadaniu nieruchomości. W dolinie wulkanu Popocatepetl kazała zbudować prawdziwy japoński dom. Zarówno materiały budowlane, jak i posadzone w ogrodzie drzewa i kwiaty zostały sprowadzone bezpośrednio z Japonii. Dom odzwierciedlał miłość Barbary do Japonii i jej fascynację kulturą tego kraju. Sumiya – jak nazwała posiadłość – kosztowała ją trzy i pół miliona dolarów.

Po powrocie do Paryża Barbara rozwiodła się oficjalnie – i po przyjacielsku – z ostatnim mężem, von Crammem, który otrzymał jako rekompensatę sześćset tysięcy dolarów. Po podpisaniu dokumentów spędziła kilka dni w Nowym Jorku, by potem udać się w towarzystwie Jimmy'ego do San Francisco na ślub syna. Dwudziestego czwartego marca uczestniczyła, aczkolwiek niechętnie – i tylko dzięki namowom Jimmy'ego – w ślubie Lance'a z Jill St. John. Synowa nie przypadła jej do gustu i zamieniła z nią zaledwie kilka słów. Spotkały się ponownie dopiero dwa miesiące później w Paryżu. Napięcie między obiema kobietami stawało się jawne. Zgadzały się jedynie co do tego, że Lance powinien przestać się interesować wyścigami.

Latem 1960 roku Barbara i Jimmy Douglas ostatecznie ze sobą zerwali. „Zbyt ją podziwiałem, by powiększać listę tych, którzy ją zdradzili. Wiedziałem jednak, że wszyscy przede mną dochodzili na koniec do ściany. Przy Barbarze niemożliwy był jakikolwiek kompromis. Nie można było być z nią, a jednocześnie mieć własne życie. Była tak bogata, że nie musiała z niczego w życiu rezygnować”, mówił Jimmy po rozstaniu. Kilka miesięcy później Barbara udała się do Tangeru, gdzie w listopadzie obchodziła czterdzieste dziewiąte urodziny. Znany fotograf Cecil Beaton sportretował ją tego dnia w jej pałacu Sidi Hosni dla czasopisma „Life”. Na zdjęciu, jednym z najbardziej znanych, pozowała w drogocennym diademie ze szmaragdów, ubrana we wspaniałe jedwabne sari. Zachowała dawną dystynkcję, ale jej spojrzenie wyrażało głęboką melancholię.

Milionerka przeżywała jeden ze swoich mrocznych okresów, a przyczyną były tym razem napięte relacje z synem. Lance nie aprobował stylu życia matki –

zawsze w pogoni za męskim towarzystwem – i był wobec niej okrutny. W rzeczywistości on, który skończywszy dwadzieścia jeden lat, odziedziczył osiem milionów dolarów, również miał problemy osobiste. Rozstał się właśnie z żoną. Jill, pragnąc zrobić karierę w filmie, zaangażowała się w związek z Frankiem Sinatrą.

W sierpniu 1961 roku Barbara w towarzystwie dobrego przyjaciela Davida Herberta wybrała się w podróż samochodem po Maroku. W Marrakeszu zostali zaproszeni na herbatę do Raymonda Doana, Wietnamczyka, chemika z wykształcenia, który pracował w przedsiębiorstwie naftowym, a w wolnych chwilach oddawał się swojemu prawdziwemu powołaniu – malarstwu. Był żonaty z Francuzką i miał dwoje dzieci. Sprzedał Barbarze jeden z obrazów. Kilka dni po powrocie do Tangeru Barbara otrzymała anonimowy wiersz, bardzo romantyczny. Autorem był Raymond, który wyznawał jej miłość i uwielbienie. Kiedy w styczniu 1963 roku artysta wystawiał obrazy w Tangerze, Barbara zakupiła wszystkie, a następnie poprosiła go, by przeprowadził się do jej pałacu. Raymond Doan spakował się i przeniósł do Sidi Hosni, opuszczając żonę Jacqueline i małe dzieci.

W listopadzie 1963 roku Barbara kupiła swojemu nowemu towarzyszowi tytuł szlachecki. Dowiedziała się, że sprzedaje go pewien książę w Indochinach – za skromną sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów – i Doan zmienił się w księcia Vinh Na Champassaka. Niepomna jak zawsze przestróg przyjaciół i syna, wzięła z Raymondem ślub w Cuernavace. Po uroczystości szczęśliwa mówiła dziennikarzom: „Raymond był sumą moich mężów, posiadając najlepsze ich zalety, a żadnej ich wady”. Znów, w wieku pięćdziesięciu jeden lat, próbowała przekonać prasę – a może i siebie samą – że tym razem jej wybór jest ostateczny. Po uroczystości cywilnej, w której uczestniczył Lance, wzięli ślub buddyjski we wspólnym japońskim domu Barbary.

Małżonkowie wyruszyli w podróż poślubną na Hawaje i Tahiti. Nieporozumienia zaczęły się szybko, Raymond postanowił bowiem podróżować bez służby i z niewielkim bagażem. Nie brał jednak pod uwagę faktu, że dla Barbary będzie się to wiązało z wielką niedogodnością. Na tym etapie życia nie potrafiła już funkcjonować bez swojej pokojówki, lokaja i damy do towarzystwa. Konflikt był nieunikniony, a jako że Barbara nie miała ochoty rezygnować ze swoich przyzwyczajień, zostawiła Raymonda na Tahiti i wróciła sama do Tangeru. Po kilku dniach wrócił i Raymond, a Barbara, żeby wynagrodzić mężowi wyrozumiałość, sprezentowała mu piękny piętrowy dom w Tangerze i zamówiła dla niego nową garderobę.

W miarę upływu lat zachowanie Barbary stawało się coraz bardziej ekscentryczne. Osiedli w Tangerze pisarz Paul Bowles tak opisywał swoją wizytę w Sidi Hosni: „Siedziała na tronie, który w rzeczywistości był stosem poduszek, popijając colę z cola cao. Na głowie miała diadem, twarz umalowaną. Jej ręce były

chude jak patyki. Tak bardzo pogorszył jej się wzrok, że potrzebowała batalionu służących, żeby jej czytali. Jak mówił mi jeden z nich, czasem prosiła, żeby jej śpiewali, zamiast czytać”. Podobno zdarzało się, że zapraszała ludzi na kolację do pałacu, lecz gdy przychodzili, nie wpuszczała ich.

Siedem miesięcy po ślubie Barbary z Wietnamczykiem jej syn ożenił się ponownie, tym razem ze znaną aktorką hollywoodzką, miłą blondynką Cheryl Holdridge. Uroczystość, w której uczestniczyło sześćset osób, w tym Cary Grant, odbyła się w kościele metodystów w Hollywoodzie. Barbara nie mogła być na niej obecna, gdyż przebywała w szpitalu z powodu bólów brzucha. Zajmujący się nią lekarz poradził, by zrezygnowała z alkoholu, a ona po raz pierwszy zastosowała się do tych zaleceń. Od tamtej pory zrobiła się nałogowcem coca-coli, wypijając nawet dwadzieścia butelek dziennie.

Związek z siódmym mężem dawno się rozpadł i oboje żyli osobnym życiem. Pod koniec kwietnia 1971 roku Barbara myślała poważnie o rozwodzie, i wyjechała do Rzymu, wybrać dla męża pałac jako podarunek na pożegnanie. Wówczas właśnie złamała sobie główkę kości udowej i musiała przez dwa miesiące leżeć w szpitalu. Doanowi przypadł rzymski pałac, lecz w zamian za to niezrównana małżonka ofiarowała mu jeden ze swoich najcenniejszych klejnotów: wspaniały diadem z brylantów i szmaragdów.

W maju 1972 roku, po kilku miesiącach w Palm Beach spędzonych na morskich kąpielach, wizytach u przyjaciół i zakupach, Barbara pojechała do Hiszpanii. W Plasencii poznała znanego matadora Ángela Teruela. Młody, dziarski toreador, cieszący się sławą zdobywcy serc niewieścich, nie pozostał niezauważony przez sześćdziesięcioletnią milionerkę. Zauroczone toreadorem, pojechała z nim na Jarmark Sewilski, po czym zaprosiła go na parę dni do siebie do Marbelli. Dziennikarze chodzili za nimi krok w krok i wielu zarzucało jej, że swoimi pieniędzmi deprawuje młodego człowieka, nadzieję tauromachii. Pod koniec czerwca para się rozstała. Teruel wrócił do Madrytu, Barbara zaś, smutna i przygnębiona, do swojego domu w Tangerze.

Prawdziwa tragedia w jej życiu miała się jednak dopiero wydarzyć. W lipcu 1972 roku prywatna awionetka, którą jej syn leciał z przyjaciółmi, roztrzaskała się po starcie w okolicy Aspen w Kolorado. Na wieść o śmierci syna Barbara pogrążyła się w rozpacz. W pierwszej chwili nie zgodziła się na pochowanie go i prosiła, by przetransportować ciało do Tangeru. W końcu pozwoliła jego żonie Cheryl zająć się pogrzebem. Czuła się tak chora i załamana, że nie wzięła udziału w pogrzebie syna. Lance miał trzydzieści sześć lat.

Nigdy nie wróciła do równowagi po śmierci Lance’a, za którą się obwiniała. „Zawsze mówiła o synu w czasie teraźniejszym i przyszłym, nigdy w przeszłym – opowiadała jej sekretarka – jakby spodziewała się, że Lance lada chwila wejdzie do pokoju”. Życie straciło dla niej wszelki sens. Czasem przez kilka tygodni nie

opuszczała sypialni. Przestała być interesującą, elegancką damą, ubraną według ostatniej mody przez najlepszych stylistów, na przyjęciach paradującą we wspaniałych klejnotach. Teraz, jeśli pokazywała się na ulicy, niesiona przez swojego australijskiego bodyguarda – cierpiała na zanik mięśni w nogach i chroniczne zapalenie ścięgien, uniemożliwiające chodzenie – twarz miała ukrytą za wielkimi ciemnymi okularami, była ubrana w stroje z lat dwudziestych, ręce miała obwieszona biżuterią.

Była cieniem samej siebie, więc by ją trochę ożywić, jej przyjaciółka, hrabina Marina Volpi, zaprosiła ją na jakiś czas do Wenecji. Dobre czasy jednak już minęły i Barbara stała się obrazem dekadencji, od którego wszyscy odwracali wzrok. Tak wspomina ją z tego okresu dziennikarz i krytyk muzyczny Lanfranco Rasponi: „Hutton, niegdyś otoczona kultem wśród bogatych, teraz była chodzącym trupem. Ciągle widzę ją, jak idzie sama po plaży na Lido albo usiłuje namówić starych przyjaciół, żeby zjedli z nią podwieczorek. Była już antykiem, moda na nią minęła, należała do przeszłości i budziła w publice, podobnie jak w dawnych przyjaciółkach, równie małe zainteresowanie jak monarcha zrzucony z tronu”.

Wróciła do Kalifornii w dniu swoich sześćdziesiątych drugich urodzin, które obchodziła sama w apartamencie hotelu Beverly Wilshire. Ledwo co jadła i niewiele sypiała. Wieczorem obwieszała się klejnotami, ubierała ekstrawagancko i szła na drinka do pobliskiego klubu odwiedzanego przez żigolaków. Jedną z najbogatszych niegdyś kobiet świata była na starość pogrążona w długach, częściowo za sprawą swego administratora Grahama Mattisona. Ów chciwy, pozbawiony skrupułów człowiek, który bez pozwolenia chlebodawczyni sprzedawał należące do niej posiadłości i wzbogacił się jej kosztem, stał się na koniec jej najgorszym wrogiem. Mattison, wykorzystując fakt, że władze umysłowe Barbary słabły i że jej kres się zbliżał, przejmował nad nią coraz większą kontrolę. Nie dopuszczał do niej nikogo, a przede wszystkim rozmaitych łowców posagów, którzy kiedyś tak ją pociągali.

Pod koniec 1978 roku przyjaciel, projektant Hubert de Givenchy, odwiedził ją w hotelu i próbował namówić na przeniesienie się do Tangeru. Z początku niechętna, wkrótce zaczęła cieszyć się na myśl o powrocie do spokojnego pałacu w medynie. Zadzwoiła nawet do Jimmy’ego Douglasa i poprosiła, by z nią zamieszkał w tym ostatnim należącym do niej domu. Ale nie dane jej było spełnić tego marzenia. Jedenastego maja 1979 roku zmarła w łóżku szpitalnym na atak serca. Miała sześćdziesiąt sześć lat; ważyła czterdzieści kilogramów. Dwa tygodnie później została pochowana obok swojej matki Edny i syna Lance’a w rodzinnym grobowcu zbudowanym przez dziadka na cmentarzu Woodlawn w Bronksie, dzielnicy Nowego Jorku. Zgodnie z jej życzeniem, nie wydano oficjalnego komunikatu dla prasy ani nie odprawiono nabożeństwa religijnego. W pogrzebie wzięło udział tylko dziesięć osób. W chwili śmierci kobieta będąca kiedyś

właścicielką najcenniejszej kolekcji szmaragdów na świecie miała na koncie trzy tysiące dolarów. W krypcie, w której spoczywają jej zwłoki, można zobaczyć elegancki napis: Barbara Woolworth Hutton 1912–1979. Żadna tablica, żadne epitafium nie upamiętnia bogatej dziedziczki fortuny, która przepuściła majątek, chcąc zapełnić niemożliwą do zniesienia samotność.

Audrey Hepburn



Wierna sobie

*Zostałam aktorką przez przypadek.
Nikt o mnie nie słyszał, byłam nieśmiała, niedoświadczona,
wątlej budowy. Pracowałam bardzo ciężko, przyznaję,
ale i tak wciąż nie rozumiem, jak to się wszystko stało.*

Audrey Hepburn

Audrey Hepburn, najbardziej idealizowana aktorka złotego wieku Hollywoodu, była dziewczyną nieśmiałą i zakompleksioną z powodu swojego wyglądu, która nigdy nie czuła się ikoną mody. To zaskakujące, że ta wątła dziewczyna o gęstych brwiach i ogromnych oczach, która zaznała głodu i nędzy wojny, stała się ostatecznie legendą kina. Mimo że nigdy nie uważała się za dobrą aktorkę – prędzej za niespełnioną tancerkę – osiągnęła w wieku dwudziestu czterech lat to, czego inne doświadczone aktorki nie zdołały osiągnąć przez lata ciężkiej pracy. „Żądano ode mnie gry aktorskiej – mówiła Audrey – choć nie umiałam grać; kazano mi śpiewać, tańczyć z Fredem Astaire’em, choć nie potrafiłam ani tego, ani tego; proszono, żebym robiła rozmaite rzeczy, do których nie byłam przygotowana. Wszystko to osiągnęłam, ciężko pracując i pokonując własne słabości”.

Nieodłączny stylistka aktorki, Alberto de Rossi, w makijażu do wszystkich filmów podkreślał jej duże oczy, jednak nie potrafił zamaskować ich melancholijnego wyrazu. Gwiazda ukrywała bowiem w swoim wnętrzu bolesne, nigdy niezabliźnione rany: odejście ojca, kiedy była małą dziewczynką, chłodne traktowanie przez surową matkę niezdolną do okazania czułości, koszmar wojny przeżytej w okupowanej przez nazistów Holandii, dwa nieudane i zakończone rozwodami małżeństwa, poronienia będące przyczyną głębokiej depresji. Gdy spełniło się jej największe marzenie i została matką, jej dwaj synowie, Sean i Luca, znaleźli się w centrum jej życia. Będąc u szczytu kariery, zrezygnowała z aktorstwa i wcieliła się w rolę, która najbardziej jej odpowiadała: rolę matki. Jakiś czas po śmierci aktorki starszy, bliższy jej syn, Sean Hepburn Ferrer, powiedział: „Najpierw dowiedziałem się, że była matką, i to wspaniałą. Potem, że była aktorką i pracowała w filmie. Dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, jak bardzo podziwiał ją cały świat”.

Audrey była wybitną aktorką i tylko nieliczne jej role można nazwać niezbyt

udanymi. Pracowała z najlepszymi reżyserami Hollywoodu i rozkochiwała w sobie – także w prawdziwym życiu – najprzystojniejszych amantów tamtych czasów. Dwukrotnie wyszła za mąż: najpierw za aktora i reżysera Mela Ferrera, następnie za włoskiego psychiatrę Andree Dottię. Żaden z nich nie okazał się jej godny, ponieważ w odróżnieniu od nich Audrey wiedziała, że sława i sukces są ulotne. Uwielbiana przez cały świat, wysławiana jako królowa elegancji i dobrego smaku, naśladowana do przesady – wielka diwa Maria Callas, a także Jackie Kennedy obnosiły po świecie kreacje o nienagannym fasonie, które Hubert de Givenchy zaprojektował dla swojej muzy – nigdy nie uważała się za kogoś wyjątkowego. Do ostatnich chwil walczyła o swoją prywatność. Gdy tylko mogła, uciekała od światła Hollywoodu i wyjeżdżała do Szwajcarii, gdzie mogła cieszyć się zwykłym życiem i być traktowana jak wszyscy. Nie chciała napisać autobiografii – choć oferowano jej za to fortunę, nawet do trzech milionów dolarów – z dwóch zasadniczych powodów: miała wiele szacunku dla dobrej literatury i uważała swoje życie za zbyt zwyczajne, by mogło kogoś zainteresować.

Pod koniec życia poświęciła się duszą i ciałem pomocy najbardziej potrzebującym. Chciała w ten sposób spłacić dług organizacjom charytatywnym, które wspierały ją po wojnie i którym prawdopodobnie zawdzięczała życie. Misje prowadzone przez nią jako ambasadora dobrej woli z ramienia UNICEF-u skonfrontowały ją z brutalną rzeczywistością, na którą, jak sama przyznaje, nie była przygotowana. Jej zaangażowanie i poświęcenie były tak duże, że postarzała się o dziesięć lat, a jej wątłe zdrowie pogorszyło się nieodwracalnie. Na zdjęciu zrobionym w Somalii widać, jak aktorka, bardzo wychudzona, zmizerniała, o błędym gdzieś spojrzeniu, podtrzymuje umierające dziecko. W jej wzroku widać cierpienie i bezradność mające jej towarzyszyć do śmierci – która nadeszła zaledwie kilka miesięcy później.

Samotne serce

Nad dzieciństwem Audrey zaciążył fakt, że kiedy miała sześć lat porzucił ją ojciec. Wychowywana bez niego, pozostawała pod silnym wpływem matki, baronówny Elli van Heemstra, wyrastając na osobę o wiele mniej słodką, niż to wyglądało na ekranie. Po matce – baronównie, jak chciała, by ją nazywano – przejęła maniery i elegancję, lecz ich wzajemna relacja nie należała do łatwych. „Matka nie była osobą serdeczną. Była wspaniałą matką, ale odebrała wychowanie wiktoriańskie oparte na twardej dyscyplinie i silnym zmyśle etycznym. Bardzo surowa, bardzo wymagająca wobec dzieci, miała w sobie wiele miłości, ale nie zawsze potrafiła ją ujawnić”, wyznawała aktorka.

Ella van Heemstra pochodziła z arystokratycznej rodziny holenderskiej, była

córką barona Aarnouda van Heemstra, w swoim czasie gubernatora Gujany Holenderskiej (Surinamu). Rodzina o starych korzeniach posiadała znaczny majątek i cieszyła się wielkim poważaniem ze względu na bliskie związki z holenderską rodziną królewską. Audrey powiedziała kiedyś, że jej matka przez całą młodość pragnęła nade wszystko „być Angielką, być szczupłą i być aktorką”. Baronównie, kobiecie pięknej, inteligentnej i obdarzonej wspaniałym głosem, najbardziej marzyła się kariera śpiewaczki operowej albo aktorki, lecz pochodzenie – i sprzeciw ojca – zamykały jej do tego drogę. Mając dziewiętnaście lat, wyszła za mąż za czcigodnego Hendrika van Ufforda, arystokratę i biznesmena, dyrektora w towarzystwie naftowym w holenderskich Indiach Wschodnich (Indonezji). Małżonkowie zamieszkali w Batawii (Dżakarcie), gdzie przyszło na świat dwóch synów, Ian i Alexander.

W roku 1925, po pięciu latach małżeństwa, Ella rozwiodła się i wróciła do Holandii. W tym momencie stała się w wieku dwudziestu czterech lat samotną matką, mającą pod opieką dwoje dzieci. Co nie znaczy, że jej sytuacja była aż tak zła. Posiadała tytuł szlachecki, miała wygodny dom i niańkę, która zajmowała się dziećmi. Mimo że żyło jej się dobrze, dość szybko postanowiła wrócić do Batawii, by spotkać się znów z pewnym Anglikiem, poznanym w okresie małżeńskiego kryzysu. Był to Joseph Hepburn-Ruston, mężczyzna przystojny i wytworny, jedenaście lat starszy od niej, w tym czasie żonaty z holenderską damą o nazwisku Cornelia Wilhelmina Bisschop. Joseph, urodzony w czeskich Úžicach, nie był ani bankierem, ani Irlandczykiem, jak twierdzą niektórzy biografowie – raczej awanturnikiem, który nigdy nie miał stałego zajęcia.

Siódmego września 1926 roku – po uzyskaniu rozwodu z poprzednią żoną – wziął ślub z Ellą. Uroczystość odbyła się w kościele w Batawii. Miodowy okres trwał zaledwie kilka miesięcy, baronówna zrozumiała bowiem szybko, że jej świeżo poślubiony małżonek jest w rzeczywistości lekkoduchem, który ożenił się z nią dla jej majątku i tytułu. Rok po ślubie zaczęły się nieporozumienia związane ze sprawami finansowymi, z brakiem zajęcia męża, a przede wszystkim z jego obojętnością wobec dzieci Elli. W tej sytuacji pod koniec 1928 roku baronówna postanowiła wrócić do Anglii, gdzie spodziewała się pomocy rodziny w znalezieniu dla Josepha pracy. Ojciec Elli, baron van Heemstra, znalazł zięciowi zajęcie w angielskim towarzystwie ubezpieczeniowym z siedzibą w Belgii. Ella znów spakowała walizki i małżonkowie przenieśli się do Brukseli, gdzie zamieszkali w wygodnym piętrowym domu przy ulicy Keyenveld.

Czwartego maja 1929 roku Ella urodziła córeczkę, której dała na imię Audrey Kathleen Ruston. Dziewczynka została zarejestrowana w wicekonsulacie brytyjskim w Brukseli i przez całe życie zachowała obywatelstwo brytyjskie. „Jeśli miałabym napisać swoją własną biografię – stwierdziła kiedyś aktorka – zaczynałaby się ona tak: «Urodziłam się w Brukseli, w Belgii, 4 maja 1929 roku...

i umarłam sześć tygodni później»”. Niemowlę zachorowało na koklusz i znalazło się na krawędzi śmierci. Matka, w tym okresie członkini Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Nauki – które przeciwstawia się tradycyjnemu stosowaniu lekarstw – nie poszła z dzieckiem do lekarza. Zamiast tego modliła się przy nim dzień i noc. Niestety, choroba postępowała i wreszcie po gwałtownym ataku kaszlu dziewczynka przestała oddychać. Baronówna, widząc, że dziecko sinieje, zaczęła je reanimować, odwracając na brzusek i wymierzając mu serię klapsów. Tego dnia Audrey narodziła się na nowo. Poza tym incydentem – uważała – jej życie było dość typowe.

Dzieciństwo wspominała jako naznaczone przeprowadzkami i ustawicznymi kłótniami rodziców. To był powód, dla którego stała się zamknięta w sobie i nadwrażliwa. Rodzina mieszkała w eleganckim domu przy Keyenveld przez dwa lata, po czym przeniosła się do skromniejszego w pobliskiej miejscowości Linkebeek. Tam upłynęły najlepsze lata Audrey. W momencie jej narodzin przyrodni bracia, Ian i Alexander, mieli odpowiednio osiem lat i cztery lata. W jej samotnym dzieciństwie byli jedynymi towarzyszami zabaw.

Dziewczynka uwielbiała ojca, choć ten nie poświęcał córce zbyt wiele uwagi. Zaprzątnięty coraz bardziej pracą, musiał często jeździć do Londynu, zostawiając żonę samą z dziećmi. Wychowaniem Audrey zajmowała się wyłącznie baronówna. Uczyła dziewczynkę czytać i rysować, słuchać z przyjemnością muzyki, jednocześnie wpajając jej żelazną dyscyplinę – należącą do protestanckiego systemu etycznego. „Od wczesnego dzieciństwa – wspominała aktorka – uczono mnie, że zwracanie na siebie uwagi dowodzi złego wychowania i że nigdy, przenigdy nie wolno mi się popisywać. Wciąż słyszę jeszcze, jak matka mówi mi: «Bądź obowiązkowa», «Pamiętaj, żeby najpierw myśleć o innych», «Nie mów za wiele o sobie. Nie ma w tobie nic ciekawego; to inni są ważni»”.

Z czasem nieporozumienia między małżonkami stały się nie do wytrzymania. Joseph coraz bardziej oddalał się od żony i córki. Niczym się nie zajmował, zrobił się mrukliwy, melancholijny; już mu nie przeszkadzało, że pod względem finansowym zależy od żony. Właściwie nie troszczył się o córkę i nie okazywał jej najmniejszej serdeczności. Miało to odcisnąć głęboki ślad w psychice Audrey. W tej sytuacji rodzice postanowili wysłać dziewczynkę do internatu w Anglii, jak to często robiły zamożne rodziny. W roku 1935 zapisali pięcioletnią Audrey do prywatnej szkoły dla dziewcząt w Elham w hrabstwie Kent. Mała, rozdzielona pierwszy raz z rodziną, nie bardzo potrafiła dostosować się do dyscypliny szkoły i obcego środowiska. W czasie roku szkolnego, pod koniec maja, niedługo po jej urodzinach, ojciec spakował walizki i opuścił dom, z nikim się nie żegnając. Był to jeden z najtrudniejszych momentów w życiu aktorki – cios, po którym nigdy się nie podźwignęła: „Uwielbiałam ojca. (...) Rozdzielenie z nim było dla mnie straszne. Porzucając nas, ojciec odebrał nam poczucie

bezpieczeństwa, kto wie, może na całe życie”. Audrey nie zapomniała też rozpaczy matki, która do tej chwili była podporą całej rodziny: „Patrzysz na twarz matki; jest zalana łzami, i czujesz lęk. (...) Obserwowanie w tak młodym wieku jej bólu było jednym z najgorszych doświadczeń mojego życia. Płakała całymi dniami; myślałam, że już nigdy nie przestanie”.

Nie wiadomo, jakie były prawdziwe przyczyny odejścia Josepha. Niektóre źródła podają, że roztrwonił niemal cały majątek Elli i większą część pieniędzy, które teść powierzył mu jako posag córki. Inne, że popadł w alkoholizm. Zważywszy, że główni bohaterowie nie pozostawili żadnego komentarza, niemożliwe jest ustalenie, co było przyczyną rozstania. Sean Ferrer w pięknej książce zatytułowanej *Audrey Hepburn, an Elegant Spirit*, w której zebrał wspomnienia i dokumenty związane z matką, tak opisuje dziadka: „Nigdy nie był bankierem i smutna prawda jest taka, że nigdy nie utrzymał się na żadnym stanowisku. Był autentycznym dyletantem, i to znakomitym; świetnie jeździł konno, był pilotem, mówił trzynastoma językami, miał humanistyczną wiedzę z różnych dziedzin, uwielbiał oryginalność”.

W rzeczywistości Audrey zobaczyła ojca dopiero w 1939 roku, podczas wakacji w Anglii, tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. W późniejszym okresie przyznawała, że relacja z ojcem naznaczyła jej związki z mężczyznami: „Zawsze byłam bardzo niepewna uczucia i bardzo wdzięczna za otrzymaną miłość. Ale fakt, że w 1935 roku porzucił mnie ojciec, towarzyszył mi we wszystkich związkach. Kiedy zakochałam się i wychodziłam za mąż, zawsze żyłam w strachu, że zostanę porzucona”. Baronówna spodziewała się, że jeśli Audrey będzie mieszkała w internacie w Londynie, ojciec dziewczynki, który po rozwodzie przeniósł się do Anglii, będzie ją co pewien czas odwiedzał. Jednak przez trzy lata, jakie Audrey spędziła w internacie, ojciec nie zjawił się ani razu. „Gdybym mogła regularnie się z nim widywać – wspominała aktorka – czułabym, że mnie kocha, i wydawałoby mi się, że mam ojca”.

Mimo że Audrey nigdy nie mówiła o ojcu źle, pewne jest, że przez całe życie czuła wstyd z powodu sympatii rodziców do rodzącego się w Europie faszyzmu. Wiosną 1935 roku oboje zebrali fundusze i zaangażowali się w poparcie Brytyjskiej Unii Faszystowskiej, na którego czele stał były laburzystowski minister sir Oswald Mosley. Jakiś czas potem, w Monachium, wraz z gronem najzagorzalszych zwolenników Mosleya spotkali się na obiedzie z Hitlerem. Wydaje się, że pospieszny wyjazd Josepha do Anglii miał związek nie tylko z nieporozumieniami małżeńskimi, lecz z jego rosnącą sympatią dla ideologii nazistowskiej oraz możliwością współpracy z Mosleyem w nowej partii. Trzeba stwierdzić, że w 1937 roku matka Audrey, w obliczu narastającej w Unii Faszystowskiej ideologii przemocy i zła, zerwała z partią wszelkie kontakty. Po latach Ella bardzo żałowała, że udzieliła poparcia Mosleyowi, a także, że ona sama

i jej były mąż spotkali się z Hitlerem w Monachium.

Dla Audrey był to trudny okres. Przebywała daleko od domu i czuła się opuszczona przez ojca. Skrytość nie ułatwiała jej kontaktów z koleżankami z internatu, bardziej żywiołowymi i nastawionymi na rywalizację. Znajdowała schronienie w tym, co najbardziej lubiła: w lekturze, muzyce, świetle przyrody, a przede wszystkim w tańcu. W wieku sześciu lat odkryła w sobie miłość do tańca. Taniec klasyczny stał się dla niej – jak sama mówiła – „magicznym napojem”, autentyczną racją istnienia. Dyrektorka szkoły poinformowała baronównę, że jej córka jest wybitnie utalentowana w tej dziedzinie i powinna brać lekcje. Mimo trudnej sytuacji osobistej Ella postanowiła pomóc córce zrealizować marzenia i umożliwić jej zostanie zawodową tancerką.

Latem 1939 roku, kiedy Audrey czuła się już lepiej w internacie, jej los znów gwałtownie się odmienił. Trzeciego września Francja i Wielka Brytania wypowiedziały wojnę Niemcom. Baronówna uznała, że rodzina będzie najbezpieczniejsza w Holandii, kraju neutralnym. Poprosiła ojca Audrey, żeby pomógł dziewczynce jak najszybciej opuścić Anglię. Sean Ferrer wspomina tę scenę tak, jak zapamiętała ją matka: „Ostatni raz matka widziała swojego ojca na początku wojny, podczas lata spędzanego na farmie. W dniu wypowiedzenia wojny pojechał po nią do internatu i niezwłocznie odwiózł ją na niewielkie lotnisko w Sussex, gdzie matka wsiadła do jednego z ostatnich samolotów wylatujących z kraju. Pamiętała, że samolot był pomarańczowy, w narodowym kolorze Holandii, do której leciał. Daleki obraz ojca, gdy samolot odrywał się od ziemi, miał pozostać w jej pamięci na zawsze”.

Audrey zatrzymała się z matką i braćmi w małym mieszkanku w Arnhem. Świątowali Boże Narodzenie, nieświadomi nadciągającego niebezpieczeństwa. Wbrew przewidywaniom baronówny Hitler bez uprzedzenia zaatakował Holandię. Audrey skończyła właśnie jedenaście lat i dzień wcześniej była z matką w teatrze na przedstawieniu, w którym występowała uwielbiana przez nią Margot Fonteyn. Dla Audrey i jej rodziny zaczynał się koszmar: „Gdybyśmy wiedzieli, że okupacja potrwa pięć lat, być może wszyscy odebralibyśmy sobie życie. Myśleliśmy, że potrwa to tydzień, pół roku, rok. (...) W ten sposób jakoś przeżyliśmy”.

Holandia, mająca słabą armię, poddała się właściwie bez oporu. Zaczęła się pięcioletnia okupacja, podczas której zginęły miliony Holendrów, wśród nich krewni i przyjaciele Audrey. Przez pierwsze miesiące pozwolono rodzinie van Heemstra pozostać w domu, ale w 1942 roku Niemcy skonfiskowali większą część jej majątku, w tym nieruchomości, zajęli konta bankowe, odebrali przedmioty wartościowe, domy. Audrey mieszkała wówczas z matką, braćmi, ciotką Miesje i wujkiem Otto w należącej do barona posiadłości Zijpendaal. Ellę van Heemstra niepokoiło, że jej córka jest obywatelką brytyjską i że nie najlepiej mówi po holendersku. Wiedziała, że jeśli Niemcy odkryją, jaka jest prawdziwa narodowość

Audrey, mogą ją aresztować lub deportować. Przyszło jej wówczas do głowy, żeby zmienić tożsamość córki, którą zapisała do miejscowej szkoły jako Eddę van Heemstra. „Moim prawdziwym nazwiskiem nigdy nie było Edda van Heemstra. Używałam go w szkole, ponieważ matka uważała je za bardziej odpowiednie, póki trwała okupacja niemiecka. Moje właściwe brzmiało za bardzo z angielska”. Audrey nie miała innego wyjścia, jak czym prędzej opanować holenderski, i bardzo uważała, żeby nie używać publicznie angielskiego.

Będąc już znaną aktorką, komentowała swój szczególny akcent: „W ciągu ośmiu lat nauki (od 1939 do 1947) mówiłam po holendersku. Moja matka jest Holenderką, ojciec Anglikiem, ale ja urodziłam się w Belgii. I tak w domu słyszałam angielski i holenderski, a na ulicy francuski. Nie istnieje język, w którym mogłabym się wypowiedzieć swobodnie, kiedy jestem zmęczona, ponieważ moje ucho nigdy nie przyzwyczyło się do jednej intonacji. Dlatego nie mam swojego języka ojczystego i krytycy filmowi zarzucają mi dziwny sposób mówienia”. W czasie okupacji Audrey stała się poliglotką, co wpłynęło na jej szczególną dykcję. „Elegancka, jakby urywana intonacja, niemal muzyczna modulacja zdań, przeciąganie środkowych samogłosek cechowały dorosłą angielszczyznę Audrey. Mówiła w sobie tylko właściwy sposób, wymykający się wszelkim porównaniom. Nie sposób było pomylić jej głosu z innym”, twierdzi jej biograf Donald Spoto.

Podczas wojny Audrey kształciła się głównie w dziedzinie tańca. Matka zapisała ją do szkoły muzyki i tańca w Arnheim, oddając pod opiekę doświadczonej nauczycielki, dawnej tancerki Winji Marovej. Bardzo szybko zaczęło brakować produktów pierwszej potrzeby. Nie było czym ogrzewać mieszkań, zarekwirowano rowery – zwykły w kraju środek transportu – żeby przetopić je na amunicję. W czasie surowej zimy ludzie ścinali drzewa w parkach na opał i szukali w opuszczonych domach przedmiotów, które nadawałyby się do sprzedaży na czarnym rynku. Kraj wyróżniający się dotąd wysokim poziomem życia wkrótce pograżył się w nędzy i chorobach.

„Nie mieć nic do jedzenia, bać się o życie, czuć strach przed bombardowaniem – wszystko to pozwoliło mi docenić bezpieczeństwo i wolność. (...) Wojna uczyniła mnie człowiekiem silnym i nieskończenie wdzięcznym za to, co dobrego przyszło potem”, pisała Audrey po latach. Wojna pozostawiła w aktorce trwałe ślady nie tylko psychiczne, lecz także fizyczne. Jej rodzina, tak jak inne, poznała niedostatek i głód, nie jedząc przez długi czas mleka, masła, jajek, cukru czy mięsa. Wywołało to u dziewczynki ciężką anemię. Audrey przychodziła na codzienne lekcje baletu bez śniadania; kilka razy zasłabła. Lekarze uświadomili baronównie, że jej córka jest niedożywiona, i ostrzegli, że może to trwale zaważyć na jej zdrowiu.

W ciągu lat wojny Audrey nie tylko poznała głód, lecz także zetknęła się z rozpoczętymi w Holandii w 1942 roku deportacjami Żydów do nazistowskich

obozów koncentracyjnych. Obrazy te wstrząsnęły nią: „Rodziny z małymi dziećmi, wszyscy ładowani do bydłowych wagonów, drewnianych, z jednym zamknięciem od góry. Te przerażone twarze...”, wspominała. Identyfikowała się bardzo ze swoją rodaczką, Holenderką Anne Frank, żydowską dziewczynką urodzoną w tym samym roku co ona, miesiąc później. Anne przez cztery lata ukrywała się razem z rodziną, aż ostatecznie została znaleziona i deportowana do obozu koncentracyjnego, gdzie zginęła. Lektura jej słynnego *Dziennika* wywarła na Audrey – która znała na pamięć całe ustępy książki – wstrząsające wrażenie, przypominając grozę wojny i okupacji. „Anne Frank i ja urodziłyśmy się w tym samym roku, mieszkaliśmy w tym samym kraju, cierpialiśmy z powodu tej samej wojny, tyle że ona pozostawała w zamknięciu, a ja na zewnątrz. Lektura jej dziennika była dla mnie odczytywaniem moich własnych doświadczeń z jej punktu widzenia. Pozostawiło to we mnie tak głębokie ślady, że nigdy nie byłam już tą samą osobą”. Kiedy po latach zaproponowano aktorce rolę Anne Frank, po długim namyśle odmówiła. Nie miała siły wracać do scenerii, w której rozegrała się wojna i w której straciła drogich sobie ludzi.

Cała rodzina Audrey, podobnie jak tysiące Holendrów, zaangażowała się w odważną walkę z najeżdźcą, a niektórzy przypłacili to życiem. W wieku trzynastu lat aktorka była świadkiem rozstrzelania swojego ukochanego wujka Ottona, brata matki, działacza ruchu oporu. Jej brat Alexander został aresztowany i nie było o nim wiadomości do końca wojny. Ian, młodszy, liczący wówczas osiemnaście lat, był jednym z przywódców lokalnego ruchu oporu i również został zatrzymany i wywieziony do Niemiec, gdzie musiał pracować w fabryce amunicji. Matka Audrey aktywnie współpracowała z ruchem oporu, ukrywając w swoim domu jego członków. „W młodości – mówiła aktorka – poznałam obezwładniający ludzki strach, widziałam go, słyszałam, czułam. Coś takiego nie znika. To nie był koszmarny sen. Byłam tam, i wszystko to zdarzyło się naprawdę”.

Przez niemal sześć lat jedyną ucieczką od koszmaru okupacji był dla Audrey taniec klasyczny. Bardzo szybko zaczęła się wyróżniać wśród uczennic szkoły w Arnheim – wspierającej holenderski ruch oporu. Jak wiele innych dzieci w jej wieku ryzykowała życie, przenosząc w skarpetce tajne meldunki i nawiązując łączność z zestrzelonymi pilotami alianckimi. Razem z koleżankami brała też udział w tajnych przedstawieniach, z których dochód przeznaczony był na działalność ruchu oporu. Wszystko to wymagało absolutnej dyskrecji. „Ludzie zbierali się w domach – wspominała aktorka – i żeby nie budzić podejrzeń, nie klaskali. Występowaliśmy niemal bez światła, za zamkniętymi okiennicami; w ten sposób nie można się było niczego domyślić. Jeden z moich przyjaciół grał na pianinie, matka szyla nam stroje ze starych zasłon. Ja, poza tym, że tańczyłam, zajmowałam się choreografią. Było czymś najzwyczajszym, że dzieci holenderskie ryzykowały życie, żeby ratować członków ruchu oporu”.

Jesienią 1944 roku w Arnhem rozegrała się jedna z najkrwawszych bitew drugiej wojny. Miasto legło w gruzach, a tysiące żołnierzy brytyjskich i rzesze ludności cywilnej zginęły w trakcie ofensywy. Niemcy zemścili się strasznie na ludności cywilnej, zmuszając ją, pod groźbą rozstrzelania, do opuszczenia miasta w ciągu dwudziestu czterech godzin. „Matka i ja zatrzymałyśmy się w wiejskim domu mojego dziadka w Velp. Całymi dniami nic nie jadłyśmy, trzęsąc się z zimna w pomieszczeniu bez światła i ogrzewania”, wspominała Audrey. Była to najcięższa ze wszystkich wojennych zim. Nie było co wziąć do ust; żeby przeżyć, jadły cebulki tulipanów i pokrzywy. Przez niemal miesiąc siedziały obie z matką w piwnicy, z obawy przed bombardowaniem.

Nigdy nie zapomniała 4 maja 1945 roku. Tego dnia kończyła szesnaście lat i najlepszym prezentem, jaki mogła otrzymać, była wiadomość, że wojna się skończyła. „Podbiegłam do okna i zobaczyłam pierwszy oddział żołnierzy brytyjskich. Wolność ma dla mnie specjalny zapach – zapach angielskich papierosów i angielskiej benzyny. Kiedy wyszłam na zewnątrz, żeby ich pozdrowić, wciągnęłam zapach paliwa, jakby to były nadzwyczajne perfumy, i poprosiłam o papierosa, choć złapał mnie od niego kaszel”. Holandia została wyzwolona, skończył się koszmar okupacji. Rodzina van Heemstra straciła wszystko – dom, ziemię, pieniądze – ale wszyscy żyli. Niedługo po wyzwoleniu wrócił do Arnhem Alexander, po nim Ian. Wspomnienie okupacji miało pozostać w Audrey na całe życie, ale doświadczenie to pomogło jej dojrzeć i okrzepnąć. Po wojnie dziewczyna była niedożywiona i osłabiona. Tak to wspominała: „W czasie ostatniej wojennej zimy nie mieliśmy nic do jedzenia. Po wojnie byłam niesłychanie anemiczna, miałam objawy astmy i niedożywienia. Cierpiałam na obrzęk kończyn”. Audrey ważyła czterdzieści pięć kilo i musiała ograniczyć lekcje tańca z powodu kłopotów ze zdrowiem.

Powoli życie w Holandii wracało do normalności, ale kraj był zdewastowany. Baronówna van Heemstra nie miała wiadomości o mężu; nie była nawet pewna, czy żyje. Audrey nie wiedziała wówczas, że na początku wojny jej ojciec trafił – bez sądu – do więzienia w Wielkiej Brytanii, oskarżony o sympatyzowanie z reżimem nazistowskim. Joseph Hepburn-Ruston przesiedział trzy lata w więzieniu w Anglii i dwa w obozie dla internowanych na wyspie Man. W 1946 roku baronówna przeniosła się z córką do Amsterdamu, gdzie wynajęła małe mieszkanie. Pragnęła, by Audrey kontynuowała lekcje tańca, i chcąc pokryć wydatki, najęła się do pracy jako kucharka. Nauczycielką Audrey była słynna i otwarta na nowości tancerka, Rosjanka z pochodzenia, Sonia Gaskell, uczennica i współpracowniczka wielkiego Diagilewa. Sonia Gaskell szybko dostrzegła niesłychany talent Audrey, lecz niepokoili ją chudość dziewczyny i jej wiek. Audrey miała już siedemnaście lat; musiałaby się bardzo starać, żeby móc zostać zawodową tancerką.

W tych miesiącach dał o sobie znać koszmar wojny: u Audrey pojawiły się pierwszy raz objawy głębokiej depresji. Od wczesnego dzieciństwa znosiła rozmaite udręki: kłótnie rodziców, samotność w internacie, porzucenie przez ojca, wreszcie wojnę, której nie miała nadziei przeżyć. Nie umiała nawiązywać kontaktów z ludźmi – a już zwłaszcza z chłopcami w jej wieku. Kompleksy budził też w niej własny wygląd: „Przez całą wojnę byłam pozbawiona dobrego jedzenia, pieniędzy, książek, muzyki, ubrań, więc potem zaczęłam to nadrabiać, jedząc wszystko, co popadnie, przede wszystkim czekoladę. Zrobiłam się gruba jak beczka i brzydka”. Jesienią 1946 roku Audrey ważyła sześćdziesiąt osiem kilo – co nie jest odpowiednią wagą dla tancerki. Dzięki surowej dyscyplinie oraz diecie zeszła do pięćdziesięciu pięciu kilogramów, utrzymując tę wagę do późnych lat dorosłych.

Sonia Gaskell, świadoma wielkich możliwości dziewczyny, poleciła jej kontynuowanie studiów w prestiżowej londyńskiej akademii Marie Rambert. Baronówna – zawsze gotowa wspierać córkę – mając zaledwie pięćdziesiąt funtów w kieszeni, znów spakowała walizki i obie przeniosły się do Anglii. Audrey miała nadzieję, że wróciwszy do Londynu, dowie się czegoś o ojcu, ale tak się nie stało. Po latach, będąc już znaną aktorką, dowiedziała się, że Joseph mieszka w Irlandii z nową żoną, i nawiązała z nim kontakt. Tymczasem niepokonana Ella van Heemstra, licząca już wówczas czterdzieści siedem lat, miała się wszelkich możliwych dorywczych zajęć, by móc płacić za lekcje córki. Mając za sobą pracę kwiaciarki, kucharki, piastunki do dzieci i akwizytorki sprzedającej kosmetyki, zatrudniła się wreszcie na stałe jako dozorczyńni w bloku w eleganckiej dzielnicy Mayfair. Mogła za to mieszkać z córką w maleńkim mieszkanku w tym bloku bez windy. Wielka arystokratka gotowa była wynosić śmiecie i zamiatać schody, byle tylko Audrey uczęszczała szczęśliwa na lekcje tańca.

Szczególny dar

Mimo że Audrey dokładała wszelkich starań, aby dorównać innym uczennicom szkoły madame Rambert, szybko zdała sobie sprawę, że nigdy nie będzie primabaleriną. Przez wiele miesięcy łączyła wyczerpujące zajęcia z „rozmaitymi pracami dorywczymi”. Aby pomóc finansowo matce, występowała jako modelka w reklamach mydła czy szamponu. Latem 1948 roku Ballet Rambert rozpoczął wielomiesięczne tournée po Australii i Nowej Zelandii. Kiedy ogłoszona została lista nazwisk wybranych tancerek, Audrey stwierdziła ku swojemu rozczarowaniu, że na niej nie figuruje. Nauczycielka wytłumaczyła jej to, co Audrey i tak wiedziała: była za wysoka – miała prawie metr siedemdziesiąt wzrostu i trudno było znaleźć dla niej partnera – i zbyt późno zaczęła naukę. Była

to dla Audrey jedna z najtrudniejszych chwil. „Matka – pisze Sean w jej biografii – po prostu nie mogła współzawodniczyć z tancerkami, które otrzymały odpowiednie przygotowanie i dobrze odżywiały się w czasie wojny. Wojna zabrała jej marzenie. Podobno kiedy wróciła tego dnia do swego pokoju, »miała ochotę po prostu umrzeć«. Rozwiał się marzenie, które przez te wszystkie lata podtrzymywało w niej nadzieję”.

Pod koniec 1948 roku, z myślą o szukaniu pracy, zmieniła swoje arystokratyczne nazwisko na skromniejsze i zarazem bardziej nadające się dla aktorki – Hepburn. Pod tym nowym nazwiskiem zaczęła rozglądać się za jakimś przedstawieniem teatralnym, w którym mogłaby wziąć udział. Wkrótce znalazła zajęcie, choć nie takie, jakiego pragnęła. Została wybrana spośród trzech tysięcy kandydatek jako girlsa w londyńskim wystawieniu komedii muzycznej *High Button Shoes*, przez dwa lata utrzymującej się na afiszach na Broadwayu. Po raz pierwszy dostawała pensję, nawiązywała kontakty z rówieśnikami i czuła „wielką radość życia”, z dala od żelaznej dyscypliny sal szkolnych. Kiedy sztuka zesza z afisza, okazało się, że dyrektor Cecil Landeau zwrócił na Audrey uwagę i podpisał z nią umowę na pracę w nowej rewi, zatytułowanej *Sauce Tartare*. Stopniowo Audrey coraz dłużej przebywała na scenie, tańcząc w niektórych numerach muzycznych i wypowiadając kwestie jako statystka.

To właśnie Cecil Landeau pierwszy dojrzał w niej talent aktorski i wsparł jej najwcześniejsze próby teatralne. Pragnąc zostać aktorką, Audrey brała lekcje choreografii i dykcji, uczyła się także sztuki dramatycznej pod kierunkiem znanego aktora brytyjskiego Felixa Aylmera. Mimo że musicale, w których wówczas występowała, nie pozwoliły jej rozwinąć w pełni możliwości artystycznych, jej osobowość i urok nie pozostały niezauważone dla krytyków i widzów. Na zachowanych z tamtego okresu zdjęciach widać dziewczynę o ogromnych, wyrazistych oczach, łagodnej twarzy i urzekającym uśmiechu. Wysoka, szczupła, klasyczna, wyraźnie odróżniała się od pozostałych dziewcząt wychodzących na scenę. Wszyscy byli zgodni co do tego, że jest obdarzona „szczególną świeżością i swego rodzaju duchowym pięknem”.

Latem 1950 roku dwudziestoletnia Audrey poznała łowcę talentów o nazwisku Robert Lennard, który otworzył przed nią drzwi do świata filmu. Ów inteligentny i sprytny dyrektor do spraw obsady w Associated British Films, specjalista od komedii, zaproponował nieznaney wówczas Audrey nakręcenie trzech filmów u swego producenta. Dla Audrey, zarabiającej w tym czasie dwanaście funtów tygodniowo i pozostającej akurat bez pracy, propozycja Lennarda brzmiała jak sen. Jej pierwszą rolą na dużym ekranie była rola sprzedawczynie papierosów w *Laughter in Paradise*. Potem była recepcjonistką w hotelu w kiepskiej komedii zatytułowanej *One Wild Oat*, gdzie pojawiała się na ekranie przez dwadzieścia sekund, by powiedzieć: „Hotel Regency, dobry

wieczór”. Filmowe początki nie wróżyły Audrey Hepburn wielkiej kariery.

W latach 1950–1951 wystąpiła w sześciu filmach, w których pojawiała się zaledwie na kilka sekund. Nie mogła wybierać scenariuszy, a musiała pracować, żeby płacić za swoje utrzymanie, matka była bowiem bez pracy. „Jeśli się podsumuje moje role z owego roku, wyjdzie z tego jeden krótki występ”, komentowała. W nadziei na lepsze role odnowiła kontrakt z Associated British Films, by zagrać w trzech kolejnych filmach. W następnym, *Young Wives' Tale*, udało jej się przynajmniej być obecną w siedmiu scenach, choć współpraca z reżyserem okazała się prawdziwą udręką. Wielka szansa zjawiała się parę miesięcy później wraz z melodramatem o uchodźcach europejskich na początku drugiej wojny światowej *The Secret People*. Była to najważniejsza do tej pory rola Audrey i przynajmniej na coś się jej wreszcie przydała znajomość sztuki tańca, grała bowiem młodą adeptkę baletu, która zostaje sławną baleriną.

Wiosną 1951 roku, kiedy zaczynała się już dobrze zapowiadać jako aktorka, poznała przystojnego, siedem lat od niej starszego i bogatego mężczyznę, który miał się stać jej wiecznym oficjalnym narzeczonym. „Poznaliśmy się na koktajlu w Mayfair, w *Les Ambassadeurs*, i od razu poczuliśmy do siebie sympatię. Następnego dnia zaprosiłem ją na obiad, szybko zakochaliśmy się w sobie i po paru miesiącach byliśmy zaręczeni. Była typem kobiety, która wiąże się z jednym mężczyzną, i taka była nasza relacja. Bardzo się ze sobą zaprzyjaźniliśmy”, opowiadał James Hanson o idylli, jaką przeżył z Audrey Hepburn. Hanson był angielskim arystokratą, który w czasie drugiej wojny służył w oddziale pułku księcia Wellingtona. Wysoki blondyn, lubiący zbytek, miał opinię *bon vivanta*. Chętnie uczestniczył w przyjęciach świata filmowego, kolekcjonował sportowe samochody, grał w golfa, a jego ostatnią sympatią była piękna aktorka brytyjska Jean Simmons. W krótkim czasie James i Audrey zbliżyli się do siebie i zaczęli planować ślub. Matka Audrey od początku nie patrzyła przychylnym okiem na uroczonego Jamesa, z jego famą uwodziciela.

Kiedy w maju 1951 roku Audrey jechała na Riwierę Francuską, by wziąć udział w kręceniu filmu *Americans in Monte Carlo* – gdzie miała do zagrania niewielką dwunastominutową rolę – nie wyobrażała sobie, jakie znaczenie będzie miał dla niej ten epizod. Mimo że film był artystyczną kłapą, traf chciał, że kiedy kręciła sceny plenerowe w luksusowym hallu hotelu Paris w Monako, znalazła się tam sławna powieściopisarka francuska Colette. Ta podziwiana ekscentryczna prozaiczka spędzała w Monte Carlo wakacje, zaproszona wraz z mężem przez księcia Rainiera. Colette miała wówczas siedemdziesiąt dziewięć lat, z powodu artretyzmu poruszała się na wózku albo leżała w łóżku i musiała być przez kogoś pielęgnowana, zachowała jednak absolutnie jasny umysł. Producenci adaptacji teatralnej dla Broadwayu jej sławnej noweli *Gigi* z 1945 roku szukali w Stanach Zjednoczonych odtwórczyni głównej roli. Gdy Colette znalazła się w foyer

i zobaczyła grającą swoją scenę Audrey, wykrzyknęła: „Ta nieznana dziewczyna jest w stu procentach moją francuską Gigi!”.

Colette i jej mąż jeszcze tego samego dnia zaprosili Audrey do swego apartamentu w hotelu. Tak aktorka wspominała ów epizod, który odmienił jej życie na zawsze: „Spytali, czy miałabym ochotę zagrać w sztuce, na co odpowiedziałam: «Nie mogę; nigdy nie występowałam w teatrze! Jestem tancerką. Nigdy nie mówiłam niczego na scenie». Wtedy Colette stwierdziła, że skoro jestem tancerką, mogę się tego podjąć”. Pisarce udało się przekonać pełną wahań Audrey, by zgodziła się zagrać rolę Gigi – o której marzyło wiele aktorek. Wszystko stało się bardzo szybko i Audrey, chociaż była jeszcze bardzo niedoświadczona, czuła, że nie może przepuścić takiej oferowanej przez życie szansy. *Gigi* była początkiem jej zawrotnej kariery.

Plany małżeństwa z Jamesem Hansonem musiały zostać chwilowo odłożone. Po latach aktorka tak wspominała ów 1951 rok, w którym niespodziewanie odniosła sukces: „Zostałam aktorką przez przypadek. Nikt o mnie nie słyszał, byłam nieśmiała, niedoświadczona, wątlej budowy. Pracowałam bardzo ciężko, przyznaję, ale i tak wciąż nie rozumiem, jak to się wszystko stało”. Zanim wyjechała z Londynu, żeby w Nowym Jorku zacząć próby do *Gigi*, zwróciła na nią uwagę wytwórnia Paramount i zrobiła jej próbne zdjęcia do planowanego we Włoszech filmu. Szukano aktorki europejskiej mogącej zagrać księżniczkę, która zakochuje się w amerykańskim dziennikarzu w Rzymie. Choć przez pewien czas na pierwszym miejscu wśród kandydatek znajdowała się Brytyjka Jean Simmons, trudne negocjacje z Howardem Hughsem, z którym miała podpisany kontrakt, sprawiły, że pomysł ten zarzucono. Doświadczony reżyser William Wyler nie miał najmniejszych wątpliwości, że Audrey jest idealną kandydatką. Przed wyjazdem do Stanów niemająca doświadczenia i prawie nieznana aktorka otrzymała rolę księżniczki Anny w filmie *Rzymskie wakacje*, wraz z gażą wynoszącą dwanaście i pół tysiąca dolarów.

Pod koniec października Audrey wyruszyła sama na pokładzie *Queen Mary* do Nowego Jorku. W ciągu następnych tygodni była całkowicie pochłonięta próbami do *Gigi*, próbując nie okazywać zdenerwowania i niepokoju. Nie była aktorką teatralną i debiut na Broadwayu w głównej roli budził w niej wielką treść. Kiedy wreszcie 24 listopada 1951 roku odbywała się premiera, matka Audrey oraz narzeczony, James Hanson, siedzieli w pierwszym rzędzie, by jej dodawać otuchy. Po przedstawieniu baronówna przyszła do garderoby uścisnąć córkę, nie mówiła jej jednak żadnych komplementów. Ograniczyła się do następującego komentarza: „Kochanie, byłaś wspaniała, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że nie masz talentu”. Krytycy przyjęli sztukę raczej chłodno, chociaż wszyscy chwalili „spontaniczną, inteligentną, urzekającą” grę odtwórczyni głównej roli. W wieku dwudziestu dwóch lat Audrey z osoby absolutnie nieznanej stała się sławną,

obietującą aktorką. W tak miłej chwili James znów poprosił ją o rękę i podarował jej pierścienek zaręczynowy. Trzydziestego pierwszego maja 1952 roku, po niezwykle wypełnionych sześciu miesiącach, Audrey wróciła do Europy, by natychmiast zacząć kręcenie *Rzymskich wakacji*. Kolejny raz trzeba było odłożyć zapowiadziany ślub.

Mimo sukcesu odniesionego w Nowym Jorku wciąż czuła się jako aktorka bardzo niepewnie i z trudnością panowała nad tremą. „Była gwiazdą, która nie dostrzega własnego światła”, powiedział kiedyś jej starszy syn Sean. I tak, nieświadoma swoich prawdziwych uzdolnień i znów pogrążona w morzu wątpliwości, przyjechała do Rzymu, przygotowywać rolę. Reżyser William Wyler zdołał namówić Gregory’ego Pecka – wówczas wielką gwiazdę – do przyjęcia roli amerykańskiego dziennikarza. Od pierwszej chwili między parą aktorów nawiązała się nić sympatii – co odzwierciedlają niektóre sceny filmu. „W Audrey nie było cienia małostkowości czy egoizmu. (...) Była wolna od plotkarstwa, nielojalności, nie miała wygórowanych ambicji – tak częstych w tym zawodzie. Bardzo łatwo ją było polubić”, mówił aktor. Wielkodusznie poprosił, aby nazwisko Audrey figurowało obok jego nazwiska w czołówce filmu. Był pewien, że dziewczyna otrzyma za tę rolę Oscara.

Na żądanie reżysera zdjęcia do filmu realizowano na ulicach Rzymu, co przysporzyło ekipie niemałych problemów. Panował upał nie do zniesienia, dookoła nich gromadzili się gapie, by zobaczyć sławnych aktorów. Mimo trudności i mimo perfekcjonizmu reżysera, który kazał im powtarzać ujęcia w nieskończoność, Gregory Peck bardzo ciepło wspominał kręcenie filmu. Film został dobrze przyjęty zarówno przez krytykę, jak i przez publiczność i z dnia na dzień Audrey stała się sławna. Jak przewidywał Gregory Peck, dostała Oscara dla najlepszej aktorki, pokonując takie gwiazdy, jak Ava Gardner czy Deborah Kerr.

„The New York Times” z 26 sierpnia 1952 roku informował czytelników, że panna Audrey Hepburn bierze ślub 30 września, niemniej aktorka po raz trzeci odłożyła ceremonię. Po męczącej pracy na planie filmowym w Rzymie, w październiku zaczynała tournée po Stanach Zjednoczonych ze sztuką *Gigi*. Niesłuchanie tym wszystkim zaaobsorbowana, zerwała zaręczyny z Jamesem Hansonem. Teraz na pierwszym miejscu stawiała karierę aktorską i nie miała czasu na miłosne relacje. Bardzo poważnie traktowała sprawę małżeństwa; chciała mieć dzieci i być z nimi. Nie chciała powtarzać błędów matki, która dwa razy wychodziła za mąż i dwa razy się rozwodziła. *Rzymskie wakacje* oznaczały start w karierze Audrey i początek szczerzej przyjaźni z Gregorym Peckiem. Chociaż wówczas spekulowano o możliwym romansie pary, nie znajdowało to absolutnie odzwierciedlenia w rzeczywistości. W czasie benefisu aktora w Kennedy Center w Waszyngtonie Audrey, bardzo wzruszona, mówiła o nim: „Gregory Peck jest najbardziej autentycznym aktorem naszych czasów. (...) Twojej wielkoduszności

zawdzięczam karierę. Za twoją odwagę i uczciwość darzę cię największym szacunkiem. Za przyjaźń, dobroć i życzliwość – całym oddaniem”. Kiedy Audrey była już bardzo chora, bliska śmierci, aktor posyłał jej co dzień bukiet białych i różowych kwiatów – w jej ulubionych kolorach.

Latem 1953 roku Audrey poleciała do Londynu na premierę *Rzymskich wakacji* w Wielkiej Brytanii. Ella van Heemstra wydała na cześć córki kolację, na którą zaprosiła aktorów i ekipę z Paramount. Wśród asystentów znajdował się znany fotograf i scenograf angielski Cecil Beaton, który poczuł się absolutnie zniewolony urokiem Audrey. „Reprezentowała nowy typ urody – wspominał – duże usta, rysy środkowoeuropejskie, mocno podkreślone oczy, krótkie włosy, długie, pomalowane paznokcie, cudownie wiotka figura. (...) Natychmiast dostrzegłem jej magiczny wdzięk; budziła z miejsca serdeczną sympatię, jaką w nas budzą sieroty”. Beaton stał się jej najwierniejszym admiratorem i zaprojektował cudowną garderobę, a także scenografię do filmu *My Fair Lady*.

Gregory Peck przyszedł na kolację do Audrey w towarzystwie przyjaciela, aktora i reżysera Mela Ferrera. Mel, któremu przedstawiono Audrey, był pod wrażeniem jej urody. „Urzekły mnie jej oczy”, przyznawał. Pogratulował jej występu w *Rzymskich wakacjach*, ona z kolei pochwaliła jego grę w niezapomnianego musicalu *Lili* (1953), w której Mel wykreował postać uroczego lalkarza.

Oboje od razu przypadli sobie do gustu. Mieli podobne upodobania. Mel był aktorem, pisarzem, tancerzem, piosenkarzem i reżyserem. Różnica wieku – on był dwanaście lat starszy – nie stanowiła żadnego problemu, chociaż Audrey była naiwną, kochliwą dwudziestolatką, on zaś człowiekiem doświadczonym, ojcem czworga dzieci, trzykrotnie żonatym.

„Poznaliśmy się, oczarował mnie, pokochałam go, wyszłam za niego”, wspominała później Audrey. Kiedy go poznała na kolacji wydanej przez matkę na jej cześć, Mel był drugoplanowym aktorem, który nie zrobił specjalnej kariery w filmie. Melchor Gaston Ferrer – jak brzmiało jego prawdziwe nazwisko – miał wówczas trzydzieści sześć lat, był człowiekiem szczupłej postury, eleganckim, przystojnym, podobał się kobietom. Był synem znanego chirurga pochodzącego z Kuby i Irlandki należącej do wyższych sfer New Jersey. Urodził się w Elberon, lecz wychował w Nowym Jorku. Przez dwa lata studiował na prestiżowym uniwersytecie Princeton, gdzie zaangażował się w działalność teatralną. W 1937 roku, porzuciwszy studia uniwersyteckie i osiągnąwszy pewien sukces jako autor książek dla dzieci, ożenił się z rzeźbiarką próbującą zrobić karierę aktorską, Frances Pilchard, i miał z nią dwoje dzieci. Rok później w związku z kłopotami finansowymi przeniósł się na Broadway, gdzie zadebiutował jako tancerz. W ciągu kolejnych lat zagrał drugoplanowe role w trzech wystawianych na Broadwayu sztukach. Wyboista, pełna wzlotów i upadków droga artystyczna, w połączeniu

z niespokojnym duchem, nie mogły mu zapewnić sukcesu, jaki miał się stać udziałem Audrey.

Okolo roku 1940 Mel, widząc, że nie ma przed sobą przyszłości jako aktor, podjął pracę w radiu. Współpracował również z Columbia Pictures jako autor scenariuszy, producent i reżyser. Żaden z jego filmów nie odniósł większego sukcesu. Tymczasem rozwiódł się z Frances Pilchard i ożenił z Barbarą Tripp, z którą miał kolejną dwójkę dzieci. Burzliwe życie uczuciowe doprowadziło go do ponownego poślubienia w 1942 roku Frances Pilchard. Była ona jego żoną w lipcu 1953 roku, w momencie gdy poznał Audrey. W 1953 roku, po dwudziestu latach pracy zawodowej, odniósł pierwszy sukces na dużym ekranie – grając u boku Leslie Caron w filmie *Lili*. Później jego kariera utknęła jednak w martwym punkcie. W najbliższej perspektywie nie miał żadnej ważniejszej propozycji pracy.

Niezależnie od zauroczenia Audrey aktor wyczuwał, że owa śliczna dwudziestolatka, która zakochała się w nim jak podłotek, może mu pomóc wyjść z tego impasu. Audrey, która nie zdołała zapełnić pustki emocjonalnej, jaką w jej życiu stworzyło odejście ojca, znalazła w Melu mężczyznę dojrzałego, troskliwego i opiekuńczego, z którym miała stworzyć dom. Zanim to jednak nastąpiło, ich drogi się rozeszły w związku z obowiązkami zawodowymi obojga. Mel musiał wrócić do Londynu, by skończyć pracę nad filmem *Rycerze króla Artura*, Audrey wyjeżdżała z matką do San Juan de Luz na francuskim wybrzeżu Kraju Basków, by zażyć zasłużonego wypoczynku przed rozpoczęciem zdjęć do następnego filmu, *Sabrin*y. Na pożegnanie powiedziała Melowi, że gdyby kiedyś znalazł sztukę teatralną, w której mogliby zagrać oboje, niech o niej pamięta. Bardzo szybko mieli się spotkać ponownie, wówczas zaś kariera Audrey miała zejść na drugi plan.

Już w swoim pierwszym filmie, *Rzymskie wakacje*, Audrey dała się poznać jako osoba o nienagannych manierach, naturalnej elegancji i znakomitym guście, jeśli chodzi o dobór stroju. W istocie, jak przyznawali jej styliści, „znała się na modzie lepiej niż jakakolwiek aktorka w tamtym czasie” i bardzo dobrze wiedziała, jak chce wyglądać na dużym ekranie. Miała figurę modelki – metr siedemdziesiąt wzrostu i pięćdziesiąt centymetrów w pasie – i mogła pozwolić sobie na wyrafinowane kreacje. Pod maską potulności ukrywała buntowniczego ducha i nie miała zamiaru podążać ślepo za modą: nigdy nie podwyższała ramion poduszczkami, nie uznawała butów na wysokich obcasach, nie chciała powiększać optycznie biustu. W epoce, w której w Hollywoodzie królowały aktorki o obfitych kształtach, w typie Marilyn Monroe, jej chłopięcy wygląd – krótkie włosy, niezbyt szerokie biodra i mały biust – był prawdziwą nowością. Od początku bardzo poważnie traktowała sprawę garderoby w swoich filmach, wyraźnie, choć ze swoją zwykłą uprzejmością, dając scenografom do zrozumienia, że nigdy nie włoży czegoś, czego wcześniej sama nie zaakceptuje. „Styl to bardzo szerokie pojęcie – pisał jej syn Sean. – W przypadku matki był to szerszy aspekt jej urody

wewnętrznej, którego podbudowę stanowiły narzucona sobie dyscyplina, szacunek dla innych i wiara w człowieka. Preferowała linie czyste i eleganckie, ponieważ wierzyła w moc prostoty. Wydawała się ponadczasowa, gdyż stawiała na jakość, i jeśli dzisiaj wciąż jest ikoną stylu, to dlatego, że odnalazłszy swój *look*, pozostała mu wierna do końca życia. Nie czuła się uzależniona od mody i każdego sezonu sama wymyślała na nowo swój wizerunek. Uwielbiała modę, lecz traktowała ją jako narzędzie służące dopełnieniu własnego image'u”.

Po sukcesie *Rzymskich wakacji* na Audrey spłynął deszcz propozycji pracy w Hollywoodzie. Jej następnym filmem powstałym w Paramount Pictures była *Sabrina* – wyreżyserowana znów przez Billy'ego Wildera – w której wystąpiła obok dwóch uznanych sław: Humphreya Bogarta i Williama Holdena. Przed rozpoczęciem zdjęć Audrey wraz z matką udała się do Paryża, by odwiedzić pracownię stylisty francuskiego, z którym radziła jej się skontaktować wytwórnia. Hubert de Givenchy, uczeń Balenciagi, liczył wówczas dwadzieścia sześć lat i był obok Christiana Diora i Yves'a St. Laurenta jedną ze wschodzących gwiazd francuskiej haute couture. Historia pierwszego spotkania aktorki ze sławnym stylistą przeszła do legendy. Miały ich połączyć trwająca czterdzieści lat współpraca i szczerza przyjaźń.

Audrey zjawiła się w jego pracowni pod koniec lipca, chcąc wybrać kreacje do filmu *Sabrina*. Pomocnik stylisty zaanonsował, że przybyła panna Hepburn, na co ten wyszedł, aby powitać sławną aktorkę Katharine Hepburn. Tak Givenchy wspominał okoliczności poznania kobiety, która miała stać się jego największą przyjaciółką i muzą: „Stała naprzeciwko mnie dziewczyna ubrana jak gondolier. Zamurowało mnie. Ale jeszcze bardziej zaskoczyła mnie jej prośba – abym stworzył dla niej garderobę do następnego filmu, zatytułowanego *Sabrina*. Wtedy byłem zbyt zajęty, żeby się podjąć tego zadania. Ale jej wdzięk mnie urzekł, więc poradziłem, żeby wybrała sobie którąś z sukienek z mojej kolekcji. Wyznała, że zakochała się w moich sukienkach podczas kręcenia we Francji filmu *Monte Carlo Baby*, ale nie mogła ich kupić”. Audrey zabrała ze sobą kostium z szarej wełny, długą, obcisłą białą suknię wizytową bez ramiączek, haftowaną w kwiaty, z długim odpinanym trenem, a także czarną suknię koktajlową z marynarskim kołnierzem przywiązywanym do ramion maleńkimi kokardkami. To pierwsze spotkanie dało początek legendarnemu stylowi, który miał uczynić aktorkę ikoną mody.

Począwszy od filmu *Twarz anioła* (1956), we wszystkich kontraktach Audrey pojawiała się klauzula mówiąca o tym, że projektantem kostiumów jest Givenchy. Czarna sukienka z małym kapelusikiem, jaką aktorka nosiła w swoim najsłynniejszym filmie *Śniadanie u Tiffany'ego*, przyniosła projektantowi sławę w Stanach Zjednoczonych. Od tego filmu image aktorki na zawsze się zmienił. Givenchy swoimi surowymi geometrycznymi projektami podkreślał jej prosty styl, elegancję, uwydatniał smukłą, chłopięcą sylwetkę. Sukienki od Givenchy'ego,

jakie Audrey nosiła poza planem filmowym, usytuowały ją wkrótce wśród najlepiej ubranych kobiet świata. Jej samej kreacje Givenchy'ego dawały poczucie pewności: „Kiedy mam na sobie zaprojektowaną dla mnie białą bluzkę albo sukienkę, czuję się bezpieczna, i ma to ogromne znaczenie. Tylko w ubraniach od niego wiem, że jestem sobą”.

Gdy dziennikarze pytali Givenchy'ego, czy napawa go dumą fakt wykreowania „stylu Hepburn”, nie zgadzał się, by przypisywano mu podobną zasługę. Powtarzał uparcie, że Audrey była jego żoną, ale że to ona sama stworzyła swój własny styl: „Była osobą bardzo sumienną, wielką profesjonalistką. Nigdy się nie spóźniała i nie miała humorów. W przeciwieństwie do wielu jej sławnych koleżanek nie zachowywała się jak rozkapryszona gwiazda. Doskonale umiała kształtować swój wizerunek osoby silnej i niezależnej. Zawsze dodawała coś do modeli, które dla niej projektowałem, jakiś osobisty szczegół podkreślający całość. (...) Miała w sobie wszystko: wdzięk, blask, skromną elegancję. Wyglądała tak samo cudownie w wizytowej sukni, jak w kostiumie do tańca. Jej osobowość przebijała przez strój”.

Audrey prawdziwa

Praca nad filmem *Sabrina* nie była tak miła jak nad *Rzymskimi wakacjami*. Sprawily to przede wszystkim napięcia między odtwórcami dwóch głównych ról: Humphreym Bogartem i Williamem Holdenem. Bogart miał pięćdziesiąt cztery lata, był człowiekiem szorstkim, a jego skłonność do alkoholu stanowiła tajemnicę poliszynela. Z kolei trzydziestopięcioletni Holden był wówczas pierwszym amantem kina. Od początku wyczuwało się między nimi rywalizację; stwarzało to dość nieprzyjemną atmosferę w studiu. Audrey starała się trzymać jak najdalej od całej tej sprawy. Zdjęcia rozpoczęły się we wrześniu 1953 roku; sceny plenerowe kręcono w Glen Cove na Long Island. W czasie kręcenia filmu Audrey przeżyła namiętny romans z Holdenem – alkoholikiem i człowiekiem trudnym, mężem aktorki Brendy Marshall i ojcem dwojga dzieci. Prawdopodobnie koniec związku nastąpił wraz z końcem zdjęć. Tego dnia Holden miał wyznać Audrey, że poddał się wasektomii i nie może zostać ojcem. Dla Audrey, dla której zawsze sprawą najważniejszą było założenie rodziny, dalsza bliska relacja stała się niemożliwa. Aktorka sprowadziła ją do przyjaźni. Dla Holdena Audrey pozostała wielką miłością życia.

Po premierze *Sabrin*y – współczesnej bajki o Kopciuszku, w której córka szofera bogatej rodziny marzy od dziecka o poślubieniu jednego z dwóch synów potentata – Audrey wróciła na sceny Broadwayu, by wystąpić w sztuce u boku Mela Ferrera. Aktor, świeżo po rozwodzie, potraktował poważnie prośbę Audrey

wyrażoną podczas kolacji, na której się poznali, i w listopadzie znów zjawił się w jej życiu, by podjąć z nią współpracę w teatrze. Dał Audrey do przeczytania adaptację teatralną *Ondyny*, opowiadania Jeana Giraudoux. Audrey, by łatwiej zapomnieć o swoim związku z Holdenem, nie zastanawiając się wiele, przyjęła propozycję. Wytwórnia Para-mount pozwoliła swojej gwiazdzie na występy, ale tylko przez pół roku. Audrey, zawsze niepewna i pełna obaw, czy zdoła zaspokoić oczekiwania widzów, szukała oparcia emocjonalnego w Melu. Oboje bardzo zbliżyli się do siebie i na sezon teatralny wynajęli mieszkanie w dzielnicy Greenwich Village na Manhattanie; zaczęli nawet wspominać o ślubie.

Po premierze sztuki, 18 lutego 1954 roku, Audrey otrzymała znakomite recenzje, podkreślające kolejny raz jej wdzięk i swobodę na scenie. Krytyków nie ujęła natomiast gra Mela. „Brak mu siły przekonywania, elegancji i wyobraźni”, pisał „The New Yorker”. Za to Audrey była w swojej roli „magiczna, inteligentna, wspaniała”. Dla młodej aktorki miał to być niezapomniany rok; w tym samym tygodniu przyznano jej pierwszego w życiu Oscara dla najlepszej aktorki w roku 1953 za *Rzymskie wakacje*, a kilka dni później nagrodę Tony za główną rolę w *Ondynie*. W wieku dwudziestu czterech lat w rekordowo krótkim czasie odniosła triumf w Holly-woodzie i na Broadwayu. Mel był bardzo dumny z nagród, jakie otrzymała jego narzeczona. Tylko baronówna van Heemstra okazywała chłód i dystans wobec córki. „Nie może mnie napawać dumą talent Audrey – jeżeli jakiś ma. Jeśli to talent prawdziwy, to jest darem Bożym. Tak samo mogłabym być dumna z błękitnego nieba albo flamandzkich dzieł wystawianych w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych”, powiedziała pewnemu dziennikarzowi.

Po zakończeniu sezonu teatralnego Audrey czuła się wyczerpana i na granicy załamania nerwowego. Wszystko nastąpiło zbyt szybko i brakowało jej czasu na zaakceptowanie tak nieoczekiwanego sukcesu. „Nie powiedziałabym, że nauczyłam się już grać”, komentowała ze zwykłą sobie skromnością. Była coraz bardziej przewrażliwiona i niepewna, mimo piętrzących się na biurku jej agenta zaświadczeń o nagrodach i propozycji pracy. Zaczęła palić – wypalała nawet kilka paczek papierosów dziennie – i lekarz poradził jej, by zrobiła sobie uczciwy urlop. Z drugiej strony Mel przynaglał ją do decyzji, ponieważ się oświadczył i czekał na odpowiedź. Tak więc w towarzystwie matki – która zawsze przeciwstawiała się temu małżeństwu, uważając aktora za lowelasa – oraz Mela opuściła Nowy Jork, udając się do Szwajcarii.

Dwudziestego czwartego września 1954 roku Audrey Hepburn i Mel Ferrer wzięli ślub w trzynastowiecznej prywatnej kaplicy w szwajcarskim miasteczku Bürgenstock, niedaleko Jeziora Czterech Kantonów. W skromnej uroczystości w gronie najbliższych uczestniczyło około dwudziestu osób. Audrey była ubrana w sukienkę z białej organdy z okrągłym kołnierzykiem, na głowie miała wianek z białych kwiatów. Miodowy miesiąc, z powodu pilnych terminów Mela,

ograniczył się do trzech dni w szwajcarskiej willi. Pod koniec września młodzi małżonkowie wyjechali do Rzymu, gdzie aktor kręcił film. Po ślubie wynajęli dom niedaleko miejscowości letniskowej Anzio, około czterdziestu kilometrów od Rzymu. „Dom był położony pośród winnic. Towarzystwa dotrzymywało nam kilka gołębi, dwa osły, trzy psy i dziewięć kotów”, wspominała aktorka. Uważała, że małżeństwo to „zajęcie na pełen etat”, ewidentnie nie do pogodzenia z jej zawodem. Dlatego postanowiła zaszyć się na wsi, żeby tam odpoczywać, pielęgnować ogród i uczyć się włoskiej kuchni. Bardzo chciała zostać matką; była to dla niej najważniejsza sprawa. „Przyszłam na świat z ogromną potrzebą miłości i wielkim pragnieniem dzielenia się nią. Kiedy byłam mała, idąc z matką ulicą, próbowałam, ku jej zawstydzeniu, wyciągać z wózekków niemowlęta. Marzyłam, żeby mieć własne dzieci. Wszystko w moim życiu sprowadza się do jednego: nie tylko przyjmować miłość, lecz koniecznie nią obdarzać”.

Czwartego lutego 1955 roku Audrey przyjechała na premierę *Sabrinę* do Paryża i jej pojawienie się w stolicy Francji wywołało wielkie poruszenie. Film został bardzo życzliwie przyjęty zarówno przez krytykę, jak i przez publiczność, a Akademia Filmowa za rolę współczesnego Kopciuszka powtórnie nominowała Audrey do Oscara dla najlepszej aktorki. Audrey zawsze utożsamiała się z bohaterką filmu – dziewczyną romantyczną, naiwną, marzycielką jak ona sama. W marcu aktorka zorientowała się, że jest w ciąży, i wiadomość ta napełniła ją nieopisanym szczęściem. Radość małżonków trwała jednak krótko. Audrey poroniła i według jej własnych słów „w tamtej chwili była o krok od tego, żeby postradać zmysły”. Pogrążona w depresji, próbowała odzyskać równowagę, zamieszkawszy w wynajętym przez nich w Szwajcarii spokojnym dwupiętrowym wiejskim domu. Otaczająca ją przyroda i uwielbiane psy pomogły jej powoli zrehabilitować siły psychiczne i wrócić do zdrowia. Mąż, zaniepokojony jej apatią, namówił ją do wspólnej pracy w ambitnej produkcji – adaptacji *Wojny i pokoju* Tołstoja.

Wydawało się, że Mel, bardziej niż ona zorientowany w świecie filmu, pragnie kontrolować jej karierę artystyczną. Ku niezadowoleniu wielu stał się kimś w rodzaju impresaria Audrey, dyskutując nawet równolegle z nią warunki finansowe kontraktów. Choć podzielali wiele upodobań i zainteresowań, w rzeczywistości bardzo się od siebie różnili. Dla niej – nie tak zapatrzonej w karierę jak mąż – sława nie miała żadnego znaczenia, a sama kariera pozostawała na drugim planie. Audrey bardziej troszczyła się o to, by móc założyć rodzinę, niż żeby błyszczeć jako gwiazda filmowa. Mel nigdy nie rozumiał, że aspiracje ich obojga są nie do pogodzenia. Kiedy w lipcu 1955 roku ogłoszono, że oboje zagrają w *Wojnie i pokoju* w reżyserii Kinga Vidora, zaczęły się plotki: Mel miał rzekomo naciskać na żonę, by wybierała projekty korzystne dla niego.

Po trudnej i wyczerpującej pracy nad filmem w Rzymie, Audrey, będąc już

jedną z najlepiej opłacanych aktorek świata, otrzymała propozycję, która jej przypominała dawną wielką pasję: taniec. Miał to być film *Zabawna buzia* w reżyserii Stanleya Donena. Mimo że czuła się zmęczona i miała ochotę odpocząć znów w swoim szwajcarskim domu, nie mogła odmówić propozycji śpiewania i tańczenia w romantycznym musicalu u boku swego idola, wielkiego Freda Astaire'a. „Może to być ostatnia i jedyna okazja pracy ze wspaniałą, wielką Audrey Hepburn. I nie zamierzam tej okazji przepuścić. Kropka”, stwierdził legendarny tancerz, który skończył pięćdziesiąt siedem lat i niedawno owdowiał. Z kolei ona, dla której Fred Astaire był najlepszym tancerzem Hollywoodu, spotykając go w studiu, czuła się najwyraźniej speszona. Doświadczony tancerz ułatwił jej sprawę: „Gdy stanęłam przed tym legendarnym tancerzem i zobaczyłam go, tak urodziwego, szykownego, pełnego galanterii, serce podskoczyło mi w piersi. Raptem poczułam, że ktoś obejmuje mnie w pasie, i Fred z niezrównanym wdziękiem i lekkością uniósł mnie nad ziemię. Poczułam emocję, o jakiej marzyło wiele kobiet w pewnym momencie swego życia – zatańczyć, choćby tylko raz, z Fredem Astaire'em”. *Zabawna buzia* oznaczała dla Audrey kolejny sukces, na który złożyła się nie tylko jej gra, lecz także eleganckie, subtelne kreacje zaprojektowane przez Givenchy'ego, wspaniałe zdjęcia Richarda Avedona i urocze sekwencje tańca, w których aktorka mogła dać upust swojej pasji.

Podczas pracy nad filmem *Zabawna buzia* Audrey skończyła dwadzieścia siedem lat, a Fred Astaire pięćdziesiąt siedem. W większości filmów kręconych na początku kariery jej partnerzy byli od niej trzy razy starsi. Najpierw byli to Gregory Peck, Humphrey Bogart, Henry Fonda i Fred Astaire, potem podstarzały Gary Cooper, z którym spotkała się na planie kolejnego filmu, *Miłość po południu*, znów w reżyserii Billy'ego Wildera. Różnica wieku między Audrey – obdarzoną urodą wiecznej nastolatki – a jej partnerami odbierała wiarygodność odgrywanym przez nią miłosnym historiom. Publiczność jednak najwyraźniej się tym nie przejmowała, skoro każdy nowy film okazywał się kolejnym wielkim sukcesem. Póki czarująca Audrey nie skończyła trzydziestu lat, nie zaczęła grać z partnerami równymi jej wiekiem.

W roku 1957 postanowiła na jakiś czas usunąć się sprzed kamer filmowych i telewizyjnych. Pragnęła zastanowić się nad swoją przyszłością, czuła bowiem, że jej kariera jakby utknęła w miejscu. Wiedziała o olbrzymim sukcesie *Zabawnej buzi*, znała entuzjastyczne recenzje wychwalające jak zwykle jej wrodzony wdzięk. Martwiło ją jednak, że wszystkie jej dotychczasowe role są bardzo do siebie podobne: była albo czarującym, niewinnym dziewczęciem, które zniewala starszych od siebie mężczyzn w lekkich komediach, albo piękną arystokratką w historycznych dramatach jak *Wojna i pokój*. Kiedy więc agent przysłał telegram, w którym proponował rolę zupełnie innego typu, w filmie opartym na sławnej powieści, zgodziła się przeczytać książkę. Tak oto trafiła do jej rąk *Historia*

zakonnicy, którą pochłonęła w kilka dni.

Decydując się w końcu zagrać rolę siostry Luke – do której przewidziana była najpierw Ingrid Bergman – Audrey stanęła wobec postaci najgłębszej i najbardziej skomplikowanej w swojej karierze. Powieść i film oparte były na prawdziwej historii belgijskiej zakonnicy Marie-Louise Habets, „sister Luke”, która spędziła dziewięć lat w Kongu, pielęgnując najuboższych, po czym zrzuciła habit, by pracować jako pielęg-niarka na froncie. Przed nakręceniem filmu, który miał na zawsze odmienić jej życie, Audrey mogła osobiście poznać Marie-Louise. Od początku identyfikowała się z bohaterką: obie urodziły się w Belgii, poznały horror nazistowskiej inwazji, przeżywały podobne konflikty wewnętrzne. Audrey, mimo pogodnego usposobienia, była osobą zamkniętą w sobie, podobnie jak bohaterka, w którą się wcielała. „Miałam krótką młodość, niewielu przyjaciół, mało rozrywek i żadnego poczucia bezpieczeństwa. Cóż więc dziwnego, że stałam się introwertyczką?”, pytała kiedyś.

Bez projektowanych specjalnie dla niej kreacji Givenchy’ego, niemal bez makijażu, ubrana tylko w zakonny habit, jeśli chciała wyrazić zamęt uczuć targających siostrą Luke, musiała oprzeć się na ekspresji twarzy, przede wszystkim spojrzenia. Do roli – która przeszła do historii kina – przygotowywała się bardzo starannie. Nie tylko mieszkała przez jakiś czas w klasztorze francuskim, aby na własnej skórze poznać obecne w życiu sióstr surowość i skupienie, lecz także odwiedziła szpital dla umysłowo chorych oraz leprozorium nad rzeką Kongo. Dwumiesięczny okres kręcenia zdjęć w dawnym Kongu Belgijskim był bardzo trudny z racji wysokich temperatur – oscylujących między 37 a 54 stopnie – i ciężkich warunków pracy całej ekipy. „Nigdy nie widziałem osoby bardziej zdyscyplinowanej, uprzejmej i oddanej pracy niż Audrey – mówił reżyser Fred Zinnemann. – Nie było w niej cienia zarozumiałości, nie domagała się dla siebie żadnych specjalnych praw, do kolegów z planu odnosiła się z największym szacunkiem. Udowodniła samej sobie, rolę trudną i stawiającą ogromne wymagania, że jest wielką aktorką”.

Mimo że zniosła jakoś upał i wykańczającą wilgotność, jak też wszelkie towarzyszące im podczas kręcenia filmu insekty i węże, po powrocie do Europy dało o sobie znać przepracowanie. W Rzymie, gdzie dalej trwały zdjęcia, dostała ataku kamicy nerkowej. Operacja nie okazała się konieczna, ale na jakiś czas trzeba było odłożyć zdjęcia. Mimo tych przeciwności, Audrey, jak mówił później jej syn Sean, uważała *Historię zakonnic* za swój najlepszy film i była z tej roli najbardziej dumna. Po premierze w 1959 roku film otrzymał znakomite recenzje; wszyscy zgadzali się co do tego, że jest to jedna z najlepszych ról Audrey. Jej samej podróż do serca Afryki, możliwość bezpośredniego poznania nędzy ludzkiej przyniosły wewnętrzną przemianę – podobnie jak stało się z bohaterką historii. W liście do autorki powieści Kate Hume oraz do byłej zakonnicy Marie-Louise Habets –

z którą nawiązała bliską więź wykraczającą poza współpracę przy filmie – Audrey pisała: „Mogę Wam tylko powiedzieć, że jakiegokolwiek podobieństwo między Audrey Hepburn obecną i tą sprzed stycznia 1958 roku jest czysto przypadkowe. Wiele zobaczyłam, usłyszałam i dowiedziałam się, wzbogaciły mnie tak różnorodne doświadczenia, że czuję się innym człowiekiem. Zagłębiając się w umysł i serce siostry Luke, musiałam także zajrzeć w siebie samą...”.

Jesienią 1958 roku Audrey była znów w ciąży. Nie mogła, zgodnie ze swym pragnieniem, wypocząć w szwajcarskim domu, gdyż była związana umową z Johnem Hustonem, u którego miała zagrać w filmie. Utrzymując swój stan w tajemnicy, rozpoczęła razem z Burtem Lancasterem zdjęcia do osobliwego westernu, zatytułowanego *Nie do przebaczenia*. Film kręcony był na pustyni, w stanie Durango w Meksyku, w bardzo trudnych warunkach. Znosząc upał, wiatr i pył, Audrey – która grała rolę mało przekonującej Indianki z plemienia Kiowa – musiała dosiadać na oklep arabskiego ogiera o imieniu Devil. Mimo że była dobrą amazonką, w jednej ze scen przeżyła poważny wypadek. Koń stanął dęba i aktorka spadła na ziemię. Złamała cztery kręgi, skręciła kostki, nadgarstek, nadwerżyła mięśnie pleców. Lekarz, który opatrzył ją w studiu, bał się, że nie będzie chodziła. Skończyło się jednak na kilku tygodniach odpoczynku pod opieką, co ciekawe, Marie-Louise Habets, siostry, w której rolę wcieliła się w *Historii zakonnic*. Po jakimś czasie Audrey wróciła na plan, dosiadając tego samego konia – zgodnie z obietnicą daną reżyserowi.

Po ciężkim upadku obawiała się, że mogła stracić dziecko, jednak tak się nie stało. W maju, po premierze, poroniła jednak kolejny raz. Jak podaje jej biograf, urodziła martwe dziecko. Na resztę roku załamana zamknęła się w swoim domu w Bürgenstock. Zrobiła tylko jeden wyjątek – przybyła na londyńską premierę *Historii zakonnic*. Owego wieczoru była jak zawsze niezwykle elegancka, lecz wyglądała na smutną i osłabioną. Miała trzydzieści lat, a jakby się postarzała. „Tak bardzo pragnęłam dziecka, że poronienia były dla mnie przeżyciem cięższym niż cokolwiek, łącznie z rozwodem rodziców i odejściem ojca”. Czuła się tak załamana, że – wbrew obietnicom – odmówiła udziału w filmie w reżyserii Alfreda Hitchcocka. Film miał zawierać brutalną scenę gwałtu – której nie było w oryginalnym scenariuszu – i Audrey nie czuła się gotowa do jej zagrania. Reżyser bardzo źle przyjął jej odmowę i, zamiast poszukać innej odtwórczyni, w ogóle zrezygnował z filmu. Nie wybaczył Audrey, choć zdaje się, znów brał ją pod uwagę przy obsadzaniu filmu *Ptaki*.

W tym trudnym okresie życia Audrey małżonkowie Ferrer udali się do Irlandii, z powodów, które nigdy nie zostały upublicznione. Po powrocie Audrey z Konga Belgijskiego Mel zdołał ustalić miejsce pobytu jej ojca poprzez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. „Moja matka często o tym z nim rozmawiała i Mel uznał, że w życiu jego żony jest to ważny, nierozwiązany temat. Jednakże

nawet po dwudziestu latach rozłąki ojciec, spotykając się z Audrey, nie był zdolny okazać jej głębokiego podziwu i miłości”, pisze Sean Ferrer w biografii matki. Joseph Hepburn-Ruston mieszkał w Dublinie z drugą żoną i choć nie widział córki od dwudziestu pięciu lat, z uwagą śledził jej karierę. Nie było to łatwe spotkanie i kiedy znaleźli się naprzeciw siebie, żadne z nich nie potrafiło okazać śladów uczucia. „Człowiek, za którym tęskniła całe dzieciństwo, był dotknięty straszliwym paraliżem emocjonalnym, który nie pozwalał mu okazać uczuć. Wtedy matka uczyniła jedno: podeszła i uściśnęła go, wiedząc, że na nic więcej się nie zdobędzie. Instynktownie, spontanicznie postanowiła mu przebaczyć. Nie było łez radości z racji spotkania po latach. Wiedziała, że poczułby się niezręcznie, więc zachowała łzy dla siebie”, pisze Sean Ferrer. Audrey pożegnała się z ojcem, świadoma, że nie nawiąże ponownie relacji zerwanej dawno temu, kiedy miała sześć lat. Do końca swoich dni wysyłała ojcu pieniądze.

Przez pewien okres Audrey żyła z dala od kamer i publiczności czekającej w długich kolejkach, by oglądać jej filmy. Zasłużony odpoczynek przyniósł w końcu owoce: 17 lipca 1960 roku spełniło się jej marzenie o macierzyństwie. Po dwóch poronieniach urodziła syna, w szpitalu położniczym w Lucernie. Sean Hepburn Ferrer, zdrowy chłopczyk, ważył cztery i pół kilograma. „Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę jest mój i że mogę go zatrzymać”, mówiła. Dziecko zostało ochrzczone przez ojca Endiguera, tego samego, który dawał im ślub i który już jako osiemdziesięcioletni kapłan miał odprawić pogrzeb aktorki. Mimo że w tamtym okresie nie układało im się z Melem, Audrey próbowała ocalić małżeństwo. „Od chwili, kiedy urodziłam Seana, trzymałam się swojego małżeństwa tylko ze względu na niego, i coraz bardziej było mi przykro rozstawać się z synem dla filmów”. Taka była Audrey prawdziwa. A filmy to były bajki.

Blaski i cienie

Mimo że Audrey nie spieszyła się z powrotem na ekran, kiedy dostała propozycję zagrania w *Śniadaniu u Tiffany’ego*, filmie opartym na powieści Trumana Capote’a, nie mogła odmówić. Rola ekscentrycznej i swobodnej Holly Golightly uczyniła ją jedną z najlepiej opłacanych aktorek na świecie, otworzyła jej drzwi do takich klasycznych pozycji filmowych, jak *Szarada* czy *My Fair Lady* i jakby tego było mało, nadała jej status ikony mody, którą aktorka pozostała także dla epoki współczesnej. Dzięki eleganckiej garderobie – oraz interesującym dodatkom, zaprojektowanym przez jej przyjaciela Givenchy’ego – Audrey została proklamowana królową elegancji i stylu. Na początku Capote chciał, aby odtwórczynią głównej roli była jego dobra przyjaciółka, platynowa blondynka Marilyn Monroe, ta odrzuciła jednak propozycję, argumentując, że rola zbyt

podkreślałaby jej frywolność. Pisarz nie był zadowolony z adaptacji swego opowiadania: „Książka jest o wiele bardziej gorzka. (...) Film to przesłodzona miłosna pocztówka z Nowego Jorku, a Holly jest śliczna i szczupła, podczas gdy powinna być bogata i brzydka”.

Pod okiem reżysera Blake’a Edwardsa Audrey zdołała nadać kreowanej przez siebie postaci Holly – dziewczyny do towarzystwa uwielbiającej luksus, za to niezdolnej do dotrzymania jakichkolwiek zobowiązań – wdzięk i świeżość, które zaskarbiły jej wielką sympatię widzów. Jej brak pewności siebie doszedł jeszcze raz do głosu, gdy sławny Henry Mancini, autor muzyki, poinformował ją, że skomponował specjalnie dla niej piosenkę, którą miała wykonywać, akompaniując sobie na gitarze. Audrey parę miesięcy pracowała pod kierunkiem profesora śpiewu i osiągnęła to, że scena, kiedy aktorka, siedząc w oknie, melancholijnie śpiewa *Moon River*, przeszła do historii kina. Do historii przeszła także pierwsza scena, w której Holly, wracając z nocnej zabawy, zatrzymuje się przed wystawą sklepu z biżuterią firmy Tiffany, z kubkiem kawy i croissantem w ręce. Mimo że później firma Tiffany zaproponowała jej drogi kontrakt, na którego mocy miała być twarzą słynnej marki, odrzuciła ofertę, uzasadniając to tymi słowami: „Mój wizerunek nigdy nie będzie wizerunkiem «dziewczyny od brylantów»”.

W roku 1961, roku premiery *Śniadania u Tiffany’ego*, publiczność zwróciła uwagę na prezentowane przez aktorkę wymyślne sukienki i fryzury. Słynna czarna sukienka z gołymi ramionami, którą Audrey ma na sobie w pierwszej scenie filmu, pozostaje do tej pory synonimem elegancji i dobrego smaku. Projektant francuski, wybierając dla swojej muzy kreację i dodatki, w tym długą czarną sukienkę, kilka razy oplatający szyję sznur pereł, wielkie czarne okulary, trzydziestocentymetrową cygarniczkę, oryginalne kapelusze, długie rękawiczki, nie zdawał sobie sprawy, że tworzy styl, który pięćdziesiąt lat później wciąż będzie punktem odniesienia dla wielkich stylistów. „Nie znam nikogo, kto w jakimś momencie życia nie chciałby być podobny do Audrey Hepburn”, stwierdził kiedyś Givenchy.

Po premierze w październiku 1961 roku w Nowym Jorku *Śniadanie u Tiffany’ego* pobiło wszelkie rekordy kasowości, Audrey zaś stała się absolutną gwiazdą Hollywoodu. W miarę jak jej sława i popularność na całym świecie rosły, jej relacje z Melem – człowiekiem trudnym i o wybujałym ego – stawały się coraz bardziej napięte i chłodne. Aktor, któremu nie udawało się wyreżyserować nowego filmu w Hollywoodzie, czuł się niezręcznie w roli „męża swojej żony” – męża Audrey Hepburn, której kariera stale się rozwijała. „Jest to oczywiście problem, kiedy, tak jak w moim przypadku, żona przyćmiewa męża. Zdaję sobie sprawę, że producenci, kiedy dzwonią do mnie, żeby porozmawiać o filmie, chcą zaangażować Audrey. Dlatego chciałbym coś osiągnąć jako reżyser”, wyznawał Mel.

„Wiedział, jak trudne okaże się małżeństwo z aktorką światowej sławy,

uznawaną wszędzie za gwiazdę, pozostawanie na drugim planie na ekranie i w prawdziwym życiu. Jak bardzo cierpiał Mel! Możesz mi jednak wierzyć, że dla mnie praca była mniej ważna”, twierdziła Audrey. Zazdrość Mela nie ograniczała się tylko do spraw zawodowych. Większość amantów filmowych, którzy partnerowali Audrey, na koniec się w niej zakochała – i to nie tylko platonicznie, jak William Holden czy Albert Finney. Poza tym Mel czuł się wyłączony z bliskich relacji łączących jego żonę z przyjacielem i powiernikiem, projektantem francuskim Hubertem de Givenchy. O zażyłości między nimi świadczy na przykład tego typu deklaracja: „Jestem uzależniona od Givenchy’ego w ten sam sposób, w jaki Amerykanki są uzależnione od swoich psychiatrów. Do niewielu osób jestem tak przywiązana. To naprawdę jedyny absolutnie bezinteresowny mężczyzna, jakiego znam”.

Po sukcesie *Śniadania u Tiffany’ego* przyszły nowe filmy, w których Audrey pracowała pod kierunkiem najlepszych reżyserów Hollywoodu. Wszystkie zbierały pochwalne recenzje krytyków i cieszyły się wielką popularnością wśród widzów. Po *Niewiniątkach*, gdzie znów wystąpiła u Williama Wylera, zagrała w filmie *Kiedy Paryż wrze* – spotkała się tam na planie ze zniszczonym alkoholizmem Williamem Holdenem – następnie w niezapomnianej *Szaradzie*, w której jej partnerem był Cary Grant, oraz w *My Fair Lady* w reżyserii George’a Cukora, jej najbardziej kasowym filmie. Gwiazda Audrey nie bladła i w 1963 roku aktorka śpiewała *Happy Birthday* samemu prezydentowi Johnowi F. Kennedy’emu, podczas uroczystości na jego cześć odbywającej się w hotelu Waldorf-Astoria. Niektórzy biografowie charyzmatycznego prezydenta twierdzą, że aktorka i przyszły prezydent – wówczas senator – podczas pobytu obojga w Nowym Jorku utrzymywali ze sobą bliskie stosunki. Kennedy, rzekomo zakochany w Audrey, spotykał się z odtwórczynią głównej roli w filmie *Rzymskie wakacje* przed swoimi oficjalnymi żarczyniami z Jacqueline Lee Bouvier.

Gdy synek Audrey Sean skończył cztery lata, rodzina przeprowadziła się z Bürgenstock do wioski położonej niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Genewy, Tolochenaz-sur-Morges. Tam Audrey znalazła miejsce, w którym pragnęła mieszkać do końca życia, piękny kamienny dom – dwustuletnią piętrową willę o nazwie La Paisible (Spokojna). Dom, otoczony winnicami i sadami owocowymi, miał rozległy ogród. Z okien roztaczał się widok na Alpy Szwajcarskie. Audrey należała do najbardziej cenionych aktorek europejskich w Hollywoodzie, obok Greta Garbo, Marleny Dietrich czy Ingrid Bergman, nie chciała jednak mieszkać w Los Angeles. Od dzieciństwa nie cierpiała wielkich miast i tylko na wsi odnajdywała prawdziwy spokój. Zmuszona rozstawać się z mężem i z synkiem z powodów zawodowych, teraz chciała nacieszyć się dzieckiem i w tym pięknym otoczeniu obserwować jego rozwój. W tych dniach, podczas gdy doglądali budowy letniego domu w Marbelli w Hiszpanii, stwierdziła, że jest znowu w ciąży. W tej

sytuacji wrócili do La Paisible, jednak w styczniu 1966 roku Audrey ponownie poroniła.

Aby łatwiej pozbić się po ciosie, Audrey zgodziła się wrócić do pracy. Nakręciła dwa filmy, które utrwaliły jej pozycję jako jednej z najlepszych aktorek tych czasów: poruszający i zarazem gorzki *Dwoje na drodze*, gdzie jej partnerem był Albert Finney, oraz *Doczekać zmroku*, film wyprodukowany przez Mela Ferrera, w którym grała niewidomą kobietę skonfrontowaną z grupą bezwzględnych morderców. Po okresie pełnym blasku, nagród i uznania czterdziestolatka Audrey na niemal dziesięć lat przerwała pracę w filmie. Znalazła się w sytuacji osobistej, która nie była fikcją, lecz okrutną rzeczywistością. Związek z Melem zbliżał się do finału i mimo że aktorka walczyła o uratowanie małżeństwa, pojednanie nie było już możliwe. Dla kobiety takiej jak Audrey, przekonanej, że małżeństwo jest sprawą na całe życie, i noszącej w sobie wspomnienie rozvodu rodziców, był to ciężki cios. „Rozwód jest najcięższym doświadczeniem, jakie może stać się udziałem człowieka. Próbowalam rozpaczliwie unikać tego kroku, przede wszystkim ze względu na dzieci, docierając do granic tego, co się da wytrzymać. Przychodzi jednak moment, kiedy podtrzymywanie małżeństwa jest jeszcze gorsze niż rozstanie”, wspominała później aktorka.

Rozwód Audrey i Mela został ogłoszony 1 września 1967 roku. Oboje zachowali dla siebie szczegóły i zawsze wyrażali się o sobie nawzajem z wielkim szacunkiem. Audrey dopilnowała, by Sean miał zapewnione prawo widywania się z ojcem i mógł spędzać z nim lato w jego domu w Marbelli bądź w Stanach Zjednoczonych, dokąd Mel się przeniósł. Sean mieszkał dalej z matką w La Paisible, uczęszczając do pobliskiej szkoły prywatnej. Dla aktorki rozwód z Melem Ferrerem – zmarłym 2 czerwca 2008 roku w wieku dziewięćdziesięciu lat – był „wielką życiową klęską”, i uważała tak do końca swoich dni. Według Seana rodzice tylko dwa razy w ciągu kolejnych dwudziestu trzech lat rozmawiali ze sobą: w dniu uzyskania przez niego dyplomu oraz w dniu jego ślubu.

Po rozwodzie Audrey zamknęła się w swoim wiejskim domu, poświęcając się całkowicie synowi. Uwielbiana przez miliony aktorka, wzór elegancji i stylu, była teraz po prostu matką, która pomaga dziecku w lekcjach, przygotowuje smaczne potrawy z makaronu i pielęgnuje róże i dalie w ogrodzie. Niemniej po raz pierwszy od dawien dawna Audrey czuła się osamotniona, oddalona od wielkiego ekranu, oddana całkowicie synowi. Nie wyglądała zdrowo; dużo paliła, schudła tak, że ważyła zaledwie czterdzieści kilogramów. „Zawsze była słabego zdrowia – mówił Sean – ale odznaczała się siłą. Przebyty w dzieciństwie koklusz w połączeniu z niedożywieniem, jakie znosiła w czasie wojny, doprowadziły do astmy w młodości; przez całe życie miała słabe płuca. Dużo paliła, jak większość tancerzy i aktorów, i zawsze ostrzegano ją, że może to doprowadzić do rozedmy

pluc”. W tej sytuacji, czując, że grozi jej kolejny kryzys nerwowy, zaczęła się częściej spotykać z przyjaciółmi i wychodzić z domu. W tamtym roku, 1968, przeżyła kilka romansów, równie krótkich, jak desperackich, między innymi z toreadorem Antoniem Ordoñezem, a także Alfonsem Burbonem, księciem Kadyksu.

W czerwcu, pogrążona wciąż w kryzysie, przyjęła zaproszenie przyjaciółki, księżniczki Olimpii Torlonii, na rejs jej jachtem po Morzu Śródziemnym. Wśród zaproszonych gości znajdował się znany psychiatra włoski Andrea Dotti, dziewięć lat młodszy od Audrey. Ów pochodzący z Neapolu młody arystokrata – syn hrabiego Dominica Dottiego – przystojny, pogodnego usposobienia, umiejący smakować drobne przyjemności życia, wydawał się idealnym towarzystwem dla przeżywającej trudne chwile Audrey. Jeszcze przed końcem rejsu wokół wysp greckich oboje zakochali się w sobie. „Wszystko stało się nagle. Był człowiekiem pełnym entuzjazmu, wesołym, a w miarę jak go poznawałam, uświadamiałam sobie, że jest także inteligentny, bardzo wrażliwy”, opowiadała aktorka.

Po skończonym rejsie – który trwał zaledwie osiem dni – Audrey wróciła do Szwajcarii, a jej ukochany do Rzymu. Romans rozwijał się w zawrotnym tempie. Spotykali się w weekendy w Rzymie albo w La Paisible, gdzie Andrea poznał Seana. Pół roku później, w Boże Narodzenie, Włoch podarował jej pierścienek zaręczynowy, wspaniały soliter firmy Bulgari. Wzruszona Audrey zgodziła się na małżeństwo. „Jestem zakochana i czuję się znowu szczęśliwa”, zwierzała się Hubertowi de Givenchy. Odkąd poznała Andreę, lepiej wyglądała. Poweselała i przybrała trochę na wadze. Z kolei liczący dziewięć lat Sean bardzo dobrze przyjął obecność Andrei, który nigdy nie próbował zająć miejsca jego prawdziwego ojca.

Osiemnastego stycznia 1969 roku Audrey i Andrea Dotti, ku zaskoczeniu rodziny i przyjaciół, wzięli ślub podczas prywatnej uroczystości w ratuszu w Morges, w Szwajcarii. Mimo że miał to być ślub skromny, nie udało się uniknąć tłumu fotoreporterów, dziennikarzy i gapiów. Aktorka – która stała się obecnie hrabiną Dotti, chociaż nigdy nie używała tego tytułu – była ubrana w krótką różową sukienkę z dzianiny, z kapturem w charakterze kołnierzyka i chustką do kompletu – według projektu Givenchy’ego. Nowo poślubieni spędzili spokojny miesiąc miodowy w La Paisible, po czym wrócili do Rzymu, gdzie zamieszkali w pięknym dwunastopokojowym apartamencie na poddaszu, z dużym tarasem i pięknymi widokami na miasto.

Audrey pragnęła stać się rzymską żoną oddaną całkowicie rodzinie. Nie zamierzała absolutnie wracać do filmu, mimo że spływał na nią deszcz wielkich propozycji – które uprzejmie odrzucała. „Nie szkodzi, jeśli nie nakręcę już żadnego filmu – mówiła. – Ostatecznie pracowałam bez wytchnienia od dwunastego roku życia, kiedy to zaczęłam brać lekcje tańca, do trzydziestego ósmego. Teraz mam

ochotę odpocząć, spać długo i zajmować się synem. Po co miałabym wracać do pracy, jeśli wyszłam za męża za człowieka, którego kocham, którego życie chcę dzielić?”.

Po czterech miesiącach od ślubu Audrey stwierdziła z radością, że jest w ciąży, i postanowiła bardzo się pilnować, żeby nie dopuścić do kolejnego poronienia. Przez ostatnie dziesięć tygodni ciąży leżała w łóżku i 8 lutego 1970 roku urodziła w Lozannie drugiego chłopca. Dziecko otrzymało imię Luca. Oboje rodzice byli uszczęśliwieni, a Audrey żywiła nadzieję powiększenia rodziny, co lekarze odradzali jej jako bardzo niebezpieczne ze względu na jej wiek i stan zdrowia. Na kilka miesięcy przeniosła się do La Paisible, żeby odzyskać siły po cesarskim cięciu i pielęgnować nowo narodzonego synka. Mąż, całkowicie pochłonięty pracą, został w Rzymie; widywali się tylko w weekendy. W tym okresie zaczęły krążyć plotki o tym, że korzystając z nieobecności żony, Andrea prowadzi w Rzymie swobodne życie. Przystojnego lekarza, który jako kawaler miał opinię playboya, widywano w towarzystwie pięknych kobiet, rzekomo, jak twierdził, koleżanek z pracy.

W ciągu najbliższych lat Audrey poświęcała się całkowicie dzieciom: odprowadzała Seana do szkoły, odrabiała z nim lekcje, pilnowała, żeby chłopcy dobrze się odżywiali, czytała im książki, jak każda zwykła matka. „W pewnym momencie życia – mówiła w marcu 1988 roku – musiałam wybierać: albo przestać kręcić filmy, albo przestać widzieć dzieci. Była to łatwa decyzja; zawsze bardzo za nimi tęskniłam. Kiedy mój starszy syn zaczął chodzić do szkoły, nie mogłam go już ze sobą zabierać na plan, sprawiało mi to ból, więc przestałam przyjmować propozycje. Czułam się bardzo szczęśliwa. Nie było tak, że siedziałam w domu sfrustrowana, obgryzając paznokcie. Jak wszystkie matki, jestem zwariowana na punkcie swoich chłopców”.

Około roku 1974 życie rodziny Dottich wydawało się względnie beztrudne, w każdym razie na zewnątrz. Niemniej Audrey zaczynała czuć się w Rzymie niepewnie, prześladowana stale przez paparazzich, ona i dzieci. Do tego odbierały jej spokój akty przemocy i porwania będące we Włoszech na porządku dziennym. Kiedy się dowiedziała, że o mało nie został porwany sterroryzowany pistoletem jej mąż, postanowiła wyjechać z Rzymu razem z synami. Sean, już czternastoletni, został umieszczony w szwajcarskiej szkole z internatem. Audrey z małym Lucą schroniła się w La Paisible, gdzie czuła się bezpieczniejsza. Tamtego lata, w wieku czterdziestu pięciu lat, poroniła kolejny raz. Nadzieje na następne dziecko rozwiały się bezpowrotnie. W takiej sytuacji matka Audrey – która skończyła siedemdziesiąt osiem lat i dzieliła czas między San Francisco a Los Angeles, pracując jako wolontariuszka z weteranami wojny w Wietnamie – przeniosła się do niej do Tolochenaz. Relacje między obiema kobietami nigdy nie były łatwe, częściowo z powodu charakteru Elli, niezdolnej do okazania serdeczności mimo dumy z córki.

Oddzielało je również od siebie poczucie wyższości, które na zawsze zachowała baronówna, a które dla Audrey okazywało się krępujące. Mimo niesnasek Ella przeżyła z córką ostatnie dziesięć lat – zmarła 26 sierpnia 1984 roku – zarządzając La Paisible.

Po ślubie z Andream Dottim Audrey, zgodnie z obietnicą, nie wróciła na ekran. Kiedy jednak w 1975 roku wpadł jej w ręce scenariusz filmu *Powrót Robin Hooda*, zmieniła zdanie. Pociągała ją nie tylko sama opowieść – związek starego Robin Hooda z lady Marion, kobietą, którą zawsze kochał – lecz także możliwość pracy z Seanem Connerym, idolem jej synów ze względu na rolę Jamesa Bonda. Poza tym lady Marion była kobietą dojrzałą, jak sama Audrey, i w tym okresie życia przeżywała piękny romans. Aktorka otrzymała za ten film całkiem niezłą gażę wysokości miliona dolarów. Sceny plenerowe kręcono w Pamplonie, w Nawarze, w czasie gorącego, suchego lata. I znów recenzenci filmowi wychwalali jej pojawienie się na ekranie po dziewięcioletniej nieobecności w roli określanej jako wyjątkowa i niepowtarzalna. Oto, co mówiła na ten temat sama Audrey: „Jak każda aktorka na świecie latami marzyłam o zagranium w filmie z Seanem Connerym, ze względu na jego wspaniałą prezencję, przemiły sposób bycia, ciepło, brak uporu i, jakżeby nie, męski urok. I moje marzenie się spełniło. Szkoda tylko, że miałam rolę zakonnicy. Na szczęście, kiedy Robin Hood wraca z krucjat w całym swoim blasku, z zakonnicy jakby opada welon...”.

W ciągu całej swojej kariery Audrey nakręciła dwadzieścia cztery filmy i publiczność o niej pamiętała. Mimo wieku była wciąż wzorem elegancji, gracji i dobrego smaku. Jednak, jak w przypadku poprzedniego małżeństwa, jej życie osobiste nie przypominało idylli, mimo że starała się zachowywać pozory, przede wszystkim ze względu na dzieci. Musiała przyznać z bólem, że i tym razem się pomyliła i że nie czuje się szczęśliwa. Sean ujmował to tak: „Mój ojczym był znakomitym psychiatrą i człowiekiem obdarzonym wielkim urokiem, ale nie miał dobrego charakteru. Nie umiał być wierny. Nie nadawał się na męża dla kogoś, kto pragnęła stabilizacji”. Andrea posuwał się za daleko, zapraszając kochanki nawet do ich wspólnego z Audrey mieszkania w Rzymie.

Postępowanie rozwodowe zostało wszczęte w połowie roku 1980. Nowe bolesne rozstanie oddaliło na zawsze marzenie aktorki o stworzeniu rodziny po przyjsciu na świat Luki. Audrey poświęciła swoją karierę, będąc u szczytu popularności, i zamieszkała w Rzymie, aby być blisko męża. Po dziesięciu latach małżeństwa związek się rozpadł, lecz podobnie jak w przypadku Mela aktorka starała się, by nie ucierpiały na tym stosunki męża z synem. „Poronienie jest strasznym doświadczeniem, ale jest nim także rozwód. To bodaj najgorsze doświadczenie, jakie może stać się udziałem człowieka – mówiła. – W przypadku obu moich małżeństw starałam się wytrzymać ze względu na dobro dzieci i z szacunku dla samego małżeństwa. Człowiek wciąż ma nadzieję, że jeśli będzie

dostatecznie mocno kochał tę drugą osobę, wszystko się uda; ale nie zawsze tak jest”.

W roku 1980, w okresie przeprowadzania rozvodu, Audrey pojechała do Los Angeles, gdzie mieszkał jej syn Sean, wówczas już dziewiętnastoletni, żeby spróbować otworzyć sobie drzwi w przemyśle filmowym. Na czas pobytu w mieście zatrzymała się u zaufanej przyjaciółki Connie Wald. I na jednej z kolacji zorganizowanych przez tamtą dla ludzi ze świata filmu poznała aktora holenderskiego Roberta Woldersa. Łączyło ich nie tylko pochodzenie; oboje przeżyli horror okupacji nazistowskiej w Holandii i oboje znajdowali się w trudnej sytuacji osobistej. Robert stracił właśnie żonę, piękną, genialną aktorkę Merle Oberon, dwadzieścia pięć lat od niego starszą. Podczas owego wieczoru, kiedy mogli rozmawiać po niderlandzku, czuli się ze sobą swobodnie, połączeni wspólnym poczuciem opuszczenia i smutku.

Na swoje ostatnie dziesięć lat życia Audrey znalazła w Robbiem – jak go nazywała – idealnego towarzysza. Mimo że po tym, jak ich znajomość stała się sprawą publiczną, rozeszły się pogłoski o ślubie, nie zawarli małżeństwa. „To był przyjacielski związek. Żadne z nas nie miało głowy do zakochiwania się. Każde znajdowało się w trudnym i smutnym okresie życia. Natychmiast jednak nawiązała się między nami szczerą przyjaźń i nic głębokiego porozumienia”, mówiła aktorka. Dla niej nie była to historia Romea i Julii, lecz owszem, najtrwalsza i najpełniejsza relacja w życiu. W Robbiem znalazła wreszcie tak upragnioną bliskość i poczucie bezpieczeństwa. Zamieszkali w wiejskim domu La Paisible, wraz z psami, chodzili na spacer, robili zakupy na targu, spędzali miłe chwile w towarzystwie przyjaciół. Zapytana kiedyś o swoją koncepcję nieba, Audrey odpowiedziała: „Moja idea nieba to Robert, chłopcy (nienawidzę rozstań), psy, dobry film, świetny obiad... wszystko razem. Kiedy to się zbiega, czuję się naprawdę szczęśliwa”.

Osiągnąwszy szczyty kariery, mając za sobą współpracę z najlepszymi reżyserami i aktorami i będąc jedną z najbardziej podziwianych kobiet świata, Audrey Hepburn miała teraz wystąpić w roli, która napawała ją największą dumą. „Zawsze odgraniczałam pracę od tego, co składało się na moje życie osobiste. Bycie aktorką oznaczało jedynie pracę, teraz jednak czuję się bardziej spełniona jako człowiek, pomagając najsłabszym, dzieciom”, wyznawała sześćdziesięcioletnia aktorka. W marcu 1988 roku została mianowana międzynarodowym ambasadorem dobrej woli z ramienia UNICEF-u, otrzymując za swoją pracę symboliczne wynagrodzenie w wysokości dolara rocznie. Odtwórczyni głównych ról w *Sabrinie* i *Śniadaniu u Tiffany’ego* pragnęła wykorzystać teraz swoją sławę, by pomagać najbiedniejszym dzieciom. W ciągu najbliższych pięciu lat Audrey w towarzystwie Robbiego, mianowanego jej oficjalnym pomocnikiem, podróżowała po całym świecie, odwiedzając ponad dwadzieścia krajów i prowadząc rozmowy z prezydentami lub szefami państw.

Pracę dla UNICEF-u traktowała z tą samą sumiennością i dyscypliną, z jaką poruszała się po świecie filmu.

„Do chwili, kiedy matka odwiedziła niektóre kraje afrykańskie zniszczone wojną, jej najbardziej tragicznymi wspomnieniami było odejście ojca oraz poronienia”, twierdził Sean. Nikt jej nie przygotował na twardą rzeczywistość, z jaką miała zostać skonfrontowana. Ze wszystkich poznanych krajów największe wrażenie zrobiła na niej Somalia. Ona, która jako dziecko poznała głód i nędzę, widziała siebie w owych niedożywionych dzieciach podchodzących do niej z uśmiechem. „Ciężka anemia, problemy oddechowe, spuchnięte kończyny. W tym samym stanie byłam ja, kiedy skończyła się wojna w Holandii”, opowiadała wstrząśnięta. W Somalii, kraju doświadczającym skutków straszliwej suszy i głodu, miała wrażenie, że stanęła „u wrót piekieł”. Zdjęcia wychudzonej Audrey Hepburn, patrzącej bezradnie, z przypominającym szkielet, bliskim śmierci dzieckiem na rękach, obieły cały świat. Miała to być jej ostatnia – i dla niej najważniejsza – misja z ramienia UNICEF-u. Teraz czekała ją wielka bitwa z rakiem jelita grubego.

Ból widoczny na twarzy Audrey w czasie jej pobytu w Somalii był nie tylko reakcją na straszliwy obraz, jaki przedstawiał sobą obóz uchodźców w Baydhaba, lecz także symptomem wykluwającej się choroby. Z powodu zobowiązań wobec UNICEF-u aktorka zaniedbała wykonania badań; zapomniała o sobie samej, koncentrując się na cierpieniu innych. „W 1992 roku zaangażowanie matki na rzecz UNICEF-u stało się zbyt wyczerpujące, terminy były napięte. W niektórych przypadkach, aby wykorzystać darmowe bilety na samolot, matka i Robbie, lecąc do jakiegoś biednego kraju, przesiadali się kilka razy. Czyniło to podróż jeszcze bardziej uciążliwą. Poza tym matka relacjonowała później w wykładach wszystko, co zobaczyła i sprawdziła, udzielała wywiadów, włączała się w kampanię zbierania funduszy dla UNICEF-u. Oboje podejmowali takie akcje parę razy w roku. Odpoczywali przez zaledwie kilka tygodni, żeby dojść do siebie po *jet lag*, po czym wracali do poprzedniej aktywności. Taki męczący rytm życia musiał jej wreszcie wystawić rachunek”, pisze Sean w biografii matki.

Gdy pod koniec 1992 roku Audrey została operowana i w szpitalu Cedars-Sinai Medical w Los Angeles usunięto jej złośliwy guz, lekarze stwierdzili przerzuty do żołądka, nie dając pacjentce żadnej szansy na wyzdrowienie. Sean, który nie opuszczał matki ani na chwilę, musiał przekazać jej złą wiadomość. „Tak więc powiedziałem jej, powtórzyłem to, co powiedział nam lekarz, że nie można jej było operować, ponieważ wystąpiły przerzuty. Odwróciła wzrok i powiedziała spokojnie: «Jaka szkoda». To było wszystko. Wziąłem ją za rękę i poczułem się tak bezradny, jak nie czułem się nigdy. W pewnym sensie moja matka umarła tego dnia. Pozostaliśmy tak razem, w sali szpitalnej, trzymając się za ręce...”.

Audrey zwróciła się wówczas z prośbą do Robbiego i synów, aby pozwolili

jej wrócić do domu. Chciała umrzeć u siebie w La Paisible, otoczona najbliższymi. „Chcę umrzeć w swoim domu w Szwajcarii – mówiła – zobaczyć jeszcze raz góry, w tle dymiącego ogniska, być z moimi synami i drogiem Robertem”. Przed ostatecznym opuszczeniem Stanów Zjednoczonych Audrey zebrała w sobie jeszcze dość sił, by spotkać się w domu Connie Wald z najbliższymi przyjaciółmi z Hollywoodu. Na spotkanie 9 grudnia 1992 roku przyszli pożegnać się z nią Gregory Peck ze swoją żoną Veronique oraz reżyser Billy Wilder, który wyznał z właściwym sobie poczuciem humoru: „Wszyscy zakochali się w niej w czasie kręcenia *Sabriny*, ja też. Mam pewien problem – mówię przez sen, ale na szczęście moja żona też ma na imię Audrey”.

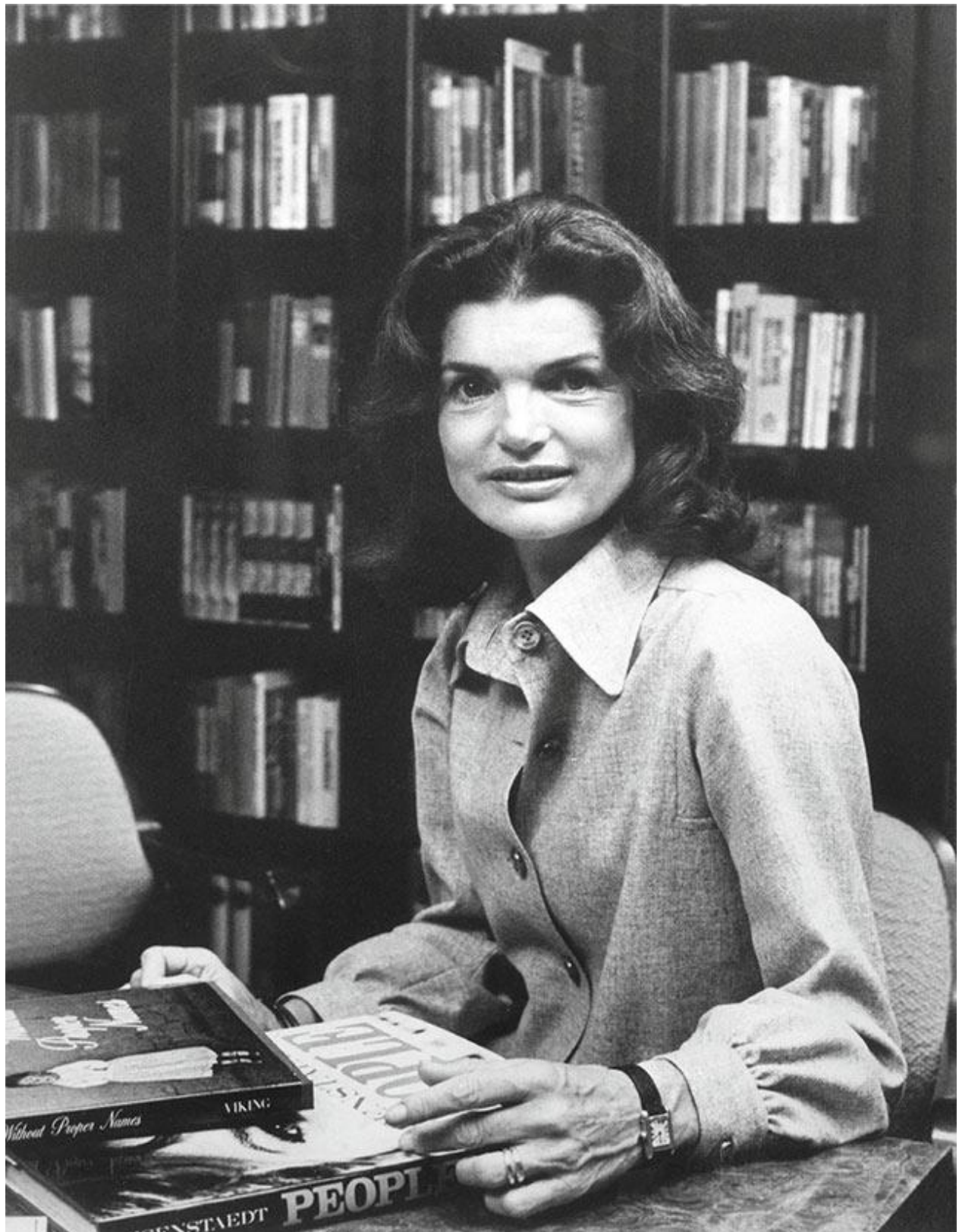
Dla rodziny przetransportowanie Audrey samolotem do domu, zgodnie z jej pragnieniem, nie było sprawą łatwą, ponieważ linie lotnicze nie przewożą chorych. Lekarze odradzali jej podróż, bojąc się, że jej nie przetrzyma. Jednakże stało się zadość jej życzeniu i 20 grudnia Audrey znalazła się bezpiecznie u siebie. Jej przyjaciel Hubert de Givenchy wyczarterował prywatny samolot, wypełniając go kwiatami, żeby umilić jej lot z Kalifornii do Szwajcarii. Ona, która nigdy nie szastała bezmyślnie pieniędzmi, która nie chciała podróżować pierwszą klasą, poczuła się wzruszona tym gestem prawdziwej przyjaźni. Słyszając o tym od Seana, była bliska łez radości i wdzięczności. Zadzwoiła do Huberta, żeby mu podziękować. Mimo że ze wzruszenia ledwo mogła mówić, zdołała wyszeptać: „Och, Hubert... *je suis touchée*” (jestem wzruszona). „Byłaś dla mnie najważniejsza w życiu”, odpowiedział jej Givenchy.

Tamte święta Bożego Narodzenia były dla Audrey – według jej własnych słów – „najlepszymi świętami w życiu”, ponieważ byli z nią jej najbliżsi. „Matka – wspominał Sean – poprosiła, żebyśmy się na nią nie gniewali. Że jest to naturalne; śmierć stanowi część życia”. Dwudziestego stycznia 1993 roku Audrey Hepburn zmarła w pokoju w La Paisible – willi będącej jej domem w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Odeszła w zwykłej sobie atmosferze elegancji i powściągliwości, mając obok siebie najdroższych mężczyzn: swoich synów, Seana i Lucę, oraz swojego partnera Robbiego. Skończyła sześćdziesiąt trzy lata i do ostatnich chwil jasności umysłu nie mogła zapomnieć twarzy wygłodzonych dzieci z Somalii. Sprawa głodu na świecie nie dawała jej spokoju. Żałowała, że nie dane jej było poznać Dalajlamy – „istoty najbliższej Bogu na tym świecie”. W roku 1994 Sean Ferrer i Luca Dotti założyli fundację Audrey Hepburn Children's Fund, dla zachowania dziedzictwa matki i wspierania najuboższych dzieci.

Pogrzeb Audrey Hepburn nie mógł przebiegać w intymnej atmosferze, jak pragnęła rodzina. Dziesiątki dziennikarzy, gapiów, wielbicieli aktorki szły w milczeniu w pogrzebowym orszaku. „Księżniczka z Hollywoodu”, jak nazywała ją prasa, spoczywa w skromnym grobie na wysoko położonym wiejskim cmentarzu w Tolochenaz. Roztacza się stamtąd widok na jej dom, La Paisible, piękne Jezioro

Czterech Kantonów i Alpy w tle. „Życie – mówiła – dało mi o wiele więcej, niż marzyłam. Nie było w nim wielkich rozczarowań ani niespełnionych nadziei. Nie oczekiwałam zbyt wiele, i dlatego jestem najmniej zgorzkniałą kobietą, jaką znam”.

Jacqueline Kennedy



Kobieta zraniona

*Mam wrażenie, że stałam się własnością publiczną.
To straszne, stracić prywatność w wieku trzydziestu jeden lat.*

Jacqueline Kennedy

Owego pogodnego ranka w piątek 22 listopada 1963 roku Jacqueline Kennedy nie wiedziała, że straszliwa tragedia naznaczy jej los na zawsze. Wróciła właśnie do Stanów Zjednoczonych po miłym rejsie na jachcie Onasisa, by towarzyszyć mężowi w oficjalnej wizycie w Dallas w Teksasie. Około południa, siedząc razem z Johnem Fitzgeraldem Kennedym na tylnym siedzeniu odkrytej limuzyny, uśmiechała się i pozdrawiała zebrane tłumy. Kilka minut później prezydent, trafiony kulami, upadł na kolana żony. Dramatyczne zdjęcia z zabójstwa obiegły cały świat; Jackie, załamana, zdjeta bólem i bezsilna, w zakrwawionym kostiumie od Coco Chanel, przechodziła do annałów historii. „Bob – mówiła do szwagra i przyjaciela – nie wiem, czy to wytrzymam”. Największą pociechą były dla niej dzieci, Caroline i mały John junior, które chroniła jak lwica przed atakami dziennikarzy i plamiącymi honor rodziny skandalami.

Jackie Kennedy w wieku trzydziestu czterech lat stała się „wdową Ameryki”. Ta piękna, wykształcona, inteligentna kobieta, o korzeniach francuskich, poliglotka, dama, która nie znosiła określenia First Lady, gdyż kojarzyło jej się z imieniem konia, była kimś więcej niż ikoną mody i amerykańskiej socjety XX wieku. Swoim urokiem i osobowością pomogła młodemu wówczas senatorowi Johnowi F. Kennedy’emu wygrać, w starciu z Nixonem, wybory prezydenckie w 1960 roku. W czasie dwóch lat sprawowania przez męża mandatu potrafiła zyskać uznanie i podziw narodu amerykańskiego. Przez owe legendarne tysiąc dni była królową Camelotu – jak zwolennicy Kennedy’ego nazwali okres jego prezydentury.

Jackie i John Kennedy stanowili przez ponad dekadę wcielenie idealnej pary: młodzi, fotogeniczni – choć nie lubili być fotografowani – elegancyjcy i dynamiczni, wydawali się stworzeni dla siebie nawzajem, nawet jeśli ich wspólne życie było pełne cierpienia. Jackie znosiła w milczeniu – i ze spokojem, który zdumiewał wszystkich – wzgardę bratowych, ból z powodu kilku poronień, które pogrążyły ją w głębokiej depresji, i udrękę życia z człowiekiem chorym, a nieskłonny bynajmniej z tego powodu rezygnować z miłosnych podbojów. Najstłyniejsza

i najbardziej naśladowana pierwsza dama Ameryki była w rzeczywistości kobietą pełną kompleksów, samotną, spragnioną uczucia, która nie chciała, by media traktowały ją jak gwiazdę Hollywoodu. Dla jednych płytka, zamknięta w sobie i słaba, dla innych inteligentna i zdecydowana, przedstawiała sobą obraz równie zmienny, co niejednorodny. Eleanor Roosevelt, poznawszy ją na jakimś przyjęciu, stwierdziła: „W niej jest więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka”.

Urodzona, by zatriumfować

W roku 1931 zdjęcie Jacqueline ukazało się w dziale kroniki towarzyskiej lokalnego dziennika „The East Hampton” w Long Island, eleganckiej miejscowości letniskowej bogatych nowojorczyków. Dziewczynka – już określana mianem „uroczej jubilatki” – obchodziła drugie urodziny i rodzice urządzili jej wspaniałe, godne księżniczki przyjęcie. Siedząc na kucyku, ubrana na tę okoliczność w elegancki strój amazonki, pozowała fotografom z zaskakującą pewnością siebie. Matka małej, Janet Lee, pragnąc za wszelką cenę znaleźć się w kręgach śmietanki towarzyskiej Nowego Jorku, chętnie wzywała fotografów, aby uwieczniali rozwój dziecka: urodziny, wystawy psów, popisy jeździeckie – wszystko po to, by nazwisko jej samej i jej uroczej córeczki trafiło na łamy gazet. Nikt nie przypuszczał wówczas, jak niezwykle los czeka tę ciemnowłosą dziewczynkę o pogodnym wyrazie twarzy, żywych, świetlistych oczach, wydatnych kościach policzkowych i gęstych włosach – te cechy urody Jackie miała zachować do końca życia – która przez całe dziesięciolecie pozostawała niekwestionowaną bohaterką okładek czasopism.

Jacqueline Lee Bouvier Kennedy, bardziej znana jako Jackie, urodziła się w Southampton w stanie Nowy Jork 28 lipca 1929 roku. Jej ojciec, John Bouvier III, był przystojnym i zręcznym maklerem giełdowym z Wall Street, bardziej znanym w wyższych sferach nowojorskich ze swych romansów niż z udanych interesów. Bouvierowie pochodzili ze skromnej rodziny z południa Francji, choć wszyscy członkowie rodu uważali się za skoligaconych z arystokracją francuską – co pozwoliło im szybko awansować w hierarchii społecznej. Dziadek Jackie, ekscentryczny John Vernou junior – który kazał się nazywać Szeferem – wymyślił arystokratyczną genealogię Bouvierów. W roku 1925 opublikował książkę zatytułowaną *Our Forebears* [Nasi przodkowie], w której bez najmniejszego skrupowania wykazywał szlacheckie pochodzenie rodu i zażyłość jego członków z rodem Bonaparte. Legendę przejęły jego dzieci i wnuki, a w końcu wszyscy członkowie rodziny – łącznie z Jacqueline – zachowywali się tak, jakby w ich żyłach płynęła błękitna krew. Luksusowy styl życia, subtelne gusty, obracanie się w wyższych sferach i wyrafinowanie, jakim się otaczali, pasowałyby bardziej do

dworu Ludwika XVI niż do domu inwestorów ze Wschodniego Wybrzeża, którym się powiodło finansowo.

W rzeczywistości źródłem majątku Bouvierów były udane inwestycje w nieruchomości przeprowadzone przez pradziadka Jackie. Michel Bouvier był przedsiębiorczym stolarzem, który przybył do Filadelfii, zamieszkiwanej przez liczną kolonię francuską. Na początku pomógł mu w rozwinięciu interesu Józef Bonaparte, przebywający na wygnaniu były król Hiszpanii, człowiek majątny i wpływowy, rozmiłowany w pięknych meblach. Latem 1816 roku młody Michel wykonał dla Bonapartego kilka prac w jego letnim domu w Point Breeze nad rzeką Delaware, w Jersey. Ze stolarza Bouvier przedzierzgnął się w rozchwytywanego mistrza snycerki. Z czasem otworzył własny warsztat, ożenił się, po raz drugi, z piękną damą, córką francuskiego szlachcica, z którą miał gromadkę dzieci, i dorobił się wielkiej fortuny. W ciągu ostatnich trzydziestu lat życia nabył kilka posiadłości, zarobił jeszcze więcej pieniędzy i spłodził kolejną czwórkę dzieci, wśród nich chłopca, którego nazwał John Vernou. Zbudował wielki dom i zabrał swoją liczną rodzinę w podróż po Europie, zatrzymując się w rodzinnym miasteczku Pont-Saint-Esprit, gdzie podejmowano go ze wszystkimi honorami.

Matka Jackie, Janet Lee, była córką ważnego bankiera i bystrego biznesmena z Nowego Jorku. James Lee zbudował w mieście parę luksusowych budynków mieszkalnych, między innymi położony przy Park Avenue 740 apartamentowiec na czternaście mieszkań, które w 1910 roku wynajmowane były za niewiarygodną sumę dwóch tysięcy dolarów miesięcznie. Rodzina Lee pochodziła z Anglii i Irlandii, podobnie jak rodzina Kennedych, z którą miała ich później skoligacić córka. Jej ambicją – jak wszystkich potomków Irlandczyków, którzy od przybycia swoich przodków do Ameryki w połowie XIX wieku awansowali pod względem materialnym – było należeć do dobrego towarzystwa „starych Amerykanów”, potomków pierwszych kolonistów.

Janet miała dwadzieścia jeden lat, kiedy urodziła starszą córkę Jacqueline. Była kobietą światową, czarującą, o subtelnych gustach, znakomicie jeździła konno. Ambicje towarzyskie kazały jej wyjść za Jacka Bouviera, bogatego potomka dobrej rodziny. Wobec niesłychanego podobieństwa do ojca pierworodna otrzymała imię Jacqueline. Janet, bardzo czuła na punkcie etykiety i konwencji, wpajała obu córkom – Caroline była cztery lata młodsza od Jackie – skromność, elegancję i rozsądek. Przyszła pani Kennedy otrzymała bardzo staranne wychowanie; pomogło jej to stać się kobietą wytworną i światową. Wzrastała w świecie luksusu i przywilejów, między zamożnym domostwem Lasata na Long Island, gdzie Bouvierowie spędzali lato, a wspaniałym apartamentem przy Park Avenue w Nowym Jorku. Jednak mimo że na zachowanych zdjęciach z pierwszych lat życia Jackie wygląda na dziewczynkę szczęśliwą – kiedy pozuje z dogiem King Phar w ogrodach klubu na Long Island, siedząc na kolanach uwielbianego ojca albo

dosiada swojego konia o imieniu Dancer – dzieciństwo upłynęło jej pod znakiem nieporozumień i skandali, których bohaterami byli jej rodzice.

Przez pewien czas małżonkowie Bouvier zachowywali przed światem pozory, lecz w rzeczywistości ich związek był bardzo burzliwy. Ojciec Jackie, prawdziwy bon vivant, niestroniący od gry, alkoholu i kobiet, wydawał pieniądze na zabawę i prezenty dla kochanek. Nazywany Black Jack – ze względu na upodobanie do opalenizny – wyglądał jak amant filmowy w typie Clarka Gable'a: brunet o błękitnych oczach, mocno zbudowany, z wąsikami i napomadowanymi włosami. Janet nie tylko nie ukrywała przed córkami słabości ojca, lecz informowała je o zgorzeniu, którego był przyczyną, i czyniła je świadkami ich nieustannych kłótni. Wraz z Wielkim Kryzysem i załamaniem na giełdzie nowojorskiej w 1929 roku Bouvier poniósł znaczne straty finansowe. Janet, która znosiła niewierność męża, póki dzięki niemu mogła utrzymywać odpowiedni poziom życia, w momencie gdy spotkały go niepowodzenia, wystąpiła o rozwód z powodu cudzołóstwa. Na początku 1940 roku gazety komentowały rozwód państwa Bouvier po dwunastu latach trwania związku. Dla Jackie, wówczas jedenastoletniej, był to ciężki cios, czuła się bowiem bardzo związana z ojcem. Wychowana w świadomości, że nie należy publicznie okazywać uczuć, przyzwyczajona do coraz częstszych policzków wymierzanych przez matkę, zamknęła się w swoim własnym świecie.

Dla Jacka Bouviera rozdzielenie z córkami było niezwykle bolesne. Kochał je bardzo, obsypywał upominkami i spełniał ich kaprysy. Był dumny ze „swoich cudów” i chętnie je pokazywał. Trzymał dla nich trzy konie, pozwalał im kupować w domu towarowym, co chciały, na jego rachunek, i dawał im miesięczne kieszonkowe – nawet jeśli nie mógł sobie na to pozwolić. Często odwiedzał z nimi dom rodziny Bouvier, żeby zrównoważyć wpływy rodziny Lee. Dziewczynki rosły z sercem podzielonym między oba te domy. Jack prawdziwie uwielbiał Jackie. Caroline, nazywana przez wszystkich Lee, nie mogła rywalizować z siostrą, jeśli chodzi o uczucia ojca. „Byli ze sobą tak związani, że przez całe lata jedynym, co ich rozdzielało, był koń Dancer. Ojciec, koń i Jackie, taki jest zachowany przeze mnie obraz tamtych lat. „Mam album, zrobiony dla nas przez Jackie po śmierci ojca; każdy jego list jest adresowany do Jackie”, wyznawała Lee.

Kiedy Jackie stała się dorastającą panią, ojciec nieustannie chwalił ją publicznie – jako najpiękniejszą kobietę, najlepszą amazonkę... A w przypadku czyjejs impertynencji względem córki reagował bardzo gwałtownie. Dziewczyna rumieniała się wobec pochwał, ale w głębi duszy miło jej było czuć się podziwianą i chronioną przez ojca. To on wykształcił w niej zamiłowanie do piękna, pewien zmysł teatralności, uświadomił znaczenie wyglądu i wizerunku – na czym się znał doskonale. Latem, kiedy miał więcej czasu dla córek, uczył je, jak nosić ubranie z elegancją. Tłumaczył im, jak mają się zachowywać, żeby być inne niż wszystkie

kobiety. Owe ojcowskie lekcje miały się wpisać na trwałe w pamięć Jackie: „Kiedy występujesz publicznie, moja droga, wyobraź sobie, że znajdujesz się na scenie, że wszyscy na ciebie patrzą. Nigdy nie pozwalaj odgadywać innym twoich myśli. Zachowuj swoje sekrety dla siebie. Bądź tajemnicza, nieobecna, daleka; w ten sposób pozostaniesz zagadką, jasnością do końca swych dni, moja piękna, więcej niż piękna, moja królowo, księżniczko”.

Po rozstaniu z żoną Jack Bouvier odwiedzał córki w weekendy i zabierał je na zakupy w wielkich domach towarowych przy Piątej Alei albo na spacer do Central Parku. W oczach córek ojciec, pogodniejszy przy nich i bardziej swobodny niż jego surowa żona, był niewinną ofiarą. Jackie nigdy nie przebaczyła matce, że się z nim rozeszła. Obie córki wyrzucały matce, że wystąpiła o rozwód i że to z jej winy rozwiało się marzenie o spokojnym życiu rodzinnym. Ona z kolei, rozczarowana pierwszym małżeństwem i pragnąca zachować pozycję społeczną, czym prędzej znalazła dobrą partię. Dwudziestego pierwszego czerwca 1941 roku została trzecią żoną milionera, bankiera i adwokata Hugh'a D. Auchinclossa juniora, dziesięć lat od niej starszego, należącego do elity, podobnie jak Jack Bouvier. Po ślubie matka Jackie wyjechała z Nowego Jorku, zabierając ze sobą córki. Dla Jackie był to bardzo trudny okres. Nie mogła już widywać się z ojcem i musiała się przystosować do życia w nowej rodzinie, do której należały też dzieci z poprzednich małżeństw ojczyma. Janet i jej nowy mąż mieli jeszcze dwoje wspólnych dzieci: Janet i Jamiego.

Życie Jackie miało teraz upływać między dwoma należącymi do ojczyma wielkimi domami: Merrywood, piękną rezydencją w stylu georgiańskim położoną w okolicach Waszyngtonu, oraz Hammersmith Farm, rozległą posiadłością z widokiem na zatokę w najbardziej ekskluzywnej enklawie lotniskowej Wschodniego Wybrzeża, Newport. Dom był otoczony wypielegnowanym ogrodem – dziełem projektanta Central Parku. Trzynastoletnia Jackie w wolnych chwilach czytała, pisała wiersze, rysowała i jeździła konno – pasję jeździecką odziedziczywszy po matce. Mimo to przebywanie z matką, kobietą chłodną, zainteresowaną jedynie życiem towarzyskim, było dla niej nużące i trudne. Panna Bouvier była przez całą młodość otoczona luksusem, ale czuła się samotna, nie umiała znaleźć sobie miejsca w życiu, brakowało jej ciepła. Do tamtej pory uchodziła za pewną siebie, energiczną, wygrywała konkursy hipiczne i niczego się nie bała. Po rozwodzie rodziców stała się nieśmiała i zamknięta w sobie. Do trzynastego roku życia uczęszczała do szkoły miss Chapin, uznawanej za „filar edukacji dziewcząt w Nowym Jorku”. W odróżnieniu od innych szkół dla panien z dobrych domów, funkcjonujących w tej epoce, na lekcjach u miss Chapin uczennice nie tylko przygotowywały się do tego, by pełnić jak najlepiej funkcję pani domu i umieć wydawać przyjęcia, lecz kształciły się w przedmiotach takich jak historia, poezja, łacina, arytmetyka; nie zanedbywano tam również

wychowania fizycznego. We wrześniu 1944 roku, w wieku piętnastu lat, Jackie rozpoczęła naukę w najmodniejszej wówczas szkole z internatem, u miss Porter w Connecticut, gdzie miała spędzić najbliższe trzy lata.

W 1947 roku zadebiutowała w towarzystwie podczas balu w elitarnym klubie Clambake w Newport, w obecności setek gości. Była ubrana w sukienkę z białego tiulu, z gołymi ramionami, na rękach miała długie satynowe rękawiczki. Obowiązkowe białe rękawiczki bardzo jej odpowiadały, pozwalały bowiem ukryć palce przebarwione od tytoniu. Do dnia śmierci Jackie wypalała po kryjomu dwie paczki papierosów dziennie. I znów dziewczyna zwróciła na siebie uwagę dziennikarzy, którzy okrzyknęli ją debiutantką roku. „W tym roku królową dziewcząt wchodzących w świat jest Jacqueline Bouvier. Brunetka o dworskich manierach, klasycznych rysach i delikatności figurki z drezdeńskiej porcelany. Wypowiada się w sposób wyważony i inteligentny. (...) Piękna niczym księżniczka z bajki, panna Jacqueline nie zna znaczenia słowa «snob»”, pisał Igor Cassini, znany kronikarz życia towarzyskiego, brat słynnego projektanta Olega Cassiniego. Tego pamiętnego dnia Janet uświadomiła córce zasadę, której ta miała nigdy nie zapomnieć: „Jesteś warta tyle, ile jest warte twoje małżeństwo”.

Jackie uczyła się w najbardziej elitarnych college'ach kraju, a w wieku osiemnastu lat została przyjęta na stawiającą wysokie wymagania żeńską wówczas uczelnię Vassar College, oferującą dziewczętom poziom nauczania taki sam jak na najbardziej renomowanych uczelniach dla chłopców. Jackie wyróżniała się przede wszystkim w takich przedmiotach jak historia sztuki, literatura, historia, a także francuski, będący językiem jej przodków. W przeciwieństwie do przeciętnej dziewczyny ze swojej klasy społecznej posiadała wiedzę pozwalającą jej wypowiadać się swobodnie na różnorodne tematy: z filozofii, historii czy religii. Po krótkim okresie w Vassar College – gdzie koleżanki uważały ją za bardzo zamkniętą w sobie i nazywały „księżniczką Borgią” – w 1949 roku wyjechała na stypendium do Paryża, by studiować na Sorbonie. Jak wyznawała w późniejszych latach, był to jej najlepszy rok w życiu. Pierwszy raz czuła się wolna, z dala od surowej matki, w mieście, które od pierwszej chwili ją zafascynowało. Mimo że w powojennym Paryżu brakowało produktów pierwszej potrzeby – rodzina przysyłała jej cukier i kawę – i że mieszkała u pewnej hrabiny, w apartamencie bez ogrzewania i tylko z jedną wanną, nie tęskniła za luksusem. Zanurzyła się w bogatym życiu kulturalnym miasta. Bywała na pokazach mody, w operze, na przedstawieniach baletowych, zwiedzała najważniejsze muzea i zaglądała do opanowanych przez bohemę kafejek na Lewym Brzegu, spotykając tam pisarzy i artystów. Wiedziała, że chce robić w życiu coś ciekawego i nie wystarczy jej bycie typową amerykańską panią domu.

Wróciwszy do Stanów, mówiła biegle po francusku i hiszpańsku. Przygotowując dyplom z literatury francuskiej na uniwersytecie George'a

Washingtona w Waszyngtonie, zgłosiła swój akces do XVI edycji dorocznej nagrody prestiżowego czasopisma amerykańskiego „Vogue”, konkursu literackiego dla studentów. Pierwszą nagrodą była roczna praktyka w oddziale czasopisma w Paryżu. Mimo że konkurs wygrała, wybrana spośród ponad tysiąca dwustu kandydatów, rodzice odwiedli ją od pomysłu powrotu do Europy, tłumacząc, że nie jest dość dobrze przygotowana na tak eksponowane stanowisko. Aby zrekompensować córce rozczarowanie, wysłali ją w podróż po Europie razem z siostrą Lee. Tym samym Jackie określiła swój los. Wchodząca w świat panienka brała górę nad młodą intelektualistką.

Panna Bouvier stanęła wobec dylematu: wyjść za człowieka, który stworzy jej możliwość luksusowego życia, do jakiego była przyzwyczajona, czy zacząć pracować. Przez jakiś czas bawiła się w dziennikarstwo i poprzez znajomego swojego ojczyma, którego nazywała wujkiem Hughdie, weszła w skład redakcji „Washington Times-Herald”. Jednak jak sama wyznała naczelnemu, już jej nie zależało na karierze. Od młodych lat wykazywała się lekkim piórem i dziennikarstwo ją pociągało. Zaczęła od drobnych prac – gońca i recepcjonistki – wreszcie otrzymała mniej ważną stronę w gazecie. Jej zadaniem było robienie zdjęć anonimowym zwykłymi ludziami w Waszyngtonie i zadawanie im błahych pytań w stylu: „Czy wysoka kobieta może wyjść za niskiego mężczyznę?”. I tak jednak Jackie z entuzjazmem zajęła się pracą reportera i chociaż nigdy wcześniej nie miała do czynienia z profesjonalnym aparatem fotograficznym, pierwszego dnia wróciła do redakcji z portretami, które zrobiły duże wrażenie na jej szefach. Zaczęła w ten sposób dostawać swoją pierwszą pensję – 56 dolarów i 75 centów tygodniowo – i mogła zamieszkać samodzielnie w małym mieszkanku w Georgetown, dzielnicy modnej wśród polityków, artystów i dziennikarzy. Praca ta pozwoliła jej poznać wielu polityków, wśród nich młodego i przystojnego senatora Johna F. Kennedy’ego.

W maju 1951 roku panna Jacqueline Bouvier i John Kennedy – przez przyjaciół i rodzinę zwany Jackiem – spotkali się na kolacji u wspólnych przyjaciół. W rzeczywistości spotkanie zostało zaaranżowane przez gospodarzy, Charlesa Barletta, korespondenta „Chattanooga Times” w Waszyngtonie, oraz jego żonę Martę. Odkąd Barlett dwa lata wcześniej poznał Jackie, nie opuszczała go myśl, żeby zapoznać ją z jedynym mężczyzną godnym takiej kobiety jak ona, a mężczyzną tym był nie kto inny, jak młody członek Kongresu, demokrat John F. Kennedy. Mimo że nie można było mówić o miłości od pierwszego wejrzenia, na Johnie, dwanaście lat starszym, kulturalna i inteligentna dwudziestodwulatka wywarła bardzo miłe wrażenie. Po tym pierwszym spotkaniu Jackie i jej siostra Lee wypłynęły 7 czerwca luksusowym statkiem Queen Elizabeth w trzytygodniowy rejs do Europy, odwiedzając Anglię, Francję, Hiszpanię i Włochy. Jackie i John mieli się powtórnie spotkać dopiero rok później, znów u Barlettów.

Był 8 maja 1952 roku. Jackie, ubrana w elegancki granatowy kostium, czarne pantofle, z broszką, która należała do jej babci ze strony matki, zjawiała się w domu Barlettów. Kolacje organizowane przez gospodynię, Martę Barlett, cieszyły się wielką sławą w mieście. Bywały na nich rozmaite osobistości – prawnicy, artyści, dziennikarze i naturalnie politycy. Dla Jackie stanowiły okazję poznania interesujących i wpływowych osób. Podobno to John podszedł do niej z kieliszkiem Martini w ręce i przywitał się serdecznie: „Miło mi znów panią widzieć”. Zdaniem Teda, brata Johna, tym razem John ujrzał w niej nie tylko piękną, elegancką dziewczynę należącą do rodziny o dalekich korzeniach francuskich, która pracowała jako reporterka, lecz poczuł się oczarowany jej inteligencją i wielką kulturą. Doceniał fakt, że studiowała na jednej z najbardziej prestiżowych uczelni w Stanach Zjednoczonych, a także na sławnej Sorbonie w Paryżu. Niewątpliwie panna Bouvier była inna niż wszystkie dziewczęta, z którymi się stykał: mówiła kilkoma językami, lubiła poezję, była bardzo czytana i interesowała się malarstwem.

Po tym drugim spotkaniu, mimo że sympatia i zainteresowanie wydawały się wzajemne, znajomość rozwijała się powoli. W 1952 roku John spędzał połowę tygodnia w Massachusetts, przygotowując kampanię wyborczą do senatu. Czasem umawiali się na kolację lub szli do kina. Nieraz spotykali się z bratem Johna Bobem i jego żoną Ethel, by zagrać w brydża albo w Monopoly. Jackie wiedziała, że John jest świetną partią, ale żyje tylko polityką i nie ma zamiaru się żenić – wzorem rodzeństwa. Wiedziała również, że stale otaczają go piękne kobiety, wśród nich znane aktorki i modelki. W swojej naiwności sądziła, że może nie spotkał jeszcze żadnej kobiety, która by była godna zostać jego żoną.

Jackie Bouvier była w tym czasie zaręczona z maklerem o nazwisku John Husted junior; ustalono już nawet datę ślubu na czerwiec 1952. Niemniej z nieznanych powodów – chociaż wszystko wskazuje na to, że matka skłoniła dziewczynę do zerwania, nie uważając kandydata za dobrą partię – po powrocie z Europy Jackie oddała narzeczonemu pierścienek. Wolna od powiązań uczuciowych, panna Bouvier zaczęła spędzać niektóre weekendy w posiadłości Kennedych w Hyannis Port, eleganckiej miejscowości letniskowej na wybrzeżu w Massachusetts. Pociągał ją ten młody człowiek, wysoki, jasnowłosy, wysportowany i bezpośredni w obejściu. Stanowił dla niej wybuchową mieszankę „witalności, uroku i poczucia humoru”. Poza tym pochodził z dobrej rodziny i był zamożny. Majątek jego ojca, potężnego Joe Kennedy’ego, szacowano wówczas na pięćset milionów dolarów. Po 1926 roku Joe Kennedy wyasygnował dla każdego z dziewięciorga dzieci sumę miliona dolarów i stojąc z boku, zarządzał ogromną fortuną klanu, który wkrótce miał się przemienić w najpotężniejszą dynastię polityczną kraju.

W rzeczywistości Jackie i Johna łączyło wiele. Oboje pochodzili ze

skromnych rodzin emigranckich będących uosobieniem *American Dream*. Oboje żyli w luksusie i zbytkach, ale rodzice nie bardzo się o nich troszczyli. Wiedzieli, co znaczy cierpienie, samotność, dzieciństwo pozbawione miłości rodzicielskiej. Ona najbardziej podziwiała w Johnie odwagę i uczciwość. Kiedy go poznała, miał trzydzieści cztery lata, był bohaterem wojennym, który stracił dwóch braci i który z powodu kłopotów zdrowotnych znalazł się parę razy na krawędzi śmierci. „Wyglądał na człowieka chorego i samotnego. Patrząc na niego, miałam wrażenie, że potrzebuje dobrego fryzjera i powinien zachowywać zrównoważoną dietę”, mówiła Jackie. Mimo sportowej sylwetki, John F. Kennedy – który po raz trzeci reprezentował Massachusetts w Kongresie – był człowiekiem chorym. Podczas wojny odniósł poważne obrażenia kręgosłupa, a stan ten pogorszyła kontuzja, jakiej doznał na zajęciach sportowych w Harvardzie. Dokuczały mu silne bóle, musiał się poddać kilku zabiegom chirurgicznym i obawiał się, że może zostać inwalidą do końca życia. Do listy niedomagań dołączała tak zwana choroba Addisona, niewydolność kory nadnerczy, która atakuje własny układ immunologiczny i czyni człowieka bezbronnym wobec infekcji. Jeśli do tego dodamy bóle żołądka, niedosłuch w jednym uchu i noszone w domu okulary, stanie się jasne, dlaczego Jackie podziwiała wytrwałość Johna w pracy.

Pannę Bouvier, tak wyjątkową, elegancką, wykształconą i niezależną, John uważał za niewątpliwe wyzwanie – jak opowiadał przyjacielowi. Jednak mimo że znajomość z nią traktował poważnie, w czasie ich krótkiego narzeczeństwa nie przestał się spotykać z innymi kobietami. Niewierność należała do obyczajów mocno zakorzenionych w rodzinie Kennedych i John, zgodnie z tradycją, nie zrezygnował z miłosnych podbojów nawet po ślubie z Jackie. Nie była ona świadoma, że pod koniec lat czterdziestych John flirtował ze sławnymi gwiazdami filmowymi, wśród nich z Laną Turner, Joan Crawford i Susan Hayward. Najdłużej z jego związków hollywoodzkich trwał romans z aktorką Gene Tierney, będącą wówczas w trakcie rozwodu z projektantem Olegiem Cassinim, który później miał się stać oficjalnym stylistą Jackie.

Podczas narzeczeństwa z Jackie John widywał się w tajemnicy z inną fascynującą i piękną kobietą, będącą w tym samym wieku co jego narzeczona, lecz o wiele bardziej wówczas sławną i uwielbianą – z Audrey Hepburn. Tak twierdzi znawca dziejów rodu Kennedych, pisarz Christopher Andersen w swojej kontrowersyjnej biografii tej pary. Zdaniem autora John uważał Audrey za „kobietę wspaniałą, niezwykle inteligentną, wykształconą, pogodną, ale również bardzo seksowną”. Spotykał się z nią, kiedy oboje przebywali w Waszyngtonie, lecz ponieważ aktorka była cudzoziemką, niekatoliczką i pracowała w filmie, patriarcha Joe nigdy by nie pozwolił, aby urocza bohaterka *Sabriny* wyszła za jego syna, mającego przed sobą wielką przyszłość. W rezultacie John zdecydował się na Jackie, jedyną kobietę, która wydawała się idealną towarzyszką życia, zdolną nadać

impet jego karierze politycznej. Ona z kolei wiedziała, że John nigdy nie będzie idealnym mężem. Wspólny przyjaciel ostrzegał ją wówczas nie tylko przed jego „nałogami” kobieciarza, lecz również przed wrogością kobiet z klanu Kennedych. Jackie nie dała się jednak zastraszyć i zdecydowała się na to małżeństwo. Dla niektórych biografów motywacja jest jasna: pociągały ją pieniądze Kennedych i perspektywa życia w zbytku i komforcie z niezwykle atrakcyjnym mężczyzną. Zawsze ulegała urokowi mężczyzn podobnych do uwielbianego ojca: dominujących, beztroskich, silnych, traktujących kobiety z góry albo uważających je za zwykłe trofea.

Małżeństwo z rozsądku

Pannie Jackie Bouvier bynajmniej nie było łatwo przystosować się do życia w rodzinie Kennedych. John Fitzgerald Kennedy przyszedł na świat w rodzinie pochodzenia irlandzkiego osiadłej w Bostonie. Jego pradziadek, Patrick Kennedy, przybył do Stanów Zjednoczonych w połowie XIX wieku wraz z tysiącami emigrantów uciekających z Irlandii przed głodem. Dzięki wytrwałości, żyłce do interesów i sile przebicia przodkowie Johna zdobyli majątek, stając się bogatymi i wpływowymi członkami społeczeństwa amerykańskiego.

Joseph, czy też Joe, Kennedy, ojciec Johna, był człowiekiem przedsiębiorczym, który dorobił się na handlu nieruchomościami. Mający słabość do alkoholu niepoprawny kobieciarz był jednym z pierwszych producentów filmowych; zajmował się także dystrybucją alkoholu w całym kraju. Ożenił się z pobożną i oddaną rodzinie Irlandką o nazwisku Rose Fitzgerald, która dała mu dziewięcioro dzieci i żyła sto cztery lata. Matka rodu – zawsze świadoma niewierności męża, w tym romansu z Glorią Swanson – była gorliwą katoliczką, córką legendarnego burmistrza Bostonu, wychowaną w najlepszych internatach zakonnych Europy. Pewną ręką kierowała liczną rodziną. Joe, w czasach prezydenta Roosevelta ambasador Stanów Zjednoczonych w Londynie, wiązał wszystkie swoje oczekiwania z pierworodnym, noszącym to samo imię Joe. Po tragicznej śmierci syna w drugiej wojnie światowej całe nadzieje przelał na jego brata Johna.

Kiedy Jackie zaczęła bywać w domu Kennedych, największą sympatię okazywał jej patriarcha rodu Joe. Od pierwszych chwil on jeden potrafił dostrzec jej walory i docenić jako przyszłą towarzyszkę życia dla syna. John był wybitnym, charyzmatycznym politykiem, lecz jeśli miał zrobić karierę, potrzebował przy swoim boku żony – i rodziny. Joe, poznawszy Jackie, uznał ją za idealną kandydatkę: była katoliczką, tak jak oni, pochodziła z dobrej rodziny, odznaczała się urodą i zdolnościami. Poza tym mówiła swobodnie w kilku językach – po

francusku, hiszpańsku i włosku – i mogła się wykazać „arystokratycznym” zapleczem, którego brakowało Kennedym. To stary, sprytny Joe zachęcił Johna, by uczynił decydujący krok i zaproponował Jackie małżeństwo.

Ale nie cała rodzina podzielała zachwyt Joego wobec panny Bouvier. Jej rezerwa w sposobie bycia, interpretowana przez przyszłe szwagierki jako oznaka wyniosłości i dumy, nie budziła w nich sympatii. Dla przyszłej teściowej Rose Jackie była zbyt niezależna, ubierała się w zbyt wyszukany sposób, miała nie dość ortodoksyjne poglądy. W czasie pikników odmawiała kanapek z masłem orzechowym i marmoladą truskawkową – ulubionej amerykańskiej przekąski. Za to – ku zdumieniu Rose – zaproszona przez jej córki na żaglówkę, przynosiła swój własny prowiant w wiklinowym koszyku: „pasztet, quiche z jarzynami, francuskie sery i butelkę wina”. Z czasem Jackie zdołała jednak zdobyć sympatię matki rodu, robiąc wszystko, co się dało, by poprawić relacje z *belle-mère*, jak się do niej zwracała (na własny użytek nazywając ją Dinozaurem). Kiedy Joe mówił znajomym: „Wszyscy oszaleliśmy na punkcie Jackie”, miał na myśli przede wszystkim siebie.

W istocie Jackie nie mogła być bardziej różna od Kennedych. Ona, ceniąca sobie spokój, ciszę, lekturę i przejażdżki konne, znalazła się nagle pośrodku licznej rodziny przejawiającej wielką aktywność na wielu frontach. Kiedy wszyscy członkowie rodziny zbierali się w swoich włościach – wspaniałym piętnastopokojowym domu z białego cedru, z rozległymi tarasami, nad zatoką w Hyannis Port na południe od Bostonu – nie było tam chwili ciszy. Joseph zachęcał dzieci – i synowe – by współzawodniczyły między sobą w grze w tenisa, futbol amerykański, w żeglarstwie. Wszyscy rozmawiali głośno i hałaśliwie się spierali. Dom był zawsze pełen ludzi: dziewięcioro rodzeństwa z żonami lub mężami, ich dzieci, przyjaciele, liczna służba, i oczywiście sporo zwierząt domowych. Jacques Lowe, osobisty fotograf Kennedych, nazwał kiedyś posiadłość w Hyannis Port „prawdziwym domem wariatów”.

Jackie, elegancka, chłodna, o nienaganych manierach, nie bardzo mogła się odnaleźć w tym otoczeniu. Nie miała też w sobie ducha rywalizacji i od pierwszego dnia wiedziała, że nigdy nie będzie taka jak szwagierki. „Nie mam zamiaru być chłopczycą, która się wspina na drzewo i wrzeszczy: «Wygramy!». Mogą się śmiać, jeśli chcą, z moich spódnic i moich pantofli, ale moja głowa pracuje równie dobrze jak ich głowy”. Faktem jest, że kiedy jeden jedyny raz próbowała się z nimi zintegrować i zagrała w futbol amerykański, skończyło się to skręceniem kostki – i u niektórych wywołało uśmiezek politowania.

W listopadzie 1952 roku John został wybrany na senatora Massachusetts, odnosząc miażdżące zwycięstwo nad mocnym kandydatem republikanów Henrym Cabotem Lodge'em. Teraz dobrze zapowiadający się senator mógł poświęcić nieco więcej czasu narzeczonej Jackie Bouvier. Dwudziestego stycznia 1953 roku para

po raz pierwszy pojawiła się publicznie razem z okazji balu inauguracyjnego objęcia prezydentury przez Eisenhowera. Wydawało się, że John nareszcie się ustatkował, choć zdarzały mu się ciągle skoki w bok. Po owym pierwszym wystąpieniu publicznym każde z nich wróciło do swoich zajęć: on do pracy w senacie, ona do redakcji „Washington Times-Herald”.

Jackie wciąż czuła wątpliwości, czy przystojny senator Kennedy może się nią interesować, mając dookoła całą rzeszę „przyjaciółek”. Od młodości nie była pewna swojej urody i uważała, że ładniejsza jest jej siostra Lee. Znajdowała u siebie wiele defektów: zbyt mały biust, za duże, męskie dłonie, obgryzione paznokcie – ukrywane w rękawiczkach – duże stopy, numer 42. Kilka lat później, już jako Mrs. Kennedy, zadbała o zmianę swego wizerunku, stając się elegancką i podziwianą przez wszystkich małżonką prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Tymczasem Lee Bouvier w wieku dwudziestu lat wychodziła za Michaela Temple Canfielda, syna wydawcy, należącego do arystokracji angielskiej. Ślub odbył się 18 kwietnia 1953 roku w rodzinnej posiadłości Merrywood; Jackie była świadkiem. Małżeństwo skończyło się jednak w dniu, w którym wyszło na jaw, że rzekoma niezależność finansowa świeżo poślubionego małżonka ma niewiele wspólnego ze stanem faktycznym. Michael zwrócił się o radę do szwagierki, chcąc odzyskać względy żony. Zawsze pragmatyczna Jackie odparła jednak, że jeśli Michael chce uratować swoje małżeństwo, musi po prostu „zacząć naprawdę zarabiać”. Niedługo potem Lee, powołując się na fakt, że mąż nie chciał mieć potomstwa, uzyskała w Watykanie orzeczenie nieważności i w rekordowo szybkim czasie została żoną polskiego księcia Stanisława Radziwiłła.

Wiosną tego roku „Washington Times-Herald” wysłał Jackie jako korespondentkę na koronację królowej Elżbiety II angielskiej, która wstępowała na tron w wieku dwudziestu siedmiu lat, po śmierci ojca, króla Jerzego VI. Przed wyjazdem John oświadczył się jej, ona jednak odpowiedziała, że zastanowi się podczas swojej nieobecności. Jak wyznawała przyjaciółce, obawiała się, że straci niezależność, da się wchłonąć polityce, a przede wszystkim że stanie się częścią zaborczego klanu Kennedych. Tydzień później, przeczytawszy jej reportaż w prasie, John wysłał jej krótki telegram następującej treści: „Artykuły znakomite, ale tęsknię za Tobą. Jack”. Wydawało się, że nie chce dać się Jackie wymknąć, i nie czekał na odpowiedź na swoją propozycję. Kiedy wracała z Londynu, był na lotnisku z pierścieniem ze szmaragdami i brylantami firmy Van Cleef & Arpels, który ona przyjęła z radością, nie wiedząc, że wybrał go Joe, jej przyszły teść. Nazajutrz panna Bouvier zrezygnowała z pracy w gazecie i pożegnała się z kolegami.

Dwudziestego piątego lipca zostały oficjalnie ogłoszone zaręczyny Jacqueline Bouvier i senatora Johna Fitzgeralda Kennedy’ego. Ślub oznaczał połączenie dwóch potężnych rodzin ze Wschodniego Wybrzeża Stanów

Zjednoczonych. Zaprezentowana po raz pierwszy jako narzeczona senatora w czasopiśmie „Vogue”, Jackie nazwana została „ekstrawagancką pięknnością”. W lipcu „Life Magazine” zamieścił obszerny reportaż na temat senatora i jego narzeczonej, zrealizowany w rodzinnej rezydencji Hyannis Port na Cape Cod. Na okładce widnieli oboje, uśmiechnięci i swobodni, żeglujący po wodach zatoki. Publiczność amerykańska zaczynała interesować się tą parą – która przez najbliższe dziesięć lat miała należeć do najślawniejszych par świata. Jackie i John wybijali się powoli jako zjawisko medialne – którym w końcu zostali.

W lipcu, w czasie gdy Jackie, jej matka Janet oraz przyszła teściowa były pochłonięte przygotowaniem do ślubu, senator Kennedy odbył niespodziewaną podróż na Lazurowe Wybrzeże. W tajemnicy, jak zwykle, spotkał się z jedną z kochanek, piękną dwudziestoletnią Szwedką Gunillą von Post. Jackie oczywiście się to nie spodobało, miała jednak nadzieję, że narzeczony z czasem się zmieni. Po powrocie John, opalony i wypoczęty, wziął udział w dwóch oficjalnych wieczorach kawalerskich zorganizowanych przez ojca i przez pana Auchinclossa, ojczyma Jackie. Ojciec Jackie nie mógł rywalizować z fortunami Kennedych i musiał pozostawać z boku w czasie przygotowań do najważniejszego wydarzenia w życiu córki.

W sobotę 12 września 1953 roku, w katolickim kościele pod wezwaniem Matki Bożej w Newport, John i Jackie w obecności ośmiuset zaproszonych gości zostali mężem i żoną. Joe Kennedy dyrygował całym wydarzeniem z cienia, starając się, by ślub stał się ważnym aktem promocji wyborczej w wyścigu jego syna do Białego Domu. I faktycznie było to wydarzenie towarzyskie roku, nie tylko ze względu na uczestnictwo ważnych osobistości, lecz także na imponującą oprawę, która przypominała oprawę ślubów królewskich w Europie. Reperkusje w mediach wydawały się bardziej godne premiery filmowej z udziałem gwiazd Hollywoodu niż ślubu polityka z dziewczyną z wyższych sfer. Następnego dnia zdjęcia pary ukazały się w najważniejszych gazetach amerykańskich, łącznie z „The New York Times”, na którego okładce John i Jackie kroili blisko półtorametrowej wysokości weselny tort.

Jackie nie była jeszcze szerzej znana, niemniej prawie trzy tysiące osób zgromadziło się przy wejściu do kościoła, aby się przyjrzeć nowożeńcom. Policja musiała powstrzymać tłum ludzi, którzy pragnęli zobaczyć z bliska pannę młodą. W sukni z jedwabnej tafty koloru kości słoniowej, na której uszycie zużyto pięćdziesiąt metrów materiału, ze starym koronkowym welonem, wyglądała przepięknie. Nikt nie domyślał się głębokiego bólu panny młodej, która dowiedziała się od matki, że jej ukochany ojciec nie może zaprowadzić jej do ołtarza, gdyż leży pijany w hotelowym pokoju. Nie okazując nawet krzty zdenerwowania, Jackie pohamowała łzy i prowadzona pod ramię przez ojczyma, ruszyła spokojnym krokiem główną nawą kościoła udekorowanego białymi

chryzantemami i różowymi gladiolami.

Po uroczystości kościelnej – uznanej przez prasę za „ślub roku” – na przyjęcie wydane w Hammersmith Farm przybyło około półtora tysiąca gości, których nowożeńcy witali, stojąc przez ponad dwie godziny. „To było niczym koronacja”, stwierdzał entuzjastycznie jeden z obecnych. Tym razem Jackie miała na sobie kreację Chanel, w odcieniu perłowszarym. Prezentem ślubnym od Johna była bransoletka z brylantami wartości dziesięciu tysięcy dolarów. Pisarz Gore Vidal, krewny matki Jackie, określił to małżeństwo jako klasyczny „związek interesów” w osiemnastowiecznym stylu. Jako że nie zachowały się listy – John nie był zbyt romantyczny: nie pisał, nie wysyłał też żonie kwiatów – ani żadna korespondencja, trudno ocenić, jakie były wówczas prawdziwe odczucia obojga.

Po powrocie z krótkiej podróży poślubnej do Acapulco państwo Kennedy spędzili pierwsze miesiące wspólnego życia między Hyannis Port a domem w Merrywood. Jackie za wszelką cenę pragnęła mieć dom; na krótko przed ślubem w wywiadzie dla „Boston Globe” opisywała dom swoich marzeń: „Bardzo chciałabym, abyśmy mieli dom dla siebie, taki, który mogłabym urządzić według własnego gustu, rozpakowując na koniec wszystkie ślubne prezenty. Mam nadzieję znaleźć niewielki dom w Georgetown. I uwić wygodne gniazdko, łącząc w nim funkcjonalne meble z antykami”. Wreszcie w listopadzie wynajęli ceglany dom w Georgetown, modnej dzielnicy, w której Jackie mieszkała jako panna.

Przez pierwszy rok małżeństwa pani Kennedy rzadko widywała męża, całkowicie pochłoniętego karierą polityczną. Przy swoich dwudziestu czterech latach nie miała zbyt wiele doświadczenia i mimo że dużo podróżowała i studiowała na najbardziej prestiżowych uczelniach, nikt nie przygotował jej do pełnienia obowiązków żony ambitnego senatora, aspirującego do stanowiska prezydenta. Wychodząc za męża, chciała być idealną żoną – jak wyznawała dość naiwnie pewnemu dziennikarzowi: „W tym czasie moim ideałem było prowadzenie normalnego życia, z mężem, który co dzień o piątej wraca z pracy. Chciałam, żeby spędzał weekendy ze mną i z dziećmi, które będziemy mieli”. Niestety, marzenie Jackie nigdy nie miało się spełnić.

Weekendy spędzała sama, poza tym niełatwo jej było organizować ich wspólne życie. Wszystko działo się bowiem niespodziewanie: kolacje przeciągające się do późnej nocy, oficjalne obiady. Jako żona senatora nie czuła się komfortowo. Była dwadzieścia lat młodsza od większości żon kolegów męża. I jeśli zdarzało jej się spotkać z nimi na brydżu albo na wspólnym obiedzie, nie bardzo znajdowała temat do rozmów. Wszystkie opowiadały o dzieciach albo uroczych wnukach. Ona mogła opowiadać jedynie o przyrodnim bracie, wówczas sześciolatkiem. „Jackie nie cierpiała sztucznej atmosfery programowych spotkań żon członków Kongresu czy dorocznego śniadania żon senatorów. Była to tradycja odziedziczona po pani Truman i pani Eisenhower, dla niej zupełnie nie do

zniesienia. Nie miała nic wspólnego z tamtymi kobietami”, komentował dziennikarz „Washington Evening Star”.

Mimo wszystko bardzo przejęła się rolą wiernej i oddanej małżonki. Ona, którą tak bardzo odstręczały zajęcia typowej gospodyni domowej, teraz je wykonywała. „Wprowadziłam jaki taki ład w jego chaotyczne życie. W domu jadło się, jak Bóg przykazał, nie tylko to, do czego przyzwyczajony był Jack (kanapki, kawa i piwo). I już nie wychodził z domu w skarpetkach różnego koloru”. Jackie zajęła się garderobą Johna, który miał jedną nogę prawie dwa centymetry krótszą. Nie tylko zamawiała mu spodnie szyte na miarę, ale również obstałowywała specjalne buty, żeby nie obciążał tak bardzo kręgosłupa. *New look* Johna Fitzgeralda Kennedy’ego, swobodny, elegancki i sportowy, miał określić wizerunek nowej generacji.

Minął zaledwie rok od ich ślubu z bajki, a Jackie czuła się rozdrażniona i zdenerwowana. Wiedziała o zdradach męża, który w tym czasie miał wynajętą kawalerkę w hotelu Mayflower i umawiał się tam z kochankami, z żoną prawie się nie widując. Jackie obgryzała paznokcie i wypalała jeden za drugim dwie paczki papierosów dziennie. Coraz częściej zdarzały się spięcia między małżonkami. Jackie, żeby sobie powetować frustrację, kupowała ubrania i zajmowała się przemeblowywaniem domu. Wydała prawdziwą fortunę na dywany i meble francuskie z XVIII wieku, w swoim ulubionym stylu. John denerwował się, widząc rachunki, ale żeby uniknąć awantur, godził się na wszystko. Jackie urządziła dom z prawdziwym smakiem, umieszczając w nim dzieła sztuki, których ani jej mąż, ani jego współpracownicy nie potrafili docenić.

Wkrótce zrozumiała, że jedynym sposobem, aby być bliżej męża, jest włączenie się w jego karierę polityczną. Ona, która nigdy nie brała udziału w wyborach i która wówczas nie okazywała większego zainteresowania polityką – pochodziła z rodziny o tradycjach republikańskich – była teraz żoną demokracji o ambicjach prezydenckich. Mimo że miała sporą wiedzę z dziedziny historii Europy, czuła, że jako żona senatora powinna lepiej znać dzieje własnego kraju. Zapisła się na wykłady z historii Stanów Zjednoczonych w szkole dyplomatycznej uniwersytetu w Georgetown, niedaleko ich domu. Niektórzy dziennikarze na wieść o tym tytułowali swoje komentarze następująco: „Żona senatora wraca do szkoły...”. Czasem słuchała w senacie wystąpień Johna i spędzała długie godziny w Bibliotece Kongresu, studiując dzieła historyczne oraz zagadnienia współczesne. Najbardziej zaimponowała jednak Johnowi tym, że tłumaczyła mu ustępy z dzieł sławnych filozofów francuskich, jak Wolter czy Rousseau, które on cytował potem w przemówieniach.

Jackie starała się też nauczyć Johna autokontroli, polerowała jego umiejętności oratorskie, kazała mu zmienić ton głosu w przemówieniach i przewalczyć silny akcent nosowy, charakterystyczny dla mieszkańców Nowej

Anglii. Nauczyła go przemawiać wolniej, a kiedy należało zaakcentować jakąś kwestię, używać rąk – John, występując publicznie, zawsze trzymał ręce w kieszeniach. I tak wspólne życie nie było dla nich łatwe. „Siedziałam sama prawie w każdy weekend – skarżyła się. – To nie jest normalne. Polityka była w pewnym sensie moim najgorszym wrogiem; nie mieliśmy żadnego życia rodzinnego”. Do ustawicznych nieobecności męża dołączyły się jego poważne problemy zdrowotne, budzące w Jackie największy niepokój. W tamtych miesiącach zdrowie Johna pogorszyło się w sposób alarmujący. Ból w plecach zaostrzył się i nie wystarczało już, że John spał na desce, brał gorące kąpiele, nosił czasami gorset albo chodził o kulach.

W październiku senator został przyjęty do szpitala w Nowym Jorku na trudną i ryzykowną operację. Gdyby się jej nie poddał, przysparzający mu tyłu udręk uporczywy ból pleców mógł doprowadzić do paraliżu. Fakt, że John cierpiał na chorobę Addisona, jeszcze bardziej komplikował sprawę. Tak jak się obawiano, po operacji wystąpiła poważna infekcja dróg moczowych i pacjent znalazł się w stanie śpiączki. Dwudziestopięcioletnia Jackie była o krok od tego, żeby zostać wdową. Lekarze poinformowali ją o niebezpieczeństwie śmierci męża, a arcybiskup Nowego Jorku udzielił mu ostatniego namaszczenia. Przez blisko miesiąc John znajdował się na krawędzi śmierci. W tak trudnych chwilach wszystkich zdumiewały siła psychiczna i opanowanie Jackie. Mimo że John był nieprzytomny, czytała mu wiersze, trzymając go za rękę. A gdy odzyskał przytomność, nie odstępowała go na krok. Już wówczas jej krytycy przekonali się, że za kruchością tej kobiety kryje się wielki hart ducha.

W czasie rekonwalescencji odwiedzający Johna goście oglądali ze zdumieniem wiszący w sali szpitalnej fotos Marilyn Monroe, ubranej w króciutkie błękitne szorty i białą koszulkę. John poznał oszałamiającą blondynkę na początku roku 1954, podczas przyjęcia w domu pewnego producenta filmowego z Hollywoodu, w Beverly Hills. Nie starał się bynajmniej ukryć swojego zainteresowania aktorką, wówczas żoną Joego DiMaggio, ta zaś podała senatorowi swój numer telefonu, nie licząc, że do niej zadzwoni. Kilka dni przed Bożym Narodzeniem John wyszedł ze szpitala i rodzina przeprowadziła się do posiadłości w Palm Beach, gdzie łagodny klimat miał pomóc senatorowi odzyskać siły.

Dwa miesiące po operacji powróciły straszliwe bóle. Lekarze uznali, że konieczna jest ponowna interwencja chirurgiczna w nowojorskim szpitalu. Piętnastego lutego 1955 roku John znalazł się znów na krawędzi życia i śmierci. Podczas długiej rehabilitacji i przymusowego odsunięcia od senatu Jackie przejęła jego obowiązki publiczne. Stała się mu absolutnie potrzebna: czytała mu prasę, informowała go na bieżąco o najważniejszych bieżących wydarzeniach, a nawet nauczyła się zmieniać opatrunki. Namówiła go również do napisania książki na temat liderów politycznych odważnie broniących swoich ideałów. John posłuchał

jej i 2 stycznia 1956 roku ukazała się książka *Profiles in Courage*. Sprzedawała się bardzo dobrze, a nawet przyniosła autorowi nagrodę Pulitzera w kategorii biografii. Sukcesowi towarzyszyła seria opinii krytycznych. Wielu twierdziło, że senator w stanie, w jakim się znajdował, nie dałby rady napisać tak obszernej i dobrze udokumentowanej pracy. Po cichu sugerowano, że Jackie wynajęła mu „murzyna”, który był autorem nagrodzonej książki.

W maju 1955 roku opalony Kennedy wrócił do senatu, poruszając się o kulach i znosząc straszliwe bóle krzyża, łagodzone przez lekarzy zastrzykami z nowokainy. Kiedy poczuł się lepiej, wrócił do miłosnych podbojów, nie dziękując bynajmniej żonie za wsparcie i oddanie okazane w trudnych dla niego chwilach. Latem 1955 roku małżonkowie udali się w siedmioletnią podróż do Europy, podczas której zostali między innymi przyjęci na audiencji prywatnej przez papieża Piusa XII. John wyjechał kilka dni wcześniej i korzystając z okazji, spotkał się w Szwecji z Gunillą von Post, tymczasem Jackie szukała dla nich nowego domu. Wreszcie spotkali się w Antibes, by kontynuować podróż, która wiodła do Włoch, Polski i Paryża. Była to ich pierwsza wizyta w Europie i obecność małżonki senatora nie pozostała niezauważona. W Paryżu Jackie służyła mężowi jako tłumacz podczas spotkań z ważnymi osobistościami. „Miała czar osiemnastowiecznej damy dworu. Mężczyźni, na których spojrzała swymi ogromnymi oczyma, dosłownie topnieli pod jej wzrokiem. Europejczycy nie pozostawali obojętni na jej klasę, właściwie doceniali ją chyba o wiele bardziej niż Amerykanie”, stwierdził pewien towarzyszący im dziennikarz.

Małżonkowie wrócili do Nowego Jorku 11 października 1955 roku i nabyli piękny zabytkowy dom, nazwany Hickory Hill, z basenem i dużymi stajniami, niedaleko Merrywood w stanie Wirginia. Jackie marzyła o przestronnym, spokojnym domu, w którym rodzina mogłaby się wreszcie powiększyć. Według biografy Christophera Andersena, po kilku dniach od wprowadzenia się do nowego lokum młoda pani Kennedy, będąca w trzecim miesiącu ciąży, poroniła, o czym nie dowiedziała się prasa. W styczniu 1956 roku Jackie była znów w ciąży i mimo że wiadomość ta przywróciła obojgu radość życia, dla niej miał to być trudny rok. John wiele podróżował. Zajęty promocją swojej książki, jeździł po całym kraju, udzielając wywiadów i dając wykłady. Poza tym przygotowywał się, by wystąpić jako kandydat w wyborach prezydenckich podczas narodowej konwencji partii demokratycznej. Jackie bolała z powodu tak częstych nieobecności męża, lecz oczekując z radością narodzin dziecka, zajęła się urządzeniem domu Hickory Hill; szczególną uwagę poświęcając pokojowi dziecięcemu. John wynajmował tymczasem apartament numer 812 w Mayflower Hotel, gdzie wydawał huczne przyjęcia dla przyjaciół i umawiał się z kochankami.

Jackie, będąc w ósmym miesiącu ciąży, wbrew wskazaniom lekarzy, w sierpniu wyjechała na konwencję demokratyczną do Chicago. Ponaglana przez

siostry i szwagierki Johna, które twierdziły, że jej obecność ma wielkie znaczenie, nie myślała o wysiłku fizycznym związanym z tak pospieszną i wyczerpującą podróżą. Jej zadanie okazało się frustrujące i niewdzięczne, ponieważ przez cały tydzień spędzony w Chicago prawie nie miała okazji rozmawiać z mężem. Zatrzymała się w domu szwagierki Eunice; John obrał za swoją kwaterę hotel Conrad Hilton. Mimo poparcia żony nie uzyskał jednak upragnionej nominacji na kandydata. Pierwszy raz czuł się pokonany. Dla człowieka przyzwyczajonego do zwycięstw był to ciężki cios. Nazajutrz wrócili oboje do Nowego Jorku. Jackie, której brakowało trzech tygodni do rozwiązania, wyjechała do domu rodzinnego w Hammersmith Farm. Ze względu na swój stan poprosiła Johna, by jej towarzyszył. On jednak planował odwiedzin u rodziców odpoczywających na Lazurowym Wybrzeżu, potem zaś wypłynął w tygodniowy rejs po Morzu Śródziemnym.

Dwudziestego trzeciego sierpnia Jackie obudziła się z potwornymi bólami i zaczęła wzywać pomocy. Została przez matkę odwieziona do szpitala w Newport, gdzie przyjęto ją na ostry dyżur. Trzy tygodnie przed terminem wystąpił krwotok wewnętrzny i lekarze podjęli próbę ratowania dziecka poprzez cesarskie cięcie. Dziewczynka – która miała nosić imię Arabella – urodziła się martwa. Przez kilka godzin zagrożone było również życie matki. Jackie, kiedy się wybudziła, zobaczyła Boba, który przekazał jej smutną wiadomość. Przez cały czas trwania jej małżeństwa to właśnie Bob pod nieobecność Johna miał być dla niej wielkim oparciem.

John dowiedział się o tym, co się stało, żeglując po pełnym morzu z bratem Teddym oraz wspólną przyjaciółką. Nie mógł zobaczyć okładki „Washington Post”, gdzie zamieszczono następujący nagłówek: „Senator Kennedy pływa po Morzu Śródziemnym, nie wiedząc, że jego żona straciła dziecko”. Trzy dni po śmierci córki zadzwonił do domu i Jackie opowiedziała mu o wszystkim. Jednak od rozmowy z żoną minęły jeszcze dwa dni, nim wrócił i się z nią zobaczył. Znowu Jackie czuła się zdradzona i opuszczona przez męża. Utrata drugiego dziecka obudziła w nich obawy, że być może w ogóle nie doczekają się potomstwa. Za jej plecami ród Kennedych wysuwał obawy, że panna Bouvier jest zbyt delikatnej budowy, by zostać matką. Doświadczenie to było dla Jackie tym bardziej trudne, że kilka dni później jej szwagierka Patricia Kennedy wydała na świat śliczną dziewczynkę, a po kilku tygodniach Ethel, żona Boba, urodziła piąte dziecko. Po stracie córki Jackie nie chciała wracać do Hickory Hill, gdzie czekał pusty pokój dziecięcy. Sprzedali dom Bobby’emu i Ethel – którzy mieli się doczekać jedenaściorga dzieci – sami zaś znowu wynajęli dom w Georgetown.

Po czterech latach niedającego satysfakcji małżeństwa i wobec niemożliwości wydania na świat zdrowego dziecka Jackie zamknęła się w sobie. Postanowiła na jakiś czas odsunąć się od męża, krążąc między posiadłością

ojczyzna w Hammersmith Farm a Nowym Jorkiem, gdy tymczasem John przebywał w Waszyngtonie. Pierwszy raz prasa napomykała o ewentualności ich rozvodu. Według czasopisma „Time” wtedy to Joe Kennedy, widząc, że świetnie zapowiadająca się kariera syna może być zagrożona, zaproponował Jackie milion dolarów w zamian za pogodzenie. Nie wiemy, czy otrzymała ona wymienioną sumę, ale tak czy owak, wróciła do domu, gotowa ratować małżeństwo.

Pod koniec owego wyjątkowo ciężkiego dla Jackie roku John oświadczył rodzinie, że od tej pory wszystkie jego wysiłki będą skierowane na wygranie kolejnych wyborów i zdobycie Białego Domu. W marcu 1957 roku Jackie była znowu w ciąży i ożywiona tą radością, poczuła się na siłach, by pomyśleć o kupnie i urządzeniu nowego domu. Na krótko przed Bożym Narodzeniem małżonkowie Kennedy przeprowadzili się do eleganckiego, przestronnego domu z czerwonej cegły, przy 3307 N Street w Georgetown. Korzystając z pomocy sławnej nowojorskiej projektantki, Jackie przeobraziła swoją nową rezydencję w dom bardzo gustowny – z meblami w stylu Ludwika XV i Ludwika XVI – ale nade wszystko przytulny. Tym razem zadbała również o to, by dom był odpowiedni na potrzeby męża i jego współpracowników. „Muszą być w nim duże, wygodne fotele i stoły, na których politycy będą mogli rozłożyć swoje papiery, odstawić filiżankę kawy i popielniczkę. A przede wszystkim nie chcę domu, w którym będę musiała powtarzać dzieciom nieustannie: «Nie dotykaj!»”, mówiła projektantce. Dla Jackie miał to być pierwszy prawdziwy dom.

Jednakże żona Kennedy’ego wydawała majątek nie tylko na wystrój domu, ale również na garderobę. Przeciwnicy Johna usiłowali czynić z „rozrzutności pani Kennedy” argument przeciwko niemu. Kiedy pewien dziennikarz spytał ją, wówczas pierwszą damę, czy to prawda – a była to prawda – że w ciągu jednego roku wydała wyłącznie na ubrania około trzydziestu tysięcy dolarów, odpowiedziała spokojnie: „Nie mogłabym tyle wydać, chyba że nosiłabym bieliznę z futra soboli!”. John wpadał w furję, gdy przychodziły rachunki, lecz usprawiedliwiał kaprysy żony, tłumacząc, że musi się ubierać sztywno, by nie przynosić mu wstydu. „Jako osoba publiczna czułbyś się upokorzony, widząc mnie na zdjęciach w znoszonej sukience – mówiła Jackie. – Wszyscy powtarzaliby, że twoja żona jest plebejuską, i nikt by na ciebie nie zagłosował”. John nie oponował; być może dlatego, że w głębi duszy czuł się winny z powodu swojej wiecznej nieobecności w domu i licznych zrad.

W wigilię swoich dwudziestych ósmych urodzin Jackie otrzymała telefon z wiadomością, która pogrążyła ją w głębokim smutku. Jej ojciec, Jack Bouvier, umierał w Nowym Jorku na raka wątroby, a ona nie mogła się z nim pożegnać. Dotarła do szpitala godzinę po jego śmierci. Nie odwiedzała go od roku i czuła się winna, że się nim nie zajęła i pozwoliła mu umrzeć samotnie w sali szpitalnej. Pielęgniarka, która czuwała przy nim w ostatnich chwilach, powtarzała, że zdążył

jeszcze wymówić imię córki. Było to dla Jackie ciężkie przeżycie i wszyscy się obawiali, że może kolejny raz stracić dziecko. Na domiar złego w tym feralnym roku John dostał infekcji, która wywołała bardzo wysoką gorączkę, tak że musiał być hospitalizowany. Wyszedł z zapaści dzięki silnym dawkom antybiotyku, ale czuł się wciąż bardzo słaby.

Dwudziestego siódmego listopada 1957 roku spełniło się marzenie Jackie o macierzyństwie. Narodziny córki Caroline, ślicznej dziewczynki ważącej trzy kilogramy osiemset gramów, szczerze wzruszyły Johna, który tym razem był przy żonie. „Nigdy nie zapomnę twarzy Johna, kiedy lekarz wszedł do poczekalni, żeby poinformować, że urodziła mu się córka i że matka i dziecko czują się dobrze – mówiła dziennikarzom matka Jackie Janet Lee. – Zawsze będę pamiętała radość i uśmiech na jego twarzy”. Po dwóch poronieniach i miesiącach obaw, czy w ogóle będzie mogła mieć dzieci, Jackie doczekała się „najszcześniejszego i najważniejszego dnia w swoim życiu”.

Miała dwadzieścia osiem lat, kiedy pierwszy raz została matką, i wydawało się, że narodziny dziecka zbliżyły do siebie małżonków. Tego roku John był bardzo zajęty w związku ze staraniem o reelekcję na stanowisko senatora i podróżował po całym stanie, tak że rzadko widywał się z rodziną. Jednak, inaczej niż kiedyś, starał się bywać w domu jak najczęściej. „Gdy wracał do domu, szedł od razu do dziecięcego pokoju. Mała uśmiechała się do niego jak do nikogo innego. Od początku kochał ją bardzo, a ona go uwielbiała. Dla niej ojciec był najważniejszy”, opowiadała potem Maud Shaw, piastunka Caroline.

Wszyscy byli zaskoczeni tym, jak bardzo zmienił się John, kiedy został ojcem. Wydawał się szczęśliwy i odmłodzony, dumny ze swojej nowej roli. Media kłóciły się o prawo do reportażu o narodzinach córki Kennedych i w końcu czasopismo „Life” opublikowało wyczekiwany przez wszystkich reportaż. „Od czasu Shirley Temple żadne dziecko amerykańskie nie stało się obiektem takiego zainteresowania prasy światowej w tak krótkim czasie”, komentował jeden z dziennikarzy. Jackie, która nie życzyła sobie, aby jej córka przemieniła się w „maskotkę wyborczą”, zgodziła się na reportaż dla „Life’u”, pod warunkiem że latem John przerwie kampanię wyborczą i pojedą razem do Paryża.

Trzy tygodnie po narodzinach Caroline małżonkowie wprowadzili się do przytulnego ceglanego domu, z magnoliami na podwórku, przy N Street. Oczekiwała ich tam zatrudniona przez panią Kennedy służba domowa: angielska niania, pokojówka, kucharka, osobisty służący Johna, kierowca na pełnym etacie oraz osobista sekretarka Jackie. Pierwszy raz od ślubu Jackie czuła, że ma własny dom i rodzinę, którą się może zajmować. W ciągu następnych miesięcy rzadko przyjmowała wizyty i z wielką gorliwością urządziła dom. Jak twierdziła jej matka, przynajmniej trzykrotnie zmieniła meble i kazała przemalować główny salon.

Miała w końcu dom i śliczną córeczkę, której poświęcała cały swój czas, nie mogła jednak znieść ciągłej nieobecności męża, żyjącego jedynie dla polityki. Przy Johnie była napięta i podenerwowana, on zaś nie wiedział, czemu należy przypisywać nagle zmiany nastroju żony. Joe Kennedy, bojąc się, że do prasy przedostaną się wieści o wybrykach seksualnych syna, zażądał, aby ten opuścił swoje gniazdko miłosne w hotelu Mayflower i przynajmniej do objęcia urzędu pozostał wierny Jackie. Joe miał dobrą intuicję. Jeśli w czasie trwania swego małżeństwa Jackie znosiła w milczeniu nieustanne zdrady męża, to dlatego – jak przyznawała sama – że nie wyszły one nigdy na jaw.

John nie miał jednak ochoty zmieniać stylu życia i mimo kłopotów zdrowotnych dalej flirtował z modelkami, stewardesami, sekretarkami i gwiazdami Hollywoodu. Niektórzy biografowie widzą w nim człowieka uzależnionego od seksu i wiążą jego wzmożoną aktywność na tym polu z rozlicznymi chorobami i nadużywaniem leków. Latem 1958 roku – jak twierdzi jego biograf Christopher Andersen – senator nawiązał romans z Marilyn Monroe. Rok po rozwodzie ze znanym bejsbolistą Joem DiMaggio aktorka wzięła ślub z Arthurem Millerem, szybko jednak ujawniły się nieporozumienia między nimi. Marilyn widywała się potajemnie z Kennedym w swoim małym mieszkanku na Manhattanie albo w luksusowym apartamencie Carlyle Hotel. Traktowała związek z Johnem jedynie jako rozrywkę, jako że obiektem jej gorących uczuć był wówczas Yves Montand.

Po powrocie z obiecaniej żonie wspólnej podróży do Paryża Kennedy kontynuował działalność polityczną. Tym razem jednak Jackie, zdecydowana roztoczyć nad nim większą kontrolę, zaproponowała, że będzie mu towarzyszyć w związanych z kampanią objazdach kraju. Pierwszy raz pozwalała sobie robić zdjęcia, uśmiechając się do dziennikarzy i rozmawiając z nimi uprzejmie, pozdrawiała ludzi, którzy podchodzili, by ją poznać, i przejęta wysłuchiwała przemówień męża. Nie była przyzwyczajona do tłumów ani do konieczności ściskania dłoni nieznanym ludziom na ulicy, potrafiła jednak dostosować się do wymogów chwili. Ubrana elegancko, lecz skromnie, prawie bez makijażu i biżuterii – choć w przepięknym kostiumie od Coco Chanel – swoją obecnością budziła wielkie zainteresowanie wśród osób przychodzących na mityngi wyborcze męża. Doradcy senatora szybko zdali sobie sprawę, że kiedy ogłaszano, że w jakimś wydarzeniu związanym z kampanią weźmie udział Jackie, przychodziło o wiele więcej ludzi. Jej styl bycia delikatnej księżniczki budził w Amerykanach prawdziwy entuzjazm. Widząc rezultaty, doradcy Johna naciskali coraz bardziej, aby Jackie była obecna przy jego publicznych wystąpieniach. „Żona Kennedy’ego budzi zachwyt w wyborcach”, podkreślał w nagłówkach „The New York Times”.

Jackie – pierwsza dama

Dwudziestego stycznia 1960 roku czterdziestodwuletni John Kennedy ogłosił oficjalnie, że zamierza ubiegać się o możliwość kandydowania z ramienia demokratów w wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Jackie nie tylko nie ucieszyła się tym, lecz pomyślała, że straci męża na zawsze. W razie wygrania wyborów John należałby do narodu, stałby się jeszcze bardziej chłodny i oddaliłby się od niej. Mimo to trwała przy jego boku podczas ostatniego etapu szaleńczego wyścigu do fotela prezydenckiego. Prywatnym samolotem Johna – nazwanym Caroline, na cześć córki – przemierzali tysiące kilometrów po całym kraju. Jak wspominał oficjalny fotograf Kennedych Jacques Lowe, były to absolutnie szalone miesiące: „Zaczęliśmy o wpół do siódmej rano w Nowym Jorku, potem poleciliśmy do Bostonu, Chicago i do innych miast, by zakończyć w Kalifornii o drugiej w nocy. Zjedliśmy trzy obiady i trzy kolacje, podczas których John wciąż z kimś rozmawiał, nie mając czasu, żeby coś przelknąć”. W samym tylko roku 1960 senator zrobił ponad sto tysięcy kilometrów samolotem i wygłosił około pięciuset przemówień.

Podczas owych maratońskich podróży prezydenckich wielu dziennikarzy zadawało sobie pytanie, jak Kennedy, z jego poważnymi problemami zdrowotnymi, może znieść tak wytężony rytm pracy. Odpowiedź, gdyby została ujawniona, oznaczałaby koniec szans młodego senatora na urząd prezydenta. Według opinii większości biografów – w tym Jeana-Marca Simona i Davida Heymanna – John, w związku z chronicznymi bólami kręgosłupa, był poważnie uzależniony od leków, ale także od kuracji doktora Maxa Jacobsona. Ów budzący wiele kontrowersji lekarz niemiecki mieszkający w Nowym Jorku – znany również jako Dr Feelgood (Doktor Błogostan) – zasłynął w latach sześćdziesiątych ze swych „cudownych” zastrzyków stymulujących – przede wszystkim z amfetaminy – i koktajli witaminowych. Wśród jego klientów znajdowały się ważne osobistości ze świata filmu i polityki, między innymi Marlena Dietrich, Tennessee Williams i Truman Capote.

Doktor Max Jacobson wraz z żoną Niną towarzyszyli incognito prezydentowi i jego małżonce w większości oficjalnych podróży. Nikt nie zwracał na nich uwagi, lecieli zawsze innym samolotem i zajmowali pokój w pobliżu apartamentu prezydenckiego, by być do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy. John i Jackie korzystali z usług tego lekarza przez cały okres trwania mandatu Johna. „Nie mieli wyboru – pisze Christopher Andersen w swojej książce. – Poddani brutalnej presji opinii publicznej, pełni lęków, musieli jakoś konfrontować się z tą rzeczywistością. A John, nieustannie znoszący straszliwe bóle, po raz pierwszy odczuwał ulgę. Byli oboje coraz bardziej uzależnieni od aplikowanych im przez Jacobsona lekarstw, lecz nie uświadamiali sobie wówczas, co to oznacza pod względem klinicznym”. Max Jacobson swymi kontrowersyjnymi kuracjami

pomagał także skłonnej do depresji Jackie przebyć rozmaite trudne etapy życia, jak okres po zabójstwie męża w Dallas. W roku 1975 stał się osobą zamieszaną w wielki skandal – został oskarżony o otrucie kilkorga pacjentów i cofnięto mu pozwolenie na wykonywanie zawodu.

Jackie, będąca znów w ciąży, w piątym miesiącu wycofała się dyskretnie z kampanii. Chciała uniknąć powtórki tragedii z 1956 roku i postanowiła, za przyzwoleniem Johna, że tym razem nie będzie uczestniczyć w konwencji w Los Angeles. W lipcu, zadowolona i spokojna, przebywała w Hyannis Port i oglądała konwencję w telewizji. Cały klan Kennedych towarzyszył Johnowi w Los Angeles, gdzie senator znalazł czas, by brać udział w przyjęciach i imprezach organizowanych przez przyjaciół z Hollywoodu – Franka Sinatrę, Deana Martina, Sammy’ego Davisa juniora i Tony’ego Curtisa – a także widywać się sam na sam z Marilyn Monroe, zdesperowaną, gdyż Yves Montand postanowił zostać z żoną, aktorką Simone Signoret. Niemniej Jackie była na bieżąco informowana o wszystkim przez swoją siostrę Lee, która brała udział w konwencji demokratycznej razem z drugim mężem, polskim księciem Stanisławem Radziwiłłem. Jackie nie wydawała się specjalnie poruszona romansem Johna z seksowną Marilyn – dla niej po prostu jedną z wielu kochanek męża – gdyby jednak sprawa przedostała się do prasy, wpadłaby w gniew. Myśl o tym, że miałyby zostać upokorzona publicznie, była dla niej nie do zniesienia.

Trzynastego lipca 1960 roku John został wybrany przez swoją partię na kandydata w wyborach prezydenckich przeciw kandydatowi republikańskiemu Richardowi Nixonowi. Dla końcowego rezultatu decydujące znaczenie miały debaty telewizyjne. Fotogeniczny John, opalony, czarujący, bezpośredni, był przed kamerami bezkonkurencyjny. Od tej chwili Jackie przestała trzymać się z tyłu, by przejść na środek sceny politycznej. Już nie była tylko prywatnym doradcą męża w cztery oczy, lecz odważała się występować publicznie, broniąc wysuwanych przezeń postulatów. W kraju mniejszości narodowych młoda, mająca swój styl Mrs. Kennedy, mówiąca doskonale po włosku i po hiszpańsku, trafiała do ludzi, kiedy przemawiała w ich własnym języku. Patriarcha rodu klanu Kennedych nie mylił się: Jackie stała się doskonałą żoną i towarzyszką polityka, który znajdował się coraz bliżej Białego Domu.

Ósmego listopada 1960 roku John Fitzgerald Kennedy został trzydziestym piątym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Od tej chwili życie Jackie miało się zmienić w niewyobrażalny dla niej sposób. „Mam wrażenie, że stałam się własnością publiczną. To straszne, stracić prywatność w wieku trzydziestu jeden lat”, skarżyła się jakiś czas potem, kiedy była już pierwszą damą i prasa śledziła każdy jej krok. Na następne dwa i pół miesiąca ich dom w Georgetown w Waszyngtonie stał się kwaterą generalną młodej, energicznej ekipy kandydata. „Dom był zawsze pełen ludzi. Mogło się zdarzyć, że wychodzę ze swojej łazienki

i staje oko w oko z Pierre'em Salingerem, rzecznikiem Kennedy'ego, który spotyka się na konferencji prasowej z dziennikarzami w mojej sypialni”, komentowała.

Dwa tygodnie później Jackie znów została przyjęta na ostry dyżur w związku z krwotokiem. Mimo obaw urodziła swoje drugie dziecko, chłopczyka nazwanego John junior. Chłopiec był największym szczęściem dla matki, która z lękiem przeżywała każdy poród. John przebywał na Florydzie i wiadomość dotarła do niego podczas lotu prywatnym samolotem. „Nigdy nie jestem obok niej, kiedy mnie potrzebuje”, miał powiedzieć do jednego ze współpracowników. Wrócił do domu następnego dnia i mógł wziąć na ręce swojego syna. Noworodek, ze względu na małą wagę – dwa kilogramy osiemset gramów – musiał spędzić sześć dni w inkubatorze. Jackie, która ciężko przeżyła poród i której życie było zagrożone, potrzebowała kilku miesięcy, by dojść do siebie.

Tego dnia, kiedy Jackie opuszczała na wózku szpital uniwersytecki w Georgetown, Mrs. Eisenhower – już w tym momencie była pierwsza dama – zaprosiła ją do odwiedzenia Białego Domu. Jackie chciała podziękować za zaproszenie i odmówić, nie czując się na siłach, aby przemierzać ciągnące się bez końca korytarze oficjalnej rezydencji prezydenta, w końcu jednak uległa. Poprosiła tylko, by w Białym Domu w razie potrzeby mogła skorzystać z wózka inwalidzkiego. Błada i wyczerpana, wytrzymała trwającą dwie godziny wizytę w pomieszczeniach rezydencji. Była czarująca wobec gospodyni, pozdrawiała służbę, uśmiechnięta pozowała do zdjęć fotografom. Później mówiła, że nie miała odwagi prosić Mamie Eisenhower o wózek, chociaż stanie na nogach przez tak długi czas było dla niej prawdziwą męką. Następne dwa tygodnie spędziła z rodziną w posiadłości Kennedych w Palm Beach, nabierając sił po cesarskim cięciu i zastanawiając się, jak przeobrazić dom prezydencki w miejsce do zamieszkania.

Czterdziestosześcioletni John Kennedy był najmłodszym prezydentem w historii kraju i pierwszym katolikiem. Jackie nie była najmłodszą żoną prezydenta – to wyróżnienie należało się małżonkom Johna Tylera i Grovera Clevelanda – ale była najmłodszą i najładniejszą w XX wieku. Od chwili wyboru Johna prasa nie odstępowała pary prezydenckiej i ich uroczych małych dzieci. Najpotężniejszy naród świata był reprezentowany przez najatrakcyjniejszą i najbardziej medialną parę w historii. Jackie, zawsze chroniąca swoją prywatność, wiedziała, że od tej pory oczy wszystkich będą zwrócone na nią, i nie chciała zawieść męża.

Na początku grudnia, leżąc jeszcze w szpitalu w Georgetown, kazała zadzwonić do stylisty Olega Cassiniego, żeby polecił jej jakieś kreacje na najbliższe okazje. Miesiąc dzielił ją od zaprzysiężenia męża, kiedy to i ona miała się znaleźć w centrum zainteresowania. Po uroczystej inauguracji następowały oficjalne przyjęcia, podróże państwowe i wystawne kolacje. Jackie nie miała zbyt

wiele czasu, żeby zająć się sobą, a chciała wypaść jak najlepiej. Oleg Cassini, urodzony w Paryżu, a od 1936 roku osiadły w Nowym Jorku, stworzył słynny image pierwszej damy i wprowadził nowy styl do Białego Domu.

W swoich pamiętnikach Cassini wspominał pierwsze spotkanie z Jackie w sali szpitalnej. Żona prezydenta leżała otoczona szkicami, rysunkami i propozycjami od najlepszych projektantów. Niemal każdy z nich wybrał jakiś model ze swojej kolekcji, aby ubrać atrakcyjną pierwszą damę. Cassini, który był stylistą wielkich gwiazd Hollywoodu, miał jednak inny pomysł: „Nie wybrałem niczego ze swojej kolekcji. Stworzyłem nową koncepcję specjalnie dla niej. Zagałęm do niej tak, jakby była aktorką filmową, i powiedziałem, że potrzebuje scenariusza. «Chcę, żebyś była najelegantszą kobietą świata – oświadczyłem. – Sądzę, że powinnaś stworzyć własny styl nadający nowy kierunek, a nie iść za czymś już istniejącym»”. Zdaniem Cassiniego Jackie Kennedy miała idealne warunki do noszenia ubrań „bardzo prostych, niemal architektonicznych”. Miały one zapoczątkować nową epokę.

Jackie, obejrzawszy dwadzieścia zaprezentowanych przez stylistę szkiców oraz próbki materiałów i wysłuchawszy jego wskazówek, zdała sobie sprawę, że spotkała człowieka zdolnego odświeżyć nie tylko jej wizerunek, lecz także styl samego Białego Domu. Na odchodnym Cassini powiedział jej: „Zyskałaś wielką szansę – szansę stworzenia nowego Wersalu w Stanach”. Na najbliższe trzy lata Oleg Cassini stał się prywatnym stylistą Jackie, tworząc dla niej co roku sto oryginalnych kreacji, naśladowanych potem przez tysiące kobiet na całym świecie. W ciągu niespełna miesiąca zorganizował ekipę złożoną ze specjalistów od materiałów i kolorów, a także ośmiu krawcowych, pracujących wyłącznie dla Jackie. Zawsze miał do dyspozycji modelkę o dokładnych wymiarach pierwszej damy – „90-66-96, wzrost 1,70 cm”. Patriarcha Joe Kennedy płacił bez szemrania wygórowane rachunki za garderobę synowej.

Dla Cassiniego Jackie Kennedy stanowiła niewyczerpane źródło inspiracji: „Myśląc o niej, miałem przed oczyma sylwetkę z hieroglificznego rysunku – głowa ujęta z profilu, szerokie ramiona, wąskie biodra, długa wystylizowana szyja, postawa królowej. Ze swoimi oczyma Sfinksa przypominała klasyczną księżniczkę egipską, Nefretete”. Zachowane listy do Cassiniego pisane w ciągu tysiąca dni spędzonych przez projektanta w Białym Domu ukazują Jackie jako kobietę wymagającą i kapryśną, która temat własnego stroju stawia na pierwszym miejscu: „Dopilnuj, aby nikt nie miał dokładnie takiej samej sukni jak ja. (...) Chcę, żeby moje były oryginalne i żeby żadna niska, tęgawa panusia nie paradowała w takiej samej sukience jak moja”, przypominała w liście z 13 grudnia 1960 roku.

Cassini doskonale rozumiał, o co chodziło Jackie i co zawierało się w jej prośbie wyrażonej na zakończenie pierwszego spotkania: „Ubierz mnie tak, jakby John był prezydentem Francji”. I tak oto projektował nie tylko wspaniałe sukienki,

płaszcz, kostiumy, lecz czuwał również nad doborem wszystkich dodatków: futer, kapeluszy, torebek, butów. Dołączał modele pochodzące od innych słynnych projektantów, jak Coco Chanel – która, nawiasem mówiąc, twierdziła, że nie ma na świecie kobiety gorzej ubranej niż Jackie Kennedy – Dior, Givenchy, Bergdorf Goodman, Pierre Cardin, Gustave Tassel czy Donald Brooks. Bluzki i spodnie od Valentina, jego oryginalne kapelusze, sukienki marki Givenchy, chustki od Hermès, kostiumy Chanel, kozaczki Vogla, ogromne okulary słoneczne, potrójne sznury sztucznych pereł od Kennetha Jay Lane’a, kurtki Huntsmana – wszystko to w połączeniu z krótką naturalną fryzurą tworzyło styl, na którym wzorowały się Amerykanki lat sześćdziesiątych.

Po sprzedaży domu w Georgetown i przeprowadzce do rezydencji prezydenckiej małżonkowie Kennedy wynajęli w Wirginii dom wiejski, mający stanowić drugą rezydencję. Tam Jackie mogła spędzać weekendy z dziećmi i jeździć konno, bez towarzyszącej jej zawsze chmary dziennikarzy. Dom, zwany Glen Ora, otoczony stu sześćdziesięcioma hektarami pól i lasów, stał się dla niej schronieniem i oddechem od stresu, w jakim żyła w Waszyngtonie. Za wynajem płacili niebagatelną sumę dwóch tysięcy dolarów miesięcznie. W 1963 roku Jackie namówiła męża do zbudowania niedaleko Glen Ora nowej rezydencji, nazywanej Wexford, gdzie można by polować i jeździć konno. Ledwo zdążyli się nią nacieszyć przed śmiercią Johna.

Od czasów Eleanor Roosevelt żadna pierwsza dama nie wybiła się na scenie publicznej. Jackie stworzyła nowy styl i zerwała z tradycyjnym obrazem małżonki prezydenta uświetniającej swoją obecnością otwarcie szpitala czy organizującej obiady dla pań. Była zupełnie inna niż poprzednie mieszkanki Białego Domu: wykształcona, obdarzona dobrym gustem i nowoczesna, a przy tym wzór matki i żony. Tańczyła twista, grała w tenisa, pływała i znakomicie jeździła konno. Poza tym ubierała się z elegancją i smakiem europejskiej księżniczki. Już wówczas czasopismo „Life” mówiło o wpływie Jackie na modę w Ameryce: „Powoli entuzjaści mody kreowanej przez subtelną i piękną pierwszą damę szykują prawdziwą rewolucję. Całkowicie wbrew sobie Mrs. Kennedy stała się gwiazdą top model dla całego kraju”.

Dwudziestego stycznia 1961 roku małżonkowie Kennedy znaleźli się w centrum uwagi milionów ludzi. Po obfitych opadach śniegu, jakie nawiedziły poprzedniej nocy ulice Waszyngtonu, John Kennedy składał przysięgę na Kapitolu, pod uważnym spojrzeniem swojej żony. Jackie, siedząca między lady Eisenhower i lady Bird Johnson, wyróżniała się młodzieńczym wyglądem pośród ubranych w ciężkie, niezbyt twarzowe futra dam. Nie zważając na niskie temperatury, włożyła elegancki, prosty beżowy płaszcz z wełny, z sobolowym kołnierzem i mufką w komplecie. Starannie dobrane zostały jej dodatki: botki, długie rękawiczki oraz toczek – tak zwany *pill-box hat*, kapelusz przypominający

kształtem pudełko na lekarstwa. Na balu inauguracyjnym Jackie miała na sobie niezwykle wytworną i budzącą sensację długą suknię z białej satyny z rękawami trzy czwarte, strojny gorset i spódnicę typu dzwon, według projektu Cassiniego. Od pierwszego wystąpienia publicznego prezydentowej – owego mroźnego dnia, kiedy jej mąż obejmował urząd – zarówno akredytowani dziennikarze, jak i cały naród amerykański byli zgodni co do tego, że jest to najbardziej elegancka pierwsza dama na świecie.

Po uroczystej inauguracji John i Jackie przeprowadzili się do Białego Domu, gdzie rozpoczęło się tysiąc dni „wina i róż”, o których napisano dziesiątki stron. Samotność i brak prywatności były wysoką ceną, jaką Jackie miała zapłacić za bycie żoną prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wiele się zmieniło w jej życiu, między innymi pojawili się nieodłączni funkcjonariusze tajnych służb, którzy chodzili za nią i za dziećmi wszędzie jak cień. Dowiedziała się przerażona, że każdy z członków rodziny prezydenckiej miał swoje tajne imię: John to był „Lancer”, Jackie – „Lace”, Carolina – „Lyric”, a najmłodszy John-John – „Lark”.

Wiecznie towarzyszyli im dziennikarze – ze strony Jackie przedmiot sympatii i antypatii zarazem. Podczas konferencji prasowej po wprowadzeniu się do Białego Domu jeden z reporterów spytał ją, czym karmi swojego psa Clippera. „Mięsem z dziennikarzy”, odpowiedziała bez mrugnięcia. Nie mogła znieść tego, że zza krat otaczających ogrody rezydencji dziennikarze polują na nich z obiektywami niezależnie od pory albo że ludzie na ulicy wołają głośno jej dzieci, jeszcze nieświadome całego zamieszania, jakie wywoływała ich obecność. Tak bardzo zależało jej na zachowaniu prywatności, że jeden z pracowników zatrudnionych w Białym Domu skomentował to tymi słowami: „Gdyby jej pozwolono, kazałaby zbudować wokół Białego Domu mur i fosę pełną krokodyli”.

Kiedy Jackie pierwszy raz zwiedzała Biały Dom przy Pennsylvania Avenue w towarzystwie jego gospodyni, Mrs. Eisenhower, poczuła, że jej świat się wali. Ze zwykłą sobie ironią wyznała potem osobistej sekretarce: „Boże kochany, toż to najstraszniejsze miejsce na świecie! Zimne i ponure jak Łubianka. (...) Nie wyobrażam sobie, żebym mogła przenieść się z dziećmi do czegoś takiego”. Pani Eisenhower musiała się zorientować co do odczuć Jackie, bo mówiła później do dziennikarzy: „Jest bardzo młoda i chciałaby zmienić każde pomieszczenie. Jestem pewna, że jej przeprowadzka przyniesie tutaj wiele zmian”. Była pierwsza dama, która przeżyła osiem lat w ponurej rezydencji prezydenckiej, nie wyobrażała sobie nawet, jak wszystko przemebluje pani Kennedy. Jackie chciała, by wnętrza stały się bardziej przytulne, eleganckie i wytworne, nawet gdyby miało to kosztować fortunę.

Odпочyając z rodziną w Palm Beach, bacznie studiowała plany i zdjęcia Białego Domu, zapamiętując w najdrobniejszych szczegółach wygląd każdego pokoju i salonu. Poznała także historię rezydencji i dzieje jej sławnych

mieszkańców. Priorytetem była dla niej rodzina, dlatego przede wszystkim kazała przemeblować prywatne pokoje na drugim piętrze, czyniąc je wygodnymi i nowoczesnymi. W ciągu zaledwie trzech miesięcy, korzystając z pomocy sławnej nowojorskiej projektantki wnętrz Helen Parish, sprawiła, że „ciemne, niewygodne, straszne” pokoje zmieniły się nie do poznania. Razem siedziały nad planami każdego pokoju, lokując w nich wszystkie spoczywające w piwnicach i pokryte kurzem meble, obrazy i antyki – pochodzące z czasów budowy obiektu w 1790 roku. Jackie chciała wnieść w każdą przestrzeń więcej światła i ciepła, i udało jej się to dzięki jasnym kolorom, bukietom kwiatów na stołach i w kątach, miękkim wykładzinom i palącym się kominkom. Ściany ozdobiła niczym galerię, wieszając na nich oryginalne pejzaże Cézanne’a, akwarele znanych malarzy amerykańskich i obrazy indiańskie. Prywatny salon Kennedych stanowił połączenie stylu francuskiego i amerykańskiego. Był jasnym pomieszczeniem o dużych oknach i ścianach obitych kremową materiałową tapetą. Antyczne meble, dwuosobowa sofa, nad nią wschodni kobierzec, dwa stoliki z czereśniowego drewna, porcelanowa lampka nocna, dwie lampy naftowe w stylu Ludwika XV oraz biblioteczka z jasnej sosny nadawały wnętrzu przytulny, ciepły charakter. Tam małżonkowie przyjmowali przyjaciół i rodzinę. Było to, jak mówiła Jackie, „ich prywatne Georgetown”.

Żeby nie musieć korzystać z bezosobowej jadalni położonej piętro wyżej niż kuchnia – wszystkie potrawy docierały na stół zimne – Jackie kazała zbudować kuchnię – urządzonej według najnowszej technologii – w nowych pomieszczeniach, a przy niej bardziej praktyczną, jasną jadalnię. Biały Dom, dotąd budynek o charakterze wyłącznie administracyjnym, przekształcił się, dzięki staraniom i gustowi Jackie, w nowoczesny dom z lat sześćdziesiątych. Dziennikarzom powtarzała: „Wszystko w Białym Domu musi mieć rację istnienia. Byłoby świętokradztwem po prostu zmienić wystrój wnętrza – nienawidzę tego słowa. Dom musi zostać odnowiony, a to nie ma nic wspólnego z wystrojem wnętrza”.

Prawdziwą *idée fixe* Jackie od chwili wprowadzenia się do Białego Domu było zachowanie atmosfery dzieciństwa dla córki i syna. „Nie chcę, żeby moje dzieci były wychowywane przez zastęp nianiek i ludzi ze służb specjalnych”, mówiła. Po raz pierwszy w XX wieku dwójka dzieci zamieszkała w rezydencji prezydenta i Jackie chciała, żeby czuły się tam jak w domu. Na trzecim piętrze budynku kazała zorganizować szkołę, tak by mogła do niej chodzić Caroline i szesnaścioro innych maluchów – dzieci urzędników i przyjaciół. Obok gabinetu owalnego powstała strefa zabawy na powietrzu, z huśtawkami bujanymi, zjeżdżalnicami, tunelami i drewnianymi huśtawkami stojącymi. Małej Caroline wystarczyło tylko po śniadaniu wejść po schodach, by znaleźć się wśród kolegów i koleżanek, towarzyszy nauki i zabawy. Tym sposobem również John – któremu napięty grafik nie pozwalał być z dziećmi tyle, ile chciał – mógł wymknąć się

z jakiegoś zebrania i chwilę się z nimi pobawić. Prezydentowi bynajmniej nie przeszkadzało, że dzieci biegają dookoła, w czasie gdy on redaguje przemówienie bądź przewodniczy zebraniu. Zdjęcia dzieci bawiących się na dywanie w gabinecie owalnym pokazywały światu, że do Białego Domu zawitały nowe czasy.

Pogrzebane marzenie

Po załatwieniu spraw domowych, zorganizowaniu życia dzieciom i odpowiednim urządzeniu wszystkich pomieszczeń, Jackie zaangażowała całą swoją energię w odnowienie pozostałych pomieszczeń Białego Domu. Chciała zmienić ten emblematyczny budynek w narodowy pomnik, z którego naród amerykański byłby dumny. Wydawało jej się, że dom prezydenta – symbol dla narodu – w takim stanie, w jakim oboje go poznali, był miejscem niemożliwym do zamieszkania i pozbawionym osobowości. Od początku stawiała kwestię remontu jasno: jej projekt wykraczał poza odnowę estetyczną; był sprawą wagi państwowej. „Chciałabym, żeby w Białym Domu znajdowały się oryginalne meble z epoki, a nie kopie. I chciałabym uczynić ten budynek muzeum sztuki amerykańskiej, żeby sztukę amerykańską można było podziwiać obok oryginalnych mebli. O budowie Białego Domu zdecydowano w roku 1790, ale nie ma w nim niczego sprzed roku 1948”, mówiła na konferencji prasowej.

Z wielką energią rozpoczęła realizację tego trudnego zadania, otaczając się najlepszymi specjalistami z dziedziny sztuki i historii. Zasięgnęła nawet porady architektów krajobrazu i ogrodników. Od stycznia 1961 roku działała w Komitecie Sztuk Pięknych Białego Domu, instytucji, której przewodniczył Henry Francis du Pont, jeden z najwybitniejszych amerykańskich historyków sztuki, a wśród jej członków znajdowali się znani – i posiadający miliony – kolekcjonerzy. Dzięki nim Jackie zdołała zebrać w ciągu zaledwie trzech lat dziewięć milionów dolarów. W ciągu najbliższych miesięcy wydobyto z piwnic Białego Domu autentyczne skarby oraz przedmioty o wielkiej wartości historycznej należące do poprzednich prezydentów, jak kałamarz Jeffersona czy skórzany fotel Waszyngtona. Z największą starannością odnowiono meble, porcelanę, obrazy z różnych epok. Umeblowanie wzbogaciło się dzięki darowiz-nom wpływowych przyjaciół pary prezydenckiej, ale także prezentom od mieszkańców kraju, którzy, dowiedziawszy się o ambitnym projekcie, pragnęli mieć w nim swój udział.

John Kennedy, który na początku obawiał się, że działania jego żony uczynią Biały Dom „zbyt francuskim”, mógł odetchnąć z ulgą. Nawet gabinet owalny, którego oryginalne ściany miały barwę – według Jackie – „budzącej mdłości zieleni”, zyskał styl i stał się jaśniejszy po odmalowaniu na kolor złamanej bieli. Sam Kennedy nadał swemu miejscu pracy osobisty charakter, umieszczając w nim

zdjęcia dzieci, rodzinne pamiątki, akwarele i przedmioty ukazujące jego wielką namiętność do morza. Wreszcie 14 lutego 1962 roku pierwsza dama pokazała narodowi amerykańskiemu rezultat restauracji historycznego obiektu. W reportażu telewizyjnym dla CBS Jackie jako gospodyni oprowadzała publiczność po głównych pomieszczeniach Białego Domu, objaśniając zmiany, które pokazywała kamera.

Program został obejrzany przez około pięćdziesięciu milionów widzów i pobił rekordy oglądalności. Mrs. Kennedy pierwszy raz pojawiała się sama na ekranie i choć jej głos brzmiał nieco dziecinnie, a ona wydawała się nieco skrępowana przed kamerą, rezultat był znakomity. Ale Jackie miała również swoich krytyków i wielu osobom nie podobała się kosztowna poprawa wyglądu Białego Domu. Wielu uważało też, że są w kraju ważniejsze sprawy niż zajmowanie się remontem siedziby władz, tak żeby wszystko było „na wysoki połysk”. Niemniej bardzo dobrze przyjęto pomysł finansowania projektu ze środków prywatnych. „The New York Times” pisał: „Pani Kennedy użyła twórczych metod, aby uzyskać fundusze potrzebne na remont Białego Domu i wydobyć coś z kieszeni osób mających udział w projekcie”. Tak czy owak, jedno było pewne: pani Kennedy była najlepszym rzecznikiem prasowym Białego Domu.

Po emisji reportażu – i absolutnie wbrew swoim pragnieniom – Jackie zyskała ogromną popularność. „Jackiemania” dopiero się rozpoczęła, ale już w witrynach sklepowych pojawiały się manekiny o jej rysach twarzy, a zakłady fryzjerskie reklamowały fryzurę „à la Jackie”. Na wystawach magazynów *prêt-à-porter* można było oglądać podobne do noszonych przez nią dopasowane sukienki bez rękawów, z geometrycznym kołnierzykiem, i jej płaszcze z rękawami trzy czwarte, z tego samego materiału, a do tego toczki na głowę. Produkowano inspirowane jej postacią figurki z porcelany, bożonarodzeniowe ozdoby, a nawet zastawy stołowe. Była jedną z najbardziej sławnych, podziwianych i fotografowanych kobiet w Stanach. Tysiące kobiet na całym świecie marzyło o tym, żeby się do niej upodobnić, i naśladowało jej do dziś jeszcze podziwiany styl ubierania się – klasyczny i zrównoważony, z nutą nowoczesności. Jako ikona mody pojawiała się bez przerwy na okładkach czasopism takich jak „People”, „Life”, „Vanity Fair”, „Vogue”, jakby była gwiazdą Hollywoodu. Jackie całe to zamieszanie wokół jej osoby wydawało się niepotrzebne i denerwujące. „Co ma wspólnego moja fryzura ze zdolnościami służenia krajowi, jakimi wykazuje się mój mąż?”, narzekała.

Trzydziestego pierwszego maja 1961 roku małżonkowie Kennedy wyruszyli w swoją pierwszą oficjalną podróż do Europy, z przystankami w Paryżu, Wiedniu i Londynie. Jackie najbardziej bodaj wyczekiwała wizyty w Paryżu, mieście, które ją urzekło jako młodą dziewczynę. Dla Olega Cassiniego – odpowiedzialnego za projekt i dobranie wszystkich strojów pierwszej damy na rozliczne okazje

wypełnionego programu, uroczyste kolacje, przyjęcia, wizyty związane z kulturą – było to największe wyzwanie. Chciał ubrać Jackie „jak księżniczkę” i z pewnością mu się to udało, nawet jeśli potrzebował do tego dwudziestu walizek. Para prezydencka przybyła punktualnie na lotnisko Orly, gdzie gości powitał prezydent Charles de Gaulle, zwracając się do nich po angielsku.

Jackie, ubrana w uroczy bladoniebieski płaszcz, od chwili kiedy zeszła po schodkach z samolotu, przykuła uwagę wszystkich. Prezydencka odkryta limuzyna zawiozła ich na Quai d’Orsay, do siedziby Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie państwo Kennedy mieli się zatrzymać na czas pobytu w Paryżu. Gorące przyjęcie mieszkańców, którzy wiwatowali, wykrzykując ich imiona i powiewając amerykańskimi chorągiewkami, zrobiło na nich wielkie wrażenie. Jackie, trzymająca się blisko madame Ivonne de Gaulle, czuła się doskonale w roli pierwszej damy najpotężniejszego państwa na świecie.

Już podczas pierwszego oficjalnego obiadu w Paryżu, w Pałacu Elizejskim, siedząca obok prezydenta de Gaulle’a Jackie, ubrana w stonowany bladożółty kostium z jedwabiu i wełny, do którego dobrany był kapelusz, mogła okazać swój podziw dla kultury francuskiej i szeroką znajomość historii kraju. Sędziwy de Gaulle, prowadzący z nią ożywioną rozmowę po francusku, zafascynowany jej urodą i kulturą, powiedział Johnowi Kennedy’emu, że jego żona wie więcej o historii Francji niż on sam. „Moi dziadkowie byli Francuzami”, odparła Jackie skromnie głowie państwa francuskiego. „Moi również”, podchwycił żartobliwie de Gaulle. Podczas gdy John rozprawił z de Gaulle’em o sprawach państwowych, Jackie w towarzystwie ministra kultury, znanego pisarza André Malraux, zwiedzała zamek Malmaison, rezydencję cesarzowej Józefiny, Luwr i pałac w Wersalu.

Podczas wystawnej kolacji przy świecach, wydanej przez de Gaulle’a w Salonie Zwierciadlanym w Wersalu, znów skupiły się na Jackie wszystkie spojrzenia. Cassini wybrał na tak uroczystą chwilę suknię wieczorową od francuskiego projektanta Givenchy’ego, jedwabną, w kolorze kości słoniowej, z gorsiem wyszywanym w kwiaty, z naszytymi perłami, inspirowaną męskimi strojami z okresu panowania Ludwika XVI. Oryginalna fryzura, dzieło jej osobistego fryzjera Alexandra, inspirowana była fryzurą księżnej Fontanges – jednej z faworyt Ludwika XIV – i ozdobiona dwiema brylantowymi spinkami firmy Van Cleef & Arpels. Jackie na zawsze zapamiętała ów wieczór w tak wytwornym miejscu i wspaniały spektakl baletowy z epoki, który po kolacji goście obejrzeni w teatrze Ludwika XV. Następnego dnia John Kennedy w czasie konferencji prasowej zaczął swoje wystąpienie od zdania, które miało obiec cały świat: „Sądzę, że powinienem się przedstawić; jestem mężczyzną, który towarzyszył Jacqueline Kennedy w Paryżu”.

Po tygodniu spędzonym we Francji Jackie i John udali się do Wiednia, gdzie prezydent spotkał się ze swoim najbardziej zaciekle przeciwnikiem – przywódcą

radzieckim Chruszczowem. W okresie trwania zimnej wojny spotkanie obu szefów państw stanowiło sprawę nader delikatną, ale znów wdzięk Jackie pomógł rozładować napięcie. Kiedy na uroczystej kolacji w pałacu Schönbrunn, letniej rezydencji cesarzowej Sissi, Jackie pojawiła się w wieczorowej różowej obcisłej sukni, wyszywanej perłami, Chruszczow oniemiał. Później, gdy fotografowie prosili, by obaj przywódcy podali sobie ręce, przywódca radziecki oświadczył, że wolałby uścisnąć dłoń pani Kennedy, na co ta z uśmiechem się zgodziła.

Przed powrotem do Stanów państwo Kennedy odwiedzili jeszcze Londyn, gdzie zjedli kolację z królową Elżbietą II i księciem Filipem. Był to kontrpunkt podróży, podczas której błyszczała gwiazda żony prezydenta. Jackie osiągnęła swój cel: okazała się godną towarzyszką pierwszego przywódcy świata i udowodniła Johnowi, że może mu być niezwykle pomocna w jego relacjach dyplomatycznych. Swoją kulturą bycia i wdziękiem oczarowała najważniejszych zagranicznych szefów państw. Od tego momentu zacieśniła się jej więź z Johnem, a ona sama stała się jego „najlepszym sprzymierzeńcem politycznym”. Prezydent, przekonany o jej zdolnościach, kierował ją jako swego wysłannika i nieoficjalnego obserwatora do różnych państw utrzymujących relacje – nieraz napięte – z jego administracją. W marcu 1962 roku jego żona udała się – w towarzystwie siostry Lee – z pierwszą „nieoficjalną” wizytą do Indii i Pakistanu, dwóch krajów sąsiadujących ze sobą, ale pozostających w złych stosunkach, co kazało jej zachować wielką rozwagę dyplomatyczną.

Jackie nie zapomniała, co jej powiedział przyjaciel Oleg Cassini przy okazji pierwszego spotkania. „Masz wielką szansę stworzenia nowego Wersalu w Stanach Zjednoczonych”. Po tak udanej podróży po Europie czuła się coraz mniej onieśmielona i nabierała pewności siebie. Rozpieszczana przez prasę europejską, która wypowiadała się o niej z wielkim szacunkiem i podziwem, teraz ona chciała godnie przyjmować najwybitniejszych artystów i największych przywódców świata. Zainspirowana okazałymi pałacami, które odwiedzili, i eleganckimi paryskimi kolacjami przy świecach, spożywanymi na starej porcelanie i złotymi sztucami, postanowiła nadać nowy styl oficjalnym przyjęciom i zadbać o ich iście królewską oprawę. W ciągu niespełna trzech lat małżonkowie Kennedy gościli siedemdziesięciu czterech zagranicznych szefów państw, organizując około sześćdziesięciu sześciu uroczystych kolacji i przyjęć. Niektóre mogły chyba rywalizować pod względem wystawności z tymi, jakie wydawano na dworze Ludwika XIV.

W ciągu najbliższych miesięcy Jackie miała się stać idealną gospodynią, nadając osobisty rys dystynkcji wszystkim organizowanym przez siebie przyjęciom. Jako absolutna perfekcjonistka sama pilnowała wszystkich szczegółów – od listy gości po menu, dekorację z kwiatów i rozsadzenie gości przy stołach. Żeby stworzyć atmosferę mniej sztywną i formalną, zastąpiła stoły ustawione

w kształt litery U mniejszymi, okrągłymi, na osiem osób; na stołach kazała umieszczać bukietki polnych kwiatów wśród prostej zastawy. W czasie uroczystych kolacji używała zastawy Abrahama Lincolna i srebrnych sztuców prezydenta Madisona. Później zatrudniła znanego kucharza francuskiego René Verdon, by goście mogli zakosztować wyrafinowanej kuchni. John narzekał po cichu, gdyż menu podawane było wyłącznie po francusku i nigdy nie wiedział, co naprawdę będzie jadł na kolację.

Dzięki Jackie Biały Dom przekształcił się w ośrodek kultury najwyższej klasy – miejsce otwarte dla intelektualistów, muzyków, aktorów, malarzy i polityków. Organizowano tutaj koncerty, przedstawienia baletowe, teatralne, wieczory poetyckie. Wśród zaproszonych sławnych artystów byli między innymi: Pau Casals, Rudolf Nurijew, Leonard Bernstein, Igor Strawiński. Na przyjęciu wydanym na cześć francuskiego ministra kultury André Malraux pierwsza dama zgromadziła takich gości jak: Arthur Miler i jego żona Marilyn Monroe – która przybyła na specjalną prośbę Johna – Tennessee Williams, Elia Kazan, choreograf George Balanchine i lotnik Charles Lindbergh. Oszołomiony sposobem, w jaki został przyjęty, Malraux udostępnił Giocondę Leonarda da Vinci sławnej National Gallery w Waszyngtonie. W kraju, w którym nie istniało ministerstwo kultury, Mrs. Kennedy doskonale wypełniała zadania należące zwykle do tej instytucji.

W lipcu 1961 roku Jackie zorganizowała pierwsze oficjalne przyjęcie na cześć prezydenta Pakistanu Ayuba Khana, sojusznika bardzo wówczas Stanom potrzebnego. Kolację z tej ważnej okazji postanowiła wydać na świeżym powietrzu, przy świecach, w Mount Vernon. Było to miejsce symboliczne: stojący nad Potomakiem drewniany, malowany na biało dom, otoczony ogrodem, stanowił niegdyś własność pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych George'a Washingtona. Zorganizowanie kolacji wiązało się z ogromnym wysiłkiem ze strony Jackie i jej pomocników. Nad trawnikiem rozpięto wielką plandekę, pod którą ustawiono okrągłe stoły z połączanymi krzesłami z Białego Domu dla stu pięćdziesięciu biesiadników. Złożona z siedemdziesięciu czterech muzyków Narodowa Orkiestra Symfoniczna uprzyjemniała wieczór, grając na specjalnie wzniesionej estradzie. Potrawy transportowano z Waszyngtonu helikopterami, a srebrne sztuce i zastawę z delikatnej porcelany przewieziono wojskowymi ciężarówkami. Potrzebne były trzy generatory prądu i kuchnie polowe w ogrodzie, w których nowy kucharz Verdon, mógł serwować wybrane na tę okazję dania.

Kolacja w Mount Vernon okazała się niezwykle udana i John był bardzo dumny ze swojej żony, lecz w prasie ta wystawność wywołała ostrą krytykę: „Wiele osób zwraca uwagę na przepych, jakim otacza się pani Kennedy, i ironizuje na temat jej rzekomej «bielizny z sobolowego futra»”. Następnego dnia Jackie, obojętna na krytykę i zmęczona imprezą, poleciała do Hyannis Port, aby przez resztę lata wycpoczywać z dziećmi.

O ile na oficjalnych przyjęciach Jackie i John prezentowali się jako para idealnych gospodarzy, o tyle w życiu prywatnym sprawy wyglądały zgoła odmiennie. Jackie starała się organizować kolacje i spotkania w gronie przyjaciół również po to, by rozerwać Johna, który wydawał się coraz bardziej odległy i zamknięty w sobie. Stylista Oleg Cassini, wielokrotnie zapraszany do Białego Domu, widział, w jakiej samotności żyją oboje. W liście do Cassiniego Jackie prosiła, żeby przy każdej bytności w Waszyngtonie w związku z projektami dla niej starał się zostawać u nich na kolację, aby „pocieszyć biednego prezydenta i jego żonę w tej smutnej Maison Blanche”. Wyznawała przyjacielowi i osobistemu projektantowi, że nie jest łatwo żyć w Białym Domu, gdzie nie ma się prawie żadnej prywatności, ponieważ człowiek zawsze otoczony jest służbą domową albo agentami służb specjalnych.

Od czasu zamieszkania w Białym Domu John nie zmienił ani na jotę sposobu bycia i wciąż dodawał piękne aktorki – wśród nich Angie Dickinson i samą Jayne Mansfield – do niekończącej się listy kochanek. Jackie była świadoma, że ilekroć ona w weekend wyjeżdża z dziećmi na wieś, John sprowadza do rezydencji „przyjaciółki”. Ochrona nie tylko wiedziała o jego pozamałżeńskich relacjach, lecz starała się go kryć i zacierać ślady. John dalej widywał się z Marilyn w Nowym Jorku albo w Kalifornii, a czasem aktorka towarzyszyła mu na pokładzie jego samolotu Air Force One, trudna do rozpoznania w ciemnej peruce i dużych słonecznych okularach.

Dziewiętnastego maja 1962 roku z okazji czterdziestych piątych urodzin prezydenta partia demokratyczna zorganizowała dla tysięcy jego sympatyków uroczystość w Madison Square Garden w Nowym Jorku. Na wieść o tym, że ma wystąpić Marilyn, Jackie odmówiła udziału w imprezie. Tamten wieczór również przeszedł do legendy. Aktorka, ubrana w błyszczącą, obcisłą sukienkę koloru cielistego, zaśpiewała prezydentowi niezapomniane, namiętne *Happy Birthday*. To było ich ostatnie spotkanie. Dziewięć tygodni po słynnych urodzinach prezydenta na pierwszych stronach wszystkich gazet w kraju pojawiła się wiadomość o niespodziewanej śmierci aktorki. Jackie, pytana przez dziennikarzy o komentarz do jej tragicznego odejścia, odpowiedziała: „Marilyn nie umrze nigdy”. Wszyscy, którzy znali Jackie, wiedzieli, że jest świadoma niewierności Johna, w tym przypadku jednak, jak mówiła kiedyś do przyjaciółki, uznała, że „sprawy zaszły za daleko”.

W kwietniu 1963 roku Jackie była znowu w ciąży. W trosce o swoje zdrowie ograniczyła zajęcia w Białym Domu i odwołała zaplanowane podróże. John, szczęśliwy, postanowił spędzić lato z dziećmi w wynajętym domu niedaleko Hyannis Port. Lato okazało się jednak bardzo smutne dla obojga. Siódmego sierpnia pani Kennedy, na pięć tygodni przed terminem, musiała zostać hospitalizowana i wydała na świat wcześniaka. Maleńki Patrick zmarł następnego

dnia. John przekazał żonie smutną wiadomość. Po raz pierwszy prezydent okazał wtedy publicznie swój stan ducha, Jackie zaś, mimo że tym razem mogła liczyć na wsparcie męża, pogrążyła się w głębokiej depresji.

Po tygodniowym pobycie w szpitalu Jackie wróciła do Białego Domu, pocieszając się obecnością dzieci. Jej siostra Lee, przebywająca właśnie w Atenach, chcąc poprawić jej nastrój, poprosiła swego przyjaciela Onasisa, by zaprosił Jackie na rejs po Morzu Śródziemnym. W tym okresie Lee myślała o rozwodzie ze Stanisławem Radziwiłłem i miała romans z Onasisem. John, mimo początkowych oporów, jakie budziły w nim kontakty żony z mężczyzną o reputacji Onasisa – myślał już o wyborach prezydenckich w 1964 roku – zgodził się, pod warunkiem że będą im towarzyszyły dwie zaufane osoby. Na początku października Jackie weszła na luksusowy jacht Christina. Po raz pierwszy od dawna wyglądała na spokojną i rozluźnioną. W ciągu najbliższych dni korzystała z gościnności gospodarza, który robił wszystko co w jego mocy, by pani Kennedy czuła się jak królowa w pływającym pałacu. Bajkowe zachody słońca, morskie kąpiele – zrobione na pokładzie zdjęcie Jackie w bikini obiegło cały świat – szampan i kawior w obfitości, a jako gwóźdź programu wspaniały naszyjnik z brylantów i rubinów – wszystko to przywróciło jej radość życia. Szesnastego października, z walizkami pełnymi strojów, prezentów, starych bibelotów, opalona i wypoczęta, Jackie wracała, by kolejny raz odegrać rolę doskonałej małżonki prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wówczas właśnie John poprosił, aby towarzyszyła mu w oficjalnej podróży do Dallas w Teksasie. Państwo Kennedy mieli za sobą dziesięć lat małżeństwa i przeszli razem ciężkie próby. Teraz najbliższe otoczenie zauważało, że wyglądają na bardziej związanych ze sobą niż kiedykolwiek przedtem. Po prostu na zgraną parę.

Dwudziestego drugiego listopada John i Jackie przylecieli do Dallas, zdobywać elektorat teksaski. To, co stało się później, należy już do historii. Przemierzali miasto odkrytą limuzyną, pozdrawiając tysiące osób, które wyległy na ulice, by ich zobaczyć. O wpół do pierwszej trzy wystrzały zakończyły życie Johna, który upadł na kolana żony. Cały świat był bezpośrednim świadkiem brutalnego zabójstwa najbardziej charyzmatycznego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jackie, która w pierwszym odruchu usiłowała uciec z samochodu, zawsze potem wyrzucała sobie, że nie zdołała zakryć męża swoim ciałem i w ten sposób ocalić mu życia. Zdruzgotana, w poczuciu bólu i bezsilności, ani na chwilę nie chciała odejść od martwego ciała Johna. Jej wierność i dzielność okazana w pierwszych dniach po zabójstwie wywołały podziw w całym kraju.

W żadnym momencie Jackie nie straciła publicznie panowania nad sobą. Samolotem Air Force One wróciła do Waszyngtonu, siedząc w swoim kostiumie Chanel i białych rękawiczkach poplamionych krwią obok trumny ze zwłokami męża. Kiedy stewardesa spytała ją, czy nie chciałaby się przebrać, odpowiedziała

zdecydowanie: „Nie. Chcę, żeby świat zobaczył, co mu zrobiono”. Po przybyciu do Białego Domu rozpoczęła przygotowania do pogrzebu z cechującą ją zawsze starannością i zmysłem wierności historii. Postanowiła, że ciało Johna Fitzgeralda Kennedy’ego spocznie na cmentarzu Arlington, obok bohaterów wojennych. Następnego dnia cały świat obserwował uroczysty pogrzeb, inspirowany pogrzebem Lincolna. Jackie, cała w czerni, z woalką na twarzy, szła wyprostowana na czele orszaku, trzymając za ręce dzieci. Przeszła za trumną od Białego Domu do katedry Świętego Mateusza, gdzie czekało na nią sześćdziesięciu dwóch szefów państw i rządu, wśród nich de Gaulle. Obraz małego Johna juniora, salutującego przed trumną ojca, pozostał na zawsze w ludzkiej pamięci. Tego samego popołudnia, nie zmieniając planów, Jackie wyprawiła synkowi trzecie urodziny.

Po oficjalnych uroczystościach Jackie zniknęła z życia publicznego. Szóstego grudnia ostatecznie opuściła rezydencję państwową i przez pewien czas mieszkała w udostępnionym przez kogoś domu, wśród swoich płócien van Gogha, Matisse’a, Cézanne’a oraz najcenniejszych dzieł sztuki, które przypominały jej dobre czasy. Na początku 1964 roku była pierwsza dama kupiła dwupiętrowy dom o czternastu pokojach. Na ówczesne czasy kosztował fortunę. W nowym miejscu starała się odtworzyć atmosferę, jaką dzieci miały w Białym Domu – być może, żeby poradzić sobie z tęsknotą. Przez rok nosiła żałobę i rzadko pokazywała się publicznie. Miała zaledwie trzydzieści cztery lata i najważniejsze były teraz dla niej jej małe dzieci. Przez najbliższy czas starała się ocalić pamięć o mężu, angażując się w zorganizowanie wystawy objazdowej i stworzenie biblioteki Memorial John F. Kennedy w Bostonie, na który to cel zdołała zgromadzić dziesięć milionów dolarów. Czując się zbyt nagabywana przez dziennikarzy i w trosce o bezpieczeństwo dzieci, postanowiła przenieść się do Nowego Jorku, gdzie kupiła luksusowe poddasze przy Piątej Alei numer 1040. W tym ogromnym apartamencie o piętnastu pokojach, naprzeciwko Central Park, miała mieszkać przez trzydzieści lat, do dnia śmierci.

Wraz z upływem czasu, zaaklimatyzowawszy się już w Nowym Jorku, usiłowała jakoś ułożyć sobie życie na nowo. Powoli wychodziła z głębokiej depresji, w jakiej pogrążyła się po śmierci Johna. Kontrowersyjny doktor Jacobson – którego Bob Kennedy nie znosił – dalej wspierał ją swymi cudownymi receptami. Organizm Jackie zdążył się już jednak przyzwyczaić do środków uspokajających i innych środków farmakologicznych i nie reagował na kuracje oparte na amfetaminie i sterydach. Caroline i John uczęszczali do prestiżowych szkół katolickich i zaczęli żyć „normalnie”, tak jak zawsze pragnęła ich matka. „Znajdują się w centrum mojego wszechświata; mam nadzieję, że ja jestem centrum ich wszechświata. Chciałabym być zawsze z nimi i nigdy ich nie zawieść”, mówiła. Kiedy jednak zaczynała pomалу stawać na nogi, nowe nieszczęście uderzyło w nią z całą mocą. Rankiem 6 czerwca 1968 roku senator Robert

Kennedy został zamordowany zaledwie godzinę po tym, jak wybrano go na kandydata na prezydenta. W tym momencie Jackie zaczęła się poważnie obawiać o bezpieczeństwo swoje i dzieci. „Pogardzam tym krajem i nie chcę, żeby moje dzieci tutaj mieszkały. Jeśli postanowiono powybijać Kennedych, moje dzieci stanowią główny cel. Chcę stąd wyjechać”, mówiła, całkowicie załamana śmiercią Boba, swego wiernego przyjaciela i powiernika. Nadzieja na spokojne życie i możliwość powrotu Kennedych do Białego Domu rozwiąła się wraz ze śmiercią Boba.

Niemniej Jackie Kennedy miała się odrodzić jeszcze raz. Mając trzydzieści dziewięć lat, nie chciała przez resztę życia odgrywać roli „wdowy Ameryki” i 20 października 1968 roku wyszła za innego wpływowego mężczyznę, bogatego i potężnego – Aristotelisa Onasisa. Naród amerykański, który przedtem otaczał ją uwielbieniem, krytykował teraz ten związek, zdaniem wielu oparty na interesie i pozbawiony miłości. „Zrzucą cię z piedestału”, ostrzegał ją przyjaciel. „To lepsze niż na nim umrzeć”, odpowiedziała. Obojętna wobec wrzawy wywołanej jej decyzją, rozpoczęła nowy etap życia u boku człowieka dwadzieścia trzy lata starszego od niej, który niósł jej tak potrzebną wówczas pociechę i poczucie bezpieczeństwa. Jej małżeństwo z rozsądku nie było wyłącznie usłane różami. Wychodziła za człowieka, z którym nie dzieliła ani gustów, ani zainteresowań, który jednak płacił jej słone rachunki – była wówczas kimś w rodzaju zakupoholiczki, zdolnej nabyć dwieście par butów w ciągu jednego dnia – i ofiarowywał wspaniałe klejnoty. Jako żona Onasisa otrzymywała kwotę dwudziestu tysięcy dolarów miesięcznie, a mimo to każdego miesiąca wysyłała do jego sekretariatu faktury na pokrycie niespodziewanych wydatków. Gdy 15 marca 1975 roku magnat zmarł na skutek zapalenia płuc, Jackie drugi raz została wdową – ze sporym spadkiem na koncie bankowym – teraz jednak zaczęła żyć na swój własny sposób, nie wiążąc się z mężczyznami.

Ostatnie lata życia były dla niej może najszcześniejsze, gdyż wreszcie mogła robić to, co lubi, nie tłumacząc się przed nikim. Po latach przeżytych bez pracy, kiedy była zajęta dogadaniem sobie, ciała i duszy, i korzystała ze wszystkich możliwych przywilejów, wróciła do dawnych zainteresowań literackich. Mieszkała na swoim nowojorskim poddaszu, podróżowała po całym świecie i przygotowywała do wydania znakomite książki i książeczki dla dzieci, pracując dla wydawnictwa Doubleday. Do śmierci pracowała trzy dni w tygodniu jako redaktor książek ilustrowanych – i cieszyła się wnukami. Maurice Tempelman, znany doradca finansowy i właściciel sklepu z brylantami, stał się jej najlepszym towarzyszem na ostatni etap burzliwego życia. Gdy w listopadzie 1993 roku, po upadku z konia na pokazie hippicznym, dowiedziała się, że cierpi na nowotwór węzłów limfatycznych, zorganizowała wspaniałe przyjęcie bożonarodzeniowe, po czym wyjechała na wakacje na Karaiby. Pięć miesięcy później została przyjęta na

ostrzy dyżur do szpitala w Nowym Jorku. Wiedząc, że nowotwór ją pokonał, poprosiła dzieci, by pozwoliły jej spokojnie umrzeć w domu. Jak zawsze przewidująca i staranna, zredagowała długi testament – jej majątek obliczano na dwieście milionów dolarów – i przygotowała w szczególności swój pogrzeb w kościele Świętego Ignacego Loyoli. Wybrała pieśni gregoriańskie, koszulę, w którą miała być ubrana po śmierci, zestawiała listę osób, które mogły ją zobaczyć na łożu śmierci i pożegnać się z nią. Już dawniej postanowiła, że chce spocząć obok Johna i ich dwojga dzieci, Arabelli i Patricka, na cmentarzu w Arlington.

Dziewiętnastego maja w wieku sześćdziesięciu czterech lat zmarła w swym łóżku, mając obok siebie dzieci. Do końca nie pojmowała, dlaczego jej życie prywatne wciąż tak interesuje ludzi. Jej ukochany syn John junior – przystojny dziennikarz i adwokat, który zginął potem w wieku trzydziestu ośmiu lat w wypadku lotniczym – przeczytał krótkie, poruszające oświadczenie dla czekających pod domem dziennikarzy: „Wczoraj wieczorem, o godzinie 22.15, moja matka odeszła, otoczona przyjaciółmi, rodziną, książkami, najdroższymi sobie osobami i przedmiotami. Umarła tak, jak pragnęła, i jesteśmy szczęśliwi z tego powodu. Teraz jest w rękach Boga. Przesłano niezliczone telegramy z Nowego Jorku i z całego świata. W imieniu rodziny dziękuję szczerze wszystkim, którzy chcieli się wypowiedzieć w ten sposób. Teraz, kiedy już wszystko jest wiadome, mam nadzieję, że będziemy mogli przez dwa, trzy dni pozostać sami”.

Jackie Kennedy Onassis, która przez całe życie usiłowała chronić swoją prywatność, nic nie mogła poradzić na to, że po śmierci jej wizerunek stał się ikoną epoki, a życie legendą pełną blasków i cieni. „Ludzie nigdy nie mieli dość czytania wiadomości – choćby najbardziej banalnych – o niej i o jej pięknych dzieciach. Stała się gwiazdą, idolem. Wydawała się idealną żoną, idealną matką, idealną kochanką, prawdziwą kobietą idealną”, mówił jeden z jej biografów. Ta swego czasu najczęściej fotografowana, najbardziej podziwiana kobieta świata, subtelna, tajemnicza dama, która dzieliła serce z dwoma potężnymi mężczyznami, miała nieustannie budzić zainteresowanie wciąż pamiętających ją ludzi.

Podziękowania

Książka ta nigdy by nie powstała, gdyby nieoceniony Eduardo Sánchez Junco – którego bardzo będzie mi brakowało – nie zaproponował mi pisania dla magazynu „!Hola!” biografii sławnych kobiet. Na użytek książki teksty zostały poszerzone i przejrzone. Chciałabym wyrazić szczerą wdzięczność znakomitemu zespołowi redaktorek – Pauli López, Silvii Luengo oraz Loli Delgado – z którymi dzielę fascynację postaciami tych legendarnych kobiet. A także Belén Junco, tak niezwykle kreatywnej. Książka zawiera wiele jej cennych sugestii i jej jest dedykowana.

Wyrazy wdzięczności kieruję też pod adresem Any Roca za ciężką pracę dokumentacyjną i za dotarcie do wielu niewydanych świadectw życia tych mitycznych bohaterek XX wieku. A także Jackie Bassat za pomoc i promowanie wszystkich moich książek i za współpracę przy przygotowaniu prezentacji w Barcelonie. Dziękuję też fotografowi Javierowi Alonsowi Asensia za to, że udało mu się zdobyć dobre zdjęcia autorki i udostępnić je dla celów promocyjnych. Szczerze dziękuję także Gemmie Nierga za miłe chwile, jakie przeżyliśmy razem podczas spotkań związanych z promocją moich książek.

Przy tej publikacji mogłam liczyć na nieocenione wsparcie moich wydawców, Davida Tríasa i Emilii Lope, zawsze cierpliwych i pomocnych. Oraz na obecność Alicii Martí i Leticii Roderó, które czynią łatwą każdą moją podróż związaną z promocją. Dziękuję także całej ekipie z wydawnictwa Plaza & Janés i grupy Random Mouse Mondadori, zaangażowanej w przygotowanie książki. Specjalne podziękowanie składam na ręce Assunty Jiménez-Ontiveros, szefowej działu zagranicznego firmy Chanel w Hiszpanii, za otwarcie przede mną w Paryżu drzwi do świata genialnej Coco Chanel. Dziękuję mojemu mężowi, José Diéguezowi, za bezinteresowną pomoc, pogodę i towarzyszenie mi w tej nowej przygodzie literackiej.

Bibliografia

- ANDERSEN CH., *Jackie et John, les années de pouvoir*, Ramsay, Paris 1996.
- John et Jackie, histoire d'un couple tragique*, Ramsay, Paris 1996.
- John-John, ou la malédiction des Kennedy*, Illustrée, col. J'ai Lu, 2000.
- BARDÈCHE M., *Histoire des femmes*, Stock, Paris 1968.
- BARNES J., *Eva Perón*, Ultramar, Madryt 1979.
- BOWLES H., *Jacqueline Kennedy: The White House Years*, Bulfinch, Boston–New York–London 2001.
- BRADFORD S., *America's Queen: A Life of Jacqueline Kennedy Onassis*, Viking, New York 2000.
- BUCK P. S., *Las mujeres Kennedy*, Dopesa, Barcelona 1972.
- BURAYA L., *María Callas*, Edimat, Madrid 2005.
- CAFARAKIS CH., *El fabuloso Onassis*, G. del Toro, Madrid 1971.
- CALLAS J., *Sisters: a revealing portrait of the world's most famous diva*, Gordonsville, Virginia, St. Martin's Press 1990.
- CAPOTE T., *Breakfast at Tiffany's*, [Śniadanie u Tiffany'ego, przeł. Robert Sudół, Warszawa 2013].
- CASSINI O., *In My Own Fashion*, Pocket Books, New York 1987.
- *A thousand days of magic*, Rizzoli, New York 1995.
- CHARLES-ROUX E., *Le temps Chanel*, Editions de La Martinière, Paris 2004.
- CLARKE-KEOGH P., *Audrey Style*, Aurum Press, London 1999.
- CRAMER H., *La duquesa de Windsor*, AHR, Barcelona 1957.
- CROWE C., *Conversaciones con Billy Wilder*, Alianza, Madrid 2002.
- DEGUNST S., *Coco Chanel, citations*, Les Éditions du Huitième Jour, 2008.
- DHERBIER YANN-BRICE (red.), *María Callas. Les images d'une vie*, YB éditions, Paris, 2007.
- DUNCAN P. (red.), *A. Hepburn*, Taschen, Köln 2006.
- DUQUE DE WINDSOR E., *La vida de un rey*, Ediciones Grijalbo, Mexico DE 1958.
- EDWARDS A., *María Callas intime*, L'ai Lu, Paris 2002.
- ELLIOT M., *Cary Grant. La biografía*, Lumen, Barcelona 2007.
- ERWIN E., DIAMOND J. Z., *Los tesoros de Audrey Hepburn*, La Cúpula,

Barcelona 2008.

M., FRASER N., NAVARRO M., *Eva Perón. La verdad de un mito*, Bruguera, Barcelona 1982.

HAEDRICH M., *Coco Chanel íntima*, Dopesa, Barcelona 1973.

HELLESTERN M., *Cómo ser adorable, según Audrey Hepburn*, Vergara, Barcelona 2005.

HEPBURN S., *Audrey Hepburn, un espíritu elegante*, Scyla, Barcelona 2009.

HEYMAN D., *Pauvre petite fille riche*, Presses de la Cité, Paris 1987.

— *Una mujer llamada Jackie*, Ediciones B, Barcelona 1989.

HIGHAM CH., *La scandaleuse duchesse de Windsor*, JC Lattès, Paris 1989.

JENNINGS D., *Barbara Hutton: A Candid Biography*, F. Fell, 1968.

KASPI A., *John F. Kennedy*, Grupo Correo, Madrid 2003.

KELLEY K., *Los Windsor*, Plaza & Janés, Barcelona 1997.

LAGERFELD K., *Mademoiselle*, Steidl 2009.

LECOMTE F., *Jackie. Les années Kennedy*, L'Archipel, Paris 2004.

MADSEN A., *Coco Chanel*, Circe, Barcelona 1998.

MARTÍNEZ PUJALTE M. A., *Yo, Maria Callas. La ópera de mi vida*, Huerga & Fierro editores, Madrid 1998.

MENEGHINI G. B., *My wife, Maria Callas*, Farrar, Straus & Giroux, New York 1982.

MONTERO R., *Historias de mujeres*, Alfaguara, Madrid 1995.

— *Pasiones*, Aguilar, Madrid 1999.

MORAND P., *El aire de Chanel*, Tusquets, Barcelona 1999.

MOSLEY D., *La duquesa de Windsor*, Planeta, Barcelona 1980.

MURPHY CH., BRYAN, *Los duques de Windsor*, Lasser Press Mexicana, México D.E 1980.

PERRIS A., *Jacqueline Kennedy*, Edimat, Madrid 2005.

RADZIWIŁŁ L., *Happy Times*, Ediciones Assouline, New York 2001.

RENSSELAER PH., VAN, *Million Dollar Baby: An intimate Portrait of Barbara Hutton*, Putnam, 1979.

RIVERA DE LA CRUZ M., *Fiestas que hicieron historia*, Temas de Hoy, Madrid 2001.

ROYO-VILLANOVA J., *Porfirio Rubirosa, el último playboy*, Espejo de Tinta, Madrid 2006.

SIMON J.-M., *Jackie Kennedy: une femme blessée*, Bernard Giovanangeli, Paris 2005.

SPENCER J., *Eva Perón*, Bartillat, Paris 2007.

SPOTO D., *Jackie, le roman d'un destin*, Le Cherche Midi, Paris 2001.

Audrey Hepburn. La biografía, Lumen, Barcelona 2006.

- STANCIOFF N., *Maria Callas. Remembered*, Dutton, New York 1987.
- STASSINOPOULOS A., *Maria Callas. La mujer detrás de la leyenda*, Ediciones Quarto, Barcelona 1984.
- SUCARRAT M., *Vida sentimental de Eva Perón*, Sudamericana, Buenos Aires 2006.
- SYLVESTER CH. (red.), *Las grandes entrevistas de la historia*, El País Aguilar, Madrid 1997.
- TOLEDO D., *Audrey Hepburn de la A a la Z*, Jaguar, Madrid 2006.
- YUSTE C., *Audrey Hepburn en el recuerdo*, Cacitel, Madrid 2003.

